

A black and white photograph showing a woman from behind, hugging a young child. They are sitting on a wooden cart or trailer in a vast, open field. The sky is overcast with heavy clouds. The cart has a large tire visible in the foreground on the right side.

POLSKA-UKRAINA

Ciężar przeszłości

Dwa narody w XX wieku
na łamach „Karty”

POLSKA-UKRAINA

Ciężar przeszłości

Dwa narody w XX wieku
na łamach „Karty”

Przejs̄cie przez historię

Pojawienie się setnego numeru „Karty” w 80. rocznicę wybuchu II wojny uznaliśmy za okazję do zobrazowania drogi pisma przez związki polsko-ukraińskie w XX wieku, z wymuszonym przez przeszłość akcentem na okres II wojny. Z perspektywy trzech ostatnich dekad widać, jakie znaczenie miały kolejne zbliżenia na tę tematykę – w kwartalniku, który oddaje głos świadkom historii.

Ledwie ukazały się pierwsze numery legalnej „Karty” (w 1991 roku), a do redakcji zaczęła napływać korespondencja od rodzin ofiar z Wołynia – z apelem, byśmy podjęli się wnikliwego opisu tamtejszych rzezi z lat 40. W ósmej „Karcie” ogłosiliśmy zbiór świadectw *Karczowani*, dotyczących tego doświadczenia. Znow jednak pojawiły się głosy, że to za mało – wobec skali ofiar zbrodni nacjonalistów ukraińskich. Jakby oczekiwano, że co numer przedstawiać będziemy obrazy tamtego barbarzyństwa. Zrozumieliśmy wtedy, że dla dialogu z Ukraińcami konieczne jest wspólne zdefiniowanie tej przeszłości; że nie można po prostu wystawiać rachunku stronie ukraińskiej, a praca nad historią musi polegać na nazywaniu prawdy, nie jedynie ustalaniu winnych.

Wychodząc z takiego założenia, postanowiliśmy skonfrontować polskich i ukraińskich badaczy. Chodziło o to, by obie strony – robiąc pierwszy krok ku sobie – wspólnie wypowiedziały się co do stanu wiedzy o tamtej zbrodni. W czerwcu

1994 w Podkowie Leśnej odbyło się spotkanie: „Polacy i Ukraińcy 1918–48. Trudne pytania”. Powstał na nim pierwszy wspólny komunikat, który podpisały oba zespoły – 11 Ukraińców i 11 Polaków; zapisano tam: „Konflikt polsko-ukraiński, który pochłonał tak wiele ofiar, stanowi najbardziej tragiczną kartę w historii naszych narodów. Apelujemy do Ukraińców i Polaków, aby nie przenosili odpowiedzialności za przestępstwa jednostek i grup na całe nasze narody. Historycy polscy i ukraińscy stwierdzają zgodnie, że nastał czas obiektywnego zbadania przyczyn i przebiegu konfliktu, liczby ofiar po obu stronach oraz napisania historii stosunków ukraińsko-polskich”. Staraliśmy się potem wykorzystywać tę nowo odkrytą szansę.

Konferencja w Podkowie zainspirowała uruchomiony po dwóch latach cykl „Polska–Ukraina: trudne pytania”, który w ciągu dekady przyniósł dziesięć tomów uzgodnień polskich i ukraińskich badaczy we wszystkich kluczowych kwestiach wzajemnych stosunków w XX wieku. Etapowe podsumowanie tej pracy zawarte zostało w wydanej w 2003 roku książce *Polska–Ukraina: trudna odpowiedź. Dokumentacja spotkań historyków (1994–2001)*. Cały ten dorobek nie został jednak dostatecznie zrekapitulowany w życiu publicznym obu krajów – wiedzy fachowców nie przeniesiono do świadomości zbiorowej. Odwrotnie, scena polityczna w XXI wieku odwołuje się do resentymentów, nie próbując zamknąć dawnych wojennych rachunków.

Przeszłość jest ciągle w relacjach polsko-ukraińskich głównym punktem odniesienia. Mogłaby łączyć, pod stanowczym warunkiem, że obie strony zobaczą dawne ofiary jako wspólne – że wszystkie staną się „nasze”, a nie „ich”. Jeśli za podstawę przyjmuje się reguły demokratyczne i prawa człowieka, nietrudno o postawę nierelatywizowania zła. Polak odczuwający ból na widok niszczenia przez swoich ukraińskich bibliotek czy cerkwi, odbierania wolności Ukraińcom w obozach internowania, w Berezie czy Jaworznie, nasiedlania ich po pustostanach państwa w akcji „Wisła”; Ukrainiec przerażony eksterminacją ludności polskiej przez swych rodaków na Wołyniu – są ludźmi podobnego pokroju, niezatrutymi „wymogami narodu”. Tacy mogą myśleć wspólnie: naszych więziono, naszych mordowano, a teraz my, razem, odrzucimy wszelkie tego nawroty.

Nadal jednak na pierwszy plan wybijają się głosy nacjonalistów obu stron: „ich” wina jest większa! Są wyrazistsi w agresji, więc zagłuszają koncyliacyjny ton. A Polakom i Ukraińcom potrzeba najbardziej wspólnej, cywilizowanej rozmowy. Piętno Wołynia polega nie tylko na nieuhonorowaniu tamtych ofiar (choćby przez nieobecność cmentarzy), lecz na nieustannym jątrzeniu potępieniem – jakby współcześni winni byli zbrodniom dawnego pokolenia. Bestialskie zbrodnie miały miejsce; sposobem na nie jest nie zapominanie, lecz opisywanie wprost, w kontekście historycznym, bez wznawiania dzisiaj haniebnych – z perspektywy demokracji – frontów

narodowych. Trzeba chronić pamięć – w imię kondycji ludzkiej, w imię praw człowieka, w imię prawdy, której nie wolno relatywizować.

Dlatego tym razem wracamy do samej „Karty”. W stu numerach znalazło się wiele zbliżeń na zdarzenia lat 1917–47, przesądzające, niestety do dzisiaj, o aurze wzajemnych stosunków. Zestawiamy je tutaj, przekonani, że świadectwa kolejnych etapów „do i od Wołynia” pomagają zrozumieć, przez co wspólnie przeszliśmy. Gdy po *Karczowanych* (w 1992 roku) wróciliśmy w 2005 roku do relacji polskich z Wołynia, a w 2006 przedstawiliśmy w zapisach ukraińskich przebieg akcji „Wisła”, usłyszeliśmy od naszych polskich partnerów w cyklu „Polska–Ukraina: trudne pytania”, że to rodzaj zdrady. Bo jak mogliśmy „zrównywać” cierpienia ukraińskich wysiedlonych z masakrą bezbronnych Polaków...

Dyskusję polsko-polską, jaką w 2008 roku przeprowadziliśmy na temat naszej „zdrady”, przedstawiamy w tym tomie. To rodzaj przestania zamykającego świadectwa przeszłości. To postulat – ma prowadzić do zwykłego, przyjacielskiego sąsiedztwa, do granicy łączącej dwa państwa, a nie dzielącej je, do pamięci, która ma stać się przestrogą przed recydywą nacjonalistycznej wrogości. Ta ostatnia zawsze niszczy.

Zbigniew Gluza

Bohdan Hud'

Wielkie majątki magnackie rodów polskich i spolszczonych litewsko-ruskich istniały na prawobrzeżnej Ukrainie (na zachód od Dniepru) od końca XVI wieku. Po trzech rozbiorach Rzeczypospolitej obszary te prawie w całości znalazły się pod panowaniem imperium rosyjskiego, zdecydowana większość urzędów na szczeblach gubernialnym i powiatowym pozostała jednak w rękach polskich. Polski był językiem urzędowym, a także językiem nauczania w szkołach na Podolu, Kijowszczyźnie i Wołyniu. Rząd carski potwierdził też wszystkie prawa i przywileje szlachty polskiej, w tym prawo do ziemi i do chłopów pańszczyźnianych.

Mimo represji władz carskich po XIX-wiecznych powstaniach, przed rewolucją lutową 1917 roku na prawobrzeżnej Ukrainie około 80 procent ziemi nadal było własnością lub w dzierżawie Polaków (np. do książąt Branickich należało

FOT. ZE ZBIORÓW MARIU Z PODHORSKICH REZYMEJ

Od lewej: Helena, Józef i Bolesław Podhorscy, Bronisława Monkiewicz (koleżanka Heleny)



Panowie
polscy

167 tysięcy dziesięcin ziemi; 1 dziesięcina – ok. 1,1 hektara). Tadeusz Epsztein tak nazywa tragiczny w skutkach proces: „Główna sfera konfliktów, dotycząca ziemi, miała tendencję wzrostową. Wieś ukraińska na przełomie wieków podwoiła swoją populację [...], natomiast ilość uprawianej przez nią ziemi wzrosła zaledwie o kilkanaście procent. [...] Problem «głodu ziemi» stał się kwestią palącą”^{*}.

Atmosfera sprzyjała więc czynnym wystąpieniom przeciwko polskim właścicielom ziemskim, brakowało natomiast organizatorów i możliwości, jakie przyniosły ze sobą I wojna światowa i rewolucja lutowa, a szczególnie przewrót bolszewicki 25 października 1917.

Już po obaleniu caratu pojawiło się prawdziwe zagrożenie. Katastrofalną sytuację gospodarczą, porażki na froncie, brak silnej władzy wewnątrz kraju dopełniały masowe dezercje żołnierzy. Stanisław Stempowski zanotował w swoim pamiętniku: „Manowcami przez lasy przemykały oddziały dezercerów, po wsiach zaroilo się od szyneli roznoszących wieść, że wojna skończona i czas robić porządek z «burżujami» [...], jak to uczyniono już z oficerami na froncie”^{**}.

Sytuacja na wsi natychmiast się zaogniła. Jak wspominała Zofia Kossak-Szczucka: „Wtedy, objeżdżając tak ciche na pozór pola, można było słyszeć, wstuchawszy się duszą, ochrypli głosy nizin, wołający o głódzie ziemi – głódzie mocniejszym niżli wszystkie inne głody. [...] To był żywioł, żywioł nieodparty i nieubłagany, który powstawał z szumem groźnym fali, a runąwszy, miał zalać wszystko i zgładzić”^{***}.

W marcu–kwietniu 1917, w obliczu głębokiego kryzysu władzy Rządu Tymczasowego, zaczęto się masowe wypasanie bydła na polach magnackich i barbarzyńskie niszczenie lasów. W niektórych miejscowościach już w kwietniu odnotowano pierwsze wypadki zagarnięcia ziem wielkich właścicieli. Latem sytuacja jeszcze bardziej się zaostrzyła, a przedmiotem konfliktu wieś–dwór

stała się wysokość zapłaty za żniwa. Właściciele proponowali co dziesiąty, a najwyżej co siódmy–ósmy snop, chłopci zaś domagali się 30–50 procent zbiorów. Aby to wymóc, nie wpuszczali na pola robotników z innych wsi, psuli maszyny...

Ta sytuacja (zwłaszcza w guberniach podolskiej i kijowskiej) groziła załamaniem zaopatrzenia frontu w żywność. By nie dopuścić do totalnej katastrofy, dowódca Frontu Południowo-Zachodniego generał Ławr Kornilow wydał rozkaz użycia siły wobec zbuntowanych wsi. Po usunięciu Kornilowa ze stanowiska we wrześniu 1917 (został oskarżony o próbę obalenia Rządu Tymczasowego i ustanowienia dyktatury wojskowej), już nikt nie był w stanie powstrzymać straszliwego żywiołu buntów żołniersko-chłopskich.

Sygnalem do pogromów właścicieli ziemskich, przeważnie polskich, na prawobrzeżnej Ukrainie stał się rajd zbolszewizowanego II korpusu gwardii rosyjskiej. Ogromna rzesza pijanych żołnierzy, zdemoralizowanych bolszewicką agitacją, wyruszyła 18 września 1917 spod Kamieńca Podolskiego przez powiaty kamieniecki, uszycki, mohylowski, płoskirowski i lityński, w kierunku Starego Konstantynowa, niszcząc po drodze osady, dwory, folwarki, gorzelnie. W ciągu tygodnia zniszczyli około pięćdziesięciu obiektów. Podobnie było na Wołyniu, gdzie w pierwszej dekadzie października zniszczono przeszło sto dworów i folwarków. 1 listopada w pałacu w Sławucie żołnierze zbolszewizowanego 264 pułku zapasowego zamordowali księcia Romana Sanguszkę, a sam pałac wraz z zabytkami i archiwaliami z dziejów Rusi i Polski spalili. Od tego momentu zniszczenie ogarnęło Wołyń, Podole i Kijowszczyznę. Od 23 września do 5 października w trzech prawobrzeżnych guberniach zostało zniszczonych około dwustu majątków, odnotowano setki wypadków zagarnięcia ziemi i masowe wyręby lasów obszarniczyl^{****}.

7 listopada 1917 Centralna Rada (działająca w latach 1917–18) przejęła całą władzę na

* Tadeusz Epsztein, *Edukacja dzieci i młodzieży w polskich rodzinach ziemiańskich na Wołyniu, Podolu i Ukrainie w II poł. XIX w.*, Warszawa 1998, s. 32.

** Stanisław Stempowski, *Z pamiętnika (Wojna. Pogrom – 1914–1917)*, „Zeszyty Historyczne” nr 23, 1973, s. 132.

*** Zofia Kossak-Szczucka, *Pożoga. Wspomnienia z Wołynia. 1917–1919*, Kraków 1922, s. 20–21.

**** Zob. Centralny Derżawnyj Archiw Wyšcych Orhaniv Vlady ta Upravlinnja Ukrainy (CDA-VOVU), zespół 1792, inwentarz 1, teczki 40, 41, 43, 44; z. 1598, inw. 1, t. 6; t. 10; z. 1390, inw. 1, t. 46; t. 47, 48, 50; Centralnyj Derżawnyj Istoryčnyj Archiw u Lvovi (CDIA), z. 717, inw. 1, t. 51.

Ukrainie, proklamując powstanie Ukraińskiej Republiki Ludowej. Trzeci Uniwersał przyjęty przez Radę głosił między innymi, iż na terytorium URL znosi się „istniejące prawo własności gruntów ziemiańskich i innych nieuprawianych własnoręcznie gospodarstw”. Wszystkie stronnictwa polskie na Rusi niezwłocznie ogłosiły protest przeciwko temu „aktowi krzywdy wobec Polaków”. Reakcją rządu ukraińskiego było uchwalenie komentarza do Uniwersału, tłumaczącego, że zniesienie własności dworskiej oznacza na razie tylko zakaz rozporządzania ziemią – wielkie majątki są własnością ogólnonarodową, niepodlegającą parcelacji*.

Jak świadczą meldunki z prowincji, po ogłoszeniu Uniwersału nastąpił krótkotrwały okres względnego spokoju wśród chłopów i żołnierzy:

„[...] ludność powiatu zaczyna bardziej świadomie podchodzić do swoich obowiązków obywatelskich. [...] zaczęto zwracać inwentarz, proszono przekazać ziarno ubogim. W Ziatkiwcach udało się powstrzymać grabież w zarodku. Uniwersał wzbudza wśród ludzi świadomych nadzieję na spokój, porządek, bliski pokój.

Wszędzie po wsiach pojawili się agitatorzy, nazywający siebie bolszewikami. Organizują szajki, grabią ludzi, podrywają zaufanie do miejscowych władz. Komitety i gminne zarządy

ludowe nie mogą z nimi walczyć, bo nie mają sił zbrojnych. Wszystkie te szajki mają broń, nawet granaty ręczne, i składają się z dezertersów.

We wsiach powiatu walczą tendencje porządku i samowoli. Zwracają się do mnie o pomoc siły wojskowej. Milicja nie ma siły, by to powstrzymać, bo jest jej mało i jest piesza”***.

Centralna Rada Ukrainy, nie dysponując siłą militarną, nie była w stanie wprowadzić swojego rozporządzenia w życie. W tym czasie niemal każda wieś na prawobrzeżnej Ukrainie przypominała jednostkę wojskową, posiadając często broń maszynową, a czasami nawet lekkie działa. Po przewrocie bolszewickim w Piotrogradzie od początku grudnia 1917 rozruchy przybrały na sile, czemu sprzyjała wojna ukraińsko-rosyjska oraz agitacja bolszewicka wśród chłopów ukraińskich: „Wszędzie całkowite rozprężenie, rabunki i samosady. Poszły w ruch karabiny, bomby i rewolwery. Wyrąb lasów szerzy się coraz bardziej. W ciągu tygodnia wyniszczono dziesiątki arów. We wsiach [...] tyle jest drewna, że trudno przejechać ulicami. [...] Bandy wciąż się powiększają, są coraz lepiej uzbrojone. [...] Żadnego ratunku. Nie ma siły [by wytrwać]”***.

Przedstawione dalej dokumenty z archiwów ukraińskich pokazują, w jakiej sytuacji znalazła się społeczność polska zimą 1917/18. (B.H.)

Depesza komisarza gubernialnego do Sekretariatu Generalnego Spraw Wewnętrznych Ukraińskiej Republiki Ludowej

Nastały zaiste czarne dni. [...] Powiat [nowoszycki] opanowały zagony drapieżnych opryszków, [...] rujnujących [tę] krainę łez i smutku.

[W] powiecie rozprężenie. Resztki majątków są rabowane, komitety same się do tego przyczyniają. [W] Siworogach komitet wiejski wydawał wieśniakom zaświadczenia na rabunek itd. [...]

Wszystko wyżej opowiedziane dotyczy w całej pełni także powiatów kamienieckiego i mohylowskiego. O proskirowski milczę – tam,

przepraszam [za wyrażenie], królują „ludowi komisarze”. Czekam jak łaski odpowiedzi, która doda mi sił i ożywi, bo ciężko, oj, ciężko mi na duszy, ręce opadają. Ratujcie. Telegrafujcie.

12 STYCZNIA 1918

(CDAVOVU, z. 1792, inw. 1, t. 43, k. 348–349)

Kostia Szyroćkyj w piśmie do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych (Wydział Ochrony Prawa i Porządku) URL

Ja, pracownik Ukraińskiego Ministerstwa Oświaty, przebywający obecnie na prowincji w sprawach ochrony zabytków kultury, nie mogę nie donieść do wiadomości Rządu Centralnego o tym

* CDIA, z. 717, inw. 1, t. 51, k. 11–12.

** Meldunek komisarza powiatowego z Hajsyna z 23 listopada 1917, CDAVOVU, z. 1792, inw. 1, t. 43, k. 222.

*** Meldunek z 21 grudnia 1917, *ibidem*, k. 331.

straszliwym obrazie zniszczenia, jaki zastałem we wsi Bilousiwka w powiecie hajsyńskim na Podolu i w jej okolicy.

W Bilousiwcę znajdował się ośrodek jednego z majątków klucza hrabiego Sobańskiego. [...] W licznych pańskich dworach i oficynach mieszkali zarządcy i czeladź, wśród których w swoim czasie byli ludzie przychylni sprawie ukraińskiej, dzięki czemu wieś miała od dawna ukraińską bibliotekę, Proswitę* i między innymi wzbogaciła się o rzadkie i cenne artystycznie freski cerkiewne w stylu ukraińskim. Jednakże obecnie orientacja wieśniaków z Bilousiwki i okolic odwróciła się od ukraińskości, a jednocześnie pojawili się tu różni agenci zaborczy i pogromowi. Stało się to po tym, jak z frontu przyszło kilku żołnierzy i zaczęli agitować przeciwko Centralnej Radzie i rządowi ukraińskiemu. Wieś ogłosiła się bolszewicką, w znacznym stopniu odmówiła udziału w wyborach do ukraińskiego zgromadzenia ustawodawczego i zaczęła łamać wszelkie zarządzenia władz ukraińskich, prawdę mówiąc, przy zupełnej obojętności miejscowych władz.

Od świąt Bożego Narodzenia „bolszewicy” z Bilousiwki rozbili gorzelnię w Ładyżynie, rozgrabili składy wina w tłoczni pewnego obywatela w sąsiedniej wsi Wasyliwce, a potem w pijanym widzie wzięli się za swoich „panów”, czyli pracowników hrabiego Sobańskiego, których Powiatowy Komitet Ziemi zobowiązał do pozostania na miejscu i zarządzania niegdyś pańskim, a obecnie ludowym dobrem.

Zaczęło się od leśniczówki; w nocy 7 stycznia banda złożona z miejscowych żołnierzy siłą wyrzuciła na dwór, na mróz, kulturalną, niczemu nie winną rodzinę leśniczego i natychmiast rozgrała całą jej własność prywatną – meble, żywność i inne rzeczy, a potem zerwała i rozniosła do chat deski, blachę, okna i drzwi ze wszystkich zabudowań. Tęgo dzikiego występku nikt nie powstrzymał i dalej wszystko poszło w tymże duchu. Wyrzuconych na ulicę ludzi przyjął z miłosierdzia miejscowy kapłan, ale zabroniono mu tego, grożąc takim samym zniszczeniem.

Kiedy rodzina leśniczego wyjechała, a wielu spośród grabieżców jej własności nic się nie dostało, tłuszczą poszła i rozwalila folwarczną

kancelarię, zmusiła do wyjazdu ze wsi kasjera, przedtem ograbiwszy go, i zabrała się za ekonomę, którego obrabowano i doprowadzono do śmiertelnej choroby. Ludzkie okrucieństwo doszło do tego, że nie tylko nie dawali koni folwarcznych, by posłać po lekarza, ale i lekarza nie dopuszczali do chorego, zaś chorobę ekonomę wykorzystali, aby rozdzielić między siebie i sprzedać (żeby nie było śladów) folwarczne konie, woły i wozy. Wszystkie narzędzia rolnicze – żniwiarki, siewniki, pługi, młockarnię – połamali i zdruzgotali. Wyrąbali drzewa, obalili ogrodzenie, nie dali spokojnie umrzeć ekonomowi, a kiedy przyszła śmierć i nieboszczyk leżał gotowy do pochowania, wokół rozgrywała się dzika, odrażająca orgia szydzenia z pamięci zmarłego i terroryzowania wdowy po nim i sierot. [...] Wdowa wywozła ciało do sąsiedniej miejscowości, Ładyżyna, a dzika tłuszczą wzięła się wówczas za bezwzględne rozgrabianie budynków folwarcznych. Z licznych dworów, spiżarni, oficyn, stajen, chlewów, obór, piwniczek została tylko kupa gliny – zabrali całe drewno, żelazo, dachówki, deski, krokwie, rozebrali piwnice, teraz biorą się za mury otaczające folwark, żeby zburzyć wszystko, „żeby nic nie zostało”, a tymczasem przydałyby się we wsi budynki dla szkoły, dla kooperatywy, dla czytelni. [...] Rozgrabili też całą słomę, rozdrapali całe ziarno przeznaczone na siewy i wszystko, wraz z blachą i drewnem, sprzedali za gorzałkę w miasteczku Ładyżyn.

Ta dewastacja trwa już tydzień i z tego powodu nie ma nawet nauki w szkołach: dzieci pomagają rodzicom w rujnowaniu. Na tym się jednak nie skończy, bo otumanieni żądzą łupów już kazali wynosić się ze wsi miejscowym Żydom i teraz każdy z nich, spakowany, czeka w gotowości, aby uciec, gdy przyjdzie jego kolej. W takiej samej sytuacji jest gromadzki sklep, który uznany został za niepotrzebny. Młyn i drewniana kaplica na cmentarzu, szkoła i cerkiew z zabudowaniami też skazane są na zburzenie, bo „takie wyszło zarządzenie bolszewickie”, bo „tu nie Ukraina, a królestwo bolszewików”. A cerkiew, powtarzam, ozdobiona jest cennymi wytworami naszej sztuki narodowej i nie można do tego dopuścić.

Można sobie wyobrazić, jak się tu czują świadkami ukraińscy obywatele, Żydzi i czeladź dworska, którzy pozostali bez kawałka chleba i dachu nad

* Proswita – ukraińska społeczna organizacja oświatowa, założona w 1868 roku we Lwowie, w roku 1905 rozszerzyła swoją działalność na Ukrainę Naddnieprzańską; działała na rzecz rozwoju świadomości narodowej Ukraińców.

głową. Smętna i dzika pustka spowija wieś, gdzie nastalo panowanie pijanych żołdaków. Dodać trzeba, że dokoła wyrąbano lasy, zmieciono zasiewy folwarczne [...]; w ogóle żołnierze mają mnóstwo broni, którą zamykają usta świadomemu elementowi.

Ci nieszczęśni sterroryzowani ludzie potrzebują natychmiastowej i zdecydowanej pomocy, o którą mam śmiałość, honor i obowiązek prosić Jaśnie Centralny Rząd. [...] Trzeba ratować jeszcze całe – młyn, szkoły i cerkiew.

Powtarzam, że miejscowa władza przejawia zupełną niedbałość, choć była (w osobie Komisarza Powiatowego) o wszystkim powiadamiana.

KIJÓW, 19 STYCZNIA 1918

(CDAVOVU, z. 1390, inw. 1, t. 45, k. 158–159a)

*Oba dokumenty przełożyli z ukraińskiego
Jerzy Lubach i Bohdan Hud'*

Stanisław Horwatt, przewodniczący Stronnictwa Pracy Narodowej na Rusi, powstałego po rewolucji lutowej i zrzeszającego polskich ziemian na prawobrzeżnej Ukrainie, w liście do prezesa Koła Polskiego w Wiedniu

Jako prezes Rady Ziemian i dawniejszy poseł do Dumy Państwowej i Rosyjskiej Rady Państwa, pozwalam sobie zwrócić się do Pana Prezesa w imieniu całego polskiego ziemiaństwa na Rusi z gorącą prośbą o ratunek. O ile nie będziemy mieli natychmiastowej i bardzo energicznej obrony w Wiedniu i Berlinie, w takim razie sprawa polska na Ukrainie będzie w zupełności zlikwidowana i kultura polska na Rusi przejdzie do historycznych wspomnień. Nie zostanie z nas tutaj ani śladu, chyba jakieś rozbitki bez znaczenia ani politycznego, ani ekonomicznego; nie będę mówił o tym, że w ten sposób raz na zawsze tracimy teren ekspansji tak potrzebnej dla Królestwa Polskiego, czym się naszej sprawie narodowej wielką wyrządzi krzywdę. Jeszcze gorzej rzecz się ma z całym dorobkiem narodowym, który się nam podstępnie z rąk wydziera.

Strona faktyczna zapewne dokładnie Panu jest znana. Ukraińska Rada Centralna, ten organ niewybrany przez nikogo, ta mała grupka ludzi niemających najmniejszego doświadczenia w zarządzie państwowym, należących wyłącznie do partii socjalistycznych i hołdujących swym utopijnym hasłom, dlatego, by się utrzymać przy iluzji władzy, gdyż jej faktycznie nigdy nie posiadała, musiała schlebiać wszystkim najgorszym instynktom

tłumów, szczególnie włościan, i dlatego z konieczności musiała przejść na drogę najfatalniejszej demagogii i przelicytowania się z bolszewikami w nieziszczalnych obietnicach. Akcję zaczęto bardzo wcześnie, jeszcze w lipcu [1917], przeprowadzając w kraju szaloną agitację wzięcia trzeciego snopa za same żniwa i podniesienia ceny robocizny do bajecznej wysokości. Ogromne ceny zboża uratowały jednak ziemiaństwo.

W listopadzie ogłoszono solennym Uniwersałem (trzecim) samodzielność państwową Ukrainy w federacji z pozostałą Rosją, a dla zdobycia zwolenników jednocześnie konfiskowano całą prywatną własność ziemską (średnią i wielką) na rzecz „pracującego ludu”. W styczniu pojawił się nowy Uniwersał (czwarty), zwiastujący już zupełną niezależność i jednocześnie zupełną socjalizację ziemi wszelkiej, bo i drobnej włościańskiej, a w dwa tygodnie później uchwalono odpowiednie prawo.

Wobec tej stałej agitacji stosunki między dziedzicem a włościanami stale się zaostrzały. W październiku rozpoczęły się pojedyncze wypadki niszczenia sadyb i majątków obywatelskich, zazwyczaj rozpoczynane przez oddziały zdeorganizowanych wojsk i kończone przez miejscowych włościan. Następnie pod wpływem wymienionych Uniwersałów niszczycielska fala dochodzi do bajecznej potęgi. 85 procent dworów i folwarków zostało doszczętnie zniszczonych [...]. Pozostałe 15 procent czeka, by kolej na nie przysłała i, o ile nic nie przeszkodzi, ulegną temuż losowi. Lasy równocześnie uległy najenergiczniejszemu i wandalicznemu wycięciu. W lutym ten ruch niszczycielski nabral nowej formy. Dotąd zadawano się niszczeniem, od lutego dołączyło się znęcanie i rzeź. Mieliśmy cały szereg mordów, przy czym jedyną winą ofiary było to, że była posiadaczem ziemi. Całe ziemiaństwo, a w znacznym stopniu i administracja, musiało pośpiesznie uciekać do miast i miasteczek. Dzisiaj powrót do wsi jest połączony z niebezpieczeństwem [utrąty] życia.

Tę rolę złego ducha i agitatora musiała Rada Ukraińska odegrać dla pozbycia się konkurentów do władzy. Musiała obiecywać, schlebiać, by swój efemeryczny autorytet utrzymać. Gdy zaś nareszcie została ogłoszona niezależność, gdy Rada chciała przejść do rządzenia, do zaprowadzenia jakiego takiego porządku, wtedy się okazało w całej jaskrawości, że nikt Rady Ukraińskiej nie słucha, nikt o nią nie dba, i w dwa tygodnie, opuszczona przez wszystkich, musiała z Kijowa uciekać



↑ Ruiny pałacu w Strzyżawce koło Winnicy na Podolu (pałac należący do hr. Tadeusza Grocholskiego i Zofii z Zamoyskich został zniszczony przez bolszewików 18 stycznia 1918)

i błagać państwa opiekuńcze o ratunek. Dzisiejsza jej siła to bagno przyjaciela.

Obecna sytuacja ziemiaństwa jest wprost dramatyczna. [...] Kraj do niedawna kwitnący, też dzięki pracy polskiej, wysokiej wytwórczości – zrównany z ziemią. Sami mieszkamy w miastach, ratując się od głodu okruciami gotówki, które nam pozostały. Wyczekiwaliśmy przyjscia nowych władz z upragnieniem. Wydawało się, że przyniosą ze sobą ład, porządek, prawo. Tegoż się spodziewali i włościanie. Częściowo zaczęto odnosić rozgrabione ruchomości.

Jakież było zdziwienie włościan i przerażenie ziemiaństwa, gdy oczekiwania zawiodły. Władze niemieckie i austriackie odpowiadają jedno: „jesteśmy przyjaciółmi rządu ukraińskiego, przyszliśmy go obronić przed bolszewikami, nie mieszamy się do spraw wewnętrznych”. Toteż Rada Ukraińska rozsyła na wszystkie boki cyrkularz, że ziemia pozostaje darmo przy włościanach. Chwilowy spokój, który był zapanował na wsi wskutek obawy słusznej kary, został rozwiany. Nowa fala zniszczenia się podnosi i здаwać by się mogło, że wojska państw cywilizowanych przyszły do Ukrainy na to tylko, by gwarantować włościanom prawo

do rzezi ziemiaństwa i niszczenia jego dobytku. Zastę, prawdziwie cywilizacyjna robota.

Jakiż cel tej taktyki? Tłumaczono nam niejednokrotnie, gdyśmy się do władz nowych zwracali, że są za słabe, by porządek przywrócić, i mają właściwie cel jeden – aprowizację. Żłudne przypuszczenie. W dzisiejszych warunkach na wsi nie dało się przeprowadzić wiosennego posiewu, a i wątpliwe, by dało się utrzymać w całości posiew zrobiony jesienią; najprawdopodobniej ulegnie on zniszczeniu i wydeptaniu. Głęboko wierzymy, że tylko specjalne polityczne względy mogą skutecznie cios ten w nas wymierzony odwrócić. Toteż do Szanownego Pana, jako Prezesa Polskiego Koła w Wiedniu się zwracamy, jako do naturalnego rzecznika naszych interesów. Jeżeli się Koło za nami nie ujmie, to rola nasza tutaj skończona. W Panach nasza nadzieja!

Chodziłoby przede wszystkim o skasowanie Uniwersałów trzeciego i czwartego oraz prawa rolnego z 18 stycznia 1918 jako aktów prawnych i możliwość powrotu na wieś, dla czego są konieczne: rozbrojenie włościan, wznowienie działalności sądów, zaprowadzenie ładu i porządku.

Przedstawiciele władz wojskowych austriacy i niemieccy zazwyczaj wyrażają obawę, by taka

polityka nie spowodowała oporu włościan, dochodzącego do wystąpień zbrojnych i że na to potrzeba znacznych sił, których nie posiadają. Znając doskonale tutejsze włościanstwo jesteśmy pewni, że doprowadzenie do porządku w kraju da się bardzo łatwo przeprowadzić. Znaczna część, bodaj czy nie trzy czwarte włościanstwa, jest w jednakowym z nami stopniu zmęczona obecną anarchią, która im również wyrządza krzywdy, w dodatku nie godzi się wcale z socjalizacją ziemi, jest jednak sterroryzowana przez elementy anarchistyczne i zbrodnicze. Zaprowadzenie porządku spotka u nich zupełne uznanie. Co się tyczy sił zbrojnych, to obrachunki władz wojskowych są bardzo przesadzone. Znając psychologię tutejszego ludu, jesteśmy pewni, że 50 tysięcy dyscyplinowanego wojska przy planowości zarządzeń potrafi ład ten w naszych trzech guberniach (Kijowska, Podolska, Wołyńska) zaprowadzić.

To niewyjaśnione stanowisko władz niemieckich i austriackich, gdyż nikt w gruncie rzeczy nie wierzy w ogłoszoną konfiskatę własności prywatnej ziemi, wywołuje w kraju duży niepokój, setki plotek i przewidywań, słowem rodzi grunt ekonomicznie szkodliwy i niezdrowy. Jednocześnie ta sytuacja spowodowała zupełne zamarcie życia ekonomicznego. Banki prawie nie pracują, fabryki są beczynne lub w wilię przerwania roboty, kredyt zupełnie zamarł, gdyż nikt nie wie, co go jutro czeka. Kryzys pieniężny doszedł do takiego napięcia, że wydają z rachunków bieżących tygodniowo za ledwie 55 rubli, chociażby klient posiadał krocie. Liczba pozbawionych pracy rośnie z przerażającą szybkością, rozpoczął się głód – nie z braku produktów, ale z braku środków do ich nabycia. Jesteśmy w wilię zupełnej katastrofy. [...]

KIJÓW, 31 MARCA 1918 (CDIA, z. 717, inw. 1, t. 51, k. 14–15a)

Memoriał w sprawie rolnej Stronnictwa Pracy Narodowej na Rusi przygotowany dla Rady Regencyjnej

Polski stan posiadania w guberniach Kijowskiej, Wołyńskiej, Podolskiej, a także częściowo w Czernihowskiej i Besarabii, opiera się głównie na własności ziemskiej, z nią przemysłem stanowiąc od 40 do 60 procent obszaru wielkiej własności. Drobna własność włościan Polaków jest rozrzucana pomiędzy wsiami ruskimi i jeżeli ona zachowała dotychczas swą wiarę, język i odrębność narodową, to zawdzięcza to wpływowi ośrodków polskich, jakimi są dwory.

Ludności polskiej jest około 2 milionów [faktycznie ok. 1 mln – B.H.], na którą się składa, prócz posiadaczy ziemi, ogromna, bo 400 tysięcy ludzi wynosząca armia pracowników i urzędników zatrudnionych w gospodarstwach. W miastach ludność polska zajęta jest profesjami wolnymi, po części handlem oraz robotą w fabrykach i warsztatach.

Ogromna urodzajność gleby, liczne fabryki cukru oraz cenne lasy stanowią tak kolosalne bogactwa, dają dobrobyt tylu Polakom, że dla biednej Polski rdzennej Ruś jest tym, czym Indie wschodnie są dla Anglii. Polska etnograficzna, w granicach Królestwa Kongresowego zawarta, bez Rusi i Białorusi, stałaby się rachitycznym państwem, skazanym na anemiczną egzystencję, gdyż dopływ do niej pieniędzy wraz z handlem Polaków tu zamieszkałych z Królestwa by ustał.

Polacy z Kresów najchętniej w kraju macierzystym zaspokajają swe liczne potrzeby, a firmy warszawskie mają tu wszędzie swych reprezentantów oraz filiale, składy, magazyny i warsztaty.

Gdyby obywatel ziemski zniknął, z nim razem musieliby zniknąć oficjaliści rolni i fabryczni na wsi, a w miastach ci wszyscy Polacy i firmy, których wieś w klienturę zaopatrywała.

Rosjanie i Ukraińcy jednakowo obsadzają majątki swymi rodakami, a Polacy musieliby z Rusi emigrować do Polski lub za granicę, powiększając konkurencyjną podaż pracy w Królestwie lub zwiększając zastępy jej pozbawionych, albo też zmniejszając liczebność ludności polskiej, która w małym tylko odsetku do Kraju powraca, przeważnie dlań ginąc.

Przez dziesięcioletnie działanie prawa 10 grudnia 1864 własność ziemska polska skurczyła się znacznie, gdyż tam, gdzie dozwolony był tylko rozchód, a przychód celowo był wzbroniony, inaczej być nie mogło.

Jednak energia i umiejętna praca na roli właścicieli ziemskich potrafiły stworzyć tak mocne gospodarstwa, tak je uprzemysłowić i tak zorganizować, że stanęły one na bardzo wysokim poziomie techniki, a tym samym stały się placówkami odpornymi; własność polska dalej nie topniała, a tylko rosła w potęgę i znaczenie.

Ostatnie lata zmniejszonego ucisku ze strony władz rosyjskich dały możliwość zajęcia się kulturalnym rozwojem i narodowym uświadomieniem mas włościańskich, a polskość na Kresach naszych rokowała duży rozwój i piękną przyszłość.

Wojna Europejska, która ogniem i mieczem zniszczyła Królestwo, zalewając Kresy falą wygnañców, zaoszczędziła Ruś, a zasobny ten kraj dał przytułek i pracę wielu z nich. Czego jednak nie dokonała wojna, to jeszcze w szerszym zakresie i bardziej bezwzględnie potrafiła uczynić rosyjska rewolucja.

Rewolucja ta była i jest taka, jaka tylko być mogła, to jest demagogiczna i socjalistyczna. A polityczne masy ciemnego chłopstwa mogły być poruszone tylko takimi hasłami, które dogadzały instynktom zwierzęcym i zbójcekim.

[...] Z kwitnącego do niedawna kraju pozostały zgłiszcza, domy bez drzwi i okien, gospodarstwa bez narzędzi, zapasów inwentarzy, a podwaliny nowego ustroju, przez niszczenie dawnej kultury i wyrzucenie na bruk zarówno właścicieli, jak i pracowników – zostały założone. Z rzadka – gdzieś stoi jakiś folwark, a rządzi w nim Komitetowy Komisarz, o gospodarstwie niemający pojęcia, ale za to zasłużony rewolucji. Gdy bolszewickie wojska wypędziły wojska ukraińskie, one dograbiły i doniszczyły, czego tamci jeszcze nie zdążyli.

Rządy bolszewickie ogłosiły socjalizację domów, kapitałów i fabryk, a rozstrzelawszy około 6 tysięcy ludzi w samym Kijowie, zabrawszy 40 milionów z Banku Państwa, ściągawszy 10 milionów kontrybucji z miasta, zrabowawszy mnóstwo magazynów i mieszkań prywatnych, po trzech tygodniach panowania w zbombardowanym przez nich mieście stolicę Ukrainy opuścili.

Wkraczające z powrotem wojska ukraińskie i niemieckie powstrzymały wprawdzie sądy doraźne i grabieże, mieszkańcy widzieli życie swe uratowane, ale stosunki ekonomiczne się nie zmieniły. Dwory rabują i niszczą dalej chłopów i żołnierzy, banki pieniędzy nie wydają – gdyż ich nie mają, głód zabiera liczne ofiary, a panowie ministrowie raz jeszcze potwierdzili, że wszelkie socjalistyczne reformy, w Uniwersałach zapowiedziane, będą ściśle wykonane.

Czas siewu wiosennego już nastaje, ale właściciele do majątków wracać nie mogą, gdyż życie by narazili, a bez narzędzi, nasion, siły pociągowej i pieniędzy nie mogliby gospodarzyć.

Sądziło, że przyjsię Niemców zapowiada powrót do normalnych stosunków i że będzie silną ręką, która rozhukane włościństwo do karności i porządku przywróci. Jednak ta nadzieja zawiodła, gdyż Niemcy weszli, jako sojusznicy, li tylko dla wypędzenia bolszewików, a – wedle ich słów – byli

zupełnie błędnie poinformowani o stanie kraju. Liczyli oni na obiecane im przez Rząd Ukraiński 30 tysięcy wagonów zboża, mięsa itd. do 15 kwietnia br., mających im być dostarczonych. Tymczasem chłopów nie myślą dawać cokolwiek ze swoich i nagrabionych zapasów, stawiając silny opór zbrojnym oddziałom niemieckim. Trzeba więc brać szturm, a np. w Sieniawie bój trwał trzy doby, podczas których chłopów zbrojni w karabiny, kulomioty i jazdę spoza okopów formalną bitwę staczali.

Cała Ukraina jest uzbrojona i nim się ją rozbroi, trudno liczyć na posłuszeństwo władzom; te zaś solidaryzują się z chłopami w swej socjalistycznej polityce.

Ministerium rolnictwa zwołało naradę z ziemian, cukrowników, kupców i finansistów, a gdy wszyscy jednogłośnie wypowiedzieli zdanie, że w tych warunkach ani kapitał, ani ludzie pracować nie mogą i nie będą, że tylko skasowanie Uniwersałów i przywrócenie prawa własności oraz zaprowadzenie porządku prawnego przez silną władzę da tę możliwość – minister Tkaczenko powiedział, że ani na jotę Uniwersałów nie zmieni, reformy zapowiedziane przeprowadzi i niezadowolony, bez pożegnania salę obrad opuścił.

A więc stan polskiego posiadania przestał istnieć: obywatele ziemscy stracili całe swoje mienie i pracę wielu pokoleń, wszyscy zaś pracownicy pozostali bez dachu i zarobku, przemysł zamarł, handel ustał. Chłop polski został bez kierownictwa i pomocy. Kto dziś możełożyć na szkoły i inne instytucje, gdy ci, co dawali pieniądze, dziś sami często pomocy doraźnej potrzebują.

[...] Chełmszczyzna jest zagrożona, lecz ona stanowi drugą linię obronną, my zaś na Kresach Rusi i Białorusi silną pierwszą linię. Stracenie tej pozycji odkrywa drogę do twierdzy samej; tracimy również liczną i zahartowaną armię.

Na to zezwolić nie możemy!

Szukać wyjścia z tej sytuacji jest naszym świętym obowiązkiem, a przepomnieć nie możemy, że i cała Białorus w takich samych warunkach się znalazła. Pragniemy przyłączenia do Polski dwóch innych zaborów, ale tam przynajmniej stan posiadania naszego nie jest zagrożony. Tam żyjemy i żyć będziemy, a tylko żyjący mogą liczyć na lepszą przyszłość. Na Rusi i Białorusi ginie i życie narodowe tracimy, a z nim bezpowrotnie i wszelkie nadzieje na przyszłość.

Dziś te Kresy nasze są w ręku okupantów niemieckich i tylko państwa centralne mają możliwość



nas uratować, jeżeli zdołamy ich interesy skoordynować z naszymi i drogą układów pomoc ich uzyskać. Obrona egzystencji naszej nakazuje iść na to porozumienie, by nie tracić dla Polski tych ogromnych obszarów, dających możliwość w przyszłości, ekspansji i wpływów polskich ku stworzeniu potęgi państwa.

Z ufnością przeto idziemy do Najdostojniejszej Rady Regencyjnej z prośbą, by nas obroniła i uratowała, wierząc, że Najwyższa Władza nasza potrafi wynaleźć drogę ratunku dla tej ziemi i obywateli, którzy są i pozostaną zawsze wiernymi synami Polski.

(CDIA, z. 717, inw. 1, t. 51, k. 46–48)

List Stanisława Horwatta oraz memoriał Stronictwa Pracy Narodowej miały być w 1918 roku przekazane do Wiednia prezesowi Koła Polskiego w parlamencie austro-węgierskim, baronowi Janowi Götz-Okocimskiemu, prawdopodobnie za pośrednictwem któregoś z „ukraińskich” Polaków. Dotarły tylko do Lwowa. Treść listu była znana przywódcom Ukraińskiej Centralnej Rady. Prezes Rady Mychajło Hruszewski na łamach prasy ukraińskiej zarzucał ziemiaństwu polskiemu z Prawobrzeża, że zachęcało rządy niemiecki oraz austriacki do okupacji Kijowszczyzny, Wołynia

i Podola. Jednak na mocy Brzeskiego Traktatu Pokojowego URL nie tylko zachowała władzę nad Kijowszczyzną, Wołyniem i Podolem, ale rozszerzyła ją na Chełmszczyznę.

Po wkroczeniu na teren Prawobrzeżnej Ukrainy wojsk austro-niemieckich, jedynie nielicznym właścicielom polskim udało się wrócić do swoich majątków lub uzyskać zwrot zrabowanego mienia. Jesienią 1918 roku, po upadku rządów popieranego przez Niemcy hetmana Pawła Skoropadskiego – wraz z początkiem nowej fali anarchii i wojny domowej na Ukrainie – większość polskich właścicieli ziemskich ratowała się ucieczką do Rzeczypospolitej.

WYBRAŁ I PODAŁ DO DRUKU

Bohdan Hud'

ur. 1956, dr hab., politolog, dyrektor Instytutu Integracji Europejskiej Lwowskiego Uniwersytetu Narodowego im. Iwana Franki; zajmuje się stosunkami ukraińsko-polskimi w XIX i XX wieku. Autor książek, m.in.: *Ciężka droga do porozumienia* (o sojuszu Piłsudski–Petlura), Lwów 1997, *Ukraińcy–Polacy: kto winien?*, Lwów 2000, oraz scenariuszy filmów dokumentalnych *Trudne braterstwo*, *Braterstwo broni w służbie pokoju*.

Materiał pochodzi z „Karty” nr 41/2004.

Egzekucja



Pałac w Sławucie przed 1917 rokiem



FOT. ZE ZBIORÓW JANUSZA PRZEWŁOCKIEGO

Ewa Rzyszczewska

Sławuta, położona nad rzeką Horyń na Wołyniu, weszła w posiadanie rodu Sanguszków w XVII wieku. Miejscowość słynęła na całym świecie z hodowli koni arabskich, była również dużym ośrodkiem przemysłowym (mieściła się tam fabryka sukna, narzędzi rolniczych, świec woskowych, papiernia, odlewnia żelaza). W pałacu sławuckim znajdowała się biblioteka licząca kilkanaście tysięcy woluminów, archiwum z dokumentami od XIII wieku i zbiór dzieł sztuki (m.in. obrazów, porcelany, tkanin, broni).

Ewa Rzyszczewska, bratanica i przybrana córka księcia Romana Sanguszki – właściciela Sławuty, w książce *Mord sławucki w oświeceniu naocznego świadka* (Lwów 1918) opisała wydarzenia, jakie miały tam miejsce 1 listopada 1917.

Unikalny egzemplarz publikacji, z poprawkami naniesionymi odręcznie przez autorkę, udostępnił nam Janusz Przewłocki. (RED.)

Już od kilku miesięcy załogował w Sławucie [zbolszewizowany] pułk piechoty nr 264. Zwano go „zapasowym”, a składał się z najgorszych wyrzutków społeczeństwa, przeważnie z katorżników, uwolnionych z syberyjskich kopalni. Dopuszczali się oni rozmaitych swawoli i bezprawia. [...] Banda ta grabiła folwarki z zapasów ziarna, pod formą rekwizycji dla koni, napadała leśników i gospodarzy folwarków, podburzając przeciw nim służbę niższą. [...]

Książę [Sanguszko] zwrócił się do władz wojskowych o pomoc (sztab gen. Brusilowa stał w Równem o kilka godzin koleją od Sławuty). Szły już bowiem coraz częściej słuchy, iż żołdactwo krąży dokoła pałacu, patrząc nań z zawiścią i wyrzucając księciu zajmowanie tak rozległego gmachu, podczas gdy oni, „towarzysze”, mieszczą się po chatkach i szopach. [...]

We wrześniu przysłano do Sławuty sotnię kozaków z trzema oficerami. [...] Jednak obecność tej sotni, prywatnej jakoby *ochrony* księcia, jeszcze bardziej rozjuszyła ów pułk zdziczały. Piechury poczęły spoglądać na dońców wyzywająco, ci znowu na nich z pogardą, pełniąc zresztą wiernie swój nowy obowiązek. Czynn timer wszakże przeciw szkodnikom nie wystąpił żaden. „Nahajka nasza – odzywał się jeden i drugi – poskromiłaby niezawodnie złodziei-żołnierzy i chłopów, wszakże rozważniej jest powstrzymać się od surowych środków, nie podburzać ich. My sobie zawsze damy radę, ale po naszym odejściu wy tu zostaniecie z nimi sami...”

Po upływie miesiąca otrzymała opiekuńcza sotnia powołanie na front północny. Wówczas prosił książę, aby ją zostawiono w Sławucie lub też dano inną. Daremnie. Rozeszły się natomiast pogłoski o przybyciu dragonów. I rzeczywiście zjechali, ale z nich dostał się nam tylko *zwod*, to jest 25 ludzi.

Dragonami naszymi komenderował stary rotmistrz. Nieorientowany, porywczy, działał wprost przeciwnie jak ostrożni dońcy. Księżciu podobała się zrazu energia rotmistrza, zwłaszcza iż kierował ją ku obronie lasów, ukróceniu tam ciągłych grabieży, odbieraniu kradzionego drewna. Pędzeni chłopci i piechota nazywali dragonów „wojskiem sanguszkowskim”, nie szczędząc im, a i mnie także, gdy konno przejeżdżałam, pospolitych wyzwick.

Już przedtem zaczęły się „rewizje” w pałacu: pierwsza przed nadejściem kozaków, druga za

ich bytności, teraz trzecia. [...] Wśród piekielnych wrzasków przewracano dom do góry nogami, otwierając drzwi na klucz zamknięte, wszystkie szafy i szuflady. Na zapytanie, czego szukają, odzywała się stereotypowa odpowiedź: „dezertków, broni, amunicji i zapasów żywności”, które rzekomo kryjemy dla Niemców.

*

1 listopada wyjechałam konno w towarzystwie rotmistrza i trzech stajennych ludzi. W przeddzień bowiem uwiadomiono nas, iż w gaju dubienieckim, w pobliżu folwarku, wjechało w las dwieście fur chłopskich i że rabusie ścinają drzewa. [...]

Przy lesie zauważyłam dość znaczny oddział uzbrojonych żołnierzy. Szli ku nam, a więc na Sławutę. [...] Ujrawszy nas, rozstawili się momentalnie gęstym łańcuchem, w poprzek ulicy, jakby zamierzali zamknąć nam drogę. Wtem stojący przed piechotą oficer, zajęty żywą rozmową z żołnierzami, podbiega ku rotmistrzowi, łapie jego konia za cugle i błady, przerażony rzuca te słowa: „*Gospodin rotmistr!* Wasi dragoni zarabali dziś rano żołnierza w lesie nad Dubienką. Uciekajcie co tchu, bo oni idą pomścić na was śmierć towarzysza”.

Rzecz jasna – zawracamy, do pośpiechu zaś nagle jeszcze puszczone za nami karabinowe strzały. Czulałam prąd powietrza od kul koło głowy, schylona pod łopatki konia, by mógł cwałować przedem. A tu przestrzeń na pół wiorsty zupełnie otwarta, stanowimy dla salwy cel dogodny! Ścięła nas też ona aż do muru, otaczającego park pałacowy, gdzie nareszcie mogliśmy się schronić pod kościołem i na podwórzu stajennym. [...] Rotmistrz od razu wpadł do pałacu, troszcząc się wyłącznie o własne bezpieczeństwo. [...]

Skierowałam się ku stajni, aby oddać spienionego konia. Obeszłam maneż na zewnątrz, chcąc się dostać do pałacu. Przyciszony na chwilę hałas buchnął nagle ze zdwojoną siłą. Jak spod ziemi wyrastali zbrojni żołnierze, dążący ku domowi. Przecięli mi drogę. Myślałam, iż należy przecze-kać moment i tymczasem schronić się do stajni. Lecz już nowe zastępy wlały się bramą na stajenne podwórze. Wygląd ich dziki. Otaczają mnie kołem i słyszę ochryply głos: „*Wot ona!*” [Oto i ona!]. Jeden z nich zmierzył do mnie i chciał wypalić, ale widocznie nie umiał sobie poradzić z karabinem. Podskoczyło bliżej kilku. Żądają, żeby im natychmiast wydać dragonów!

Nie wiem, doprawdy, jakim sposobem zdołałam umknąć tej zgrai i wpaść do mieszkania stangeta, tuż przy bramie od ulicy. [...] Wewnątrz nikogo, uciekli wszyscy.

[...] Do izby dolatywało nieustannie echo strzałów. Bez wątpienia spod pałacu... Każdy strzał targał moim sercem, niepokój odbierał mi przytomność. Co począć? [...] Uplywały długie, pełne udręczeń godziny. Minęło ich pięć. [...] Ucichły trochę wrzaski, nie słyhać strzałów. [...] Ktoś puka – nasz człowiek. Wprost druzgoce mnie swoją opowieścią! Oto rozbestwieni dali kilka salw do pałacu, wszertz i wzdłuż parku, chcąc odstraszyć tych, którzy by chcieli przyjść z pomocą. Byli już i wewnątrz, rabując rzeczy, wyrzucając je bezładnie, łamiąc i tłukąc wszystko. „A księżę?” – pytam w rozpaczy. O księciu nie wiedział nic.

Po chwili przekradł się ktoś drugi i trzeci. Uradzono, abym przebrała się w znajdujące się w mieszkaniu proste suknie. Miało mi grozić szczególne niebezpieczeństwo, tym bardziej iż rozpuszczono pogłoskę, według której jakaś kobieta strzelała z rewolweru z okien pałacowych, a tą osobą w ich rozumieniu nie mógł być nikt inny, tylko ja.

[...] Ściemniło się całkiem. Chciałam się stąd jak najprędzej wyrwać. [...] W przebraniu poszłam na plebanię. Podobno byłam tak zmieniona, iż nie poznał mnie ksiądz proboszcz. Wszelako radził, aby nie zostawać u niego dłużej, żołnierze wciąż tropią, nie tają zamiaru wymordowania całej rodziny. [...]

Przebyłam już podwórze fabryczne, gdy przy bramie zatrzymał mnie tłum rozprawiających groźnie żołnierzy. Ani mowy o przedarciu się tędy. Wypadło więc wrócić się i zejść do domu magazyniera składu zboża, Morawskiego. Tam mieściła się część personelu szpitala wojskowego, od nich dowiedziałam się, iż przed pół godziną rodzeństwo moje wyruszyło do Ostroga, wybawione z pałacu przez jakiegoś żołnierza Polaka. [...]

Czułam, iż jestem dla wszystkich prawdziwym ambarasem. Jedna z siostr szpitalnych, Polka, przebrała mnie spieszenie w swój kostium, nie poskapiła paszportu, pieniędzy. O godzinie dziesiątej, nie wiedząc, jak wybrnąć, postanowiono zamknąć mnie w ciemnym pokoju.

W tym czasie rozpoczął się pożar pałacu. Jakiegoż trzeba pióra, by odmalować ów dantejski obraz. Grozę widoku powiększył jeszcze

bieg naszych arabów po Sławucie. Rozpuszczone przez żoldactwo, rżące, wylękle, pędziły obłądnie dokoła. Żoldacy zamierzali podpalić również stajnie, lecz nie zdążyli wobec przybycia dragonów z Ostroga.

O godzinie drugiej w nocy z 1 na 2 listopada oficer z tego pułku, po ludzku do nas usposobiony, zdążył zatrzymać parę koni zaprzężonych na ulicy, odebrał je od żołnierzy wiozących nimi grabież i przyprowadził do szpitala. Tu dano mi telegę [wóz], siedli ze mną siostra Polka i oficer, powoził żołnierz szpitalny.

Drogę przez Sławutę oświetlał jakby nerownowski, rozdzierający serce pożar domu... Tyle lat tutaj przebytych i tak szczęśliwych, teraz zaś wszystko obrócone w perzynę! Były chwile, kiedy zamykałam oczy, niezdolna patrzeć na niszczycielską pracę płomieni, kiedy mieszało mi się wszystko w głowie. Uszu moich dochodziły jakieś huki, jęki czy skowyty. A podniósłszy powieki, znowu widziałam słupy iskier, wstęgi ognia, kłęby dymu, opętańczą bieganinę morderców i złodziei, grabione wielkie, historyczne dziedzictwo...

[...] Oficer i siostra odprowadzili mnie do garbarni, skąd już pojechałam sama, dobijając się do Ostroga o godzinie szóstej rano. Brat mój z siostrą przebywał w szpitalu. Biedny, strasznie wyglądający, cierpiał bardzo, siostra miała twarz szkłem okaleczoną. [...] Z ust rodzeństwa dowiedziałam się szczegółów katastrofy.

Brat mój właśnie przyszedł ze stajni, siostra była w domu. Nagle wzmogła się wrzawa żołnierzy, gromadzących się już przed wjazdem pałacowym. [...] zażądali wydania rotmistrza dragonów, który ukrył się w pałacu. Leon odpowiedział: „Nie ma go tutaj”, a gdy mu zagrożono bagnietami, odtrącił je od siebie. Stąd wielka obraza! Ponieważ dyskusja z tą czernią nie dawała rezultatu, weszło więc rodzeństwo do pałacu, Femcia zaś zatrzasnęła szklane, okratowane drzwi schodowe. Zaalarmowany tym księżę również zszedł na dół.

Moment po zatrzaśnięciu drzwi żoldactwo dało salwę przez szyby. Wtedy Leon otrzymał ranę w ramię, Femcia została skaleczona odłamkami szyb, trzaskających od kul.

W tym groźnym położeniu Femcia co prędzej zaprowadziła księcia na górę, ociekający krwią Leon powlókł się za nimi. Wszyscy troje zamknęli się w pokoju księcia. Ze służby ukazał się służący Józef, a po nim kredencierz, lecz wkrótce znikli bez śladu. Strzelanina trwała. Księżę ukląkł

[z Leonem i Femcią] przy łóżku, pewny swojej i ich śmierci. Modlitwę przerwało pukanie. [...]

Był to Polak [generał Gawroński], który mieszkał u nas od kilku miesięcy z żoną, komenderując brygadą kolejową. Zajęty od rana, gdy dano mu znać o tym, co się dzieje w pałacu, zebrał naprędce pięćdziesięciu swoich ludzi i przybiegł na pomoc. Po drodze zaalarmował jeszcze komendanta pułku piechoty z oficyny i kilku oficerów. Kiedy im otwierano, za nimi wtargnęła do pokoju piechota, domagając się... rewizji i biorąc się do niej brutalnie.

Generał Gawroński wystąpił przeciw temu z energią. Złajał ich po rosyjsku, porozstawiał swoich po wszystkich pokojach, chcąc powstrzymać cisnące się zewsząd żołdactwo. Ale nadaremnie. „*Ubirajsia, a to ubjom*” [Wynoś się, bo zabijemy] – krzyknęli na generała. Kiedy zaś próbował interweniować ich komendant, za nim zaś oficerowie, rozległo się bezceremonialne: „*Wy nam zdies' nie mieszajtie, won!*” [Nie przeszkadzajcie nam tu, won!].

Oficerom opadły ręce – przepadł ich autorytet. Odeszli bez słowa. [...] Leon, wyczerpany, poszedł do siebie, na drugie piętro, by położyć się do łóżka. Tam już żołdactwo rabowało rzeczy. [...]

Wierni generałowi Gawrońskiemu ludzie, chcąc utrudnić napadającym wstęp do pokoi, zamykali je na klucz, ale wnet od uderzeń kolb pękały drzwi mahoniowe, trzask i triumfalne wycie bandy rozlegały się na wskroś pałacu.

[...]

Księżę z siostrą, zstąpiwszy na dół, przeszli do sali jadalnej, zimowej, ale i tu dochodziły ich już z kredensu głosy żołnierzy: „*Hdie Sanguszko... dawajtie nam Sanguszku!*”. Zwalwszy się przez schody z góry do jadalni, ujrzeni księcia. „*Wot on! My was ariestujem. Ruki wwierch!*” Uśmiechnął się tylko na to księżę. Był blady, wszakże spokojny. Podniósł ręce, ale jedna trochę mu opadła, zawołano znowu: „*Wwierch, a to ubjom*”. I zmierzli już do starca... Femcia krzyknęła, aby nie strzelali, w krzyku zaś jej tyle tkwiło siły, iż odjęli karabiny. Po obszukaniu obojga, czy nie mają przy sobie broni, powlekli księcia do przedpokoju.

Ogarniało go wielkie znużenie. Nic nie jadł od rana, a dochodziła już czwarta. Siadł więc na ławce, przy galerii schodowej i poprosił o wodę. Jeden z otaczających żołnierzy kazał mej siostrze przynieść ją skądkolwiek. [...] Upłynęło kilka minut, zanim Femcia w zniszczonym już kredensie

znalazła nareszcie szklanke. Lecz po powrocie... nie zastała księcia! [...]

Poleciała do brata. Tam w niepewności i moralnej męce upłynęła im dłuższa chwila. Przerwał ją szybkim wejściem oficer, ten sam, który mi później w nocy przyprowadził konie. Towarzyszył mu żołnierz, Polak, z orkiestry pułkowej. Obaj, bardzo zmieszani, ostrzegli rodzeństwo o niebezpieczeństwie zagrażającym ich życiu, radząc natychmiast opuścić pałac, gdyż żołnierze, zamordowawszy już księcia, rzucają się teraz niezawodnie na nich. [...]

Kiedy stali wciąż niemi i bezradni, żołnierz narzucił na Leona w bieliźnie burkę i ubrał go w pantofle, jedyne z pozostałych rzeczy, głowę nakrył mu swoją czapką.

Prowadzono ich ostrożnie górnym korytarzem, by nie natknąć się na rabusiów. Wyszli obok kredensu i krzakami, wzdłuż alei, która prowadzi do kościoła, przedostali się niepostrzeżenie aż pod szpital wojskowy. Żołnierz wprowadził ich do wnętrza, a sam pobiegł po konie do stajni. Któryś z furmanów zaprzągnął parę koni do bryczki [...]. Parę minut potem, wraz ze swym wybawcą, dążyło rodzeństwo ku Ostrogowi.

Cóż uczyniono z księciem? [...]

Siepaczów pod bronią miało być kilkuset. [...] Wśród naigrawań, obelg, przekleństw szedł księżę z lekko przyklonioną głową i odmawiając szeptem słowa przedzgonnej modlitwy. „Dajcie mi trochę czasu na przygotowanie, sprowadźcie księdza” – prosił. [...] Pochód był już przy uliczce prowadzącej do miasta. Znużony księżę oparł się o mur, zażądał znów wody. Wtedy to jakiś żołdak zadał pierwszy cios księciu, który pochylił się na ziemię, rzekłszy tylko: „Już dosyć!”. I pogrzyżł się znowu w modlitwie, nie przerywając jej pomimo dalszych uderzeń bagnetem i kolbą w piersi, w okolice serca i głowę. Bez krzyku odsuwał lub wyciągał bagnety z ciała, od czego pociął sobie ręce. Jedną z nich ostrze przebiło na wylot. [...] Z górą trzydziestu ran doliczono się później...

Znajdujący się w pobliżu nasi ludzie na widok tej kaźni zasłaniali sobie oczy, uciekając z przerażeniem.

I przestano się pastwić dopiero nad trupem. Okaleczale, zbroczone zwłoki niesiono teraz za poły od futra przez ulicę ponad stawem, do kostnicy św. Romana. Bliskość wody nasunęła sprawcom, czy by nie wrzucić tam zwłok dla zatarcia śladu zbrodni. Lub może polać je naftą i spalić



↑ 2 listopada 1917. Fotografia pośmiertna księcia Romana Sanguszki (1832–1917)

albo zakopać gdzie głęboko... Wybuchł pomiędzy nimi spór, zakończony wreszcie złożeniem ciała w trupiarni. Zamknęli ją na klucz, ustawili straż.

Tak od czwartku 1 listopada wieczorem do soboty po południu nikt nie śmiał zbliżyć się tutaj. Dopiero Janusz ks. Radziwiłł z Józefem hr. Potockim, przybywszy na hiobową wieś z Równego, wtargnęli na miejsce bez wahania. Ich ramionami dźwignięte do szpitala ciało umyto i ubrano w szpitalną bieliznę i cudze odzienie, gdyż własnej już zabrakło w ruinie Sławuty. Jej niszcyciele zaś nie zawahali się przed żadną profanacją. Prócz futra nie zostawili niczego, porywając czapkę, obuwie, pierścionek ślubny i sygnet, zegarek z łańcuchem, nawet medaliki na szyi zawieszane.

[...]

W nocy z czwartku na piątek nadeszła spóźniona pomoc z Ostroga. Wojsko to, w różnych przybyłych odstępach, składały: oddział konnej gwardii, dragoni, wreszcie z Równego kompania „batalionu śmierci” i dwie sotnie kozaków.

Siła ta w piątek rano otoczyła w części ów zbrodniczy pułk 264 na placu pocztowym, podczas gdy drugą część okolono gdzieś w polu.

Rozwinięto przy tym ogromny aparat: działa, opancerzone automobile. I kazano w ciągu dziesięciu minut wydać winowajców mordu.

Pułk 264 wystąpił gęsto z czerwonymi sztandarami. Na wezwanie odpowiedział – grobowym milczeniem. [...] Ujęto ponad osiemdziesięciu żołnierzy, uczestników grabieży. Po dwutygodniowych badaniach, protokołach, konfrontacjach – między innymi pociągnięto do przesłuchania mnie i moje rodzeństwo – sąd ukończył wreszcie śledztwo. Ze względu na zniesioną już karę śmierci i... pogróżki, według których reszta żołnierzy groziła pomstą za zbyt surowy wyrok, trzech czy czterech morderców skazano na parę lat ciężkich robót, innych uwolniono całkiem.

Prawdopodobnie i ci skazani [skazani] wykręca się od kary, któż bowiem w obecnych stosunkach wykonać ją zdolny?

—
Ewa Ryszczewska

Materiał pochodzi z „Karty” nr 41/2004.

Pogrom dworu



BOLESŁAW PODHORSKI (1896–1979) ochotnik w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 roku, współorganizator osadnictwa wojskowego i jeden z pierwszych osadników na Kresach Wschodnich; odznaczony orderem Virtuti Militari V klasy. W latach 1939–45 więziony w oflagu w Murnau, gdzie zaczął spisywać swoje wspomnienia, których fragment przedstawiamy. Od 1945 oficer II Korpusu Armii Polskiej, pozostał w Anglii, emigracyjny działacz społeczny. W 1958 roku wrócił do Polski. Tekst oraz zdjęcia tu zamieszczone udostępniła Maria z Podhorskich Reyowa.

↑ Bolesław Podhorski z rodzicami, Kazimierą i Józefem, i siostrą Heleną

Bolesław Podhorski

Urodziłem się 31 marca 1896 w Szlachowej – majątku moich rodziców. Szlachowa to moje pierwsze, jak tylko mogę sięgnąć pamięcią – ukochanie. To uczucie instynktownego wprost przywiązania i umiłowania swojej ziemi i wszystkiego, co z nią związane, było mi zaszczipiane przez rodziców i całą atmosferę mego otoczenia.

Pochodzę z kijowskiej linii książąt ruskich. Jeden z naszych pradziadów, książę Hrehory Podhorski, wraz z grupą książów i bojarów, uciekając z Moskwy przed kaźnią grożącą im ze strony Iwana Groźnego, panującego nad Księstwem Moskiewskim – przybyli do Polski w roku 1563. Nadanie króla Zygmunta Augusta głosi, że książowi Hrehoremu Podhorskiemu nadaje się dobra Cecyniowce na Wołyniu (obecnie powiat krzemieniecki) i zachowanie jego tytułu.

Spadkobiercy Hrehorego przenoszą się stopniowo na żyzniejsze i bogatsze ziemie Ukrainy, osiadając w powiatach: skwirskim, taraszczańskim, berdyczowskim i humańskim, tworząc zamożny i zwarty ród ziemiański. [...] Po rozbiorach Polski, rządy rosyjskie pozbawiły naszą rodzinę tytułu, wciągając do ksiąg stanu cywilnego jako *potomstwiennych dworian*, czyli szlachtę dziedziczną.

Cała rodzina Podhorskich przeszła przed paruset latami do Kościoła rzymskokatolickiego. Liczny udział w naszych powstaniach narodowych dostatecznie przypieczętował jej polskość.

[...]

Ojciec nie był rolnikiem z wykształcenia, lecz z urodzenia, zamiłowania i własnej praktyki. Nauki pobierał w Kijowie, gdzie ukończył gimnazjum rolne, a następnie studiował prawo na uniwersytecie.

[...] Szlachowa była majątkiem posagowym mojej matki. Leży ona na pograniczu, ale już na terenie dawnych naszych Dzikich Pól w powiecie elisawetgradzkim Ziemi Chersońskiej, w połowie wielkiego traktu stepowego, „czarnego szlaku tatarskiego”, łączącego Humań z Elisawetgradem.

[...]

Szlachowa była gospodarstwem jednofolwarkowym o przeszło 650 hektarach ziemi własnej i 150 hektarach przylegających, objętych przez nas długoletnią dzierżawą, właściwie tworzących jedną całość gospodarczą. Ziemię mieliśmy niezwykle urodzajną o głębokiej do dwóch metrów warstwie słodkiego czarnoziemiu lessowego. Szlachowa leżała prawie na południowej granicy lasów i drzew wolnorosnących na równinie. 20 kilometrów na południe występowały ostatnie lasy, a dalej już aż



↑ Woły stepowe w folwarku w Szlachowej

do Morza Czarnego na przestrzeni ponad 200 kilometrów ciągnęły się stepy. [...] Horyzont mieliśmy zawsze szeroki jak morze.

Dwór był zawsze wielką białą masą na tle zieleni drzew, krzewów i trawników, które stanowiły osłonę wobec ostrego klimatu (letnich upałów i srogich zim). Dachy budynków dworskich i folwarcznych były białe – pokryte malowaną lub cynkowaną blachą bądź białą dachówką. Wszystkie ściany, ploty, bramy były zawsze starannie pobielone wapnem z mlekiem. Dwór stał nad jarem, otoczony sadem, ogrodem i parkiem, obejmującymi około 20 hektarów powierzchni. Od północnej strony dworu duży kolisty zajazd, otoczony zawsze starannie strzyżonymi żywopłotami. Pod kątem prostym do dworu stała oficyna ukryta pomiędzy drzewami, dalej stajnia dworska i powozownia. Po wschodniej stronie bramy wjazdowej stał ukryty za drzewami murowany piętrowy spichlerz. Za oficyną wzdłuż prywatnej drogi dworskiej, prowadzącej w dół do wodopoju i przez groblę na pola, stały budynki ze wszystkimi warsztatami rzemieślniczymi oraz hale maszyn i narzędzi rolniczych, a także reszta budynków, wyłącznie dworskich, jak piekarnia, pralnia, mleczarnia, lodownia, składy na produkty, kurniki, piwnice oraz letnie szopy dla udoju krów.

[...] Pamiętam od dziecka, że każda poważniejsza sprawa, która zaistniała na wsi w Szlachowej, była zawsze przez gromadę poddawana bądź to radzie, bądź też sądowi mego ojca. Każda para nowożeńców ze wsi, przed jazdą do cerkwi, przychodziła z całym orszakiem weselnym do moich rodziców po błogosławieństwo. Matka moja, wobec braku stałego lekarza, była zawsze na usługach całej wsi jako pierwsza pomoc lekarska. We wszystkich więc sprawach i niedomaganiach duchowych, fizycznych czy gospodarczych chłopci szlachowieccy, a nawet ze wsi sąsiednich, znajdowali zawsze pomoc u moich rodziców.

*

[...] [W 1917 roku] wypadki polityczne toczyły się już w Rosji jak po równi pochyłej, pogłębiając stan pełnej anarchii. W miastach i miasteczkach były zachowywane pozory porządku, na wsi natomiast każda banda pragnąca rabować występowała jako „władza rewolucyjna”. Najłatwiejszym i ponętym hasłem dla włóczących się uzbrojonych band było „ideologiczne” niszczenie dworów i mordowanie ich właścicieli pod pozorem reformy rolnej. Po zniszczeniu dworów, niszczone bogatych chłopów w myśl tej samej rzekomo zasady. Bandy składały się z młodzieży z tak zwanego proletariatu wsi oraz z dużej ilości

przygodnych włóczęgów – powracających z frontu żołnierzy.

Wieś Szlachowa, jako zamożna, nie brała udziału w tych bandach, a dwór szlachecki był w styczniu 1918 jakby wyspą – niezniszczoną, dającą schronienie wielu rozbitkom. W tym czasie rabunki w naszej okolicy ustały, a wobec dobrej postawy chłopów szlacheckich wydawało się nam, że niebezpieczeństwo pogromu minęło. W domu mieszkało kilkadziesiąt osób, mieliśmy stale w pogotowiu kilkunastu uzbrojonych ludzi, okna i drzwi ubezpieczone strzelnicami jeszcze od rewolucji 1905 roku; dużo broni i amunicji dawało nam możliwość odparcia nawet licznej bandy.

17 stycznia [...] dowiedzieliśmy się, że odbywa się pogrom w leśniczówce państwowej, odległej o 3 kilometry, gdzie mieszkała sympatyczna rodzina polska leśniczego Sienkiewicza, którego dorastające córki były też w domu. Luna pożaru za lasem potwierdziła tę ponurą wiadomość. Skoczywszy tam szybko w kilkanaście koni, przybyliśmy już po ohydnych scenach gwałtu i rabunków. Kilku zapóźnionych drabów zastaliśmy jeszcze. Paru uciekło, jeden padł od strzałów, a jeden lekko ranny ledwo został uratowany przez nas od samosądu chłopów, którzy przyjechali za nami w kilka furmanek. Rannego przekazano, po założeniu mu u nas opatrunku, komitetowi wiejskiemu jako dowód napadu rabunkowego – teoretycznie napady takie były przez komitety rewolucyjne potępiane.

Rano dowiedzieliśmy się, że w gminie „władze” rozstrzelały tego bandytę, a właściwie dostrzelił go przygodnie zebrany tłum. Po dokonaniu tego „wymiaru sprawiedliwości” tenże sam tłum i „władze” doszły do wniosku, że jednak zabity bandyta to był przedstawiciel „ludu pracującego”, który został ranny przez nas – „burżuazyjnych krwiopijców”. Jako dalszy wniosek nasunęła im się potrzeba zaarrestowania i oddania pod podobny „sąd” mnie i Józefa Reinspergera, Polaka, od kilku lat zatrudnionego w administracji Szlachowej, a bardzo nam oddanego. Towarzyszący nam na ochotnika chłopcy stajenni, jako „lud pracujący”, nie byli brani w rachubę.

Chłopi szlacheccy, mający swoich łączników na podsłuchach w gminie, uprzedzili nas w porę o zmianie nastrojów komitetu gminnego, radząc, abyśmy obaj wyjechali. Ponieważ musiałem być w pilnych sprawach w Kijowie, a dochodziły nas wiadomości o posuwających się od zachodu wojskach niemiecko-austriackich, tłumiących

anarchię, zdecydowaliśmy, że na parę dni wyjadę, wzmacniając przez to bezpieczeństwo Szlachowej.

W pół godziny wyjechałem w żołnierskim przebraniu, w butach i nowym półkożuszką przyniesionym mi na ten cel od jednego z chłopów. Bez takiego przebrania mowy nie było o podróży pociągami, chodzącymi bez rozkładu, a przeładowanymi zanarchizowanym tłumem „ludu pracującego”. [...]

Gdy odjeżdżałem z domu pełnego gości, uwolnionego w naszym pojęciu od bezpośredniego niebezpieczeństwa, przypuszczaliśmy, że szczęśliwie przetrwalimy tę rewolucję i że podobnie jak w 1905 roku Szlachowa ocaleje od pogromu. [...]

Złapałem jakiś pociąg idący w kierunku Kijowa, wciskając się do wagonu przepelnionego „towarzyszami”, wzywami samogonu, brudu, kłótwami na głowę każdego nowego podróżnego i nieodzownymi ziarnkami słoneczników. [...] W tych warunkach nazajutrz rano minęliśmy Białą Cerkiew, gdzie się dowiedziałem o świeżych pogromach i pożarach szeregu dworów naszych bliskich przyjaciół i krewnych. W nocy luno mijanych pożarów znaczyły miejsca, gdzie agitacja anarchistyczna osiągała realne wyniki, niszcząc dorobek wielowiekowej kultury i cywilizacji, prawie wyłącznie polskiej na tych ziemiach.

W miarę zbliżania się do Kijowa dochodziły nas szczegóły toczącej się tam już drugi dzień walki. Kijów był w rękach ukraińskiej Rady Centralnej, broniony przez wszystkie rodzaje wojska ukraińskiego. Natarcie bolszewickie szło z Zadnieprza przy silnym wsparciu licznej artylerii ostrzeliwującej miasto. Pociąg mój dobrnął do stacji Wasylków, 10 kilometrów od miasta, nie mając zamiaru iść dalej. Poszedłem z przygodną bandą „towarzyszy”. [...]

Dorożkarz, który się podjął dowieźć mnie tylko do linii „walczących”, z pełną obojętnością oświadczył, że nikt nie wie, kto z kim się bije, ale przez Dniepr bolszewicy jeszcze nie przeszli, bo ich artyleria wciąż miasto ostrzeliwuje, a mosty są bronione. Na moje pytanie, kto ma władzę w rękę, odpowiedział, że: „Kto ich tam wie – mówią, że petlurowcy, ale i oni między sobą się biją”; i dodał splunąwszy: „*nu ich wsiech k'czortu*” [do diabła z nimi wszystkimi], z wielkorosyjskim akcentem i spokojem. [...]

Byłem prawie tydzień w Kijowie, nie mogąc wyjechać wobec otoczenia go przez bolszewików, którzy po dziesięciu dniach walk [...] miasto zdobyli. Sceny, które po wejściu „zwycięskich” wojsk



↑ Kursk, 1903. Od prawej stoją: Józef i Kazimiera (rodzice) oraz Bolesław Podhorscy, pierwsza z lewej siedzi jego siostra Helena

➤ Helena na tarasie dworu w Szlachowej, 1907

➔ Józef Podhorski, właściciel ziemski na Zaporozżu, z córką Heleną – w dniu zasiewu na swoich polach





rewolucyjnych do Kijowa się rozgrywały, dziś jeszcze, kiedy po wielu latach o nich myślę, budzą we mnie wstręt i zgrozę. [...]

Czekałem pierwszej okazji, aby się wyrwać do domu, licząc, że tam już sięgnęła strefa okupacyjna. [...] Wszelkie zaświadczenia bolszewickie fałszowane były już na „rynku”, zależnie tylko od ceny. Uzyskawszy „przepustkę”, po kilku godzinach spędzonych na stacji, udało mi się wkupić na stopień przed zamkniętymi drzwiami wagonu, gdzie wisielśmy w sześciu, trzymając się żelaznej poręczy. Przy blisko 15 stopniach mrozu jechaliśmy tak przez pół dnia, zanim się przedostałem do środka. Po przeszło dobie takiej podróży z licznymi przeszkodami, zatrzymaniami i przesiadkami, dojechałem wreszcie wieczorem do Zwinogródku, gdzie wprost z wagonu poszedłem do zajazdu, myśląc, że tam zastanę czekające na mnie konie. Zrobiło się jakieś zamieszanie i po chwili wyszedł Żyd,

stary Liniecki, który mnie znał od dziecka. Wita się ze mną zmieszany, bierze pod rękę i prowadząc do pokoju gościnnego, mówi: „*Bida panyczu, ja maju do was pysmo*”. [...] Otworzyłem gruby list pisany przez oboje rodziców. [...] Z niego dowiedziałem się o przebiegu wypadków w Szlachowej po moim wyjeździe.

Zjechał tam Komitet Gminny i dość agresywnie chciał ze mną mówić. Zanim ich przekonano, że wyjechałem, i zwrócili swoje zainteresowanie na pana Reinspergera, tego ostatniego też już nie było, bo wyjechał w ostatniej chwili do Elisawetgradu na moim ogierze wierzchowym, doprowadzonym dyskretnie od strony ogrodu przed werandę. Pozornie żadne niebezpieczeństwo nie groziło nikomu, ale od rana zaczęły się zjeżdżać do Szlachowej z kilkunastu okolicznych wsi bandy obcych ludzi, biwakując we wsi, na drogach i w folwarku. Gospodarze szlachowieccy przyszli do rodziców



← Szlachowa, 1912. Bolesław Podhorski (na koniu) z ojcem (w linijce) wracają z porannego objazdu pól; w głębi zabudowania folwarczne

chylkiem przez ogród i zawiadomili, że trzeba wyjeżdżać z domu, bo szykuje się pogrom ze strony tych obcych band. Zawiadomili też, że Komitet Wiejski i Gminny zgadza się na wyjazd wszystkich z domu i „pozwała” na wywiezienie dwunastu sań rzeczy osobistych.

Po tej wiadomości zdecydowano się na natchmiastowy wyjazd. W parę godzin wyjechali od nas wszyscy przygodni goście, dotąd szukający w Szlachowej schronienia ze swoimi taborami. W tym czasie z pomocą służby domowej spakowano rzeczy osobiste, załadowano te dwanaście sań i wysłano przodem, a za nimi nasz dom w czterech parach sanek. Lada chwila groził wybuch. Całość ruszyła już po południu. Rodzice jechali we dwoje w ostatnich saniach.

Przejechano pomyślnie przez szeregi wrogich, milczących jeszcze i rozstępujących się tłumów obcych band i już dojeżdżano do końca wsi,

gdzie było luźniej i narastała pewność pomyślnego wydobywania się z niebezpieczeństwa, kiedy od strony opuszczonego dworu doszły krzyki tłumu, a kilkanaście sań z uzbrojonymi drabami dogoniło całą karawanę, żądając zatrzymania. Tłum zaczynał się powoli zbliżać. Chodziło o rzekomo nieformalne pozwolenie na wywóz sań załadowanych rzeczami, a właściwie o zatrzymanie wszystkiego. Kilku naszych gospodarzy uratowało sytuację, radząc, aby rodzice jechali naprzód z resztą sań osobowych, a oni załatwią formalności z „Komitetem” i wysłą zatrzymane dwanaście sań z rzeczami, które na razie tu zaczekają. Po kilkunastu minutach szybkiej jazdy rodzice byli już bezpieczni.

Z tych dwunastu sań już po kilkudziesięciu minutach nie pozostało nic. Padły pierwsze ofiarą rabunku, cudem wprost tak długo hamowanego. One też były ceną za uratowanie życia moich najbliższych.

[...]

Przez całą noc palono ogniska w salonach i na dworze, podsycając je książkami z szaf bibliotecznych, rąbano i niszczone żywopłoty, kwiaty i rośliny w domu i cieplarni. Najgorsza katownia odbywała się w stajniach hodowlanych. W tym czasie większość klaczy zarodowych była już oźrebiona. Zwycięscy bojownicy rewolucji rozbijali kolbami łby źrebiąt, zabierając matki i wprzegając do swoich sań lub odjeżdżając konno z łupami. Pięknej rasowej kucce mego siostrzeńca, która chodziła doskonale pod siodłem i w zaprzęgu i którą znano w okolicy dobrze, jeden z oprawców uciął język przy nasadzie, pozostawiając ją luzem swojemu losowi. [...]

Rodzice z całą rodziną dojechali pomyślnie wieczorem do Złotopola i zaczęli się tam urządzać w pustym domu [kupionym w 1913 roku], śpiąc pierwsze noce na podłodze na materacach i futrach z sań. Z niepokojem czekali znaku życia ode mnie, wiedząc z pogłosek o wypadkach kijowskich. Jedyne, co mogli zrobić, to zorganizować na stacjach, do których mogłem dojechać, pogotowie z wiadomościami listowymi.

Po spędzeniu nocy w zajeździe w Zwinogrodzie i pożegnaniu Linieckiego, niezmiernie wypadkami przejętego, dojechałem pierwszym pociągiem i „bałagłą” [furmanką] przez Szpołę do Złotopola, gdzie nareszcie byliśmy razem. [...]

Po kilku dniach pobytu w Złotopolu zaczęła mnie nurtować chęć dostania się chociaż na krótko do Szlachowej, żeby rzucić okiem i wyczuć, jakie



→ Kazimiera i Józef Podhorscy z wnukiem Kazimierzem Berezowskim, podczas ucieczki w chłopskim przebraniu

tam panują nastroje i jakie są możliwości w związku z oczekiwanym obsadzeniem kraju przez wojska okupacyjne.

Już w miesiąc po pogromie, 20 lutego 1918, po raz pierwszy wybrałem się do Szlachowej. Były wczesne roztopy wiosenne. Jechałem w przebraniu chłopskim parą koni. Trudno opisać uczucie, z jakim dojechałem do Szlachowej. Rzucił się w oczy obraz pustki i bestialskiego zniszczenia już od drogi i wyrwanej bramy wjazdowej. Wszystkie budynki puste lub z resztkami pobitych i poobdzieranych maszyn, narzędzi czy powozów, straszły otworami wyrwanych drzwi i okien. Wszystkie podwórza, klomby, drogi i ogród zarzucone gnijącymi w błocie szmatami, szkłem, papierami, resztkami porozbijanych mebli, książkami i masą butelek po winach z naszej piwnicy.

Zajechałem pod ganek i ze ściśniętym sercem obszedłem cały dom, obejrzałem wszystkie tak bardzo drogie mi kąty, teraz zniszczone, z otworami po oknach, drzwiach i drzwiczkach od pieców, z poobdzieranymi obiciami ścian upstrzonych trywialnymi napisami i rysunkami. Podłogi, jeszcze nie wszystkie powyrywane, zarzucone resztkami gnijących, niedopalonych książek, zmieszanych z wydzielinami ludzkimi, którymi też były zanieczyszczone ściany i sufity. [...] Przy śladach wielkiego ogniska w salonie podniosłem z ziemi nadpalony tomik w skórę oprawiony. To był *Pan Tadeusz*.

Było już popołudnie. Od strony oficyny, w ogólnej ciszy przerywanej skrzypieniem jakiejś ramy okiennej, posłyszałem odgłosy uderzeń. Poszedłem wolno w tym kierunku. Jakiś chłop wyjmował w sieni oficyny drzwiczki z pieców, które

jeszcze nie były wyrwane, a konia, na którym przyjechał, uwiązał po drugiej stronie budynku przed kuchnią. Zajęty tą „pracą” nie słyszał, jak po błocie podjechałem do domu i teraz stanąłem kilka kroków za nim.

Zastąpiłem go w chwili, kiedy wyjąwszy drzwiczki żeliwne i załadowawszy je do worka, wyciągnął z głębi rozbitego paleniska słoje z powidłami i konfiturami, przechowywane często przez naszą klucznicę w piecach, w których się nie paliło w danym czasie. [...] Zaczął łaadować pełne słoje do worka z żelaziwem. Część słoje już pękła pod własnym ciężarem w chwili, kiedy usiłował wziąć worek na plecy i zawartość ściekała strugą na ziemię. Na widok tej oryginalnej sytuacji ogarnął mnie śmiech. Odruchowo powiedziałem głośno: „*Boże pomóż*” – nasze zwykłe pozdrowienie przy pracy. W chłopca jakby piorun strzelił, obejrzał się przerażony, rzucił worek na ziemię, wcisnął czapkę, skoczył przez otwór w oknie i po chwili galopował konno. [...]

Nie wiedziałem, jakie nastroje panują na wsi i w najbliższej okolicy. Obawiałem się zajechać nawet na rozmowę, nie mówiąc już o przenocowaniu, do kogokolwiek z życzliwych i oddanych nam ludzi ze służby lub któregoś z gospodarzy. [...]

Rano wróciłem do Szlachowej, nie kryjąc się już i witając po drodze przez wieś zaskoczonych moim widokiem mieszkańców. Zajechałem do domu administracyjnego, gdzie mieszkał Józef Kulesza, nasz pomocnik gospodarczy, który w ukryciu na wsi przetrwał pierwszą falę pogromu. Teraz jako pracownik mieszkał tu „za zgodą” Komitetu Gminnego, zapowiadającego na wiosnę – w myśl „manifestów” rewolucyjnych – rozdawnictwo naszej ziemi dla całej służby i pracowników.

Posłałem kogoś do sołtysów z wiadomością, że czekam na gromadę, która się szybko zebrała, przyjmując mój przyjazd jako sensację. Po przywitaniu powiedziałem im, że wiem wszystko o przebiegu rabunku i zniszczenia. Że wiem nawet, co kto z nich ma u siebie z naszych rzeczy i inwentarzy. Że pomijam intencje, w jakich te rzeczy były brane, a uważam każdego z nich za sąsiada, który chciał uratować, co można było z pogromu i za to im dziękuję, prosząc o przechowanie wszystkiego, co który z nich ma naszego, do czasu, aż uporządkuję miejsce i będę mógł przyjąć inwentarze, które mi wielu zgłaszało. Zapewniłem ich, że żadnych oddziałów karnych do Szlachowej nie wpuszczę, a oni mi zapewнили pomoc w odzyskaniu tych inwentarzy,

narzędzi i maszyn, o których wiedzieli, kto wziął. Okazało się, że ponad dwadzieścia wsi brało udział w rabunku. [...]

Wobec braku możliwości wykonania robót wiosennych i siewów, oddałem gromadzie szlachowieckiej na spółkę obsiew wszystkich pól przygotowanych pod jarzyny, rezerwując większe ogrody dla służby i pracowników. Zapowiedziałem równocześnie, że przystępuję do niezbędnych remontów i odbudowy gospodarstwa. Zdaje mi się, że takie postawienie sprawy było dobre. Po kilku tygodniach zamieszkałem w Szlachowej i w granicach możliwości zacząłem od początku montować gospodarstwo, zapewniając równocześnie całej naszej rodzinie niezbędne środki do życia w Złotopolu. Jeszcze całe zbiory 1918 roku udało mi się spieniężyć na pniu, co prawda tanio, ale dało nam to zapas gotówki niezbędnej do życia, opłacenia różnych kontrybucji i do uratowania się w końcu – dzięki wyjazdowi przez Odessę do kraju w końcu 1919 roku.

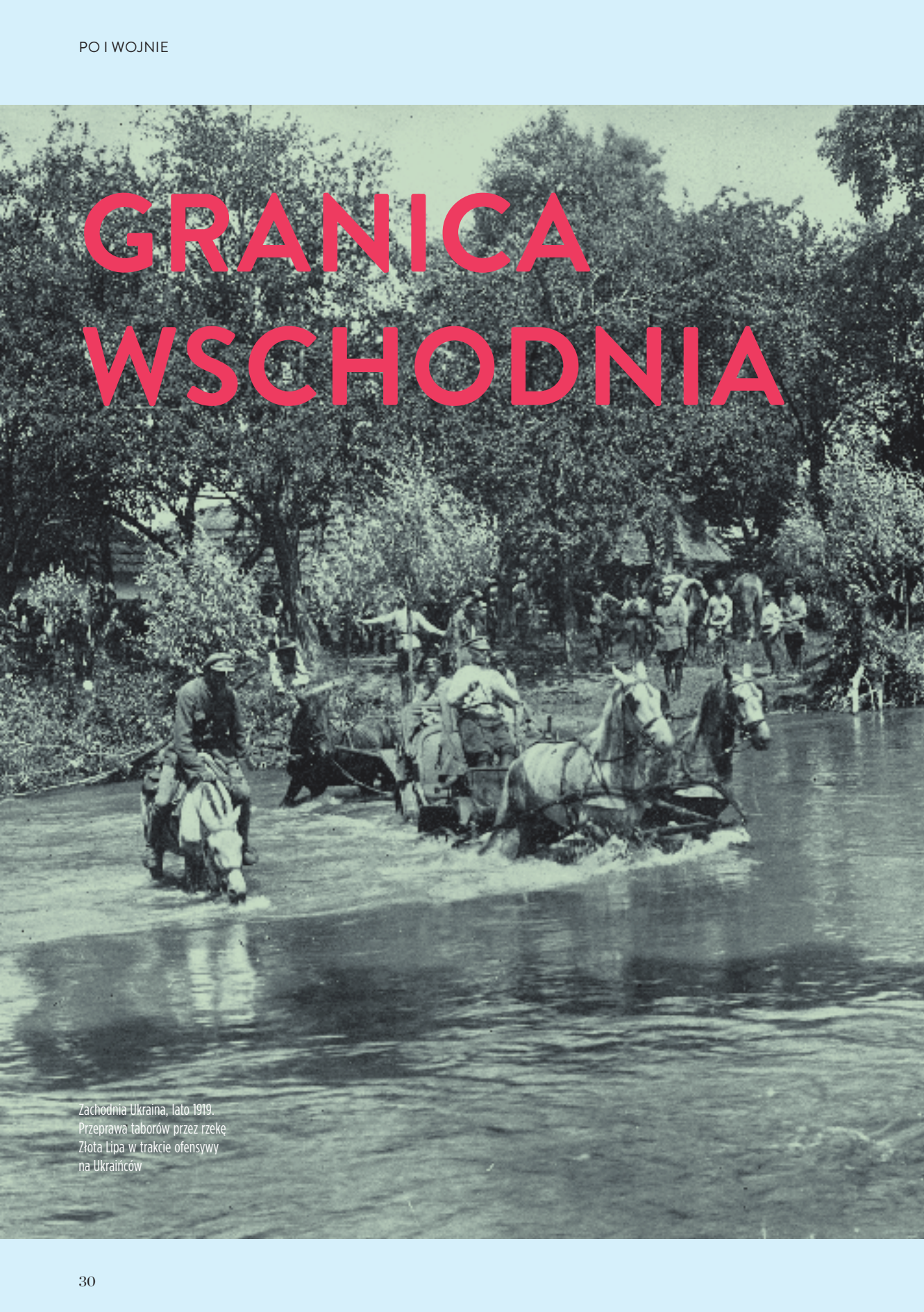
Bolesław Podhorski

Po próbie odbudowania Szlachowej, Bolesław Podhorski, mimo przychylności okolicznych chłopów, musiał jeszcze w 1918 roku uciekać z majątku. Bolszewicy wyznaczili bowiem za jego głowę 100 tysięcy rubli nagrody i wydali zaocznie wyrok śmierci – za udział w obronie Złotopola na prośbę społeczności ukraińskiej. Z ziemian, którzy mieli posiadłości na Zaporozżu, przeżył jedynie on – wszystkich pozostałych zamordowano.

Próbował przebić się na zachód wraz ze sformowanym przez siebie oddziałem partyzantkim, staczając potyczki z grupami bolszewickimi. Po przebyciu kilkuset kilometrów, koło wsi Tarnawatka wpadli w zasadzkę, z której uratowało się jedynie czterech ludzi. Potem ukrywał się jako robotnik w cukrowni.

Jego rodzice, wraz z 8-letnim wnukiem, schronili się pod innym nazwiskiem jako pracownicy w gospodarstwie popa. Odszukał ich dopiero w październiku 1919 i po ponaddwutygodniowej podróży kupionym wagonem towarowym dotarli do Lwowa. (RED.)

GRANICA WSCHODNIA



Zachodnia Ukraina, lato 1919.
Przeprawa taborów przez rzekę
Złota Lipa w trakcie ofensywy
na Ukraińców

Janusz Odziemkowski

W połowie XIX wieku we wschodniej części Galicji, zamieszkannej w większości przez Rusinów, zaczął się budzić rusiński ruch narodowy. Ożywił ich poczucie tradycji i historii, zapoczątkował walkę o szkołę w języku rusińskim i własną reprezentację polityczną. Przewagę w ruchu zdobyli „narodowcy”, dążący do utworzenia niepodległego państwa ukraińskiego. Oparli się na Cerkwi greckokatolickiej i „ludzie chłopskim”. Zaczęli używać na określenie ruskiej ludności Galicji nazwy „Ukraińcy”, która upowszechniła się w początkach XX stulecia. Dążyli do podziału kraju według kryterium etnicznego. Granica Galicji ukraińskiej miała przebiegać wzdłuż Sanu, z tym że na południu odchyłałaby się na zachód, dochodząc aż pod Nowy Sącz. W miastach wschodniej Galicji przeważała ludność polska, na wsi ukraińska. Polacy dominowali w przemyśle, na kolei, w administracji. Elity ukraińskie były jeszcze słabe i nieliczne.

Kiedy podczas I wojny światowej zawiodły próby pozyskania Polaków, Wiedeń i Berlin wyraziły zgodę na proklamowanie 22 stycznia 1918 na ziemiach byłego cesarstwa rosyjskiego Ukraińskiej Republiki Ludowej (URL) ze stolicą w Kijowie.

Rozpad Austro-Węgier w październiku 1918 stworzył Polakom i Ukraińcom warunki do przejmowania władzy w Galicji. 28 października w Krakowie powstała Polska Komisja Likwidacyjna, która uznała się za władzę zwierzchnią w całej Galicji. Na 1 listopada zapowiedziano przybycie przedstawicieli Komisji do Lwowa. W tej sytuacji Ukraińska Rada Narodowa przyspieszyła działania zmierzające do utworzenia własnego państwa w Galicji wschodniej. Oficerowie ukraińscy związani z ruchem narodowym przygotowali plan opanowania Lwowa. Z wybranych do akcji pułków galicyjskich, złożonych w większości z żołnierzy narodowości ukraińskiej, zdemobilizowano Polaków, nadając oddziałom charakter czysto ukraiński.



FOT. INSTYTUT POLSKI I MUZEUM IM. GEN. SIKORSKIEGO W LONDYNE / OSRODEK KARTA

Nad ranem 1 listopada 1918 pułki wkroczyły do Lwowa, zaskakując Polaków, którzy nie spodziewali się tak błyskawicznej akcji. Do walki z doświadczonym żołnierzem frontowym przystąpili członkowie POW i innych polskich organizacji, studenci, młodzież szkolna. Mimo niedostatku broni i amunicji, braku wyszkolenia, w ciągu dwóch dni opanowano częściowo centrum miasta. 3 listopada, po ściągnięciu posiłków, Ukraińcy uderzyli na wszystkie polskie reduty. Pięciokrotnie słabsi Polacy zadali przeciwnikowi ciężkie straty, opanowali lotnisko i Zamarstynów. W walkach zginęło lub odniosło rany 1400 żołnierzy ukraińskich, 300 dostało się do niewoli. Wieczorem 5 listopada podpisano 24-godzinne zawieszenie broni.

Tak rozpoczęła się kilkumiesięczna epopeja oblężonego miasta. Dla Polaków urosła wówczas do rangi symbolu patriotyzmu i poświęcenia. Rozpalała wyobraźnię, porywała do czynu. Lwowskie „orłęta” – jak nazwano najmłodszych obrońców miasta – zapisały piękną kartę dziejów polskiego oręża. Hasło pomocy dla Lwowa ściągnęło do szeregów odradzającego się Wojska Polskiego dziesiątki tysięcy ochotników.

Równocześnie z uderzeniem na Lwów wystąpiły w całej wschodniej Galicji zbrojne oddziały ukraińskie, zajmując ją przy sporadycznym oporze zaskoczonych Polaków. 9 listopada URN proklamowała powstanie Zachodnio-Ukraińskiej Republiki Ludowej (ZURL) i wezwała do zjednoczenia wszystkich ziem ukraińskich. Polacy stali się w państwie ukraińskim obywatelami drugiej kategorii. Pozbawiano ich pracy, inwigilowano, zamykano w obozach. Zdarzały się wypadki mordowania i torturowania zatrzymanych. Jednocześnie brak kadr do obsadzenia stanowisk po Polakach, wyrzucanych ze służby publicznej, osłabiał państwo ukraińskie. Kadra oficerska była nieliczna i jakościowo słabsza od polskiej. Zarządzono mobilizację Ukraińców, wielu jednak uchylało się od służby wojskowej.

Inaczej wyglądała sytuacja w Polsce. Wszędzie powstawały ochotnicze kompanie, szwadrony, bataliony, które chciały pójść na front dla „obrony Lwowa”. Ochotnik był bardzo słabo wyszkolony, lecz pełen zapału, ogromnej ofiarności. Dobrze dowodzony, nabierał cech doskonałego żołnierza frontowego. Po stronie ukraińskiej szybko wykruszały się szeregi doświadczonych, lecz źle dowodzonych weteranów, których nie

zastępował masowy napływ ochotników. Kurczyła się wielka początkowo przewaga militarna nad Polakami. Już 22 listopada obrońcy Lwowa, przy wsparciu odsieczy przybyłej z Krakowa, opanowali całe miasto, zmuszając do ucieczki dwukrotnie silniejszego przeciwnika.

W styczniu 1919 siły ukraińskie ponownie próbowały okrążyć Lwów, ale dzięki drugiej odsieczy polskiej obrońcy Lwowa utrzymali łączność z krajem. Na rozległym froncie wojny polsko-ukraińskiej w Galicji żadna ze stron nie mogła uzyskać przewagi.

Równoległe toczyły się rokowania polsko-ukraińskie, parokrotnie przerywane i wznowiane. Ukraińska Republika Ludowa, zagrożona inwazją Armii Czerwonej, nie zerwała stosunków z Polską. Z perspektywy Kijowa największym niebezpieczeństwem dla niepodległej Ukrainy była Rosja bolszewicka. Nie brakowało zwolenników ugody z Polską za cenę ustąpienia Galicji, pod warunkiem zagwarantowania jej autonomii. W Polsce opinia publiczna i parlament mówiły w sprawie Lwowa jednym głosem: miasto uważane za skarbnicę kultury narodowej, „zawsze wierne Rzeczypospolitej”, musiało pozostać polskie. Józef Piłsudski gotów był na znaczne ustępstwa wobec Ukraińców pod warunkiem oddania Polsce Lwowa i borysławskiego zagłębia naftowego. Negocjacje zakończyły się fiaskiem, bowiem wbrew stanowisku Kijowa politycy ZURL o ustępstwach słyszeć nie chcieli i żądali wycofania wojsk polskich za San. Takiego postulatu rząd polski nie mógł przyjąć bez narażenia się na powszechne potępienie i bunt w kraju.

3 marca 1919 Ukraińcy rozpoczęli nową ofensywę w Galicji. Ich armia liczyła 37 tysięcy żołnierzy w stanie bojowym. Wojska polskie (21 tysięcy żołnierzy) z najwyższym trudem utrzymały linię frontu. Szykowano ewakuację Lwowa i dopiero odsiecz pod dowództwem gen. Wacława Iwaszkiewicza opanowała położenie.

Przeciągająca się wojna wiązała znaczne siły polskie, tak potrzebne w walkach z Armią Czerwoną na Białorusi i do ochrony granicy polsko-niemieckiej. Dlatego zdecydowano wykorzystać wszystkie środki, aby możliwie szybko ją zakończyć. Po przybyciu do kraju z Francji armii gen. Józefa Hallera, dowództwo polskie skoncentrowało w Galicji siły liczące w stanie bojowym 50 tysięcy żołnierzy. Ukraińcy dysponowali około 39 tysiącami żołnierzy. 14 maja

ruszyła polska ofensywa pod dowództwem gen. Hallera. Front pękł i oddziały ukraińskie rozpoczęły szybki odwrót. Sukces wywołał w Polsce euforię, a dowództwo przeceniło rozmiary klęski przeciwnika i nie zachowało koniecznej ostrożności. Ukraińcy skoncentrowali siły i 8 czerwca uderzyli na rozproszone w pościgu wojska polskie. Polacy stracili ponad 2 tysiące żołnierzy (zabitych i rannych) i zostali zmuszeni do częściowego odwrotu. Walki te wyczerpały jednak możliwości armii ukraińskiej. Kolejna ofensywa polska, rozpoczęta 29 czerwca, bez trudu złamała obronę przeciwnika na całej linii. 17 lipca wojska polskie osiągnęły dawną granicę austriacką na Zbruczu, biorąc około 10 tysięcy jeńców.

Wspomnienia Jerzego Konrada Maciejewskiego są dosyć rzadkim w polskiej literaturze memuarystycznej przykładem zapisków podoficera, który pokazuje wojnę z perspektywy niższych szarż. Autor wstąpił do I Warszawskiego Batalionu Ochotniczego Oddziału Odsieczy Lwowa, który 7 grudnia 1918 odjechał z Warszawy na front pod dowództwem kpt. Antoniego Olkowskiego. Pierwszy bój batalion stoczył w dzień Bożego Narodzenia. 28 grudnia dotarł do Lwowa i obsadził pozycje między Kulparkowem a Persenkówką. 11 stycznia śmiałym natarciem zdobył silnie obsadzony Bartatów i utrzymał tę miejscowość mimo zacieklých ataków trzykrotnie liczniejszego nieprzyjaciela. Był wymieniany w rozkazach pochwalnych, zyskując nazwę Batalionu „Orląt” i sławę jednego z najbitniejszych oddziałów załogi Lwowa.

W marcu na front przybył II batalion Ochotniczego Oddziału Odsieczy Lwowa, zorganizowany w podwarszawskim Zegrzu pod dowództwem kpt. Ludwika Szymaana. 12 kwietnia oba bataliony połączono, tworząc z nich 19 Pułk Piechoty Odsieczy Lwowa, który wszedł w skład lwowskiej 5 Dywizji Piechoty i szybko zyskał miano jednego z najlepszych pułków na froncie galicyjskim.

Pułk pod dowództwem kpt. Eugeniusza Żongołłowicza wziął udział w majowej ofensywie polskiej w Galicji. 1 czerwca zmusił do kapitulacji ukraińską 6 Brygadę i wraz z batalionem 22 Pułku zdobył Tarnopol. W końcu maja na front przybył z Radomia III batalion Ochotniczego Oddziału Odsieczy Lwowa i został włączony do 19 Pułku. W walce z kontrofensywą ukraińską pułk stoczył 19 czerwca bój o Pomorzany, jedną z najzaciętszych bitew wojny polsko-ukraińskiej.

W ostatnich dniach czerwca związał walką dwie brygady ukraińskie, ułatwiając oddziałom gen. Hallera i gen. Daniela Konarzewskiego przełamanie frontu i wyjście na tyły nieprzyjaciela. Otrzymał za to pochwałę w rozkazach dowódcy 5 Dywizji gen. Władysława Jędrzejewskiego oraz ptk. Władysława Sikorskiego. W sierpniu obsadził 35-kilometrowy odcinek frontu nad Zbruczem.

W okresie międzywojennym ukazywały się krótkie wzmianki o 19 Pułku Piechoty Odsieczy Lwowa w prasie lwowskiej i warszawskiej. Pod koniec lat 20. wyszedł zarys historii wojennej 19 Pułku Piechoty, ale nie tak szczegółowy, jak zapisał to Jerzy Konrad Maciejewski. Jego wspomnienia są pierwszą publikowaną relacją żołnierza tego pułku. (Cała spuścizna znajduje się w zbiorach Ośrodka KARTA.)

Wojna o Galicję zakończyła się zwycięstwem polskim. Wbrew lekceważącym opiniom części wojskowych i polityków, był to ciężki bój z dzielnym przeciwnikiem. Wojska polskie kosztował wiele krwi, Ukraińców utratę całej armii galicyjskiej. Porozumienie pokojowe było możliwe pod warunkiem obustronnych ustępstw. Polacy byli na nie gotowi, galicyjscy politycy ukraińscy twardo żądali wszystkiego. Bezkompromisową postawą zaprzepaścili rysującą się szansę stworzenia wspólnego, silnego frontu przeciwko Rosji bolszewickiej – najgroźniejszemu wrogowi niepodległości polskiej i ukraińskiej. To przesądziło o upadku Ukraińskiej Republiki Ludowej, zdławionej nad Dnieprem przez Armię Czerwoną. Idea współpracy polsko-ukraińskiej odżyła w 1920 roku, zabrakło jednak czasu na odbudowę Ukrainy nad Dnieprem przy wsparciu wojsk polskich. Po 1920 roku gorzyc klęski i poczucie krzywdy rozpały wśród części Ukraińców galicyjskich nacjonalizm, który w latach II wojny światowej stał się źródłem wielu tragedii i zbrodni.

Janusz Odziemkowski

(ur. 1950) – prof. dr hab., kierownik katedry historii wojskowości na Wydziale Nauk Historycznych i Społecznych Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Autor wielu książek i artykułów poświęconych najnowszej historii Polski i dziejom oręża polskiego, m.in. *Leksykon bitew Wojska Polskiego 1914–1921*, *Armia i społeczeństwo w II Rzeczypospolitej*, *Piechota polska w wojnie z Rosją bolszewicką 1919–1920*.

FOT. ZE ZBIORÓW JERZEGO KONRADA MACIEJEWSKIEGO / OŚRODEK KARTA



NA HAJDAMAKÓW

JERZY KONRAD MACIEJEWSKI (1899–1973) – żołnierz, pisarz (pseud. Konrad Jotemski), publicysta. W latach 30. pracował w „Żołnierzu Polskim” jako sekretarz redakcji, potem zastępca redaktora naczelnego, następnie pracownik Wojskowego Instytutu Naukowo-Wydawniczego. W czasie II wojny internowany w Szwajcarii. W 1946 roku wrócił do Polski. Pracował w redakcjach m.in. „Wieczoru Warszawy” i „Polski Zbrojnej”. Do udziału w wojnie polsko-ukraińskiej zgłosił się, jako dziewiętnastolatek, na ochotnika.

↑ Bartatów k. Lwowa, marzec 1919. Plut. Jerzy Konrad Maciejewski w rogatywce żołnierza armii wielkopolskiej, która brała udział w walkach o Lwów od marca 1919

Jerzy Konrad Maciejewski

*Wojenko, wojenko! Cóżże ty za pani?
Jedni za cię giną, drudzy pod pierzyną
Wyreklamowani...*

Kiedyś zapisywał się 21 listopada 1918 do I Warszawskiego Baonu Ochotniczego Oddziału Odsieczy Lwowa, formowanego przez pułkownika [Stanisława] Skrzyńskiego, otrzymałem rozkaz, aby 26 listopada o godzinie 12.00 stawić się w Koszarach Mostowskich. W oznaczonym dniu zjawiłem się u oficera inspekcyjnego koszar i ten mnie odesłał do sierżanta Jaśkiewiczza, który – przychylnym okiem zmierzwiwszy moją postawę i niemal wojskowy ubiór – wskazał mały pokoiik, mający tymczasowo zostać moją ostoją.

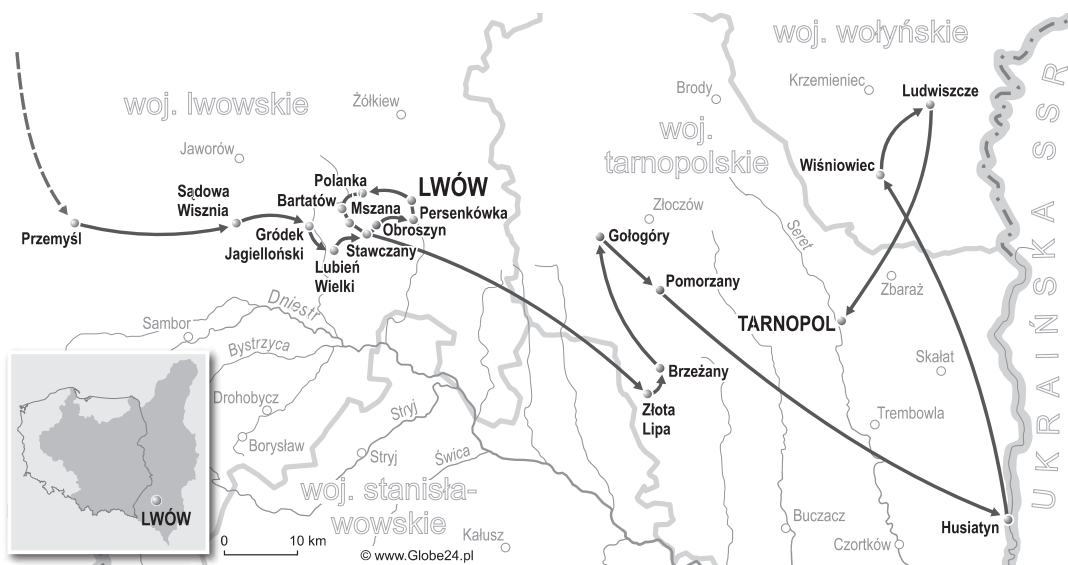
Zostałem tam już czterech kandydatów do stanu wojskowego. Dwaj sztabacy z wyższych klas szkoły średniej, jeden Żyd, który zapisał się z biedy, oraz jeden czeladnik szewski, gorący socjalista, niemający pojęcia o socjalizmie – wstąpił do wojska jedynie dlatego, że fama głosiła, iż we Lwowie podczas walk ulicznych można sownie się obłowić. Zresztą, takich „patriotów”, jak się później okazało, było znacznie więcej. [...]

Dostaliśmy mundury. Były to wspaniałe długie płaszcze, długie spodnie z czerwonymi wypustkami, szare (jak wszystkie części munduru) bluzy z niskimi wykładanymi kołnierkami, czapki maciejówki, orzelki, pasy, nowe sznurowane trzewiki, po dwie pary bielizny, dwie pary wełnianych skarpetek i tornistry. Wszystko to zostało zabrane ze składów intendencji niemieckiej i posłużyło dla pierwszych żołnierzy Rzplitej. [...]

Na ulicy czułem się orłem. Z jaką radością salutowałem oficerów – ba, nawet widząc przechodzącego po drugiej stronie ulicy pułkownika Skrzyńskiego z ręką na czarnym temblaku, przeszedłem umyślnie tam i, mijając go chwacko, „biłem w dach”. [...]

12 grudnia 1918 dostaliśmy rozkaz pakować manatki i ładować się do pociągu. [...] Wagony były towarowe, zimne, droga uciążliwa, aż wreszcie przybyliśmy do Lublina na parodniowy postój. Lublin był czerwony, zrewoltowany! Na ulicach czerwona milicja, na domach czerwone chorągwie, przy domach i w domach czerwoni agitatorzy, bojówki napadały i rozbrajały żołnierzy...

Już na miejscu oddaliśmy swoje mauserki, dostając w zamian mannlichery. W koszarach, w sali gimnastycznej, urządziliśmy próbne strzelanie



↑ Teren działań bojowych 19 Pułku Piechoty Odsieczy Lwowa w latach 1918–19

z nabojów z masy papierowej, przy czym jeden amator strzelał ostrymi kulami... Był taki gwałt, huk, że z komendy dworca i koszar przybiegli wysłańcy, by zobaczyć, czy to nie bunt. [...]

Z Przemysła zdawałem relację Mamie:

Przemysł, 18 grudnia 1918

[...] *W drodze zostałem mianowany plutonowym, czyli drużynowym. Mam prawo nosić na naramiennikach po trzy galony – wybijam się! Ale bardzo łatwo mogę złożyć swoją główkę, chociaż nie chciałbym leżeć gdzieś w polu, daleko, w Galicji... [...]*

Wszystko było wówczas nowe, wszystko niezwykle, wszystkiemu przyglądałem się z tłumioną ciekawością dużego dziecka i nawet umiałem się jeszcze rumienić. Pamiętam wędrówki po stromych ulicach Przemysła, wsłuchiwanie się w nową dla mnie gwarę galicyjską, w mowę śpiewną, melodyjną i upstrzoną w tak straszne germanizmy czy inne austriacyzmy...

Kiedyś, wieczorem, Liberadzki, Krauze i ja wracaliśmy z miasta do koszar. Obok nich, w głębi podwórza, był mały domek, a że nie spano w nim, dowodziło światło krwawo prześwietlające przez czerwone, płócienne zasłonki.

– Chodźmy na sztosika! – zaproponował jeden.

– Na co? – zdziwiłem się niezmiernie.

– A, to prawiczek z was! – zarechotali obydwaj.

– Chodźmy, zobaczcie, jak i co, może zostaniecie naszym szwagrem!

Powodowany ciekawością, udałem się za nimi. Przez niską, ciemną sień wchodziło się do sporego pokoiku, w którym na stole przy oknie stała kopcząca lampa, siedziały dwie kobiety. Jedna z nich, młodsza, w czerwonej chustce zawiązanej na głowie obyczajem kobiet z ludu. Duszno było i w powietrzu unosiła się specyficzna woń czegoś... czego nie znałem, a co było wstrętne. Młodsza, zoczywszy żołnierzy, odrzuciła głowę w tył, oparła o ścianę, starsza zarzuciła nogę na nogę tak wysoko, że zobaczyłem je gołe do pół uda. Szybko podniosłem wzrok i spojrzałem uważnie na twarze prostytutek. A więc to były one? Te, koło których szybko przechodziłem tyle razy, nie śmiać uważniej się im przyjrzeć? Te, których sama obecność nieci albo wstręt, albo zwierzęcą chuć, czasami zaś, u istot niezepsutych, budzi pytanie: kto zacz, co za jedna, kim była przedtem, co myśli?

One teraz myślały o żołnierzach i targowały się o cenę. Żądały ośmiu–dziesięciu koron, potem sześciu, w końcu zgoda stanęła na czterech! W krwistym półmroku na ich twarzach można było wyczytać apatię, zmęczenie, wreszcie pragnienie: zróbcie swoje i idźcie precz! Ilu was tutaj się dziś przewinęło... Szerokie, wymalowane usta, chropawy głos, cyniczne targi, przypowieści wzięte z koszar i lupanarów i ta nuda, nuda...

Wziąłem czapkę.

– Dokąd idziecie?! Zostańcie! Czy nie chcecie ani razu? Ustępujemy wam pierwszeństwo. On jeszcze prawiczek – dodali tytułem objaśnienia, zwracając się ku dziewczkom.

Młodsza na to:

– Ta co mówicie? I uchował się taki w wojsku? Chodź, malusi, koronę ci opuszczę... – i śmiała się, a ten śmiech był jak przeciągły kaszel.

– Nie, idę już. Do widzenia! – nacisnąłem maciejówkę na głowę i wyszedłem w mroźną noc, żegnany chóralnym śmiechem. [...]

23 grudnia nadszedł niespodziewany rozkaz, aby natychmiast wyruszać w pole. Zawiedzeni w swych świątecznych nadziejach, zbieraliśmy się w drogę, pocieszaliśmy się nadzieją pewnych i szybkich zwycięstw nad dziczą hajdamacką. Z Przemyśla pociągami – który posuwał się żółwim tempem – jechaliśmy przez Sądową Wisznę (gdzie byłem obecny przy rozstrzelaniu ukraińskiego szpiega) do Gródka Jagiellońskiego. Tam obiad i wymarsz.

Objuczeni ciężkimi tornistrami, chlebakami, mając po dwieście nabojów każdy – wkleiliśmy się po uciążliwej drodze kędyś przed siebie. Śniegi straszne, na polach po łokciu i głębsze. Nareszcie już dobrze wieczorem przymaszerowaliśmy do wsi zamieszkałej przez Polaków. Tu nocleg. [...]

Nazajutrz marsz i pierwszy bój. Pod gradem kul zdobyliśmy wieś i folwark Lubień Wielki. Podczas ataku o dziesięć kroków ode mnie rozerwał się szrapnel...

[...] Nadszedł wieczór wigilijny. Gdzieś przed nami od czasu do czasu zatliła się zbłąkana rakietka, zatrąkotały z prawej strzały, aż oto wieś, niemal zasypana śniegiem – na kwatery! Wielki gwałt, straszna ciasnota (wieś była spalona podczas wielkiej wojny), ale pomieścić się trzeba. W ciupce o powierzchni 3 na 5 metrów jest rodzina chłopska i nas czterech. Smutna, głodna Wigilia, smaczny sen na stole i wymarsz przed wschodem słońca. Potem pierwsza bitwa, pierwszy zabity w baonie – Teodor Trubaj, przezywany „Trąbką”. Dostał w samo serce.

Śniegi na polach były ogromne, tyraliera z trudem kopała się przez zasy, chłopcy rzucali

plecaki, chlebaki, jeden nawet zgubił trzewik i wcale o tym nie wiedział, aż po zdobyciu wsi, w pałacu hrabiowskim (jakiś c.k. hrabia), koledzy spostrzegli i buchnęli śmiechem: „Kossuth! Gdzie wasza noga?!”.

Rozkoszny był nocleg w ciepłych, obszernych chałupach zamożnych chłopów lubieniec- kich. Można było nabyć słoninę po 8 koron za funt, kury i inne delikatesy. Nasza paczka fundnęła sobie dwie kury, bajeczny rosół z nich i – syci chwały i wrażeń – legliśmy spać aż do nowej pobudki i dal- szego marszu celem przzerwania się przez pierścień ukraińskich wojsk otaczający Lwów.

Dla nas, młodych żołnierzy, owe walki i prze- marsze miały smak prawdziwej wojny, a były w gruncie rzeczy chaotyczną partyzantką. Obydwie siły walczące, tak nasza, jak i ukraińska, były dopie- ro w stadium organizacji. U nas do obrony Lwowa i Małopolski synęli się ochotnicy ze wszystkich trzech zaborów. Hajdamakom pomagali Ukraińcy pod Petlurą – zakordońcy*, ale my górowaliśmy wyrobieniem narodowym, patriotyzmem, którego brakło w szerokich masach żołnierzy ukraińskich. [...]

27 grudnia rano odparliśmy silne ataki ukra- ińskie. Szli pod komendą niemiecką. „Niepodle- gła” – *samostijna* – Ukraina nie zdołała wytworzyć własnej terminologii wojskowej.

Mój pluton był pod komendą por. Konstan- tego Lachowicza na osłonie baterii piętnastek. Współdziałały z nami 10 pułk piechoty, batalion żywiecki i bodajże rotmistrz Abraham.

Kawa, którą dostałem z kuchni 10 pułku pie- choty, posłużyła jako podwalina mej znajomości z por. Lachowiczem. Siedząc w rowie, smacznie przegryzałem słodką kawę razowym chlebem, aż tu patrzę, mój porucznik coś oczyma łypie... W pewnej chwili zapytał nieśmiało: „Drużynowy, może macie jeszcze trochę kawy?”. Dałem mu ma- nierkę i trochę chleba, który łapczywie zajadał. Bi- dak, chlebaka i manierki ze sobą nie nosił – pewnie nie miał. [...]

28 grudnia, sformowawszy z czterech kompa- nii baonu dwie kompanie „taktyczne”, pod kome- dą kpt. [Eugeniusza] Żongołłowicza, który, kulejąc,

* Zakordońcy – tutaj Ukraińcy zamieszkali „za kordonem”, czyli na wschód od Zbrucza, rzeki granicznej między Rosją i Austrią w Galicji. Po rozbiorach Polacy nazywali „kordonami” granice państw zaborczych na ziemiach polskich i np. dla Polaków z Królestwa Kraków nie leżała „za granicą”, a „za kordonem”. W ten sposób starano się podkreślić tymczasowość zaborów i nadzieję na odbudowę Rzeczypospolitej. Nazwa „kordon” utrwaliła się w XIX wieku i została przyjęta przez działaczy ruskich (ukraińskich) w Galicji. W ich pojęciu „kordon” rozdzielał dwie części Ukrainy.

szedł na froncie oddziału, wkraczaliśmy do Lwowa. Pierwszy postój wypadł na przedmieściu, pierwsi znajomi – jakaś urzędnicza rodzina ruska [ukraińska]. Nie byli szowinistami, częstowali nas papierosem, herbatą, ba – nawet kieliszkiem i zakąską. W rozmowie wyrazili zdanie, że spór polsko-ruski winno się rozwiązać pokojowo, że dosyć mają czterech lat wojny, pragną pokoju i możliwości pracy. [...]

Ze Stawczan prowadziliśmy spore tabory, a na nich wszelaką zdobycz w postaci żywności zarekwirowanej – bezpłatnie – w Stawczanach i Obroszynie. Szczególnie dużo było świń. Kiedym tak chodził od sań do sań i, unosząc koce, zaglądał pod nie na ogromne tusze mięsne, przy jednych saniach nagły wiew śmierci zmroził mi krew w żyłach. Leżały na nich równo dwa trupy, z nich jeden Bazyla... Jego wielki nos, przed stężeniem przynieciony ciężarem ciała woźnicy, skrzywił się, niemal załamał na bok i twarz przybrała wyraz okropnej, błazeńskiej maski, z krwawą dziurą w czole. Na następnych saniach znów trupy. Miałem ich dosyć. Straszna groza wojny i ta równość ludzi z bydłem po śmierci... Co ja mówię! Ta prawda, że tusza świńska była pożądanym nabytkiem, zaś ciała towarzyszy broni – bagażem, którego chciano się co rychlej pozbyć – wprost odurzająca, toteż odetchnąłem, kiedy dano rozkaz do dalszego marszu. [...] Zajęliśmy szkołę im. Czackiego. Tu miały być nasze koszary.

W nocy była „szopka”. Gruchnął jeden strzał i drugi, warta wybiegła przed gmach, a posterunek (niejaki Zieliński) meldował, że oto z przeciwnego domu strzelano doń. Wysypał się z bronią cały batalion. Otoczono narożnik ulicy – trzy czy cztery domy. „Przeprowadzić rewizję!”

Dom wyznaczony dla naszej kompanii nie chciał otworzyć bramy. Na walenie weń kolbami odpowiedziano histerycznymi krzykami i płaczem kobiet. (Domy te przeważnie były zamieszkałe przez Żydów.) Po krótkiej naradzie wybrano żołnierza najmniejszego wzrostem, utworzono piramidę, chłopak wdrapał się nad bramę – gruchnął kolbą parę razy, zabrzęczały szyby, głośnym echem w ciszy śpiącego miasta wtórowały mu jęki kobiet. Wybił okienko, wpuścił przez nie nogi, chwilę zawisnął na rękach, skoczył, a po chwili przez otwartą szeroko bramę wwalila się chmara żołnierzy i rozlała po ogromnym domostwie.

Cóż to była za rewizja? To był raczej formalny pogrom i rabunek. Czy tak należało rewidować dom, w którym chciano znaleźć tego, co strzelał? Taką rewizję trzeba by przeprowadzić spokojnie, systematycznie, w dzień, pod bacznym dozorem oficerów!

Pamiętam to wrywanie się do poszczególnych pokojów, zjadanie wszystkiego, co było jadalne. Plutonowy Kryst i sierżant Jaskiewicz opowiadali o „znalezieniu” 3000 koron w jakichś materiałach, z których potem kazali sobie coś szyć. W mieszkaniu jakiegoś adwokata czy doktora zgwałcili jego córkę czy siostrę, podobno za jej zgodą i ku jej wielkiemu zadowoleniu, podobno mówiła w ekstazie, że to jest „romantyczne” być zniewoloną w takich okolicznościach... Wiem, że poginęła w rewidowanych domach bielizna, nakrycia stołowe... Potem, następnego dnia, był z tego powodu wielki gwałt, oficerowie szukali tego, czego już znaleźć nie mogli. Do dziś nie mogę się pozbyć wrażenia, że Zieliński strzelił do jakiegoś majaka nocnego, który mu się przywidział w mroku wąskich ulic, a słysząc alarm w koszarach i obawiając się odpowiedzialności – wskazał na przeciwny dom, z którego rzekomo doń strzelali.

Następny list do stryjki [Julii Maciejewskiej] uzupełnia podane tu wspomnienia.

Lwów, koszary (chwilowo)

w szkole im. Czackiego, 3 stycznia 1919

[...] *Pobyliśmy tu do 30 grudnia i tego dnia wymaszerowaliśmy stryjską szosą na Persenkówkę, Betonarnię. Zmieniliśmy galicjan*, którzy od siedmiu tygodni zajmowali tę pozycję. Boże, ale co za pozycja! Dobra, to fakt, lecz: rów, w nim śnieg po pas, pod śniegiem woda – i w tym konglomeracie śnieżno-mokrym trzeba leżeć 18–24 godzin bez przerwy, pod nieustannym ogniem nieprzyjacielskim. Trzeciej doby nasi żołnierze, już nie pomnąc na czyhającą każdej chwili śmierć – zasypiali w okopach, dwóch to przypłaciło życiem. Najgorsza była ostatnia noc – piekielne chwile... Żeby chociaż było sucho! Ale pływało się w wodzie, w śniegu. Dużo nam pomogły ręczne granaty.*

Gdy zmienił nas pułk radomski, nie mogłem początkowo iść, chwyciły mnie kurcze. Aleśmy przetrzymali: nas 36 odparło atak 320 Ukraińców!

* Galicjan – żołnierzy polskiego oddziału sformowanego w Galicji. Natomiast dla Polaków z Galicji żołnierze z Warszawy byli „królewakami”.



← Mszana, 1919. Polscy oficerowie na stacji kolejowej, w jasnym płaszczu gen. Tadeusz Rozwadowski

Gazety lwowskie piszą: „Cześć bohaterom warszawiakom!”. [...]

Pamiętam moje pierwsze próby rzucania granatów. Nieśmiało wziąłem jeden ze skrzynki, odmotalem szybko przesmoloną szmatę z czuba trzonka i szybko wyliczywszy sakramentalne 21–22–23 – rzuciłem go poza sztabel [stos desek]. Zastukotał po deskach i – cicho. Pytam się jakiegoś starego żołnierza, co jest. „Czyście zerwali ten tekturowy krążek? Nie? A no, to widzicie.” Biorę drugi granat. Odwijam szmatę, zrywam tekturowy krążek: pocisk leci na drugą stronę. Cicho... „Mój Boże! Pewnieście nie wyrwali sznura z kółeczkiem?!” Wstyd mi było, więc sięgnąłem po trzeci granat, a kiedyś wyrwał sznur i coś we wnętrzu zasyczało oraz pokazał się błękitny dymek – nie pomnę na „21–22–23”, rzuciłem szybko a daleko zawartą w blaszance śmierć. Tym razem gruchnęło imponująco, błysk rozświetlił na chwilę zarysy fabrycznych budowli, bladossine twarze żołnierzy i już teraz wiedziałem – umiem rzucać skoncentrowaną śmierć. [...]

Dziedzice, 17 stycznia 1919

Kochana Stryjenko! Jestem w Dziedzicach – na Śląsku Cieszyńskim. Spoglądam od czasu do czasu na me przetrącone kolano i rozmyślam, jak prędko będę mógł powrócić na front, aby pomścić i je, i mego kolegę, którego jakiś chamski cham-Ukrainiec zabił!

Dziedzice. Jest to ogromny, batalionowy zapasowy szpital, urządzone dosyć porządnie, tylko niestety karmią tu nieosobliwie, na co mocno się oburza

nasza brać ochotnicza, niezwyčajna takiego jedzenia. [...] Leżę więc całymi dniami w łóżku, czytam i jem, wydając po 10–15 koron dziennie na życie, a tu doktor grozi, że jak będę chodził, to się zacząną psuć stawy kolanowe i amputują mi nogę. [...]

Noc z 5 na 6 stycznia przespaliśmy w Rzęśnie Polskiej, odległej o 5–6 kilometrów od Lwowa. Nazajutrz o świcie wyruszyliśmy dalej i gęsiego, przez ogromny las zbliżyliśmy się ku miejscu bitwy, które zwiastował wzmagający się huk dział i trajkotanie maszynek i karabinów ręcznych, które my nazywamy obrazowym językiem: „kartofle się parkoczą”. Nie dochodząc do końca lasu, rozwinęliśmy się w tyralierę i mnie wypadło po raz pierwszy osobiście dawać przykład licznym rekrutom. [...] Wdzieramy się na górę, na której położona jest wieś. Trafiamy akurat na przygotowania przedświąteczne, po chwili nasi chłopcy ciągną stosy chleba, placków i pierogów i rozpoczyna się dorywca „wsuwa”. Ja uzyskuję od dowodzącego nami porucznika, iż w boju zachowuję się, jak przystoi na starego żołnierza.

Wymaszerowujemy dalej. Następną wieś już zdobyta przez inne oddziały, będziemy mieli tu parogodzinny postój. Oprócz zdobytych jeńców i maszynek zabraliśmy w Rzęśnie Ruskiej kuchnie polowe, wozy z granatami ręcznymi i 60 tysięcy nabojów karabinowych. [...]

Wieś, którą nam przeznaczono na kwatery, nazywa się Wroców. Ja zajmuję chałupę ze swoją sekcją, liczącą ośmiu ludzi. Gospodyni – Rusinka, mąż w szeregach ukraińskich, ona narzeka na biedę, przed nami na stole tylko pół bochenka chleba

i szkaradne, kapuściane pierogi. Podnoszę głos:

- *Babo, daj isty!*
- *Ni ma, panoczku...*
- *No, bo jak znajdziemy, to zabierzemy wszyst-
ko darmo!*

Mrugnąłem na jednego z żołnierzy. Po chwili znajduje się bochen chleba, garnek mleka, placek, śmietana... Każemy gotować rosół z trzech kur i wybuchą ożywiona rozmowa, baba zaś tymczasem lamentuje, płacze, po cichu nas przeklina, lecz „tańcząc wraże, jak pan kaže!”. [...]

Wę wsi Mszana staliśmy trzy doby i 11 stycznia o czwartej rano wyruszyliśmy w stronę Suchej Woli. Zaraz za wsią smutne cmentarzysko wojskowe: krzyże z nieociosanych kołków... Fe! Zostać pochowanym na takim odludziu i nigdy, nigdy życzliwa dłoń nie zaopiekuje się twym grobem, nigdy życzliwe usta nie zmówią modlitwy za spokój twej duszy... [...]

Porucznik Krzemiński, dowodzący naszą kompanią, rozsypał 1 pluton w tyraliery w lewo, pozostałe dwa miały się rozwinąć na prawo, gdy posypały się na nas strzały karabinowe i zagrały maszynki. „Padnij!” Leżymy wszyscy plackiem w mokrym śniegu, kule śpiewają: ty-y-y... ty-y-y... Czasami kłaśnie jak z bicia w pobliskie drzewo lub prysnie błotem albo śniegiem sprzed głowy.

Inne kompanie formują się poza nami. Wrażenie ognia nieco scichł. Ponowna komenda: „Powstań! Naprzód, wiara!”. Na to wezwanie prawe skrzydło naszej kompanii rozsypuje się w tyraliery i zachodząc jednocześnie od prawego – biegnie naprzód. Ogień ze wsi, którą atakujemy, wzmagają się, lecz nie zważamy na to, lecąc jak szalony naprzód i wołam: „Naprzód chłopcy, równaj!”. Pierwszy zwał się ciężko ranny plutonowy 4 plutonu, potem jeden szeregowiec – widziałem, jak krew buchała mu z głowy. Padamy, po chwili podrywamy się i pędzimy dalej. Mam wielki kłopot przy padaniu: tornister wali mi się na łeb, chlebak podwija pod brzuch, granat ręczny wypada zza pasa...

Podczas tego wyścigu ze śmiercią, wśród świstu kul i trajkotania karabinów maszynowych, głowę świdruje jedna myśl: „Jeszcze żyję? Nie dostałem?”. I nic więcej. Przed nami równe pole pokryte kreto-wiskami i w odległości 600–700 metrów atakowana wieś – Bartatów. Mgła duża, wtem przed nami wynurzają się jakieś leżące postacie. Ukraińcy? – błysnęła nam myśl i wnet rekruci zaczęli w biegu ostrzał w ich stronę. „Nie strzelać, cholery! – grzmi wzdłuż szeregu – to nasi!” Podbiegamy bliżej: to galicjanie z karabinami maszynowymi.

Świst kul wzmagają się, słychać jakby brzęczenie roju pszczoł, koło głowy, rąk, nóg – wszędzie! [...] Wtem uczulem piekący ból w lewej nodze i runąłem na ziemię. W tyralierze wołano: „Maciejewski rany!”. Któryś, przebiegając obok, zawołał:

„Leż, nie podnoś się, bo zginiesz!”. Inny zabrał mój karabin, a rzucił swój, zepsuty. Pierwsza linia jak fala przeszła dalej. Nadbiegło kilku galicjan.

– Rannyś, bracie? Daj, to ci obandażuję!

Uciągli mi nogawicę u spodni i kalesonów.

– Przestrzelone kolano. Ale nic wielkiego!

Obandażowali mi nogę, śpiewałem sobie pod nosem: „Naprzód, drużyno strzelecka!”.

– Warszawiak! To nie tak, jak nasi galileusze – płacze, jęczy. A ten ci śpiewał!

Poszli dalej. Przed mną leży mój kolega, plutonowy Kryst. Biedak ranny ciężko w piersi i w rękę – jęczy okropnie. Rano jeszcze opowiadał mi o swych przygodach miłosnych. Wyciągnąłem się jak można najwygodniej na śniegu i zmarzniętej grudzie i czekam – rychło li przyjdą przekłęci sanitariusze. Oni jak hieny czatują: prędko li któryś z rannych przeniesie się do wieczności, a wtedy zrobią u niego skrupulatną rewizję, ażeby obciążony marną mamoną nie poszedł przed oblicze Pana Boga!

Leżałem przez cztery godziny w śniegu, zanim przeniesiono mnie do wsi, skąd po godzinie wywieziono saniami do Mszany – na stację. Po drodze aż płakałem, widząc, jak moi towarzysze idą i jadą, a ja – kaleka – bezwładny.

[...] Po wyzdrowieniu zaniósłem swój „grosz wdowi” na Skarb Narodowy i wyszedłem z gmachu Banku Państwowego [w Warszawie] srodze pokrzepiony. Widziałem oto ludzi składających oszczędności wielu lat na ołtarzu Ojczyzny, widziałem starców supląjących z portmonetek po kilka srebrnych monet i innych – przynoszących ze sobą srebro w koszykach. Nie zginie Polska, skoro ma takich obywateli!

Jednocześnie ulicami jeździły opancerzone samochody z kulomiotami gotowymi do strzału, kroczyły robotnicze pochody z czerwonymi sztandarami, przed którymi trzeba było – kazali – zdejmować nakrycie głowy lub maszerowała czerwona milicja w czarnych, długich płaszczach pod komendą wojskowych instruktorów... Dziwnym konglomeratem była wtedy stolica. [...]

23 lutego 1919 przybyliśmy do Bartatowa. W kompanii zastaliśmy wielkie zmiany, wielu brakowało. Dowódcą był porucznik Kretowicz, oficer

byłej armii rosyjskiej. Przyjął mnie ogromnie niesympatycznie, dziwił się podobno na zebraniu oficerów, że taki „gówniarz” jest plutonowym*. Porucznik Lachowicz, podporucznik Karpiński, porucznik Margold gorąco brali mnie w obronę.

[...]

11 marca 1919 [...] wprowadziłem pluton do okopów i w nich, pomimo dość silnego przymrozku, doczekaliśmy rana. Chcąc pokrzepić chłopców i czymś ich zająć, a zaimponować hajdamakom – poleciłem śpiewać. Ryczano tedy wcale melodyjnie Naprzód, drużyno strzelecka, Wojenkę i inne.

W sztabie kompanii zdarzył się przy tym komiczny wypadek. Porucznik Kretowicz spał w najlepsze, kiedy gruchnęła jedna i druga salwa. Wysłała tedy ordynansa, aby się dowiedział, o co chodzi. Ten zaspany wyłaził przed chałupę i słyszy zza wody chóralny, głośny śpiew. Wraca czym prędzej i melduje, że Ukraińcy atakują i śpiewają, i krzyczą! Porucznik zrywa się z łóżka, momentalny alarm reszty kompanii, zaspani kulomiotacze otwierają ogień całą serią. Nieco za późno przypominano sobie o istnieniu telefonu i wówczas dopiero miałem możliwość uspokoić roztrzęsione nerwy moich przełożonych.

Tak, miałem już wówczas na swej kwaterze telefon, dwóch telefonistów i kulomiot z obsługą. Mieściła się ona razem z całym plutonem w jednej czy dwóch chałupach, zresztą cały Bartatów aż kipiał wojskiem. Przeludnienie było okropne, leżeli w izbach wprost jeden na drugim, zatruli życie chłopom, którzy nie mogli palcem kiwnąć, aby nie mieć kilku mimowolnych świadków.

Mnożyły się wszy i kradzieże. Wieś była ogołocona ze wszelkich produktów żywnościowych. Żołnierze pierwszego dnia po zdobyciu – rekwirowali, potem starali się kupować, a gdy chłopci z łatwo zrozumiałych powodów sprzedawać nie chcieli – kradli, rozkopywali nocami nawet kopce kartofflane.

Szarża za składkowe pieniądze kupowała cielaki – odżywiano się. Tymczasem bochenek żołnierskiego chleba kosztował 50 koron, jajko 10 koron i tak było póty, póki nie zaczęły na wiosnę nadchodzić amerykańskie konserwy, papierosy, słonina, wreszcie chleb pszenny i brazylijska fasolka. [...]

28 marca 1919. Nad wieczorem ponownie

obsadzam ze swoim plutonem Małoń. W nocy deszcz, a w dzień w perspektywie dalsze „drutowanie” pozycji. Już te druty kolczaste dały się nam we znaki! Traf zdarzył, że jak tylko nasza kompania zajęła jakiś odcinek – wyższa konieczność nakazywała go zabezpieczyć drutami kolczastymi. Kaleczyliśmy więc ręce i rwaliśmy mundury, całymi dniami telepiąc się po ohydnych błocie, a kiedy robota już była ukończona, przenoszono nas na inny odcinek i znów da capo [od początku]! [...]

Zdobyliśmy Stawczany i stanęliśmy w Polance, ale o tym piszę w liście do stryjki.

Stawczany–Polanka, 22 kwietnia 1919

[...] *Z góry wiedzieliśmy, iż operacje są zakrawane na dużą skalę, że jest zgromadzona wielka ilość wojska, artylerii, że będą czynne aeroplany. W tym celu kazano nam, abyśmy wszyscy powieszali sobie na plecach białe chustki lub szmaty, które by odróżniały nasze wojska od ukraińskich. W zajętych miejscowościach mieliśmy na odkrytych miejscach układać wielkie szachownice z prześcieradeł lub płótna – ażeby uniknąć bombardowania.*

W Wielki Czwartek po południu wyruszyliśmy z Bartatowa do Woli Bartatowskiej. Tam spędziliśmy resztę dnia na zabawie, o północy była kawa, potem zbiórka. Stojąc w szeregach, zaśpiewaliśmy Naprzód, drużyno strzelecka i Rotę, potem nastąpiły okrzyki na cześć 2 kompanii i jej komendanta, po czym zaczęła się dla nas nowa epoka – wyruszyliśmy na Stawczany.

Zaraz za szosą weszliśmy w las i w milczeniu posuwaliśmy się naprzód w kolumnie dwójkowej. Noc była bardzo widna, księżyc swym łagodnym światłem zalewał okolice, które są tu ogromnie malownicze. Żaby rechotały donośnie, czasem odezwał się puszczek... Szepotali sobie żołnierze swe spostrzeżenia, ja żartami starałem się odpędzić od nich smutne myśli o zbliżającym się boju.

Zostawiliśmy z boku wieś Jacko, potem Henrykówkę i Kalinkę, w której spotykamy pułk wielkopolan. Słicznie wyglądają – w stalowych hełmach, z karabinami i bagnietami, połykującymi w blasku miesiąca – jednostajnie ubrani i uzbrojeni, po kilka granatów ręcznych u każdego, krok miarowy. Sprawiają wrażenie groźnej, czarno-sinej fali, dążącej świadomie do z góry określonego celu. W ogóle poznać z nich to świetne wojsko!

* 24 lutego 1919 Autor objął dowództwo 2 plutonu 19 Pułku Piechoty Odsieczny Lwowa.

Dalej mijamy Bondarówkę, wchodzimy na strefę neutralną, zajmujemy chwilowo folwark Magdalenówka. Tu odpoczywamy jakiś czas (oficerowie piją „na animusz”, a my, jako że nie mamy co pić, przegryzamy, czym kto ma, a kto nie ma nic – drzemie) i, znowu przeszedłszy łąkę, idziemy brzegiem lasu aż do cegielni znanej nam z poprzednich potyczek. Tu rozsypujemy się w tyraliery. [...] Nasza tyraliera pokazuje się pod wzgórzem, którego grzbiet zajmują hajdamacy. Druty kolczaste i ich okopy było widać jak na dłoni. Wszystko zaś wyglądało jak poruszone mrowisko: czarne figurki znikły, pokazywały się, wreszcie poczęły uciekać. Na ten widok okrzyk „Hurra!” wydarł się z piersi naszych żołnierzy – ze zdwojoną energią ruszyli naprzód.

Razem z jedną sekcją szedłem lasem, gdy ozwały się maszynki i trzask broni ręcznej. Kule świergotliwie zaśpiewały nad głowami, więc padliśmy, ale wnet woda zmusiła nas do powstania i znów – marsz naprzód! Oto skraj lasu. Wszędzie leżą pościnane grube sosny i świerki, a ich obfite gałęzie chronią nas przed obserwacją Ukraińców. Na nieszczęście mój mannlicher początkowo nie chciał repetować, a potem w ogóle się zagwoździł. [...] Pod gradem kul, ostrzeliwany zawzięcie przez artylerię nieprzyjacielską, w obliczu hajdamaków siedzących w okopach o 200 metrów od skraj lasu – byłem bezbronny.

Miałem za to możliwość swobodnie obserwować zachowanie poszczególnych żołnierzy. Ujrzałem jednego, jak strzelał o cztery kroki przed siebie – w ziemię – aż grudki wylatywały na kilka metrów w górę. Drugi – schowawszy głowę między kolana, a wypiąwszy smutną twarz w górę – starał się tłuc panu Bogu i wszystkim świętym jak najwięcej okien. Trzeci strzelał w prawo w skos, czyli prosto na żołnierzy z I kompanii. „Czemu ty, małpo, taka owaka... tam strzelasz? Z tamtej strony przecież są nasi!” Obejrzał się na mnie błędnym wzrokiem i szepnął: „Bo przecież z tamtej strony zachodzą Rusini”. [...] Zagrzmiąło „Hurra!” i nasza wiara runęła do drutów. Część chłopców sygnęła się tajemnym przejściem, druga bezradnie skupiła się przy drutach, gdyż zgubili nożyce. Doskoczyłem do nich, kolbą obsunąłem druty po palikach – żołnierze, jak zające, pojedynczo poczęli przez nie skakać, ja zaś udałem się bardziej w prawo: druty tu były francuskie, bardzo sztywno naciągnięte, co mi dało możliwość przeleźć po nich jak po drabince i biec wraz z innymi ku okopom.

Co tu leżało amunicji, granatów ręcznych! Wszędzie widniały chlebaki, plecaki, płaszcze

FOT. JERZY KONRAD MACIEJEWSKI / OŚRODEK KARTA



→ Stawczany, kwiecień 1919. Żołnierze 2 kompanii I Warszawskiego Batalionu Ochotniczego Oddziału Odsieczny Lwowa (od kwietnia 1919 19 Pułku Piechoty Odsieczny Lwowa) podczas wiosennej ofensywy na froncie polsko-ukraińskim. Trzeci od lewej Jerzy Konrad Maciejewski

i sprzęt żołnierski. Nasza kompania zdobyła dwa kulomioty – biegniemy dalej. Boczny rów, blindaż – pod nim coś się rusza. „Wychodź! Kto tam?!” Cisza, po chwili znów szmer. Żołnierze, którzy się zgromadzili dookoła, coraz groźniej wykrzykiwali, wreszcie jeden wystrzelił do wnętrza schronu. Buchnął stamtąd okrzyk przerażenia i ukazali się dwaj: jeden w negliżu, w narzuconym na siebie cywilnym płaszczu, drugi w rosyjskim mundurze zimowym (podwatowanym) i austriackiej czapce – wyciągali ku nam błagalnie ręce. [...] Niezbyt chętnie poprowadziłem ich ku końcowi wsi, a dociągnąwszy do ostatnich chałup, stanąłem bezradny. Gdzie sztab? W której stronie?

[...] Nadjechał tabor poznańczyków, wiozący zdobyte kilofy, łopaty, karabiny i prowadzący jeńców. Zdałem im swoich dwóch i, ucieszony odzyskaną



wolnością, ruszyłem w stronę, skąd rozlegał się nieustanny grzechot broni ręcznej. Ale gdzie znaleźć mały oddział wojska podczas walki, w takiej ogromnej wsi jak Stawczany? Błądziłem blisko dwie godziny. Po drodze baby stały z dzieżami mleka i zapraszały, aby pić. Piliśmy do woli. Koło cerkwi znalazłem skrzynię z 1500 jajami (Ukraińcy szykowali na święta), cóż jednak miałem z nimi robić? Wypiłem dwa, reszta została. [...]

W zdobyciu Stawczan, Polanki i innych główną bodajże zasługę należy przypisać wielkopolanom. Oni szli jak burza, a sprawnie, jak przystało na żołnierzy spod musztry niemieckiej. Nawet zajmąwszy Polankę, w rowie przydrożnym zwróconym w kierunku Ukraińców, a imitującym okopy, znaleźliśmy dwa trupy wielkopolan: skrwawione, zastygłe

w jakimś przedśmiertnym odruchu – straszne. Padło ich wielu. Bez trudu mogłem ubrać cały mój pluton w helmy stalowe, część nawet żołnierzy przywdziała je, lecz gorąco było tak wielkie, że koło południa przy spotkaniu strumienia, wbrew mojej perswazji, większość „garnków” powędrowało na dno. Szczęściem, tego marnowania mienia państwowego nie widział pułkownik Konarzewski, który właśnie nadjeżdżał na wspaniałym koniu w otoczeniu swego sztabu.

Mieliśmy kilku rannych i zabitych, w ich liczbie nasz „fotograf” baonowy, Artur Winenberg, zacny chłopak, cichy, dobry służbista, a zginął tak marnie... Stawczany były już zdobyte, jeno na krańcach wsi w opłotkach ostrzeliwały się grupki uciekających Ukraińców. Kilku z nich wpadło do jednej z chałup, kilku razem z karabinem maszynowym



FOT. INSTYTUT POLSKI I MUZEUM IM. GEN. SIKORSKIEGO W LONDYNE / OSRODEK KARTA

↑ Okolice Bartatowa, 1919. Płk Władysław Sikorski (trzeci od lewej) na froncie polsko-ukraińskim

zatrzymało się za pobliską stodołę. Winenberg, wysforowawszy się naprzód, przed kompanię, zgrzany wpadł do złowrogiej dlań chałupy, aby się napić mleka i został przywitany kilkoma strzałami, a potem w leżącego przed izbą bił kulomiot – dziurawiąc go jak sito. Podobno naliczono na nim siedemnaście ran. [...]

Jankowo, 2 maja 1919

Kochana Stryjenko! Jutro jedzie kilku druhów na urlop, więc z nimi posyłam tę „kronikę”. [...]

Wieś [Glinna] bardzo ładna, wesoła, złożona w większej części z mieszkańców Polaków, zaraz to odbija się na ogólnej fizjonomii osiedla. Chałupy są schludniejsze, czyste, między domkami (przeważnie murowanymi) ogródki kwiatowe, w oknach często firanki, w ogóle cały układ mieszkania jest inny. Jest nam o wiele przyjemniej słyszeć wszędzie mowę polską, a już wpadamy w zachwyt, gdy słyszymy rozmawiające po polsku dzieci. Więc naprawdę polska wieś! Bo już nieraz wątpiliśmy w słuszność naszej sprawy – azali naprawdę jest to kraj polski? Dlaczego wszędzie widać tylko Rusinów? Po co nam zyskiwać sobie najgorszych, bo wewnętrznych wrogów państwa? [...]

Polanka, 6 maja 1919

Kochana Mamuńko! [...] Otóż ja jestem zdania, że siły i życie moje potrzebne były Ojczyźnie w nagłej potrzebie, ale obecnie wobec poboru rekruta konieczność ta odpada – niech Mama pocźnie starania o zwolnienie mnie z wojska. [...] Gdyby Mama mogła przysłać mi jaką posyłkę, ot – byłbym wdzięczny! A jak byłbym dumny przed kolegami, gdyby wiedzieli, iż tam, w kraju, są serca, które o mnie pamiętają. Wszak my oddajemy Ojczyźnie, co mamy najcenniejszego – życie!

Dokucz mi brak bielizny, mam tylko dwie pary, skarpetki mi się porwały, robactwo gryzie – jak to na wojnie, a na odpoczynek nie chcą nas posłać. Orderu „za waleczność” jeszcze nie otrzymałem, ale wkrótce to nastąpi, order będzie się nazywał „Orleńta”.

Założyliśmy (z mojej inicjatywy) bibliotekę plutonową, składającą się z 50 książek, jest więc co czytać. Mam aparat fotograficzny, robię dużo zdjęć, stąd pochodzą owe fotografie, które posyłałem Mamie.

W karty obecnie nie gram, gdyż miesiąc temu przegrałem 500 koron i odtąd dałem sobie słowo, iż więcej w „oczko” grać nie będę. Grywam czasami po

koronie w „66”, ale to tylko dla spędzenia czasu.

Gdy piszę te słowa, trzy baterie ukraińskie bombardują Harajec (pozycję, gdzieśmy poprzednio byli). Ciepło tam jest! Ale aby Haller przyjechał – damy im bobu. [...]

W przeddzień ofensywy przeniesiono nas na prawe skrzydło odcinka, gdzie sąsiadowaliśmy z 22 pułkiem piechoty (siedleckim) w Kalinówce. Prześlizgnięta miejscowość, a i pogoda była prawdziwie wiosenna i ciepła, słoneczna, wszystko rozkwitało, młoda zieleń zakrywała szare brudy na polach, porastała świeże mogiły, wysychało okropne, wszechobecne błoto. Przez powietrze szedł jakiś powiew tężyzny, ciągnęło, do czynu! [...]

Nowe i Stare Chrusno, Monastyr, Karczma Rakowiecka. Tu w pobliżu bije się 2 baon, w którego skład wchodzi i 8 kompania pod dowództwem por. Konstantego Lachowicza. Mnie z plutonem polecono chwilowo obsadzić Karczmę Rakowiecką i tu zaszedł ów epizod, z którego – pomimo chęci zachowania obojętności – jestem dumny.

Grałem właśnie w karty z paroma kolegami, gdy do obszernej izby wpadł żołnierz, meldując, że „jakieśi oficerzy jadą w autach i pytają o komendanta placówki!”. Złapałem swój plik banknotów i, nie zdążywszy go nawet schować do kieszeni, zbliżyłem się do samochodu, stojącego obok domu na szosie. Za nim widać było jeszcze kilka pomniejszych, w nich oficerowie koalicyjni, a w tym wielkim: [gen. Józef] Haller i płk [Władysław] Sikorski!

Pierwszego znalazłem z fotografii, drugiego pamiętam z owego czasu, kiedy byłem komendantem w Bartatowie i pułkownik Sikorski zwiedzał nasz odcinek. Wówczas kapitan Żongołłowicz czy też major Olkowski powiedział: „Plutonowy Maciejewski. Jeden z najmłodszych i najdzielniejszych moich podoficerów! Ranny podczas zdobycia Bartatowa”. Preżąc się wówczas jak struna, krzyknąłem przed frontem plutonu: „Baczość! W lewo patrz!” – i zdawałem raport. Wszystko to migało mi w pamięci, gdym przechodził kilkanaście kroków do wozu, gdzie siedział ów oczekiwany wódz. On był u nas, a marszałek Piłsudski przez blisko trzy lata mego pobytu w pułku nie zajrzał do nas, choć nieraz witał stojące obok pułki.

– Czołem, panie generale!

– Czołem, plutonowy – odpowiedział Haller, wyciągając ku mnie dłoń.

Wstąpiłem na stopień auta, czułem, że pokraśniałem i że przed karczmą stoją wszyscy moi komiltonowie... Pułkownik Sikorski zawołał życzliwie:

– Jak się macie, panie plutonowy! Panie generale, dzielny chłopak, ranny był przy zdobywaniu Stawczan*!

Podał mi rękę, zapytali o rozlokowanie sztabu baonu i odjechali. [...] Potem musiałem szczegółowo opowiadać kolegom: o co pytał, a co mówił pułkownik, czy to rzeczywiście był Haller?

Godzinę później przerwano grę ponownie, a karta właśnie szła mi diabelnie.

– Co jest?!

– Pan generał prosi.

Wychodzę ku samochodom, gdzie Haller, witając mnie jak starego znajomego (trzeba przyznać, że umie sobie jednać ludzi), wręczył mi wielkie pudło pastylek czekoladowych – wprost z Paryża – z prośbą, abym to rozdzielił pomiędzy żołnierzy. Scenę tę zaraz sfotografowali przemyślni Anglicy, jeno nie wiem, gdzie mam szukać owej podobizny. [...]

1 czerwca wkroczyliśmy do Brzeżan. Ładne to musiało być miasto, jeno zniszczone srodze w czasie wielkiej wojny. Sądziłem wszyscy, że po tyludniowym marszu dostaniemy odpoczynek, kiedy więc wyznaczono prowizoryczne kwatery, wiara rozsypała się po mieście. W towarzystwie jednego z kolegów udałem się przede wszystkim do fryzjera. Zaimponowały nam dawno niewidziane lustra, błyszczące szczoteczki, miseczki, biel fartuchów obsługi... Tu ci się zaczyna cywilizacja! Potem do pierwszorzędnej cukierni na kawę i ciastka. Inna rzecz, że sklepy były ogołocone sumiennie ze wszelkiego towaru, prawdopodobnie pochowano je przed Ukraińcami, a może przed nami. Jeśli któryś z kupców i wydobywał coś ze swych zapasów, to doprawdy nie wiedział, jaką policzyć cenę za swój dobytek. [...]

2 czerwca, wyszedłszy na szerokie, równe płaskowzgórza, na twarde, choć boczne drogi, rażno spieszyliśmy naprzód. Celem naszym był Tarnopol. [...] Pod wsią Zabójka trzeszczały karabinowe strzały. Batalion stanął. Chłopi zeznawali, że w tamtej wsi stoją znaczne siły ukraińskie. Sytuacja

* Mylił się – to w Bartatowie. (Przyp. aut.)

była bardzo niepewna. Przed nami wróg, na lewo – nawet nieco już w tyle – „znaczne siły”, ponoć cała brygada; na prawo Bóg wie co. Wysłano na patrol porucznika Dąbrowskiego z I kompanii wraz z kilkoma ludźmi.

Dalej piszę na podstawie opowiadań uczestników patrolu, którzy mówili, że – zbliżając się do wsi – słyszeli tam straszny rozgardiasz, krzyki i pojedyncze strzały. Między domami widać było gromady zawzięcie sejmikującego żołnierstwa. Wszyscy byli święcie przekonani, że są otoczeni, a była ich rzeczywiście brygada, licząca przeszło 2000 ludzi wraz z kompletnym uzbrojeniem. Jedni chcieli przebijać się na wschód, inni wołali, że mają dosyć tej głupiej wojny, gdzie ich wprowadzają w pułapkę, że nie tylko ojczyzna jest na świecie, każdy z nich chce wrócić do domu, do żony i dzieci. „Dosyć już tych kilkuletnich mordów, jesteście otoczeni!”

Patrol za stodołami zbliżył się niemal do samej wsi i tu ich spostrzeżono. Zaczął się szalony popłoch. Rzucano w panice broń, mundury i uciekano na wszystkie strony. Grupka odważniejszych zbliżyła się ku naszym, a przekonawszy się, że są to naprawdę owi znenawidzeni Polacy, wróciła do wsi, wzywając rozpaczliwie: „Do broni, do broni!”. Tłumy żołnierstwa wysypały się na spotkanie. Z bronią gotową do strzału stali nasi chłopcy, zaś porucznik, zwinawszy dłoń w trąbkę, krzyczał po rosyjsku: „Poddajcie się! Jesteście okrążeni! Walka bezużyteczna, Tarnopol już zdobyty!”.

Wysłani parlamentariusze oświadczyli gotowość do kapitulacji. Z trzaskiem rzucono karabiny na stos i odpinano pasy. Wysłane kompanie przyprowadziły jeszcze wrzące tłumy na szosę, skąd po noclegu miała ich nasza kompania odtransportować do Brzeżan. Noc spędziliśmy niespokojnie, nie dodawała otuchy obecność masy ludzi, choć rozbrojonych, ale wrogów i już teraz orientujących się, że ich wzięto podstępem.

Szary brzask poranka zastał nas szykujących się do drogi, a jeńców leżących pokotem wokół porozkładanych ognisk. Wstawali, przeciągali się i przyglądali nam ciekawie, to samo czyniliśmy i my. Niektórzy z naszych próbowali „zamienić” niektóre części garderoby u nich, lecz spotkali się z tak groźną postawą, że rychło poniechali swych zamiarów. Dowództwo też było przeciwko obdzieraniu Ukraińców, powiadali, że to nierycersko... Zobaczmy ano, jak się inni zapatrywali na tę rycerskość. Ja tylko poprosiłem jednego z żołnierzy



nieprzyjacielskich o jego „bączek”, to znaczy okrągłą odznakę noszoną na czapce. Był na niej ukraiński lew i wokół w otoku napis: „Українське Січовоє Стрільці”.

Znamienne jest, że ich oficerowie, zerwawszy odznaki, pozostali w szeregach jako prości żołnierze i oni to głównie podzegli szary tłum żołnierski do oporu, wzywali do ufności, że jeszcze „wезде słońce wolnej Ukrainy”. Nic na to poradzić nie mogliśmy, zresztą oni byli solidarni i oficerów nie wydawali.

Wymarsz. Wyciągnęła się długa kolumna jeńców, a po bokach kroczyły rzadko pojedyncze figurki naszych żołnierzy. Śmiech i strach – bo gdyby chcieli, to by tych kilkudziesięciu ludzi eskorty wydusili jak szczury i sami rozpierchli się na wszystkie strony, co – przy słabym obsadzeniu frontu i złej organizacji etapów – dawało im 90 procent szans, że zdołają się przedostać za Zbrucz. Szczęściem pomysł ten nie przyszedł im do głowy, lecz ilu uciekło po drodze – Bóg jeden wie. Ścisłej liczby jeńców nikt nie znał, opierano się na słowach ukraińskich oficerów. Przy słabej ilościowo eskorcie, podczas przechodzenia przez wsie „tonęli” w chałupach, stodołach i choć wiedzieliśmy o tym, nic



FOT. INSTYTUT POLSKI MUZEUM W. GEN. SKIORSKIEGO W LONDYNIE / OSRODEK KARTA

← Zachodnia Ukraina, lato 1919. Jeńcy ukraińscy wzięci do niewoli pod Jazłowcem. Z lewej stoi wachmistrz Bronisław Gadzin

poradzić nie było można, bo czyż było się w stanie dodawać naszym żołnierzom do wszystkich jeńców, którzy biegli pić wodę lub za swoją potrzebą?

Żołnierze, powracający potem z Brzeżan, opowiadali z goryczą, jak natychmiast po przybyciu kolumny do miasta oddziały etapowe, a szczególnie żandarmeria, rzuciły się na jeńców niczym stado kruków. Zamknięto ich w koszarach, obstawiono wyjścia i rozpoczął się rabunek – zdzierali wszystko, nawet lepszą bieliznę, w zamian obdarzając najgorszymi łachami. Wszystkie zapewne przedmioty zarekwirowane i garderoba stanowiły osobistą zdobycz rabujących.

W ogóle oddziały małopolskie stanowiły najgorszy pod tym względem element w armii. Jeszcze z czasu zimowych walk pod Lwowem opowiadano w wojsku o oddziale rotmistrza Abrahama i innych, które – zdobywając ruską wieś – zabierały chłopom wszystko, co się dało unieść lub wywieźć do tego stopnia, że nawet brudną bieliznę ze strychów ładowano na sanie i wywożono „do Lwowa”. Teraz, kiedy opanowaliśmy wschodnią część Małopolski, wszędzie zaczęły się rządy miejscowych kacyków. Prywata miała szerokie pole do działania. Mszczono dawne urazy i jak przedtem ukraińska kokardka

żółto-niebieska, tak teraz orzełek dawał prawo do wszelkich „zarządzeń”. Tak, małopolanie wynieśli dobrą szkołę z szeregów armii austriackiej i teraz szeroko swe umiejętności stosowali. Najwybitniejszymi cechami wojny o Ruś Czerwoną w latach 1918–19 były: częste mordowanie jeńców i zwyczajowe obdzieranie ich ze wszystkiego. [...]

W Tarnopolu wzięliśmy olbrzymią zdobycz, lecz popasać nam w nim nie dano, stanęliśmy parę kilometrów dalej. [...]

Cofaliśmy się. Wojsko całą noc odpływało na zachód przez zniszczone wsie i poryte okopami pola, czasami odpoczywało przez dziesięć minut na pokrytej zamrozem ziemi, aż o wschodzie słońca zatrzymało się u krawędzi gór, tworzących kotlinę, w której leżało miasteczko Pomorzany i przepływała rzeka, dopływ Złotej Lipy. Tu, nad tą wodną zaporą, mieliśmy stawić czoło hajdamakom, stworzyć nowy front.

Okolo południa na lewym skrzydle rozgorzała silna walka, zajmował tam odcinek 3 baon, złożony z rekruta. Batalion ten przybył do pułku przed niewieloma dniami. Na nas też posuwały się tyraliery, ale pewni siebie wstrzymywaliśmy je ogniem. Raptem od tegoż lewego skrzydła, labiryntem starych

okopów, zaczęli się zbliżać Ukraińcy i aniśmy się spostrzegli, kiedy ostrzeliwano nas z dwóch stron. Podano rozkaz: wycofywać się powoli za rzekę. [...] Michał Hejnisz razem ze mną i kilkoma żołnierzami do ostatka osłaniał odwrót kompanii. [...] Wreszcie i my uciekamy. Pędzę z góry na leb na szyję, wiatr gwizdże w uszach, a świst kul pogania. Trzaskają w ziemię i ściany domostw, za którymi dopiero zwalniamy kroku.

Zziany jestem strasznie, z trudem łapię powietrze. Pojedynczy żołnierze strzelają ku górze, ku schodzącym z niej tyralierom, ale cofamy się szybko i bezapelacyjnie. Na wózkach jadą ranni, między nimi podporucznik Gutkowski i kapral 1 kompanii, Machczyński. Ten ostatni ma pecha: ilekroć bierze udział w bitwie – jest ranny. Wykuruje się, wróci do pułku i znów ranny w pierwszej potyczce.

Przechodzimy most na rzece, właśnie usiłują go rozebrać lub spalić, lecz pewnie czasu im nie starczy. Pniemy się z wysiłkiem pod górę, kule jakoś rzadziej trzaskają w ziemię, aż na górze, w lesie, oddychamy spokojniej. Na pytanie – kto winien, leci pogwar przez szeregi, że to „rekruty z 3 baonu pozwoliły sobie przerwać front”. [...]

Nad wieczorem przechodzimy Dunajów nad Złotą Lipą i maszerujemy dalej. Góry, doły, lasy, zniszczone wsie, boczne drogi. Błoto. Zmęczenie takie, że wystarczy sięgnąć na chwilę, a już żołnierz śpi snem kamiennym. Z trudem wlokę obolałe nogi, poranione w ciasnych trzewikach. Który to już dzień takiego marszu? Która noc? W ciągu ilu dni przyszli od Skalatu, Zbrucza pod Złoczów?

Jest cicha noc przerywana tylko gęstym tupotem licznych nóg, hurkotem wozów i człapaniem koni oficerskich. Tu i ówdzie świeci się ognik papierosa. Żołnierze trzymają się koni, wozów, wydaje się im, że to przynosi ulgę. Idą i drzemią. Przez drzemkę trawi ich pytanie, jak to się stało, że 1 baon, dotychczas niezwycięzony, uciekał przed bandami hajdamaków?

Ranek 20 czerwca zastał nas przy miasteczku Łysogóra. Potem wydostaliśmy się na szosę Złoczów–Lwów i tu batalion załadowano na kolumnę wozów taborowych. Truchtem zdążaliśmy do Lwowa. Na jednym wozie siedziało po ośmiudziesięciu ludzi, większość spała. Pochylone bezwładnie głowy, zamknięte oczy i otwarte często-kroć usta – oto symbol znużenia i niemocy armii w odwrocie. Gubiono w tym śnie czapki, czasami nawet karabiny. Przymyślniejsi gwarzyli z cicha, ktoś ukuł zdanie, które wnet obiegało batalion: „19

pułk – 19 czerwca – 1919 roku dostał po raz pierwszy w skórę!”. [...]

Koło Lwowa, w dużej wsi kościelnej, batalion raptem zatrzymano. Wyznaczono kwatery, nadjechały kuchnie polowe. Tymczasem w sztabie był sądny dzień. W tej wsi spotkał nas gen. [Wacław] Iwaszkiewicz i tutaj zażądał zdania relacji, dlaczego się tak prędko cofamy – uciekamy wprost – i dlaczego aż tak daleko. Mówiono, że kapitan Łukowski i jeszcze ktoś dostał od generała w pysk i że zagroził im, że pójdą pod sąd polowy. Tegoż dnia, przed wieczorem, wracaliśmy jak niepyszni tą samą drogą, którąśmy tak szybko przedtem jechali, po drodze napotykać zmęczone oddziały 17 pułku piechoty – śmiały się z nas, z pogardą wołając, że oto są ci bohaterowie, po których inni muszą dziury we froncie łątać. Wymyślaliśmy im od galileuszy, ale co racja to racja! Przecież nie nam przerwano front, a 3 baonowi – więc cóżemy tak uciekali? [...]

Polecono pułkowi wymaszerować w kierunku wschodnim. Szliśmy, zachowując pewne środki ostrożności, lecz z orkiestrą na czele. Szliśmy w próżnię, wszędzie bowiem Ukraińcy już wywiali z powodu równoległego ataku na naszych skrzydłach. Dopiero przed wsią Serwery przywitano nas ogniem artylerii i pułk wprost z kolumny marszowej rozwijał się w tyralieri. Ostrzeliwano nas dosyć silnie, lecz niemal bez strat, a kiedy dopadliśmy wsi, po jej obrońcach już i śladu nie było. [...] Ukraina była zgnieciona, wyrzucona poza Zbrucz, a na froncie bolszewickim chwilowa cisza nie wróżyła nic złego. [...]

Po przymarszu do Husiatyna nad Zbruczem pułk obsadził linię okopów na lewo i na prawo od miasta wzdłuż rzeki, a przed miastem przyczółek mostowy z rosyjskiej strony. [...]

Prowiant dostarczała nasza kuchnia polowa, lecz mało uwagi zwracano na brazylijską fasolę, margarynę i chleb z mamałgi, każdy kombinował, jak mógł, choć czasami z tego wynikały dosyć nieprzyjemne konflikty z miejscową ludnością. [...]

Potem przeniesiono nas do wioski położonej tuż nad Zbruczem, zaraz na lewo od Husiatyna. Zanosilo się na dłuższy postój. Wysłaliśmy do Lwowa po instrumenty muzyczne, zakupione z kompanijnych funduszy składkowych, frekwencja biblioteki się wzmożła, dokupiliśmy nawet kilka tomów, przeważnie lżejszej treści, beletrystyki. Rozpocząłem kursy dla analfabetów, których sporo było w kompanii, a że w chatach było ciasno,

rozkładaliśmy się w cieniu drzew, na murawie przy rzece*. [...]

O podjęciu działań zaczepnych przez Ukraińców nie było mowy. Owszem, zwracali się do nas po amunicję przeciwko bolszewikom, z którymi walczycy ze zmiennym szczęściem.

Te ich homeryczne boje godne są pióra największych dramato- lub farsopisarzy świata. Cóż mogły poradzić nieludzkie wysiłki nielicznej garstki inteligencji, skoro ich nie popierało przekonanie olbrzymiej masy ukraińskiego chłopstwa? [...] Na nas wciąż patrzyli nieufnie, zbyt dobrze mieli w pamięci niedawne walki w „Hałycynie”, a już z pewnością ci, co pochodzili z Małopolski Wschodniej, zaprzysięgali nam rychły odwet: dajcie jeno nam uporać się z czerwonymi...

Miejsce postoju, 22 października 1919

Kochana Stryjenko! Stoimy w miasteczku Wiśniowiec już z górą dwa tygodnie. [...] Język tu panujący – rosyjski, po polsku jednak rozumiem. Większość mieszkańców miasteczka jak zwykle – Żydzi. Pieńki kursują rozmaite: polskie, rosyjskie, austriackie. [...]

Jest tu starożytny zamek księżąt Wiśniowieckich z galerią portretów, których większość została zniszczona, a uczynili to podobno nasi żołnierze. Sam zamek małowiczko położony nad rzeką Horyń i gwałtownie potrzebuje, aby się ktoś nim zaopiekował. Ogromne sale wyłożone majoliką, starożytne broje, śliczne rzeźbione w drewnie, grubo złoczone posągi, które są używane do podpalki w piecach, armaty i haubice sprzed kilkuset lat – oto pobieżne wyczerpanie rzeczy godnych zobaczenia i starannej pieczy. [...]

Wiśniowiec zrobił na mnie kolosalne wrażenie [...]. Podziwiałem olbrzymie bloki kamienia, znajdujące się w jego ścianach, muzy pokryte pleśnią minionych wieków, olbrzymi dziedzińce, ogrom sal i ich miniony przepych.

Z jakiejś okazji pułk urządził zabawę w salach zamkowych. Już od paru dni zwożono fury gałęzi świerkowych, pleciono girlandy i rozwieszano je w wielkiej sali, dokoła której biegł nieprzerwany rząd portretów rodzinnych Wiśniowieckich, Mniszchów i innych wielmożów. Pod portretami zawyłymi zgłoskami w języku Rzymian krótsze lub dłuższe rodowody, herby... [...] Porządkując sale,

przenosiliśmy z miejsca na miejsce rzeźby z drewna wysokości człowieka. Jakżeż smutnie wyglądały te antyczne bóstwa z poobtrącanymi nosami i rękoma, jak nie harmonizowały swą pozłotą z ogólną prostotą i szarzyzną obdrapanych ścian i pustych komnat.

Na bal byli zaproszeni okoliczni (bardzo wówczas nieliczni) ziemianie i śmietanka towarzysstwa miejskiego. Kobiet jednak było jak na lekarstwo, a i te, co były, zostały okupowane przez oficerów. Nasze szare bractwo przewalało się gromadami od sali do sali, tańczyło ze sobą, słuchało muzyki. [...] Był bufet i było nawet wesoło, ale bez dziewczynkę tęsknota człeka brała i jakoś po północy drapnąłem do siebie na kwatere. [...]

Na początku października 1919 celem naszej wyprawy stała się wieś Ludwiszcze, położona o kilkanaście kilometrów od Wiśniowca. Wymaszerowaliśmy w nocy, a że znużeni poprzednimi marszami byliśmy wielce, więc wielu, a w ich liczbie i ja, próbowało spać, idąc. I nawet to się udawało po trochu, trzeba było tylko trzymać się kogoś idącego przodem chociażby za połę munduru. Przy każdym pięciominutowym postoju pułku całe szeregi waliły się natychmiast na pokrytą „białym mrozem” ziemię i zasypiały twardo, aby po tych upragnionych pięciu minutach wstać i iść dalej.

O wschodzie słońca skręciliśmy z traktu na szeroką boczną drogę, idącą szczytem łańcucha wzgórz, a kiedy zbliżyliśmy się do stromego dosyć zbocza, ujrzeliśmy położoną w dole ogromną wieś, cerkiew, a we wsi popłoch: ludzie biegali tu i tam, a na horyzoncie, pod lasem, pojedyncze figurki objuczone tobołami – to ci najbardziej winni ratowali swe życie, zawsze uprzedzeni o czekającym ich losie.

Dlaczego przyszlismy tutaj? Co spowodowało karną ekspedycję? Mówiono u nas, że przez Ludwiszcze do Krzemieńca zdążył tabor hallerczyków, który rozłożył się na placu przed cerkwią. Żołnierze poszli po obrok dla koni, a mieszkańcy, skorzystawszy z tego, napadli na nich, kilku zamordowali, reszta ledwie uszła z życiem.

Nie mogliśmy przebaczyć chłopom śmierci kilku naszych towarzyszy, chcieliśmy zemsty, ale potem, logicznie rozumując, wyciągnąłem wniośki. Czyż rzeczywiście żołnierze nic nie zawiniли, a chłopci tylko z nienawiści do Polaków rzucili się na nich? Wówczas jeszcze Polacy nie mieli czasu rozbudzić nienawiści ku sobie na Kresach. Oj,

* W sierpniu 1919 Autor został referentem oświatowym 2 kompanii.

tu musieli dobrze chłopstwu sadła za skórę zalać, skoro ci posunęli się aż do gromadnego mordu, wiedząc, że polskie wojska są dookoła i płazem tego z pewnością nie puszcza.

Nasze kolumny szybko schodziły z góry, toczyły się kulomioty, a w dole chłopstwo zawczasu wyciągało z chałup pościele, kufry i co cenniejsze rzeczy. Jakoż po chwili żołnierze zalali całą wieś i zaraz w paru miejscach buchnęły płomienie... Rozpoczął się ogólny rabunek, na który oficerowie zezwalali, wychodząc z założenia, że lepiej niech służy żołnierzowi, aniżeli ma się spalić. Szperano w chatach, stodołach, oborach, przewracano w wyniesionych na podwórza kufrach – a wieś była bardzo zamożna. Widziało się, jak nieśli nasi chłopcy bieliznę, okrycia, szczególnie długie, żółte kożuchy, olbrzymie gary solonego masła, sery i twaróg, całe kobiataki jaj i bochny chleba.

Chłopi i baby chodzili, milcząc, z bólem i nieważnością w oczach, nie próbowali bronić swego dobytku, bo wymowny ruch kolbą karabinu argumentował aż zbyt dosadnie. Zresztą niewielu ich tu było widać, pokryli się.

Na razie wszyscy jedli i pili, potem pomyślano o dalszych potrzebach. Niektórzy podoficerowie w rabunku udziału nie brali. Ja tylko, mając bardzo mało bielizny, zbliżyłem się do jednego z kufrów i kazałem odłożyć dla siebie dwie czy trzy pary bielizny, zaś wyrzuty sumienia uspokajałem tym, że przecież ów posiadacz zarekwirowanej bielizny zabrał ją też samowolnie, opuszczając szeregi rosyjskiego wojska.

Ślupy dymu i ognia wznosiły się w kilku miejscach, szczególnie starannie palono zabudowania nieobecnego chłopca, będącego podobno przewodnikiem wszelkiej akcji antypolskiej we wsi. W palących się budynkach trzaskały raz po raz wystrzały karabinowe, a było ich dużo i raz nawet buchnął granat ręczny, z czego wywnioskowaliśmy, że w przeróżnych zakamarkach leży mnóstwo pochowanej amunicji.

Czas odmarszu. Sprawiedliwości zaraz stanie się zadość... Ciągną szeregi żołnierzy objuczonych wypchanymi plecakami i chlebakami. Niosą drób, dźwigają dzieże masła i zwoje starego sadła, pędzą świnię i krowy – istny powrót uzbrojonych barbarzyńców z wyprawy. Cofamy się o trzysta lat! Za nami zgłiszcza, płacz, przekleństwa i trupy... Tak – wybrano z pozostałej męskiej ludności dziesięciu czy dwunastu co młodszych mężczyzn, wyprowadzono ich za wieś, postawiono pod wzgórzem

przed kulomiotem: rrraz po nogach, a gdy opadli – po wierzchach. Oto zostali tam na wieczną rzecz pamiętkę, że żołnierza w obronie swej własności tknąć nie wolno.

Jako najbardziej winnych czy też odpowiedzialnych za te winy zabrano dwóch, jednym z nich był „starosta” (sołtys). Młody brunet, przystojny, snadź energiczny, a widocznie nie miał czystego sumienia, bo kiedy kolumny weszły z powrotem na trakt, wyrwał się spomiędzy dwóch eskortujących go żołnierzy i zaczął na oczach całego oddziału uciekać do pobliskiego młodego, gęstego lasu. Konwojujący mieli karabiny bezpiecznie zawieszane na ramieniu, zanim więc je zerwali, a po chwilowym osłupieniu – zanim strzelili, chłop był już dość daleko. Zatrząskają wystrzały, uciekał dalej. Jeden z oficerów zmierzył z rewolweru – biegł dalej. Aż kiedy już dosięgał lasu, dopadł go konno jakiś oficer, ciął szablą, a żołnierze ostatecznie skrócili jego cierpienia wystrzałami z odległości jednego kroku.

Po tym incydencie ciągnęliśmy spokojnie dalej. Rebelia poskromiona, żołnierz zaopatrzonego w bieliznę i kożuchy, zdobyta lepsza strawa, triumfuja rządy „silnej ręki”. [...]

Pułk przeniósł się do Tarnopola, a nasz batalion zajął podmiejską wieś Zagrobela. Staliśmy na kwaterach u chłopów, ja zainstalowałem się razem z trzema moimi kolegami w pewnej chacie, której właściciel pracował w warsztatach kolejowych i wychodził co dzień do zajęcia o godzinie piątej czy szóstej rano. Miał młodą żonę, gdyż pobrali się przed paroma miesiącami, dosyć ładną (*smazliwuju* – jak by powiedział Moskał) kobiecinę, dosyć zgrabnie zbudowaną. Miała jeden felerek, mianowicie troszeńkę zezowate czy też zachodzące bielmem oko.

Podkreślić muszę, acz uznając całą niestosowność tego postępowania, że koniec 1919 roku przyniósł mi dwie zasadnicze zmiany. *Primo* – przyjąłem katolicyzm, *secundo* – utraciłem cnotę, a współwinną tego drugiego była właśnie owa kilkumiesięczna męzka.

2 grudnia wstałem raniutko, tuż po wyjściu naszego gospodarza i, ubrawszy się, czekałem na przyście łącznika z baonu, mającego zawezwać nas na zbiórkę. Na świecie panował jeszcze półmrok wczesnego poranka, a mróz aż trzeszczał. Kiedy moi spali pokotem na słomie rozścielonej na ziemi. Pakowałem swe manatki, chodząc cicho po izbie. Moje łóżko stało w kącie przy piecu, a wspólne łóżko gospodarzy w sąsiednim rogu. Spojrzałem



↑ Góra Rocha, 1919. Polscy żołnierze podczas odpoczynku

tam: gospodyni spod oka śledziła moje ruchy. Już poprzednio nagabywałem ją z lekka, a nie była mi zbyt przeciwna. Teraz więc, spojrzawszy bacznie ku śpiącym kolegom, zbliżyłem się ku niej i siadłem na burcie łóżka. Poglądziłem ją z lekka pod brodę, na co udała, że się budzi. Po krótkiej chwili opuściłem rękę wzdłuż szyi ku piersiom. Można... Ale dalej stop! Zacząłem atak od nóg. Jędrne łydki, kolana, potem uda i znów – stop! Wracam ku górze, potem sięgam ku kolanom, wyżej, wyżej, aż przerywanym głosem proszę: „Otwórz kolana!”. Maślany wzrokiem, patrząc na mnie, powtarzała wciąż: „Ach, to łobuz, to łobuz...” – lecz otwarłszy na ścieżaj nogi, wpuściła mnie pod pierzynę.

Sytuacja była nie do pozazdroszczenia: byłem całkowicie ubrany, w butach, łoże skrzypiało przeraźliwie i w dodatku pojęcia nie miałem, co mam robić, dokąd dążyć. Pomogła mi, ale nie na wiele się to zdało, po krótkiej chwili – przerażony skrzypem łoża – zszedłem zeń, a w samą porę, bo otworzyły się szeroko drzwi i w kłębach pary wpadł łącznik z meldunkiem: „Panie sierżancie! Wyjazd odwołany!”. Ledwie zdążyłem doskoczyć przedtem do swego łóżka. [...]


A w pułku szło wszystko utartą koleją. Rzadkie i dość niedbale prowadzone ćwiczenia, uciążliwa służba garnizonowa, w kompaniach praca

oświatowa. Ja kontynuowałem swój kurs dla analfabetów, których wciąż przybywało. Zacząłem w Husiatynie, potem wznowiłem lekcje w Wiśniowcu, lecz tutaj szło najlepiej z powodu skupienia kompanii w niewielkim rejonie i ułatwień ze strony dowództwa. Toteż wkrótce mogłem się poszczycić dobrymi rezultatami. [...]

W tym to przeznacnym mieście Tarnopolu nadszedł dla naszego pułku transport dawno oczekiwanej odznaki „Orlęta”. Jej uroczyste wręczenie odbywało się publicznie na placu przed kościołem, a że tych, którym jej noszenie przysługiwało, było multum, przeto skostnieliśmy, stojąc na mrozie, na gnaty. Treść dyplomu brzmi, jak następuje: „Towarzyszowi broni sierżantowi Maciejewskiemu Jerzemu za dzielność i wierną służbę Ojczyźnie ku pamięci przebytych bojów w obronie Lwowa i Kresów Wschodnich w r. 1918–1919 odznakę honorową «Orlęta» nadaje. Dowódca Armii «Wschód» (–) Rozwadowski”.

Jerzy Konrad Maciejewski

Materiał pochodzi z „Karty” 77/2013.



DELEGACJA WOJTÓW
pow. KOLOMYJA
wojew. STANISŁAWÓW

Wierzchosławice, sierpień 1925.
Delegacja środowisk chłopskich
(w tym ukraińskich) podczas
uroczystości na cześć
Władysława Reymonta

DWUDZIESTOLECIE PO ODZYSKANIU
NIEPODLEGŁOŚCI TO CZAS, W KTÓRYM PAŃSTWO
POLSKIE ROZSTRZYGA O KSZTAŁCIE POLITYKI
WOBEC UKRAIŃCÓW – NAJWIĘKSZEJ MNIJSZOŚCI
II RP. TO, JAK UKŁADAJĄ SIĘ STOSUNKI MIĘDZY
POLSKĄ ADMINISTRACJĄ A UKRAIŃCAMI, ODCISKA
SIĘ NA RELACJACH MIĘDZY DWOMA NARODAMI.



II RP

WOBEC

UKRAIŃCÓW

Marzenia Ukraińców o utworzeniu własnego państwa zdawały się spełniać w 1918 roku. Ukraińska Republika Ludowa została proklamowana w styczniu, jednak stale szarpały ją wojna z bolszewikami i problemy wewnętrzne, a w listopadzie 1918, po zakończeniu I wojny światowej, pozbawiona została kluczowego dla niej wsparcia państw centralnych. Jednocześnie w Galicji, również w listopadzie 1918, ogłoszono powstanie drugiego państwa ukraińskiego – Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej – niemającego stałych granic, bo od zarania będącego w stanie wojny z Polską. W styczniu 1919 oba państwa ukraińskie połączyły się.

Wojna polsko-ukraińska trwała do lata 1919, kiedy oddziały ukraińskie zostały wyparte za Zbrucz. W kwietniu 1920 podpisano sojusz, który za gwarancje uznania państwowości Ukrainy miał uzyskać jej poparcie w wojnie z bolszewikami. Jego następstwem był wspólny marsz na Kijów wiosną 1920. Jednak pokój z Rosją sowiecką, zawarty w marcu 1921 w Rydze, pominął obietnice utworzenia państwa ukraińskiego. Ukraińcy stali się, wbrew sobie, obywatelami – jeśli nie Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Ludowej – II Rzeczypospolitej.

Traktat ryski z polskiego punktu widzenia oznaczał początek pokojowego istnienia II RP, z ustaloną granicą na wschodzie. Stosunek władz RP do jej etnicznie niepolskich mieszkańców nie był przesądzony. Formalnie regulowały go traktat mniejszościowy przyjęty w Wersalu w czerwcu 1919 i konstytucja marcowa z 1921 roku. Dokumenty te zapewniały prawo do szkolnictwa w języku mniejszości i zakładania własnych stowarzyszeń, jednak w praktyce ich ściśle nie honorowano.

Rozłam między dwiema koncepcjami traktowania ludności ukraińskiej, związanymi z kręgami pepeesowskimi i endeckimi, pogłębiło jeszcze zamordowanie w grudniu 1922 pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej – krytykowanego jako kandydata mniejszości. (RED.)



↑ Prawosławna Wielkanoc.
Świecenie płodów rolnych
przez księdza greckokatolickiego



FOT. OSRODEK KARTA

INTRODUKCJA

Tadeusz Hołówko, polityk i publicysta Polskiej Partii Socjalistycznej

Państwo polskie tylko wówczas będzie silne, wówczas tylko wzmocni się i utrwali swój byt, jeśli wszyscy jego obywatele będą dobrze w nim się czuć, jeśli będą Polskę kochać za te swobody i tę troskę o swój byt, które będą odczuwać, gdy w zamian z największą radością w razie potrzeby staną w obronie państwowości polskiej, nie szczedząc dla niej ofiary z życia ani mienia. [...]

Cóż trzeba zrobić, aby w Polsce wszystkim dobrze było? Mamy Rzeczpospolitą, to znaczy ustrój republikański i demokratyczny, mamy liberalną Konstytucję, która głosi równość wszystkich obywateli wobec prawa, nie daje przywilejów żadnej klasie ani żadnej religii lub narodowości,

mamy pięcioprzymiotnikowe prawo wyborcze do Sejmu. A pomimo to bynajmniej nie jest wszystkim, każdemu obywatelowi w Polsce dobrze, przeciwnie. [...]

Mniejszości narodowe można przywiązać do Polski nie za pomocą stanów wyjątkowych i ustaw kagańcowych, nie w drodze represji, lecz za pomocą jak najszerszych swobód i rozumnej, życzliwej tolerancji. Niech każdy Ukraińiec, Żyd, Niemiec i Białorusin dobrze się czuje w Polsce – a wówczas na pewno przywiążą się do Polski, staną się dobrymi jej obywatelami. [...]

Absurdem jest mniemać, że da się nam zasymilować wszystkie mniejszości narodowe. [...] Zmarnowana byłaby energia narodu polskiego, włożone byłyby olbrzymie środki z wręcz



FOT. IBC

↑ Mołodycz. Uczniowie i nauczyciele szkoły powszechnej. Na ścianie tablica w języku polskim i ukraińskim

przeciwnym rezultatem, bo ze spotęgowaniem obrażonego i krzywdzonego uczucia narodowego, rozpaleniem straszliwej nienawiści do narodu i państwa polskiego. [...] Również beznadziejna byłaby polityka silnej pięści – przy pomocy wojska i policji, utrzymująca w ryzach posłuszeństwa prowincje, gdzie mniejszości narodowe stanowią przytłaczającą większość, jak na przykład na Wołyniu.

Musimy więc zastosować inną politykę, [...] dzięki której mniejszości narodowe czułyby się dobrze w Polsce. [...] Innymi słowy – aby dla tych narodowości państwo polskie stało się koniecznością. [...]

Jakąż drogą do tego przyjść? Dać pełnię swobód i możliwości rozwoju narodowego wszystkim mniejszościom narodowym, ale w takiej formie, aby te swobody nie osłabiały, lecz wzmacniały państwo polskie. Aby tak się stało, musimy z uwagą i życzliwością przyrzeć się stosunkom narodowościowym w poszczególnych dzielnicach Polski. A więc przede wszystkim Galicja Wschodnia. [...]

PPS występuje i propaguje hasło autonomii Galicji Wschodniej. [...] Według tego projektu Galicja Wschodnia miałaby własny sejm i własny rząd krajowy, jednocześnie jednak wybierałaby

na ogólnych zasadach posłów do Sejmu i Senatu w Warszawie. [...] [Dla Kresów Wschodnich] Najlepszym rozwiązaniem będzie nadanie takiej samej autonomii, jak Galicji Wschodniej. [...]

Gdy miejscowa ludność ukraińska i białoruska będą miały własne szkolnictwo, samorządy gminne i powiatowe w swoich rękach, a więc tym samym cały zakres spraw o znaczeniu lokalnym, wreszcie samorząd cerkiewny – wówczas na pewno będą zadowoleni, będą błogosławić Polskę, która daje możliwość swobodnego rozwoju i tworzenia własnej kultury. Jestem przekonany, że młode pokolenie, które wyrośnie już w takich warunkach, będzie przychylnie usposobione do Polski. [...]

Bądźmy ambitni w wielkich rzeczach. Stokrotnie lepiej będzie dla Polski, jeśli urok jej kultury będzie oddziaływać na narody białoruski, ukraiński, łotewski, estoński tak samo, jak na nas oddziałuje urok kultury francuskiej. Lepiej jest pozyskać sympatię i przyjaźń 35-milionowego narodu ukraińskiego niż za pomocą bata i różgi spolonizować 2 miliony, ale wzbudzić nienawiść w pozostałej olbrzymiej reszcie*.

WARSZAWA, 1922

[6]

* Spis źródeł na stronie 89.

Premier gen. Władysław Sikorski w exposé podczas posiedzenia Sejmu

Polska jest państwem narodowym. [...] Zgodnie z prawdziwie polską tradycją, Konstytucja nasza, uchwalona przez czysto polski Sejm suwerenny, gwarantuje wszystkim obywatelom bez jakichkolwiek różnic nie tylko bezpieczeństwo, spokój i równość wobec prawa, lecz także pełną możliwość rozwoju kulturalnego, a wreszcie swobodę pielęgnowania swych odrębności językowych i wyznaniowych.

Tych gwarancji konstytucyjny rząd, który mam zaszczyt reprezentować, dotrzyma zawsze i bezwzględnie – w stosunku do tych obywateli, którzy lojalnie i szczerze stoją na gruncie niekwestionowanej niczym państwowości polskiej. [...] Nigdy jednakowoż rząd nie okaże słabości wobec tych, którzy nie chcą być posłusznymi synami Rzeczypospolitej. [...]

Widziałem, jako wojskowy rok temu, naszego młodego żołnierza ze wschodnich Kresów, powołanego do szeregów. Z radością mogę stwierdzić, że jest to żołnierz nie tylko ochoczy, pojętny, karny, lecz także wierny i pewny. Ci młodzi synowie ludu ruskiego i białoruskiego są dla mnie zapowiedzią nowych czasów: bratniego współzycia obcej językowo ludności województw kresowych z narodem polskim, bratniej współpracy, [...] która podjęta być musi w imię potęgi Rzeczypospolitej, a dla dobra ludności kresowej.

WARSZAWA, 19 STYCZNIA 1923 [19]

Samuel Podhorski, poseł Ukraińskiego Klubu Sejmowego, podczas posiedzenia Sejmu

Zgodnie z wolą ludności ziem naszych oraz opierając się o ogólnie przyznane prawo narodów do samookreślenia, [...] oświadczamy z trybuny sejmowej, że dążeniem narodu ukraińskiego jest wskrzeszenie niepodległego państwa ukraińskiego. (*Oklaski na ławach Klubu Ukraińskiego. Głos: Irredenta*). Ale, licząc się z obecnym faktycznym stanem rzeczy, oznajmiamy o swojej gotowości współpracy z narodem polskim i wszystkimi narodami, które wchodzą w skład Rzeczypospolitej Polskiej, na warunkach następujących. (*Głos: Żadnych warunków!*). [...] Rzeczpospolita Polska, jako państwo narodowościowo niejednolite (*Głos: narodowe, a nie narodowościowe*), zostanie przebudowana w ten sposób, ażeby każda narodowość, wchodząca w jej skład, szczególnie zamieszkująca pewne terytorium, ewentualnie

ludność ukraińska, miała pełną możliwość zrealizowania swego prawa do samookreślenia, przez to byłby zabezpieczony jej pełny swobodny rozwój narodowy we wszystkich dziedzinach życia. [...]

Cztery lata znajdujemy się w obrębie Państwa Polskiego. [...] My nie byliśmy wychowani i przygotowani do tego, aby czuć się patriotami i polskimi i to dla wszystkich was musi być zrozumiałe. Przecież dążyliśmy my, Ukraińcy, do tego, com już powiedział. Ale stało się. I my to uznajemy. [...] Wszystko spełniamy. Jesteśmy lojalni wobec władzy polskiej. Czego od nas żądacie jeszcze?

WARSZAWA, 20 STYCZNIA 1923 [21]

Komunikat Ukraińskiego Klubu Sejmowego

W obecnych czasach, gdy panuje wielka idea samookreślenia narodu, gdy cały szereg podbitych narodów tworzy własne państwa narodowe, ziemie ukraińskie: Wołyń, Chełmszczyzna, Polesie i Podlasie – zostały oderwane przez obce siły, bez zgody na to rdzennego ludu ukraińskiego, który stanowi na tych ziemiach bezwzględną większość. [...] Ziemie te stanowią etniczną całość i wraz ze wschodnią Galicją, Bukowiną i Podkarpaciem nie wyrzekają się swej narodowej łączności z całym narodem ukraińskim.

WARSZAWA, 21 MARCA 1923 [13]

Premier gen. Władysław Sikorski w projekcie wytycznych polityki rządu na Kresach Wschodnich

Obszary objęte województwami wschodnimi posiadają decydujące znaczenie dla mocarstwowej przyszłości państwa. Wobec otwartych i rozległych granic RP, wobec jej trudnego położenia strategicznego i politycznego – stanowią one istotną obronę państwa na wypadek wojny z Rosją. Bez nich, przy przeniesieniu wschodnich granic państwa nad Niemen i Bug, losy przyszłej wojny rosyjsko-polskiej decydować się zawsze będą wewnątrz kraju nad Wisłą. [...] W razie cofnięcia się linii granicznej na tzw. linię Curzona Polska staje się trzeciorzędnym państwem, pozbawionym tego wpływu, jaki jej się należy tak ze względu na tradycję historyczną, jak i ze względu na obecne materialne i moralne walory Państwa Polskiego. [...]

Mając to wszystko na uwadze, Rząd poczyni wszelkie możliwe kroki celem pozyskania miejscowej ludności kresowej na rzecz idei pań-

stwowej oraz celem trwałego zespolenia Kresów z Macierzą.

WARSZAWA, KWIECIEŃ 1923

[26]

Z interpelacji sejmowej posłów Ukraińskiego Klubu Sejmowego

Prześladowanie ruchu ukraińskiego na Wołyniu w ostatnich dniach przybrało charakter terroru. Władze administracyjne i sądowe niszczą, rujnują tu kulturę ukraińską, tamują ruch kulturalno-oświatowy, ekonomiczny i polityczny.

Ludność ukraińska ostatecznie przekonała się, że państwo polskie nie tylko nie ma zamiaru zaspokoić jej słusznym domagań życiowych, aczkolwiek w granicach państwa polskiego jest kilka milionów Ukraińców, ale systematycznie dąży do spolonizowania ziem ukraińskich i zubożenia ludności na tych ziemiach.

Niedawno Urząd Wojewódzki Wołyński zamknął w Równem na Wołyniu ukraińskie kulturalno-oświatowe Stowarzyszenie „Proswita”, bez najmniejszych ku temu powodów. Następnie zamknął filie „Proswity” we Włodzimierzu. W Kowlu i Maciejowie przeprowadzono [...] rewizje. [...]

Czy ministerstwa zamierzają poczynić odpowiednie zarządzenia, żeby ludność ukraińska miała zabezpieczone prawa polityczne, kulturalno-oświatowe itd., które gwarantują jej traktaty wersalski i ryski oraz Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej?

WARSZAWA, 24 MAJA 1923

[7]

Stanisław Grabski, poseł Związku Ludowo-Narodowego, w artykule w „Słowie Polskim”

Faktem [...] jest istnienie ludności rusińskiej, języka rusińskiego, pisowni rusińskiej. I realnym zagadnieniem polityki polskiej jest kwestia nie Ukrainy, lecz ludności rusińskiej w granicach Rzeczypospolitej [...]. A wobec tego całe zagadnienie naszej polityki w Małopolsce Wschodniej i na Wołyniu sprowadza się do pytania: jak ma państwo polskie regulować owo współzycie polsko-rusińskie?

Nie ma oczywiście odpowiedzialnego polityka polskiego, który by myślał o wytepieniu Rusinów czy odbieraniu im przemocą ich mowy albo gnębieniu ich rozwoju kulturalnego. Ale nie ma Polska żadnej racji kontynuować austriacko-niemiecką politykę wytwarzania z Rusinów odrębnego narodu ukraińskiego.

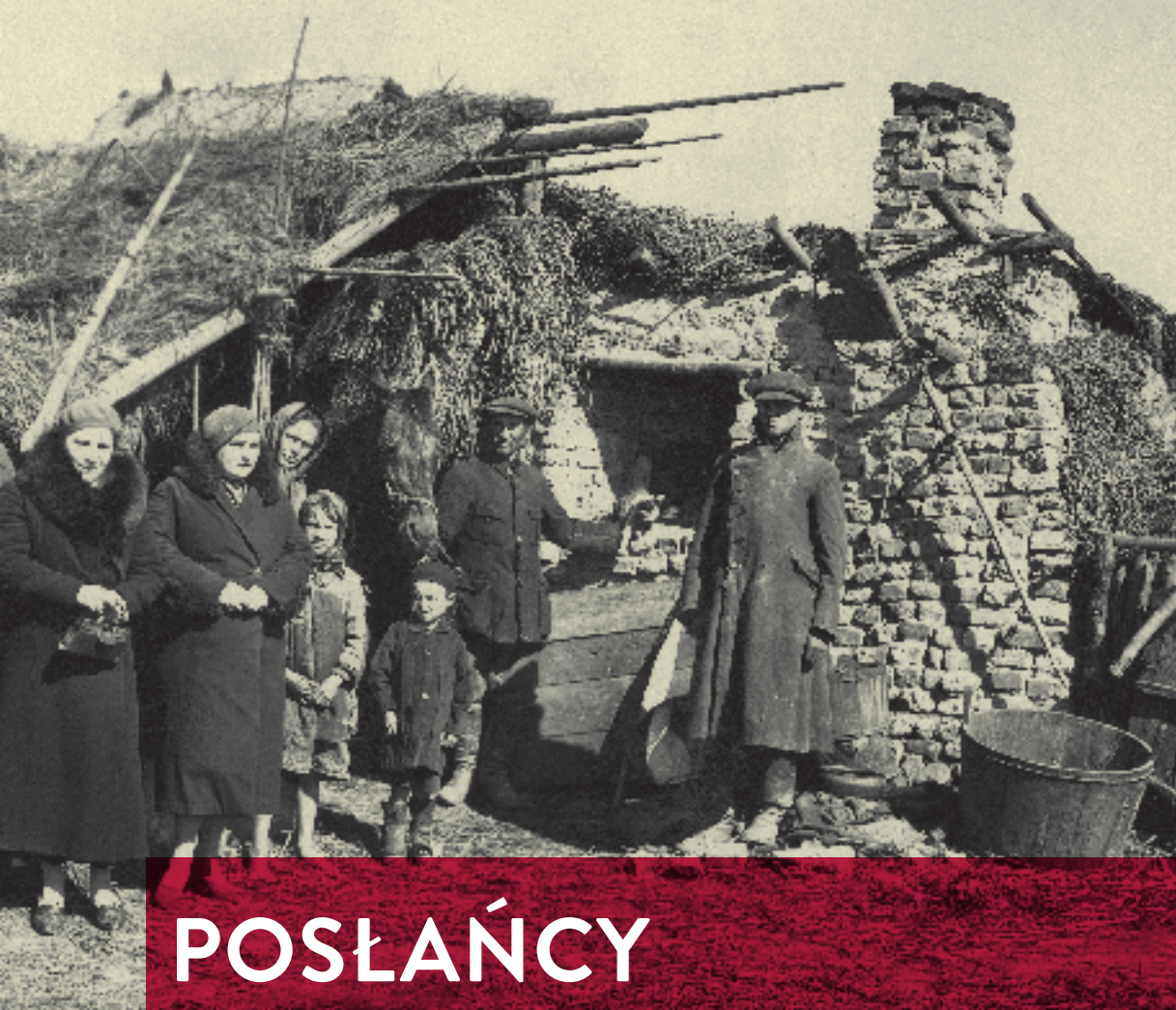


→ Lata 20. Początki osadnictwa wojskowego na Kresach

Nieodwołalnym nakazem polskiej racji stanu jest jak najściślejsze zespolenie Kresów z rdzeniem polskim terytorium narodowym [...]; wzmacnianie w województwach wschodnich „naturalnej penetracji” ludności polskiej, języka i kultury; wzmocnienie wśród „Rusinów” świadomości ich przynależności do państwa polskiego przez konsekwentne przestrzeganie zasady, że wszystko, co znajduje się w państwie polskim, jest polskie; zacieranie współzycia gospodarczego, społecznego i kulturalnego ludności „ruskiej” i polskiej, nie zaś tworzenie przegród w szkolnictwie, samorządzie lokalnym, stowarzyszeniach i spółkach; podniesienie szacunku ludności mniejszości do władz państwa polskiego przez sprawne, stanowcze i sprawiedliwe ich postępowanie, karzące wszelką wobec państwa nielojalność, a zapewniające równą opiekę wszystkim lojalnym obywatelom bez różnicy wyznania i narodowości.

Lwów, 1924

[25]



FOT. INSTYTUT POLSKI I MUZEUM IM. GEN. SKORSKIEGO / OŚRODEK KARTA

POŚLAŃCY

Obszary wschodnie w granicach II Rzeczypospolitej, będące wcześniej pod zaborem rosyjskim, znalazły się w obrębie województw wołyńskiego, poleskiego, nowogródzkiego, wileńskiego i białostockiego. W grudniu 1920 uchwalono ustawę o przekazaniu opuszczonej ziemi, będącej wcześniej w rękach rosyjskich, polskim żołnierzom. Celem osadnictwa wojskowego było wzmocnienie żywiołu polskiego na Kresach. Tę misję realizować mieli weterani Wojska Polskiego, którym przyznawano ziemię, głównie na Wołyniu – terenie zamieszkanym także przez ludność ukraińską. W latach największej intensyfikacji akcji osadniczej, 1920–23, działki nadano w sumie 9 tysiącom wojskowych, co razem z ich rodzinami dawało kilkadziesiąt tysięcy osób. (RED.)

Józef Piłsudski, Marszałek Polski i Naczelny Wódz, w rozkazie na zakończenie wojny Żołnierze!

Dwa długie lata, pierwsze istnienia wolnej Polski, spędziliście w ciężkiej pracy i krwawym znoju. Kończycie wojnę wspaniałymi zwycięstwami i nieprzyjaciel, złamany przez Was, zgodził się wreszcie na podpisanie pierwszych i głównych zasad upragnionego pokoju. [...]

Za pracę i wytrwałość, za ofiarę i krew, za odwagę i śmiałość dziękuję Wam, żołnierze, w imieniu całego narodu i Ojczyzny naszej. [...]

Żołnierz, który tyle zrobił dla Polski, nie zostanie bez nagrody. Wdzięczna Ojczyzna nie zapomni o nim. Zdobyte zostały ogromne obszary, opustoszone i obrócone przez wojnę światową prawie w pustynię.

Zaproponowałem już rządowi, by część zdobytej ziemi została własnością tych, co ją polską zrobili, uznoiwszy ją polską krwią i trudem



FOT. OSRODEK KARTA

↑ Włodzimierz Wołyński, pierwsza połowa lat 20. Osadnicy wojskowi przed zajęтым dworem (siano składowane prowizorycznie)

niezmiernym. Ziemia ta, strudzona siewem krwawym wojny, czeka na siew pokoju, czeka na tych, co miecz na lemiesz zamienią, a chciałbym, byście w tej pracy przyszłej tyleż zwycięstw pokojowych odnieśli, ileście ich mieli w pracy bojowej.

WARSZAWA, 14 PAŹDZIERNIKA 1920

[14]

Bohdan Wasiutyński, publicysta bliski Związkowi Ludowo-Narodowemu

Pospiesznie uchwalone i przeprowadzone osadnictwo wojskowe wyrządziło dotychczas szkodę interesom polskim. Rozrzucone na olbrzymich obszarach, złożone częstokroć z nieprzygotowanych do ciężkich warunków miejscowych, osadnictwo to nie tworzy ognisk polskości. Ma zaś ten skutek, że przeciwdziała bardzo skutecznie założeniu politycznemu – pozyskaniu ludności miejscowej. Ta godziłaby się zapewne z samorzutną kolonizacją polską, ale uważa akcję państwową za działalność przeciwko sobie zwróconą. Ustawa o wykonaniu reformy rolnej, dając pierwszeństwo żywiolom ekonomicznie słabym i niesamodzielnym, tamuje jednocześnie ekspansję wschodnią włościństwa polskiego. Powinny tam iść samorzutnie jednostki zasobniejsze i energiczniejsze,

a rzeczą państwa jest tylko opieka nad potrzebami religijnymi, szkolnymi i kulturalnymi powstać mających wsi polskich, aby uchronić osadników przed wynarodowieniem, jak to w ogromnych rozmiarach miało miejsce w ubiegłych wiekach. Nieszczęsny wszakże stan skarbu uniemożliwia nawet taką akcję zapobiegawczą. [...]

Potrzebna jest przeto w tym kierunku obmyślana, taktowna i umiejętna akcja. Taką akcją należy w ogóle rozwinąć dla ugruntowania rządów polskich na Wołyniu. Nie bawiąc się w budzenie ruchu narodowego i popieranie partii ukraińskich, nie przesądając fizjonomii narodowościowej ludności ruskiej, trzeba szukać oparcia w żywiołach z natury umiarkowanych i spokojnych, gospodarzach rolnych oraz w miarę możliwości w tej części inteligencji duchownej i świeckiej z pochodzenia ruskiej czy rosyjskiej, która pragnie spokoju i normalnych warunków bytu. Przedstawiciele społeczeństwa polskiego, zamiast zajmować się radykalną propagandą polityczną, przysłużyliby się najwięcej sprawie polskiej, gdyby zapoczątkowali pracę ekonomiczną i społeczną wśród ludności miejscowej.

WARSZAWA, STYCZEŃ 1923

[27]

Konstanty Srokowski, publicysta, w sprawozdaniu z podróży po Kresach Wschodnich dla premiera Władysława Sikorskiego

Posłannictwo osadników wojskowych przedstawia się w sposób najbardziej problematyczny. Z obliczeń głosów, oddanych przy wyborach, okazało się, że nawet pewna część osadników wojskowych, którzy mają wszak być na Kresach nowoczesnymi Mohortami*, głosowała razem z ludnością miejscową na listy niepolskie... Stało się to zapewne z obawy przed poróżnieniem się z miejscowym elementem. Wzgląd realny i w lokalnych warunkach indywidualnie rozumiały, ale samą ideę osadnictwa wojskowego unieczystwiający. [...]

Stosunek ludności miejscowej do osadnictwa wojskowego jest nieprzejednanie wrogi. Upatruje ona w osadnictwie tym największą krzywdę dla siebie, ponieważ uważa, że tym osadnikom nie należy się tak hojna dotacja w ziemi, na której dotąd nie pracowali i której przeważnie nie umieją uprawiać. [...]

Polska kolonizacja cywilna wykazuje – do dnia 1 lutego 1923 – 3128 rodzin, które przybyły na Wołyń zza Bugu, tutaj zakupiły ziemię, osiadły i gospodarują lub są w trakcie urządzania gospodarstw. [...]

Próby udaremnienia propagandy ukraińskiej z Małopolski wschodniej przez utrudnianie kontaktu Ukraińców galicyjskich z wołyńskimi drażnią wprawdzie i jątrzą, ale celu żadnego nie osiągają. [...] W jaki sposób można skutecznie przeciąć kontakt między Brodami a Radziwiłowem, skoro nie ma tam ani kordonów granicznych, ani żadnych innych straży? [...]

Na przestrzeni czterech województw kresowych [...] rząd polski nie ustalił dotychczas żadnego widocznego i tłumaczącego się w jakikolwiek logiczny sposób systemu polityczno-administracyjnego. [...] Jeśli więc idzie o tendencję ogólnopolityczną, to jest ona wyraźnie polonizacyjna, wprowadzana w życie w dwóch województwach z bezwzględnością całkowitą. [...] W województwie wołyńskim tendencja polonizacyjna słabnie i ulega pewnym wahaniom. [...]

W traktowaniu i rozwiązywaniu zagadnień narodowościowych w państwach nowych czasów

były teoretycznie rozwijane i praktycznie stosowane różne metody. Wszystkie one jednak dają się sprowadzić do jednej z dwóch zasad – liberalnej, uznającej prawa każdej narodowości, która się za taką uważa, do wszelakiego rozwoju ze wszystkimi jego konsekwencjami, tudzież unifikacyjnej, która głosi, że państwo powinno dążyć do jedności narodowej, że więc może i powinno użyć wszystkich rozporządzalnych środków, aby dążenia rozwojowe innych narodów na jego terytorium stłumić i – o ile możliwości – całkowicie wypieścić. [...]

W czystej swojej postaci żadna z tych zasad nie była nigdzie przeprowadzona. Zasada bowiem liberalna [...] popadała prędzej czy później w kolizję z instynktem samozachowawczym państwa. [...] Zasada zaś unifikacyjna natrafiała w odwrotnym kierunku na pewien punkt w zbiorowej psychice samego poddawanego procesowi unifikacji narodu, którego nigdy nie mogą przekroczyć. Naród unifikowany, zależnie od ciśnienia, przy którym odbywał się proces unifikacji, tracił mniej lub więcej ze swoich sił, często pozbywał się w zupełności całych wytworzonych przez siebie warstw społecznych, kurczył się terytorialnie i gospodarczo, zamierał kulturalnie, ale ostatecznie nie ginął. [...] Coś ludzie od państwa muszą dostawać, jeżeli ma ono zachować dla nich już nie jakąś wartość, ale jeżeli ma być w ogóle stanem możliwym do zniesienia. Więc jeśli nie dostają dóbr idealnych, to muszą dostawać materialne. [...]

Dotychczasowa polityka oficjalna na Kresach Wschodnich nie trzyma się żadnej z opisanych wyżej metod, nie uwzględnia prawa kompensacji w żadnym kierunku, lecz usiłuje stworzyć nowy typ polityki narodowościowej, polegającej na zasadzie unifikacji i ucisku narodowościowego, bez stosowania jakichkolwiek kompensacji w zakresie dóbr materialnych. Mniejszości słowiańskie na Kresach są uciskane narodowościowo i wyniszczane gospodarczo. [...] Nad konsekwencjami tego faktu rozwodzić się nie warto. Bowiem wśród ludzi umysłowo normalnych nie może być chyba dyskusji o nieuchronnych skutkach metody eksterminacyjnej i unifikacyjnej w polityce narodowościowej po tych wszystkich doświadczeniach, jakie z takimi właśnie metodami poczyniły Prusy, Rosja i Węgry. Dla tych zaś, którzy wierzą,

* Mohort to bohater poematu Wincentego Pola, polski porucznik na Kresach, broniący Rzeczypospolitej u jej schyłku w XVIII wieku.

że nacjonalizm polski dokaże istotnie tego, na czym załamały się nacjonalizmy pruski, rosyjski i węgierski, słowa te w ogóle pisane nie są.

KRAKÓW, KWIECIEŃ 1923

[22]

Stanisław Srokowski, były wojewoda wołyński, w „Przeglądzie Współczesnym”

Uznanie granic RP na wschodzie przez główne mocarstwa sprzymierzone i stowarzyszone zamknęło szczęśliwie 15 marca 1923 okres naszych zabiegów na terenie międzynarodowym w sprawie formalnego stwierdzenia między innymi również przynależności do Polski czterech województw kresowych, leżących na wschód od linii Curzona. [...]

Posiedliśmy Kresy dlatego: 1) że niegdyś, w ciągu setek lat, należały one do Polski przedrozbiorowej, 2) że włożyliśmy w nie, w ciągu kilku wieków trwania, moc pracy kulturalnej, 3) że na ich przestrzeni do dziś pozostał poważny procent polskiej ludności, 4) że te ziemie są nam niezbędnie potrzebne, jeżeli Polska ma być mocarstwem, nie zaś państwem bez znaczenia i siły, 5) że do Polski należeć chciały, a przynajmniej nie wypowiadały się głośno przeciwko myśli wstąpienia w skład naszego państwa.

Ten ostatni, najbardziej nowożytny pogląd, jest może ze wszystkich najważniejszy. Ma on i to za sobą, że jest najbardziej zrozumiały za granicami Polski. Bo woła mieszkańców przestała już być czynnikiem, nad którym dyplomacja przechodziłaby do porządku dziennego. Ta woła waży – i to ciężko. [...]

Jeżeli do Kresów nie zastosujemy mądrej i celowej polityki, jeżeli nie zdobędzie się tam na ofiary z naszej energii narodowej, tak potrzebnej państwu i gdzie indziej – to prędzej czy później Kresy stracimy. Wszystkie tytuły posiadania, a wśród nich i uznanie mocarstw, nie zdadzą się na nic. [...]

Do dziś nie wiemy naprawdę, jak mają wyglądać na Kresach narzędzia państwowego działania, a zatem władze i organizacje, którymi, jak żyłami, ma pulsować państwowa myśl polityczna. [...] Niektóre rzeczy porzucono, jak nadgryziony owoc. Stało się to na przykład z osadnictwem wojskowym. Przekonawszy się, że to przedsięwzięcie w nadanej mu formie jest nie tylko niecelowe, ale wręcz szkodliwe, nie odwołano go formalnie, lecz schowano do lamusa razem z innymi próbami naszej sztuki rządzenia Kresami. Pozostał tylko

niemiły posmak organizacji bardzo podobnej do roboty pruskiej komisji kolonizacyjnej, co prawda nieporównanie od niej niedołęźniejszej, nie mówiąc już o tym, że nadawanie ziemi wojskowym było nieszczególną nagrodą za ich zasługi. [...]

Dotychczasowy przybytek 3881 polskich osadników cywilnych i 2997 wojskowych nie odegrał również jakiegokolwiek bądź roli w pociągnięciu kraju, zwłaszcza zaś wsi, polskim pokostem, tym bardziej że znowu głównie dzięki tym posiłkom, rozmieszczonym w jak najbardziej niewłaściwy sposób, nastąpiło znane zaostrenie wzajemnych stosunków między tubylczą polskością a masą ukraińską. Zresztą osadnicy wojskowi, pominąwszy nieliczne jaśniejsze wyjątki, do niedawna prawie w całości, a dziś jeszcze w znacznej części, z powodu braku kwalifikacji i materialnych środków obrotowych, a także niedostatecznej opieki rolniczej, stanowią możliwie najmarniejszy żywioł kolonizatorski. W dużej części w swych osadach nie przebywają i z polskimi osadnikami cywilnymi się nie łączą. Podkreślając swój charakter wojskowy, grają rolę jakiegoś uprzywilejowanego kozactwa, czym chłopą ukraińskiego drażnią. [...]

W stosunku do samorządów osadnicy wojskowi zachowują zupełną obojętność. Z zasady nie przyjmują udziału w wyborach i nie bywają obierani na urzędy gminne. Dzięki dość licznym tzw. działkom wzorowym, 45-hektarowym, które z reguły znajdują się w rękach oficerów i które stanowią jaskrawy kontrast wobec normalnych żołnierskich, 10–20-hektarowych, osadnicy nawet między sobą nie są jednakowo solidarni. [...]

Literatura sąsiadujących z nami ludów kresowych, skoro się budzi, zaczyna od pieśni nienawiści w odniesieniu do Polski, czego najwymowniejszym dowodem jest chyba [Taras] Szewczenko. Gdy wzbiera wśród nich uczucie religijne, krzyż zaostrza się w żeleźce [ostrze], gotowe spaść na szyje polskie; gdy organizuje się życie ekonomiczne, to głównie, aby uniezależnić się od polskości – iść raczej z jej wrogami przeciw niej niż z nią.

Może zaistnieć nawet przejściowy okres godzenia się tych ludzi z nami. Do głębin serca nie sięgnie on nigdy. Zawsze będzie to akt powierzchniowy, jeżeli nie jednostronny. [...] Zgody między panem a niewolnikiem, między posiadającym a wydziedziczonym, między sytym a głodnym, między górą a dołem być nie może. Taki zaś



FOT. JERZY KONRAD MACIELEWSKI / OŚRODEK KARTA

↑ Łosiatyn (województwo wołyńskie), lata 30. Osadnicy wojskowi

stosunek, a raczej jego pozór, istnieje niestety między nami a naszymi sąsiadami ze wschodu.

1924

[23]

Mjr Aleksander Deryng, delegat Ministerstwa Spraw Wojskowych do spraw osadnictwa wojskowego, w raporcie dla ministra

Melduję, iż dnia 3 grudnia zgłosił się do mnie osadnik z Jezioran Bielajewskich [powiat łucki] pełnonadziałowiec Kajetan Sawicki, błagając o interwencję u Władz celem uzyskania naboju – bo chłopci zasileni przez bandę dywersyjną palą osady żołnierskie. Trzech puszczone już z ogniem, a reszta osadników oczekuje na swoją kolejkę, bo nie ma czym się bronić, ponieważ nie posiadając naboju, samymi karabinami obronić się nie można. [...]

Zwołałem Zjazd Delegatów Osadników Wojskowych powiatu łuckiego celem omówienia środków zaradczych przed napadami chłopów i band dywersyjnych, które stawiają sobie za

zadanie ruszyć polski element z Wołynia za pomocą wykurzenia osadników wojskowych.

W związku z powyższym uważam za swój wprost obywatelski obowiązek jeszcze raz przedłożyć i zameldować, że trzeba nareszcie przyjąć pod uwagę wystraszone oczy kobiet i dzieci sprowadzonych na Kresy rodaków.

ŁUCK, 5 GRUDNIA 1924

[2]

Posel Stepan Makiwka (Klub Ukraiński) na posiedzeniu Sejmu

Osadnictwo wojskowe nie jest nawet w części rozwiązaniem kwestii rolnej. Osadnictwo wojskowe ma wyłącznie cel polityczny: ono jest narzędziem polonizacji ziem ukraińskich i białoruskich, czyli tak zwanych Kresów. [...] Naród ukraiński nigdy nie zaprzestanie walki z osadnictwem i nigdy nie uzna za prawych posiadaczy parceli tych osadników, których rządy polskie z krzywdą włościactwa ukraińskiego na ziemiach ukraińskich osiedliły i mają osiedlić.

WARSZAWA, 9 LUTEGO 1927

[18]



PACYFIKOWANI

Ustawa szkolna z 1924 roku, teoretycznie wprowadzająca dwujęzyczność nauczania w województwach wschodnich, faktycznie faworyzowała język polski. Nie zrealizowano także obietnicy otwarcia we Lwowie uniwersytetu ukraińskiego. Przy tym zachowawcza reforma rolna, niepoprawiająca w istocie losu chłopów, w tym znaczącej społeczności ukraińskiej, oraz dalszy napływ osadników wojskowych. Sytuacja ta spowodowała radykalizację Ukraińców. W 1929 roku w Wiedniu, na bazie istniejącej wcześniej Ukraińskiej Organizacji Wojskowej (UWO), zawiązała się Organi-

cja Ukraińskich Nacjonalistów. Jej działalność podziemna, w tym także sabotażowa i terrorystyczna, wywołała ostrą reakcję władz polskich. We wrześniu 1930 władze polskie rozpoczęły pacyfikację na terenie województw lwowskiego, tarnopolskiego i stanisławowskiego. (A.R.)

Z Kroniki działań terrorystycznych UWO, opublikowanej w „Surmie”, organie prasowym organizacji

30 lipca w południe koło Bóbrki członkowie UWO napadli na ambulans pocztowy, którym przewożono około 50.000 zł. Policjant Majewski, który eskortował wóz, został zabity. Po rozbiciu skrzynek sprawy zabrali pieniądze i uciekli do



← Wrzesień 1929.
IX Międzynarodowe Targi
Wschodnie we Lwowie,
pomieszczenie po zamachu
bombowym

pobliskich lasów. W czasie pogoni, która niebawem została wszczęta, dzięki temu, że woźnica, którego sprawcy oszczędzili, zaalarmował policję, policjanci w chlebowickim lesie natrafili na jednego ze sprawców, studenta prawa H. Piseckiego [...]. Wywiązała się obopólna strzelanina, w czasie której Piseckij został ranny dwiema kulami; nie mając możliwości dalszej ucieczki i nie chcąc trafić w ręce laskich oprawców, Piseckij strzałem rewolwerowym odebrał sobie życie.

[...]

16 sierpnia poprzecinane zostały przewody telefoniczne i telegraficzne dookoła Lwowa, który od godziny jedenastej wieczorem do dziesiątej rano był odcięty od świata.

KOWNO, SIERPIEŃ 1930

[15]

Z zarządzenia Komendy Wojewódzkiej Policji w Stanisławowie do komend powiatowych

Wypadki, jakie zdarzyły się w ostatnim czasie, świadczą, że UWO podjęła na terenie całej Małopolski Wschodniej o wiele intensywniejszą niż dotychczas działalność w kierunku dywersyjnym i sabotażowym, celem zademonstrowania swego istnienia wobec czynników państwowych oraz zagranicy. [...]

Zamachy te [...] podrywają autorytet władz państwowych, a nawet samego państwa. [...] Jest to zatem akcja antypaństwowa, wielce niebezpieczna [...] i godząca w najżywniejszy interes państwa. Z tego właśnie powodu spotkać się musi z jak najbardziej skuteczną reakcją ze strony władz i organów bezpieczeństwa publicznego.

STANISŁAWÓW, 20 SIERPNIA 1930

[12]

Minister spraw wewnętrznych Felicjan Sławoj Składkowski w dzienniku

Otrzymałem następujące instrukcje i rozkazy: [...] podpaleń, sabotaży, napadów i gwałtów w Małopolsce Wschodniej nie wolno traktować jako jakiegś powstanie [ukraińskie].

Unikać rozlewu krwi, natomiast stosować, w razie dobrowolnego bądź niedobrowolnego popierania zamachowców przez ludność, represje policyjne, a gdzie to nie pomoże – kwaterunek wojskowy ze wszystkimi ciężarami, związanymi z nim. Sama obecność wojska uniemożliwi zamachowcom terroryzowanie ludności. Ludność musi wiedzieć, że ma słuchać władz, a nie zamachowców.

WARSZAWA, 1 WRZEŚNIA 1930

[17]

Z notatki służbowej z konferencji wojewody tarnopolskiego Kazimierza Moszyńskiego z naczelnikami Wydziałów Bezpieczeństwa województw lwowskiego, tarnopolskiego i stanisławowskiego

Do środków doraźnych, zmierzających do spacyfikowania terenu, należeć będą: lotne oddziały policji [...], przymusowe kwaterunki wojskowe [...], warty gminne i odszkodowania [...], rewizje i areszty [...]. Urzędy śledcze bezzwłocznie sporządzą wykazy wszystkich dotychczas przytrzymanych uczniów szkół średnich zamieszanych w akcji antypaństwowej i prześlą drogą służbową do Wydziału BP Urzędu Wojewódzkiego Lwowskiego, celem zakomunikowania ich władzom szkolnym.

LWÓW, 5 WRZEŚNIA 1930

[12]

Felicjan Sławoj Składkowski w dzienniku

Przedstawiłem [Piłsudskiemu] sytuację w Małopolsce Wschodniej i konieczność zlikwidowania „Płasta” [skautingu ukraińskiego], występującego specjalnie gwałtownie. Pan Marszałek [...] zabronił przede wszystkim rozdymania znaczenia wypadków i manifestacji zarówno w centrum państwa, jak i Małopolsce Wschodniej. W Polsce ma panować spokój, bez żadnych stanów wyjątkowych.

WARSZAWA, 15 WRZEŚNIA 1930 [17]

Z interpelacji sejmowej posłów Klubu Ukraińskiego

O godzinie czwartej rano przyjechało do wsi 75 policjantów, stanowiących tak zwaną karną ekspedycję. Policjanci, otoczywszy wieś, nie wypuszczali nikogo, nie pozwalając nawet dzieciom pędzić bydła na pastwisko. Kto, mimo zakazu, próbował uciec ze wsi, za tym strzelano. Następnie posterunkowi, wdarłszy się do budynku Czytelnicy „Proswity” [...] z krzykiem, że to „kuźnia ukraińska”, zniszczyli drzwi wejściowe, zaś w sali teatralnej poniszczyli portrety książąt ukraińskich, [...] następnie zniszczyli szafę wraz z biblioteką, składającą się z 1100 tomów, obracając książki w kupę papierów; zniszczyli również kulisy i garderobę teatralną. Następnie zniszczyli sklep miejscowej Kooperatywy, mieszczący się w budynku Czytelnicy, zsypując towary na jedną kupę i zlewając je naftą, octem i oliwą. Policjanci udawali się do domów poszczególnych mieszkańców wsi i – przeprowadzając rzekome rewizje – niszczyli [mienie] tychże i bili.

[...] Wieśniacy musieli złożyć dla oddziału pacyfikacyjnego 400 jaj, 75 litrów mleka, 35 bochenków chleba, a ponadto własnymi podwodami w ilości 75 odwieźć oddział ten ze wsi, przy czym na każdej furze jechał jeden posterunkowy, żądając, aby fura była wyścielona świeżą słomą, a słoma przykryta białym prześcieradłem.

POWIAT BRZEŻAŃSKI, 21 WRZEŚNIA 1930 [5]

Wojewoda lwowski Bronisław Nakonecznikow-Klukowski w okólniku

W ciągu najbliższych dni skorzystam z [...] ćwiczeń oddziałów kawalerii, w celu pośredniego przeprowadzenia pacyfikacji w powiatach budzących najwięcej zastrzeżeń w związku z akcją sabotażową. [...] Kwaterunek i dostarczenie żywności winno być odczute przez miejscową ludność jako

pewnego rodzaju ciężar, [...] z reguły nie powinien [on] dotyczyć ludności narodowości polskiej. Wy różnienie powyższe akcentować ostentacyjnie.

LWÓW, 25 WRZEŚNIA 1930 [12]

Wasył Turko, mieszkaniec wsi w województwie lwowskim

Podczas pacyfikacji do naszej wsi przyjechali czterema furami polscy policjanci z Radziechowa i innych miejscowości. Razem z miejscowymi policjantami było ich około 20. Wcześniej miejscowa policja już ściągnęła do kancelarii gminy (znajdowała się po sąsiedzku z czytelnią „Proswity”) co bardziej świadomych gospodarzy i aktywniejszych chłopców. Wszystkim polecono czekać do przyjazdu czterech podwód z policją.

Potem zaczęli brać po kilku i chodzić do ich gospodarstw „w poszukiwaniu broni”. Przy przeszukaniu przewracali wszystko do góry nogami w domach, komorach, stodołach, zrywano strzechy itp. Do tego zmuszano nas – chłopców. Ale nie bili. Po zakończeniu przeszukiwań zabrali aresztowanych do gminy na dalsze „przesłuchania”. Najpierw brali starszych gospodarzy. Każdemu polecono przejść między dwoma rzędami policjantów, którzy bili ich pałami po ramionach i głowach.

Wśród bitych znalazł się poważny, świadomy gospodarz, Hryc Wozniak. Kiedy powiatowy komendant policji polecił mu zbliżyć się do stołu, „by spisać protokół”, Hryc Wozniak podniesionym głosem poprosił: „Zanim zaczniecie spisywać ze mną «protokół», chciałbym przy świadkach spisać testament – bo mam żonę i dzieci”.

Ta niesłychana dla polskiej policji prośba najwyraźniej zaskoczyła buńczuczny komendanta i skłoniła do zastanowienia; Hryca Wozniaka nie ważyli się więcej uderzyć.

Innego gospodarza, Wasyla Obuszkę, zbili do nieprzytomności i wynieśli na dwór pod figurę (pomnik z gipsu). Żony i matki, czekające na drodze, podniosły straszny krzyk i gwałt. Ponieważ już zmierzało, komendant polecił wypuścić wszystkich do domów.

Następnego dnia rano policjanci odjechali do Radziechowa, ale dla każdego z pacyfikatorów gmina musiała przygotować osobną podwodę.

Niebawem wkroczyło do naszej wsi polskie wojsko, które właśnie „spacyfikowało” sąsiedni Bysziw (powiat sokalski). Jednak tym razem obyło się bez przemocy. Inny polski oddział wkroczył

od Suszna. Po drodze złapano jednego z gospodarzy, nieaktywnego, zabrali go do czytelnicy, zniszczyli całą bibliotekę, a następnie polecono „więźniowi” bić pałką obraz *Wjazd Chmielnickiego do Kijowa*, który wisiał na ścianie. Gospodarz odmówił, że niby trzeba będzie za obraz zapłacić, ale gdy dobrze go uderzono, rozbił obraz pałką, rozdzierając go na cztery. Potem ludzie obraz złożyli i skleili, a z tyłu zamieścili opis pacyfikacji i znów powiesili na ścianie.

REJON RADZIECHOWA (WOJEWÓDZTWO LWOWSKIE) [3]

Stanisław Łoś, pracownik MSZ, działacz na rzecz porozumienia polsko-ukraińskiego, w liście do dyplomaty Tadeusza Romera

Nie mogłem się oprzeć i dotąd nie mogę wrażeniu, że osiągnęliśmy wprawdzie sukces doraźny w terenie, ale że okupiliśmy go może drożej, niż to było warte. [...] To, że sabotaż na razie ustał i że ludność pod groźbą pacyfikacji manifestowała lojalność wobec państwa (a czegoż by w podobnych warunkach nie manifestowała?), może być uważane za słabą tylko kompensatę okoliczności ujemnych całej sprawy, a tym jest to, że do serc i umysłów ludności [...] możemy trafić, prawdę powiedziawszy, tylko organizowaniem nagminnej masakry – że prócz mechanicznej siły nie możemy się tam oprzeć na niczym, że nie mamy żadnej podpory moralnej natury. To ujawniło się w sposób jaskrawy przed całym światem, w szczególności przed oczyma bolszewików i Niemców – i to będzie przedmiotem dyskusji w Radzie Ligi Narodów. [...] Wobec braku autorytetu moralnego, zostaje nam tylko [względem Ukraińców] siła mechaniczna.

NIEMCE (POWIAT LUBARTOWSKI), WRZESIEŃ 1930 [10]

Z artykułu w wydawanym w USA piśmie „Ukraina”

Zaczął się od oderwanych sabotaży na majątki znanych polskich osób – generałów, byłych wojewodów, ministrów itp. Akcja wkrótce rozszerzyła się na wszystkich obszarników bez wyjątku i na kolonistów oraz obiekty państwowe. Dlaczego zwrócono uwagę na niszczenie majątku obszarników i kolonistów? Przede wszystkim dlatego, że kolonizacja naszych ziem przez polskich przybyszów, podtrzymywana przez państwo polskie, przedstawia dla nas największe niebezpieczeństwo i dlatego trzeba odstraszyć kolonistów polskich od osiedlania się na terenach ukraińskich.

A po drugie – że przy akcji masowej jest to najlepszy sposób oddziaływania na masy ukraińskiej ludności włościańskiej. Pożary, które nacocznie widziane przez kilka lub kilkanaście wsi, pożogi majątków bezpośrednich wrogów naszego włościanina, którzy zabierają mu ziemię, więcej przekonują chłopą i mają na niego większy wpływ.

CHICAGO, 17 PAŹDZIERNIKA 1930

[12]

Prałat Tytus Wojnarowski, duchowny greckokatolicki, w memoriale dla Stanisława Łośa

W setkach wiosek ukraińskich doszczętnie zdemolowano czytelnicy wiejskie, sklepy spółdzielcze, mleczarnie oraz wszelkie inne istniejące tam jakiegokolwiek instytucje i stowarzyszenia ukraińskie, bez względu na ich charakter, działalność i cel. W gminach, na terenie których żadnych występów przeciwpaństwowych od początku istnienia Rzeczypospolitej nie było, znęcano się nad ludnością ukraińską, bito nawet za samo przyznawanie się do narodowości ukraińskiej. W setkach wiosek podarto w strzępy portrety Szewczenki, będące dla inteligenta czy chłopą ukraińskiego emblematem narodowym i pewną nietykalną świętością, palono biblioteki.

Zamiast wylawiania istotnych podpalaczy i oddawania w ręce sprawiedliwości winowajców zbrodni sabotażowych, akcja pacyfikacyjna zwróciła się z całą brutalnością przeciwko masom ludu ukraińskiego, przewyższając okrutnością szczegółów niekiedy nawet okropne przeżycia lat wojennych. [...] W wyniku akcji tej, prowadzonej pod mianem pacyfikacji, masy ludności ukraińskiej miotane są obecnie uczuciami obłądnego strachu i przerażenia, lecz również szalonego rozgoryczenia i rozpacz, która zawsze bywa złym doradcą.

LWÓW, 22 PAŹDZIERNIKA 1930

[10]

Minister Felicjan Sławoj Składkowski podczas posiedzenia Komisji Budżetowej Sejmu

Rewizje wykazały na całym terenie [Małopolski Wschodniej]: karabinów różnego typu około 1208, strzelb różnych 460, rewolwerów 735, bagnetów 714, sztyletów 59, szabel 82, poza tym znaczne ilości prochu strzelniczego, materiałów wybuchowych i łatwopalnych, petard do podpalenia, nożyc do cięcia drutów, kilkadziesiąt metrów lontu do podpalania i około 28 fur różnego



↑ Ceniów (województwo tarnopolskie), wrzesień 1933. Napis na ścianie wykonany przez Organizację Ukraińskich Nacjonalistów: „Niech żyje OUN, precz z łaczkimi szkołami. Dzieci, nie uczcie się po polsku, tylko po ukraińsku”

sprzętu wojskowego. Poza tym ujawniono znaczne ilości literatury nielegalnej, druków, odezwo, bloczki na fundusz bojowy UWO.

WARSZAWA, 9 STYCZNIA 1931

[9]

Stepan Baran, poseł Bloku Ukraińsko-Białoruskiego, podczas posiedzenia Sejmu

Całą swoją siłę czerpiemy w wierze w nasze zmartwychwstanie. My wierzymy i jesteśmy pewni, że

tak, jak wy i każdy inny naród, który otrzymał to, do czego dążył – i my to otrzymamy. Każdy z nas jest pewny, że to nasze dążenie będzie zrealizowane. Równocześnie zdajemy sobie sprawę, że stoimy na gruncie legalnym, jako stronnictwo legalne, stoimy na stanowisku walki legalnej i – wychodząc z tego stanowiska – potępiamy ten sposób walki.

WARSZAWA, 26 STYCZNIA 1931

[20]

Stanisław Dubois, poseł PPS, podsądny w procesie brzeskim*, podczas posiedzenia Sejmu

Myślałem, że wśród was [przedstawicieli władzy], gdy się będzie mówiło o tych bolesnych dla nas i dla Ukraińców sprawach, to znajdzie się u was pewną powagę w odniesieniu do tych zagadnień. Tymczasem spotkaliśmy się u panów tylko z jakimś wesołym, szubienicznym humorem i cynizmem. Kiedy się śmialiście z tego, jak kijami ludzi zmuszano, aby się za konie modlili, i kiedy śmialiście się i mówiliście do Ukraińców: „Mało wam jeszcze” lub „Teraz już nie będziecie podpalać” – to doszedłem do wniosku, że w sumieniach panów honoru i jakiegoś poczucia godności państwa szukać nie należy. [...] Po Brześciu my, niestety, wierzymy, że w Polsce mogą się dziać rzeczy całkiem, zdawałoby się, nieprawdopodobne. [...]

Pan [Zdzisław] Stroński [referent Komisji Administracyjnej] powiedział, że cała akcja pacyfikacyjna to było wzięcie ludności w opiekę, [...] że rząd innej drogi nie miał. Jak to? Rząd, ten silny rząd, ten rząd dyktatorski nie ma środków na to, ażeby tę zbrodnię nielegalnego posiadania broni czy zbrodnię podpalania, czy zbrodnię sabotażu w normalnej drodze wymiaru sprawiedliwości ukarać? To rząd musi koniecznie, panie ministrze, wojsko do tego wysłać? To rząd musi masowo kutować ludzi, to muszą funkcjonariusze państwowi zdzierać portrety Szewczenki, to muszą demolować lokale i przeprowadzać dobrowolną, w cudzysłowie, likwidację wszystkich stowarzyszeń ukraińskich pod grozą i przymusem? [...] Tu się kończy tragedia narodu ukraińskiego, tu się zaczyna tragedia narodu polskiego.

WARSZAWA, 26 STYCZNIA 1931

[20]

Oleksander Bunij, mieszkaniec Truskawca

Lata 1927–29 obfitowały w wystąpienia UWO w formie akcji przeciwpaństwowych, przeciwpolских. Raz po raz prasa przynosiła wiadomości o akcjach bojowych, aktach i procesach członków UWO. Akcje sabotażowe i procesy sądowe zajmowały naszą uwagę, z zainteresowaniem czytaliśmy doniesienia o ich przebiegu. Młodzieżowy zapał i poryw do czynu, romantyzm walki i ofiarności dla ojczyzny, aż do ofiary z życia włącznie – to był sens naszego życia. Z jakim zachwytem czytaliśmy potajemnie, kryjąc się nawet przed

najbliższymi, „Surme”, i jakimi szczęśliwcami się czuliśmy, bo „Surma” była nielegalnym organem UWO i już samo czytanie groziło więzieniem. Dzięki tylko czytaniu „Surmy” uważaliśmy się za „członków UWO”.

Nadszedł rok 1929/30 – rok haniebnej pacyfikacji naszych wsi. My w Truskawcu nie zazналиśmy żadnych krzywd, bo był to kurort, miejscowość letniskowa, dotąd nie zdarzały się tam żadne antypolskie czy antypaństwowe wystąpienia. Wszystko, co wiedzieliśmy o polskim terrorze, było wiadomościami z prasy, skąpymi i niejasnymi, bo polska cenzura nie pozwalała pisać otwarcie. Z czasem, różnymi kanałami i sposobami, dowiedzieliśmy się o tych niewiarygodnych bestialstwach polskiej policji i wojska, o znęcaniu się nad bezbronnym społeczeństwem i jeszcze bardziej zapłoneliśmy pragnieniem zapłaty.

Pracowałem w pensjonacie ukraińskich Sióstr Służebnic. Była to ładna, świeżo zbudowana willa, mieszkańcami byli letnicy z całej Polski. Było wielu Ukraińców, ale byli też Polacy. Jednym z nich był poseł Tadeusz Hołówko. W jakiś sposób, nie pamiętam, czy po adresie listów, które do niego przychodziły, czy może dał mi jakiś dokument do zameldowania – dowiedziałem się, że był w rządzie naczelnikiem wydziału do spraw wschodnich [Wydziału Wschodniego w Departamencie Politycznym MSZ]. Od razu przyszło mi na myśl, że chyba musiał mieć jakiś związek z pacyfikacją. Niezwłocznie powiadomiłem o tym Organizację. Opowiedziałem o tym Wasylowi Biłasowi, wspominając przy tym o moim przypuszczeniu co do związku Hołówki z akcją pacyfikacyjną. Biłas zgodził się ze mną, że trzeba to zgłosić dalej, ale jednocześnie powiedział, że to nie na czasie, bo przygotowują coś innego, o czym niebawem się dowiem. Za kilka dni Biłas powiedział, abym kolejnego dnia nie szedł na pocztę po południu, bo będzie napad i lepiej, bym się tam nie pokazywał.

Do moich obowiązków w pensjonacie należało nadawać listy i załatwiać sprawy letników, którzy mieszkali w willi, dlatego często kilka razy dziennie bywałem na poczcie. Urząd pocztowy był oddalony od pensjonatu nie więcej niż 70–80 metrów w linii prostej. Z powodu różnych spraw zapomniałem, o czym mówił mi Wasyl

* Mowa o aresztowaniach przeciwników politycznych sanacji we wrześniu 1930, przetrzymywanych w twierdzy brzeskiej.



FOT.MC

↑ Truskawiec, sierpień 1931. Początek drogi trumny Tadeusza Hołowicki do Warszawy

Bilas. Na drugi dzień, usłyszawszy strzały koło poczty, przypomniałem sobie o tym.

Napad na pocztę wywołał sporą panikę między letnikami, bo dotąd było spokojnie i Polacy czuli się pewnie. Teraz stali się trochę bardziej czujni.

Wykonawcy napadu rozbiegli się, nikogo nie złapano. Nawet obecni na poczcie oficerowie i policjanci nie odważyli się stawiać oporu ani użyć broni. Potem na procesie jeden major, przepytwany jako świadek, na ironiczne pytanie sądu, czemu on, wojskowy, nie stawiał oporu i nie użył broni, którą miał przy sobie, odpowiedział: „Dlatego że jestem wojskowym, wiem, co znaczy broń gotowa do wystrzału skierowana we mnie i co znaczy nakaz «Ręce do góry»”.

Mijały dni i tygodnie, a policja nie miała żadnych śladów. Co prawda bezpośrednio po napadzie zatrzymano Wasyla Biłasa i jeszcze kogoś, ale po kilku dniach ich zwolniono. O tym, kto – poza Wasylem Biłasem – brał udział w napadzie na pocztę, dowiedziałem się niedługo potem.

Dwa tygodnie po napadzie przypomniałem Biłasowi o Hołowce i zaznaczyłem, że czas jego

pobytu kończy się za dwa czy trzy dni. Dzień później Wasyl Biłas poinformował mnie, że otrzymał nakaz, zabicia Hołowicki. To, że otrzymał „nakaz”, zabrzmiało tak, jakby otrzymał pozwolenie, jakby ostateczna decyzja zależała od niego. W każdym razie byłem tym zaskoczony i nawet przestraszony. Ale skoro sam przypomniałem o tym Biłasowi, musiałem konsekwentnie iść dalej. Ustaliliśmy godzinę i zobowiązałem się dać Biłasowi znak, czy Hołowicko jest w pokoju. Opowiedziałem też, jak najszybciej znaleźć jego pokój, żeby nie rozglądać się po korytarzach. To miało być wieczorem koło ósmej, kiedy letnicy będą w jadalni przy kolacji. Jadalnia była w osobnym budynku. Hołowicko zwykle jadł w swoim pokoju. Biłas wypytał mnie jeszcze, jak idą schody do góry – i rozeszliśmy się.

Następnego dnia [29 sierpnia 1931] o umówionej godzinie zauważyłem Biłasa i poszedłem sprawdzić, czy Hołowicko jest w pokoju. Leżał w łóżku i – jak nigdy dotąd – zaczął ze mną rozmowę. (O czym mówił, dziś – po czterdziestu latach – nie pamiętam). Pamiętam tylko, że zaczął: „Cóż tam, hajdamako?”. Coś odpowiedziałem,



↑ Lwów, grudzień 1932. Proces bojówkarzy OUN – sprawców napadu na pocztę w Gródku Jagiellońskim – przed Sądem Okręgowym. Od lewej: Dmytro Danyłyszyn, Wasyl Biłas i Markijan Żurakiwskij

a w duszy pomyślałem, że może coś przeczuwa podświadomie. Życzyłem mu dobrej nocy, zszedłem i w drzwiach wejściowych dałem Biłasowi znak, że Hołówko jest w pokoju. Biłas czekał na ulicy. Poszedłem do jadalni i usiadłem, by zjeść kolację.

Po kilku minutach do jadalni wbiegła jedna z dziewczyn-pokojówek z krzykiem, że zabito Hołówkę. Rzuciłem się od stołu i – jak wcześniej planowałem – pobiegłem szukać pomocy lekarskiej. W pierwszym gabinecie nie zastałem lekarza, było po ósmej wieczorem. W drugim lekarz jeszcze był i gdy powiedziałem, że zastrzelono jednego z letników, zerwał się i poszedł ze mną. Niespodziewanie spadł duży deszcz i zerwała się burza, tak że nieźle przemokliśmy, zanim dotarliśmy na

miejsce, bo trzeba było przejść jakieś 400 metrów. Gdy z lekarzem weszliśmy na górę, w korytarzach było trochę ludzi, nawet policjanci stali i w milczeniu obserwowali zachowanie przestraszonych osób. Rozmawiano i snuto przypuszczenia. Niektórzy od razu zaczęli mówić przeciw mnie – że czemu niby nie byłem w tym momencie w budynku, gdy miało miejsce zabójstwo, pewnie byłem w zмовie z zabójcami i że trzeba mnie aresztować. Moje tłumaczenie, że jadłem kolację, a potem pobiegłem po lekarza, trochę ich przekonało. Wyobrażam sobie ich satysfakcję, z jaką później, śledząc w prasie przebieg procesu, przypominali sobie te przypuszczenia i domysły. Aresztowano mnie tejsze nocy.

TRUSKAWIEC, 30 SIERPNI 1931

[3]



PLACÓWKA

Województwo poleskie w II RP było obszarem peryferyjnym, niemal powszechnie kojarzonym ze skrajną biedą i zacofaniem.

Administracja państwowa wzmocniła powszechne przekonanie, że mieszkańcy Polesia nie mają skryzystalizowanej świadomości narodowej. Spis ludności z 1931 roku ujawnił na tym terenie ponad siedemsettyśmiu zwartą grupę ludności „tutejszej”, rzekomo pozbawionej aspiracji narodowych. W latach 30. dane statystyczne stanowiły dogodny pretekst dla prowadzonej na Polesiu polityki asymilacji – urzędujący w Brześciu od 1932 roku wojewoda Wacław Kostek-Biernacki był bezwzględny jej realizatorem.

Zaostrzenie polityki narodowościowej przykuło uwagę ukraińskich elit politycznych z Galicji

Wschodniej do Polesia. Wiosną 1934 po raz pierwszy przybyła tam Ołena Kysiłewska z Kołomyi, senatorka, a zarazem działaczka ukraińskiego ruchu kobiecego, dziennikarka, publicystka oraz redaktorka naczelna ukraińskiego pisma „Żinocza Dola”. Podczas jednego ze swoich przyjazdów Kysiłewska poznała Martyna Wakulczyka, stolara z Drohiczyzna – ich kontakt korespondencyjny, trwający przynajmniej do końca 1938 roku, rysował kształt tej indywidualnej ukraińskiej reputy. (P.A.)

Starosta powiatowy piński w raporcie dla wojewody poleskiego

Melduję, że 20 września 1934 o godzinie 20.45 od strony Brześcia przyjechała do Pińska H.K. [Helena Kisiłewska] [...]

Około godziny 11.00 udała się na brzeg Piny, gdzie nawiązywała rozmowę z włościanami



← Pińsk, lata 20.
Targ na Pinie

siedzącymi na łódkach. W ten sposób obeszła około 30 łodek i rozmawiała z kilkudziesięcioma osobami. Każdej grupce senatorka przedstawiała się jako przedstawicielka mniejszości ukraińskiej i białoruskiej w Senacie, dodając, że – z tytułu swego stanowiska oraz jako literatka i powieściopisarka ukraińska – broni interesów tych mniejszości w Senacie i dlatego stara się stykać z tutejszą ludnością, by móc zapoznać się z jej życiem.

Ludność miejscowa chętnie słuchała i odpowiadała na zadawane sobie pytania, które dotyczyły: warunków gospodarczych, stanu szkolnictwa i czy są szkoły ruskie, wymiaru podatków i sposobu ściągania ich, cen produktów rolnych, instruktorów rolnych, stosunku ludności do władz i odwrotnie, adresów osób uświadomionych politycznie (narodowościowo) w poszczególnych wsiach, zainteresowania ludności czytelnictwem i jakie czasopisma na teren wsi docierają.

Mówiąc o prasie, senatorka rozdała obecnym około 50 sztuk broszur i czasopism ukraińskich i zapowiedziała, że na adresy zanotowane będzie nadsyłać różne czasopisma w języku ojczystym (ukraińskim), by zawsze pamiętali, że są Ukraińcami. Namawiała obecnych, aby z braku szkół ojczystych wszelkimi siłami starali się dzieci swoje uczyć w domu w języku ukraińskim i zapoznawali je z literaturą ukraińską, wpajając młodzieży miłość do swego kraju i narodu. Senatorka w rozmowach swoich zaznaczała, że Polska i Polacy na ziemiach kresowych są gośćmi.

Przy łódkach dokonała kilku zdjęć, mówiąc, że będą one ilustrowały życie włościan Ukraińców na Polesiu w specjalnej prasie ukraińskiej. Na zakończenie senatorka mówiła włościanom, że dzięki ciemnocie tutejszych wsi różne pasożyty żerują na ludności, jednak ona postara się stan ten naprawić.
PIŃSK, 28 WRZEŚNIA 1934 [28]

Starosta drohiczyński w meldunku

14 marca br. pociągiem od strony Brześcia H.K. przyjechała do Drohiczyna, gdzie rozdała na rynku gromadce włościan czasopismo ukraińskie „Swoboda” oraz wydawnictwo „Ridnej Szkoły”.

Po wylegitymowaniu jej przez funkcjonariuszy policji, poszła na ulicę Orzeszkowej (Starosiele), zamieszkaną głównie przez element skomunizowany, gdzie zachodziła do gospodarzy i z nimi rozmawiała – nie wchodząc do mieszkań. Była tylko w mieszkaniu [Martyna] Wakulczyka, karanego już miesięcznym więzieniem za działalność komunistyczną, i siedziała tam około 20 minut, po czym sfotografowała całą jego rodzinę przed domem. Powracając od Wakulczyka, zaszła do restauracji Zaboklickiego na obiad i w tym czasie wypytywała go o posła [Antoniego] Wysłoucha, byłego ambasadora w Londynie [Konstantego] Skirmunta i innych, o stosunki narodowościowe w Drohiczynie i okolicznych wioskach, o ceny na żywność, o stan zagospodarowania ludności, jej kulturę, wyrobienie polityczne itp., przy czym każdą podaną jej informację notowała w notiesie.

DROHICZYN, 14 MARCA 1935

[28]

Ołena Kysiłewska, senatorka, redaktorka, w swojej książce *Po ridnomu kraju*

Jeszcze kilka chat, jeszcze ogrody – i mała stolarnia. Z daleka pachnie sosnowym drewnem. Przed chatą widać się białe wióry. Przez otwarte drzwi



FOT. Z KSIĄŻKI OLENY KYSIŁEWSKIEJ PO RODZINOWU KRASUŁY/BN

→ Rodzina Wakulczyków
na zdjęciu Ołeny Kysiłewskiej

widzę pochylonego nad śnieżnobiałą deską majstra z heblem; niewysoki, drobny, wydaje się na pierwszy rzut oka młodym chłopakiem. Oprócz sympatycznego gospodarza, w tej małej pracowni zaskoczyło mnie coś: na ścianie portret Szewczenki i ukraiński kalendarz z odrywanymi kartkami, też z portretem Szewczenki. To pierwsza taka niespodzianka na Polesiu.

Przedstawiamy się sobie. Okazuje się, że rozmowa z nim jest lekka i ciekawa, moje nazwisko i stanowisko znane są gospodarzowi. Prenumeruje nasze pisma i niedawno czytał moje wystąpienie w senacie.

Dowiaduję się, że za czasów ukraińskich* i jakiś czas po wojnie w Drohiczynie była czytelnia „Proswity”. Ludzie tam zaglądali, czytali. Stąd wzięło się zainteresowanie drohiczynian słowem drukowanym. Niestety, czytelnia tu – jak i wszędzie indziej – już nie istnieje.

Z rozmowy widzę, że majster nie tylko jest tym zainteresowany, ale wykształcony, ocytany.

Przychodzi żona z dwojgiem dzieci. Fotografuję ich i rozstajemy się jak dobrzy przyjaciele, obiecując sobie nie zapominać o sobie.

DROHICZYN, 14 MARCA 1935

[8]

Starosta powiatowy piński w raporcie dla wojewody poleskiego

W czasie, gdy Helena Kisiłewska udała się z hotelu Żeleźniakowa na rynek, w mieszkaniu jej dokonano z zachowaniem wszelkich ostrożności przeglądu bagażu podręcznego, przy czym ze znajdujących się kilku egzemplarzy broszury zabrano dwa egzemplarze oraz dwie kartki.

PIŃSK, 25 MARCA 1935

[28]

Martyn Wakulczyk w listach do Ołeny Kysiłewskiej

Pani list z fotografią otrzymałem, za co uprzejmie dziękuję. [...] Gazetki podobały mi się i zachowałem je – będę miał pamiątkę, że kiedyś była u mnie ukraińska senatorka. [...]

* Ukraińskie szkoły i organizacje kulturalno-oświatowe pojawiły się na Polesiu latem 1917, podczas okupacji niemieckiej. Istniały też po włączeniu tego terenu do Ukraińskiej Republiki Ludowej w lutym 1918.

Muszę zaznaczyć, że w Drohiczynie długo o Pani mówiono, wszyscy pytali mnie, co Pani Senatorka mówiła. Wszystko opowiedziałem. Pytano mnie, czemu nie rozmawiałem z Panią o naszym życiu w biedzie i w ogóle o wszystkich bolączkach.

Napiszę co nieco o życiu Ukraińców na ziemi drohickiej. Przed wojną światową ludzie tu przeważnie nazywali siebie Białorusinami. Dlaczego tak, nie wiem, bo nasz język zupełnie jest do białoruskiego niepodobny. Po wojnie nieco się zmieniło, bo nasi bywali w świecie, wielu było na Ukrainie w bieżniństwie* i zobaczyli, że tam język jest taki sam jak nasz ukraiński, a najlepiej zrozumieliśmy, kim jesteśmy, gdy powstały u nas ukraińskie biblioteki i czytelnie, kiedy zaczęliśmy czytać ukraińskie gazety i książki.

Ja sam do 1926 roku z przekonaniem nazywałem siebie Białorusinem, ale gdy założono u nas ukraińską bibliotekę i czytelnię**, to od tego czasu nazywam siebie Ukraińcem. Obecnie w powiecie drohickim nie ma ani jednej ukraińskiej biblioteki czy czytelnia, ludzie są zastraszeni. Choćby nawet kto i chciał prenumerować ukraińskie gazety, to się boi. W całym Drohiczynie tylko ja z moim sąsiadem je prenumerujemy. Znam i kilku ze wsi, co je prenumerują, a reszta wsi nie czyta i na oczy nie widzi ani książki, ani gazety ukraińskiej. Kto jest temu winien, nie wiem, myślę, że polescy Ukraińcy w mniejszym stopniu. Gdyby ukraińskie biblioteki i czytelnie istniały przez dłuższy czas, może wyrobiłyby u Poleszuków tożsamość narodową, ale już ich nie ma. Muszę z żalem stwierdzić, że ciągle ponad połowa z nich nie wie, kim naprawdę są. Jak ich nazywają, tak i oni się z tym godzą. Temu nieszczęściu może zaradzić jedynie ukraińska książka i gazeta. Jednak jak je tutaj rozpowszechnić, nie wiem.

Żeby choć Poleszuk był zamożniejszy, to może by i mógł nad czymś pomyśleć, jednak u nas jest tak, jak mówi przysłowie, że bieda na biedzie i biedą pogania. Zdaje mi się, że nikt nie jest tak

biedny jak Poleszuk, szczególnie w obecnych czasach. Niemalże wszyscy są zadłużeni, jeśli nie w bankach, to u żydowskich lichwiarzy – i rady dać sobie nie mogą z tymi długami. Jak tylko u kogo zboże obrodzi, to na jesieni sprzedaje na dług, a wiosną kupuje sobie, by spłacić większy. A i dobrze, jak ma za co kupić, bo jak nie ma, to idzie do Żyda prosić na ziarno. Żyd daje, ale jesienią trzeba oddać z półtora albo i dwa razy więcej. Chłop musi się zgodzić, bo innej rady nie ma.

Dwa lata temu w powiecie drohickim przy gminach porobili „spichlerze gminne”. Każdy chłop pod przymusem daje żyto do tego spichlerza, a wiosną gmina pożycza tym chłopom, którym zabrakło. A że wielu na przeżycie nie wystarcza, to i gmina wszystkim daje po trosze tego żyta. Na teraz jest to niewielka pomoc, jak będzie dalej, zobaczymy.

Skoro już o tym mowa, jakąż my mamy tę ziemię! Przeważnie nieznacznie lepsze są ziemie w majątkach oraz należące do wojskowych osadników i kolonistów polskich. Sieją wszystkiego po trochu, najwięcej sieją baraboli [ziemniaków] i żyta. Żeby nie barabola, to ja nie wiem, z czego Poleszuk w ogóle by żył! Chłopi tak nawet żartują, że u nas wieś tyle spożywa baraboli, ile w Rosji cała gubernia.

[...] Jeszcze o jedną rzecz chciałbym Panią prosić: czy nie można by w Galicji dostać płyt gramofonowych *Jeszcze Ukraina nie umarła**** i *Testament*****? Mam u siebie taki siaki patefon i bardzo chciałbym mieć te dwie pieśni.

DROHICZYN, 30 KWIETNIA 1935

Spieszę powiadomić Panią, że posiadam już I tom *Ukraińskiej Encyklopedii Powszechnej* i niniejszym składam Pani podziękowania, bo gdyby nie Pani, to nie wiem, czy kiedykolwiek miałbym tak wartościową książkę. O istnieniu UEP wiedziałem już dawno z gazet i cały czas o niej marzyłem [...]. Gdy otrzymałem UEP, nie mogłem się od niej

* Bieżniństwo – masowa ewakuacja ludności cywilnej z zachodnich obszarów imperium rosyjskiego w głąb Rosji wiosną-jesienią 1915. Wśród uchodźców dominowały osoby wyznania prawosławnego, które opuszczały swoje domy – najczęściej pod wpływem propagandy władz carskich – w obawie przed ewentualnymi represjami ze strony nacierającej armii niemieckiej.

** Chodzi o czytelnię Ukraińskiego Towarzystwa „Proswita” na Polesiu, organizacji społeczno-oświatowej, działającej na terenie województwa poleskiego w latach 1923–38. W powiecie drohickim w 1928 roku istniało dziewięć kółek organizacji, zrzeszających 86 członków. Placówki „Proswity” w powiecie ostatecznie zlikwidowano pod koniec 1933 roku.

*** *Jeszcze Ukraina nie umarła (Szczę nie wmerła Ukrajina)* – narodowy hymn Ukrainy. Pieśń powstała w 1863 roku do słów poety Pawła Czubyńskiego.

**** *Testament (Zapowit)* – wiersz Tarasa Szewczenki (1814–1861) z 1845 roku.



FOT. LOUISE A. BOYD / UNIVERSITY OF WISCONSIN-MILWAUKEE LIBRARIES

↑ Chotynicze (województwo poleskie), 1934

oderwać i taki byłem uradowany, jak chyba nigdy jeszcze dotąd. [...] Przeniesiono mi UEP na 75 zł i po 10 zł na miesiąc, ale za pierwszy tom przesłałem od razu 25 zł, a na pozostałe dwa tomy będę posyłał po 10 zł miesięcznie.

DROHICZYN, 19 SIERPNI 1935

Nie ma już mojej żony, umarła 16 czerwca o godzinie czwartej rano, pozostawiając mnie z dwójką maleńkich dzieci. Co mam z nimi zrobić, nie wiem. Czy nie można by, Pani Redaktorko, oddać ich do ukraińskiej ochronki? Byłbym gotów coś na nie płacić. Ale znowuż bez nich nie mógłbym pozostać, bo bardzo je kocham. A chciałoby się mieć baczenie na to, by moje dzieci były uczciwymi i świadomymi Ukraińcami. Proszę mi poradzić, co mam robić. Żeby nie dzieci, wyjechałbym gdzieś, bo tu po prostu nie jestem w stanie żyć, nie otrzymując ukraińskiej prasy.

DROHICZYN, 21 CZERWCA 1936

Co do tego, by mieć świadomą żonę z Galicji, to Pani Redaktorko wprost czytała mi w myślach. Po śmierci żony rozważałem już wszystko.

I wyszło na to, że nijak nie da się nie ożenić, bo dzieci – kto się nimi zajmie. Ale żenić się nie sztuka. Nie zdążyła jeszcze moja żona w grobie ostygnąć, a już mi znaleźli aż trzy dziewczyny, które się za mnie wydadzą, ale co mi po tym. Skoro one nawet i piśmienne, ale może o odmiennych od moich poglądach. Weź ty taką, a ona ci będzie głowę truć, po co pieniądze wydajesz na gazety, książki, a z tego ja nigdy w życiu nie zrezygnuję. Tak więc naszła mnie myśl, by znaleźć sobie żonę z Galicji, a Pani odgadła moje myśli i podzieliła się tym ze mną wcześniej niż ja z Panią. Nie chce mi się tylko wierzyć, by w Galicji znalazł się ktoś, kto pójdzie za mąż na Polesie, a jeszcze do dwójki dzieci.

Poproszę jednak Panią, by poszukała mi Pani świadomej żony. Gdyby nie znalazła się panna, gotów jestem wziąć i wdowę, tylko bez dzieci. Lat mam 30, partnerki proszę mi więc szukać mniej więcej na moje lata.

[...] Jakaż to radość, Pani Redaktor, nie mieć przez dłuższy czas ukraińskiej prasy, a potem ją otrzymać! Jak już dostałem, to schowałem wszystko niczym najcenniejszy skarb. Myślałem,



↑ Poleszucy, 1935

że mi odbiorą. Gdy śpię, śni mi się, że niby już odbierają, a ja nie pozwalam, bronię się. Zabrawszy paczkę z poczty, poszedłem nie do domu, ale w pole, w żyto i tam czytałem – myślałem, że przyjdą do domu i zaberą mój skarb, tak jak zabrali drugiemu Wakulczykowi. Ale nie przyszli i teraz w domu doczytuję wszystkie czasopisma i książki – i innym daję czytać. A czytam je od deski do deski, niczego nie przepuszczam. Choć są tu starsze numery, dla mnie wszystkie są nowe.

Wspaniale, Pani Redaktorko, zakończyła Pani o Polesiu. Wszyscy czytaliśmy i dziękujemy Pani. Że tak ładnie Pani zakończyła*. Nie osądziła nas Pani w opisie Polesia, lecz opisała tak, jak to w rzeczywistości jest. My również wierzymy, że przyjdzie czas narodowego przebudzenia dla Polesia. Choć nazywano nas nie Ukraińcami, a tutajszymi, prawosławnymi itd., nie słamszą nas tym,

my dobrze wiemy: „Jakich ojców myśmy dzieci, kto nas skuł i za co”**. I dobrze wiemy, dlaczego nie chcę nazywać nas Ukraińcami, a wymyślają inne nazwy. [...]

Ja i moje dzieci dziękujemy Pani i Pani wnuczkom za książki. Moje dzieci nie mogą się nacieszyć. Wierszyki w tym elementarzu, który dała mi Pani, będąc u mnie, mój synek zna niemal wszystkie, ja go nauczyłem. Jak zadeklamuje *Uczcie się, bracia moi*, a ja podpytam go, kto ten wiersz napisał, to powie, że Taras Szewczenko i pokaże na wiszący na ścianie obraz. Zapamiętał Panią, jak Pani fotografowała. Mówi: my staliśmy, a pani coś na nas nastawiła. Starszy mój czteroletni chłopczyk ma na imię Zińko, mniejsza dwuletnia dziewczynka ma na imię Haina. Imiona te wzięłem z książki Hrinchenki *Pid tychymy werbamy* [Pod cichymi wierzbanami].
DROHICZYN, 6 LIPCA 1936

* Cykl swoich reportaży o Polesiu Kysilewska opatrzyła charakterystycznym epilogiem: „Jestem przekonana, że ta część naszego narodu, chociaż daleka, ale mocno związana z nami krewnie, językowo i historycznie, prędzej czy później zjednoczy się z nami duchowo – tak musi się stać! – w jednym ukraińskim morzu”.

** Taras Szewczenko, *Do umarłych i żywych, i nie narodzonych rodaków moich na Ukrainie i nie na Ukrainie mój list przyjacielski*, przeł. Czesław Jastrzębiec-Kozłowski, w: *Antologia poezji ukraińskiej*, Warszawa 1977.

Nowego nie dzieje się u nas nic, żyjemy tu ode-
rwnani od wszystkiego, co ukraińskie – i nie wie-
my, co się odbywa w Galicji. Od czasu do czasu
dowiaduje się człowiek czegoś tam z polskiej lub
rosyjskiej prasy o ukraińskich sprawach. Nie-
dawno czytałem w polskiej gazecie, że usunięto
moskalofila z Domu Ludowego we Lwowie, a na
jego miejsce mianowano Polaka i dwóch radnych
Ukraińców. Wspomniana gazeta podkreśla, że
z tej przyczyny Dom Ludowy przejdzie do Ukra-
ińców i że ze strony Polaków jest to pierwszy krok
w sprawie unormowania stosunków ukraińsko-
polskich*. Czy rzeczywiście tak jest? Bardzo je-
stem ciekaw.

DROHICZYN, 20 WRZEŚNIA 1936

Poleskie kobiety zimą przeważnie zbierają się na
wieczornicach i przędą. U mnie kilka razy były
na wieczornicach. Coś tam im czytałem z ukra-
ińskich książek i nastawiałem patefon. A najważ-
niejszego jeszcze Pani nie napisałem: ożeniłem
się już 28 lutego. Wziąłem sobie dziewczynę ze
wsi 14 kilometrów od Drohiczyna, ma 23 lata,
to biedna sierota, mieszkała z bratem. Matką
dzieciom i gospodynią będzie, zdaje się, dobrą,
najgorsze tylko, że jest mało piśmienna, a i to
po polsku. Brałem ją pod warunkiem, że nauczę
czytać i pisać po ukraińsku, jednak nie wiem, czy
się to uda. Nazywa się Zosia. Może się i nie spie-
szyłem do ożenku, ale nie sposób było dalej żyć
samemu.

DROHICZYN, 10 MARCA 1937

Co do mego życia, to na ten moment wszyscy cali
i zdrowi. I wszystko byłoby dobrze, gdyby mnie
nie niepokojono, bo choć już zabronili wszystkie-
go, co ukraińskie, to na tym nie koniec. Tej wiosny
kupiłem aparat fotograficzny i zrobiłem około
300 fotografii, byłem w kilku wsiach i fotografo-
wałem. Trochę mi z tego zostawało, chociaż od-
dawałem do wywołania do fotografa. Aparat nie-
małże sam na siebie zarobił. Jednak chyba im się
to nie podobało, a może i coś innego, bo tylko co
dzisiaj przyszli do mnie, zabrali kilka ukraińskich
książek i aparat. Aparat zabrali dlatego, że była
w nim niecała naświetlona klisza i oni zobaczą,

→ Drohiczyn,
okres międzywojenny



co tam na niej jest. Zabrali także wszystkie klisze.
Powiedzieli, że aparat zwrócą za trzy dni. Zdaje
mi się, iż oni myślą, że fotografowałem to, czego
się zabrania, np. kolej czy mosty, że zajmuję się
szpiegowaniem, jednak nie robiłem tego, ponie-
waż [...] niepotrzebne mi to do niczego. Z książek
zabrali kalendarz „Zinoczej Woli” i kilka ksią-
żeczek wydawnictwa „Tania Książka” jak *Bil-
szowizm i selanstwo* [Bolszewizm i chłopstwo],
Konstytucja ZSRR. Pewnie pomyśleli, że to coś
komunistycznego. Szukali u mnie broni. Robią to
już drugi raz w tym roku.

DROHICZYN, 2 SIERPNI 1937

Zamierzam wyjechać do Argentyny i część ziemi
już sprzedałem. Dom i zagrodę sprzedałem bra-
tu. W Argentynie mam dwóch kuzynów. Pisałem
do nich w sprawie wyjazdu i poradzili mi jechać.

* W 1935 roku zawarto ugodę pomiędzy rządem sanacyjnym a Ukraińskim Zjednoczeniem Narodowo-Demokratycznym (UNDO) w celu normalizacji stosunków polsko-ukraińskich na terenie Galicji Wschodniej.



FOT. DOMENIA PUBLICZNA

Jednak do Argentyny nie wystarczy mi pieniędzy, więc chcę pojechać do Paragwaju, a stamtąd do Argentyny. Tak radzą kuzyni.

Żał mi bardzo porzucić swój kraj, swoich ludzi, ale cóż począć, ciasno mi tutaj. Nie wyganiam mnie siłą. Chcę jechać ze swojej własnej woli. Może być tak, że materialnie będzie mi tam gorzej, ale może choć duchowo lepiej będzie. Kuzyni piszą tak: „Nie jest to raj, ale kto pracuje, ten ma chleb i nikt go nie będzie niepokoił”. Ja się nie boję, że mnie bez przerwy straszą, że mnie zastrzelą albo wygnają, nie martwi mnie to; nieszczęściem jest dla mnie oderwanie od całego ukraińskiego życia. Jak pocznę czytać list od kuzynów, w którym piszą, że należą do ukraińskiej „Proswity” w Argentynie, gdy spojrzę na ukraiński chór, do którego oni także należą, to już bym tam leciał. A tutaj żyję bezcelowo, usycham. Na każdym kroku prześladowają, wzywają na komendę, straszą, a za co? Nie wiadomo. Chyba za to tylko, że nie rzekam się miana Ukraińca. Niechby prześladowali i robili, co chcą, byleby wychodziła ukraińska prasa, książka, a tak niczego nie ma i żyć nie dają. Oto dlaczego postanowiłem

wyjechać. A gdybym wyjechał, myślami na zawsze będę tutaj i kiedy Ukraina mnie wezwie, przyjadę, jak tylko będę miał za co.

DROHICZYN, 27 MARCA 1938

Dziękuję, że dzięki Pani nie pojechałem do Argentyny, bo jeden z naszych, z którym i ja miałem jechać [...], pojechał po Wielkiejnocy, a – dotarłszy na miejsce – przysłał list i pisze, między innymi, że „Martyn ma szczęście”. Dziękuję Pani, to Pani zawdzięczam, że poznałem Lwów, życie Ukraińców. Muszę powiedzieć, że są tego dobre i złe strony. W Galicji jest jeszcze wielu ciemnych ludzi.

LWÓW, 4 WRZEŚNIA 1938

[11]

WYBRAL I PODAL DO DRUKU

Pavel Ablamski

(ur. 1988) – absolwent Studium

Europy Wschodniej UW, doktorant w Instytucie Historii PAN. Autor artykułów naukowych, współautor publikacji *Obertyn, Обертин, אברטין. Opowieści o życiu miasteczka*, Wrocław 2018.

➤ Polanka (koło Krosna),
19 marca 1935. Uroczystość
z okazji imienin marszałka
Józefa Piłsudskiego
w ukraińskiej szkole
powszechnej

FOT. IAC



POLONIZACJA

W latach 30. rzeczywistość autorytarna zdawała się przesądzona. Po śmierci Józefa Piłsudskiego tendencja ta zaostrzyła się jeszcze i skrajnie zdegenerowała. Projekty asymilacji państwowej Ukraińców – przy zachowaniu ich odrębności narodowej, językowej, kulturalnej – zostały wyparte przez koncepcje nacjonalistyczne. Eksperyment wołyński Henryka Józewskiego, który w tym województwie, odgra-

niczonym kordonem sokalskim od wpływów politycznych z radykalnej Galicji, wsparł ukraińskie życie kulturalne, oświatę, stowarzyszenia, został zamknięty. Nowy wojewoda, Aleksander Hauke-Nowak, postawił na intensyfikację osadnictwa i polonizacji.

Polityka antyukraińska przyjęła postać akcji wymierzonej przeciw prawosławiu, która swoje apogeum osiągnęła latem 1938. Miała zminimalizować wpływy Cerkwi, kojarzonej z rosyjskim imperializmem, ale też wzmacnianiem odrębności narodowej Ukraińców. Cerkwie poddawano „rewindykacji”. (RED.)

Ppłk Mieczysław Wężyk, były prezydent Łucka, do ministra spraw wojskowych Tadeusza Kasprzyckiego

Moim zdaniem, polska racja stanu w województwach wschodnich bazuje na miastach, dworach i kościołach. Bez Lwowa i Wilna, bez polskiego ziemiaństwa i kościołów w województwach wschodnich byłibyśmy tylko okupantami, ponieważ wieś nie jest polska.

Jeśli chcemy budować Polskę w województwach wschodnich, powinniśmy tam wzmocnić miasta, dwory i kościoły, a jednocześnie rozbudowywać przemysł, sprowadzając w tym celu robotników z zachodu i opanowywać handel, obsadzając go polskim kupiectwem. Parcelacja majątków polskich jest dopuszczalna tylko w takich warunkach, aby polską kulturę dworu zastąpiła polska kultura wsi – przez zakładanie na parcelowanych terenach polskich gospodarstw wzorowych wysoko uprzemysłowionych (jak czeskie i niemieckie na Wołyniu).

WARSZAWA, 3 GRUDNIA 1936 [16]

Z relacji z rozprawy sądowej w związku z obrazą Stronnictwa Narodowego przez redakcję pisma „Wołyń” (artykuł Bez Józefa Piłsudskiego)

Gen. [Marian] Januszajtis [...]: „Ludność polska dzieli się na szczepy, jak np. Kaszubi czy Kurpie. Wołyń zamieszkują Rusini, którzy są takim samym szczepem jak Kaszubi. Tylko ta ludność Wołynia dla mnie egzystuje, która traktuje siebie w ten sposób. Reszta to jest grupa irredentystyczna – Ukraińcy. Uznaję Rusina, zwalczam Ukraińca. Każdy Ukrainiec jest kandydatem na zdrajcę stanu. Całe życie ukraińskie jest zorganizowane pod znakiem mobilizacji. Nawet takie organizacje, jak kooperatywy, są niczym innym, jak kadry mobilizacyjne wojskowe. Wpływy ukraińskie z Małopolski coraz bardziej wglębiają się w Wołyń”.

ŁUCK, 13 CZERWCA 1937 [16]

Gen. Bruno Olbrycht, dowódca 3 Dywizji Piechoty Legionów, w podstawowych wytycznych do polonizacji Chełmszczyzny

A) Wszyscy prawosławni Chełmszczyzny są zruszczonymi Polakami, którzy przez ucisk zaborców odpadli od polskości. Prawosławnych, mówiących po polsku i podających się za Polaków, traktować należy jak Polaków i prowadzić robotę pod kątem rewindykacji wyznaniowej. [...]

B) Akcję polonizacyjną w stosunku do prawosławnych, przywiązanych do religii prawosławnej oraz do Polaków podających się za Rusinów prowadzić należy nie pod kątem rewindykacji wyznaniowej, lecz pod kątem polonizacji prawosławia, albowiem wyznaniowe podejście do ludności prawosławnej może z miejsca zrazić ludzi, którzy w tym wyznaniu wyrosli i do niego się przywiązali. [...]

C) Przy polonizacji Cerkwi prawosławnej należy osiągnąć, by kazania były wygłaszane w języku polskim, by religia była uczona po polsku, by duchowny zwracał się w mowie potocznej do otoczenia po polsku. Samo zaś odprawianie nabożeństw ma odbywać się w języku starocerkiewnym, tak jak w obrządku rzymskokatolickim po łacinie.

20 STYCZNIA 1938 [24]

Gen. Bruno Olbrycht do ministra spraw wojskowych w Warszawie

Stwierdzam kategorycznie, że Cerkiew prawosławna na Chełmszczyźnie jest instytucją rusyfikacyjną i jej wpływ, jak również rozrost, musi być absolutnie zahamowany. Jest to jednozgodny głos władz i ludności bez względu na zapatrywania polityczne. W tym celu należy jak najszybciej zrobić następujące pociągnięcia:

1) Rząd polski musi zmusić Cerkiew prawosławna na terenie Chełmszczyzny (tak samo Podlasia), by kazania i modły z wyjątkiem mszy świętej oraz mowa potoczna były tylko w języku polskim. Wszak nie powinno to przedstawiać żadnej trudności, gdyż cerkiew ta jest utrzymywana za polskie pieniądze i Rosja się za nią nie ujmie. [...]

3) Należy natychmiast rozebrać i częściowo przekazać Kościołowi katolickiemu 54 cerkwie zamknięte i stojące pustką, gdyż są one czynnikiem agitacji antypaństwowej – tak dla popów, jak i dla komunistów.

ZAMOŚĆ, 6 MARCA 1938 [16]

Płk Marian Turkowski, kierownik akcji rewindykacyjnej na Chełmszczyźnie, do powiatowych kierowników akcji

21 maja 1938 objąłem kierownictwo akcji rewindykacyjnej na Chełmszczyźnie od p. gen. Olbrychta. [...] Ustalam:

[...] Akcję przeciw duchownym prawosławnym należy prowadzić w ten sposób, że ostrze działalności skierować przeciw duchownym

prawosławnym nieoficjalnym, prowadzącym robotę przeciwpolską.

a) Nie występować przeciwko ludności prawosławnej, a zaznaczać w sposób zdecydowany i wyraźny, że nie występuje się przeciw prawosławny jako takim, lecz przeciw rusyfikacyjnej akcji ich duchowieństwa. W związku z tym prawosławnych o stwierdzonym nastawieniu polskim przyjmować do organizacji polskich.

b) W działalności przeciw duchownym prawosławnym unikać aktów, które by, rozdmuchane przez popów, mogły robić z nich wobec ludności męczenników za wiarę. Niemniej akcja społeczeństwa winna obrzydzić im pobyt w terenie i zmusić przez to do usunięcia się z niego, względnie z prowadzonej przez siebie przeciwpolskiej działalności. W najbliższym czasie wyjdą z góry w tym kierunku zasadnicze pociągnięcia.

c) Należy bardzo skrupulatnie zbierać materiały o występnej działalności wszystkich duchownych prawosławnych.

ZAMOŚĆ, 27 MAJA 1938

[16]

Płk Marian Turkowski do powiatowych kierowników akcji rewindykacyjnej

W związku z rozpoczęciem przez władze administracyjne akcji usuwania z terenu popów nieetatowych, należy tę akcję jak najsilniej poprzeć poprzez obrzydzanie popom życia w terenie, aż do osobistego sekowania. Oczekuję co tydzień meldunków z powiatów, jak akcja ta postępuje. [...]

Zaznaczam, że należy wstrzymać się jeszcze ze stosowaniem radykalnych sposobów, jak palenie cerkwi itp. Będzie to mogło być stosowane już tylko jako sposób ostateczny, przy czym zaznaczam, że wojskowi nie mogą być w żaden sposób wciągnięci do tej akcji. Należy przewidzieć dokładną organizację i poczynić przygotowania do ostatecznych posunięć przez zorientowanie dwóch–trzech osób z terenu sąsiedniego. Z terenu, na którym dana akcja ma być przeprowadzona, nikt nie może być o tym powiadomiony.

ZAMOŚĆ, 5 CZERWCA 1938

[1]

Eustachy Świeżawski, właściciel majątku Gołębie (powiat hrubieszowski)

Tylko ja jeden w tej wsi miałem telefon. Wieś prawie czysto ukraińska, pięć rodzin polskich, leżała w szerokiej dolinie Bugu. [...] Pracowałem w moim gabinecie, gdy gwar głosów za oknem kazał mi wstać od biurka i przejść przez sień do



→ Białystok, 1938. Rozbiórka cerkwi Zmartwychwstania Pańskiego

drzwi wejściowych. Kilkunastu moich sąsiadów, chłopów ukraińskich, stało przed schodami. Zaproszeni przeze mnie wypełnili gabinet. Oczy ich, przerażone, niepewne, a zarazem jakby czegoś wyczekujące, skierowały się na czarny sprzęt, wiszący na ścianie: telefon.

– W jakiej sprawie? – spytałem.

– Policja przyjechała do wsi – odpowiedział głosem jakby trochę zdyszany i schrypniętym stary Pańko Gurskij, dawny ławnik, piękny, postawny chłop, o szarych oczach, ciemnym, krótkim wąsie, a mlecznobiałej, kędzierzawej czuprynie. – Przyjechali awtami, przywieźli drabiny, jak strażackie, haki; no i karabiny maszynowe mają. Mówią, że cerkwu naszą mają rozkaz rozwalić.



Panie, czy to może być?! Wy macie telefon, znaćcie się z panem starostą, zapytajcie go, co to znaczy. [...]

Połączenie otrzymałem szybko; rozmowa była krótka. Starosta potwierdził wiadomość. Wczoraj, mówił, rozebrała policja już kilka cerkwi, to idzie prędko, mają dobrych fachowców; dzisiaj kolej na waszą wieś i kilka sąsiednich. [...] Na moją uwagę, że cerkiew w naszej wsi pozostaje pod opieką konserwatora, jako zabytek budownictwa drewnianego z końca XVII wieku, odpowiedział, że niestety to jej nie ocali. Ubolewał nad tym, jego zdaniem, nieprzemyślanym rozkazem, ale rozkaz jest, rozkaz z województwa, rozkaz do pilnego wykonania – musi go szybko wykonać. [...]

Szła cała wieś. [...] Wiedzieli, że jestem katolikiem, że kieruję Akcją Katolicką w powiecie, ale czuli, że łączy mnie z nimi i chrześcijaństwo [...], i wreszcie stary duch tej wspólnej ziemi, duch Rzeczypospolitej. [...]

Cerkiew była otoczona szeregiem ludzi w granatowych mundurach. Dwa karabiny maszynowe groziły tym, którzy chcieliby ich czynnościom przeszkodzić. Długie drabiny stały oparte o szare, modrzewiowe ściany, a na omszałym gontowym dachu uwijali się ludzie z siekierami, odbijając krokwie i zakładając mocne, grube liny. Tłum zbierał się wokół, gęstniał – stał milczący.

Ludzie z dachu zsunęli się po drabinie i odstawili je. Końce zwisających spod okapów lin

przymocowali do samochodów. Motory zawarowały na pełnym gazie. Rozrywane wiązania starych zrębów zatrzeszczały, załamały się z hukiem, ściany zachwiały się. Ale nim runęły, padł na kolana tłum i jęk przeciągły, szloch i zawrodoenie zagłuszyły grzmot walącego się na stos belek dachu. Piękne rajskie wrota z lipowego drzewa, oryginalne dzieło miejscowych snycerzy z XVIII wieku, malowane i złocone, leżały połamane. Tłum klęczał, modląc się i płacząc.

Ludzie w granatowych mundurach i ci z sierkami zabierali karabiny maszynowe, narzędzia, liny, składali drabiny i wsiadali do samochodów. Odjeżdżali, by dalej wypełniać rozkazy. [24]

Towarzystwo Rozwoju Ziemi Wschodnich do kierownika akcji rewindykacyjnej w Zamościu

Rozebrane zostały cerkwie w następujących miejscowościach: Moratyn, Nykoszyn, Kmiczyn, Zimno, Radków, Witków, Nowosiółki, [nieczytelne], Typin, Żabcze, Dutrow, Pleniany, Ratyczów, Hopkie i Lechowce. Łącznie 16 cerkwi. Pozostało 7 cerkwi parafialnych nieoficjalnych i 4 domy modlitwy.

Rozbiórki na ogół odbywały się spokojnie i bez przeszkód. Jedynie w Żabczu ludność nie chciała dopuścić do rozbiórki, lecz policja wszelkie przeszkody usunęła i cerkiew została rozebrana. Jeśli chodzi o głosy, to są różne. Jedni mówią, że tak powinno być. Za ruskiego burzyły kościoły i za polskiego cerkwie. Drudzy solidaryzują się całkowicie, mówiąc, że jak miały stać zamknięte, to lepiej, że je rozebrali. [...] U ludności prawosławnej wyczuwa się nienawiść i wzburzenie, które nie przejawia się w manifestacjach lub wystąpieniach oficjalnych, a tylko pomiędzy sobą. Rozbiórki powyższe wpłynęły dodatnio na Polaków, a przygniatająco na Rusinów. Słyszałem od poważnych gospodarzy prawosławnych głosy rezygnacji i podporządkowania się. Niechby się to wszystko skończyło i nastąpiła zgoda i jedność. Przy lekkim nacisku wielu zmieniliby wyznanie z ulgą i zadowoleniem.

TOMASZÓW LUBELSKI, 30 CZERWCA 1938 [1]

Z memoriału mieszkańców tomaszowskiego i zamojskiego do Rządu, Sejmu i Senatu

My, obywatele wyznania prawosławnego, zamieszkali na terenie powiatów tomaszowskiego i zamojskiego w województwie lubelskim, składamy

na ręce Wysokiego Rządu i Izb Ustawodawczych Sejmu i Senatu Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej następujący memoriał.

Starosta powiatu tomaszowskiego pan Kazimierz Wielanowski zorganizował oddział niszczycieli i burzycieli świątyń prawosławnych i domów parafialnych, jako też zainspirował napady na duchowieństwo i ludność wyznania prawosławnego. [...] Niektórzy z komendantów Policji Państwowej, a i posterunkowi zbyt srogo i brutalnie wykonują zlecenia (zarządzenia) starosty Wielanowskiego przy burzeniu świątyń – biją i katują modlącą się ludność prawosławną, znęcają się i pastwią nad duchowieństwem. [...]

Sam ten p. Wielanowski za dwuletni okres urzędowania w powiecie tomaszowskim nie tylko nie zdołał złagodzić antagonizmu ludności katolickiej do prawosławnej, lecz rzucił kość nienawiści między ludność obydwu wyznań i swym niepoahamowanym pędem do zamykania i bezmyślnego burzenia świątyń wywołał zamęt i chaos.

[...] We wsi Szarowola w dniu 2 lipca 1938 zjawiała się policja i stu robotników wyznania katolickiego i rozebrali cerkiew prawosławną, która przed wojną i po wojnie była otwarta i nabożeństwa były odprawiane. Święte sakramenty i utensylia cerkiewne znajdują się pod gruzami rozebranej cerkwi.

POCZĄTEK LIPCA 1938 [16]

Z kroniki parafialnej proboszcza Antonija Kaliszewicza

O 16.00 przystąpiono do barbarzyńskiego burzenia cerkwi w Białej Podlaskiej. Nie było tam w tym czasie proboszcza ani innego duchownego. Policja i wynajęci ludzie weszli do cerkwi z papierosami w zębach i w czapkach na głowach. Starosta z komisarzem policji zmusili diaka do wyniesienia z ołtarza Świętych Darów. W przeciwnym razie – zagrozili – rozrzuca je po podłodze. Pod konwojem policji przywieziono Święte Dary do Nosowa.

Nosów, 11 LIPCA 1938 [1]

Kpt. Piotr Pełka, kierownik referatu Dowództwa Okręgu Korpusu II do szefa Oddziału II Sztabu Generalnego w Warszawie

Dotychczas rozebrane zostały cerkwie prawosławne w następujących powiatach: tomaszowskim 23 cerkwi, hrubieszowskim 15, chełmskim

10, biłgorajskim 1. Do rozbierania cerkwi używana jest młodzież polska, przeważnie spośród członków miejscowych oddziałów straży ogniowej.

Ludność prawosławna wspomnianych wiosek nie stawia oporu przy rozbieraniu cerkwi, jest jednak oburzona na władze polskie, lecz wyraz oburzenia daje tylko w rozmowach między sobą. W niektórych miejscowościach w czasie rozbiorów kobiety wyznania prawosławnego zbierały się obok cerkwi i płacząc, przypatrywały się temu.

LUBLIN, 11 LIPCA 1938 [16]

Nina Łuciuk, mieszkanka Międzyzlesia (powiat biały)

Przyjechały samochody. Wyskoczyli z nich policjanci. Otoczyli plac cerkiewny. Ludzie ze wsi i okolic przybiegli pod cerkiew. Ale gdzie tam, do cerkwi podejść nie można było. Tego, kto się odważył, bito nahajkami. Podeszliśmy do wójta z Matiaszówki. Jego ojciec był prawosławny, on już – rzymski katolik. „Wójcie – mówimy do niego – ratujcie naszą cerkiew”. A on tylko mrugnął do policji. Zaraz jedna ze starszych kobiet tak dostała nahajem, że aż jej koszula pękła na plecach. No i wyrzucili wszystko z cerkwi – czaszę, ikony, mój Boże! Taka obraza Boska! Potem rozcięli cerkiew na cztery części. A była nasza cerkiew piękna, drewno pięciocalo-we, smolne. Na dachu blacha. Więc tam wskoczyli. Blachę zerwali, na ziemię zrzucili. To samo zrobili z dzwonnica. Lud płacze. Jedni rozmawiają, inni krzyczą. Wszystko w naszym, miejscowym języku. A policjanci do nas: „Będziemy wam szmatami gęby zatykać za taką waszą mowę”. A my do nich: „Kto wie, może nie zdążyć”. [1]

Iwan Korowicki, nauczyciel akademicki

Zburzono cerkiew w Międzyzlesiu. Ludzie domyślali się tego jeszcze w przeddzień, gdy rozebrano cerkiew w niedalekim Zahorowie. Zeszli się ludzie, powynosili i pochowali niektóre cenniejsze rzeczy. Zdejmując dzwony, kupione kilka miesięcy wcześniej, trzykrotnie, na pożegnanie, uderzyli w wielki dzwon. Zebrani zaczęli płakać i całą noc nie opuszczali swojej świątyni. I całą noc we wsi, czując nieszczęście, wyły psy. Rano, o godzinie siódmej na ośmiu ciężarowych samochodach do wsi przyjechali policjanci i robotnicy-Polacy. Policja zaczęła gumowymi pałkami rozganiać ludność i gęsto otoczyła cerkiew. Wójt zaczął szukać duchownego, który ukrył się w sąsiedniej wsi. Robotnicy zaczęli zdzierać dach, łamać i wyrzucać

z cerkwi ikony i ikonostas. Około godziny dwunastej przewrócili wielką banię [kopułę], potem zaczęli piłami rozcinać z góry do dołu ściany cerkwi i rozciągać je sznurami. Około godziny trzeciej w nocy, skończywszy swą kainową pracę, policja i robotnicy odjechali.

POWIAT BIAŁSKI, 15 LIPCA 1938 [24]

Z memorandum Soboru Biskupów Świętego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego w Polsce do najwyższych władz RP

Okropne wypadki, jakie zaszły w ostatnich dniach na Chełmszczyźnie i Podlasiu, wstrząsnęły wszystkimi prawosławnymi w Polsce. W przeciągu krótkiego czasu zniszczono przeszło sto świątyni prawosławnych, których część była zbudowana jeszcze za królów polskich. [...] Polska, która obecnie powstała do nowego życia po klęskach Wielkiej Wojny, głównie w gorliwości religijnej znajdowała pocieszenie w swych poprzednich troskach oraz nadzieję lepszej przyszłości.

Jeszcze tak niedawno nikomu nie mogło przyjść do głowy, że tak bliski jest srogi i niezasłużony cios, który spadnie na świątynie chrześcijańskie w kraju chrześcijańskim, a który można przyrównać do tego, co dzieje się w krajach bezbożniczych.

I za co to? W imię czego dopuszczono się u nas takiego okrucieństwa i niesprawiedliwości? Przecież na Lubelszczyźnie spokojnie zamieszkuje 250 tysięcy najlojalniejszych prawosławnych obywateli polskich, których przodkowie od wieków byli prawosławni, a oni sami swoją lojalnością, swym zrozumieniem niezbędności pokojowego współżycia z obywatelami innych wyznań w Polsce zasługują na lepszą dolę i inny stosunek do swych najistotniejszych potrzeb, a szczególnie potrzeb duchowych. [...]

Popelniono okropną niesprawiedliwość, żadne błagania nie były w stanie zmienić tych okrutnych i nieprawnych zarządzeń i czynów. Jęki i gorzkie lzy zgnębiętego ludu, który naocznie widział zniszczenie i pohańbienie swych świątyni, rzekami płyną do nas.

WARSZAWA, 16 LIPCA 1938 [16]

Posel Stefan Baran (UNDO) w interpelacji do premiera Felicjana Sławoja Składkowskiego

W ostatnich dniach, po dzień 18 lipca, zaszły nowe liczne wypadki burzenia świątyni prawosławnych,

nawet w szeroko znanych miejscowościach odpuśtowych, gdzie w czasie odpustu zbierały się dziesiątki tysięcy wiernych prawosławnych, na przykład w Turkowicach (powiat Hrubieszów).

W dniach od 4 do 7 lipca zburzono z polecenia starosty powiatowego w Tomaszowie, Kazimierza Wielanowskiego, cerkiew prawosławną w miasteczku Łaszczów, powiatu tomaszowskiego, pod osobistym kierownictwem wójta gminy łaszczowskiej, Kazimierza Chmiela, i przy asyście licznego oddziału policji państwowej, uzbrojonej w karabiny, najeżone bagnietami, pod dowództwem komendanta posterunku z Tyszowiec. Burzenie tej wielkiej drewnianej cerkwi, odremontowanej i odmalowanej w 1936 roku kosztem przeszło 3000 zł i będącej w dobrym stanie, przeprowadzili sprowadzeni robotnicy Polacy, którym płacono po 5 zł dziennie.

W poniedziałek 4 lipca rano zjawił się koło cerkwi w Łaszczowie wójt gminy Kazimierz Chmiel w asyście licznego oddziału policji państwowej z psem policyjnym oraz robotników Polaków z okolicznych miejscowości i od razu przystąpiono do burzenia cerkwi, jedynej świątyni prawosławnej na całą okolicę z kilkoma tysiącami wiernych prawosławnych. Na widok burzenia cerkwi zbiegła się, w ilości kilkuset ludzi, miejscowa ukraińska ludność prawosławna. Przybiegły małe dzieci, przyszli i starcy nad grobem, zjawiła się młodzież, kobiety i mężczyźni. Rozległ się straszny płacz i lament wśród zebranych prawosławnych. Wówczas policja państwowa puściła psa swego na małe dzieci, a starszych zaczęła bić pałkami gumowymi i okładać kolbami karabinów, starając się odpędzić ich od cerkwi. Wielu ludzi wtedy pobito. Policja utworzyła wokół kordon i asystowała przez cały czas burzenia cerkwi, trwający trzy dni.

Miejscowa ukraińska ludność prawosławna była oczywiście bezsilna wobec licznego uzbrojonego oddziału policyjnego i tylko głośnym płaczem i szlochaniem protestowała przeciw burzeniu swej cerkwi. [...] Wśród lamentujących głośno kobiet znajdowała się też miejscowa 25-letnia dziewczyna, Anastazja Koza, która wśród spazmatycznego płaczu krzyknęła: „Ludzie, ratujcie cerkiew, bo nie będziemy mieli gdzie się pomodlić”. Za to sprowadzono ją na miejscowy posterunek policji państwowej, gdzie komendant posterunku Mieczysław Matczyński przed przesłuchaniem pobił ją pałką gumową, znieważając

ją przy tym i słownie. Na posterunek policji sprowadzono kolejno też innych miejscowych prawosławnych. Straszono, że się ich wysiedli, gdy nie zmienią wyznania i nie przejdą na rzymskokatolicyzm, grożąc przy tym karami administracyjnymi. [...]

Cerkiew w Łaszczowie zburzono doszczętnie. Część materiału wójt Chmiel sprzedał miejscowym i okolicznym Polakom, resztę złożono i przeznaczono na sprzedaż.

WARSZAWA, 21 LIPCA 1938

[4]

Stanisław Cat-Mackiewicz w „Słowie”

W czerwcu i lipcu br. na terenie wschodnich powiatów województwa lubelskiego na rozkaz władz administracyjnych zburzono 114 cerkwi prawosławnych i domów modlitwy. W niektórych wypadkach do burzenia przez władze administracyjne używani byli więźniowie kryminaliści. [...]

Piszący te słowa jest w posiadaniu szeregu dokumentów, listów i opisów, w jaki sposób odbyło się na oczach ludności prawosławnej niszczenie jej świątyń. Ludziom, którzy wyrzli w epoce bliskiej tej, kiedy Moskale stosowali odbieranie naszych kościołów i kary na naszych księży, będzie przykro: do tego stopnia obecne obrazki swoją brutalnością i bezwzględnością wobec cudzych uczuć religijnych przypominają tamte czasy.

Cisnie się na usta pytanie: Po co to było potrzebne? [...] Ponieważ w Polsce zamieszkuje 3.762.500 prawosławnych, więc ten fakt, że Cerkiew i jej hierarchowie, nie mając podtrzymania od bolszewików, nie mając oparcia u Ukraińców czy separatystów białoruskich, uzależniali się coraz bardziej od naszych rządów, był dla nas faktem pomyślnym i trzeba było upaść na głowę, aby się tego atutu pozbyć przez ukraińizację względnie białorutenizację tej Cerkwi.

Jednak tośmy zrobili. Jakie są teraz skutki ostatniego wyczynu rozumu państwowego?

Oto po zburzeniu 114 cerkwi:

1) Metropolita Dionizy, ten ultraloyalny metropolita Dionizy, wydał z innymi archijerejami prawosławnymi list pasterski, który uległ konfiskacie. Trzeba było istotnie kunsztu, aby takiego zdecydowanego ugodowca jak Dionizy pchnąć do roli biskupa Krasińskiego czy Hryniewieckiego.

2) Ukraińcy i Rosjanie – którzy dotychczas byli między sobą na noże – pogodzili się i idą

razem w obronie Cerkwi prawosławnej, wołając głośno o jej prześladowaniu. Niech sobie kto chce z publicystów polskich napisze, że to oskarżenie o prześladowanie jest niesłuszne – ja tego nie napiszę!

3) W roli obrońcy pokrzywdzonego prawosławia wystąpił w Sejmie ukraiński nacjonalista dr Baran. Atut prawosławia został nam odebrany, wzięli go do rąk Ukraińcy.

4) W prasie rumuńskiej, niemieckiej, emigracyjnej rosyjskiej burzenie cerkwi odbiło się głośnym echem, a tej prasy skonfiskować nie można.

WILNO, 31 LIPCA 1938

[24]

Ze sprawozdania sytuacyjnego wojewody lubelskiego Jerzego de Tramecourt

Prasa ukraińska interesuje się w dalszym ciągu Chełmszczyzną i Podlasiem. Obok artykułów sprawozdawczych z przejawów akcji rewindykacyjno-polonizacyjnej oraz artykułów zmierzających do budzenia nacjonalizmu ukraińskiego na tutejszym terenie, dały się zauważyć próby obalenia kordonu sokalskiego. [...] Na tle rozbiórki cerkwi krążą wśród ludności prawosławnej różne pogłoski, rozszerzane celowo przez agitatorów w celu nieprzychylnego nastroszenia ludności do władz państwowych.

Straszy się ludność, że władze państwowe zarządzą zabranie z cerkwi obrazów, że cmentarze zostaną zaorane, a zwłoki przeniesione na jeden wspólny cmentarz, że rząd sowiecki ma interweniować u Rządu polskiego z powodu zburzonych świątyń, że Rząd będzie musiał odbudować zlikwidowane cerkwie, że sprawą cerkwi interesują się też inne państwa, głównie Niemcy, że w razie wojny sprawa cerkwi będzie wysunięta na pierwszy plan przez Ukraińców.

LUBLIN, SIERPIEŃ 1938

[24]

Mjr J. Szymański w imieniu naczelnika Wydziału Społeczno-Politycznego Urzędu Wojewódzkiego do starostów powiatowych i starosty grodzkiego w Lublinie

Urząd Wojewódzki komunikuje, iż Pan Premier i Minister Spraw Wewnętrznych [Felix Sławoj Składkowski] uznał sprawę likwidacji pewnych obiektów prawosławnych na terenie wschodnich powiatów w województwie lubelskim za dotyczącą najbardziej istotnych potrzeb państwa i religii. Z tych też względów Pan Premier nie może uznać

za dopuszczalną jakąkolwiek krytykę działań rządu na tym odcinku w akcji prasowej. W razie gdyby któreś z pism wykazało niezrozumienie dla tej sprawy, Pan Premier zdecydowany jest zastosować wobec właściwych redaktorów czy publicystów represje do Berezy włącznie.

LUBLIN, 1 WRZEŚNIA 1938

[24]

Z informacji proboszcza z Wojsławic dla dziekana Okręgu Chełmskiego ks. A. Kisiele

Zburzono kaplicę w Wojsławicach. Burzyło pięciu robotników, oderwanych od budowy szosy, asystował policjant, który odganiał ludzi i dzieci. Kaplica dużej wartości nie miała, lecz ludność dotkliwie odczuła burzenie jako prześladowanie wiary prawosławnej w odrodzonej Polsce. Prawosławni od razu stali się wrogo usposobieni do sąsiadów-katolików, czego dotychczas nie było, a jedna prawosławna kobieta kilka razy uderzyła w twarz katolika, który coś tam jej złośliwo-radośnie mówił na temat walenia cerkwi.

[...]

Holszów, powiat Włodawa [...]. Cerkwi broniły kobiety, policja biła je pałkami, szczuła psami. Pytanie kobiety: „*Chtoż nam i de teper bude prawyty służby Bożi?*”. Odpowiedź policjanta: „*Chłop twój w chliwie na sianie ci odprawi*”.

Opis burzenia 400-letniej cerkwi. Jest to sprawozdanie ks. Stepana Chałymona: „Wśród ruin przez całą niedzielę słychać płacz. Sterczące słupy, niby podniesione do nieba ręce, wołają o pomstę”.

WOJSŁAWICE, 19 PAŹDZIERNIKA 1938

[16]

Anna Szmigel z domu Kalisz, mieszkanka kolonii Świerze

Od strony Bereźna do naszej kolonii Świerze dochodził donośny warkot [...]. Razem z innymi rówieśnikami i niektórymi dorosłymi w pośpiechu udaliśmy się tam, aby zobaczyć, co się dzieje. Zobaczyłam stojący czołg z dużymi łańcuchami zaczepionymi do wysokiej cerkiewnej kopuły. Żołnierze kończyli już podcinanie pokaźnych rozmiarów mocnych drewnianych belek, podtrzymujących konstrukcję wieży. Wokół zgromadziło się mnóstwo ludzi, którzy ze łzami w oczach przyglądali się temu przerażająco smutnemu widowisku. Gdy tank z głośniejszym warkotem ruszył, cerkiewna kopuła z trzaskiem zaczęła powoli padać. Donośne wycie silnika mieszało się z rozpaczliwym płaczem zgromadzonych widzów.



↑ Kryłów, 1938. Niszczenie cerkwi

Wkrótce najwyższa część budowli, zakończona dużym prawosławnym krzyżem, leżała na ziemi, a nasza piękna cerkiew zamieniła się w bezkształtne drewniane rumowisko. Ludzie długo jeszcze otaczali go w jakimś przygnębiającym milczeniu, nie mogąc pogodzić się z tym, co się zdarzyło. Potem pogrążeni w smutku rozchodzili się do domów, jakby z jakiegoś tragicznego bardzo pogrzebu. Nikt nie odważył się głośno wyrazić swojego sprzeciwu czy protestu.

1938

[24]

Michał Karowicz, kierownik szkoły

Dziedzic z Cichoburza „nawrócił” swoich fernali. Kazał im po prostu przejść na katolicyzm. Byłem przypadkowo przy tym, gdy owi fernali przyjechali do Kryłowa, aby w kościele „zrobić wyznanie wiary”. Przyznaję, że gdy zobaczyłem tych ludzi, ogarnął mnie lęk. W ich obliczach – wyraźnie gniew i nienawiść. Od tego czasu wrogość do Polski i Polaków dawała się wyczuwać wyraźnie w bliższym zetknięciu się z ludnością prawosławną, która już teraz nazywała się ukraińską. Chłód

i nienawiść wyczuwałem także w szkole u starszych uczniów.

Została zmarnowana wieloletnia praca szkoły polskiej.

KRYŁÓW (POWIAT HRUBIESZOWSKI)

[24]

Płk Marian Turkowski, kierownik akcji rewindykacyjnej

Podaję dalsze wytyczne do akcji rewindykacyjno-polonizacyjnej. [...]

Stać twardo na stanowisku, że w Polsce tylko Polacy są gospodarzami, pełnoprawnymi obywatelami i tylko oni mają coś w Polsce do powiedzenia. Wszyscy inni są tylko tolerowani. Wytworzyć wśród mas polskich kompleks wyższości w stosunku do ludności niepolskiej. Mowa polska winna być wyrazem wyższości tak kulturalnej, jak i obywatelskiej. Polak musi się zwracać do ludności niepolskiej tylko po polsku. A już w żadnym wypadku funkcjonariusz państwowy czy też samorządowy nie może używać innego języka jak polski.

Organizować akcję oświatowo-propagandową o wielkości i potędze Polski i doprowadzić do

tego, aby u ludności niepolskiej wzbudzić chęć zostania Polakiem i katolikiem.

ZAMOŚĆ, 24 STYCZNIA 1939 [24]

Tadeusz Chrzanowski, mieszkaniec Moroczyna (powiat hrubieszowski)

Z tamtego czasu zachowałem taką kliszę: ojca purpurowego na twarzy i krzyczącego, choć nie wolno mu się było denerwować, bo miał ciężką chorobę serca, ale wtedy to właśnie krzyczał na rząd, na Sławoja i na Mościckiego, nawet na Rydza, chociaż mnie uczono w szkole, że oni są

mądrzy i dobrzy. Przerażony słuchałem, jak przepowiada, że nas tu Rusini bez cienia litości wyrzną, że nam tego nigdy nie zapomną. [24]

JEŚLI NIE ZAZNACZONO INACZEJ,

WYBRAŁA I PODAŁA DO DRUKU (s. 50–89)

Anna Richter

WSPÓŁPRACA

Marta Markowska, dr Mariusz Sawa

ŹRÓDŁA WYKORZYSTANE W TEKŚCIE

1938. *Jak burzono cerkwie*, red. Eugeniusz Czykwini, Anna Radziukiewicz, Białystok 2018.
- Jerzy Baluch, *Życie na stos rzucone*, Warszawa 2007.
- Bojowi druzi*, upor. Wołodymyr Makar, Toronto 1980 (tłum. fragm. z ukr. Anna Richter).
- Cerkiew prawosławna na Chełmszczyźnie. Przemówienia i interpelacje posłów i senatorów ukraińskich w Sejmie i Senacie*, Lwów 1938.
- Tomasz Grajżul, Michał Swędrowski, *Pacyfikacja Galicji Wschodniej w 1930 roku w świetle interpelacji posłów Klubu Ukraińskiego z dnia 24 kwietnia 1931 roku*, „Meritum”, nr 1/2009.
- Tadeusz Hołówo, *Kwestia narodowościowa w Polsce*, Warszawa 1922.
- Interpelacja posłów Klubu Ukraińskiego do panów Ministrów Sprawiedliwości i Spraw Wewnętrznych w sprawie masowych rewizji i aresztowań na Wołyniu, Biblioteka Sejmowa, RPII/1/648.
- Helena Kisielewska, *Po ridnomu kraju*, Kołomyja 1935 (tłum. fragm. z ukr. Pavel Ablamski).
- Lucyna Kulińska, *Działalność terrorystyczna i sabotażowa nacjonalistycznych organizacji ukraińskich w Polsce w latach 1922–1939*, Kraków 2009.
- Stanisław Łoś, *Sprawa ukraińska we wspomnieniach, korespondencji i publicystyce. Wybór pism*, Kraków 2012.
- Materiały po Olenie Kysilewskiej, Biblioteka Narodowa, mf 69743 (tłum. fragm. z ukr. Zuzanna Grabowska).
- Adam Adrian Ostanek, *Wydarzenia 1930 roku w Małopolsce Wschodniej a bezpieczeństwo II Rzeczypospolitej*, Warszawa 2017.
- Mirosława Papierzyńska-Turek, *Sprawa ukraińska w drugiej Rzeczypospolitej 1922–1926*, Kraków 1979.
- Józef Piłsudski, *Pisma, mowy, rozkazy*, t. 5, Warszawa 1930.
- Polacy i Ukraińcy pomiędzy dwoma systemami totalitarnymi 1942–1945*, oprac. Grzegorz Motyka, Jurij Szapował, cz. 1, Warszawa–Kijów 2005.
- Mikołaj Siwicki, *Dzieje konfliktów polsko-ukraińskich*, t. 1, Warszawa 1992.
- Felicjan Sławoj Składkowski, *Prezydent Mościcki*, „Kultura” nr 10/1956.
- Sprawozdanie stenograficzne z 321. posiedzenia Sejmu II RP z 9 lutego 1927, Biblioteka Sejmowa, RPII/3/7.
- Sprawozdanie stenograficzne z 7. posiedzenia Sejmu II RP z 19 stycznia 1923, Biblioteka Sejmowa, RPII/3/7.
- Sprawozdanie stenograficzne z 7. posiedzenia Sejmu II RP z 26 i 27 stycznia 1931, Biblioteka Sejmowa, RPII/3/7.
- Sprawozdanie stenograficzne z 8. posiedzenia Sejmu II RP z 20 stycznia 1923, Biblioteka Sejmowa, RPII/3/7.
- Konstanty Srokowski, *Sprawa narodowościowa na Kresach Wschodnich*, Kraków 1924.
- Stanisław Srokowski, *Uwagi o Kresach wschodnich*, „Przegląd Współczesny”, R. 3, 1924, t. 11, nr 32.
- Strona internetowa Prawosławnej Diecezji Lubelsko-Chelmskiej www.cerkiew1938.pl pod redakcją Grzegorza Kuprianowicza (dostęp: 1 października 2019).
- Jerzy Tomaszewski, *Rzeczpospolita wielu narodów*, Warszawa 1985.
- Ryszard Torzecki, *Kwestia ukraińska w Polsce w latach 1923–1929*, Kraków 1989.
- Bohdan Wasutyński, *Uwagi nad zagadnieniem narodowości w Polsce*, „Przegląd Wszechpolski”, nr 1/1923.
- Zespół Poleskiego Urzędu Wojewódzkiego w Brześciu nad Bugiem, Państwowe Archiwum Obwodu Brzeskiego, fond 1, opis 10, dzieło 138.

Grzegorz
Hryciuk

O kres walk o niepodległość Polski i Ukrainy w latach 1918–20 – zwłaszcza zakończona konfliktem zbrojnym próba rozciągnięcia przez Polskę swojej zwierzchności na obszary zamieszkałe w znacznej części przez ludność ukraińską o najwyższym stopniu uświadomienia narodowego – położył się cieniem na późniejszych relacjach polsko-ukraińskich. W pamięć obu narodów, bardziej niż sojusz Piłsudski–Petlura i braterstwo broni w kampanii 1920 roku, zapadła krwawa, bratobójcza wojna w Galicji Wschodniej, trwająca do lata 1919.

Ukraińcy, w liczbie około 5 milionów, co stanowiło ponad 14 procent ogółu mieszkańców RP, znaleźli się wbrew swoim oczekiwaniom w granicach państwa polskiego. Aż do końca lat 20. traktowali oni władzę polską jako okupacyjną. Część ukraińskich kręgów politycznych szukała więc sojuszników wśród sił wrogich Polsce, znajdując ich początkowo w ZSRR, później – po zaostrzeniu polityki narodowościowej przez Stalina na początku lat 30. – częściej dostrzegając ich w Niemczech i zdobywających coraz większe wpływy w Europie ruchach radykalnych.

Z polskiej strony pierwsze lata 20. upływały na próbie uzyskania akceptacji dla polskiej granicy wschodniej na forum międzynarodowym oraz pacyfikacji (niezwykle środkami wojskowymi) przejawów niezadowolenia i oporu ze strony Ukraińców. Wzmocnić obecność polską na Kre-

sach Wschodnich miała akcja osadnicza (osadnicy wojskowi) i kolonizacyjna (chłopi polscy), która przyniosła wiele negatywnych następstw, w postaci wzrostu niechęci miejscowej ludności. Do poczynań tych po 1922 roku dołączyła także bardziej konstruktywna oferta polityczna, jednak rozmowy podjęte z częścią środowiska ukraińskiego w Galicji Wschodniej w sprawie utworzenia uniwersytetu ukraińskiego rozbiły się też o opór reprezentatywnych kręgów ukraińskich.

Odejściem od proponowanych przez endecję rozwiązań sprzyjających asymilacji narodowej, a zarazem próbą normalizacji stosunków z mniejszościami słowiańskimi, był pakiet ustaw kresowych z 1924 roku. Ustawy te zawierały daleko idące gwarancje używania języka ojczystego w szkole, urzędach i sądzie. W przypadku Ukraińców, w Galicji Wschodniej miały nie umniejszać, a na Wołyniu i Polesiu nawet istotnie rozszerzać ich prawa narodowe w stosunku do okresu Rosji carskiej. Niestety praktyka codzienna stała w sprzeczności z duchem i niektórymi zapisami tych ustaw. Rozwiązania zaproponowane przez władze RP były dla Ukraińców dalekie od oczekiwań.

Po zamachu majowym, na przełomie 1926/27 roku na obszarze Wołynia podjęto próbę wskrzeszenia ideologii roku 1920 – stworzenia w tym regionie modelu zgodnego współżycia ukraińsko-polskiego, a zarazem swoistej ostoji restauratorów Ukrainy niepodległej. „Program wołyński” Henryka Józewskiego prowadził do zmiany wzajemnego stosunku Polaków i Ukraińców – poprzez udoskonalenie pracy aparatu administracyjnego, uaktywnienie miejscowego społeczeństwa polskiego na rzecz porozumienia polsko-ukraińskiego, organizowanie inteligencji ukraińskiej dla tego celu, rozwój samorządu lokalnego, mającego stać się instrumentem oddolnego spajania obu społeczeństw oraz próby związania ludności ukraińskiej z kulturą polską. Poczynania władz na Wołyniu spotkały się z umiarkowanym odzewem jedynie odłamu środowiska ukraińskiego, a projekt budził krytykę także poważnej części ówczesnej polskiej elity.

Polityka asymilacji państwowej, w ramach której za pewne koncesje gospodarcze i kulturalne oczekiwano od Ukraińców lojalności obywatelskiej i popierania inicjatyw rządu, do przełomu lat 20./30. nie przyniosła oczekiwanych rezultatów. Paradoksalnie jednak wzrost napięcia w relacjach wzajemnych, wzmocnienie zwłaszcza w 1930 roku działalności sabotażowo-dywersyjnej przez nacjonalistów ukraińskich i akcja policyjno-wojskowa władz polskich – przyniosły pewne zmiany w nastrojach i sytuacji politycznej w Galicji Wschodniej. „Pacyfikacja” Galicji w 1930 roku, która spowodowała znaczny uszczerbek legalnego ukraińskiego życia, w połączeniu ze zmianą sowieckiej polityki na Ukrainie (kolektywizacja, Wielki Głód) oraz utratą po 1934 roku wsparcia kół niemieckich – skłoniły ukraińskie umiarkowane środowiska narodowe do rezygnacji z polityki negacji państwa polskiego i podjęcia starań o zachowanie elementarnego stanu posiadania. Doprowadziło to do zawarcia ugody polsko-ukraińskiej w 1935 roku. Nie przetrwała ona jednak próby czasu. Znaczna część postulatów Ukraińców została odrzucona albo nie została zrealizowana. Kurs na ułożenie się ze stroną polską został odrzucony przez cieszących się coraz większymi wpływami nacjonalistów spod znaku OUN.

Próba realizacji ugody przypadła zresztą na czas, gdy ekipa sanacyjna po śmierci Józefa Piłsudskiego zaczęła ulegać wewnętrznemu zróżnicowaniu i dekompozycji. Coraz większą popularność, zwłaszcza wśród wojskowych zaczęła zdobywać koncepcja umacniania polskości. Składały się na nią plany osłabiania spójności społeczności ukraińskiej poprzez wspieranie separatyzmu regionalnych grup etnicznych i społecznych, promowanie Polaków grekokatolików i Polaków prawosławnych, inicjowanie i wspieranie konwersji na rzymski katolicyzm, polonizację Cerkwi prawosławnej czy ograniczanie wpływów Kościoła grekokatolickiego. Uzupełniały ją plany osiedlania na wsi ludności polskiej oraz eliminacji Ukraińców ze stanowisk w administracji rządowej i samorządowej.

Symbolem nieprzemyślanych kroków, nie tylko krzywdzących miejscową społeczność ukraińską, antagonizujących Polaków i Ukraińców, ale i kształtujących negatywny obraz państwa polskiego na forum międzynarodowym, była akcja rozbierania i niszczenia „ponadetatowych” cerkwi we wschodniej Lubelszczyźnie.

Stosunek do mniejszości ukraińskiej pozostałych polskich środowisk politycznych, poza częścią środowisk lewicowych, zwłaszcza PPS i nielicznymi stosunkowo publicystami spośród młodych konserwatystów skupionymi wokół pism „Bunt Młodych” i „Polityka”, nie był bardziej przychylny. A obóz narodowy postulował nawet bardziej radykalne posunięcia. Nie bez wpływu na działania organów państwa pozostawała postawa większości społeczeństwa polskiego, które nie potrafiło wyobrazić sobie przyjęcia postulatów ukraińskich – a w konsekwencji Polski bez Lwowa – oraz nie chciało uznać świadomych narodowo Ukraińców za pełnoprawnych współgospodarzy Rzeczypospolitej. Tragiczną konsekwencją tego była postawa i reakcja większości społeczności ukraińskiej w obliczu klęski wojennej Polski we wrześniu 1939.

Grzegorz Hryciuk

Historyk, dr hab., prof. Uniwersytetu Wrocławskiego, współtwórca Archiwum Wschodniego, specjalizujący się m.in. w historii relacji polsko-ukraińskich w XX stuleciu. Autor m.in. *Polacy we Lwowie 1939–1944. Życie codzienne* (Warszawa 2000), *Przemiany narodowościowe i ludnościowe w Galicji Wschodniej i na Wołyniu 1931–1948* (Toruń 2005).

Kamionka Stara. Krzyż i tablica upamiętniające polską kolonię, gdzie w lipcu 1943 co najmniej kilkunastu Polaków zostało zamordowanych z rąk ukraińskich



FOT. GRZEGORZ NAJNOWICZ / WIKIMEDIA COMMONS

WOŁYŃ DLA UKRAINY

Rzezie na Wołyniu” – unikanie tego tematu wytykano nam w wielu listach i rozmowach. „Dlaczego ten niezależny miesięcznik o tym milczy?” – pytał nas jeden z czytelników, domniemywając, że to świadomy wybór. Niepokoił niektórych fakt, że problemy stosunków polsko-ukraińskich zapisujemy, wychodząc od spraw marginalnych, a pomijamy to, co Polaków boli najbardziej: jak w roku 1942, 1943, 1944 Ukraińcy przyszli do ich domów...

Trafiały do nas liczne relacje, w których bestialstwo ówczesnych zbrodni zapisywano dosadnie, w szczegółach. Nieodłącznie pojawiała się pretensja, że choć w Polsce odkrywa się już niemal wszystkie ponure karty historii, to jednak nie tę – że historycy czy politycy w imię bieżących racji politycznych pomijają tę przeszłość, pomniejszają jej wymowę.

W tej sprawie nie ma chyba w środowiskach opiniotwórczych jakiejś zmywy milczenia. To raczej efekt bezradności. Trudno mierzyć się z ogromem ówczesnych zbrodni, pojąć ich genezę, mechanizm. Instynktownie szuka się wyjaśnień zastępczych: może to wielka przesada, może propagandowa gra. Byłe nie epatować grozą wydarzeń, byłe zdobyć się na taki dystans do

nich, który broniłby przed możliwym odruchem nienawiści...

Archiwum Wschodnie gromadziło wszystkie spływające świadectwa. To, że teraz sięgnęliśmy do nich, a także do innych archiwaliów, nie oznacza, że „już wiemy”. Wiemy raczej, że taki moment sam z siebie nie nastąpi, że tej wiedzy musimy wspólnie szukać. Trzeba najpierw z wielu stron opisać wydarzenia, by kiedyś możliwy był komentarz – ich wyjaśnienie.

Przedstawiamy tamtą przeszłość z dwóch „polskich” punktów widzenia: dzieci przypadkiem uratowanych z masakry i obrońców Huty Stepańskiej – jednego z największych ośrodków samoobrony na Wołyniu. Wiemy, że są też inne, często zupełnie odmienne punkty widzenia: „ukraińskie”, „żydowskie”, „niemieckie”, „rosyjskie”... Może gdy wypowie się jedna strona, odezwą się i pozostałe.

Rzecz nie w tym, by po tylu latach wydać wyrok na winnych – dzisiaj nie będzie już procesów. Chcemy poznać, próbujemy – zrozumieć. Pojąć, co człowiek może zrobić innemu i dlaczego. Przedstawiciel jakiegokolwiek nacji przedstawicielowi jakiegokolwiek nacji.

Każdy naród może kiedyś uznać, że należy mu się wyłączne prawo do jakiegoś terytorium. Może zechcieć zapewnienia sobie tego prawa... Tak wówczas pomyślano o Wołyniu. (RED)

Wyrka. Krzyż i tablica pamiątkowa
na miejscu kościoła katolickiego
pw. Podwyższenia Krzyża Świętego,
spalonego 16–17 lipca 1943
przez Ukraińców



FOT. GRZEGORZ NAJNOWICZ / WIKIMEDIA COMMONS

KARCZOWANI

*„Fortecy” naszej strzegą środki dozwolone,
ku którym oko ufnie raz po raz spoziera:
szczypcę do węgla – mocno w zamek drzwi wsadzone
i beznadziejnie tępa domowa siekiera.*

*Wiem, czas dzisiejszej nocy znów będzie się dłużył,
że wieczność można przeżyć w jednej małej chwili,
ja na tę łaskę u „nich” jeszcze nie zasłużył,
by strzałem z pistoletu bez męczarni zabili.*

*Wolno, wolniutko wstaje rano upragniony,
powieki ciężkie pieką i plączą się myśli,
po niebie lekko szarym przemknęły gawrony,
chowam moją siekierę – dziś jeszcze nie przyszli.*

Zdzisław Wilczek

**Z LISTU DO ARCHIWUM WSCHODNIEGO
OPISUJĄCEGO PRZEŻYCIA Z WOŁYNIA**

Teresa Orzechowska

Jako jedenastoletnia dziewczynka błąkałam się samotnie po obcych, opustoszałych mieszkaniach, chatach, szopach, a w tym czasie rodziny polskie tam żyjące uciekały do miast przed śmiercią szalejącą w postaci noża, siekiery, kosy.

Pamiętam jak zimą, instynktownie, dla ratowania życia, z szopy, która była moją kryjówką, uciekłam na pola, a były to przestrzenie bezkresne, równinne, więc bezbronne. Tam usnęłam na gołej ziemi, przykryta jedynie padającym śniegiem. W ciemnościach nocy obudziły mnie ludzkie krzyki przeplatane jękiem, wyciem

i szczekaniem psów, rykiem bydła, rżeniem koni, trzaskiem palących się zabudowań wiejskich. Łuny pożarów oślepiały mnie. Nade mną niebo rozwierało mieniące się od ognia i dymu kolory. Ta sceneria, te dźwięki doprowadzały do oblędu. Zamiast więc oddalać się od miejsca śmierci, pod ciśnieniem strachu biegłam przed siebie i wpadłam na jedno z podwórek płonącej wsi, gdzie byłam naocznym świadkiem rąbania żywych drgających ludzkich ciał, rozdzierania rękami dzieci na części.

Ledwo zdążyłam wskoczyć w stóg słomy przed goniącym mnie z kosą osobnikiem, gdy

poczułam klucie ostrzem w różnych miejscach mego ciała – pod nosem, w nogę i palec u ręki; do dnia dzisiejszego pozostały mi blizny. Z braku powietrza, dusząc się od dymu (nie wiem, jak długo w tej zimnej jamie pod słomą na przemian płakałam, spałam, a może mdlałam), wyszłam na powierzchnię. Było mi już wszystko jedno, co się ze mną dalej stanie. Zaczęłam iść przed siebie, wydawało mi się, że w ciemności. Wówczas usłyszałam głosy jakby przywołujące mnie, otworzyłam oczy i zobaczyłam na drodze wojskowy wóz wypełniony żołnierzami. Dwie postacie zeskoczyły z wozu i zbliżały się w moim kierunku. Szłam na ich spotkanie pogodzona ze śmiercią. Okazało się, że byli to Węgrzy, którzy zbierali niedobitki polskie, by pod swoją eskortą odwiedzić nas do Stanisławowa.

WARSZAWA, 1990

(ze wspomnień nadesłanych do Archiwum Wschodniego)

Władysław Kobylański

Już w środę, skoro świt, duży oddział bulbowców zaczął w Marianówce palić po kolei gospodarstwa Polaków. Spaliliśmy w ukryciu, w różnych miejscach poza domem. Mówiono, że jeśli utrzyma się tę zasadę, zawsze ktoś z rodziny ma szansę przeżycia. Ja spałem z moim kolegą Aleksandrem Mącikiem w stogu słomy Ukraińca Hordowskiego, bez jego wiedzy.

Strzały i pożar wyrwały nas ze snu, zaczęliśmy uciekać w pole w kierunku cmentarza ewangelickiego. Stał tam posterunek bulbowski, który dopuścił nas na odległość około pięćdziesięciu metrów. Posypały się w naszym kierunku strzały. Nagły zwrot, szybki bieg pod wpływem strachu i słabi strzelcy oraz pola zarośnięte już dość wysokim zbożem – dzięki temu dziś jeszcze żyjemy. Rozbiegliśmy się z Aleksandrem w różnych kierunkach. Ja ukryłem się w zbożu w odległości około kilometra od naszego domu. Obserwowałem stamtąd, co wyprawiają bulbowcy w poszczególnych gospodarstwach.

Pamiętam, jak do mnie strzelali. Chciałem krzyknąć, ale głos uwiązł mi w gardle. Brak było jakiegokolwiek nadziei. Co ze sobą dalej robić? Gdzie iść i po co? Ten obezwładniający stan ducha można określić tylko jednym słowem: rozpacz. Człowiek dotknięty jest jakąś martwością i poczuciem bezsensu istnienia. Wszystko to czuł dwunastoletni chłopiec.

Nie tyle widok pożarów kolejnych gospodarstw, co wycie psów, ryczenie krów, rżenie koni, kwik świń podsycaly jeszcze moją rozpacz. Bulbowcy nie tylko w okrutny sposób mordowali ludzi, ale również nie wszystkim zwierzętom na uwięzi dawali szansę ucieczki z płomieni.

Leżałem jak sparaliżowany; patrzyłem i słuchałem, co się dzieje w kolonii i nie miałem tyle siły woli, by wstać i uciekać jak najdalej od tego nieszczęścia. Nie byłem w stanie podjąć jakiegokolwiek decyzji.

WROCLAW, 1989

(ze wspomnień *W szponach trzech wrogów*)

Mieczysław Gawel

Siarkowski był już ranny w rękę. Jak go bandyta dogonił, to on posłusznie położył się na ziemi i czekał, aż bandyta zszedł z konia i przyłożył mu karabin do głowy. Zastrzelił go i ściągnął mu buty. Dlaczego się nie bronił, nie wiem. A miał szansę. Bandyta był na płochliwym koniu i miał karabin z oberżniętą lufą, który z pewnością nie strzelał celnie.

Po zabiciu Siarkowskiego bandyta wsiadł na konia i zaczął się rozglądać za następną ofiarą. My we trójkę byliśmy w tym czasie do połowy zakopani w słomę i obserwowaliśmy jego zbrodniczy wyczyn. Gdy zwrócił się w naszą stronę, zauważył nas, bo matka miała białą chustkę na głowie. Przyjechał prosto do nas, ale my w międzyczasie pochowaliśmy się w słomie na dobre. Czułem, że kopyta końskie zatrzymały się tuż przy mojej głowie. Nie ruszałem się, aby się nie zdradzić. Bandyta nie czuł się widocznie pewnie, bo nie zszedł z chrapiącego konia, lecz odjechał. Przed „wizytą” kolejnego bandyty wrócił ojciec. Na wezwanie matki, aby się chował, machnął tylko ręką, że woli tu zginąć syty niż w mieście umierać z głodu. I poszedł do mieszkania.

W chwilach względnego spokoju wychylaaliśmy głowy ze słomy i obserwowaliśmy okolicę. Widzieliśmy sześciu bandytów przebiegających między zabudowaniami; ten na koniu był siódmym. Przepuszczam, że ich zadaniem nie było wymordowanie nas, lecz wygnanie, bo rozpoczęli mordować tylko z jednego końca i tylko w siedmiu, a przecież w pobliskich Pożarkach mieli duży odwód.

Następnie widziałem ich koło zabudowań Hanckiego – jak strzelali do wracającego do domu Morki, który miał na starość słaby wzrok i nie

mógł widzieć, kto do niego strzela. Przystanął tylko i szedł dalej w ich kierunku. Po którymś z kolei strzale upadł. Dalej zbliżali się do zabudowań Moska, który kilka tygodni temu wraz z rodziną wyjechał do rodziców żony za Łuck. Następnym ich celem byliśmy my.

Jak przyszli, to zastali ojca na podwórku. Zaczęli go wypytywać, po ukraińsku oczywiście, gdzie ma rodzinę – odpowiedział, że wszyscy puciekali. Wówczas zaczęli przeszukiwać całe gospodarstwo. Matka była na samym brzegu słomy rozrzuconej pod stogiem, więc jeden z nich kopnięciem nogi odsłonił ją i kazał jej wstawać. W tym czasie usłyszałem szczęk zamka karabinowego, wprowadzającego nabój do lufy. Mama, wstając, odkryła Siarkowską, bo były razem schowane. Ja byłem schowany oddzielnie i trochę dalej. Siarkowska także zaczęła wstawać, lecz mama widocznie zauważyła, że bandyta zajęty jest karabinem, popchnęła Siarkowską i przykryła ją słomą, jakby chciała powiedzieć: ratuję ci życie, zaopiekuj się moim dzieckiem. Sama poszła na śmierć. Kazali im się położyć i oddali do nich siedem strzałów.

Wkrótce po ich odejściu pojawili się ukraińscy sąsiedzi od Witoszków i ich kuzyni Ihnatiuki – i zaczęli grabić nasze mienie. Obie Sańki, żony Neczypora i Dymitra, widocznie nie zbliżały się do moich rodziców, bo jedna z nich zapytała, jak oni wyglądają. Neczypor odpowiedział: „*Czerepy keti porozlitaliś*” – czaszki całkiem się porozlatywały.

GDAŃSK, 1976

(ze wspomnień nadesłanych do Archiwum Wschodniego)

Regina Owczarczak

Którejś nocy zjawił się na futorku nasz ksiądz w cywilnym ubraniu. Był wystraszony, bo uprzedzono go, że chce go zamordować ukraińska banda. Usiłował namówić mego ojca do ucieczki do centralnej Polski, lecz ojciec bał się, że umrzemy tam z głodu; chciał zebrać choć trochę zboża. My z siostrami prosiłyśmy o pozwolenie na ucieczkę, lecz zdecydował tu głos najstarszego brata Wacława (znającego świat), który sprzeciwił się, twierdząc, iż nie mamy sobie rady.

W niedzielę, 1 sierpnia 1943, dzień był parny i nawet słońce było zamglone. Chodziliśmy po futorku przygnębieni, unikając się nawzajem. Wieczorem jak zwykle przyszedł do nas sąsiad,

Ukraińiec Aleksander Fedosiuk. Mój brat Wacław rozmawiał z nim, iż czasy są niespokojne, lecz my nikomu krzywdy nie zrobiliśmy, więc gdyby nam groziło niebezpieczeństwo, niech – przez wieloletnią przyjaźń – Aleksander nas uprzedzi, to wyjedziemy do Polski centralnej. On to potwierdził, a o drugiej w nocy przyszedł wraz z uzbrojonym oddziałem bandytów UPA.

Część mojej rodziny – ojciec, matka, siostry i najmłodszy brat – spaliliśmy od wielu dni w stodole i w szopie na sianie. W nocy z 1 na 2 sierpnia obudziło nas światło latarek i rozkaz w języku rosyjskim, by udać się do mieszkania w celu przeprowadzenia rewizji, bo podobno u nas jest broń.

Idąc pod eskortą uzbrojonych bandytów ścieżką wśród krzaków malin, widziałam, że wszystkie okna w domu zostały obstawione. W mieszkaniu obudzili mego brata Wacława i kazali nam zebrać się w jednym pokoju, by nie przeszkadzać im w rewizji. Było nas dwanaście osób – dziesięć z mojej rodziny i stryj Bernard z żoną.

Bandyci cały czas mówili po rosyjsku, podszuwając się pod partyzantów radzieckich i dopiero kiedy powiedzieli: „*Bliże k ścienkie*” i „*Wy chotitie samostijnej Ukrainy*” – zdaliśmy sobie sprawę, kto to jest i że to koniec.

Zobaczyłam pobladłą twarz mamy i nawet nie zdążyliśmy odpowiedzieć, gdy z przedpokoju padły trzy serie strzałów z karabinu maszynowego. Zestrzelono światło lampy naftowej, stojącej przed nami na stole – pokój pogrążył się w ciemnościach i straciłam przytomność.

Gdy się ocknęłam, modliłam się. Leżałam na podłodze pod czymś ciężkim ciałem, które, może w ostatnich konwulsjach, wciągało mnie pod siebie. Słyszałam jego charczący oddech, jęki konających i kilkakrotny krzyk mojego czternastoletniego brata Rysia: „Ja tak nie chcę”. Nie bolało mnie nic, a kiedy uniosłam głowę, zobaczyłam na tle światła w pokoju stryja (za przedpokojem), że nikogo już nie ma. Bandyci rzucili się w tym czasie do rabunku w budynkach gospodarczych.

W pokoju było pełno krwi. Chyba instynktem wiedziona, wstałam i prześliznęłam się przez boczne drzwi do kuchni. Tam, nie zastanawiając się, wyskoczyłam przez okno wychodzące na ścieżkę do budynków gospodarczych i wpadłam w krzaki malin, tuż obok tej ścieżki. Stopy miałam białe i mokre od krwi, a na oczy spływała mi krew z rany głowy. Komary, czując krew, bzykały nade mną. Byłam jak zaszczute zwierzę. Leżałam

odrętwiała ze strachu, gdy nagle usłyszałam biegnących i klnących po ukraińsku bandytów, a równocześnie strzał nad moją głową. W jednej sekundzie pomyślałam, że mnie odkryli i skuliłam się, czekając na cios, ale oni zobaczyli moją siostrę Jadwigę uciekającą w stronę krzaków róż i jaśminów. Zabili ją, a później podpalili.

Potem wrócili do pokoju trupów, zapalili lampę. Zabili płaczące w kołysce ośmiodniowe dziecko Waclawa. Zdjęli też buty z nóg mojej matce, leżącej na tapczanie pod ciałem Waclawa; myśleli, że ona nie żyje. Dali jeszcze dwie serie strzałów po trupach i kończąc rabunek odzieży, pościeli i innych rzeczy w domu oraz maszyn i inwentarza żywego w budynkach gospodarczych – podpalili je i odjechali.

Rana na głowie zaschła i tylko coraz bardziej bolała mnie prawa noga, gdyż miałam trzy kule w udzie, które, jak się później okazało, nie naruszyły kości. Kiedy nadszedł dzień, zdecydowałam się wyjść i szukać pomocy. Myślałam, że zostałam sama i nie wiedziałam, co robić. Idąc koło domu, widziałam przez wybite okno ciało zabitego brata Waclawa z ranami na skroni, roztrzaskaną główkę jego ośmiodniowego dziecka w kołysce... nikt nie odezwał się na moje wołanie. Widziałam też dopalające się zwłoki mojej siostry Jadwigi, leżące koło jaśminów.

Kuśtykałam okrwawiona jak upiór w stronę budynków sąsiada Ukraińca, gdy nagle spoza drzew z podwórza sąsiada usłyszałam krzyki i głos mojej bratowej Marii: „Mamusiu, Gina żyje” (tak mnie nazywano).

Nie da się opisać rozpaczki matki po stracie dzieci i tak dobrego męża. Wyglądała jak nieprzytomna czy obłąkana. Nikt z nas nie płakał, bo z bólu łzy chyba wyschły!

Ukraińscy sąsiedzi z Aleksandrem Fedosiukiem stali ze spuszczonej głowami, a naprzeciw nich, w białiznie: chora (po połogu) bratowa Maria z wylęknionym półtorarocznym synkiem na rękę, moja mama oraz leżąca na ziemi, ranna w nogę żona stryja Bernarda.

Wyszły one z pokoju trupów, już po odjeździe bandytów, kiedy mama zawołała: „Wstawajcie, kto żywy”. Odezwał się wówczas żyjący jeszcze stryj Bernard i prosił: „Ciągnijcie mnie, ja nie chcę się spalić”. Kobiety z trudem wyciągnęły go przed dom; był w stanie agonii – głowa stuknęła po schodach. Zaraz też zmarł. Miał wiele ran na piersiach i odstrzeloną za kostką prawą rękę. To

on w nocy zagarnął mnie ręką pod siebie, a kula, która mnie raniła w głowę, urwała mu rękę.

W czasie masakry półtoraroczny synek Waclawa, przygnieciony na tapczanie ciałem swego zabitego ojca i leżącej babci, zaczął płakać, ale kiedy ta szepnęła mu: „Nie płacz, babcia przy tobie” – do końca już się nie odezwał, a na wezwanie babci wstał, jak duszek, błądy i przestraszony. Przez wiele tygodni dziecko to nie odezwało się i nie zapłakało. Milczało jak nieme i tylko nie pozwalało nam od siebie odejść.

ZIELONA GÓRA, 1990

(ze wspomnień nadesłanych do Archiwum Wschodniego)

Danuta Konieczna

Miałam już prawie dziesięć lat, kiedy banderowcy napadli na polską wioskę Korościatyn. Tego dnia było jeszcze wcześniej i ludzie nie zdążyli się ukryć.

Banda działała w trzech grupach. Pierwsza szła i mordowała. Drudzy kradli, co się dało. Ostatnia grupa to przeważnie wyrostki 12–14-letnie – zwalniali z łańcuchów bydło i podpalali domostwa. Słyszałam, jak w domu mówiono, że bandą tą dowodził młody ksiądz wyznania grekokatolickiego z naszych Monasterzysk, nazwiska jego nie pamiętam. Ludzie się bronili, ale zginęło wtedy 160 Polaków. Pamiętam, jak stałam z moimi rodzicami i innymi sąsiadami przed domem i patrzyliśmy na lunę.

Rano ludzie saniami zaprzężonymi w konie podążali do Korościatyna. Ja też tam byłam. Pamiętam, jakby to było wczoraj. To, co tam zobaczyłam, było makabryczne. W zdewastowanych, spalonych domach, na podwórkach, w ogrodach, na stacji kolejowej – wszędzie leżeli zamordowani ludzie. Tego nie można opisać. Tego nie mogę zapomnieć. Widziałam ludzi pozabijanych siekierami i nożami. Mieli odrąbane ręce, nogi, rozłupane głowy, obcięte uszy i powyrywane języki, wydłubane oczy, rozprute brzuchy i rozwleczone jelita. Kobiety miały obcięte piersi. Nie oszczędzali nawet niemowląt. Widziałam małe dziecko z roztrzaskaną o ścianę głową.

Pamiętam, jak stara kobieta stała nad zmasakrowanym ciałem swojej córki, mówiła do niej, żeby wstała i włożyła płaszcz, który jej przyniosła, bo jest zimno i pora iść do domu.

WROCLAW, 1992

(z listu do „Karty”)

Janina Stopyra-Gawrońska

Tatuś, oprócz prezentów, z każdej wyprawy do Lwowa przywoził hiobowe wieści. „Ukraińcy mordują!” – mówił. Był wtedy zasępioń. Gnębiło go poczucie bezsilności, z którym nie umiał sobie poradzić. Mama zwykle reagowała płaczem; była płaczką, katastrofistką, w niczym mu nie mogła pomóc ani niczego rozsądnego doradzić. Była rozdrażniona, ciosy następowały jeden za drugim. Z Sybiru żadnych wieści o ojcu i macosze, choć mijały już trzy lata, jak ich wywieziono. Tymczasem groziła nam każdego dnia nowa tragedia – wyróżnienie nas w pień przez ukraińskich szowinistów. Było o tym głośno, coraz głośnie. Złe wieści niosły się lotem błyskawicy. Po lasach, drogach grasowały uzbrojone w siekiery, widły, kosy i noże bandy złooczyńców. Tatuś przestał jeździć do Lwowa, bo przyjeżdżał coraz bardziej ponury, niepodobny do siebie, sparaliżowany strachem. Cokolwiek w nocy stuknęło – spadające jabłko czy gałązka – stawiało tatę na równe nogi. Nie spał, nasłuchiwał, chodził, czekał rana, by się upewnić, że nikt obcy nie robi nocą zbójcekich podchodów.

Naszym najbliższym sąsiadem był Ukrainiec – nazywał się Trusz. Był dobrym człowiekiem. Z jego strony nie groziło nam niebezpieczeństwo.

Dom nasz kończył zabudowania polskie, od niego zaczynały się gospodarstwa ukraińskie. Wiedzieliśmy, że jesteśmy pierwsi z brzegu, jeżeli zacznie się rzeź w Łopusznie. Wiedzieliśmy także, że musimy się stąd wynosić jak wszyscy Polacy (choć moja mama była po ojcu Ukrainką). Nie było to takie proste. Z dnia na dzień zlikwidować całe swoje gospodarstwo, przychówek i ot tak sobie odejść – dokąd i gdzie? Czas naglił, gorączka narastała. Popłoch i strach niweczył zdrowy rozsądek. Cała nasza bliższa i dalsza rodzina ze strony ojca naradzała się dniami i nocami – co zrobić? Zdecydowano, że przede wszystkim musimy dostać się do Lwowa. Zaczęły się przygotowania.

Bracia, siostry i szwagrowie wydumali sobie, że pożyczą mojemu tatusiowi konia i furmankę, żeby pojechał do Milatycz do młyna ze zbożem, trochę sprzedać, resztę zamienić na mąkę – wszyscy potrzebowali chleba na drogę. Czekala nas ponieważ, każdy miał dzieci, trzeba było zapewnić choć to minimum. Tatuś był jedynym, który się odważył. Uwierzył całej rodzinie, że z każdym się dogada, po ukraińsku mówił bardzo dobrze, lubiano go w okolicy. Na ostrzeżenia zaprzyjaźnionych Ukraińców stwierdzał: ja prosty

człowiek, do polityki się nie mieszam – co mogą mi zrobić, za co mieliby mnie mordować. I z tą wiarą i optymizmem pojechał.

Tymczasem u nas chleb w piecu, bielizna uprana wisi na sznurkach. My z bratem wykapani, tobołki popakowane. Płacz, pochlipywanie, żeganie się ze wszystkim, bo to ostatnie dni i godziny w naszym rodzinnym domu. Towarzyszyło nam ogromne napięcie i strach przed nieznanym.

Nadchodził wieczór, a taty nie było – miał być po południu. Wyglądaliśmy z okien, wybiegaliśmy na drogę jemu naprzeciw. Było dla nas oczywiste, że zaraz nadjedzie, przywita nas i przytuli, wskoczmy na furmankę. Będziemy z nim jechać, da nam potrzymać bacik, coś tam wyciągnie z przepaścistych kieszeni i powie: zamknijcie oczy, wyciągnijcie ręce...

Gdy zapadł wieczór, a jego wciąż nie było, stało się pewne, że go zabrali. W mamie wzbierała burza. Przestała zwracać na nas uwagę, chodziła tam i z powrotem. Krzyczała: „Kłękajcie i módlcie się, żeby wrócił, bo zabiję i was, i siebie, i się skończy”. Posłusznie kłękamy ja i mój brat, tuż przy łóżku, zadzieramy głowy do małego obrazka i ze łzami w oczach prosimy:

Do Ciebie Panie rączki podnoszę,
O zdrowie naszego Taty proszę,
I proszę bardzo, broń go od złego,
Na każdym kroku, niech go Aniołki strzegą.

Adaś powtarzał tylko końcówki, gdyż nie miał jeszcze trzech lat, a poza tym chętniej mówił po ukraińsku. Ja miałam sześć lat, rozumiałam już, że jestem Polką i starałam się mówić po polsku.

Mama się miotala, leciało jej wszystko z rąk, przeganiała nas z kąta w kąt. Nie wiem, czy w ogóle nas dostrzegała. Momentami miałam takie wrażenie, że nas nie chce, bo nie jesteśmy w stanie jej pomóc ani ukoić. Wreszcie dała ujście swojej rozpacz – zaczęła krzyczeć, jakby postradała rozum, płakała, waliła pięściami w łóżko, na którym kłęczala. Z rozpuszczonymi włosami, wyglądała jak widmo. W końcu padła na łóżko, wołając: „Pietruś, Pietruś, przyjeźdź”. Za moment zupełnie skamieniała. Dobięłam do mamy, tarmoszę ją, proszę: „Wstawaj, wstań, tato na pewno zaraz przyjedzie”. Otworzyła oczy, spojrzała na mnie i zerwała się z łóżka – wiedziała swoje. Odgrażała się nie tylko Ukraińcom, ale i całemu światu. „Już ja im pokażę” – krzyczała. Dopadła szuffad, w których już nic nie było. Powyrzucała wszystko

z worków, gorączkowo szukała jakichś papierów – aktów ślubu, kenkarty. Ludziła się, że zatrzymano go tylko na skutek braku tych „dobrych papierów”.

Nadciągała ciemna noc, nasze modlitwy były bezskuteczne. Zawsze wiedzieliśmy, że Bozia wysłucha i pomoże; teraz była głucha, nieskora do utulenia naszego żalu. Widocznie limit łask się wyczerpał – przecież tyłu było potrzebujących. Wreszcie mama położyła nas razem do łóżka, a sama pobiegła do rodziny taty – mieszkali około półtora kilometra od nas – głównie do jego brata, żeby jego żona Julia poszła z nią na poszukiwania, bo skoro to był ich koń i fura, więc powinna iść to odzyskać. Nieszczęsna wyraziła zgodę, że skoro świt pójdą razem. Mama nie spała całą noc, zapewne biegała do wszystkich szukać ratunku. Było jeszcze ciemno, gdy wyruszyły do Tolszczowa, bo dochodziły sygnały, że to tam mordują. Pod pachą ścisnęły „dobre papiery” i były pewne, że nie wrócą z pustymi rękami.

Obudziłam się rano, w mieszkaniu pusto, sznury w mieszkaniu, jak wisiały, tak wiszą, z suchą już bielizną, tobołki stoją, chleb siedzi w piecu niewyjęty od wczoraj, na stole przy oknie stoi bańka z mlekiem i placki z resztek ciasta chlebowego.

Wiedziałam, że mama poszła szukać taty i że wrócą razem. Siedzieliśmy i czekaliśmy. Matkowałam mojemu bratu, tuląc go i tłumacząc, że mama zaraz przyjdzie. Poprzedniego dnia mówiła: „Jańciu, pamiętaj – nie wychodź z domu, nikomu nie otwieraj, pilnuj domu. Pies i kot muszą być na dworze”. Dzień powoli mijał, placki urywane po kawalku zmniejszały się, mleko pite z bańki kończyło się. Zmrok zapadał, a oni nie wracali. Siedzieliśmy na stole przy oknie, jakby na nim było bezpieczniej. Szemrząca nieopodal rzeczka, szumiące drzewa, wiatr, który wiał i zawodził w opustoszałych izbach – wszystko to niosło ze sobą wczorajszy strach i grozę, lecz dzisiaj uderzało jakby ze zdwojoną siłą, uświadamiało tragiczną prawdę, wyrok, że oto zostaliśmy sami. Zrozumiałam wczorajszą rozpacz matki.

Kiedy zrobiło się prawie ciemno, wpadłam w panikę. Z trudem zapaliłam lampę naftową, potłukłam szkło, knot kopcił czarną smugą. Wpatrywałam się z uporem w powoli kończącą się naftę w lampie. Co będzie, gdy zgaśnie? Gorączkowo szukałam świecy, znalazłam jakiś mały ogarek. Przytknęłam go do gasnącej lampy, zapaliło się. Ale światło nie było takie zbawcze, bo rzuciło na ściany złowrogi cień, potęgując mój strach.

Byłam zdana wyłącznie na siebie. Robiłam heroiczne wysiłki, żeby nie krzyżeć i nie obudzić małego Adasia. Płakałam cicho – łzy toczyły się po policzkach, ginęły w ustach. Nie przynosiły ulgi i nie zmniejszały mojego strachu. Świeczka dogasała. Nie widząc żadnego wyjścia, zaczęłam ryczeć w głos, czym obudziłam braciszka. Nie pozostało mu nic, jak tylko histerycznie krzyżeć razem ze mną, wołając na przemian to mamę, to tatę. W chwilach umordowania płaczem tłumaczyłam mu, że rano pójdziemy ich poszukać, bo teraz jest ciemno. Pocieszenia moje nie na wiele się zdały; nie mogłam uciszyć ani jego, ani siebie samej.

Nasz krzyk okazał się zbawczy o tyle, że sąsiad Ukrainiec go usłyszał. Zbliżył się do naszego domu, przyłożył dłoń do szyby, zaglądając w czeluść prawie ciemnej izby. Zobaczyłam twarz, nie rozpoznając jej, i pomyślałam: teraz nasza kolej, przyszli nas zamordować. Zeskoczyłam ze stołu, ściągnęłam Adasia i weszliśmy pod stół, dygocąc jak w febrze.

Po chwili słysząc pukanie do drzwi i wołanie: „Jańciu! Jańciu! Nie bój się, otwórz, to ja, wasz sąsiad Trusz, otwórz drzwi i wpuść mnie”. Powtórzył to parę razy. Wygramoliłam się spod stołu, podeszłam do drzwi i pytam: „Ale to naprawdę wy, sąsiedzie?”. Usłyszałam: „Ja, ja, nie bój się” – rozpoznałam jego głos. Z trudem odsunęłam ciężki rygiel i wpuściłam go. Opowiedziałam z płaczem, co wiedziałam.

Zamknął chałupę, przeszliśmy po omacku przez podwórze nasze i jego – wziął nas do swojego mieszkania. Jego żona dała nam coś do jedzenia i położyła spać w nogach łóżka, gdzie spały ich dzieci. Zasnęliśmy. Rano dali nam jeść razem z nimi. Co trochę biegaliśmy do naszego domu, by się upewnić, czy oni nie wrócili, ale tylko wtedy, jak sąsiad wchodził do stodoły i mówił: „No, to możecie trochę wyjść”. Całymi dniami siedzieliśmy tam ukryci. Nieprawdopodobne, że komus jeszcze zależało na tym, żeby i nas dorznąć – ale taka była prawda.

*

Po 48 latach jadę do Łopuszny. Serce łomocze mi jak oszalałe. Na miejscu dowiaduję się, że wszystkie domy, gdzie mieszkali Polacy – ta część nazywała się Kolonią – zostały spalone i dziś nie ma po nich śladu. Nasz dom stał najdłużej, bo moja babcia wróciła tu z Sybiru w 1946 roku. Dopiero gdy zmarła w 1956, spalono dom, pewnie zwyczajowo.

Sąsiadki Ukrainki opowiadają, że do dziś słyszą jeszcze nasz płacz i rozpacz matki, gdy było już wiadomo, że mój ojciec został zamordowany przez bandy ukraińskie w lesie w Tołszczowie. Błagały, prosiły, ostrzegały: „Mila, nie chodź tam! Pietra już nie ma! Są tacy, co widzieli jego śmierć! Masz dwoje drobnych dzieci. One zginą bez ciebie!”. Krzychała opętańczo: „Nie ma jego – niepotrzebne mi dzieci – nie chcę żyć – po co mi żyć”. Pędziła na oślep, na skrót, byle prędzej, usuwając z drogi ludzi, którzy chcieli ją powstrzymać przed niechybną śmiercią. Jej stan psychiczny, agresja skierowana przeciw bandytom, sprowadziła i na nią straszliwy koniec. Dziś już wiadomo, jak zginęła. Przywiązano ją do drzewa, najpierw wydłubano jej oczy, potem odcięto piersi i kluto widłami jej ciało aż do skoniania.

Drugiego dnia pojechaliśmy jeszcze raz do Łopuszny. Musiałam przecież dotrzeć do miejsca, gdzie stał mój dom, gdzie pozostali Rodzice. Po wyboistych polnych drogach docieramy do miejsca, gdzie urodziłam się ja i mój brat. Nikt z rodziny nie sugerował mi, gdzie to jest. Trafiłam bezbłędnie. Koszącego trawę człowieka zapytałam wprost: „Czy żyła tu kiedyś rodzina Piotra i Emilii Stopyrów, którzy zostali zamordowani w roku 1943?”. Odpowiedział bez wahania: „Tak, dokładnie tu, gdzie stoimy”. Wskazał mi trzy stare drzewa, które pozostały z tamtych lat. Po naszym domu jest puste miejsce, na którym kłękam ze szlochem. Przez tyle długich lat było to miejsce upragnione, widziane w snach, kojarzące się z ciepłem, miłością i bezpieczeństwem, póki żyli rodzice.

Jedziemy dalej, tam, gdzie tuż przy szosie stały niegdyś budynki bandyckiej leśniczówki. Teraz jest tu puste miejsce, zarasta je wysoka trawa, w której bieli się mnóstwo margerytek. Pozostały drzewa owocowe, okalające kiedyś leśniczówkę.

Z prawej strony w zaroślach wisi piwniczny strop, osnuty pajęczynami. Tam w dole męczono, gwałcono, rżnięto na kawałki kobiety, a ich części wrzucano do głębokiej studni, która jest dzisiaj zasypana. Mrowie chodzi mi po plecach, lzy płyną bez przerwy.

Wchodzimy głębiej do lasu, gęstego, ciemnego, wilgotnego i chłodnego mimo upału –

przejmującego grozą. Idę na sztywnych nogach, z zaciśniętym gardłem, czuję, że ciało mi lodowacieje. Spotkana tu staruszka potwierdza: tak, to tutaj zginęli Piotr i Milka. I dodaje: piękni to byli ludzie. Oczywiście wyobraźni widzę mojego biednego tatę przywiązanego do drzewa, jak obcinają mu kolejne części ciała, wydłubują oczy, a serce jeszcze mu bije – o czym myślał, gdy tracił młode życie. Odpowiedzialność za nas pozostawionych w domu musiała go strasznie boleć, może bardziej niż zadawany ból fizyczny – on tak nas przecież kochał. Nie byłam w stanie wydobyć z siebie słowa, wszystko we mnie wyło. Padłam na ziemię z modlitwą, wierząc, że na coś się im przyda.

Wróciłam do Lwowa zmaltretowana fizycznie i psychicznie. Pod moją czaszką chaos. Sen nie chciał przyjść. Pod powiekami na przemian – to miejsce, gdzie stał dom, to las, gdzie Oni pozostali na wieki. Ogarnęła mnie obsesja – powiedziec to całemu światu, wykrzyzczyć, choćby na kartkach papieru, to co tkwi we mnie jak cierń bolący dopóty, dopóki się go nie usunie.

Łódź, 1990

(ze wspomnień nadesłanych do Archiwum Wschodniego)

Teresa Orzechowska

Wymazałam z serca, myśli, a nawet pamięci miejsce swego urodzenia jako miejsce pohańbienia. Mimo że kraina ta wywierała na ludziach nieprzeparty urok, mimo że żyłam tam wolna i szczęśliwa we własnym domu, w dobrobycie i miłości rodzicielskiej, nigdy nie odczuwałam nostalgii związanej z tym zakątkiem świata. To miejsce kojarzy mi się zawsze z kaźnią moich najbliższych krewnych i innych istot ludzkich. W tej krainie cieni na strzępy rozszarpano, razem z ciałami moich przodków, moją tożsamość – moje korzenie genealogiczne. Rana przysypana popiołem, zapomniana, pozostała niezabliźniona.

WYBRALI I OPRACOWALI

Katarzyna Madoń-Mitzner
i Zbigniew Gluza

Przewielebny Ojcze,

Zdarza się sposobność przesłania paru słów przez osobę, która uchodzi przed nożami Ukraińców. Co się tutaj teraz dzieje, to brak słów na opis tych rzezi i mordów, popełnianych na polskich rodzinach. Opisy z *Ogniem i mieczem* Sienkiewicza lub *Pożogi* Kossak-Szczuckiej błędą wobec wypadków obecnych.

W całym powiecie krzemienieckim po wsiach wyróżniono już prawie wszystkich Polaków, a ci, co zdołali ująć hajdamackich noży lub kuli, schronili się do Krzemieńca i Wiśniowca, bo jeszcze w tych dwóch miejscowościach stoją załogi niemieckie – w innych, jak Szumsk, Dederkały, Kutry, Łanowce – słabsze załogi wybito lub same uciekły przed liczniejszymi bandami Ukraińców.

Przytoczę chronologicznie kilka wypadków, by mnie nie posądzono o przesadę. Mordowanie Polaków zaczęło się jeszcze w listopadzie ubiegłego roku [1942] i trwało przez całą zimę, lecz były to jeszcze sporadyczne wypadki – w jednej wsi wyróżniono jedną rodzinę, w innej znów dwie lub trzy. Masowe mordy zaczęły się dopiero od Wielkanocy i z każdym dniem nabierają na sile. Zaraz po świętach w wioskach koło Szumska wymordowano do 600 Polaków, reszta schroniła się do Krzemieńca. Potem uderzono na Kutry, była to najliczniejsza parafia w powiecie krzemienieckim (4000 dusz). Gdy zaczęto mordować, ludność schroniła się do kościoła wraz z księdzem proboszczem. W kościele broniono się przez jedną noc, w ciągu dnia kobiety z dziećmi uszły do Krzemieńca, w kościele zostali mężczyźni, by go bronić – następnej nocy naszły liczniejsze hordy, kościół zburzono, a 200 Polaków w nim wyróżniono. Z całej parafii nie została ani jedna dusza. Kościół licealny w Krzemieńcu obrócono na mieszkanie dla tych uchodźców, potem Niemcy zabrali młodych do robót do Niemiec, a starzy cierpią skrajną nędzę.

Z początkiem maja schroniło się do nas dwóch księży proboszczów z Oleksińca i Kołodna. W oleksińskiej parafii już prawie wyróżniono i zrabowano wszystkich Polaków, proboszcz, nie mając co robić, wyjechał wczoraj od nas do Generalnego Gubernatorstwa, kołodeński – również. Prawie codziennie widać luny – palą osiedla Polaków, a tych, którzy nie uciekli, mordują w bestialski sposób.

Z 15 na 16 maja napadnięto na przezacną rodzinę Kusiów w Młynowcach. Zabito dwie córki i 21-letniego syna. Reszta rodziny zdołała uciec.

Napastnicy, po doszczętnym zrabowaniu domu, wrzucili tamże zabitych, a następnie spalili.

Uchodźcy wszyscy uciekają do Wiśniowca, gdzie w klasztorze żyją w oplakanych warunkach i cierpią straszną nędzę. Aż serce się kraje na widok tej nędzy i opowiadań o niej.

Co rano przychodzą wieści – tam zabito, tam zrabowano, tam znów spalono dom wraz z ludźmi. I tak dzień po dniu upływa w męce i naprężeniu nerwów, bo nie ma wątpliwości, że gdy załoga niemiecka opuści Wiśniowiec (zamek), to pierwszej nocy wszyscy Polacy będą wymordowani. Kto może więc, uchodzi do Gubernatorstwa, bo te hajdamaki się zacinają, że ani jedna noga polska nie powinna zostać na Wołyniu. Wiśniowca prawie że już nie ma, bo w mieście były same domy żydowskie, a Żydów wybito w zeszłym roku co do jednego, zaś obecnie Ukraińcy rozebrali wszystkie ich domy i budy – został tylko Zamek, Klasztor, Urząd Gminy i apteka – reszta wszystko rozwalone. Na przedmieściach stoją tylko domy hajdamaków.

Jakie jest tutaj nasze życie, to z tego opisu Wielebny Ojciec sobie wystawi – jesteśmy gotowi na śmierć, bo trzeba by cudu Bożego i szczególnej opieki Matki Boskiej, byśmy z tej pożogi unieśli całe głowy. Bardzo więc prosimy o święte modlitwy, by Pan Jezus się zlitował i uspokojenie nastąpiło, bo naprawdę straszne przeżycia przechodzą tutejsi Polacy, których całą winą jest to, że się urodzili Polakami i są katolikami, bo nawet tych Ukraińców, którzy w czasach polskich przyjęli katolicyzm, mordują.

Kończąc, raz jeszcze pokornie prosimy o święte modlitwy, by nasze nerwy były spokojne i byśmy mogli przetrwać, w kornym zdaniu się na wolę Bożą, te tortury moralne, a może i fizyczne.

Całując kornie święty Szkaplerz, raz jeszcze o modlitwy upraszam.

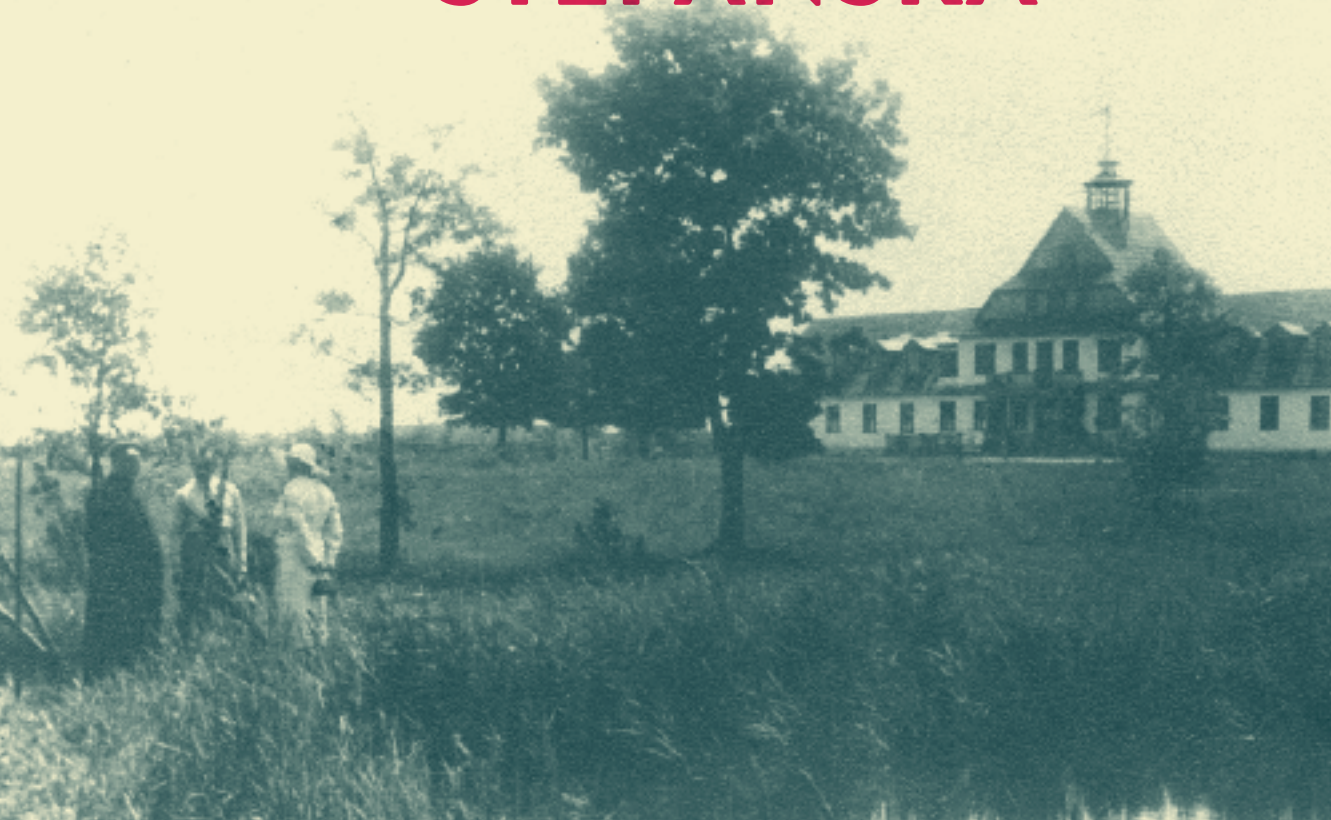
(–) Brat Cyprian

KRZEMIENIEC, 7 CZERWCA 1943

List przedrukowany w ulotce Rady Głównej Opiekuńczej w Krakowie w 1943 roku (kopia ulotki – w zbiorach Archiwum Wschodniego). RGO organizowała pomoc dla uchodźców z Wołynia – ulotki miały przekonywać, że pomoc jest niezbędna.

Materiał pochodzi z „Karty” 8/1992.

HUTA STEPAŃSKA



Grzegorz Sołtysiak

↑ Huta Stepańska, lata 20.

Cytowane tu we fragmentach relacje pochodzą w dużej części ze zbiorów Komisji Historycznej Środowiska 27 Wołyńskiej Dywizji AK. Środowisko to, zorientowany się w 1985 roku, jak słabo zdokumentowany jest ten okres historii, zaapelowało do swych członków o szczegółowe świadectwa. Kopie wybranych relacji przechowywane są m.in. w Archiwum Wschodnim. Wykorzystaliśmy także fragmenty wspomnień Władysława Kobylańskiego *W szponach trzech wrogów*, złożonych do druku w Wydawnictwie Bellona.

Relacje uczestników wydarzeń zostały tu uzupełnione cytatami z niedrukowanego opracowania Wincentego Romanowskiego, który opierał się również na świadectwach ze środowiska Wołyńskiej Dywizji AK. (RED.)

Władysław Kobyłański

Huta Stepańska położona była na małym wzgórzu. Otaczały ją łąki i pola. Od strony zachodniej ciągnęły się duże lasy państwowe, a za nimi – wsie ukraińskie. Południową stronę stanowił Las Mydzki, a od północy także były wsie ukraińskie. Aż do wybuchu wojny w 1939 roku Ukraińcy żyli w jak najlepszej przyjaźni z Polakami. Liczne rodziny ukraińskie przyjeżdżały ze swych wsi do kościoła w Hucie Stepańskiej. Zdarzało się, że rodziny nasze łączyły się z ukraińskimi, a w 1938 roku sporo rodzin ukraińskich przeszło z prawosławia na katolicyzm.

Janina Lipińska

Huta Stepańska wraz z małymi kilkurodzinnymi osiedlami miała około tysiąca mieszkańców. Był tam nowy kościół, piękny, drewniany, jeszcze niecałkowicie wykończony; jego strzelista wieża górowała nad okolicą. Mieliśmy piętrową murowaną szkołę, Dom Ludowy, pocztę, posterunek policji, mleczarnię, cztery sklepy spożywcze. Działało Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży, Związek Strzelecki, Koło Gospodyń Wiejskich, Kółko Rolnicze, szkolna organizacja harcerstwa.

Wśród Polaków było około piętnastu rodzin żydowskich, które trudniły się handlem i rzemiosłem. Ukraińców w Hucie nie było – mieszkali opodal: w Butejkach, Werpcznej, Rudni, Mycku, Horodcu, Kryczyliisku.

Nie mieliśmy z Ukraińcami żadnych zatargów ani przyjaźni – nie było małżeństw mieszanych. Bogatsi rolnicy często wynajmowali Ukraińców do prac polowych czy pasienia bydła. Wśród prostej, często prymitywnej ludności ukraińskiej pojawiali się czasem ludzie wykształceni. I tak choćby w Stepaniu, odległym od Huty o dwanaście kilometrów, kierownikiem szkoły był Ukrainiec; w gminie Stydyń Ukrainiec był wójtem.

Huta była wsią zasobną, choć jak zawsze i wszędzie żyli tam bogaci i biedni. Małorolnym polepszył się byt, gdy w latach 30. odnaleziono w okolicy lecznicze solanki i błota. Powstało uzdrowisko „Słone Błota” – tam znaleźli pracę i zarobek.

Wkrótce zaczęto budować szpital, lecz przeszkodziła w tym wojna.

W 1939 roku, gdy Związek Radziecki wkroczył do Polski – natychmiast *gołową sielradą* [przewodniczącym wiejskiej rady] został Ukrainiec mieniący się wielkim komunistą. W 1941 roku, po wkroczeniu Niemców, inny Ukrainiec

(kolega komunisty), mieniący się nacjonalistą, zajął to samo stanowisko. Dla nas to byli tylko Ukraińcy, którzy, wykorzystując nadarżające się okazje, gromadzili broń i czekali, by zemścić się na Polakach za wszelkie wydarzenia historyczne.

Jesienią 1942 poczęły wybuchać grabieże, pojedyncze morderstwa w chutorach, później, coraz częściej, nadchodziły wieści o napadach na mniejsze polskie wsie, a wieczorem łuny pożarów świadczyły, że zbliża się coraz większe niebezpieczeństwo.

Do Huty zaczęli napływać najpierw pojedynczy uciekinierzy z częścią dobytku, z zapasami żywności, a po kilku tygodniach przyjmowaliśmy już całe okoliczne wsie. Ludzie gromadzili się w większe zbiorowiska, zaczęto budować schrony, bunkry, zasieki.

Wciąż mieliśmy nadzieję, że coś czy ktoś nas uratuje, chociaż coraz częściej nie wracali ci, co cichcem odwiedzali swoje opuszczone gospodarstwa, by zabrać pozostawiony dobytek. Niebawem zaczęła znikać słaba nadzieja, że zwyciężymy, że dojdzie do jakiegoś pokoju z Ukraińcami. Doszliśmy do wniosku, że musimy uciekać do Niemiec. To straszliwy paradoks – być zmuszonym szukać pomocy u Niemców, aby mogli w lagrach stłoczyć nas, bezbronych i niewinnych wołyniaków, jak niczego nieposiadających żebraków, jak nędzarzy, zostawiających swoje domy, dobytek i własną ziemię – na pastwę wroga i zniszczenie.

8 lutego 1943 nadeszła straszna wieść, że w pobliskich Butejkach, ukraińskiej wsi, gdzie było kilka rodzin polskich, wymordowano sześć osób, w tym dwoje młodych narzeczonych z Huty – Eugenię Jucewicz i Edwarda Kalusa.

Na pogrzebie w Hucie Stepańskiej zebrał się niezliczony tłum wystraszonych ludzi. Z zaciśniętych gardel nie mogliśmy wydobyć słów modlitwy. Tylko płacz, szloch, jęk i groza. Ksiądz żegnał tych dwoje, zamordowanych tak barbarzyńsko. Zrozumieliśmy z jego pożegnalnej mowy, że jeżeli nie zorganizujemy się w samobronie, pojedynczych wytną nas w pień. Musimy stanąć nocą większą liczbą na warcie, ale z czym wartować? Z pałką? Kijem?

Z pogrzebu wróciłam przynębiona do domu. Szybko zapadał zimowy zmierzch. Okna mojej kuchni wychodziły na „Słone Błota”, gdzie mieszkała z rodziną zamordowana Genia. Nie mogłam zasnąć, dręcząc się wizją ich męczeńskiej śmierci.

Mieszkałam w środku wsi przy głównej drodze. Sąsiadami naprzeciwko była rodzina Piotrowskich: stolarz Stanisław z dziećmi – 24-letnią córką Mirką, 21-letnim Henrykiem i 19-letnim Czesławem.

Tej nocy Henryk był na warcie z kolegą Zbyszkim Hofmanem, uzbrojeni tylko w jakieś pałki. Gdy po północy nadjechały sanie z uzbrojonymi Ukraińcami, wielu innych stróżujących skryło się gdzieś, a ci dwaj zostali zatrzymani. Ukraińcy kazali prowadzić się do gospodarza z dobrymi końmi. Poszli więc do Hipolita Sawickiego (trzeci dom od nas), tam rozebrali chłopców i kazali gospodarzowi ich pilnować, bo w przeciwnym razie wszystkich zabiją, spalą. Syn Hipolita, Marian, poszedł zaprzęgać konie i przez siebie tylko znane wyjście uciekł ze stodoły.

W tym czasie, jak można było wywnioskować później z opowiadań Mirki, do domu Piotrowskich wtargnęło trzech Ukraińców. W pierwszej chwili Mirka myślała, że to brat wraca z warty, lecz ojciec odrzekł: „Nie, to nie Henio, ja im się żywy nie oddam”. Drzwi nie otworzyły, wszedł po schodach prowadzących z kuchni na piętro. Czy chciał się stamtąd bronić, czy tylko się skryć, nikt nie wie – zginął wyciągnięty na podwórko i zmasakrowany. Mirka i Czesław słyszeli odgłosy walki. Przez wybite okno wyskoczyli oboje, boso, w bieliźnie – do nas. Przy migotliwym świetleku ślepaka zauważyli tu przez szybę Ukraińców (włamali się do nas, ale tylko kradli, nie zabili nikogo). Oboje pobiegli więc dalej po śniegu, w siarczystym mrozie, do Hipolita. Tam zastali swego brata, kolegę i jeszcze sąsiada, który na odgłos wystrzałów wyszedł z domu, aby pomóc napadniętym.

Po jakimś czasie banda ukraińska wróciła i rozstrzelała tych trzech mężczyzn. Konali w męczarniach na oczach zamarłych ze strachu gospodarzy. Mirka opowiadała potem, że nigdy nie zapomni tej chwili. Jak Henio mówił, że idzie do mamy, że mu wszystkie wnętrzności wychodzą, że prosi o ratunek, a oni, ukryci, sparaliżowani strachem, nie mogli nawet ruszyć się w ciemności.

O świcie powoli zaczęli zbierać się ludzie, obudzeni strzałami. Wszyscy zrozpaczeni i bezbroni. Od tej nocy, gdy tylko mrok zapadł, chodziliśmy spać do szkoły. Nie można było siedzieć we własnym domu, bo nie był pewny żaden zamek. Na siennikach, derkach, po ciemku, układaliśmy

się do snu na podłodze. Mężczyźni zbierali się po kilku lub kilkunastu na warcie.

Coraz częściej małe wsie zostawiały wszystko i ludzie uciekali do Huty. Jeszcze żyliśmy nadzieją, że jakoś to minie. Jeszcze staraliśmy się siać i orać na wiosnę, lecz coraz więcej ludzi gromadziło się w Hucie; w każdym większym domu mieszkało po kilka i kilkanaście osób. Pojawili się partyzanci, jacyś zrzutkowie.

— Władysław Miszkiewicz

Stopniowo nasilały się napady band ukraińskich na ludność polską; nie było innej drogi, jak organizować się i nie dać się zaskoczyć. Bandy były dobrze uzbrojone, stacjonowały w dużych zgrupowaniach po wsiach ukraińskich. My początkowo posiadaliśmy zaledwie kilka karabinów. W grudniu 1942 banda UPA napadła na Marianówkę. Podjęliśmy wówczas zacieklą walkę. Pomimo tak słabego uzbrojenia, zabiliśmy kilku banderowców. Napastnicy, nie spodziewając się obrony, wpadli w panikę i zaczęli uciekać, zabierając zabitych i rannych. Z naszej strony było tylko trzech zabitych.

Od tej bitwy Polacy zaczęli masowo opuszczać Marianówkę i inne mniejsze wsie, jak Zaramienie, Moszkopol, przenosząc się do większych skupisk ludności polskiej, jak Perłysianka, Balarka – aż do Huty Stepańskiej. Tam, a także w okolicznych wsiach – Omelance, Kamionce, Temnem, Siedlisku, Wyrce, Susznikach, Perespie, Użeniach, Hałach, Rafałowce i Grabinie – organizowano samoobronę.

Wkrótce w Hucie Stepańskiej zaczęło brakować żywności dla zgromadzonej ludności, musieliśmy więc wyjeżdżać na pozostawione wsie polskie i szukać schowanych zapasów. Nie zawsze można było coś przywieźć, ponieważ często zmuszeni byliśmy walczyć z dużymi oddziałami ukraińskimi kontrolującymi okolicę. Dochodziły do nas wieści o morderstwach i innych bestialstwach. W Hucie Stepańskiej też nie było spokoju, częste podjazdy i napady przynosiły ogromne szkody. Sytuacja pogarszała się z każdym dniem.

— Lucjan Paczewski

W Hucie działała – okrzyczana na cały Wołyń – samoobrona, coś w rodzaju oddziału partyzackiego. Daleko im było do tej nazwy. Była to grupa bez dobrego, jednolitego dowództwa, skłócona, słabo uzbrojona; ludzie zdolni, o czystym sumieniu, ale nie mieli posłuchu.



Do grupy tej należeli biedniejsi gospodarze: Wiatr, Żołędziowski, Skrzybałski. Natomiast Hutą rządzą inni, bogatsi. Mieszkańcy nie zdawali sobie sprawy, co ich czeka. Zarabiali pieniądze, handlując produktami rolnymi i składali je pod poduszką... zamiast kupować broń – a tylko ona mogła im zabezpieczyć życie.

Więcej było w pogłoskach o sile hucian przesady niż prawdy.

Władysław Kobyłański

Ludzi w Hucie Stepańskiej posiadających jakąkolwiek broń było mało. Niespełna tysiąc osób.

Broń ta nie nadawała się w zasadzie do użytku. Zdadne do walki były tylko:

- dwa karabiny maszynowe produkcji polskiej,
- jeden LKM lotniczy produkcji niemieckiej,
- dwa RKM-y produkcji węgierskiej,
- cztery RKM-y produkcji sowieckiej,
- trzy granatniki, lecz bez amunicji, oraz 130 karabinów ręcznych różnej produkcji, do których ciągle brakowało amunicji.

Stanisław Szumski

W marcu, a może w kwietniu 1943 przybył na nasz teren i zamieszkał we wsi Wyrka kpt. „Bomba”*

* Władysław Kochański „Bomba” (1918–1980) – kapitan, cichociemny, w czasie kampanii wrześniowej oficer 48 pułku piechoty, internowany na Węgrzech, po ucieczce z obozu walczył we Francji, w 1940 roku przedostał się do Anglii. We wrześniu 1942 zrzucony do Polski, gdzie został skierowany do II Odcinka Wachlarza, na Wołyń. Po upadku Huty Stepańskiej działał w rejonie Starej Huty w powiecie Kosiów. 22 grudnia 1943 porwany przez Sowietów, przewieziony do Moskwy i skazany na pobyt w łagrze. Do Polski dotarł w 1956 roku.



FOT. STUDIUM POLSKI PODZIEMNEJ W LONDYNE / OŚRODEK KARTA

← Okolice Huty Stepańskiej, 1943. Oddział kapitana Władysława Kocharńskiego „Bomby”. Na zdjęciu: Hipolit Wysocki „Jerzyk”, Władysław Kocharński „Bomba”, „Zimny”, „Kruk”, „Lapka”, „Piotr”

oraz jego zastępcą por. „Kazik”. Wiedzieliśmy, że ci ludzie przylecieli z Anglii i będą prowadzić pracę organizacyjną i dowódczą na naszym terenie. Wstąpił w nas nowy duch, gdyż miała być zrzucona broń i amunicja.

Wincenty Romanowski

„Bomba” był dorodnym mężczyzną o jasnych włosach i rasowej twarzy. Chodził w wojskowym mundurze i furazerce bez dystynkcji. Był doskonałym strzelcem. Gdy chodziło o dyscyplinę i posłuch, nie wahał się przed najbardziej drastycznymi decyzjami. Tego wymagało dobro tysięcy ludzi opuszczonych przez państwo i prawo. Unikał rozgłosu, gdyż tylko ostrożne postępowanie umożliwiało spełnienie powierzonych mu zadań.

Siedziba „Bomby” leżała w połowie drogi pomiędzy Hutą Stepańską a wsiami Hały i Wyrka.

Te trzy wioski, połączone przez Polaków połową linią telefoniczną, stanowiły oś przygotowywanej obrony. Organizatorem ośrodka Hały z ramienia Armii Krajowej był nauczyciel Marcin Brzozowski „Lech”. Podobną funkcję w Wyrce pełnił nauczyciel Leon Lewicki „Lump”.

Władysław Kobylański

3 lipca 1943 w całej okolicy Huty zapłonęły polskie wsie: Zaułek, Halinówka, Mosty. Pojechaliśmy z pomocą, lecz spóźniliśmy się. Zastaliśmy tam 20 osób zabitych; to byli ci, którzy nie chcieli schronić się w Hucie. 4 i 5 lipca palono dalsze polskie wsie i osiedla: Zahorce, Dąbrowę, Barlarę, Perłysiankę, Debrycę, Raczycę, Półbiedę i Hutwin.

Ukraińcami dowodził niejaki Stećko. W każdej ukraińskiej wsi znajdował się oddział. W Butejkach stacjonowało co najmniej 1000 dobrze uzbrojonych „rezunów”. W Rudni to samo. Miasteczko Stepań wspomagało wieś Melnicę kilkuset banderowcami. Mieszkańcy Huty Stepańskiej zmuszeni byli szukać sojusznika, aby przeciwstawić się okrutnym oddziałom banderowskim. Zarząd samoobrony Huty postanowił nawiązać kontakt z organizacją komunistyczną. Sowietci mieli już swoje oddziały partyzanckie, całkiem dobrze uzbrojone, na terenach Wołynia i Polesia. W rejonie Rafałówki znajdował się oddział komunistyczny, którym dowodził Józef Sobiesiak „Maks”. Delegacja obrońców poprosiła go o pomoc.

„Maks” obiecał współpracę. Już w cztery dni później przysłał do Huty 40 ludzi uzbrojonych w broń maszynową i automatyczną produkcji sowieckiej. To podtrzymało ludność Huty na duchu. Korzystając z pomocy „Maksa”, postanowiono rozprawić się z banderowcami. W pierwszym rzędzie chciano przepędzić ukraińskie bandy grasujące w pobliżu Huty.

Najbliżej nas, we wsi Melnica, przebywało 500 dobrze uzbrojonych banderowców. Po dokładnym rozpoznaniu nasza bojówka z Huty wraz z partyzantami „Maksa” uderzyła na nich w sile 150 osób, uzbrojonych i dobrze już wypróbowanych w boju. Okrążyliśmy Melnicę i przyległy chutor. Banderowcy nie spodziewali się niczego z naszej strony, po pijatyce spali spokojnie bez ubezpieczenia. Obezwładniając ich posterunki, stacaliśmy walki, w których ginęli oni i my. Mimo nakazanej ostrożności, aby przedwcześnie

nie poderwać wszystkich do obrony, nie obeszło się bez strzałów. Do mieszkań wrzucaliśmy ręczne granaty i strzelaliśmy do uciekających. Banderowcy bronili się zaciekle.

Na odgłos strzelaniny w Melnicy nadeszły im z pomocą oddziały przebywające w Butejkach i w Rudni. Po rozprawieniu się z wrogimi oddziałami w Melnicy, wycofaliśmy się do Huty. Po drodze napotkaliśmy odsiecz. Ukraińcy zaatakowali nas od strony północno-zachodniej i północno-wschodniej. W starciu tym mieliśmy trzech rannych. Odniesione zwycięstwo wzbogaciło nasze oddziały w Hucie o kilkanaście sztuk broni maszynowej, kilkanaście karabinów oraz dużą ilość amunicji. Huta była wdzięczna „Maksowi” i jego żołnierzom za okazaną pomoc. Przystąpiliśmy do opracowania kolejnego uderzenia na Butejki i Rudnię. Banderowcy też nie zasypiali gruszek w popiele. Postanowili rozprawić się z Polakami w Hucie. Siły Stecki liczyły w tej okolicy ponad 4 tysiące dobrze uzbrojonych ludzi i około 5 tysięcy „rezerw” w okolicznych wioskach.

Ryzyko zaatakowania Ukraińców w Butejkach było bardzo duże. Ponadto otrzymaliśmy informację, że do Butejek w najbliższym czasie ma przybyć niemiecka delegacja wojskowa – w celu uzgodnienia z Ukraińcami planów likwidacji Huty i zamieszkującej w niej ludności polskiej. Na tę wiadomość przybył do Huty „Maks” z całą swoją załogą w sile 80 ludzi. Sowietci mieli doskonale uzbrojenie. Obecność „Maksa” we wsi trzymana była w wielkiej tajemnicy. Jego partyzantów rozlokowano tak, że mało kto o nich wiedział. W tym czasie nasz wywiad doniósł, że do Butejek przybyła już delegacja niemiecka, a Stecko urządza wieczorem wielką ucztę na ich cześć. Dowództwo samoobrony Huty postanowiło wykorzystać okazję i uderzyć na Butejki w nocy z 11 na 12 lipca. Zorganizowano trzy grupy uderzeniowe. Dowódcą całości został „Maks”. Nasze oddziały liczyły łącznie 250 osób.

Zostałem przydzielony do oddziału, którego zadaniem było uderzyć na szkołę. Oddziałem tym dowodził Konawerski, a przy nim znajdował się „Maks”. Wyszliśmy z lasu w odległości stu metrów od szkoły. Zaczęliśmy się czołgać. Znajdujące się przed nami krzewy stanowiły dobrą osłonę. Noc była księżycowa i wszystko widać było jak na dłoni. Na schodach szkoły siedział banderowski wartownik. Wewnątrz budynku grała orkiestra i słychać było kobiece piski. Głośne rozmowy

i pokrzykiwania świadczyły o hulance. Partyzanci „Maksa” po cichutku obezwładnili wartownika. Każdy z nas słyszał bicie własnego serca. Nagle, na rozkaz, wszyscy wyskoczyliśmy zza osłony krzewów i ze wszystkich stron budynku szkolnego wrzuciliśmy do środka granaty. Trzy wybuchy wstrząsnęły ziemią. Banderowcy próbowali wyskakiwać przez otwarte okna. Całe Butejki zatrzęsły się od wybuchów i szalonej strzelaniny. Banderowcy jak opętani rzucili się do ucieczki, ale ze wszystkich stron witano ich ogniem. Padali gęsto. Starali się też stawiać opór. W tym czasie zapaliło się naraz kilka zabudowań, doskonale oświetlając miejsce akcji. Mieliśmy zdecydowaną przewagę. W popłochu, który wybuchł w ugrupowaniach banderowców, dowództwo zostało skutecznie izolowane w szkole.

W walce w Butejkach zasłużył się porucznik Maciejewski „Kmicic”. On to właśnie ze swoją grupą uderzeniową doskonale poobsadzał wszystkie drogi i ścieżki prowadzące do Butejek. Banderowcy w sile 300 ludzi skierowali się w kierunku niedużej rzeczki. Tam właśnie przywitał ich „Kmicic”, biorąc w krzyżowy ogień z broni maszynowej. Próbowali przedrzeć się poza linię okrążenia, lecz w żaden sposób im się to nie udało. Ludzie „Maksa”, doświadczeni w sztuce bojowej, ze wszystkich stron siali zniszczenie w szeregach banderowców.

Po zakończeniu akcji opuściliśmy Butejki. Pole walki zasłane było trupami. Woda w pobliskiej rzeczulce zacerwieńiła się. Na wieść o odniesionym zwycięstwie w Hucie Stepańskiej, gdzie znajdowało się ponad 20 tysięcy ludzi, powstała radość nie do opisania. Mały czy duży, młody czy stary, dziękował „Maksowi” i jego grupce za odniesione zwycięstwo.

Tymczasem nasz wywiad poinformował, że Ukraińcy mobilizują się do odwetu. Czartorysk, Ośnica Wielka i Mała, Police, Telce, Krasnowola, Kołki, Kryczyłisk, Rumejki, Horodziec i inne wsie ukraińskie, gdzie, od roku 1939 począwszy, wypędzono lub wymordowano Polaków, zostały objęte mobilizacją.

Na wieść miało uderzyć 10 tysięcy banderowców. Uderzenie to miało nastąpić w drugiej połowie lipca. Byliśmy przerażeni. Brakowało nam amunicji.

„Maks” zwołał zebranie w Domu Ludowym. Człowiek, który przed niemal tygodniem był na ustach całej ludności Huty, dziś zmienił swe

oblicze. Zaproponował nam, żeby opuścić wieś, gdyż nie widzi szans obrony. Namawiał, żeby wszyscy udali się w lasy pińskie, gdzie znajdują się ugrupowania sowieckie, które otoczą opieką ich wszystkich. Ludzie jednak sprzeciwili się, a „Maks” widząc, że jego propozycja nie została przyjęta, natychmiast wycofał się z Huty, zostawiając jedynie 20 ludzi.

Stanisław Szumski

16 lipca około dwudziestej trzeciej pełniłem wartę we wsi Tur. W pewnym momencie zaczęła się strzelanina, a chwilę później zapłonęły domy. Na rozkaz Juliana Janickiego „Czynka” zaczęliśmy wycofywać się całą grupą na południe do wsi Wyrka, gdzie stacjonował silniejszy oddział. Przebywał tam dowódca samoobrony, kpt. „Bomba”.

Gęsto padali zabici; Wyrka od strony wschodniej i południowej już płonęła i toczyły się tam straszne walki. Postanowiono wówczas przebiegać się polnymi drogami, między Wyrką i Wyrobkami. Wsie te były już jednak prawie całkowicie zajęte przez banderowców, mordowano ludność polską, a zabudowania palono. Nasza kolumna stale się powiększała, a samoobrona – wszyscy mężczyźni uzbrojeni w broń palną i białą (siekiery, widły, kosy) – walczyła z nacierającymi banderowcami.

Kolumna nasza z ogromnymi stratami, wyczerpana do ostateczności, rankiem 17 lipca dotarła do Huty Stepańskiej.

Ignacy Janicki

W Hucie ulokowano nas w przygotowanych wcześniej ziemnych schronach. Nieustannie napływali nowi uciekinierzy z różnych sąsiednich wiosek i kolonii, w tym między innymi z Podsieleca, Mutwicy, Huty Mykiciej, Ożgowego, Ramaszkowa, Ostrówka, Wyrki, Siedliska, Lad i innych. Robiło się coraz ciasniej i ciasniej. W tym czasie w kościele parafialnym odprawiane były nabożeństwa z nieustającymi modlitwami i komunią świętą. Modlono się o szczęśliwe przetrwanie i ocalenie od haniebnej śmierci.

Wincenty Romanowski

W piątek 16 lipca o dwudziestej drugiej w leżącym na południowym zachodzie od Huty Stepańskiej zaścianku Zielona rozległy się głuche dźwięki gongów. Straże donosiły o zbliżającym się niebezpieczeństwie. Z wieży kościelnej uderzył dzwon.

Sygnалу tego nigdy nie nadużywano, toteż natychmiast postawiono na nogi całą ludność z okolicznych zaścianków. Kto nie miał broni palnej, chwycił w garść przygotowane uprzednio piki, osadzone na długich drzewcach widły, siekiery i maczugi. Kobiety i dzieci mknęły w ciemnościach do punktów zbornych upatrzonymi ścieżkami i miedzami lub przez bagna i bezdroża. Mężczyźni osłaniali odwrót, sprawdzając, czy ktoś nie zasnął. Uciekano do Huty Stepańskiej lub do odległej o sześć kilometrów Wyrki.

Gdy do Huty Stepańskiej dobiegły pierwsze grupy uciekinierów, „Bomba” miał już rozpoznanie sił i zakresu akcji podjętej przez banderowców. Powiadomił dowództwo Huty Stepańskiej o rezygnacji z obrony Wyrki. Spodziewał się zbyt silnego natarcia, by ryzykować obronę w dwóch lub trzech małych ośrodkach. Prawie cała ludność znajdowała się już w Hucie i tam było jego miejsce jako dowódcy całości. Wysłał więc mieszkańców Wyrki z ubezpieczeniem, a sam na czele oddziału prowadził wypadki rozpoznawcze. Wyrka z drewnianą szkołą, kościołem i młynem w ciągu kilku najbliższych godzin zmieniła się w dymiące zgliszcza. „Bomba” 17 lipca nad ranem dotarł do Huty. W czasie przebijania się przez pierścień okrażenia został ranny w rękę.

Lucjan Paczewski

Noc była jasna – ujrzeliśmy wystrzelone ze wszystkich stron Huty czerwone rakiety. Nie rozumieliśmy, co to znaczy, ale ogarnął nas niepokój – to nie mogło wróżyć niczego dobrego. Po chwili zobaczyliśmy nowe rakiety; zaterkotały karabiny maszynowe i rozległ się jęk dzwonu na kościele, szczególnie przerażający w nocej ciszy. Zaczęło się to, na co wszyscy ze zgrozą czekaliśmy.

Jeszcze parę dni temu ksiądz proboszcz Bronisław Drzepecki po niedzielnej mszy wygłosił z zaprzęzonego wozu krótkie kazanie, w którym nawoływał do wytrwania, do walki. Na nasze karabiny, na naszą postawę liczyły tysiące bezbronných ludzi.

Huta i wszystkie sąsiednie kolonie i wioski były okrażone przez duże siły banderowców. Mniejsze wsie położone obok Huty paliły się. Słychać było strzelaninę. Pożary czerwoną luną oświetlały noc. Widok był okropny – czytając *Ogniem i mieczem*, wyobrażałem sobie jakoś napady Tatarów na wsie kresowe – ale ten obraz przekraczał wyobraźnię.

Nad ranem rozpoczął się atak. Przed naszą kolonią leżała polska wioska Siedlisko, gdzie też hucianie trzymali obronę. Kiedy już się rozwidniło, usłyszeliśmy strzelaninę i głośnie krzyki. To atakowali banderowcy. Strzelanina nasilała się. Po jakimś czasie od Siedliska w stronę naszej kolonii ruszyły poszczególne sylwetki, a po kilku minutach całe grupy ludzi. To uciekali mieszkańcy wsi. Siła natarcia banderowców była nie do odparcia. Po chwili wieś była w ogniu.

Z tego, co mówili hucianie i obrońcy z Siedliska, przechodząc w stronę Huty obok nas, można było wnioskować, że banderowców są setki, a nawet tysiące. Pozostaliśmy na kolonii – banderowcy nie nacierali, przygotowywali się. Dopiero po południu dostaliśmy rozkaz wycofania się. Huta skoncentrowała swoje siły i przygotowywała się do generalnego starcia.

Stanisław Sawicki

Czołowe oddziały ukraińskie wtargnęły do Huty od strony południowej i zachodniej z okrzykiem: „*Rezat Lachiw!*”. Rozgorzała strzelanina. Pociskami zapalającymi podpalone zostały zabudowania kryte słomą. Powstało zamieszanie, ucieczka donikąd, krzyk, lament, płacz dzieci i matek. „Bomba” wydał rozkaz: musimy walczyć – innego wyjścia dla Polaków nie ma. Ruszyliśmy do walki z tym, co kto posiadał – pikami, kosami, widłami, bronią myśliwską. Przeważające siły Ukraińców zostały zmuszone do odwrotu. Zdobyto kilkanaście karabinów, które przydały się dla samoobrony, a później w partyzanckim oddziale. W napadzie zginęło kilkaset bezbronnych osób, przeważająca liczba w wieku starszym (między innymi mój ojciec) oraz dzieci. Rannych było jeszcze więcej.

Wincenty Romanowski

Głównym punktem obrony i dowodzenia była duża szkoła. Dziedziniec, łącznie z ogrodem, zajmował ponad półtora hektara powierzchni. Całość ogrodzona była drucianą siatką. Drzwi wejściowe do szkoły opancerzono blachą z rozbranego czołgu. Żeby zabezpieczyć wnętrze przed granatami, obito okna siatką, a stanowisko strzeleckie zabezpieczono skrzynkami i workami z piaskiem. Kierownik szkoły przygotował izbę dla rannych. Lekarz miał do dyspozycji przeszkolone sanitariuszki. Dwa litry jodyny, z zapasów szkolnego gabinetu chemicznego, stanowiły całe

zaopatrzenie lekarskie. Wewnątrz ogrodzenia wykopano liczne schrony. Na przedpolach przygotowano bunkry i rowy strzeleckie, połączone ze szkołą głębokimi rowami łącznikowymi. W szkole, w pobliskich budynkach wiejskich, w schronach, w rowach i wszystkich zakamarkach terenu stłoczyło się kilkanaście tysięcy ludzi. W ciemnościach ze wszystkich niemal stron wciąż napływały grupki ludzi lub pojedynczy uciekinierzy. Trzeba było zachować ostrożność przy otwarciu ognia, by nie narażać swoich.

Na jednej z wysuniętych placówek usłyszano gwar rozmów. Drogą przybliżała się grupa uzbrojonych ludzi. Zanim nawiązano z nimi pierwszy kontakt, nieco z boku doszły do wartowników szmery i tłumiony gwar. Od strony pól zaczął napływać tłum. Czoło zatrzymało się w niewielkim oddaleniu na pustym placu po drugiej stronie drogi. W mrokach szarówki ludzkie mrowie powiększało się coraz bardziej i skupiało w jednym miejscu. Ktoś krzyknął: „Kto tam?”.

Zapanowała cisza. Snop rażącego światła latarki w rękach Polaka rozwiązał zagadkę. Rozpoznano tłum mężczyzn, kobiet i dzieci, uzbrojonych w siekiery, widły, kosy, łomy, maczugi i noże. Była to rezerwowa gwardia UPA, przeznaczona do dobijania rannych, chwytania uciekających, wyżywiania się przy torturowaniu złapanych żywcem ofiar i do rabunku mienia pomordowanych ludzi, zanim nie poszły z dymem ich domy. Taki tryb zdobywania polskich osiedli stosowany był we wszystkich rejonach Wołynia.

„*Wziat' szkołu!*” – krzyknął ktoś z nich. W tym momencie rozpoczął się piekielny zgiełk. Terkotała broń maszynowa, wspierana nieregularnymi odgłosami ręcznych karabinów, wybuchały granaty. W tłumie rozległy się rozpaczliwe jęki rannych. Żywi i lżej ranni rozpierzchli się w popłochu, pozostawiając na polu kilka ciemnych plam.

Z okien budynku szkolnego i z wysuniętych bunkrów strzelano bez przerwy. Krzyki, jęki, nawoływania – w języku polskim i ukraińskim – przeszywały grozą i obezwładniały tych, którzy nie skryli się w porę do schronów i kryjówek.

Na przedpolu szkoły Polacy i Ukraińcy zwarli się w walce na noże, siekiery i widły. W gęstym jeszcze mroku napadano na każdego, kto szedł, kto mógł się jeszcze poruszać; zabijano na wszelki wypadek, by ratować siebie i swoich najbliższych. Czasem zabijał Polak Polaka, a Ukraińiec Ukraińca.

Odparto pierwszy atak. Ukraińcy wywozili na tyły swych rannych i zabitych. „Bomba” pod wpływem bólu przestrzelonej ręki zaproponował kierownikowi szkoły przejęcie dowództwa. Kurkowski odmówił. Jako rezerwista nie czuł się na siłach kierować tak skomplikowaną obroną. Porucznik z zawieszoną na temblaku ręką pozostał na swym stanowisku.

Lucjan Paczewski

Furmanki konne stały przed szkołą jedna przy drugiej, z dobytkiem, jaki dało się uratować. Krowy, owce, trzoda – biegały luzem. Ryk krów przerażonych pożarami, płacz dzieci, lament kobiet. Brak nadziei na ratunek. A w nas rodziła się zawziętość, zażartość. Sprzedać drogo swoje życie i życie tysięcy Polaków.

Zobaczyłem porucznika w mundurze polskim i rogatywce garnizonówce – mówiono, że to dowódca. Wizytował linię obrony.

Z samego rana przerzucono nas na skraj wsi, gdzie byliśmy cały dzień w obronie. Banderowcy rozpoczęli ataki od strony uzdrowiska „Słone Błota”. Atakować musieli Hutę przez otwartą przestrzeń łąk i pól. A te były pod naszym ostrzałem.

Mieszkańcy Huty, którzy nie mieli uzbrojenia, uzupełniali nasze szeregi, zdobywając broń na banderowcach. Wielu leżało przy nas, mając widły, piki i kosy – aby stwarzać wrażenie, że jest nas dużo. Przynoszono nam żywność, ale, przy takim napięciu nerwowym, jeść się nam nie chciało.

Po odparciu jednego z ataków kontratakami, wracaliśmy na stanowiska, zbierając po drodze broń po zabitych banderowcach. Na skraju pola koniczyny leżał banderowiec ciężko ranny w brzuch. Gdy nas zobaczył, nie mógł się już podnieść. Spojrzał na nas z nienawiścią i zaczął zgrzytać zębami. Jeden z naszych przyłożył mu karabin z bagnetem do piersi – a ten sycząc przez zaciśnięte zęby: „*Lach*”, kurczowo złapał za bagnet obiema rękami – usiłował się przebić. Jeden z hucian dobił go z pistoletu.

Byliśmy tak podnieceni walką, że policzki paliły nas ogniem – tak, jakbyśmy mieli wysoką gorączkę. Nie zdążyliśmy nawet czegoś zjeść, gdy rozpoczęło się ostrzeliwanie szkoły z moździerzy. Banderowcy wdarli się w pobliże szkoły. Ogień był silny. Wiesz paliła się, biegały pozrywane z uprząży konie.

W pewnym momencie zajęliśmy stanowiska obronne w samej szkole. A po chwili przeszliśmy

do natarcia. Atakowaliśmy od strony cmentarza w kierunku drogi. Banderowcy odstąpili i uciekli. Wśród nas krążyła wówczas pogłoska, że na tym odcinku razem z banderowcami atakowali Niemcy przybyli ze Stepani. Systematyczny ogień, jego nasilenie, przekonało mnie, że to są Niemcy. Do dziś jednak nie wiem, jak było naprawdę.

Wszystko to wyglądało na pogrom Huty. Wiedziałem, że godziny nasze są policzone. Opowiadania o sile Huty – jak to ma dużo broni maszynowej, działka przeciwpancerne, a nawet samolot jeszcze z 1939 roku – docierające i do Ukraińców, spowodowały tak wielkie skoncentrowanie sił przeciw Hucie. Mieliliśmy jedną szansę i nadzieję, że z pomocą przyjdą nam Rosjanie oraz samoobrona z Przebraża.

W kilka miesięcy po tej walce znaleźliśmy ulotki, w których nacjonaliści ukraińscy pisali, że sześciotysięczne zgrupowanie banderowców rozbiło silne gniazdo oporu polskiego. A naprawdę była nas garstka, tyle że na wszystko zdecydowana.

W nocy zaczęto przy szkole zbierać wszystkich uzbrojonych, a takżenie mających broni mężczyzn. „Bomba” powiedział nam, że jedyną, bardzo nikłą zresztą szansą na obronę Huty i uratowanie ludzi jest nocny atak skoncentrowanych sił na jednym odcinku – ażeby przez zaskoczenie wywołać dezorganizację i panikę w szeregach przeciwnika. Wiedzieliśmy, że wśród banderowców są setki takich, co przybyli tu na rabunek – przy wielu zabitych znajdowaliśmy powrozy, uzdy, kantary na zrabowane konie czy krowy. Tacy odwagą nie grzeszą, a ucieczka nawet pojedynczych może pociągnąć za sobą innych.

„Bomba”, widząc, że mam fiński automat, kazał mi iść przy sobie. Obok niego szli wypróbowani hucianie: Zygmunt Żołędziowski, Antek Wiatr i inni. „Bomba” miał dziesięciostrzałowy karabin radziecki. Do ataku ruszyliśmy nad ranem. Jeszcze panował zmrok; mgła i dymy ścielące się nisko nad łąkami czyniły nas niewidzialnymi – dopalające się domostwa nie oświetlały nas. Szliśmy po cichu tyralierą przez zboża, starając się podejść jak najbliżej linii banderowskich. Mięliśmy już ostatnie budynki, sady i ogrody, gdzieś z boku dopalała się jakaś stodoła. Przed nami było ogrodzone pastwisko, przy którym rosły wierzby, a trochę dalej na górcę stała kuźnia.

Nagle rozległ się głośny okrzyk: „*Stij, chto ide?*”. Jeden z naszych odkrzyknął: „*Śwój*”. Tę chwilę wykorzystał „Bomba” – rzucił w tym

kierunku granat. Zaczęło się... rozszalały się karabiny maszynowe banderowców. Myśmy walili granatami, nie zwracając uwagi, że i nas mogą razić. Okazało się, że banderowcy też podchodzili do wsi w celu zadania nam ostatecznego ciosu. Nawet im przez myśl nie przeszło, że jesteśmy jeszcze zdolni atakować. Stąd tak wielkie zaskoczenie. Nas było kilkuset, tak że nasze „hurra” brzmiało bardzo mocno. Biegłem obok „Bomby”, a zza drzewa bił po nas karabin maszynowy. Ogień był tak silny, że musieliśmy zalec. Atak nasz zatrzymał się, a to groziło klęską.

„Bomba” był ranny, dostał z erkaemu banderowca, stojącego blisko nas – w tej samej chwili zastrzelił tego *strilcia* i krzyknął do mnie: „Atakować! Podnoś do ataku!”. Na tej samej linii co ja leżał banderowiec i ostrzeliwał naszych z erkaemu – nie widział mnie. Bałem się poruszyć, ażeby mnie nie skosił. Ale nie miałem prawa wstrzymywać wykonania rozkazu. Poderwałem się i całą serię skierowałem w strzelającego banderowca, po czym krzyknąłem: „Naprzód! Hurra!” i popędziłem przed siebie, panicznie bojąc się, że biegnę sam. Ale posłyszałem za sobą tupot nóg i jak grzmot głośne: „Hurra! Hurra!”.

Leciała nas cała masa ludzi. Banderowcy zaczęli pojedynczo podnosić się i uciekać, a po chwili masowo już uciekali na „Słone Błota”, Uciekali w panicznym strachu, jak oszalałe stada dzikich zwierząt – łamiąc płoty, tratując ogrody. Odparliśmy ich dość daleko. Z uzdrowiska zaczęły bić karabiny maszynowe. Musieliśmy wracać. Na polach leżały dziesiątki zabitych banderowców.

Atak ten – jak się potem okazało – był początkiem paniki i osłabienia otaczających Hutę oddziałów banderowców. Była to zbieranina z różnych stron, nawet z okolic Lwowa. Oddziały składały się najczęściej z nieprzygotowanych, nieznających taktyki wojskowej, niewyszkolonych ludzi, których zmobilizowano siłą do ataku na Hutę. Obiecywano im znaczne łupy. Większość tych ludzi pałała nienawiścią do Polaków, ale to w boju nie wystarczało. Myśmy się bili o nasze życie, o życie tysięcy Polaków – to były cele o wiele większe.

Ignacy Janicki

W czasie naszego „wjazdu” do Huty napotkaliśmy siedzących w rowie partyzantów sowieckich [z oddziału „Maksa”]. Ojciec zapytał ich, dlaczego nie biorą udziału w walce. Jeden odpowiedział mniej więcej tak: mamy za mało amunicji, jest nas za

mało, jesteśmy zmęczeni, idziemy do swojej bazy i być może wrócimy tu za jakieś pięć dni w zwiększonej sile. Ponieważ jednak nie wierzą, aby samoobrona mogła tak długo się utrzymać, proponują nam, aby udać się wraz z nimi w kierunku Sarn. Później, w czasie naszej ucieczki, napotykalismy zwłoki pomordowanych spośród tych, którzy zdecydowali się iść z Sowietami.

Stanisław Szumski

Po dotarciu naszej kolumny na miejsce okazało się, że wszystkie polskie wsie położone na południe i południowy zachód od Huty Stepańskiej zostały już rozbite i spalone, a sama Huta Stepańska jest ze wszystkich stron otoczona i zaciekle atakowana przez banderowców. Część wsi od strony południowego wschodu była nawet przez nich zajęta, a znajdująca się tam ludność została wymordowana. Później jednak wyparliśmy stamtąd bandytów. Wszystkie przybyte siły natychmiast wykorzystywano do walki. Walczyłem od strony wschodniej i północno-wschodniej. Była to straszna bitwa. Wszystkie polskie wsie płonęły.

Banderowcy atakowali nieustannie. Mieliśmy mało broni, o uzupełnieniu amunicji nie było mowy, trzeba było ją oszczędzać. Wiedzieliśmy, że wycofać się nie ma dokąd, a więc czeka nas nieuchronna zagłada.

Lucjan Paczewski

Po południu byłem na odcinku obrony od strony „Słonych Błot”. Leżałem w łańcach żyta na skraju wsi. Przy mnie leżał jeden z mieszkańców Huty, bez broni. Pokazałem mu, jak się ma obchodzić z automatem, gdybym zginął. Taką mieliśmy zasadę, że przy uzbrojonym był ktoś bez broni i w razie śmierci lub ranienia tego pierwszego, natychmiast brał broń.

Banderowcy zaatakowali nas gwałtownym, niespodziewanym ogniem karabinów maszynowych. W pewnej chwili zakurzyło się wokół nas. Obejrzałem się – mój kolega, ewentualny „spadkobierca” automatu leżał na wznak, zabity.

Wincenty Romanowski

Księża Drzepecki, Bisiecki i Pomoński swym opanowaniem i słowami modlitwy wprowadzali względny spokój wśród zrozpaczonej ludności. Groza położenia była oczywista dla wszystkich. Gdyby zawiódła broń palna, daremny byłby opór za pomocą narzędzi gospodarstwa domowego.



FOT. STUDIUM POLSKI PODZIEMNEJ W LONDYNIE / OSRODEK KARTA

← Okolice Huty Stepańskiej, 1943.
Oddział kapitana Władysława
Kochańskiego „Bomby”.
Na zdjęciu m.in. Hipolit
Wysocki „Jerzyk”

Lecz dowództwo i na tę okoliczność przygotowywało mężczyzn i kobiety.

W sobotę 17 lipca po południu umilkły strzały, co bynajmniej nie oznaczało zaniechania oblężenia. Wprawdzie napastnicy wycofali się z terenu wsi, lecz nikt się nie luził – to było tylko przegrupowanie sił przed następnym natarciem.

Oblężeni mogli pomyśleć o posiłku. W zagrodach pełno było zabitych zwierząt. Kto miał czas, siły i zdrowe nerwy – przygotowywał mięso do bieżącego użytku i na zapas.

Dowództwo AK i przedstawiciele miejscowej społeczności zebrał się na naradę. Stwierdzono, że

obrońcom kończy się amunicja. Posiadane resztki mogły wystarczyć do odparcia niezbyt silnego ataku. Jedynym wyjściem z ciężkiej sytuacji była ewakuacja. Zarządzono przygotowania do wymarszu w nocnych godzinach – z soboty na niedzielę. Zalecono zabrać tylko najniezbędniejsze rzeczy osobiste.

Nielatwo było ludziom rozstać się z resztkami swego dobytku i wyjść z gołymi rękami na spotkanie głodu i poniewierki. Wbrew zakazowi zaczęto przygotowywać wozy i ładować na nie odzież, żywność, drobny inwentarz żywy i niektóre przedmioty domowego użytku. Kwik świń, krzyk drobiu i ryk

wyprowadzanego z obór o tak późnej porze bydlą zmienił nocną ciszę w ostry zgiełk jarmarcznego dnia. Rzecz jasna, nie uszło to uwagi banderowców. Pod Hutę podeszli znowu szperacze, a potem nadciągnęły większe siły.

Nad ranem grupa kilkuset osób, wbrew rozkazowi o odroczeniu ewakuacji, wyruszyła wozami z przygotowanym dobytkiem ruchomym w stronę Wyrki. Tędy mieli przejść do kolei, wiodącej z Kowla do Sarn, gdzie na stacjach pilnowały jeszcze porządku wojska niemieckie.

Władysław Kobylański

W nocy z 17 na 18 lipca wśród zgromadzonych mieszkańców Huty nastąpił rozłam. Około tysiąca ludzi zdecydowało się uciekać i udali się w stronę Rafałówki. Poszli prosto na banderowców. Z nimi odeszło kolejnych dwudziestu naszych ludzi z bronią. Przechodząc przez Wyrkę, dostali się w ogień banderowców. Powstała straszna panika. Około 400 osób zostało zabitych. Część uciekinierów dotarła szczęśliwie do Grabiny koło Rafałówki. Druga część wycofała się do Huty.

Ignacy Janicki

W czasie naszego wymarszu, chyba dzięki opatrności, zapadła gęsta mgła, która towarzyszyła nam prawie do końca wędrówki. Była ona zbawienna dla wielu istnień ludzkich, bowiem w centrum Wyrki rozpoczęła się gwałtowna strzelanina od czoła kolumny. Jak się okazało, nasza straż przednia (ubezpieczenie) natknęła się na zasadzkę.

Wśród uciekinierów powstał popłoch i zamieszanie. Furmanki zaczęły się płatać między sobą, jedni zawracali, inni zjeżdżali z traktu. Zjechaliśmy z drogi w pole, by jak najszybciej dotrzeć do lasu. Przez cały czas ucieczki trwały walki pomiędzy naszą obstawą a banderowcami.

Po dotarciu do lasu od strony wschodniej w stosunku do Wyrki, rozkazano, aby wszyscy kierowali się dalej, na północny wschód, w rozproszonych grupach. Byliśmy zgnębieni, przerażeni, głodni i spragnieni. Po drodze przechodziliśmy przez wieś Hały, spaloną i zniszczoną.

O zachodzie słońca dotarliśmy do wsi Grabina, gdzie zauważyliśmy bunkry niemieckie, a w nich lub obok – niemieckich żołnierzy strzegących torów kolejowych przed wysadzeniem ich w powietrze przez oddziały partyzanckie. Rozlokowaliśmy się na łące. Gdy przygotowaliśmy

posiłki, nadjechał pociąg towarowy. Niemcy zatrzymali go i kazali nam załadować się do wagonów. I tak zajechaliśmy do Sarn. Zaprowadzono nas na plac obok szkoły, gdzie przenocowaliśmy.

Stanisław Szumski

W nocy z 17 na 18 lipca banderowcom udało się dotrzeć w pobliże schronów, gdzie ukryła się nasza ludność. Wydawało się, że już dopadną schronów i nastąpi straszna rzeź. Była to decydująca bitwa – na śmierć i życie. Użyto z naszej strony wszelkiej broni, co kto miał w rękę. Wydawało się, że już nic nas od śmierci uchronić nie może, a jednak nadludzkim wysiłkiem udało nam się odeprzeć ataki.

Władysław Kobylański

Rano 18 lipca nadjechało od strony Butejek trzech jeźdźców ukraińskich. Przywieźli pismo, które odebrał Janek Drozdowski, dowódca oddziału, i odesłał je do dowództwa. Banderowcy żądali bezwarunkowej kapitulacji, bo inaczej „żywa dusza nie pozostanie w Hucie”. Kapitan „Bomba” odmówił. Jego zdecydowana postawa podniosła ludzi na duchu, każdy gotów był walczyć do końca.

W tak trudnym położeniu Konawerski dokonał haniebnego zdrady. Opuścił powierzone mu stanowisko wraz ze swoimi partyzantami od „Maksa”, zabierając jeszcze siedemnastu naszych obrońców z Huty, i uciekł z bronią maszynową. Bardzo boleśnie odczuliśmy tę zdradę, bo zabrali nam broń i amunicję, która była na wagę złota.

Wincenty Romanowski

Banderowcy zorientowali się w planach obrońców i przypuścili jeszcze jeden atak. Wdarli się do bunkrów przy kościele, wybili część załogi i zniszczyli mnóstwo inwentarza żywego. Ludność znalazła się znowu w bezpośrednim zagrożeniu, lecz o tyle cięższym niż przedtem, że skończyła się amunicja. Zrozpaczeni chłopcy strzelali już tylko do wyraźnych i bliskich celów, błagając ludność o wyszukiwanie pojedynczych naboju.

To nowe bolesne doświadczenie wpłynęło na zmianę decyzji co do sposobu ewakuacji. Ściągnięto z lasów posiłki. Kategorycznie zarządzono pozostawienie na miejscu taborów. Każdy mógł zabrać tyle rzeczy osobistych, ile był w stanie przenieść sam – na odległość około trzydziestu kilometrów.

Tymczasem o wymarszu nie mogło być mowy, gdyż wieś od kilku godzin była znowu nękana przez gniazda karabinów maszynowych UPA. Najgroźniejsze były te grupy, które zajęły bunkry.

Okolo dziesiątej grupa śmiaków ruszyła rowami w stronę zajętych przez banderowców bunkrów. Czołgając się i wykorzystując każde wgłębienie terenu, dotarli wreszcie do linii przeciwnika. Brawurowym atakiem unieruchomili jeden, a potem drugi karabin maszynowy. Ukraińcy rozpoczęli bezładną ucieczkę, ścigani strzałami z ich własnej broni.

W akcji tej brali udział – między innymi – nauczyciel Nakonieczny, instruktorka przedwojennego „Strzelca” Helena Sawicka i dwóch braci Kopijów. Gdy wracali do szkoły z bezcennym łupem, ludność wyszła na ich spotkanie jak do swych wybawców. Była to jedyna chwila radości i odprężenia w sytuacji napiętej do granic ludzkiej wytrzymałości.

Niedługo po tych przejawach entuzjazmu w obozie znowu zapanował groźny mrok rzeczywistości. Nikt nie wątpił, że kolejny atak jest nieunikniony i że po zgromadzeniu nowych sił nastąpi z większą zaciekłością.

W południe nadsięgnęła gwałtowna burza. Ulewny deszcz splukał z ziemi krew, obmył zakurzone ciała zabitych, na które nikt nie zwracał już uwagi; nie grzebano ich z powodu braku sił i czasu. Między ciałami ludzi wznosiły się nad ziemią zwłoki wzdętych od upału zwierząt.

Upłynęło jeszcze kilka kwadransów, zanim tłum ruszył w stronę Wyrki. Nieliczne zaprzęgi przeznaczono wyłącznie dla rannych, ciężko chorych, niedołączonych i starców. We wsi pozostały wypuszczone na wolność zwierzęta. Konne patrole poszły na zwiad wzdłuż wyznaczonych do przemarszu dróg. Ostatnim wozem jechał „Bomba”.

Dowódca kazał ominąć Wyrkę, kierując zbity i ruchliwy tłum w leśne gęstwiny. Czuli się tu bezpieczniej, choć pokonywać musieli bagna i moczary. Często brnęli po kolana w błocie lub zapadali się po pas w trzęsawiskach, pomagając sobie nawzajem w utrzymywaniu się na powierzchni.

Pod wieczór, po ominięciu ukraińskiej wsi Police, mrowie ludzkie zalało brzeg lasu, sąsiadującego z Hałami. Od momentu opuszczenia Wyrki przez „Bombę” nikt nie znał losu tej wsi.

Teraz widać było świeżo wzniesione pożary. Na tle płomieni przesuwały się sylwetki podpalaczy. W miejscu, gdzie zatrzymali się Polacy, leżały potłuczone garnki, sprzęt domowy, słoma i niedopalone bierwiona. Prawdopodobnie banda zatrzymała się tu, zanim podpaliła wieś.

Zarządzono postój i nocleg. Wszyscy byli przemoczeni do pasa, głodni i spragnieni, lecz nie wolno było palić ognisk ani wyprawiać się do pobliskich studni, gdyż upowcy wrzucali do nich trupy. Kto chciał odświeżyć usta, brał cuchnącą wodę z bagien lub kałuż. Po rozstawieniu gęstych wart i czujek, wyczerpani ludzie zasypiali pokotem na mokrej ziemi.

O świcie kolumna wyruszyła znów na północ. Po dotarciu do kolei, ludność rozpląnęła się po stacyjkach kolejowych i niespalonych dotąd polskich wioskach powiatu sarneńskiego. Na stacjach stały wagony, którymi Polacy mogli jechać do Niemiec na roboty. Niemiecka służba werbunkowa i kolejarze bezskutecznie zachęcali do tego uciekinierów, odmawiając udzielenia im jakiegokolwiek innej pomocy. Część uciekinierów dotarła do Antonówki i mimo zakazu Niemców przedostawała się stamtąd towarowymi pociągami na wschód i zachód, byle jak najdalej od zagrożonego terenu.

Lucjan Paczewski

Evakuowanie ludzi pod naszą eskortą odbyło się dwiema grupami – jedna szła w kierunku Rafałówki, druga do Wydymeru. Odchodząc z Huty, podpaliśmy remizę strażacką, w której składaliśmy naszych zabitych – nie chcieliśmy ich zostawić na profanację banderowcom. Bo i nad zabitymi potrafilo się pastwić. Podpaliliśmy też większe budynki ocalałe od ognia w trzydniowej walce. Po doprowadzeniu hucian pod Wydymer, zorganizowaliśmy tam obóz; stamtąd odjechali ci, którzy nie chcieli iść do Niemców. „Bombę” wywieziono z Huty do Wydymeru i tam zakonspirowano. Niewielu wiedziało, gdzie on jest.

W Wydymerze zgrupowało się dość dużo Polaków z okolicznych wiosek, już wcześniej spalonych przez banderowców. Po likwidacji Huty przebywanie tu tak wielu Polaków stawało się po prostu niebezpieczne. Trzeba było jak najszybciej się wycofać.

Po kilkudniowym wypoczynku wyszliśmy w kierunku Antonówki i zakwaterowaliśmy się we wsi Perespa. Leżała ona przy szosie, po której co

chwila przejeżdżały niemieckie samochody. Dlatego też musieliśmy się częściowo zakonspirować. W dzień broń mieliśmy ukrytą. Tam też, do Perespy, przybył do oddziału „Bomba” i objął dowództwo. Nazywaliśmy go teraz „Wujek”.

W Perespie staliśmy prawie dwa tygodnie. Kwaterowaliśmy w stodołach, w szkole, w domach, gdzie się dało. Pomimo że byliśmy zakonspirowani, ludność wiedziała o naszym oddziale i codziennie przybywali do nas ochotnicy z sąsiednich wiosek, a nawet z Sarn. Dla Polaków nie było tajemnicą, że pod Antonówką stoją sławni obrońcy Huty, a teraz już polscy partyzanci. Tak

powstał, umacniał się i nabierał rozgłosu oddział „Wujka”. Wrogowie również wiedzieli, że powstaje siła, z którą będą musieli się liczyć.

Janina Lipińska

Ruszyła kolumna furmanek, szli piesi, jechali ranni – dokąd? Do stacji kolejowej – do Antonówki, Rafałówki, gdziekolwiek, byleby uciec od ukraińskiej siekiery. We wsiach położonych bliżej stacji Antonówka, jak Perespa czy Wydymer, ludzie mieli jeszcze nadzieję na przetrwanie, lecz po kilku tygodniach też musieli uciekać do Niemiec, zostawiając swych najbliższych nieopogrzebanych.

WYBRAŁ I OPRACOWAŁ Grzegorz Softysiak

Niepodległościowe dążenia narodu ukraińskiego, silne w dwudziestoleciu międzywojennym, nabrały ostrości po wybuchu wojny. Nastroje proniemieckie, panujące w szerokich kręgach polityków ukraińskich, utrudniały doprowadzenie do polsko-ukraińskiego kompromisu, tym bardziej że ani rząd emigracyjny, ani Polacy w kraju nie wypracowali koncepcji współistnienia obu narodów. Błędy popełnione przez stronę polską, szczególnie w latach 1935–39 (przymusowa katolicyzacja na Wołyniu, niszczenie cerkwi na Chełmszczyźnie, pacyfikacje wsi ukraińskich w województwie tarnopolskim) nie mogły być zatarte ogólnikowymi stwierdzeniami o pokojowym współistnieniu. Główne ukraińskie siły polityczne: Ukraiński Centralny Komitet i Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów reprezentowały twarde stanowisko oparcia zachodniej granicy państwa ukraińskiego na linii Sanu i Bugu. Praktycznie żadna poważna siła polityczna w Polsce nie brała takiej ewentualności pod uwagę.

Wybuch wojny sowiecko-niemieckiej i zawiedzione nadzieje Ukraińców związane z tym konfliktem (między innymi upadek powstania ukraińskiego we Lwowie, aresztowanie działaczy politycznych) spowodowały wzrost nastrojów antyniemieckich i poważny rozłam

w kierownictwie OUN. Jednocześnie zaczęły powstawać dobrze zorganizowane i liczne oddziały partyzanckie – Tarasa Borowca „Bulby” (bulbowcy) oraz obu odłamów OUN – Ukraińska Powstańcza Armia (banderowcy – od nazwiska przywódcy OUN-B Stefana Bandery) i OUN-M – melnikowcy (od nazwiska przywódcy frakcji Andrija Melnyka). Część środowisk ukraińskich nadal kolaborowała z Niemcami, zezwalając na tworzenie ukraińskich oddziałów wojskowych (SS Galizien) czy policji – szczególnie okrutnej i nastawionej antypolsko.

Pod koniec 1942 roku akty indywidualnego terroru wobec Polaków zaczęły przeradzać się w falę masowych mordów. Planowa akcja w pierwszej fazie objęła powiaty sarnieński, kostopolski, rówieński i zdołbunowski.

Pierwszego zbiorowego mordu dokonano 13 listopada 1942 we wsi Obórki koło Przebraża, gdzie Ukraińcy wymordowali wszystkich mieszkańców, nie oszczędzając nikogo. (Niektórzy historycy odrzucają tę datę, uważając, że zbrodni dokonała ukraińska policja podległa Niemcom, a nie nacjonałści ukraińscy). Sytuacja pogorszyła się wiosną 1943 po masowej dezercji ukraińskich policjantów do oddziałów UPA. W okresie pomiędzy styczniem a kwietniem 1943 nastąpił

gwałtowny wzrost napaści oddziałów ukraińskich na – zazwyczaj bezbronne – wsie i osiedla polskie. Kulminacja ataków nastąpiła w lipcu 1943. W tym czasie dokonano około 300 napa-
dów na polskie wsie, z czego aż 100 pomiędzy 10 a 15 lipca. W sierpniu zanotowano 135 akcji, we wrześniu 39 (dane zebrane przez Środowisko Żołnierzy 27 Wołyńskiej Dywizji AK).

Na Wołyniu, gdzie Polacy stanowili wyraźną mniejszość (według danych z 1938 roku – jedynie 16,6% całej ludności, z czego w miastach 27,5%, a na wsiach 15,1%), możliwości skutecznej obrony były niewielkie. Podjęto próbę stworzenia lokalnych oddziałów samoobrony; jednak słabo zorganizowane i najczęściej źle uzbrojone nie mogły stanowić skutecznego oporu wobec liczniejszych i lepiej uzbrojonych, a także często wspomaganych przez Niemców oddziałów ukraińskich.

Sytuacja uległa pewnej zmianie dopiero w czerwcu 1943, gdy Komenda Okręgu Wołyńskiego AK, wobec zaistniałej sytuacji „[...] przystąpiła do reorganizacji sił i środków działania. Część sił okręgu pozostała nadal w konspiracji w ośrodkach miejskich, natomiast znaczną część kadry dowódczej, wszystkie siły wiejskie i część miejskich skierowano do walki. Samoobronę oparto na dwóch elementach:

tworzenia silnych baz obronnych z kilkunastu wsi o dużych skupiskach ludności polskiej, obronę tych baz podejmą miejscowe oddziały z zastosowaniem umocnień, rowów strzeleckich i zasieków, tworzenie silnych oddziałów partyzanckich ruchliwych, współdziałających od zewnątrz z ochroną baz [...]” (za: *Armia Krajowa w dokumentach*, t. III, s. 126–127).

Według fragmentarycznych danych, na Wołyniu powstało około stu ośrodków samoobrony. Pomimo tego Polacy ponieśli ogromne straty. Według danych szacunkowych w ciągu roku zginęło blisko 100 tysięcy ludzi (z czego aż około 20 tysięcy w lipcu 1943), a co najmniej drugie tyle opuściło zagrożone tereny w obawie przed represjami.

Przyjście Armii Czerwonej w 1944 roku pogorszyło jeszcze sytuację Polaków – zlikwidowano polskie podziemie i oddziały samoobrony; wywózki na wschód dziesiątkowały i tak już nieliczne środowiska polskie. UPA wzmocniona dezertkami z sowieckiej armii nadal prowadziła akcje przeciwko polskim wioskom. Trudno powiedzieć, kiedy skończył się ukraiński terror – znawcy tematu twierdzą, że dopiero na początku lat 50., wraz z końcem działalności UPA.

*

Samoobrona Huty Stepańskiej liczyła około czterdziestu uzbrojonych w broń palną mieszkańców wsi pod dowództwem Jana Szabelskiego. W chwili ataku w Hucie było 16–18 tysięcy uciekinierów z pobliskich wiosek. Dowodzenie objął kapitan Władysław Kochański „Bomba”. W czasie walk zginęło około 40 osób, następnym 300 zginęło w czasie ewakuacji. Nieznane są siły nieprzyjaciela, tym bardziej że według niektórych źródeł w ataku na Hutę brał udział oddział niemiecki.

Niezbym jasny jest udział sowieckiej partyzantki w obronie Huty, a także przebieg akcji odwetowych. Osobnym problemem jest też stanowisko Niemców i ich stosunek do tej samoobrony. Zapewne wiedzieli oni o współpracy Huty z Sowietami, musiało im więc zależeć na likwidacji tego ośrodka oporu.

Jakie były dalsze losy obrońców?

Ludność cywilna przeszła po upadku Huty do miejscowości Antonówka, gdzie zorganizowano kolejny obóz obronny, a po jego rozwiązaniu, gdy minęło niebezpieczeństwo, rozproszyła się w większych miejscowościach – Kowlu, Sarnach, Rafałówce, unikając w większości wywózki do Niemiec. Oddział kpt. „Bomby” zgrupował się w Perespie koło Antonówki pod Sarnami. Tam został wzmocniony ochotnikami z okolicznych wsi. Walczył dalej. (G.S.)

Materiał pochodzi z „Karty” nr 8/1992.

OBECNOŚĆ POLAKÓW W NIEMIECKIEJ POLICJI
POMOCNICZEJ W CZASIE II WOJNY ŚWIATOWEJ
JEST MAŁO ZNANA. W POWSZECHNYM MNIEMANIU
ŻADEN POLAK NIE MÓGLBY WSPÓŁPRACOWAĆ
Z OKUPANTEM. RZECZYWISTOŚĆ BYŁA JEDNAK
BARDZIEJ SKOMPLIKOWANA.

Grzegorz Motyka

Wiosną 1943 na Wołyniu banderowska frakcja Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) i podległe jej oddziały Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA) rozpoczęły na szeroką skalę walki partyzanckie z Polakami, Niemcami i Sowietami. Sygnałem do tego była dezercja ze służby niemieckiej jednostek ukraińskiej policji pomocniczej, a także członków Landdienstu (policji rolnej) oraz służby ochrony kolei. Miała ona miejsce pomiędzy 19 marca a 14 kwietnia, kiedy to – jako ostatnia – przeszła do partyzantki szkoła policyjna w Maciejowie. W sumie spośród 12 tysięcy policjantów-Ukraińców wezwania usłuchało około 5 tysięcy, walnie wzmacniając szeregi UPA. Część z pozostałych policjantów zdezerterowała w późniejszym okresie.

W ramach działań przeciwko Niemcom OUN-UPA likwidowała administrację okupacyjną, folwarki pod zarządem niemieckim (Liegenschafty), starała się uniemożliwić ściąganie kontyngentów. Nie atakowała natomiast – by pośrednio nie wspierać Sowietów – oddziałów Wehrmachtu. Do końca 1943 roku partyzantka ukraińska opanowała znaczne tereny Wołyńia, ograniczając władzę Niemców do większych miast i głównych linii komunikacyjnych.



POLSKI POLICJANT NA WOŁYNIU

Nowy Sącz, październik 1941.
Szkoła policji granatowej

Na działania OUN-UPA Niemcy odpowiedzieli terrorem. W trakcie ekspedycji karnych niejednokrotnie wybijano całe wsie ukraińskie. Także w miastach przeprowadzano masowe egzekucje. Władze niemieckie postanowiły wykorzystać przeciwko Ukraińcom także Polaków, co ułatwiła im prowadzona przez OUN-UPA krwawa akcja antypolska. Niemcy dostarczyli niewielkie ilości broni niektórym polskim samoobronom oraz rozpoczęli wśród polskiej ludności nabór do policji pomocniczej¹. Sprowadzili również z Generalnego Gubernatorstwa (GG) oddziały policji złożone z Wielkopolan i Ślązaków (przy przechodzeniu przez zamieszkane przez Polaków miejscowości nakazywano im śpiewanie polskich pieśni). Poczyny te jeszcze bardziej konfliktowały Polaków i Ukraińców.

Niemcy przerzucili także na Wołyń batalion policji prawie w całości sformowany z Polaków z GG. Był to Schutzmannschaftsbatallion 202 utworzony w maju–czerwcu 1942 w Kochanówce k. Dębicy. Jego dowódcą był hauptmann Tschnader, a ze strony polskiej – volksdeutsch, major Policji Polskiej Ignacy Kowalski. Dowódcami trzech 120-osobowych kompanii byli: Z. Włoczewski, J. Kołodziej i B. Nowakowski. Policjanci nosili mundury koloru khaki, stąd często nazywano ich „zielonymi”. Komenda była wydawana w języku niemieckim².

Na początku 1943 roku batalion stacjonował w Łucku, Torczynie i Ołyce. W lipcu przesunięto go do Klewania, a następnie rozmieszczono w powiatach Równe i Kostopol. Na początku 1944 roku batalion został rozbity przez Armię Czerwoną, jego resztki wycofano do Lwowa.

Spośród miejscowej ludności stworzono sieć posterunków wiejskich oraz co najmniej jeden samodzielny batalion – Polnisches Schutzmannschaftsbatallion 107, sformowany we Włodzimierzu Wołyńskim. W sumie, wliczając oddział sprowadzony z GG, na Wołyniu działały aż trzy bataliony polskiej policji³ – co najmniej 1,5 tysiąca ludzi. Historyk wołyńskiej AK, Wincenty Romanowski, pisze ze zrozumieniem o działalności policjantów: „Polska policja, samodzielnie lub pod dowództwem Niemców, przez kilka miesięcy sprowadzała do miast zagrożoną lub zrujnowaną materialnie ludność wsi, zbierała zwłoki po napadach UPA, ochraniała wyprawy po żywność i paszę, strzegła

bezpieczeństwa żniwiarzy i ludzi pracujących przy wykopkach w 1943 r. Brała również udział w wyprawach odwetowych na ukraińskie wioski, wspierana najczęściej przez formujące się grupy samoobrony. Czasem były to wyprawy rekwizycyjne lub rabunkowe, konieczne dla wyżywienia pozbawionych swych gospodarstw polskich rolników. Zwalczano, niestety, gwałt gwałtem”⁴.

Z kolei jeden z najlepszych znawców dziejów UPA, Lew Szankowski, pisze, że „polska policja na Wołyniu składała się z elementów [...] które ziały nienawiścią do wszystkiego co ukraińskie”; wspólnie z Niemcami i Uzbekami 14 lipca 1943 zamordowała ona w Malinie 624 Czechów i 124 Ukraińców (co potwierdzają też inne źródła), a wcześniej, 2 lipca, we wsi Hubki (?) zabiła kilkuset Ukraińców⁵. Inny badacz, Wołodymyr Kosyk, oskarża polską policję o spalenie 80 budynków we wsi Dermań i zabicie 70 Ukraińców. Pisze, że na co dzień policjanci zmuszali Ukraińców do mówienia po polsku i zdejmowania czapek na powitanie; niewypelniających tych poleceń bito lub karano śmiercią. Za „szczególnie okrutny” – według niemieckich meldunków, do których dotarł Kosyk – uchodził Schutzmannschaftsbatallion 202⁶.

Akcje pacyfikacyjne polskiej policji przeciwko Ukraińcom potwierdzają też dokumenty sowieckie. W jednym z meldunków sowieckiej partyzantki, podpisanym przez gen. Begmę, czytamy: „Polacy razem z Niemcami uczestniczą w operacjach przeciwko nacjonalistom, np.: przez nich całkowicie spalona została wieś Triputin [?] i częściowo Hranie, obie jak najbardziej nacjonalistyczne. 11 maja [...] Polacy razem z Niemcami okrążyli nacjonalistyczną wieś Cepcewicze, powiat włodzimierski, rozbili nacjonalistów i zabrali ukraińską młodzież na roboty do Niemiec”⁷.

Z polskich autorów negatywną opinię na temat policji polskiej wyraża żołnierz 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Leon Karłowicz. Jego zdaniem przybycie policjantów do Zasmyk w 1943 roku zdezorientowało mieszkańców, którzy nie wiedzieli, czy uważać ich za sprzymierzeńców, czy za wrogów. Zabili oni w Zasmykach dwie kobiety i dowódcę miejscowej samoobrony Wróbla, oskarżywszy go o współpracę z UPA. Jak zaznacza Karłowicz, bardziej jednak prawdopodobną przyczyną mordu był spór pomiędzy Wróblem a policjantem Kurpiasem o dziewczynę⁸.

Polskie podziemie negatywnie odniosło się do formowania polskiej policji w służbie niemieckiej. W jednym z meldunków oceniono ją następująco: „zachowaniem [...] nie różni się niczym od dawnej milicji ukraińskiej”⁹. Pomimo to do jednostek policji skierowano wielu członków ruchu oporu z zadaniem przejęcia nad nimi kontroli. Wprowadzali tam swoich ludzi również komuniści. I tak z ich polecenia Czesław Warchocki zorganizował posterunek policji w Krymnie na Polesiu i wkrótce przeszedł z całą swoją załogą do partyzantki sowieckiej¹⁰. Podobnie postąpił Mikołaj Kunicki „Mucha”, wyprowadzając do lasu całą kompanię policji polsko-białoruskiej (dowodził on później sowieckim oddziałem partyzanckim im. Stalina)¹¹. W nocy 10/11 kwietnia 1943 w Jarmolińcach na wschodniej Ukrainie doszło ponoć do bliżej nieznanego buntu batalionu policji polsko-ukraińskiej (!). Niemcy otoczyli zbuntowanych policjantów i wezwali do kapitulacji. Grupa 60 Polaków poddała się i została rozstrzelana, natomiast Ukraińcom udało się przebić¹².

W nocy 20/21 stycznia 1944 stacjonujący w Maciejowie Schutzmannschaftsbatallion 107 aresztował niemieckich oficerów i zabrał broń.

W ten sposób 450 dobrze uzbrojonych ludzi zasililo szeregi 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK. Dowództwo AK, nie dowierając im zbyt, rozdzieliło ich po poszczególnych oddziałach – zmieniając całą kadrę dowódczą. W sumie, razem z policjantami, którzy zdezerterowali z okolicznych posterunków, w skład 27 Wołyńskiej DP weszło około 700 byłych policjantów, co stanowiło około 10 procent jej składu osobowego¹³. (Policjanci ukraińscy w UPA na Wołyniu stanowili z pewnością 30 procent składu.)

Czy rzeczywiście działania polskiej policji pomocniczej na Wołyniu były jedynie odpowiedzią na poczynania Ukraińców? Jak wielu Ukraińców padło jej ofiarą? Jak częste były występkę policji przeciw ludności cywilnej? Pytania pozostają otwarte.

Grzegorz Motyka

jest historykiem, pracownikiem Instytutu Studiów Politycznych PAN; zajmuje się m.in. walkami polsko-ukraińskimi na terenie dzisiejszej Polski w latach 1943–48.

¹ Warto przytoczyć tu fragment meldunku polskiego podziemia: „Sposób przeprowadzania śledztwa ma ze strony Niemców charakter wzajemnego szczucia Polaków i Ukraińców. Polega to na tym, że zbiera się od miejscowych Polaków zeznania przeciwko Ukraińcom, a następnie po wezwaniu Ukraińców odczytuje się im te zeznania, dążąc do wyciągnięcia w zamian oskarżeń przeciwko Polakom”. Studium Polski Podziemnej w Londynie (SPP), 3.1.1.13.2.1, Sprawozdanie sytuacyjne z Kraju nr 4/43, s. 45.

² Wincenty Romanowski, *ZWZ-AK na Wołyniu 1939–1944*, Lublin 1993, s. 95–97.

³ Lew Szankowski, *UPA*, w: *Istoria ukrajinskoho wjśka*, Winnipeg 1953, s. 663.

⁴ Wincenty Romanowski, *op. cit.*

⁵ Lew Szankowski, *op. cit.*, s. 663. O udziale policji polskiej w pacyfikacji Malina pisał też prawosławny biskup rówieński-krzemieniecki Platon do biskupa Polikarpa w liście z 20 lipca 1943 (Centralne Państwowe Archiwum Wyższych Organów Władzy i Administracji Ukrainy w Kijowie, f. 3833, op. 1, d. 90, k. 13).

⁶ Wołodimir Kosyk, *Ukrajina i Nimeczczyna u druhij switowij wjini*, Paryż – New York – Lwów 1993, s. 395–396.

⁷ I. Bilas, *Represywno-karalna systema w Ukraini 1917–1953*, t. 2, Kyjiw 1994, s. 392.

⁸ Leon Karłowicz, *Od Zamyk do Skrobowa. Wspomnienia żołnierza 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK*, Opole 1994, s. 98–99.

⁹ SPP, 3.1.1.13.2.1, Sprawozdanie sytuacyjne z Kraju nr 9, s. 46.

¹⁰ Czesław Warchocki, *Rzeczpospolita partyzancka*, Warszawa 1972.

¹¹ Mikołaj Kunicki, *Pamiętnik „Muchy”*, Warszawa 1959.

¹² Lew Szankowski, *op. cit.*, s. 664–665.

¹³ Józef Turowski, *Pożoga. Walki 27 Wołyńskiej Dywizji AK*, Warszawa 1990, s. 154–157.

RELACJA POLICJANTA

Opracowana przez Grzegorza Motykę i Marka Wierzbickiego, anonimowa relacja polskiego policjanta powstała w marcu 1944. Istnieje w postaci kopii maszynopisowej, zrobionej zapewne z rękopisu. Wchodzi w skład zbioru Wojciecha Bukata (znalazcy) – odnalezionego w 1996 roku, przekazanego Ośrodkowi KARTA przez Instytut Studiów Politycznych PAN. Zbiór zawiera dokumenty z lat 1943–44 pochodzące z Biura Wschodniego przy Departamencie Spraw Wewnętrznych Delegatury Rządu na Kraj, zajmującego się zbieraniem informacji z Kresów Wschodnich II RP.

Pierwszego czerwca 1942 zawiązany został polski batalion policji, tzw. Schutzmannschaftsbatallion 202. Miał to być batalion polskiej policji mundurowej, zgodnie z anonsem, jaki wyczytaliśmy w gazecie, który brzmiał: mężczyźni od lat 18 do 30 mogą zgłaszać się do polskiej policji w Krakowie. Zwerbowali nas jednak do Dębicy i zakoszarowali w obozie 44/SS (Truppenübungsplatz d. Waffen SS) i do końca naszego pobytu w tym obozie okłamywano nas, że szkoleni jesteśmy na polskich policjantów.

Batalion ten przeważnie składał się z ludzi młodych, w wieku lat 18-24, których po większej części ścigało gestapo za różne przekroczenia, jak ucieczka z Baudienstu lub Niemiec, paskarstwo, kradzieże; nie brakło też takich, którzy zgłosili się tu dlatego, że porzucili pracę, z której nie mogli wyżyć i w następstwie groził im wyjazd na przymusowe roboty do Niemiec. Do takich należałem i ja.

Po przyjeździe do Dębicy zaraz zorientowaliśmy się, że szkolą nas do walki z partyzantami, ale cofnąć się było za późno. Na liczne nasze protesty, podnoszone wówczas jeszcze dość nieśmiało, Niemcy do ostatniej chwili uparcie tłumaczyli nam, że szkolą nas na policję polską.

Dla nadania pozorów prawdziwości [tym] twierdzeniom, wmieszali w program wyszkolenia wykłady o przepisach policyjnych, kierowaniu ruchem ulicznym itp., co nam się nigdy nie miało przydać i nie przydało. Jak również dla pozorów sprowadzono podoficerów polskiej policji jako instruktorów szkolnych, którzy w większej części nie znali języka niemieckiego, a cóż mówić o komendzie niemieckiej – gdyż tylko ta obowiązywała – lub o taktyce bojowej niemieckiej. Toteż ci podoficerowie mieli podwójną pracę: uczyć w pierwszym rzędzie siebie, a potem nas, gdyż Niemcy sprawowali tylko nadzór nad całością.

Umundurowano nas w mundury litewskie¹, a karabiny dostaliśmy polskie. Wyszkolenie nasze trwało siedem miesięcy, Niemcy na zewnątrz ustosunkowani byli do nas dość przyjaźnie.

W sierpniu wyjechaliśmy po raz pierwszy na obławę w okolice Kolbuszowej, wraz z całym obozem SS. W założeniu było, że w lasach około Kolbuszowej grasuje banda żydowska wraz z partyzantką bolszewicką. Zadaniem naszym było odciąć tyły rzekomej bandzie, jednakże nie spotkaliśmy się z żadną bandą, jak również SS, i powróciliśmy po tygodniu bez żadnych rezultatów. Do końca naszego pobytu w Dębicy nie zaszło nic specjalnego. Niemcy karmili nas kapustą, a sami jedli i pili bez ograniczeń. Nasze żądania o poprawę bytu nie odnosiły żadnego skutku. Sprzedawaliśmy swoje cywilne rzeczy i kupowaliśmy chleb i inne artykuły w pobliskich wsiach. Na miesiąc przed wyjazdem wikt nasz się poprawił, otrzymaliśmy w dwóch turach siedmiodniowe urlopy i w dniu 25 stycznia 1943 wyjechaliśmy na Białoruś rosyjską do miejscowości Borysów. Tu otrzymujemy mundury niemieckiej schutzpolicji. Tu przywitał nas generał-major d[owód]ca SS i pol[icji] na Białorusi.

W swym przemówieniu dał wyraz gorącej przyjaźni, jaka istniała między narodem niemieckim a polskim za życia marsz. Piłsudskiego. Idee Piłsudskiego pokrywały się całkowicie z ideami narodu niemieckiego i gdyby nie śmierć marsz. Piłsudskiego, nigdy by nie doszło do wojny między Niemcami a Polską. Błąd, jaki popełniła Polska, przystępując do wojny z Niemcami, jest do naprawienia i do tego powołani zostaliśmy my. My zdecydujemy o przyszłości Polski. Od nas zależy będzie, jak będzie wyglądać w przyszłości państwo polskie lub czy w ogóle ono będzie wyglądało. Tak brzmiało przemówienie – brednie niemieckiego generała, które doprowadziło nas do jeszcze większego rozgoryczenia.

Po paru dniach wyjechaliśmy z Borysowa 20 km do wsi Słoń [?], gdzie osiedliliśmy się w dawnym domu „odtycha”, z którego stworzyliśmy punkt oporu (*Stützpunkt*) przeciwko partyzantom bolszewickim przez pobudowanie bunkrów i palisady wokół naszych zabudowań. Tu opanował nas istny szal. Nikt o niczym innym nie mówił, jak tylko o tym, by nawiązać nie z partyzantami i przedostać się do Rosji i następnie połączyć się z polską armią, jaka podobno miała być w Rosji, lub może i do Anglii.

Ale żaden z nas nie miał gwarancji, jak przyjęty zostanie przez wspomnianych partyzantów. Toteż żyliśmy w wielkim niepokoju, snując przeróżne plany ucieczki. A Niemcy, którzy obserwowali nas zawsze pilnie, z twarzy naszych wyczytywali nasze myśli i stosowali coraz większe rygory. Zabroniono nam rozmawiać i stykać się z ludnością miejscową, następnie wzbroniono nam wstęp do domów cywilnych i w końcu zabroniono nam całkowicie wychodzenia poza palisadę. Za opuszczenie koszar groził 14-dniowy areszt. Ale mimo tego wykradaliśmy się do pobliskich chałup. Pewna grupa nasza doszła do porozumienia z partyzantami. Wypada dodać, że mieszkaliśmy wśród lasów i zdani byliśmy na własne siły, które były wprost śmieszne w porównaniu z olbrzymimi bandami, jakie krążyły wokół.

Z końcem marca 1943 ucieka pierwszych dwóch do partyzantów, którzy zmuszają ich do wciągnięcia całej kompanii z bronią. Próby te jednak nie udały się. List, który został wysłany przez partyzantów – w którym bolszewicy naznaczili termin, kiedy okrążyć obóz, a my przejdziemy na ich stronę – wpadł nie wiadomo w jaki sposób w ręce Niemców. Zostaliśmy natychmiast rozbrojeni. W związku z tym listem aresztowano dwunastu, zarzucają nam zdradę. Zarzucają nam, że utrzymujemy łączność z bolszewikami, że list, który został nam doręczony, wartownik przejął i był podawany z rąk do rąk itd. „Jeżeli nie możecie walczyć z patriotyzmu, to walczcie przynajmniej dla swego życia i wolności waszych rodzin” – tak przemawiał nasz dowódca. We wspomniany wieczór partyzanci okrążyli nasz obóz, wzywając wartę, by podeszła do nich. Wartę jednak w noc tę pełnili sami Niemcy. Bolszewicy widząc, że nie nie wskórają, puścili parę serii nad nami dla strachu i odeszli.

Na drugi dzień rano oddali nam karabiny, ale obawa nasza nie minęła, spodziewaliśmy się

obozu karnego. Na dobitkę tego udowodniono jednemu, że wrócił w nocy ze schadzki z partyzantami. (Wiadomości tych wszystkich dostarczał Niemcom szef komp[anii], szpieg, Polak, Hardyca Józef, który wkrótce potem został również aresztowany.) To pogorszyło naszą sprawę, bo Niemcy ugłaskali nas tym, że element buntowniczy w kompanii został usunięty i że wierzą, że reszta nie [jest] zdemoralizowana. Po tym wypadku znowu stracili rzekomo zaufanie do nas. Stosunek Niemców do nas zaostrzył się jeszcze bardziej.

W obawie przed lagrem ucieka w dalszym ciągu jeden z naszych, wicekapral [tj. unterkorporal], do partyzantów. Teraz już nie mamy złudzeń co do naszej przyszłości. Niemcy bez przerwy naradzają się. Zajęcia codzienne odpadły, czekamy tylko na jakąś jednostkę SS, ażeby przyjechała po nas.

Następnie dowiadujemy się, że partyzanci nie bardzo delikatnie obchodzą się z tymi trzema, którzy przeszli na ich stronę. Żądają od nich wszystkiego, a w pierwszym rzędzie wciągnięcia reszty; nie wypada nam nic innego, jak szukać zgody u Niemców. W tym celu wysłaliśmy delegację do dowódcy kompanii z zapewnieniem o naszej lojalności w stosunku do służby. Dowódca żądał czynów, nie mając zaufania do zapewnień. Podejmujemy się ciężkiego zadania. Wieczorem wychodzi pluton bez udziału Niemców i urządza zasadzkę we wsi oddalonej 4 km od nas na partyzantów, którzy według relacji tubylców nocą zachodzą do nich. Po całonocnym wyczekiwaniu wróciliśmy z powrotem bez rezultatu, gdyż partyzanci nocy tej nie przyszli.

Za parę dni nadarzyła się sposobność druga – rehabilitacji. Mianowicie wartownik przytrzymał szpiega rosyjskiego, kobietę, która wręczyła mu list. Bezpośrednio po tym zdarzeniu wyjeżdżamy na północ od Boris [właśc. Borysowa] do akcji przeciw partyzantom, trwającej cały miesiąc. W akcji tej bierze udział [prawdo]podobnie 5 tysięcy wojska, po większej części obcokrajowcy: Rosjanie, Estończycy, Francuzi, Niemcy zaś tylko w częściach zmot[oryzowanych] i pancernych. W akcji tej nie spotkaliśmy nigdzie partyzantów i – według naszych wiadomości – nikt nie spotkał.

Podczas trwania tejże akcji dostajemy wiadomość o mordzie pod Katyniem i z każdej kompanii wyjeżdża delegacja na miejsce zbrodni. Reszta zaś wraca i po dwóch tygodniach wyjeżdża

cały batalion do Łucka. W Łucku Polacy przyjmują nas wprost z entuzjazmem. Opowiadają nam o terrorze Ukraińców. Opowiadają nam, że Niemcy licznym delegacjom Polaków, skarżących się na Ukraińców, odpowiadają – już cały rok – „Przyjdą wasi, będą was bronić”.

Po paru dniach pobytu w Łucku wyjeżdża kompania nasza do Klewania. Droga wypada nam przez las. Po wszystkich krzakach i gałęziach drzew widzimy poprzewieszane białe kartki papieru. Zdziwieni tym zatrzymujemy auto i zdejmujemy parę ulotek z krzaków. Ulotki te są w języku ukraińskim, skierowane do ukraińsk[ich] Schutzmannów, którzy uciekli do lasu z bronią, i brzmią mniej więcej w ten sposób: „Ukr[aińscy] Schutzmanni, wy ulegliście zbrodniczej komunistycznej agitacji. Wracajcie do swych jednostek, wy nie będziecie karani, jeżeli do oznaczonego terminu wróćcie”. Po paru minutach jazdy spotykamy ukr[aińskich] Schutzmannów, którzy ulotki te rozwieszają.

W Klewaniu stacjonuje tenże batalion ukr[aińskich] Schutzmannów w czarnych mundurach – znienawidzeni przez Polaków, bandyci. Po przyjeździe d[owód]ca przemawia do nas: „Znajdujemy się teraz na innym terenie. O wszystkim, co było w Rosji, musimy zapomnieć, gdyż ludność tutejsza jest kulturalna, nie ma tu partyzantów. Przyjeżdżamy tu dla ochrony Polaków, ale nie znaczy to, żeby ktoś z nas załatwiał jakieś osobiste porachunki z Ukraińcami”. Następnie apeluje do nas, byśmy postępowali z Ukraińcami sprawiedliwie, zabrania się stykać z nimi.

Terror ukraiński po naszym przyjeździe wcale nie ustaje. Polacy w dalszym ciągu śpią w kościele, mieszkania ich rabują doszczętnie czarni Schutzmanni ukr[aińscy] [zwani] krukami. W dzień pod byle pozorem aresztują Polaków, którzy przepadają bez wieści. Charakterystyczne jest to, że nie mają żadnej władzy zwierzchniej niemieckiej. D[owód]ca ich – major Ukrainiec, który jest całym bogiem w Klewaniu. Ludność ze łzami błaga nas o pomoc, której udzielić nie możemy. D[owód]ca nasz bowiem nie ma prawa mieszać się w rządy Ukraińców. Postanawiamy działać na własną rękę. Zaczynamy bić Ukraińców po pyskach za to, że nie zdejmują czapek przed nami. Schutzmannów ukr[aińskich] zawracamy, zmuszając ich również do salutowania.

Po pewnym czasie jest specjalny rozkaz zabraniający nam w delikatny sposób tej czynności.

D[owód]ca nasz twierdzi, że świadczy to o ich kulturze i małej dyscyplinie, że nie oddają honoru. Każe nam również nie oddawać honoru im. A więc coś zupełnie nowego – odpowiadamy mu. Dotychczas mieliśmy rozkaz pozdrawiać wszystkich wyższych stopniem w jakimkolwiek mundurze. Niezadowolenie wzrasta wśród nas coraz bardziej. Codziennie wieczorem słyszymy ze szkoły, gdzie koszarują Ukraińcy, śpiew – *Smert' Lachom*. Donosimy o tym naszemu dowódcy, który rzekomo wzywa tych, co słyszeli i twierdzi, że wysła o tym meldunek. Sprawa ta pozostaje bez echa. Aż raz gości u nas leutnant Schup, dowódca polskiego Schutzmann[enschaftu]. Po sutej libacji proponuje on wspólny „Einsatz” [akcja].

Na drugi dzień wyrusza od nas jeden pluton. Przychodzimy na dziedziniec koszar naszych kolegów, którzy już czekają na nas. Jest to zbieranina chłopów w różnym wieku w cywilnych ubraniach, fatalnie uzbrojona, pałająca nienawiścią do Ukraińców za ich zbrodnie. Krótkie przemówienie leutnanta trafia nam od razu do serca. Mówi on: „Nie strzelajcie ludzi niewinnych, lecz widzicie, że na wsi każdy Ukrainiec jest bandytą, czy kobieta, czy dziecko”. Toteż pomni jego słów robimy spustoszenie we wsi, każdego chłopca ukr[aińskiego] wyprowadzamy i strzelamy. Jest to wszystko jeszcze niczym w porównaniu z leutn[antem]. Nie wydaje on żadnych rozkazów, tylko na własną rękę strzela Ukraińców, chcąc przewyższyć nas wszystkich.

Wracamy z obfitym łupem, prowadzimy krowy i konie, świnie na furach, które później nasz d[owód]ca cierpliwie oddawał wszystkim Ukraińcom przychodzącym z płaczem i skargą. Ukraińcy wnoszą skargę do Stadthauptmanna [starosty miejskiego]. Wynikiem czego dostajemy ostrą naganę od naszego d[owód]cy.

Należy dodać, że kwaterujemy w zamku i zajmujemy tylko część jego. Jedno skrzydło zajmuje ukr[aińska] uprawa [zarząd] i inne urzędy ukr[aińskie]. Przez cały dzień, mimo że początki maja są dość zimne, słuchają przez otwarte okno, co mówi się u nas na każdej zbiorce. Dowódca nasz nie tylko nie zabrania tego, ale umyślnie strofuje nas głośno, ażeby oni słyszeli. Ustawicznie dostajemy naganę, aby udowodnić, że Niemcy są w porządku, że zabraniają nam tego, a tylko my jesteśmy winni. Po każdym wypadku, po powrocie, na dziedzińcu na oczach Ukr[aińców] urzędnika rewizję osobistą, czy kto czego nie zabrał z chałup

ukr[aińskich]. Wydaje śmieszne zarządzenia.

Zabrania nam – podczas działania – wchodzić do domów Ukr[aińców]; rewizje przeprowadzają sami Niemcy, które wyglądają w ten sposób, że Niemcy wchodzi do chałup, grzecznie pozdrawiają ich słowem „Zdrastwujcie” – potem [Niemiec] pyta się „Keine Bandit?”. Na co zasympują go całym potokiem usprawiedliwień i zapewnień o swej niewinności. W takim razie jest już wszystko dobrze, [Niemiec] każe sobie dać mleka, chleba z masłem, a później częstuje dzieci ukr[aińskie] cukierkami (które należą się nam, a których nam nie dają) i wychodzi, żegnając się i żegnany przyjacielsko. W ten sposób [Niemcy] chcą zaskarbić sobie przyjaźń Ukraińców, aby kiedyś oszczędzono tylko ich.

Dalej idiotyczny rozkaz: nie wolno nam strzelać, chyba że otrzymujemy pierwsi ogień. Oczywiście nikt nie stosuje się do tych zarządzeń. Codziennie słyszymy o bestialskich mordach stosowanych na Polakach po okolicznych wsiach. Udzielamy im pierwszej pomocy, to znaczy dzieci, młodzi chłopcy, którzy zdołali uciec, dostają jeść, nocują, następnie odstawiamy je do Łucka, gdzie w dalszym ciągu mają się nimi zaopiekować władze niemieckie. Po każdej takiej wiadomości wyruszamy natychmiast na miejsce zbrodni. Ale działania te są bezcelową stratą czasu. Przyjeżdżamy furmankami w pełnym uzbrojeniu (3 granatniki, 2 ckm-y, 7 lkm-ów), ale dowódca nie ma żadnego planu, względnie unika potyczki, gdyż Niemcy panicznie boją się Ukr[aińców]. Wchodzimy do wsi, podczas gdy Ukr[aińcy] wszysej uciekają przez pola w przeciwnym kierunku, nam zaś nie wolno za nimi strzelać. Zostają tylko stare baby i dziady, którzy nie mogą uciekać i ze łzami w oczach lamentują, przeklinając swych synów i braci. Kończy się na tym, że rekwirujemy z próżnego domu 2–3 świnie, parę krów i koni i karawaną wracamy z powrotem. Tak wygląda każdy wypad.

Pewnego razu przybiega do nas dziewczynka dwunastoletnia z płaczem, że całe jej rodzeństwo wymordowali i około dwudziestu rodzin polskich błąka się po lasach i polach. Szybko przeprowadzamy alarm i wyruszamy furmankami na miejsce. Jest to wieś Stryłki, 4 km od Klewania, tu oczom naszym przedstawia się obraz straszny. Zgliszcza dymią się jeszcze. Napad był o drugiej w nocy. O jedenastej rano byliśmy na miejscu. Po przybyciu naszym zaczynają się schodzić ludzie,

którzy zdołali uciec. Z lamentem przypadają do swych małych dzieci, które leżą w kałuży krwi. Większość pomordowanych spalona jest wśród gruzów. Znajdujemy też dużo ofiar leżących koło domów. Wszyscy są w okrutny sposób męczeni. Mężczyźni z oderzniętymi genitaliami, kobietom wpychają flaszki, kamienie. Obrzynają palce, języki, nosy, wbijają kolki drewniane w mózg lub szyję. Ustalić liczby pomordowanych nie sposób.

Rekwirujemy ukr[aińskie] furmanki i ewakuujemy na nich resztę Polaków (około 30 ludzi). Po drodze przyłączają się inni Polacy. Kolumna wydłuża się coraz bardziej, niebezpieczeństwo napadu coraz większe. Ukraińcy, którzy na nasz widok wycofali się nie dalej jak 300 metrów w pole, obserwują nas. Widząc olbrzymią kolumnę fur, mają czas wyprzedzić nas i urządzić zasadzkę, tym bardziej że wciąż zatrzymujemy się i zabieramy nowych. Dojeżdżamy do cementarza, skąd otrzymujemy gwałtowny ogień z trzech stron. Ukraińcy sięją z samych automatów (rosyjskie finki). Szpica pada na miejscu. Wywiązuje się ciężka walka – gdyż znajdujemy się na gołej i równej drodze – która trwa dwie godziny. Wyrzucamy wszystkie rakiety o pomoc, ale bezskutecznie. Z beznadziejnej sytuacji ratuje nas dopiero samolot, który przypadkowo zauważył walkę. Lecz nie mamy już rakiet i nie możemy mu wskazać celu. Toteż samolot ten zaczyna rzucać bomby lekkiego kalibru i ostrzeliwać z karabinu maszynowego na ślepo. Dwie bomby padają na tyły naszego taboru i ranią śmiertelnie dwóch naszych furmanów, cywilów. Samolot ten więcej sięje po nas jak po bandytach, którzy są całkiem ukryci, ale sam prestiż robi swoje i Ukraińcy w bezładzie zaczynają uciekać².

Teraz mamy i cel otwarty i widzimy doskonale masy czarnych Schutzmannów, naszych sąsiadów, w hełmach i pełnym uzbrojeniu. Skierowujemy gwałtowny ogień na uciekających w bezładzie. Widzimy, że wielu z nich pada, ale nie możemy ścigać ich, mamy pięciu zabitych i dwóch rannych. Nie licząc cywilów, wśród których samolot również zrobił spustoszenie. Wracamy do koszar, po drodze strzelamy do każdej chałupy w okno. Na miejscu dowiadujemy się, że odgłosy walki słychać było doskonale, lecz dowódca kazał wartownikowi wypatrywać na horyzoncie czerwonej rakiety, którą przysłaniały wzgórza i drzewa.

Na drugi dzień z Łucka wyjeżdża dowódca batalionu, opowiadamy mu przebieg walki i błędy

dowódcy, który wysłał w zagrożone miejsce pluton ludzi i po zaatakowaniu tych czeka na rakiety, zamiast wysłać pomoc natychmiast.

W dalszym ciągu opowiadamy o naszych spostrzeżeniach, o tym, że wśród bandytów był cały batalion czarnych Schutzmannów z Klewania. W międzyczasie ludzie zeznali, że widzieli czarnych owego dnia, jak wyruszyli w pół godziny po nas w przeciwnym kierunku, gdzie później okrężną drogą stanęli naprzeciw nas. Dalej zeznają ludzie, że bezpośrednio przed napadem widzieli masy Ukraińców z pobliskich wiosek, którzy wchodzili do koszar Ukraińców i wynosili broń i amunicję stamtąd. Wszystko to opowiadamy dowódcy batalionu; wszczynana dochodzenie w tej sprawie, które – o ile nam wiadomo – nie odniosło żadnych skutków. W walce tej zaginęło sześciu ukraińskich Schutzmannów.

Dla usprawiedliwienia ich Ukraińcy urządzili wypad i wysłali meldunki do władz o tym, że natknęli się na bandytów i [w] walce stracili sześciu ludzi. Było to bardzo niezręczne kłamstwo, bo wszystkim wiadome było, że jeździli oni na wieś po to, by zaopatrywać swych w broń i amunicję i wracali pijani, nigdy nie napotykać na żadną przeszkodę. Byliśmy wszyscy pewni, że po tym wszystkim rozbroją ich i wszystkich do obozu wysła. Ale myliliśmy się.

Pogrzeb naszych pięciu kolegów był bardzo piękny. Nawet Niemcy dołożyli wszelkich starań, by pogrzeb ten wypadł uroczysto. Moment przed wyruszeniem konduktu był przepiękny. Nasi polegli koledzy leżą na podwyższeniu, toną oni wprost w powodzi kwiatów i wieńców, które ofiarowała wdzięczna bez granic ludność polska. Wokół nich cisną się niezliczone tłumy Polaków, by oddać ostatnią przysługę i hołd tym, którzy zginęli w obronie Polaków. Jedni szlochają głośno, drudzy obrzucają ich kwiatami, inni klęczą w milczeniu, zastygnięci w modlitwie. Wchodzi d[owód]ca kompanii i leutnant d[owód]ca drugiego polskiego Schutzmannschaftu, nazwany przez nas Żbikiem. Wypróbowany przyjaciel, który nie raz dawał dowód swej przyjaźni Polakom. Jedyne Niemiec, który poznał się na zdradzie i podłości Ukraińców, lecz nie bał się tego wyjawiać na każdym kroku i kosił niezmordowanie Ukraińców, nie zwracając uwagi na protesty swych zwierzchników.

Przemawia nasz d[owód]ca kompanii. Przemawia on jak zwykle przemawia d[owód]ca

w takim momencie – o żalu za kolegami, którzy byli dobrymi żołnierzami. W dalszym ciągu powiada on: „Zginęli oni z rąk ludzi, którzy zostali zbałamuceni agitacją żydo-bolszewicką i naszym zadaniem jest nie walczyć z tym właśnie zbałamuconym narodem, lecz właśnie z tymi podżegaczami bolszewickimi”. Z tym idiotyzmem nie mógł się pogodzić nawet kolega jego, leutnant Żbik, który występuje z energicznym protestem i zarzuca mu wprost kłam. Wyprowadza spośród swej świty tłumacza, który jota w jotę tłumaczy: „Tu nie wchodzi w grę żadna bolszewicka robota. Tu sprawcami są tylko bandyci, ukr[aińscy] nacjonalści, z którymi właśnie będziemy walczyć i śmierć naszych braci pomnożymy z nawiązką”. Dalej stawia zarzut d[owód]cy naszemu, który również powiedział, że znajdujemy się na Ukrainie i naszym obowiązkiem jest podnieść tutaj kulturę, która została wypaczona bolszewickim reżimem. Twierdzi on: „Tu nie ma żadnej ukr[aińskiej] kultury. Tu jest tylko odwieczna kultura polska, kultura zachodnia, a Ukraińcy byli i są tu chwastem zdolnym tylko do bandyctwa”. Kończy swą mowę propozycją uczczenia pamięci poległych trzynastominutowym milczeniem. Dowódca nasz, zmieszany, wydaje dalsze komendy i pogrzeb odbywa się bez żadnych specjalnych zajęć.

Wkrótce nastąpił wypadek, który nas całkowicie załamał. Dostaliśmy wiadomość od Polaków, że dróżnik kolejowy, Ukrainiec, ma u siebie w domu ładunki wybuchowe, którymi wysadza pociągi. Przeprowadziliśmy u niego rewizję, ale nie znaleźliśmy nic. Poczuliśmy go bić tak długo, dopokąd się nie przyznał, [że] ładunki te ma zakopane obok swej budki. Zażądaliśmy, żeby prowadził nas tam.

Droga wypadła nam obok szkoły, gdzie koszarował ukraiński Schutzmannschaft. Tuż obok tej szkoły przybiegli do nas Polacy, skarżąc się, że ukr[aińscy] Schutzmanni strzelali z podwórza na pobliski cmentarz, gdzie akuratnie chowali kilku pomordowanych Polaków. Było nas siedmiu i ósmy – dowódca ekspedycji, Niemiec, który wziął czterech i poszedł sprawdzić tę rzecz do Ukraińców. Wówczas to Schutzmanni ukr[aińscy] dali znak naszemu więźniowi, żeby uciekał do nich, gdyż dzieliło go od nich 30 kroków. Podeszli oni bliżej do nas, tworząc w ten sposób luźny szpaler i w pewnym momencie więzień, którego eskortowaliśmy, zaczął uciekać, na co jeden z nas momentalnie, w myśl przepisów, zmierzył się

i wystrzelił za nim, raniąc go w nogę. Widząc, że ucieka on w dalszym ciągu, podbiegł za nim i trafił go drugi raz. Widząc, że dalej ucieka, trafia go śmiertelnie już na podwórzu ukr[aińskim].

Wówczas Ukraińcy rzucili się na nas wszystkich, rozbroili nas z broni i z przekleństwem zaczęli nas okładać kolbami po głowach i po plecach, gdzie popadło. Pokrwawionych i pobitych wtrącili nas do piwnicy, gdzie wkrótce przyprowadzili resztę – czterech naszych wraz z Niemcem, i zaczęli wszystkich nas bić z dziką furią, krzycząc: „Wy przekłete Lachy, wy będziecie mordować naszych niewinnych braci? My was wszystkich wyróżniemy. Wyście tu przyjechali na Ukrainę i myślicie, że wyedziecie do Polski, na was już wyrok podpisany” – i jeden z nich wyjął nóż rzeźnicki i targnął się na jednego z nas, na co nasz Niemiec zareagował, stając w naszej obronie. Ale i nad nim nie zastanawiano się, pobito go do krwi łańcuchem. Na to wszedł ich dowódca i rzekomo kazał im zaprzestać bić nas i wyszedł, towarzysz zaś jego, oficer, został i odezwał się: „Nie bijcie tych przeklętych Lachów, my ich będziemy żywcem przypiekać razem z ich Niemcami” – i wyszedł. Rozbestwieni Ukraińcy dalej szaleli, plując nam w twarz, bijąc i kopiąc nas nieludzko.

Tymczasem [ci], którzy przechodzili drogą i widzieli początek tego zajścia, donieśli o wszystkim naszym. Dowódca nasz z trzema podoficerami niemieckimi wyruszył do nich, żądając natychmiastowego wypuszczenia nas. Na co ukr[aiński] dowódca odpowiedział, że on tutaj jest dowódcą i jeżeli będzie uważał za stosowne, to wypuści nas, lub jeżeli będziemy winni, to karze wszystkich wystrzelać i nikt tu nie ma nic do gadania.

Dowódca nasz wyszedł nie nie wskórawszy i zatelefonował do Łucka do dowódcy batalionu, donosząc o całym wypadku. Zaś ukr[aiński] zaalarmował cały swój batalion. Rozkazał wszystkim iść na posterunki, następnie nastawił granatnik na nasze koszary, zaś ciężkie karabiny maszynowe umieścił w oknach na I piętrze, mając w ten sposób obstrzał, w razie gdyby kompania nasza zaatakowała ich w celu odbicia jeńców.

Do tego jednak nie doszło, gdyż za 15 minut przyjechały z Łucka trzy pancerne samochody z oficerami SS-D.S. i naszym dowódcą batal[ionu]. Dow[ód]ca batal[ionu] hptm. Weidlich rozwścieczony wpadł do pokoju dowódcy ukr[aińskiego] i przykładając mu pistolet do łba, począł rękoma bić go po twarzy. Zaraz też wypuszczono

nas z piwnicy pokrwawionych i pobitych. W dalszym ciągu dał znać telefonicznie Generaloberstowi SS u[nd] Polizei w Równem, który natychmiast przyleciał samolotem do Klewania. Zładował na pobliskim bloniu i najpierw poszedł do ukr[aińskiego] batalionu, gdzie zabawił przeszło godzinę. Charakterystyczne było powitanie nasze generała.

Ustawiono nas na podwórzu w szeregu i przeciwczono okrzyk powitalny. Miał on brzmieć na powitanie generała: „*Heil Kompanie! Heil General!*”. Długo czekaliśmy na generała, w końcu zjawił się, dowódca kompan[ii] dał komendę: „Baczność, w prawo patrz!”, następnie meldował: „Panie generale, melduję kompanię z 135 ludźmi, w tym 22 polskich podoficerów i 15 niem[ieckich] podoficerów”. Odpowiedź brzmiała: „*Dank, wo sind die deutsche Unterführer?*”. „*Hier!*” – krzyknął najstarszy z nich, gdyż stali oni na prawym skrzydle; i podnosząc rękę [generał], powitał ich: „*Heil Hitler!*”. Z nami nie przywitał się w ogóle, kazał dowódcy kompanii dać „rozejść się”. Następnie podał rękę dowódcy kompanii, każąc wprowadzić się na konferencję do kancelarii. Konferencja ta trwała dokładnie siedem minut, co potem potwierdzili niem[ieccy] podoficerowie, którzy również byli niezadowoleni obejściem się generała. Co powiedział generał, nie wiedzieliśmy.

W każdym razie po odejściu jego kazali nam zaraz pakować wszystko i na drugi dzień wyjechaliśmy z Klewania samochodami do Torczyna, 23 km od Klewania. Tu na samym wstępie dowódca kompanii ma przemówienie: „Dostajecie pomieszczenie w miasteczku, gdzie większość jest Polaków. Nie jest tu również tak niebezpiecznie, bo w pobliżu stoi kompania niem[ieckiego] Wehrmachtu, a więc pilnujcie się i nie zróbcie znowuż jakiego świństwa, żeby was znowu stąd nie wyrzucili”.

Słowa jego wywarły na nas przykre wrażenie, pocieszaliśmy się jednak myślą, że wkrótce powróci z urlopu oberleutnant – nasz stary dowódca komp[anii], który wyjechał na urlop jeszcze w Rosji.

Jeszcze parę wypadów na wsie ukr[aińskie], gdzie nie napotykałyśmy nigdy na bandytów. Włóczymy się bezcelowo po wsiach, widząc, że za każdym razem bandyci uciekają ze wsi na nasz widok w przeciwnym kierunku i mimo to dowódca nasz nigdy nie stara się okrążyć wsi – mimo że

ma pewne meldunki, że w danej wsi znajdują się bandyci. We wsiach, które przechodzimy, widzimy stanowiska w ziemi na karabiny maszynowe, szyny lub koła samochodowe umieszczone na drzewie, którymi alarmują wieś na nasze przybycie. W każdej wsi widzimy kopce z krzyżami, na których widnieją napisy: „Pamięci bohaterów poległych w walce o samoistną Ukrainę”³.

Razu jednego chcieliśmy zwalić taki kopiec, w czym przeszkodził nam nasz d[owód]ca, twierdząc, że jest to ukr[aiński] nacjonalny pomnik i nie wolno im tego niszczyć.

W końcu przyjeżdża nasz stary dowódca, oberleutnant, którego przywitaliśmy bardzo szczerze. Opowiadamy mu o wszystkich dziwactwach jego poprzednika, gdyż był z nami w dość przyjacielskiej komitywie. Zapewnia on nas, że wszystko się zmieni.

W Torczynie na jednej z ulic jest mały sztydzik „*Ukrainische Schutzmannschaft*”, a w domu tym jest trzech Schutzmannów. Dowiadujemy się, że na krótko przed naszym przybyciem uciekła cała kompania tych Schutzmannów do lasu i tylko trzech powróciło na odezwe niemiecką. Do końca naszego pobytu nie powrócił ani jeden.

W czerwcu 1943 wyjeżdża cały batalion nasz na nowe miejsce. Przyjeżdżamy do Janowej Doliny, gdzie zakwaterujemy się wraz ze sztabem batalionowym. Zmieniamy litewski Schutzmannschaft, który – jak później dowiedzieliśmy się – handlował z Ukraińcami bronią za wódkę.

Na odcinku Janowa Dolina – Stepań były dwa bataliony litewskie. Na skutek ich meldunków, że odcinek ten jest całkowicie oczyszczony z bandytów, zajmuje nasza kompania Stützpunkt w Janowej Dolinie, a III kompania w Stepaniu, zaś między Janową Dol[iną] a Stepaniem Stützpunkt w Japołoci zostaje zniesiony. W ten sposób dostajemy się w dobrze przygotowane centrum bandy ukr[aińskiej].

Janowa Dolina jest całkiem spalona, zostały tu trzy uliczki całe. Według relacji Polaków, w Wielkanoc roku 1943 Ukraińcy napadli na miasteczko to, które spalili całkowicie, zaś ludność wymordowali. Zginęło tu przeszło półtora tysiąca Polaków⁴. Ukr[aińcy] operowali tam wówczas wszelką bronią ciężką i lekką, nawet granatnikami. W takie to miejsce dostaliśmy się, rzekomo zupełnie oczyszczone. Podczas czteromiesięcznego pobytu w [tej] miejscowości straciliśmy 48 ludzi – dzięki szaleństwu naszego dowódcy

batal[ionu], który wysyłał pluton ludzi na patrol. Patrol ten wpadał w ciężką zasadzkę, z którego [plutonu] powracało sześciu ludzi.

Pewnego razu dostaliśmy ważny rozkaz nawiązania łączności z odciętą III kompanią w Stepaniu. Wyruszyliśmy na dwóch samochodach w 30 ludzi, w tym 20 niem[ieckich] podoficerów i 10 nas. W drodze natrafiiliśmy na rozebrany most, wskutek czego musieliśmy wrócić. W drodze powrotnej natrafiiliśmy w Japołoci na miny, które eksplodowały przed samochodami. Dostaliśmy się w zasadzkę z trzech stron. Z zasadzki tej wyszło nas sześciu, w tym trzech rannych. Pomoc, która do nas dotarła, była już całkiem opóźniona. Pozbierała ona tylko trupy, które były odarte z mundurów i zmasakrowane. Każdy był ranny i mordowany później – mieli oni nosy poodrywane, palce, które później do ust im wpychano – lub żywcem w płonące auta rzucony. Z zasadzki tej uszedł cudem z nami nasz dow[ódca] komp[aniai], który chcąc zatrzeć wrażenie fatalnej porażki, urządził w kompanii pijatykę, w trakcie której wygłosił do nas mowę na temat naszej porażki. Zakończył on przyrzeczeniem, że od dzisiejszego dnia nie znamy litości dla Ukraińców. Obojętne, czy to będzie kobieta, czy dziecko. Przyrzekamy mu również to. Od dnia dzisiejszego krwawo znamy swe ślady.

Wieś Połudźne zostaje okrażona i spalona, ludność wystrzelana. Złazno – spalona do jednej chałupy. Wieś Stawki, na pół spalona przez nas, zdobywa się na kontratak i zmusza całą naszą kompanię do wycofania się. Wieś Japołoc, miejsce trzykrotnej zasadzki, spalona, kobiety, dzieci wystrzelane.

Wypadamy z lasu zniemacka na wsie i robimy gruntowne czystki. Silne ognisko bandyckie, wieś Hołowin, również po zasadzce, po części spalona. Palimy w każdej wsi w pierwszym rzędzie młyny i cerkwie, tak że wkrótce w promieniu kilkunastu kilometrów nie ma nigdzie młyna, ani cerkwi, ani popa, jak również niszczymy kopce-pomniki.

Jednak w końcu Ukraińcy dochodzą do głosu. Skupiają swe siły i paraliżują nasze ruchy. Kompania staje [się] za małą jednostką do operowania. Dowództwo batalionu przenosi swą siedzibę do Kostopola. Odtąd noc w noc napadają Ukraińcy, ostrzeliwując silnie nasze baraki. Walczą oni tylko maszynowymi pistoletami. Przeżywamy istne piekło. Zdobywamy się tylko na sporadyczne wypadki z lasu na pobliskie wsie.

Urządzamy gwałtowną strzelaninę, ładujemy parę krów lub świń na furę i wycofujemy się. Tracimy łączność z Kostopolem. Tor na całym odcinku [...] grubymi drzewami. [...] Koszary nasze są jednak [...] dokoła palisadą, bunkrami i gęstymi [...] przyjeżdża do nas komp[ania] niemiecka zmotoryzowana [...] Z ciężkim trudem dostają się do nas auta. Zaczynamy budować lotnisko. Dalej tracimy elektrownię, a wraz z nią i wodę, której nie ma nigdzie. Jedyna pompa wodociągowa zapatruje nas w wodę tylko do kuchni. Wynikiem tego wszystkiego są wшы i brud.

Kompania III zmuszona jest do wycofania się ze Stepania. Zostajemy sami bez szans istnienia. Dowództwo jednak nie chce się zgodzić na wycofanie nas stąd. Dostajemy większą ilość broni ciężkiej, granatniki i działko. Conocene napady wciąż zabierają nam po jednym człowieku. Kompania, zdziesiątkowana, dostaje rekrutów na uzupełnienie – Wołyniaków, szkolimy ich u siebie. Wraz z nimi przychodzą do nas tabory konne. I po czteromiesięcznym pobycie w Janowej Dolinie wyjeżdżamy, uprzednio spaliwszy most na Horyniu i koszary swe. Wyjeżdżamy do Derażnego na pomoc II kompanii, która – podobnie jak my w Janowej Dolinie – jest atakowana co noc.

Podczas pierwszego ataku nocnego za naszej bytności dowódca nasz wysłał dwie grupy na miasto, jako tzw. Ochtostrupp, które po ostrzelaniu zapalają na końcu miasteczka osadę ukr[aińską]. 29 chałup wraz ze stodołami zostało spalonych i ośmiu zabitych. Odtąd napady już nie powtarzają się. Do końca panuje spokój.

Po dwóch miesiącach wyjeżdżamy z Derażnego, ponieważ II kompania nawiązała łączność z polskimi oddziałami dywersyjnymi, które operują wraz z rosyjską partyzantką. Usiłują oni przyciągnąć II kompanię do siebie. Wyjeżdżamy pierwsi i docieramy do Kostopola. Na drugi dzień wyjeżdża II kompania, w połowie drogi natrafia na partyzantkę rosyjską, która chce bez strzału wziąć całą kompanię do siebie. Kompania jest przekonana, że ma do czynienia z Ukraińcami i zasypuje ich kulami. Bolszewicy wzywają do zaprzestania ognia, na co odpowiadają jeszcze gęstsze salwy ognia. Wówczas oto bolszewicy przechodzą do ataku i rozbijają w puch całą kompanię. Połowa kompanii pada na miejscu, tabory wraz z całym uzbrojeniem wpadają w ręce bolszewików. Kompletnie wyposażenie, mundury, tornistry, buty, wszystko wpada w ich ręce.

Na drugi dzień wyruszają wszystkie siły na poszukiwanie zguby. Około trzech tysięcy wojska wyrusza, w wyniku czego przywożą tylko trupy, uznając, że bezcelowym jest szukanie wiatru w polu.

W Kostopolu zostaje cały batalion. Kontynuujemy w dalszym ciągu myśliwskie wypadki. O 3 km od Kostopola, we wsi Jankiewicze rozbita zostaje kompania niemiecka i również traci wszystkie uprzęż i tabory. Odtąd operujemy całym batalionem przy współudziale SS i Schutzpol[izei].

Niemcy już też poznali się na Ukraińcach i nie zastanawiają się wiele nad zastrzeleniem Ukraińca.

W październiku 1943 kompania nasza bierze udział w wielkim kotle, jaki tworzą w rejonie Sarny–Czartorysk–Kołki. W akcji tej bierze udział 6000 policji, która przyjechała ze wszystkich stron, oraz bombowce, które bombardują za porządkiem wsie i lasy. Zadaniem naszym jest niszczyć rozproszoną ludność ukraińską, idąc szeroką tyralierą. Nie natrafiamy na żaden opór. Aczkolwiek zostaje rozbita komp[ania] niemiecka Schutzpol[izei], która natrafia na obóz partyzantki rosyjskiej. Traci ona tabory wraz z radiostacją ruchomą, działkiem i bronią ciężką.

Wracamy do Kostopola po całomiesięcznej bezcelowej tułaczce. Do świąt już mamy jaki taki odpoczynek. Po świątach jeden doskonale udany wypad na wieś Berestowiec, gdzie chwytno przeszło stu bandytów i [...] aż do czasu, kiedy jak grom spadają bolszewicy.

Dnia 10 stycznia 1944 wyjeżdżamy ze wszystkim do Janowej Doliny, ażeby zbudować nowy most, który spaliliśmy kiedyś. Po zbudowaniu mostu wracamy do Kostopola ładować się na pociąg. W Kostopolu zastajemy już bolszewików. W mieście panika i popłoch. Niemcy zostawiają wszystko i uciekają. Przyłączamy się i my do kolumny i maszerujemy w kierunku Janowej Doliny przez Kiwerce, Ołykę do Klewania. W Klewaniu dostajemy rozkaz cofnięcia się z powrotem pod Równe. Dostajemy się do Aleksandrii, gdzie batalion nasz zostaje rozbity przez armię rosyjską. Powiedziano nam, że z naszej lewej i prawej strony idą z nami pancerne oddziały SS. W istocie byliśmy [sami] na odcinku stu kilometrów. Można było jedynie zauważyć bezładną ucieczkę Niemców i całkowity brak oporu z ich strony.

Po rozbiciu batalion nasz rozsypał się, część uciekła, a część skompletowano i w liczbie

150 [ludzi] wycofano do Lwowa, skąd wyjechali dalej do Niemiec. Według pogłosek znajdują się oni prawdopodobnie teraz we Francji.

Przez cały okres naszej służby w Schutzmannschaft byliśmy zespoleni ze sobą i dążyliśmy do swych celów. Już to planowaliśmy ucieczkę lub połączenie się z jakimiś oddziałami polskimi, a w każdym razie nie daliśmy się uczynić powolnymi Niemcom. I kiedy użyli nas do linii frontowej, całymi grupami wycofywaliśmy się, chociaż Niemcy kilkakrotnie zbierali nas i nazad do linii transportowali. Przeszkadzali nam w tym zdrajcy, którzy zaprzęдали się Niemcom.

W pierwszym rzędzie szpieg-donosiciel ordynans dowódcy komp[anii] Sprenger Józef, unterkorporal, volksdeutscher z Częstochowy, który donosił o każdym słowie Niemcom. Był to jawny szpieg, który się nie krył z tym, lecz był dumnym z tego i uważał się za Niemca, wypierając się polskości.

Dalej zdrajca, polski szef kompanii Konieczny Jan, kompaniefeldwebel, znieawidzony tyran, gorliwszy wykonawca rygorów niem[ieckich] niż sami Niemcy. Na co Niemcy sami patrzyli przez palce, on sam żądał ukarania. Po naszej stronie rzekomo idący, w rozmowie przeklinał i psioczył [na] Niemców – po to, by potem donieść o nastrojach naszych Niemcom. Każdorazowo naszym przydziałem wódki i cukierków dzielił się z Niemcami, na siebie biorąc odpowiedzialność za to, gdyż był on pośrednikiem w takich sprawach między nami a Niemcami. Kiedy żądaliśmy od niego, żeby interweniował w tej sprawie u Niemców, radził nam siedzieć cicho i nie dopominać się o nic. „Gdyż wiecie – mawiał – że jesteście Polakami i musicie być zadowoleni, co wam dają, gdyż w przeciwnym razie możecie znaleźć się wszyscy

w obozie”. Do Niemców zaś mówił, żeby nie bali się nic, że on to wszystko załatwi, a my nie pójdziemy do dowódcy na skargę, gdyż żaden z nas nie umie tej wódki pić. Nam dać tylko samogonu. To samo z papierosami – że wolimy palić liście, a papierosów nigdy nie paliliśmy takich.

Dalej Flisiński Józef, kompaniefeldwebel, korektor listów, który wtrącił kilkunastu chłopaków do więzienia za pisanie nieodpowiednich rzeczy w listach. Mógł on całkiem śmiało zniszczyć te listy, gdyż miał całkiem wolną rękę. Nieodstępny towarzysz Koniecznego, wykonawca jego pomysłów, obecnie znajduje się we Lwowie w szpitalu na Snopkowskiej ze skręconą nogą.

Trzeci z tej samej paczki – vicefeldwebel Siniacki Ludwik z Baranowa Sandomierskiego: donosiciel pragnący zrobić karierę w Schutzmann[schafcie]. W Rosji zadenuncjował czterech kolegów, którzy rozmawiali z partyzantami, za co zostali rozstrzelani. Obecnie zameldował Niemcom o każdym, który zdezerterował z frontu. Będąc dowódcą taborów, spotkał kilka grup na dworcu w Dubnie, które uciekały do Lwowa – o każdym doniósł Niemcom. Wraz z nim brat jego Siniacki [sic!] Jan, unterkorp[oral], ostry rzekomo przeciwnik Niemców; donosi swemu bratu o wszystkim, o każdym słowie, który znów dalej donosi Niemcom.

LWÓW, MARZEC 1944

PODALI DO DRUKU

Grzegorz Motyka i Marek Wierzbicki

Materiał pochodzi z „Karty” 24/1998.

¹ Zdaniem historyka wołyńskiej AK i zarazem świadka ówczesnych wydarzeń, policjanci byli ubrani w mundury radzieckie. Wincenty Romanowski, *ZWZ-AK na Wołyniu 1939–1944*, Lublin 1993, s. 96.

² Opis tego starcia w dokumentach UPA, zob. „Karta” 23, s. 55.

³ Zwyczaj sypania przez Ukraińców symbolicznych mogił sięga czasów Rusi Kijowskiej i Kozaczyzny. W okresie międzywojennym i w czasie wojny często sypano mogiły na pamiątkę odrodzenia się państwa ukraińskiego w 1918 roku.

⁴ W Janowej Dolinie w nocy 21/22 kwietnia 1943 oddziały UPA zabiły około 600 Polaków. Według niepotwierdzonej wersji, UPA pomagała jedna z kompanii pomocniczych policji litewskiej wspomnianych w relacji. Miało to się jakoby przyczynić do wycofania przez Niemców oddziałów litewskich z Wołynia.

⁵ Następują ubytki w tekście maszynopisu z powodu uszkodzenia oryginału. (Red.)

PLAN: WYKARCZOWAĆ

Grzegorz Motyka

Tarnoszyn, woj. lwowskie.
18 marca 1944. Polacy zabici
przez Ukraińców



Powstała w 1929 roku Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów (od 1940 roku podzielona na frakcje melnykowców i banderowców) stawiała sobie za cel stworzenie „niepodległego i zjednoczonego”, ale także monoetnicznego i monopartyjnego państwa ukraińskiego. Początkowo swoją szansę członkowie OUN upatrywali w sojuszu z III Rzeszą, jednak Niemcy nie uznali stworzonego w czerwcu 1941 przez banderowców (OUN-B) rządu, osadzając wielu jego członków (w tym samego Banderę) w obozach koncentracyjnych, a organizację zmuszając do ponownego zejścia do konspiracji. Okupowane ziemie ukraińskie podlegały bezwzględnemu wyzyskowi gospodarczemu, a za najmniejsze przewinienie groziła śmierć.

W październiku 1942 odbyła się w Lwowie konferencja referentów wojennych OUN. Brali w niej udział pełniący obowiązki *prowidnyka* (kierownika) OUN-B Mykoła Łebed', referent wojskowy *provodu* (kierownictwa) OUN Dmytro Hrycaj „Dub”, oficer do specjalnych zadań przy referencie wojskowym OUN Iwan Kłymow „Jewhen Łehenda”, referent wojskowy kraju „Zachód” (Galicja Wschodnia) Łuka Pawłyszyn „Wowk” oraz referent wojskowy kraju „Północ” (Wołyń i Polesie) Wasyl Iwachiw „Som”, „Sonar”. Część uczestników narady opowiedziała się za tworzeniem własnej partyzantki.

Wasyl Iwachiw „Som” stwierdził między innymi: „Stwórzmy armię powstańczą! [...] Jak będziemy mieli siły zbrojne, to nie tylko Polacy, ale i Niemcy zaczną się nas bać”¹. W trakcie narady powołano komisję, która przygotowała szczegółowe plany tworzenia własnych sił zbrojnych i przyszłych działań powstańczych. Najprawdopodobniej przedstawiono je na kolejnym spotkaniu w grudniu 1942. W opracowanych scenariuszach postępowania nie wykluczano walki ze wszystkimi wrogami jednocześnie, między innymi z ZSRR, Polską, Węgrami.

Komisja zastanawiała się też, jak w chwili wybuchu powstania postępować z mniejszościami narodowymi. Jeśli chodzi o Rosjan, to w zasadzie chciano ich pozostawić w spokoju, gdyż, szczególnie ci żyjący na wsi, „złali się z narodem”². Niemniej postanowiono tworzyć spisy rosyjskich aktywistów „walczących z Ukraińcami”³. Po rozpoczęciu otwartej walki

zamierzano ich zlikwidować. W wypadku Żydów zalecano: „Nie należy likwidować, lecz wysiedlić z Ukrainy, dawszy im możliwość wywiezienia czegoś ze swoich rzeczy. Należy się z nimi liczyć, gdyż mają oni duże wpływy w Anglii i Ameryce”⁴.

„Wszystkich Polaków – czytamy dalej – wysiedlić, dając im możliwość wzięcia z sobą tego, co zechcą wziąć, ponieważ ich także będzie bronić Anglia i Ameryka. Tych, którzy nie zechcą wyjechać – likwidować”⁵. Bezwarunkowo zamierzano zlikwidować na dzień przed ogłoszeniem mobilizacji tzw. czynnych Polaków, a więc osoby związane z konspiracją, cieszące się dużym autorytetem społecznym, będące naturalnymi liderami lokalnych społeczności. Odpowiednie listy proskrypcyjne miały zostać sporządzone przez rejonowych i powiatowych dowódców wojskowych. Likwidacją miała zajmować się przede wszystkim żandarmeria i w określonych wypadkach Służba Bezpieczeństwa OUN.

W spokoju zamierzano pozostawić inne mniejszości narodowe, w tym Węgrów, Czechów i Rumunów. Nie dotyczyło to jednak Ormian, których należało „traktować tak jak Żydów, biorąc pod uwagę fakt, że są ludźmi oddanymi Rosji”⁶.

Na grudniowym spotkaniu postanowiono przystąpić do tworzenia partyzantki, tzw. Oddziałów Wojskowych OUN⁷. Informacja o zgodzie kierownictwa OUN-B na tworzenie oddziałów partyzanckich została na Wołyniu przyjęta z ulgą. Od 1942 roku działalnością OUN-B w tym regionie kierował Dmytro Kljaczkiwskyj „Kłym Sa-wur”, referentem politycznym był Jakiw Buseł „Hałyna”. Duży wpływ na decyzje „Kłyma” miał prawdopodobnie Iwan Łytwyńczuk „Dubowyj”, kierujący OUN-B na północno-wschodnim Wołyniu (m.in. powiat Sarny i Kostopol). Właśnie na jego terenie na początku lutego 1943 sformowano z bojówek OUN pierwszą sotnię UPA Hrycia Perekhijnjaka, pseudonim „Dowbeszka-Korobka”.

Nocą 7/8 lutego 1943 sotnia ta przeprowadziła pierwszą akcję zbrojną. Partyzanci zaatakowali Włodzimierzec, zabili Niemca i kilku Kozaków z policji pomocniczej, kilku innych wzięli do niewoli. Spod Włodzimierca sotnia przeszła do zamieszkaną przez 27 polskich rodzin wsi Parośla I. We wsi Ukraińcy przedstawili się jako

oddział partyzantki sowieckiej i zażądali jedzenia. Po posiłku powiedzieli Polakom, iż oddział zamierza dokonać dywersji na kolei i w związku z tym, by uchronić wieś przed niemiecką zemstą, muszą wszystkich skrupować. Obezwładnionych Polaków zabito. Zginęło około 170 mieszkańców Parośli, w tym kilka osób przejeżdżających przez nią przypadkowo⁸.

Akcja sotni Perehijniaka zapewne nieprzypadkowo zbiegła się z naradą wołyńskiej OUN, którą 15 lutego 1943 poprowadził lwachiw w wiosce Piddubce w powiecie łuckim. Omówiono na niej możliwości, jakie posiadała miejscowa organizacja w przypadku ewentualnego zrywu zbrojnego. Mówiono o zintensyfikowaniu działań przeciwko sowieckiej partyzancie. Lwachiw, zgadzając się na zwiększenie liczby oddziałów partyzanckich, zalecał jednocześnie podwładnym, by nie afiszowali się ze swoją działalnością. Stwierdził też: „W Centrali istnieje przekonanie, że czas zbrojnego wystąpienia jeszcze nie nadszedł. Kwestia walki zbrojnej jeszcze nie dojrzała i trzeba się z nią wstrzymać”⁹.

Już wkrótce jednak sytuacja uległa radykalnej zmianie. W dniach 17–23 lutego 1943 w pobliżu Oleska odbyła się III konferencja kierownictwa OUN-B. Delegaci, przekonani, iż wojnę wygrają alianci, opowiadali się za jak najszybszym rozpoczęciem walki z Niemcami. Programowe wystąpienie wygłosił Mychajło Stepianiak. Ostrzegł on, iż ZSRR może wyjść z wojny zwycięsko. Zaproponował rozpoczęcie powstania przeciwko Niemcom, aby uwolnić Ukrainę spod okupacji przed nadejściem Armii Czerwonej. Koncepcja Stepianiaka, jak się wydaje, została zaakceptowana. Postanowiono przystąpić na Wołyniu do otwartych walk partyzanckich, jednocześnie z Niemcami, Polakami i Sowietami.

W marcu 1943 na Wołyniu z niemieckiej służby zdezerterowało około 5 tysięcy ukraińskich policjantów. W większości trafili oni do banderowskiej partyzantki, która przybrała nazwę Ukraińskiej Powstańczej Armii, „podkradając” nazwę tzw. pierwszej UPA, stworzonej przez Tarasa Bulbę-Borowcia¹⁰. Dezerterujący policjanci likwidowali niemieckich dowódców, uwalniali więźniów i zabijali wybranych Polaków, zapewne figurujących na „czarnych listach” OUN. Jednocześnie w marcu 1943 oddziały podległe „Dubowemu” zaczęły napadać na

kolejne polskie miejscowości, między innymi na kolonie Antonówka i Lipniki.

W Wielkim Tygodniu 1943 roku doszło do pierwszej masowej akcji likwidowania polskich miejscowości, która objęła kilka powiatów (kostopolski, krzemieniecki, łucki). Nocą 22/23 kwietnia zaatakowano Janową Dolinę, gdzie zamordowano około 600 Polaków. W akcji brała udział także „pierwsza sotnia” UPA, którą po śmierci Perehijniaka, zabitego w potyczce z Niemcami, dowodził Nikon Semeniuk „Jarema”. W maju i czerwcu ataki były kontynuowane. W sprawozdaniu jednej z sotni pod datami: 3, 4, 15, 19, 23 i 25 maja 1943 zapisano: „Likwidowano kolonie, które współpracują z bolszewikami i Niemcami, własnych strat nie było”¹¹.

W czerwcu „Kłym Sawur” przekazał dowódcom UPA oficjalny rozkaz dotyczący likwidacji Polaków w zachodnich powiatach Wołynia: horochowskim, kowelskim, włodzi-mierskim i lubomelskim. Fakt ten potwierdzają zeznania Jurija Stelmaszczuka „Rudego”, komendanta Okręgu Wojskowego UPA „Turiw”: „W czerwcu 1943 przedstawiciel Centralnego Prowodu OUN «Kłym Sawur» przekazał mi ustnie tajną dyrektywę [...] o fizycznej likwidacji całej ludności polskiej zamieszkałej na terytorium zachodnich obwodów Ukrainy”¹².

11 lipca doszło do masowej akcji przeciwko Polakom na niespotykaną do tej pory skalę. Jednego dnia zaatakowano 99 polskich miejscowości, w tym Poryck (obecnie Pawłówka). Iwan Hriń zeznał: „Brałem udział w rozstrzeliwaniu ludności polskiej, na przykład we wsi Pawłówka”¹³. „[Ciała] do 200 [zabitych] pochowano obok polskiego kościoła. Do tego zmobilizowano miejscowych mieszkańców, [którzy] wykopali wielki dół z zachodniej strony kościoła i tam poznosili zwłoki z kościoła. Zwłoki zostały zakopane w odległości zaledwie 25–30 metrów od kościoła”¹⁴.

W sierpniu oddziały UPA dokonały wielu mordów w powiecie Luboml. Jeden z partyzantów, Stepan Redesza, stwierdził: „Okrążyliśmy pięć polskich wsi, w ciągu nocy i następnego dnia spaliliśmy te wsie, a wszystkich mieszkańców, starych i młodych, wyrzneliśmy – w sumie ponad dwa tysiące osób. [...] Mój pluton brał udział w paleniu jednej wielkiej wsi i przyległego do tej wsi futoru. Wielu Polaków – mężczyzn, kobiet, starców i dzieci – wrzucaliśmy żywcem

do studni, a następnie dobijaliśmy ich, strzelając z broni palnej. Pozostałych kłuliśmy bagnietami, zabijaliśmy siekierami i rozstrzeliwaliśmy. To wszystko robiliśmy pod hasłem: «Morduj polską szlachtę, która napływa na ukraińskie ziemie»¹⁵.

Masakrom towarzyszyły rozkazy „Kłyma Sawura”, nakazujące przeprowadzenie parcelacji zdobytej ziemi wśród ukraińskich chłopów oraz powołanie samorządów.

Nietrudno dostrzec, iż przebieg antypolskich akcji na Wołyniu miał znacznie bardziej krwawy charakter, niż przewidywały to instrukcje przyjęte na wspomnianej naradzie referentów wojskowych. Istnieje wyraźna różnica pomiędzy tym, co ustalono na tej konferencji, a rozkazami „Kłyma Sawura”. Wydaje się, że istnieją dwa możliwe wytłumaczenia powstałych rozbieżności.

Pierwsze – w trakcie III konferencji OUN-B polecono zlikwidować całą polską ludność Wołynia. Za takim rozwiązaniem mogą przemawiać zeznania Zbigniewa Kamińskiego „Dona”, który schwytany przez polski Urząd Bezpieczeństwa stwierdził, że działacze banderowscy na emigracji mają pretensje do Mykoły Łebedzia za wydanie tzw. rozkazu nr 1, który dotyczył „masowej likwidacji ludności polskiej, początkowo na Polesiu i Wołyniu, a później «akcja» ta przerzuca się i na inne tereny»¹⁶. Problem jednak w tym, iż zeznania Kamińskiego budzą wątpliwości. Był on usytuowany stosunkowo nisko w hierarchii SB OUN i trudno przypuszczać, aby miał dostęp do ważniejszych tajemnic organizacji.

Istnieje też inne możliwe wyjaśnienie – bezwzględne zalecenie przymusowego „wysiedlania” Polaków kierownictwo OUN-B na Wołyniu postanowiło z własnej inicjatywy „nagiąć” i całą polską ludność po prostu zlikwidować, bez „bawienia się” w wysyłanie ulotek z nakazami wyjazdu. Skłaniać do tego mogła polska reakcja na wymordowanie Parośli. Po akcji sotni „Dowbeszki-Korobki” polska ludność zaczęła w całej okolicy tworzyć bazy samoobrony. Było zatem jasne, że będzie próbowała stawiać opór.

Jeśli ta hipoteza jest prawdziwa, to odpowiednia decyzja zapadła pomiędzy lutym a początkiem czerwca 1943, najprawdopodobniej w gronie trzech osób: kierującego wołyńską OUN-B „Kłyma Sawura”, referenta wojskowego OUN-B „Soma” oraz „Dubowego”, dowodzącego siłami OUN-B i UPA na

północno-wschodnim Wołyniu, a więc w regionie, gdzie miały miejsce pierwsze masakry polskiej ludności. O tym ostatnim Stepan Janiszewskij zeznał, że był „jednym z inicjatorów i najaktywniejszym organizatorem rozprawy z ludnością polską” i „niejednokrotnie chętnie się swoimi «zasługami» w likwidowaniu Polaków”¹⁷.

Na to drugie wyjaśnienie zdaje się wskazywać także fakt, że krwawy przebieg antypolskiej akcji wywołał kontrowersje nawet wśród samych banderowców. Wspominał o tym w swoich zeznaniach odnośnie do ustaleń III konferencji, składanych sowieckim organom bezpieczeństwa, jeden z członków Centralnego Prowodu OUN Mychajło Stepaniak: „W późniejszym czasie pod wpływem R[omana] Szuchewycza, polityka OUN w kwestii walki zbrojnej odeszła od postanowień konferencji i poszła w kierunku, który w praktyce zastosował na Wołyniu dowódca UPA «Kłym Sawur» – tzn. walki przeciwko czerwonym (sowieckim) partyzantom i Polakom”¹⁸. Według niego, w czasie III Zjazdu OUN-B w sierpniu 1943 razem z Mykołą Łebediem w swoich wystąpieniach twierdzili, że „UPA skompromitowała się swoimi bandyckimi działaniami przeciwko polskiej ludności”¹⁹. Jednak ostatecznie uznano UPA za „podstawowy środek walki o Ukraińskie Państwo”²⁰.

Za tym rozwiązaniem mogą też przemawiać wątpliwości Jurija Stelmaszczuka „Rudego”. Zeznając przed sądem, powiedział: „W [...] czerwcu 1943 roku spotkałem się w lesie kołkowskim z «Kłymem Sawurem» i zastępcą przedstawiciela sztabu głównego dowództwa, Andruszczenką. «Sawur» dał mi rozkaz wymordowania wszystkich Polaków w okręgu kowelskim. [...] Nie miałem prawa nie wykonać rozkazu, zaś na wykonanie nie pozwalały mi osobiste przekonania. Zwróciłem się do Andruszczenki, który powiedział mi, że jest to polecenie nie z centrum, że jest to przekręcenie w terenie” (podkreślenie – G.M.)²¹.

Słuszne wydaje się przekonanie, że wpływ na wołyńskie kierownictwo miała Zagłada Żydów. Pokazała ona, iż całe grupy ludzi można usuwać w sposób absolutny. „Rozwiązanie kwestii żydowskiej” zapewne rodziło pokusę przeprowadzenia podobnej akcji wobec ludności polskiej. Tym bardziej że członkami OUN-B było wielu policjantów zaangażowanych w likwidację ludności żydowskiej.



↑ Lubcza Królewska k. Bełżca, czerwiec 1944. Transport Polaków zabitych i ranionych przez Ukraińców

Jesienią 1943 postanowiono przeprowadzić antypolską akcję, choć w nieco łagodniejszej formie, także w Galicji Wschodniej. Pomiędzy lutym a kwietniem 1944 UPA zaczęła tam atakować kolejne polskie miejscowości. Oficjalne instrukcje nakazywały poprzedzanie ataków wysyłaniem do polskiej ludności ulotek z żądaniem wyjazdu. Dopiero po upływie terminu ultimatum miano atakować – zabijać mężczyzn i palić domy. Kobiety i dzieci nakazywano oszczędzać²². W praktyce ukraińska partyzantka niejednokrotnie atakowała bez uprzedzenia, likwidując wszystkich schwytanych. Zasięg akcji UPA do końca czerwca 1944 objął wszystkie powiaty Galicji Wschodniej. Kontrakcja polskiej partyzantki sprawiła, iż na Lubelszczyźnie powstał wręcz ponad stukilometrowy front polsko-ukraiński²³.

Traf chciał, iż zachowały się dokumenty, z których możemy się dowiedzieć, jak ówczesną sytuację oceniało kierownictwo ukraińskiego podziemia, w tym sam dowódca UPA oraz

kierownik OUN-B Roman Szuchewycz „Taras Czupryna”. Źródłem tej wiedzy jest protokół dyskusji Ukraińskiej Głównej Rady Wyzwoleńczej (UHWR), pomyślanej jako ponadpartyjna nadbudowa polityczna UPA. Zjazd UHWR miał miejsce w lipcu 1944 w Karpatach. W trakcie obrad doszło również do dyskusji na temat relacji z Polską i Polakami.

12 lipca 1944 wieczorem zaproponowano, by jedną z dyskusji poświęcić wyłącznie kwestii polskiej. Propozycję przyjęto jednogłośnie. Jeszcze tego samego dnia Mykoła Lebed' przedstawił raport z rozmów z polskim podziemiem²⁴. Właściwa dyskusja rozpoczęła się następnego dnia. W jej trakcie Wasyl Mudryj przedstawił relacje polsko-ukraińskie w dwudziestolecie międzywojennym i stwierdził, że „tylko siłą” można rozwiązać nabrzmiały konflikt, a Ukraińcy nie mogą zrezygnować z Galicji, gdzie społeczność ukraińska jest najbardziej świadoma narodowościowo. Wasyl Potiszko obciążył odpowiedzialnością za to, co się działo, stronę

polską i uznał, że należy „szukać możliwości obrony przed Polakami, paraliżować ich działania za granicą, ukrywać to, co zrobiono. [...] Nasz naród robi to, co robią wielkie państwa”²⁵.

Lew Szankowski z irytacją stwierdził, że wśród samych Ukraińców pojawiają się opinie, że za stan stosunków polsko-ukraińskich ponoszą winę ukraińscy „młodzi politycy”. Skrytykował metropolitę Szeptyckiego, który „wydał odezwę [do wiernych – przyp. G.M.], nie patrząc na to, że polski biskup niczego nie wydał”²⁶. Zasugerował wydanie Białej Księgi po ukraińsku, polsku i francusku z opisami polskich zbrodni. Według niego, po rozmowach z polskim podziemiem czy rządem nie należało się niczego spodziewać. Jego zdaniem: „Jedyna możliwa z nimi rozmowa – to rozmowa karabinów i dział”²⁷.

Podsumowując dyskusję, Szuchewyc stwierdził: „Z Polakami prowadzimy na północno-zachodnich ziemiach ukraińskich wojnę. Kiedy ukraińska policja na początku 1943 roku przeszła do podziemia, Niemcy skierowali tam polską policję z SS. Polska policja prowadziła z SS operacje, stosując okrutne i nieludzkie metody. Polski element rozproszony na Wołyniu w pełni paraliżował ruch UPA. Odpowiedź na to dała sama ludność Wołynia – przeprowadzili działania w ludność. Polacy zaczęli się bronić. Wówczas zaczęła się likwidacja ludności polskiej na Wołyniu, która zakończyła się latem 1943 [podkreślenie – G.M.]. Ostały się jedynie wyspy pod ochroną niemiecką, wtedy rozwinęła się UPA. [...] Od kwietnia 1944 [...] dowództwo UPA wydało rozkaz wysiedlenia Polaków [z Galicji – G.M.], jeśli sami się nie przesiedlą. Ataki są kontynuowane. [...] Kobiety padały tylko przypadkowo. [...] Na Chełmszczyźnie w marcu i kwietniu tego roku zostało zabitych przez Polaków około 2000 Ukraińców, kobiet i dzieci. [...] Tam nasze oddziały obecnie ochraniają życie Ukraińców i terytorium ukraińskie. [...] Tworzymy dla siebie wygodne pozycje, których nie można osiągnąć przy zielonych stołach [rozmów – G.M.]. Nie damy się oszukać. Ukraińskie masy w naszych rękach”²⁸.

Po wejściu Armii Czerwonej ukraińscy przywódcy szybko się przekonali, że Sowieci traktują niepodległościowe aspiracje Polaków podobnie jak Ukraińców. W związku z tym 1 września 1944 pojawiły się rozkazy wstrzymujące antypolską akcję. Zabraniano w nich

zabijania cywilów, dopuszczając jedynie atakowanie Polaków służących w *istriebitielnych batalionach* (sowieckiej milicji pomocniczej). Pomimo to jeszcze na przełomie 1944/45 roku zniszczono kilkadziesiąt polskich wsi w województwie tarnopolskim. Z kolei w 1947 roku kierownictwo OUN-B zastanawiało się, jak zachować się w przypadku, gdyby po wybuchu III wojny światowej Polacy zaczęli wracać do Galicji Wschodniej.

Okrutne akcje UPA niejednokrotnie wywoływały krwawy polski odwet. Na Wołyniu najwięcej takich akcji przeprowadziła polska policja pomocnicza powołana lub ściągnięta przez Niemców z innych regionów na miejsce dezertujących Ukraińców (zob. „Karta” 24). Ukraińscy cywile ginęli też z rąk polskich partyzantów. Szczególnie krwawy przebieg miała wspomniana przez Szuchewycza akcja polskiego podziemia na Lubelszczyźnie, gdzie w marcu 1944 spalono kilkadziesiąt ukraińskich wsi (między innymi Sahryń i Łasków), zabijając ponad tysiąc Ukraińców – przy własnych stratach jednego zabitego i dwóch–trzech rannych.

Inna duża antyukraińska akcja miała miejsce w lutym–kwietniu 1945 w Rzeszowskim, gdzie także spalono kilkadziesiąt ukraińskich wsi, między innymi Pawłokomę i Małkowice. Jednak – i to jest zasadnicza różnica pomiędzy akcjami polskiej i ukraińskiej partyzantki – były one zawsze inicjatywą lokalnych komendantów podziemia, niejednokrotnie wywołaną chęcią zemsty za tragedie na Wołyniu i w Galicji Wschodniej.

Bilans tych wydarzeń to 80–100 tysięcy Polaków zabitych w trakcie antypolskiej akcji (z czego 40–60 tysięcy na Wołyniu) oraz 10–20 tysięcy Ukraińców, którzy padli ofiarą polskiego odwetu.

Warto przypomnieć, iż ukraińska partyzantka walczyła jednocześnie z Niemcami i Sowietami. Zorganizowany opór na Ukrainie zachodniej wobec władz komunistycznych trwał do 1954 roku, a ostatnia zbrojna grupa podziemia została zlikwidowana w 1960 roku. Według oficjalnych danych, opracowanych w czasach sowieckich, w latach 1944–51 w wyniku represji prowadzonych przez Sowietów w celu zwalczania UPA zabito, aresztowano lub deportowano 450–500 tysięcy mieszkańców zachodnich obwodów Ukrainy. Liczba samych zabitych

wyniosła 155.108 osób, zaś deportowanych 203.662. Represje sowieckie ogarnęły więc prawie każdą ukraińską rodzinę na Ukrainie zachodniej.

W walce zginęło wielu partyzantów UPA odpowiedzialnych za rzezie polskiej ludności. Wasyl Iwachiw został zabity już w maju 1943 w starciu z Niemcami. Dmytro Kljaczkiwśkyj „Kłym Sawur”, niewątpliwie najbardziej odpowiedzialny za antypolską akcję na Wołyniu, wydany przez schwytanego Jurija

Stelmaszczuka „Rudego”, poległ w lutym 1945 w walce z NKWD. Stelmaszczuka nie uratowały zeznania, które złożył sowieckim oficerom bezpieczeństwa – został rozstrzelany w 1946 roku. Dowódca UPA Roman Szuchewycz zginął z bronią w ręku osaczony w marcu 1950 w swojej kryjówce w Biłhoroszczy. W 1951 roku zginął Iwan Łytwyńczuk „Dubowyj”.

—
Grzegorz Motyka

¹ Anatolij Kentij, *Ukraińska Powstańcza Armia w 1942–1943 rr.*, Kyjów 1999, s. 14.

² Państwowe Archiwum Służby Bezpieczeństwa Ukrainy (DA SBU), zespół 13, jednostka archiwalna 372, tom 5, karty 21–38. Fragmenty dokumentu zob.: *Polska i Ukraina w latach trzydziestych–czterdziestych XX wieku*, t. 4, *Polacy i Ukraińcy pomiędzy dwoma systemami totalitarnymi 1942–1945*, cz. 1, Warszawa–Kijów 2005, s. 205–213.

³ Tamże.

⁴ Tamże.

⁵ Tamże.

⁶ Tamże.

⁷ Jurij Kyryczuk, *Narysy z historii ukraińskiego nacionalno-wyzwoleńczego ruchu 40–50 lat XX stulecia*, Lwów 2000, s. 44.

⁸ Na ten temat szerzej w przygotowywanej przez autora monografii *Ukraińska partyzantka 1942–1954*.

⁹ Anatolij Kentij, *Ukraińska...*, s. 20.

¹⁰ Taras Bulba-Borowec stworzył UPA w 1942 roku. W 1943 odrzucił propozycję podporządkowania się kierownictwu OUN-B, m.in. ze względu na stosunek tej formacji do ludności polskiej. Latem 1943 część jego oddziałów została rozbrojona i siłą wcielona do banderowskiej UPA.

¹¹ *Meldunek za miesiąc maj 1943 roku 1 grupy UPA z 5 VII 1943 roku*, w: „Litopys UPA. Nowa seria”, t. 2, Kyjów–Toronto 1999, s. 171–172.

¹² *Polska i Ukraina...*, s. 442–443.

¹³ Tamże, s. 548–551.

¹⁴ Tamże.

¹⁵ Tamże, s. 414–415.

¹⁶ Instytut Pamięci Narodowej, sygn. 0192/354, t. 1, k. 100–109, t. 4, k. 195. Zob. też: *Polska i Ukraina...*, s. 194–195.

¹⁷ *Polska i Ukraina...*, s. 399.

¹⁸ Serhij Kokin, *Anotowany pokazczyk dokumentów z historii OUN i UPA u fondach derżawnoho archiwu SBU*, Kyjów 2000.

¹⁹ *Polska i Ukraina...*, s. 230–231.

²⁰ Tamże.

²¹ Wiktor Poliszczuk, *Nacjonalizm ukraiński w dokumentach – integralny nacjonalizm ukraiński jako odmiana faszystów*, cz. 2, t. 4, Toronto 2002, s. 475.

²² Dokument ten, odnaleziony przez autora w archiwum w Kijowie, opublikowano po raz pierwszy w „Karcie” nr 23.

²³ Na temat walk na Lubelszczyźnie zob.: G. Motyka, *Tak było w Bieszczadach. Walki polsko-ukraińskie 1943–1948*, Warszawa 1999; J. Markiewicz, *Partyzancki kraj*, Lublin 1985.

²⁴ DA SBU, z. 13, ja. 372, t. 3, k. 53–86. Patrz też: „Litopys UPA”, t. 26, Toronto–Lwów 2001, s. 461–514.

²⁵ Tamże.

²⁶ Tamże.

²⁷ Tamże.

²⁸ Tamże.

L A T O



1943



FOT. ZE ZBIORÓW W. RZĄD / PORTAL „WOJNY NASZYCH PRZODKÓW” / WWW.NAWOJNYM.PL

Barbara Odnous

Od 1991 roku trwa śledztwo w sprawie zbrodni popełnionych na Wołyniu w latach 1939–45. Prowadzone jest przez Oddziałową Komisję Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu IPN w Lublinie. Akta sprawy liczą obecnie 57 tomów (po około 200 kart każdy) i dokumentów stale przybywa: protokoły z przesłuchania świadków, relacje i wspomnienia (również drukowane), listy osób prywatnych, raporty organizacji podziemnych, także nieliczne zdjęcia. Przedstawiamy wybór z całego materiału zgromadzonego w Instytucie Pamięci Narodowej w Lublinie.

Eskalacja konfliktu na Wołyniu miała miejsce latem 1943, dlatego też oparliśmy się na tekstach z tego okresu, skupiając się na zeznaniach i relacjach bezpośrednich uczestników wydarzeń. Z zebranych opowieści wyłania się obraz nie tylko tych sąsiadów Ukraińców, którzy okazali się wrogami, realizując zaplanowaną akcję ludobójstwa, ale i tych, dzięki którym wielu Polaków przeżyło. Nie możemy jednak ujawnić ich tożsamości. Korzystając z akt prokuratorskich, zobowiązaliśmy się do niepodawania danych pozwalających na identyfikację nie tylko sprawców, ale też ofiar i świadków. Dotyczy to także nazwisk polskich.

↑ Dermań, powiat zdołbunowski,
1939. Wycieczka uczniów
Liceum Pedagogicznego
z Ostroga nad Horyniem

3 LIPCA 1943 | SOBOTA

Piotr W. (ur. 1928)

Między Polakami i Ukraińcami w kolonii Górnej nie było nieporozumień, tym bardziej zatargów [...]. Ukraińcy jako prawosławni chodzili do cerkwi w pobliskim Hubkowie, natomiast Polacy do kościoła w Ludwipolu, oddalonego o około siedem kilometrów. Idąc do Ludwipola, przechodziliśmy przez czysto ukraiński Hubków, ale nigdy nie spotkał się tam z oznakami wrogości czy zaczepkami.

[...]

Było już słychać o mordowaniu polskich wiosek na północny zachód od Ludwipola. Obawialiśmy się ataku i na noc kryliśmy się po polach. 3 lipca również zamierzaliśmy iść spać w pole. [...] Wszyscy byliśmy gotowi, chcieliśmy jeszcze tylko zjeść kolację (stała na stole) i czekaliśmy na brata Romualda, który lada moment miał przygonić krowy.

Niemalże równo z zachodem słońca podniósł się krzyk i rozległy strzały. Matka podbiegła do okna, krzyknęła, że są już banderowcy i trzeba uciekać. Wyskoczyli z ojcem przez okno do ogródka kwiatowego i zaczęli uciekać drogą między zbożami, pod górkę. Matka nie zdążyła zabrać mojej małej siostry, czego ja początkowo nie spostrzegłem.

Wyskoczyłem na podwórko, a tam było pełno Ukraińców. Biegali, krzyczeli, podpalali zabudowania, wynosili z obejść mienie. Prawdopodobnie wzięli mnie za Ukraińca, gdyż miałem na sobie kurtkę z pasem, podobną do wojskowej, a oni ubierali się podobnie. Kręciłem się po podwórku, szukając kryjówki, i zobaczyłem, jak Ukraińiec położył się na drodze i zaczął strzelać w kierunku uciekających rodziców. [...] Matka upadła, pomyślałem, że została trafiona i nie żyje, ojciec pobiegł dalej. Zauważyłem też krowy, zatem gdzieś w pobliżu musiał być brat.

W tym momencie podbiegła do mnie pięcioletnia siostra, złapała mnie za nogę i zaczęła płakać. Nakazałem jej milczeć i skoczyliśmy do pobliskiego ogródka warzywnego, gdzie położyliśmy się w wysokiej fasoli. Jednak któryś z myszkujących po obejściu lub mieszkaniu Ukraińców musiał coś zauważyć, gdyż dwóch lub trzech przybiegło do ogródka i odkryli nas. Twierdzili, że jestem Polakiem. Ja zaprzeczałem, na dowód zacząłem modlić się jak prawosławny. Jeden z Ukraińców

uderzył mnie silnie kolbą karabinu w klatkę piersiową, straciłem przytomność.

Kiedy się ocknąłem, zmierzch przeszedł już w noc. Wszędzie pełno było gryzącego dymu. Zauważyłem, że brat ucieka z ogródka. Byłem mocno pobity i pokrwawiony, nie miałem siły, ale zarzuciłem siostrę na plecy i pobiegłem za bratem, w kierunku pobliskiego stawu dla gęsi i rozciągającego się za nim lasu. [...] Co chwila przystawiałem dla odpoczynku lub przewracałem się pod ciężarem siostry. Dobięgam do lasu, tam znowu się przewróciłem, zabrakło mi sił. [...]

Zamiast jednak ukryć się w tym lesie, przebiegłem go. Kiedy wyskoczyłem na szeroki szutrowy trakt na Ludwipol, podjechał Ukraińiec na koniu i czymś twardym uderzył mnie w głowę. Upadłem, a Ukraińiec pojechał dalej. Resztką sił zerwałem się i dobiegłem do lasu po drugiej stronie traktu. Tuż za mną przybiegła siostra, której już nie miałem siły dźwigać. Ukryliśmy się pod pnem zwałonego drzewa. Po pewnym czasie teren wokół zaczęli penetrować Ukraińcy. Nie znaleźli nas jednak i odeszli. Po chwili straciłem świadomość.

Ocknąłem się, kiedy już było widno. Siostra leżała obok i, co dziwne, nie płakała. Postanowiłem pójść do wioski Hurby, odległej o parę kilometrów od Górnej, do domu siostry ojca [...]. Nikogo tam nie zastałem. Mieszkańcy, słysząc odgłosy napadu na naszą kolonię, puciekali w las. Wziąłem chleb i mleko i zamierzałem wrócić do siostry, którą wcześniej ukryłem w lesie. Wtedy zawołał mnie brat, leżał w sianie w stodole. Okazało się, że noc przesiedział na drzewie w lesie. Brat powiedział, że widzi jakieś postacie w pobliskim domu. Podozobałem się w zbożu w tamtym kierunku i spostrzegłem kilku mężczyzn z naszej kolonii. Powiedzieli mi, że matka żyje, natomiast ojciec został zabity. Furmankami zawieziono nas do Huty Starej, gdzie stacjonowały oddziały polskiej samoobrony.

KOLONIA GÓRNA, GMINA LUDWIPOL, POWIAT KOSTOPOL

Regina F. (ur. 1929)

Wieczorem zamierzaliśmy zjeść kolację, a potem wyjść w okoliczne pola [...]. Poszłam do naszego ogrodu (500–700 metrów od domu) urwać warzyw na kolację. Ogród znajdował się na górcie, skąd roztaczał się widok na pobliskie gospodarstwa. W pewnej chwili usłyszałam krzyki i strzały.

Wyprostowałam się i znieruchomiałam, mimo że kule świstały obok mnie. W dole rozgrywał się koszmar. Chmara Ukraińców podpałała domy i zabudowania gospodarcze, mordowała ludzi.

[...]

Po chwili doszłam do siebie i postanowiłam uciekać. Zauważyłam stryjka Jana W., mieszkającego w sąsiedztwie. Biegł w kierunku górki, na której stałam, i wołał syna. Razem postanowiliśmy uciekać w kierunku odległej o kilometr rzeki Słucz. Kiedy przeprawialiśmy się już przez rzekę i byliśmy mniej więcej w połowie jej nurtu, zobaczyłam, że na drugim brzegu kłęczą Ukraińcy i mierzy do nas z karabinu. Zawróciliśmy, a on strzelał do nas, ale nie trafił. Postanowiliśmy ukryć się w pobliskich jarach.

Kiedy dochodziliśmy do jarów, wyszedł z nich inny Ukraińcy z wymierzonym w nas karabinem. [...] Widząc wycelowaną lufę, uskokczyłam w bok i ukryłam się w skałkach w pobliżu jaru. Ukraińcy strzelił i zabił stryjka. Następnie przez kilka minut chodził wokół skałek, chcąc mnie odnaleźć. Potem odszedł, ale ja siedziałam w zalomie aż do południa następnego dnia, kiedy wyszłam i pobiegłam do swojej wioski.

KOL. GÓRNA

11 LIPCA 1943 | NIEDZIELA

Alina D.

Tego wieczoru mama szyła mi sukienkę i z tego powodu nie poszła spać do kryjówki, co stale czyniono ze względu na nocne napady band UPA i urządzane przez Niemców łapanki na roboty do Niemiec. Gdy skończyła szyć, powiedziała, że na pewno banda dziś nie przyjdzie i położyła się spać ze mną. Los okazał się jednak nieubłagany i mordercy spod znaku OUN-UPA o północy załomotali do drzwi. Kiedy im otworzył dziadek Jan R., od razu zastrzelili go w progu mieszkania.

Mama, słysząc strzał i jęk dziadka, wyskoczyła z łóżka i zaczęła krzyczeć. Ja również zerwałam się z łóżka, podbiegłam do mamy i trzymałam się jej spódnicy. Nagle obie upadłyśmy na podłogę, gdyż mama została trafiona kulą przez wybite okno. Kiedy ucichły strzały, zaczęłam wołać mamę i szarpać ją. Wtedy usłyszałam głos babci Marii R.: „Nie wołaj mamusi, mamusia jest zabita! Ciocia Danusia też jest zabita, popatrz!”. Był już ranek. Rozejrzałam się, zobaczyłam najmłodszą

siostrę mojej mamy całą we krwi, leżącą obok warsztatu tkackiego, a babcię siedzącą na łóżku, również zakrwawioną. Babcia powiedziała: „Idź, Alinko, do wujostwa, tylko ostrożnie, i powiedz im, co się u nas stało”.

Wybiegłam z mieszkania i widząc, że nikogo nie ma, pobiegłam do wujostwa, na drugą stronę ulicy. Wujek M. leżał zabity w kuchni, ciocia Domicela martwa, siedziała oparta o kufer i ścianę, pokłuta bagnietami lub nożem. Jak się później dowiedziałam, ciocia spała ukryta w stodole, ale nad ranem wróciła do domu, sądząc, że nie będzie napadu, i trafiła na morderców. Po obejrzeniu domu wujostwa, pobiegłam do P. Tam zobaczyłam młodą synową P. z niemowlęciem na ręku, oboje byli martwi. W pobliżu leżał jej martwy teść.

Wróciłam do babci, opowiedziałam wszystko, co widziałam. Na jej prośbę przyniosłam z drugiego pokoju firankę, którą babcia owinęła swoje rany. Wzięłam poduszkę i blachę z upieczonymi poprzedniego dnia drożdżowymi bułkami i poszliśmy ukryć się w zbożu za sadem.

Po pewnym czasie przyszli do nas dwaj synowie babci, którzy spali na strychu nad stajnią, piętnastoletni Florek i nieco starszy od niego Czesiek. Babcia kazała im przynieść kożuch, aby mogli leżeć na ziemi. Pobiegli w kierunku domu, a za chwilę przebiegli obok nas, ścigani przez Ukraińców na koniach. Kiedy babcia to zobaczyła, powiedziała do mnie: „Uciekaj, Alinko, i to szybko, biegnij do cioci Jadzi”. Ciocia mieszkała na kolonii Bogudzięka. Zdążyłam tylko zapytać: „Babciu, a ty, co z tobą?”. Zawahałam się, babcia powiedziała: „Uciekaj, ja tu zostanę z twoją mamą i dziadkiem” i upadła na poduszkę.

Pobiegłam miedzą w innym kierunku niż moi wujkowie. Dobiegając do Bogudzięki, musiałam przejść w pobliżu ukraińskiego gospodarstwa. Stała tam grupa kobiet i dzieci. Patrzyły na drogę, którą jechały wozy ze zrabowanym dobytkiem, a banda UPA pędziła stado krów.

Niezauważona weszłam do domu cioci. Nie było w nim nikogo. Pobiegłam dalej do nieukończzonego domu cioci Wandy J. Tam zobaczyłam teścia cioci całego we krwi. Myślałam, że jest zabity, ale, jak się później okazało, był tylko ranny. Wystraszyłam się i pobiegłam do babci W. na Witoldówkę. [...]

Gdy biegłam przez pola, spostrzegł mnie wujek Czesiek, siedzący na czatach na polnym dębie. [...] W zbożach siedziała grupa Polaków,

ocalałych z pogromu. Wśród nich również ciocia Wanda J. z dziećmi.

W nocy wujek Czesiek poszedł pochować babcię, którą dobili Ukraińcy, i wujka Florka, zastrzelonego podczas ucieczki. Pogrzebał ich pod polną gruszą. [...] Dziadek, moja mama Aniela W. i ciocia Danusia R. nie zostali pochowani i nikt nie wie, gdzie spoczywają ich zwłoki.

Wujek Czesiek zdobył konia i wóz, na który załadowała się nasza gromadka i w strugach deszczu, polnymi drogami i przez lasy ruszyliśmy w stronę Sokala.

GURÓW, GM. GRZYBOWICA, POW. WŁODZIMIERZ

Natalia O. (ur. 1936)

10 lipca w sobotę z ojcem i siostrą Alą byliśmy [...] we wsi Romanówka. Kiedy wracaliśmy furmanką, minęliśmy na drodze wóz z bandytami ukraińskimi. [...] Ojciec w obawie, że mogą go zabrać na tzw. podwodę, poszedł na noc w zboże. [...]

Kiedy 11 lipca o trzeciej nad ranem obudziłam się, w mieszkaniu znajdowało się sześciu bandytów ukraińskich. Wszystko było rozwalone, rzeczy powyrzucane na środek pokoju. Ukraińcy bez przerwy krzyczeli: „Gdzie jest gospodarz?”. Bili przy tym mamę, domagając się odpowiedzi. Mama uklękła i mówiła, że mąż nie wrócił z Romanówki. Wtedy jeden z bandytów zaczął do niej strzelać. Została trafiona siedmioma pociskami, skonała we krwi na podłodze. Babcia Stanisława B., która tej nocy u nas spała, również została zastrzelona.

Obie z siostrą Alą, przerażone, błagałyśmy o darowanie życia. Zawinęłam się w pierzynę i cała skurczyłam. Oprawca strzelił. Kula musnęła mi lekko skroń i przeszła lewe ramię. Dostałam jeszcze cios kolbą i straciłam przytomność. Ala krzyczała, zasłaniając się rękoma. Przestrzelono jej prawą dłoń, pobito kolbą, również straciła przytomność. Siedemnastomiesięczna Jadzia została zastrzelona.

Nie wiem, jak długo trwała rzeź. Gdy się obudziłam, siedziała nade mną Ala, cała we krwi i w czerwonej pościeli. Wstałyśmy i poszłyśmy do domu naszego dziadka Bolesława B., mieszkającego jakieś 150 metrów dalej. Wokół słychać było strzelaninę. Na drodze zauważyliśmy wóz, na którym siedział uzbrojony Ukraińiec. Na jego widok schroniliśmy się w gęstym zagonie kwitnącego maku. Gdy wóz odjechał, weszliśmy do mieszkania dziadka. Leżał zabity, a obok niego jego syn

Zygmunt z żoną Wiktoria i ich synkami, Wackiem i Leszkiem. Zabite zostały również farmaceutka H. i jej córka Giza – Żydówki, które ukrywały się u dziadków. (Uciekł dziewięcioletni Hulek H., tułał się przez dwa tygodnie i został zastrzelony w pociągu przez Niemca).

Z domu dziadka poszliśmy do mieszkania szewca W. Tam zobaczyliśmy trupy: W., jego żony i dwójki dzieci, Bolka (8 lat) i Adeli (15 lat) [...].

Dalej nie mogliśmy iść, bo zostałyśmy zauważone przez Ukraińca, który gonił młodego mężczyznę i strzelał za nim. Chyłkiem powróciliśmy do domu, tam położyliśmy się do łóżka. [...] Potem przyszły trzy kobiety z różańcami i zabrały nas.

GURÓW

Czesław S. (ur. 1918)

O trzeciej nad ranem byłem w swojej stodole, gdzie miałem urządzoną kryjówkę. Usłyszałem nadjeżdżającą furmankę. Przez szparę między deskami zobaczyłem dwóch mężczyzn z karabinami, którzy zeskoczyli z wozu w stronę domu. Trzeci siedział na wozie. Obok furmanki zauważyłem chłopca (16–17 lat) [...] narodowości ukraińskiej, który mieszkał niedaleko mnie w Witoldowie. Mój pies zaczął strasznie ujadać, mordercy skierowali na niego lufy karabinów.

Do mieszkania weszli przez niezamknięte drzwi. Strzelali z bliska w głowy. Mózg był na ścianach pokoju. Wszystkie osoby leżały na podłodze we krwi. Czesław Z. został zabity na kanapie. Moja żona Janina klęczała z rozkrzyżowanymi rękami. Widocznie uklękła, prosząc o darowanie życia. Teściowa upadła pod stół, przewracając naczynia i butelki.

Po wymordowaniu mojej rodziny w mieszkaniu, mordercy wpadli do stodoły, szukając mnie. „*Nie ma joho, wtik!*” [Nie ma go, uciekł] – mówili. [...] Usłyszałem odjazd furmanki zaprzężonej w dwa konie. Chciałem uciekać do sąsiada Konstantego S., ale ponieważ mordercy pojechali w kierunku jego gospodarstwa, cofnąłem się. Zdażyłem zobaczyć, że S. wyprowadza dwa konie i rocznego źrebaka na łąkę obok sadu. [...] Po kilku minutach zobaczyłem, jak mordercy łapią go przy koniach i prowadzą do domu. Przerażony wróciłem na własne podwórze i schowałem się do piwnicznej kryjówki obok stodoły, gdzie przesiedziałem do godziny dziesiątej.

[...]

[Potem] widziałem pomordowanych S., postrzelanych i porąbanych siekierami. Konstanty leżał na podłodze z roztrzaskaną głową [...], obok leżała [...] Balbina S. i ich córeczka Weronika (11 lat).

[...] Przez trzy dni po tragedii panowała cisza, nikogo nie widziałem. Ukrywając się w zbożu, od czasu do czasu wyglądając, co się dzieje wokół domu, udało mi się spotkać z sąsiadami Ukraińcami [...]. Oni wykonali trumny z desek i wykopali dół na mogiłę [...]. Pochowaliśmy trójkę pomordowanych obok domu, w sadzie, stawiając na mogile krzyż, który zrobili Ukraińcy. Ukrainka przyniosła mi bochenek chleba na drogę i rozplakała się, mówiąc: „My wam nic nie winni, jak będziecie żyli, to się dowiesz, kto mordował”. [...]

W dniu, w którym chowaliśmy w sadzie moją rodzinę [...], do gospodarstwa S. przyszli jacyś uzbrojeni osobnicy w kolejowych mundurach. Ukraińcy zostawili trumny i uciekli, obawiając się, że może ich spotkać coś złego. Słyszac, że faktycznie przyjechali Polacy, pobiegłem przywitać się i ze łzami w oczach zobaczyłem kolejarzy polskich z bronią, którzy przyjechali z Włodzimierza Wołyńskiego. [...]

Julian S. z bratem Feliksem [synowie zamordowanych S.], z siostrzeńcem Zygmuntem M. [...], przygotowali mogiłę na podwórzu gospodarstwa, niedaleko studni. Ułożyli w niej trzy trumny i postawili trzy krzyże. Zaraz po tym pogrzebie i odejściu Polaków [...], Ukraińcy biegali od jednego do drugiego polskiego gospodarstwa, wzniecając pożary. Pozostały zgliszcza i wypalone sady.
WITOLDÓW, GM. PORYCK, POW. WŁODZIMIERZ

Zygmunt M. (ur. 1925)

Gdy skrycie wszedłem do mieszkania [S.], zastałem makabryczny widok. Drzwi były pootwierane, kury chodziły po kuchni i dziobały upieczony przez babcię chleb, leżały łuski po wystrzelonych nabojach. W dużym pokoju znalazłem ciała. Dziadek [Konstanty S.] leżał na podłodze w kałuży krwi, w kożuchu, bosy i praktycznie bez głowy. Resztki mózgu widziałem na ścianach i suficie. Część głowy była wbita w szyję obuchem siekiery, tak że widoczny był tylko fragment brody. Na całym ciele miał rany postrzałowe i od siekiery. Obok leżała babcia i Weronika, obie w kałuży krwi. Miały ślady po kulach i rany klute głowy oraz nóg. Babcia była przerażana siekierą wzdłuż piersi. [...]

14 lipca w godzinach przedpołudniowych, w słoneczny dzień, skrycie, polnymi miedzami, wśród łąk i łąk, podeszliśmy grupą do gospodarstwa dziadków, by na podwórzu pochować ich ciała. [...] Niosłem ciało mego dziadka bez głowy. Kożuch nasiąknięty był krwią i mazią z mózgu. Bardzo spieszyliśmy się, ponieważ od lasu Hromosz słychać było pierwsze strzały bandytów z UPA.

WITOLDÓW

Maria B.-Cz. (ur. 1923)

Na Wołyniu mieszkaliśmy od pokoleń. [...] Byłam już mężatką i miałam roczną córeczkę Reginkę. Mieszkaliśmy z mężem w domu moich rodziców. Była z nami jeszcze Tamarka, ośmioletnia dziewczynka, którą porzucili Rosjanie w 1941, uciekając przed Niemcami. Nie знаła swojego nazwiska. Przygarnęliśmy ją [...].

Na początku 1943 roku zaczęły przenikać do Teresina ponure wieści. [...] Nie chciano dać temu wiary [...], ale kiedy w cerkwi w Swojczowie Ukraińcy poświęcili kosy, siekiery, łopaty, widły, [...] mieszkańców parafii Swojczów ogarnęła trwoga. W dzień pracowaliśmy na polu i w obejściu, noce spędzaliśmy w zbożu, w stogach siana, stodołach lub zbierając się po kilka rodzin i wystawiając warty, żeby nie dać się zaskoczyć bandytom. [...]

11 lipca przyszli u schyłku nocy. Około trzeciej usłyszałam ostre szczekanie psów. Wybiegłam z mężem i ojcem na podwórze. Od strony ukraińskich wsi Gnojno i Mohylno szła szerokim łąnem w stronę naszej osady jakby chmura ludzi. Słychać było dudnienie kroków. [...] Cofnęliśmy się do domu. Chwycałam córeczkę i ukryłam się z nią w piwnicy, pod podłogą kuchni, za rzędem beczek. W tym czasie Reginka była chora na koklusz i bardzo głośno kasłała; bałam się, że kaszel zdradzi kryjówkę, ale dziecko wyczuło zagrożenie i siedziało cichutko. Słyszałam płacz i rozpaczliwe krzyki moich bliskich, których wywlekano z domu i zabijano na podwórzu. Słyszałam też krzyki oprawców. Nie padł ani jeden strzał – zabijali siekierami, widłami. Struchlała, oczekiwałam na swoją kolej. Gdy płacz i prośby moich bliskich ustały, zobaczyłam, jak uchyla się właz do piwnicy i [usłyszałam] męski głos: „*Ne maje nykogo*”.

Po jakimś czasie, gdy zupełnie ucichły głosy ukraińskich bandytów, wyjrzałam przez okno w kuchnię. Oczom moim ukazał się potworny widok. Mama, ojciec, siostra, mąż, dzieci: Krysia

i Tamarka – leżeli na podwórzu z odrąbanymi głowami w morzu krwi. Cofnęłam się do kryjówek. [...] Przesiedziałam tam cały dzień [...]. Gdy o zmierzchu wyjrzałam po raz drugi na podwórze, zwłok moich bliskich już nie było, zostały zakopane w obejściu. Cały nasz dobytek rozgrabiono.

Nocą wymknęłam się z córeczką na rękę, jak stałam, w jednej sukience, bez kromki chleba na drogę. W jednej chwili straciłam wszystko – rodzinny dom, najbliższych [...]. Czołgając się, oddalałam się w stronę pól. Nocą szłam przez bagna, zwane rudowinami, w dzień siedziałam w łożach. Wiedziałam, że aby żyć, muszę pokonać 17 kilometrów drogi do Włodzimierza Wołyńskiego.

TERESIN, GM. WERBA, POW. WŁODZIMIERZ

Wiesław Witold G. (ur. 1937)

Szedłem z mamą na mszę na godzinę 11.00 do Chrynowa. Z krzaków przy drodze w lesie wyłonił się Ukrainiec i zaczął machać rękami: „Wróć, wróć!”. Mama zapytała: „To co, do kościoła nie można iść?”; odpowiedział: „Nie gadaj, tylko wracaj”. Około 11.30 od strony Chrynowa słychać było strzały i wybuchy.

CHRYNÓW, GM. GRZYBOWICA, POW. WŁODZIMIERZ

Zygmunt A. (ur. 1925)

Służyłem do mszy świętej [w Chrynowie] o dziewiątej rano. Ksiądz, zaniepokojony sytuacją, odprawił mszę szybko, bez kazania, i powrócił na plebanię. Ludzie wyszli i niebawem zaczęli cofać się strwożeni, że posterunki banderowców zawracają ich do kaplicy. Dodatkowo zaczęli przybywać wierni na sumę o jedenastej.

Tymczasem przyszła na plebanię pani P. ze Stasina (gospodarstwo położone niedaleko), prosząc księdza o wyspowiedanie jej bardzo chorego męża. Ksiądz wziął wiatyk i we trójkę poszliśmy. Niedaleko kaplicy wyszli ze zboża banderowcy i nie chcieli nas przepuścić. Jednak na prośbę pani P. i moje tłumaczenia, że zaraz wracamy na nabożeństwo, przepuścili nas. Po udzieleniu choremu komunii świętej, powróciliśmy z księdzem na plebanię, niezatrzymywani już przez liczne ukraińskie posterunki.

Ksiądz rozpoczął sumę. Razem z ludnością zawróconą z poprzedniej mszy było w kaplicy około dwustu osób, przeważnie kobiety i dzieci.

Z kolegą Jankiem Ź. stanęliśmy za drzwiami, które otwierały się do wewnątrz. Po podniesieniu zauważyłem obok drzwi podejrzany ruch. Kilku

banderowców ustawiło ręczny karabin maszynowy i zaczęli strzelać do ludzi; rzucili również dwa granaty, które na szczęście nie wybuchły. Schowałem się z kolegą za grube kapliczne drzwi. W świątyni zaczął się popłoch i wrzask rannych. Ludzie uciekali bocznymi drzwiami, obok zakrystii i chóru. Kaplica była jednak szczelnie otoczona i bez przerwy rozlegały się strzały. Trwał krzyk, [słyszałem] jęki i rozdzierające wrzaski dzieci.

Ksiądz wraz z kobietami uciekał od ołtarza przez zakrystię, ale na zewnątrz wszyscy zostali zabici. Ojciec mój, który był organistą, uciekał z innymi przez drzwi przy chórze. Banderowski bandyta podbiegł i strzelił do niego czterokrotnie, ale były to niewypały i ojciec zdołał uciec.

Po jakimś czasie, gdy w kaplicy pozostali już tylko zabici i ranni, banderowcy, widocznie czymś spłoszeni, wycofali się do pobliskiego lasu. Udało nam się uciec do położonej obok kaplicy organistówki. Dookoła leżało wiele trupów, ranni czołgali się w zbożu. W organistówce schowaliśmy się w piwnicy, jednakże baliśmy się, że Ukraińcy mogą wrócić i odnaleźć nas. Na zewnątrz panowała już martwa cisza. Sprawdzając, czy w pobliżu nie ma reżunów, uciekliśmy w zboża i, na przemian pelzając i biegnąc, dotarliśmy do odległego o dwa kilometry Oktawina.

CHRYNÓW

Jan B. (ur. 1936)

Mieszkaliśmy w leżącej cztery kilometry na południe od Porycka kolonii Olin. W niedzielę udaliśmy się furmanką do naszego kościoła parafialnego w Porycku. Jechało nas sześcioro: dziadek Józef B., ojciec Kazimierz, siostry Waleria (9 lat) i Genowefa (11 lat) oraz brat Józef (15 lat). [...]

Gdy dojechalśmy, konie z wozem zostały przywiązane do drzewa obok parkanu na dziedzińcu przykościelnym, a sami weszliśmy do kościoła. [...]

Ksiądz proboszcz Bolesław Sz. rozpoczął mszę. [...] Nagle usłyszałem odgłos strzałów karabinu maszynowego, dolatujący od strony głównego wejścia. Tata błyskawicznie posadził mnie w niszce po zrabowanej przez Sowietów figurze Matki Boskiej. [...] Sam uklęknął obok konfesjonalu, ale wypatrzył go któryś z banderowców. Kula trafiła go w policzek. Skonał na moich oczach, nic nie mówiąc. Siedziałem skamieniały. Banderowcy rzucali granaty między ławki. Powodowały straszne spustoszenie, rozrywały ciała wiernych, wypływające



↑ Kościół w Porycku

wnętrznosci wydzielaly okropny zapach [...]. Posadzka między ławkami była cała zalana krwią. Ukraińcy, nie mogąc dorzucić granatów na chór, ostrzelali go z karabinów. Polacy otworzyli główne drzwi i kto żyw biegł do wyjścia. Lecz przed kościołem ustawiony był karabin maszynowy. W ciągu minuty w przejściu powstała góra zabitych i rannych. [...]

Wyszedłem z wnęki i pobiegłem do dziadka, leżącego między ławkami. Był ranny w kolano, kazał mi uciekać do ciotki Walerii W., która mieszkała nieopodal kościoła. Przedzierałem się przez stos zabitych w drzwiach głównych. Wychodząc na dziedziniec, zamarłem, bo ujrzałem dwóch Ukraińców przy karabinie maszynowym. Nieoczekiwanie jeden powiedział do drugiego: „Puść, jego i tak wilki zjedzą”. Moje białe jeszcze rano ubranie nasiąkło krwią z ciała, po których musiałem się przedzierać, chcąc wyjść z kościoła. Pobiegłem do domu ciotki, ale nie wszedłem do mieszkania, bo zaraz za progiem leżała kobieta z roztrzaskaną głową. Mózg i krew rozbryzgane były po całym przedsionku. Wycofałem się do drewnitni.

Rozpadał się ulewny deszcz. Banderowcy tymczasem opuścili teren przykościelny, zaczęli bić i rabować mieszkańców Porycka. Schowany za drzwiami drewnitni, obserwowałem nasze konie i wóz, czekając, aż ktoś nadejdzie. Po jakimś czasie pojawił się mój brat Józek z sąsiadem. Przeżył schowany w grobowcu [katakumbach pod kościołem]. Wybiegłem do nich i zdałem relację, gdzie kto leży.

Idąc do kościoła, znaleźliśmy Tośka, syna ciotki Walerii. Zanieśliśmy go na nasz wóz, który Ukraińcy porzucili, widząc dyszel złamany przez spłoszone konie. Sąsiad zdecydował, że taty nie zabierzemy, bo w każdej chwili mogą wrócić Ukraińcy, zabraliśmy więc tylko dziadka, po czym kazał nam prędko ruszać. Do wozu dobiegła jeszcze dziewczyna od A. z naszej kolonii. Józek usiadł na złamanym dyszlu i stamtąd powoził. My leżeliśmy na wozie plackiem, by wyglądało, że konie się spłoszyły. Tak pędząc przez pola i łąki, dotarliśmy do domu.

Domy w kolonii Olin stały opuszczone. Ktoś spóźniony na mszę cofnął się do osady i powiadomił o rzezi w Porycku. Nie zastaliśmy więc ani

dziadków Sz., ani mamy z pozostałymi dziećmi [...]. Uciekli w kierunku Sokala, bo tam Niemcy trzymali posterunek na Bugu. Spotkaliśmy za to naszych wujków [...], którzy obserwowali wioskę i zaskoczeni naszym widokiem krzyknęli: „To wy żyjecie, a mówili, że rezuni wymordowali wszystkich w kościele!”

Wujek Kostek rozkazał zaraz zmienić opatrunki rannym. Józek miał pomóc przy zmianie dyszla, a mnie przypadło rozpalic w piecu, aby podgrzać wodę do obmycia ran. Jednakże ran nie zdołaliśmy już przemyć i opatrzyć. Na widok unoszącego się z komina dymu, hurma Ukraińców z sąsiedniej wioski ruszyła w naszą stronę.

Wujek Kostek krzyknął: „Na wóz!”, a wujek Kuba przeniósł Tośka. Dziadek nie dał się zabrać. Powiedział, że jest już stary i ranny, to nic mu nie zrobią. Został w domu na łóżku. Józek kończył zmianę dyszla i poprawę uprząży. Wujek Kostek wrzucił jeszcze na wóz worek grochu, przykrył nas sianem i kazał jechać do Sokala, ale tylko leśnymi drogami. Obaj wujkowie zostali, ukrywając się w sadzie, aby obserwować losy zabudowań i mienia.

Do lasu było niespełna 50 metrów, więc ukraińscy chłopcy nie zdołali nas dogonić. Józek, znając drogi leśne, którymi często chodził na zakupy do Sokala, szczęśliwie dowiózł nas do Bugu. Niemcy [...] skierowali nas do punktu pomocy sanitarnej. [...] Jakież było nasze zdziwienie, kiedy zastaliśmy tam ciocię Walerię. Pokonała biegiem 22 kilometry, dzielące Poryck od Sokala. Uradowana, wzięła rannego syna na ręce i zaniósła do lekarzy. Ci widząc, że potrzebna jest operacja, gdyż w głowie Tośka utkwił odłamek granatu, skierowali go nazajutrz pierwszym pociągiem do odległego o 100 kilometrów Lwowa. Po operacji żył jeszcze miesiąc. Dwudniowa obecność odłamka wywołała zakażenie krwi.

My z Józkiem czekaliśmy w okolicy klasztoru [bernardynów w Sokalu], mając nadzieję, że któraś z [naszych] siostr jeszcze dotrze, gdyż żadnej nie widzieliśmy ani żywej, ani zabitej. Po dwóch dniach udaliśmy się do Wareża, gdzie mieszkał stryj Adam B. Zdaliśmy mu relację o rezunach. Kazał nam poczekać, a sam poszedł przekonać dwóch Niemców, by pojechali z nim do kolonii Olin. [...] Udało mu się dogadać za odpowiednią opłatą. Stryj zastał w wiosce już tylko spalone domy i zabudowania, a w miejscu, gdzie stało łóżko, zwęglone kości dziadka.

PORYCK, POW. WŁODZIMIERZ

Ryszard J. (ur. 1930)

11 lipca przyjechało do Porycka na mszę o jedenaściej bardzo dużo ludzi. Brałem udział w tej mszy z ojcem i dziadkiem Józefem J. [...]

Ojciec stał w korytarzu, ja natomiast z innymi dziećmi przed samym ołtarzem. W pewnym momencie w trakcie mszy otworzyły się główne drzwi i usłyszeliśmy strzały. Ludzie zaczęli padać na ziemię i krzyczeć, inni rzucili się do bocznych drzwi. Powstał taki tumult i zamieszanie, że nie było praktycznie nic widać i słychać.

Uciekałem, jak inni, w kierunku bocznych drzwi. Tam również uciekał z korytarza mój ojciec, który złapał mnie za rękę i pociągnął za sobą w stronę wieży kościelnej. Dostaliśmy się na wysokość krużganków, które biegły dookoła kościoła. Wejście na poddasze było zamurowane cienką warstwą cegieł. Ojciec o tym wiedział i scyzorykiem wydłubał cegły. Na dole cały czas słychać było strzały i krzyki. Gdy ojciec zrobił otwór w ścianie, weszliśmy na poddasze. Było nas tam około dziesięciu osób. Pobiegliśmy wokół kościoła aż do drugiej wieży, gdzie nie było schodów. Tam się ukryliśmy. Cały czas słyszeliśmy strzały, a także wybuch wewnątrz kościoła. [...]

W pewnej chwili zauważyliśmy dwóch mężczyzn z karabinami. Rozmawiali po ukraińsku. Chcieli iść dalej, ale zobaczyli, że z drugiej strony nie ma schodów i zrezygnowali. Nas nie zauważyli. Przesiedzieliśmy w tym ukryciu około czterech godzin, do czwartej po południu. Tymczasem nadeszła burza i ulewa. Na dole w kościele nie słychać już było strzałów, tylko jęki. Postanowiliśmy zejść.

Na schodach minęliśmy zwłoki kobiety, które trzeba było odciągnąć, żeby przejść na dół. W głównej nawie kościoła leżało dużo kobiet i dzieci. Niektóre jeszcze się ruszały i wołały o pomoc. Byłem tak wystraszony, że pośliznąłem się na krwi rozlanej na posadzce. Idąc dalej korytarzem, zobaczyłem leżące dwie dziewczynki w białych sukienkach i kobietę całą we krwi. Musiałem nad nimi przeskoczyć. [...] Wychodząc z kościoła od strony zakrystii, spotkaliśmy za drzwiami dziadka J. Miał osmalone włosy i marynarkę. Był oszołomiony, stał nieruchomo. Zapytał ojca, dokąd idziemy. Ojciec powiedział dziadkowi, żeby wracał do domu do Starego Porycka i przekazał bratu Gienkowi, aby zabrał całą rodzinę i uciekał do Sokala.

[...]

Z ojcem nie wróciliśmy do domu, ale też uciekliśmy w kierunku Sokala. Przed wieczorem dotarliśmy do zabudowań naszego dawnego sąsiada Ukraińca Kiryka M. Dano nam tam jeść i przenocowano. Na drugi dzień Kiryk M. pojechał do naszego domu w Porycku i przywiózł walizki z rzeczami, które mieliśmy przygotowane na wszelki wypadek, a także ukryte pieniądze i dokumenty. Wieczorem 12 lipca udaliśmy się do Sokala.

PORYCK

Zofia Janina S. (ur. 1930)

W niedzielę rano przyszła grupa uzbrojonych Ukraińców, chodzili po domach i kazali mężczyznom pojechać furmankami do lasu. Mówili, że mają coś wozić dla partyzantów ukraińskich. [...] Ode mnie z domu nikt nie pojechał, bo w tym dniu przyjechali do nas goście, małżeństwo K. z trzy-nastoletnim siostrzeńcem.

Po godzinie jedenastej usłyszeliśmy strzały od strony Porycka. [...] Sądziłyśmy, że to ćwiczenia partyzantów. Wyszliśmy na chwilę przed dom i wróciliśmy do środka. Za moment drzwi otworzyły się i weszło kilku uzbrojonych mężczyzn. Jeden był w hełmie, pozostali mieli na głowach furazerki. Ten, który nosił hełm, miał przewieszony przez ramię karabin maszynowy. Powiedział, byśmy wyszli z domu. Na pytanie ojca – dlaczego, odparł, że od Gruszowa nadchodzą Niemcy, a oni będą nas bronić. Na co mój ojciec zapytał – przed kim. Wówczas mężczyzna zarepetował broń i powiedział, że jeśli nie wyjdziemy, będzie strzelał. Wyszliśmy przed dom. Na naszym podwórzu stali inni sąsiedzi, część stała na drodze.

Pan K. podszedł do mężczyzny w hełmie i chwilę z nim rozmawiał. Domyślałam się, że podał się za Ukraińca (nikt go w okolicy nie znał), bo po chwili ten w hełmie pozwolił mu zaprząć do wozu. Nakazał mu jechać do Samowoli, tam zatrzymać się i pójść do sołtysa. Kiedy nasz gość wsiadał na wóz, zabierając swoją żonę i siostrzeńca, mój ojciec podszedł do Ukraińca i poprosił, aby pozwolił zabrać na wóz mnie i brata. Ten przez chwilę zastanawiał się, po czym wyraził zgodę. Powiedział jeszcze do pana K., aby jadąc do Samowoli, zatrzymał się przy figurze [przydrożnym krzyżu] i tam nas zostawił. Mówił, że nasi rodzice tam przyjdą.

Ruszyliśmy. Gdy dojechaliśmy do figury, poprosiłam pana K., by nas wysadził, ale on

odpowiedział, że nigdzie nie będziemy wysiadać i żebyśmy w ogóle się nie odzywali. Gdy dojechaliśmy do pierwszego budynku za krzyżem (była to druga część Orzeszyna), z budynku wyszli Ukraińcy i otoczyli wóz. Pytali pana K., kim jest i dokąd jedzie. Odpowiedział, że jest Ukraińcem i jedzie do sołtysa do Samowoli. Wtedy zauważyłam od strony Samowoli idącą dużą grupę osób. Widziałam również, że ludzie z naszej części Orzeszyna byli gromadzeni w jednym miejscu.

Nam Ukraińcy kazali wysiadać z wozu i wypręgać konie. Mówili, że muszą sprawdzić, kim jesteśmy. Cały czas nas pilnowali. Gdy ludzie idący od Samowoli zbliżyli się, dostrzegłam, że byli dokładnie strzeżeni przez uzbrojonych Ukraińców. Skręcili do lasu. Wówczas Ukraińcom, którzy nas pilnowali, zaczęło się spieszyć. Powiedzieli, żebyśmy jechali do Samowoli i tam czekali u sołtysa. Gdy odjechaliśmy kawalek, usłyszeliśmy z lasu strzały i straszne krzyki.

Jechaliśmy szybko pustą już drogą. W pobliżu pól oddzielających Orzeszyn od Samowoli ze zboża wyszło dwóch uzbrojonych Ukraińców. Znowu nas zatrzymali i pytali, dokąd jedziemy. Pan K. odparł, że ich starszyzna kazała mu jechać do sołtysa do Samowoli i że wcześniej wszyscy nas przepuścili. Cały czas rozmawiał po ukraińsku. Kazali nam jechać, ale widziałam, że patrzyli za nami. Gdy dojechaliśmy do niewielkiego lasku, pan K. skręcił do Sokala. Po drodze spotykaliśmy ludzi, którzy uciekali z Wołynia, przeważnie kobiety i dzieci. Niektórzy byli ranni. Zabieraliśmy uciekinierów na wóz.

ORZESZYN, GM. PORYCK, POW. WŁODZIMIERZ

12 LIPCA 1943 | PONIEDZIAŁEK

Leokadia P. (ur. 1935)

Tego dnia z babcią i siostrą Teresą pasłam krowy. Babcia zauważyła z oddali pożar i powiedziała, że trzeba iść do domu i dowiedzieć się, co się dzieje. Mama w tym czasie wносиła co najpotrzebniejsze [rzeczy] z domu w pole. Zabrała mnie i Teresę. Położyłyśmy się na miedzy, pomiędzy łąkami żyta, i obserwowałyśmy dom. Po chwili usłyszałyśmy strzał, a mama krzyknęła: „Dzieci, uciekajcie, bo ja już jestem ranna”. [...] Podniosłyśmy się i spostrzegłyśmy stojącego w odległości kilkunastu metrów mężczyznę w mundurze wojskowym i butach oficerkach. W rękach trzymał

karabin i mierzył w naszym kierunku. Uciekłyśmy w żyto. Mężczyzna zaczął strzelać za nami.

Usłyszałam, że babcia, ukrywająca się niedaleko, zaczęła charczeć, chyba została ranna. My dalej siedziałyśmy cicho, a kule padały obok nas. Po chwili usłyszałyśmy kroki, a potem z miejsca, gdzie leżała mama, tępy odgłos uderzenia. Domyśliłyśmy się, że ten mężczyzna dobił mamę. Potem odszedł. Zaległa cisza. Starsza siostra Krysia zaczęła krzyczeć: „Mamo, mamo!” i wybiegła na miedzę. Wybiegłyśmy za nią z Teresą, zauważyłyśmy, że mama ma rozbitą głowę. Już nie żyła. Przeczekałyśmy na polu, aż się ściemniło.

Krysia zaprowadziła nas do P. [Ukraińców mieszkających w wiosce]. Po chwili [przyjechali] Ukraińcy na koniach, zaczęli krzyczeć, żeby wszyscy wychodzili przed dom z dokumentami. Ukrainka P. powiedziała, że może ukryć tylko Krysię. Mnie i Teresę kazała zaprowadzić starszej siostrze w pole.

Po jakimś czasie dwóch Ukraińców na koniach znalazło nas w życie. Prowadzili nas obok domu P. i pytali, czyje to dzieci. Nagle znalazł się nasz ojciec i krzyknął, że jego. Wtedy Ukraińcy zaczęli ojca kopać i bić. Kazali mu szybko iść przed nimi. Ojciec krzyczał, że my nie możemy nadążyć. Zaprowadzili nas na podwórko gospodarstwa N. Była tam cała banda Ukraińców z kosami, siekierami i widłami. Widziałam, jak z piwnicy Ukraińcy wywlekli babcię N. Była to staruszka ponad 80-letnia, nie chodziła, Ukraińcy wlekli ją po ziemi. Położyli jej głowę na pieńku i odrabali siekierą. Przeraziłam się. Ojca zabrali do stajni.

Jeden z Ukraińców podszedł do nas. Rozpoznałam w nim znajomego rodziców [...]. Prosiłam go, żeby nas nie zabijali. Spojrzał na nas i zwrócił się do dowódcy bandy: „Nie zabijajmy ich, kto inny je złapie, to zabije”. Dowódca kazał mu zapytać nas, czy my Polki, czy Ukrainki. Odpowiedziałyśmy, że Polki. Wtedy krzyknął: „To bierz je!”. Znajomy zaprowadził Teresę do stajni, a potem wrócił po mnie.

Weszłam do stajni i zobaczyłam stos trupów, kilkadziesiąt zwłok. Uderzono mnie w głowę, straciłam przytomność. Ocknęłam się w chwili, kiedy stajnia zaczęła się palić. Zaczęłam krzyczeć: „Tato! Tereniu!”. Ojciec nie odzywał się. Odezwała się Tereska, powiedziała, że jest przerażona siekierą przez krzyż i nie może uciekać. Krzyczała do mnie: „Uciekaj sama, Łodziu!”. Wywlokłam się na kolanach, wszystko się paliło. Podczołgałam się

do ogródka i tam zasnęłam. Rano pobiegłam do P. [...] Starsza siostra zaopiekowała się mną.

OSADA WOJSKOWA ULANÓWKA, GM. MIKULICZE, POW. WŁODZIMIERZ

13 LIPCA 1943 | WTOREK

Franciszka B.-Dz. (ur. 1921)

W Józefinie mieszkaliśmy z mężem, trojgiem dzieci: Halinką (4 lata), Henią (2 lata) i urodzoną w maju 1943 Aldoną. Mieszkała także z nami teściowa Maria N. (70 lat).

W lipcu 1943 postanowiłam odwiedzić swojego ojca w Kalinówce; matka już nie żyła. W niedzielę nie pojechaliśmy, bo bardzo padało. W poniedziałek powiedziałam mężowi, że po takim deszczu nie pójdzie w pole i żeby pojechać do ojca. Wzięłam opiekunkę do dzieci i pojechaliśmy. Przez całą drogę, około 20 kilometrów, wszystkie miejscowości, przez które przejeżdżaliśmy, wyglądały na wymarłe, nie widzieliśmy żadnych ludzi. [...] Dojechaliśmy do Bielina, gdzie mieszkała moja najstarsza siostra Maria K., podjechaliśmy pod jej dom. Wybiegła do nas, powiedziała, że całe szczęście, że nie przyjechaliśmy dzień wcześniej, bo wczoraj Bielin został napadnięty przez Ukraińców [...].

Siostra opowiedziała mi, że po powrocie z kościoła i nakarmieniu dzieci położyła się i czytała książkę. [...] W pewnym momencie zauważyła pod oknem jakieś postacie. Pomyślała, że może ktoś schronił się przed deszczem. Podniosła się jednak z łóżka i spojrzała przez okno na dom sąsiada. Zobaczyła, że pod jego oknami również stoją jacyś ludzie w siermięgach. Zastanowiło ją to, otworzyła drzwi i zobaczyła w progu Ukraińca. Gdy chciała wyjść, ten jej nie puścił i powiedział, żeby nie wychodziła, bo ją zabije. Przestraszyła się i została w domu. Wszystkie polskie domy zostały tak obstawione. [...] Gdy po jakimś czasie Ukraińcy odstąpili, okazało się, że tego dnia nikogo nie zabili, ale obrabowali prawie całą wieś. Przyjechali wozami i brali, co im się podobało. Gdy zabrakło im wozów, zmusili część polskich gospodarzy, aby swoimi wozami przewieźli im zrabowane rzeczy. [...]

Postanowiliśmy z mężem wracać do domu. W mijanych miejscowościach, jak poprzednio, ani żywej duszy. Dopiero jakiś kilometr od domu zobaczyliśmy furmankę. Na wozie jechali Ukraińcy,

chłop z przodu, kobieta z tyłu. Jednocześnie dostrzegliśmy łunę nad Józefinem i straszny pożar dalej na widnokręgu. Mąż zapytał Ukrainca, co się tak pali. Chłop opuścił głowę i nie odezwał się, natomiast kobieta złożyła ręce i powiedziała: „Oj, bida, panoczku” – i pojechali.

Przyjechaliśmy na podwórko. Akurat był tam brat męża Franciszek. Pokazał na łunę i powiedział, że tam już płoną polskie wsie. [...] Stwierdził, że może tej nocy jeszcze do nas nie dojdą, ale trzeba wystawić wartę. Mąż z bratem umówili się, że będą pilnować w nocy, a kobiety i dzieci będą spać. [...] Brat poszedł do domu.

Po kolacji położyłam dzieci spać, a mąż wyszedł na podwórko pilnować. Nad ranem przyszedł do mieszkania, usiadł przy stole, zapalił papierosa i stwierdził, że robi się dzień, to już chyba nic nie będzie. Rozbudziłam się, zaczęliśmy rozmawiać. Nagle otworzyły się drzwi i do domu wpadło kilku Ukraińców. Któryś krzyknął: „Najsampierw gospodarza”. Chwycili męża, wykręcili mu ręce i dwóch zabrało go na dwór. Dwóch innych podeszło do teściowej, która leżała na łóżku. Uderzyli ją kolbą i wywlekli na dwór. Przy mnie został jeden chłopak, około dwudziestoletni [...]. Zaczęliśmy rozmawiać po polsku, był grzeczny. Powiedział, żebym prędzej wychodziła z dziećmi. Zaczęłam je ubierać. Widząc, że nie daję rady, krzyknął do swoich, aby przyprowadzili teściową. Teściowa wzięła Henię, ja najmłodszą córkę okręciłam w becik i wzięłam na lewą rękę, a Halinkę wzięłam za rączkę. Halinka kucnęła i nie chciała iść. Powiedziałam jej: „Chodź, bo tam został tatuś”.

Na zewnątrz zobaczyłam męża, odwróconego twarzą do ściany domu. Przy nim stał Ukrainiec [...] i trzymał wycelowaną pepeszę. Gdy wyszliśmy, uwolnił męża, który podszedł do nas i wziął Halinkę na ręce. Wtedy spostrzegłam, że Ukraińców jest kilku. Byli po cywilnemu, nie mieli mundurów ani widocznych oznaczeń wojskowych. Część przeszukiwała budynki. Domyślałam się, że od razu chcieli nas wymordować, tylko nie wiedzieli gdzie. Mieszkania, stodoły i stajni było im szkoda. Po chwili jeden, który buszował po gospodarstwie, wskazując na szopę, powiedział: „Tam nie ma niczego”. [...]

Zaczęli nas popychać do szopy. [...] Spieszyli się, byli nerwowi, ponieważ wstawał już dzień. W szopie znajdowała się przyma cegieł. Przed wojną planowaliśmy wybudować cegielnię.

Stanęliśmy przy tej ścianie z cegieł, po mojej prawej stronie mąż, po drugiej teściowa. Do tej chwili byłam przekonana, że Ukraińcy chcą tylko przeprowadzić u nas rewizję, teraz zrozumiałam, że to koniec. W ostatniej sekundzie pomyślałam, że dowiem się, jak jest na tamtym świecie i zobaczyłam, że ów grzeczny młody Ukrainiec, który stał przy mnie w domu, wycelował do nas z pepeszy i zaczął strzelać.

Mąż zginął chyba od razu, razem z Halinką. Ja trzymałam dziecko na lewej ręce. Kula przeszła mi rękę jakies 15 centymetrów od nadgarstka. [...] Pocisk, który przebił rękę, spowodował znacznie większą ranę w miejscu wylotu niż wlotu. Następnie prawdopodobnie przebił ciało mojej córeczki, po czym powierzchownie rozrwał mi mięsień nad prawą piersią. [...] Musiałam zemdleć po strzale.

Gdy się ocknęłam, zupełnie nie pamiętałam, co się wydarzyło, zobaczyłam tylko ogień. Szopa płonęła. [...] Na czworakach zaczęłam przesuwać się dalej od ognia. Szopa była nieszczelna i znalazłam otwór, przez który wydostałam się do ogrodu. Nie miałam orientacji, co robię. Wpadłam w wielki dół, w którym trzymaliśmy w ziemie wtyłki dla inwentarza. W dole uświadomiłam sobie, że coś miałam na ręku, po chwili dotarło do mnie, że trzymałam córkę. Błyskawicznie wszystko mi się przypomniało i w tej chwili z ręki wytrysnęła mi krew. Obcisnęłam sobie ranę narzutką. Pomyślałam, że jeżeli moje dzieci żyją, będą piszczeć, ale szopa spaliła się, a ja żadnych dźwięków nie usłyszałam. [...]

Usłyszałam rozmowę na podwórku; myślałam, że wrócili bandyci, ale rozpoznałam głos sąsiada P. [...] Na nasze podwórko zaczęli schodzić się nieliczni ocaleni. Poprosiłam ludzi o odszukanie w zgliszczach zwłok moich bliskich. Teściowa, mąż i najmłodsze dziecko byli zupełnie spaleni. Z dwumiesięcznej Aldonki znaleźliśmy tyle ciała, co na mojej dłoni. Starsze dziewczynki były całutkie, miały niespalone włosy, skórę. Widziałam miejsca, gdzie zostały postrzelone – średnia w buzię, a Halinka, już nie pamiętam, pamiętam tylko, że z buzi wystawał jej języczek.

Zwłoki ułożyliśmy w skrzyni ze spiżarni, a skrzynię postawiliśmy w ogrodzie. P. zaprzągnął nasze konie – chciał uciekać z rodziną i wziąć mnie. Weszłam jeszcze do domu, gdzie w otwartej szafie zobaczyłam ubranka dzieci. Nie byłam w stanie niczego zabrać. [...]

Tej nocy Ukraińcy wymordowali prawie całą polską ludność Józefina i przylegającego do niego Fundumu. Zostały tylko niedobitki, jak ja. [...]

Ukraińcy, gdy nie zdołali zabić gospodarzy, palili ich budynki, natomiast gdy zabili całą rodzinę, nie podpalali, gdyż planowali, że to będzie ich. Naszego gospodarstwa, oprócz szopy, nie spalili.

JÓZEFIN, GM. CHOTIACZÓW, POW. WŁODZIMIERZ

14 LIPCA 1943 | ŚRODA

Stanisław M. (ur. 1935)

Pan B., który przyjaźnił się z sąsiadem, gospodarzem ukraińskim I.S., powiedział mi, że całą rodziną musimy wyjeżdżać, bo I.S. ostrzegł go, że Ukraińcy będą mordować w Ławrowie. B. zabrali na wóz konny trochę ubrania i jedzenia i wyjechali z córką do Łucka. Ja nie pojechałem, bo miałem króliki i gołębie, poza tym w Ławrowie została babcia B. z córką kaleką. Tak mieszkaliśmy jeszcze miesiąc. Do domu wprowadziła się [...] pani J. z mężem i siedmiorgiem dzieci. Było nas dwanaście osób w gospodarstwie.

14 lipca zaczęliśmy żniwa. Kosa była tępa i pan J. poszedł do I.S. ją wyklepać. Ja siedziałem na drzewie i rwałem czereśnie. Zobaczyłem, że jakieś wojsko niemieckie – tak mi się wydawało, bo widziałem ludzi w mundurach niemieckich – idzie do naszego gospodarstwa. Było ich chyba szesnastu. Antek, syn J., mówił, że może idą po ojca, żeby jechał do Łucka. Ja powiedziałem, że to są chyba ukraińscy bandyci i lepiej będzie, jak się ukryjemy. Gdy ci żołnierze zbliżyli się, zawołali Antka, żeby przyprowadził ojca. Antek poszedł do I.S., ja zaś pobiegłem do domu ukryć się.

Poznałem, że dwaj przebrani w niemieckie mundury mężczyźni to nasi sąsiedzi, synowie gospodarza czeskiego [...]. Mieli po około 25 lat i wiedziałem, że przystąpili do ukraińskich band. Nie dołączył się do bandy I.S., bo sobie przestrześlił nogę, był kulawy i go nie wzięli. [...]

Babcia, jej kaleka córka, J. i jej dzieci – wszyscy byli w domu. Wszedłem i powiedziałem, że trzeba się ukryć, bo przyszli Ukraińcy. Wcisnąłem się za prycę stojącą w kuchni, na której był sienik ze słomy, i schowałem się za drewnianym szaflikiem. Ze mną ukryła się Kazia, jedna z córek J.

Wszystko odbyło się bardzo szybko. Cały dom został otoczony przez Ukraińców. Do środka weszło dwóch [...], mówili po polsku, pytali, kto

jest Polakiem, zaczęli bić i kazali wszystkim kłaść się na podłogę w kuchni. Zaczął się lament. Ukraińcy mieli karabiny z bagnietami. Pierwszą przebili babcię B. i panią J. Dzieci biegały po kuchni, chciały się gdzieś schować, był pisk, krzyk, płacz, ale żadnych szans ucieczki. Ukraińcy wszystkie dzieci przebili bagnietami, wielokrotnie. Potem kluli bagnietami pod łóżkiem, gdzie siedzieliśmy z Kazią. Uciekły tam jeszcze jej trzy młodsze siostry. Widzieli to Ukraińcy i jeden schylił się [...], uderzył kilka razy bagnietem i te dzieci przebił. Kazia miała poklute ręce, nogi i klatkę piersiową, leciała jej krew, ale nie były to groźne rany. Mnie bagnet nie trafił, bo byłem osłonięty szaflikiem. [...]

Gdy Ukraińcy odeszli i zrobiło się cicho, wyszliśmy z Kazią z kryjówek. [...] Na podwórku zobaczyłem przy pniaku zwłoki pana J. i Antka, którym bandyci obcięli głowy siekierami. Leżały obok pniaka. Ukryliśmy się w zbożu i postanowiliśmy uciekać przez pola.

Zapadła noc, weszliśmy do jakiegoś domu, w którym paliło się światło. Okazało się, że banderowcy mają w nim zebranie. Obok przenocowaliśmy. Kazia była ranna, więc została, a ja rano wróciłem polami do naszego gospodarstwa.

Z ukrycia zobaczyłem, że jacyś ludzie w cywilnych ubraniach załadowali na furmankę ciała zabitych i odjechali. Polami szedłem za nimi. Dojechali do wsi Kościuszków, gdzie poprzednio mieszkali J., tam wrzucili zabitych do studni na podwórku J.

Wróciłem do Ławrowa i spotkałem pana B., który przyjechał zobaczyć, co się dzieje w gospodarstwie. Razem pojechaliśmy po Kazię. Po drodze zatrzymali nas Niemcy z oddziału walczącego z Ukraińcami i pomagającego uciekać Polakom. Wyjaśniliśmy, gdzie i po co jedziemy. Niemiec kazał otoczyć dom, w którym była Kazia; została zabrana [...]. Niemcy znaleźli w tym domu broń, a Ukraińcy, którzy się tam skryli, zaczęli strzelać. Wówczas żołnierze niemieccy podpalili dom, wrzucili granaty do środka i nikt się z niego nie uratował.

ŁAWRÓW, GM. POŁONKA, POW. ŁUCK

Stanisław K. (ur. 1931)

Po południu pasłem pod wsią bydło na łące i zobaczyłem, że ludzie w wiosce uciekają w różnych kierunkach. Myślałem, że to Niemcy robią łapankę na roboty, bo tak wcześniej bywało. Gdy



↑ Rozstaje dróg w powiecie horochowskim

pędziłem bydło do domu i szedłem koło zabudowań ukraińskich, zaczęły do mnie dochodzić odgłosy jakby wystrzałów, ale na ulicy niczego nie było widać. Gdy wszedłem z bydłem na podwórze, dobiegł Polak, nie pamiętam, jak się nazywał, i powiedział: „Uciekajcie. Ukraińcy mordują!”. [...] Brat Antoni uciekł do ogrodu i ukrył się, ale mama powiedziała, że jest stara i nie będzie uciekać. Żona brata, Katarzyna, była narodowości ukraińskiej – uciekła z dzieckiem do swej rodziny. Ja zostałem z mamą.

Gdy zśliśmy doić krowy, na podwórze weszło trzech uzbrojonych banderowców po cywilnemu, z opaskami i tryzubami, i jeden Ukrainiec z naszej wioski [...], który pokazał na nas palcem: „*To Lachy*”. [...] Wówczas ci trzej kazali nam wejść do mieszkania, ponieważ, jak powiedzieli, chcą zrobić u nas rewizję. Gdy weszliśmy, od razu jeden z tych trzech kazał się mamie położyć na ziemi. Mama zaczęła prosić, żeby nas nie mordowali. Drugi powiedział do mnie, abym też się kładł. Chciałem złapać mamę za rękę, ale on odtrącił mnie kolbą. Położyłem się pierwszy, a mama dalej

prosiła. Wtedy jeden z trójki dźgnął mamę w pierś bagnetem, następnie usłyszałem cztery strzały z karabinu. Nie widziałem, kto strzelał, bo ze strachu leżałem twarzą do ziemi. Prosiłem Boga, żeby się nie męczył. Miałem twarz zakrytą rękami i w czasie strzałów nic nie czułem.

Gdy Ukraińcy wyszli z domu, wstałem i wziąłem mamę za głowę. Zobaczyłem masę krwi i dziurę wielkości pięści. Ciało było jeszcze w konwulsjach. Zauważyłem też, że mam całe spodnie zakrwawione, myślałem, że to krew mamy. Wszedłem na strych, żeby się ukryć. Słyszałem jęki sąsiada, mieszkającego 30 metrów od nas, konał na swoim podwórzu chyba z pół godziny. Nagle zobaczyłem, że z lewej nogi sika mi krew i zaczęło mi się robić słabo, a jednocześnie pomyślałem, że mogą spalić dom. Zszedłem ze strychu i gdy już byłem w korytarzu, utraciłem siły w nogach. Udało mi się jedynie wyjść z mieszkania i na drodze straciłem przytomność. [...]

Znalazł mnie sąsiad Ukrainiec Antoni G. i wziął do domu. Jego rodzina ukryła mnie w pokrzywach za domem i powiedziała o mnie mojemu

bratu, który po napadzie też przyszedł do tego sąsiada. Brat poszedł do wioski Netreba, już w galicyjskiej części Wołynia, zorganizować transport. Poprosił Ukrainca o imieniu Jarsen, u którego miał dług wdzięczności, żeby przywiózł mnie wozem konnym. On faktycznie przyszedł i wziął wóz od Antoniego G., ponadto Antoni G. dał swojego syna do powożenia.

Na drodze złapali nas Ukraińcy [...]. Odgrzebali mnie w słomie i chcieli zastrzelić. Słyszałem, jak Jarsen targował się o moje życie. W końcu puścili nas i zawieziono mnie do Netreby, a następnie do szpitala w Zbarażu. Lekarz, który mnie opatrywał, stwierdził na mojej głowie dwie smugi po pociskach, stąd wiem, że dwa strzały były przeznaczone dla mnie. [...]

Syn Antoniego G., który mnie wiozł do Netreby, stanął za to przed banderowskim sądem i został skazany na karę śmierci, ale im uciekł i ukrywał się nawet po wojnie.

KOŁODNO, POW. KRZEMIENIEC

17 LIPCA 1943 | SOBOTA

Halina T. (ur. 1929)

O dziesiątej wieczorem usłyszeliśmy alarm [bito w żelazne sztaby zawieszane przed domami], były dzwony kościelne. Kobiety, dzieci i starsi schronili się w kościele, mężczyźni zajmowali pozycje do obrony. Mój ojciec miał karabin; gdy usłyszał alarm, pobiegł do swojego oddziału. My początkowo schroniliśmy się w okopach, ale mama pobięła jeszcze z panią S. wynieść z domu parę rzeczy, w obawie przed spalaniem.

W tym czasie razem z ciotką Jadwigą O. siedziałam w okopie. Podjechali do nas partyzanci sowieccy na koniach i powiedzieli, żeby schronić się w szkole lub pobliskich domach, bo jak podejda Ukraińcy, zarzucą okopy granatami. Gdy część osób wyszła, wybuchła strzelanina. Schroniliśmy się z ciotką w pobliżu jakiegoś domu, pod zrębem niewykończonego ganku. Obok nas położył się jedenastoletni nieznamy chłopiec.

Pojawili się Ukraińcy. Nie widziałam ich, bo głowę miałam schowaną pod belką, tylko słyszałam, jak krzyczeli: „*Chłopci, tut!*”. Usłyszałam strzał, trafili ciotkę. [...] Poczulałam na szyi i plecach ukłucia, były bolesne i głębokie. [...] Głowę osłoniła mi belka. [...] Gdy tak byłam kluta, obok słyszałam przeraźliwy krzyk również klutego pikami

chłopca, który wołał swoją mamę. Ten chłopiec musiał cierpieć straszne męki, gdyż, jak się okazało, miał poraniony brzuch. Boże, jak on krzyczał!

[...] Ukraińcy wycofali się [...]. Jeszcze nie straciłam przytomności, zaczęłam szeptać, aby ciotcia się odezwała. Chłopczyk cały czas przeraźliwie krzyczał, ja go prosiłam, żeby przestał, bo oni znowu przyjdą, i w końcu zamilkł. Ciotcia w ogóle się nie odzywała. Czulałam, jak po plecach i szyi spływa mi krew.

Minęła może godzina, gdy nastąpił kolejny atak Ukraińców. Słyszałam, że idą. Nawet nie próbowałam oddychać, nie ruszałam się, nic nie widziałam. Usłyszałam po ukraińsku: „*Ci to wsi hotowi, a etu sabaku* – chodziło o chłopca – *zastrelili*”. Wówczas jeden powiedział do drugiego, że jest durny, szkoda naboju i znowu zaczęli tego chłopca kłuć pikami. Wtedy zemdlałam. Kiedy obudziłam się, już świtało. Usłyszałam polską mowę. Ten chłopczyk jeszcze żył, zmarł w południe. Ciotcia była martwa. Partyzanci powiedzieli mi potem, że nie cierpiała, została trafiona pociskiem w serce, niemniej i tak była pokłuta.

[...] Partyzanci polscy organizowali transport, żeby się wycofać z Huty Stepańskiej [zob. też: „Karta” 8]. Podjęto decyzję o ewakuacji na wozach dzieci, rannych i osób starszych. Kiedy transport ruszył około południa, nastąpił kolejny atak Ukraińców. Leżałam na wozie razem z dwójką innych dzieci. Woźnica rzucił lejce i zaczął uciekać. Mój tato z karabinem doskoczył do konia i zawrócił wóz. Zaniesiono nas do szkoły. Wpadł do niej tłum uciekających. Ojciec nie był przy mnie, gdzieś walczył. Odparto atak i ponownie zorganizowano transport. Kiedy opuszczaliśmy Hutę, rozpętała się straszna burza, w życiu takiej nie widziałam. Wtedy udało się nam wycofać do lasu bez strzału.

Nocowaliśmy w lesie. Niesamowite wrazenie. Tabor rozciągał się jak okiem sięgnąć. Ochraniały go partyzantów polskich i chyba sowieckich. Matki musiały pilnować dzieci, żeby nie płakały i nie zdradziły naszego położenia, a gospodarze stali przy koniach i pilnowali, żeby żaden nie zarżał. Gdy tak jechaliśmy, widziałam płonące polskie wsie [...]. Mama po drodze zbierała jabłka, bo bardzo chciało mi się pić. 20 lipca dotarliśmy do Sarn. [...] Zostałam umieszczona w szpitalu, gdzie leżałam trzy miesiące. [...] Leczył mnie Niemiec, bardzo się mną opiekował.

HUTA STEPANŃSKA, GM. STEPANŃ, POW. KOSTOPOL

18 LIPCA 1943 | NIEDZIELA

Wiesław Witold G. (ur. 1937)

Polacy jeździli z bronią na wypad do swoich gospodarstw po żywność i inne rzeczy. Kiedyś udało mi się wśliznąć na wóz, którym na wypad jechał mój ojciec. Poza nim jechało wtedy osiem–dziesięć wozów sąsiadów.

W wiosce [w pobliżu Chrynowa] wszystkie zabudowania jeszcze stały, nie były spalone. Zajechaliśmy do gospodarstwa M., bo wiedzieliśmy, że nie uciekli. Obok domu, który nie był podpłonięty, stał tzw. loch ziemny. W nim znaleźliśmy małżeństwo. Ojciec mnie nie puszczał, żeby to oglądać, ale widziałem, jak wyciągali zwłoki. Oboje byli porąbani siekierami. Na polu przy gospodarstwie został znaleziony nasz bliski sąsiad B. Z dwóch stron obłożono go deskami, w których [tkwiły] gwoździe, a deski obwiązano drutem kolczastym. Jego ciało zostało nabite na gwoździe, widziałem go w tym stanie. Wiem, że po polach i obejściach znaleziono kilka osób z rozciętymi brzuchami.

Już we Włodzimierzu, byłem z rodzicami w kościele farnym o jedenastej. W czasie mszy wpadła do kościoła może dwunastoletnia dziewczyna. Miała obciętą przy ramieniu prawą rękę. Wbiegła przed ołtarz główny i krzyczała: „Matuchno Najświętsza, dziękuję ci, że pozwoliłaś mi się uratować”.

Później dowiedziałem się, że zamordowano jej całą rodzinę, ona jedna się uratowała i biegła 10 kilometrów przez las.

19 LIPCA 1943 | PONIEDZIAŁEK

Jadwiga J. (ur. 1937)

Uciekałyśmy z mamą [...]. Za nami gonił jeden Ukraińiec i strzelał. Dostałam w tył uda. Kula przeszła na wylot, wyrwijając mięśnie, ale nie uszkadzając kości. Moja mama wzięła mnie na rękę i dalej uciekałyśmy. Ukraińiec dogonił nas. Mama uklękła przed nim i błagała, żeby nas nie mordował, tylko zastrzelił.

Po namyśle kazał mamie usiąść, wziąć mnie na rękę i przytulić. Odszedł kilka kroków, wycełował, strzelił. Kula przeszła przez moje prawe ramię, znowu uszkadzając mięśnie, ale nie naruszając kości, a mama została trafiona w serce. Upadła na wznak i skonała. Ja upadłam na mamę,

zamknęłam oczy i przytuliłam się. Ukraińiec podszedł, uderzył kolbą w moją lewą dłoń (została mi po tym szrama między palcami) i odszedł. [...] Po odejściu Ukraińców odnalazła mnie rodzina przyczajona na polu żyta i przeniosła razem z mamą na miedzę. Opatrzyli mi rany, położyli na wóz i zostawili.

Następnego dnia przechodziła tamtędy grupa uzbrojonych Ukraińców, którzy zabrali z wozu wszystko, co zostawili moi krewni. Obok mamy i mnie przeszli obojętnie. Tylko jeden, idący z tyłu, zatrzymał się i powiedział do mnie po polsku, że jestem podobna do matki i że powinienam powiedzieć ciooci, żeby mnie stąd zabrała, bo zginiemy. Po kilku dniach wrócił i powiedział, że wie, że jestem sama, że ciooci nie ma. Chciał, żeby z nim porozmawiała. Ja się nie odzywałam, wstrzymywałam oddech – udawałam, że nie żyję. Byłam zbyt mała, nie zdawałam sobie sprawy, że człowiek żyjący jest ciepły. Ten Ukraińiec zaniósł mnie na pole gryki. Przychodził jeszcze kilkakrotnie, chciał mnie sprowokować do mówienia, w końcu odszedł.

Po kilku dniach usłyszałam koszenie pobliskich zbóż. Znowu przyszedł ten Ukraińiec i powiedział, że zabiera mnie do swoich. Wziął mnie na rękę, zaniósł do koszących zboże, położył na ziemi. Nadal nie chciałam mówić. Ukraińcy postawili obok mnie jedzenie i poszli. Nie wiedziałam, że z tyłu została jedna Ukrainka. Kiedy sięgnęłam po jedzenie, krzyknęła, że żyję. Wówczas wszyscy się zbiegli i nie mogłam już udawać, opowiedziałam o sobie. Prawdopodobnie leżałam tak sama około dziesięciu dni.

WYRKA, GM. STEPAN, POW. KOSTOPOL

2 SIERPNI 1943 | PONIEDZIAŁEK

Anna O.

Zabraliśmy dzieci i pojechaliśmy do kościoła w Tuczyńce [...]. Wróciliśmy dopiero pod wieczór, trochę zmęczeni. Zjedliśmy kolację, jeszcze poszłam z dziećmi na różaniec do sąsiada. Przyszła prawie cała wieś.

Wróciliśmy do domu i tak rozmawiamy z mężem, że może nie pójdziemy dzisiaj na noc do lasu, takie męczące to spanie na dworze. Noce chłodne, a dzieci małe, płaczą, że zimno i chciałyby spać w łóżeczkach. Może tę jedną noc prześpiemy w stodole, odpoczniemy trochę...

I tak zrobiliśmy. Dzieci bardzo się ucieszyły. W stodole było trochę siana, rozebrałam dzieci, włożyłam im nocne koszulki, żeby wypoczęły, bo w lesie czy na łące spały w ubrankach. [...] Stodoła była drewniana, więc z tyłu odbiliśmy deskę, żeby w razie czego prędzej wyjść. Za stodołą było żyto, może da się łatwiej uciec.

Weszliśmy do dzieci i siedzimy na sianie. Mąż zaczął się niepokoić, miał jakieś złe przeżycia. Powiedział, że nie będzie spać do drugiej, potem ja będę czuwać. Przytaknęłam, ale oka nie zmrzyłam; i mnie ogarnął jakiś strach. Wydawało mi się, że ktoś chodzi koło naszego mieszkania. Pies zaczął mocno szczekać, potem wyc. Około północy zaczęły wyc wszystkie psy, aż echo, hen, odbijało.

A nasze dzieci śpią. Próbuje je obudzić, może wyjdziemy w pole, ale w żaden sposób nie mogę. „Boże, nie opuszczaj nas!” – modłę się do Matki Boskiej Nieustającej Pomocy – „Ratuj nas, Pani!”. Dochodzi pierwsza. Jaka długa noc! Żeby prędzej do rana doczekać. Nagle zaczęły pękać granaty i wybuchł pożar. O, Boże! Jęk i krzyk, strzały z karabinów, wioska obstawiona przez bandę Ukraińców z bronią – nikt nie ucieknie.

„Matko Najświętsza, nie opuszczaj nas!” – westchnęłam. Mąż krzyczy: „Budź dzieci i uciekaj szybko, a ja te rzeczy w workach wyrzucę ze stodoły” i kręci się po klepisku, nie może niczego znaleźć. Ja nie mogę obudzić dzieci, szarpie je, mówię do męża, że będziemy je wynosić śpiące. Mąż wyniósł najmłodsze, a ja jakoś dobudziłam te starsze. Wybiegliśmy kawalek od domu, w zboże. Wzięłam tylko jeden koc, bo ze strachu nic więcej nie znalazłam. Dzieci drżały w nocnych koszulkach, noc była chłodna. Owinęłam wszystkie kocem i kazałam usiąść na ziemi, choć była dość wilgotna, a sama patrzę, czy nasz dom jeszcze stoi.

Kury fruują, zwierzęta ryczą, rzą, wyją, a ludzie... krzyczą nieludzkim głosem. [...] Płomienie buchają pod niebiosa. Drewniane domy, słomiane dachy palą się jak zapalki. Ach, żeby naszego domu nie spalili!

Dzieci zaczynają płakać, że długo nie ma tatusia. Ja też się niepokoję. Nareszcie przychodzi mąż, przynosi ubranka, dzieci szybko się ubierają i biegniemy do lasu, około pół kilometra. W lesie zebrało się już sporo niedobitków, opowiadają. [...]

Tej nocy zamordowano ponad sto osób ze wsi Leonówka.

Rozwidniło się, mężczyźni poszli na zwiady. Szybko wrócili i wołają: „Nasze domy [w kolonii Leonówka] stoją, doszczętnie spalona jest tylko wioska”. Wracamy z lasu. Akurat wschodziło słońce, smutne, czerwone, jakby skąpane we krwi. Nie ma wiatru, cicho, pogodnie, tylko cuchnący dym unosi się ze zgliszcz. Co robić? Dokąd uciekać?

Szybko przygotowuję śniadanie, a tu wpada syn sąsiada i woła: „Jadą na koniach Ukraińcy”. – „Wola Boska – mówię – nie damy rady uciec”, ale nas ominęli. Zajechali do sąsiada i mówią, że nie będą nas zabijać, bo byliśmy dobrymi gospodarzami, ale żeby nas tu do dwunastej nie było, ani jednego, bo inni przyjdą nas mordować.

Zostawiamy cały dorobek – nowy dom, stodołę, oborę, studnię betonową, sad, krowy, świnie, stado gęsi [...]. Mamy jeden wóz, a trzy rodziny się pakują – co można wziąć? Małe dzieci też trzeba posadzić na wóz. Zapakowałam do worka lepsze odzienie, trochę żywności. Wzięłam obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, a dzieciom dałam po małym obrazku. Zdjęłam ze ściany krzyż misyjny, wzięłam różaniec i mówię, że już zabrałam wszystko, co najważniejsze.

Obraz Matki Boskiej, którym moi rodzice błogosławili nas do ślubu, był za duży, by zabrać go ze sobą, więc zdjęłam ze ściany, postawiłam na stole przykrytym białym obrusem, ubrałam w kwiaty. Uklękliśmy wszyscy, odmówiliśmy *Pod Twoją obronę* i poprosiliśmy Matuchnę o błogosławieństwo, nie do ślubu, jak ongiś, a na życie tułaczce. Ze łzami w oczach wyszliśmy z mieszkania, które zamknęłam na kłódkę. Krzyżem przeżegnałam drogę i wyruszyliśmy.

Tylko Reks został. Nie mogliśmy zabrać go ze sobą, bo nie miał kagańca, a był bardzo groźny. Gdy wyjeżdżaliśmy z podwórza, zaczął strasznie wyc, a dzieci płakać, nam też łzy spływały po policzkach. Odjechaliśmy 6 kilometrów i jeszcze słysząc było jego wycie.

Szybkim tempem jechaliśmy przez spaloną Leonówkę. Ileż tam leżało trupów, a we wsi żywej duszy. Kto został przy życiu, uciekł, o pogrzebach nie było mowy. Tu i ówdzie jeszcze dymyły zagrody. Pasieka na sto pni spalona, roje pszczoł siedziały na miodzie z rozbitych uli. Obok drogi w łanie żyta leżał osiemnastoletni syn Mikołaja M. Miał okropnie popalone ciało i ubranie. Wołał o ratunek, ale było to niemożliwe, konał.

[...]

Dojechaliśmy do Tuczyzna, gdzie był niemiecki posterunek. Tu zjechali Polacy z całej gminy. [...] Niemcy wyznaczyli miejsce na łące nad rzeką Horyń i powiedzieli, że tu mamy przenocować, a jutro jechać dalej.

Dopóki świeciło słońce, było spokojnie. Po zmierzchu przyjechali Niemcy i powiedzieli, żeby wyjeżdżać szybko na drugą stronę rzeki, bo moc Ukraińców idzie, wybiją nas albo potopią, a oni nie mają takiej siły, żeby z nimi walczyć.

Nie da się opisać, jaki powstał popłoch. A gdy jeszcze usłyszeliśmy strzały z karabinów maszynowych, jak to wszystko ruszyło [...], nawet w ludziach były straty.

LEONÓWKA, GM. TUCZYŃ, POW. RÓWNE

29 SIERPNI 1943 | NIEDZIELA

Bożena P. (ur. 1927)

W nocy 29 sierpnia spaliśmy w polu z mamą i braćmi, tylko ojciec został w domu. O wschodzie słońca wróciliśmy do gospodarstwa. Starszy brat Mieczysław wszedł do kryjówki w stercie słomy na podwórku, a młodszy Alfons ukrył się w sianie na strychu obory. Ja z mamą byliśmy jeszcze na dworze, kiedy mama zauważyła, że z kolonii wybiegło kilku mężczyzn z siekierami, kosami i toporami na plecach i pobiegli do sąsiada P. Ponieważ tam już nikogo nie było, pobiegli do drugiego sąsiada K., gdzie także nikogo nie zastali, bo ta rodzina spała w zbożu. Zobaczyliśmy, że pędzą w naszą stronę.

Mama wbiegła do domu zbudzić ojca, natomiast ja wskoczyłam do kryjówki brata w stercie słomy na podwórzu. Zdążyłam tylko powiedzieć, że lecą do nas bandyci, gdy mama z ojcem wyszli na próg i zawołali, byśmy uciekali z gospodarstwa. Ojciec został na podwórku, zaś mama z Mieczysławem pobiegli za stodołę, ukryć się w kopakach pszenicy.

[...]

Bandyci byli już blisko, wskoczyłam z powrotem w stertę słomy. [...] Usłyszałam dwukrotne głucho uderzenie i jęk ojca. Zaczęli szukać pozostałych członków rodziny. Zagląдали wszędzie i znaleźli mamę z Mieczysławem. Jeden z Ukraińców powiedział: „No, tych dwoje już leży”. Na strychu znaleźli Alfonsa, sprowadzili go na podwórze. [...] Usłyszałam dwa uderzenia, jak przy ojcu, i jęk. Kiedy zabili brata, zaczęli między sobą

mówić, że gdzieś powinna być jeszcze dziewczyna. Szukali mnie [...], w końcu poszli.

Po dwóch–trzech godzinach znowu przyszli jacyś Ukraińcy i zaczęli kopać doły na podwórku i za stodołę. Nagle usłyszałam głos Alfonsa: „Boże! Boże!”. Podeszli do niego i powiedzieli: „Aluś, ty śpisz, śpisz”. Brat jeszcze dwa razy powtórzył: „Boże, mój Boże!”, wtedy jeden odezwał się: „Weź topór i go dobij”. Znowu usłyszałam dwa ciosy. Brat przestał jęczeć. Wrzucili ciała do dołów [...] i gdzieś sobie poszli.

Po południu przyjechały furmanki na podwórze i zaczęło się zabieranie inwentarza, sprzętów, odzieży. Zabrali, co się dało, i odjechali.

W nocy myślałam, aby wyjść i przedostać się jakoś do Włodzimierza, ale usnęłam. Obudziłam się rano, kiedy usłyszałam, że ktoś chodzi po podwórku. [Ukraińcy] Zbierali jajka i wypuścili na podwórze dwa prosiaki. Prosięta wyczuły, że jestem w stercie, przecisnęły się przez słomę i położyły obok moich nóg. Podkopał się też do mnie pies. Wyciągnęli psa i patrzyli, czy kogoś tam nie ma. Z drugiej strony były te dwa prosiaki, ktoś je kopnął i zaczęły pchać się do mnie. Odepchnęłam je mocno i poszły sobie, a Ukraińiec za nimi. Jakoś mnie nie znaleźli. Siedziałam do następnego dnia w stercie. Czułam głód, a przede wszystkim chciało mi się pić.

We wtorek przed nocą postanowiłam znaleźć coś do picia. Na podwórzu już całe popołudnie było spokojnie. Na płocie suszył się garnek, nabrałam nim wody z koryta, choć była już zazieleniona. Wróciłam do sterty i przez słomkę piłam wodę z dna. Przesiedziałam tak kolejną noc. Chciałam uciekać, ale zaraz trzęsłam się i zasypiałam.

W środę rano pomyślałam, że jeśli nie wyjdę, to umrę z głodu albo mnie spalą w tej stercie, bo niektóre gospodarstwa palili. Wyszłam więc i wzięłam grabie, udając robotnicę idącą w pole. Kiedy doszłam do zakrętu drogi prowadzącej do kolonii (mieszkaliśmy jakieś 300 metrów z boku), zobaczyłam jadących na wozie Ukraińców z karabinami. Nie patrząc na nich, poszłam drogą na Włodzimierz, a oni skręcili [...]. Nie zatrzymali mnie, nie wiem dlaczego. [...]

Kiedy przeszłam ze 3–4 kilometry, zobaczyłam, że w gospodarstwie polskiego osadnika wojskowego S. Ukraińcy coś ładowali na wóz. [...] Jeden zatrzymał mnie i zapytał, dokąd idę. Z przerażenia nie mogłam nic powiedzieć, wyjąkałam,



FOT. IPN, ODDZIAŁ W LUBLINE

↑ Polska rodzina zabita przez Ukraińców

że grabić owies. Zapytał, czyja jestem. Skłamałam, podając się za córkę G., którzy byli rodziną ukraińską, mieszkali na kolonii i mieli trzy córki mniej więcej w moim wieku. Mężczyzna powiedział, że kłamię, bo on zna córki G. [...] Dodał, że mam szczęście, bo on jeszcze nikogo nie zabił i nie chce zabić, a jest przekonany, że jestem Polką. Kazał mi rzucić grabie i dla bezpieczeństwa iść przez pola i lasem, a nie drogą.

Grabi nie rzuciłam, ale poszłam w kierunku lasu. [...] Z daleka zobaczyłam przedwojenną strzelnicę wojskową, kręciło się tam kilka osób. Nie wiedząc, kim są, zaczęłam grabić skoszoną grykę i owies, i ustawiać w kopki. Te osoby ruszyły w moim kierunku. Kiedy pierwszy się zbliżył, zobaczyłam w nim wiejskiego skrzypka, wywiezionego przez Ukraińców do lasu, lecz za chwilę wydało mi się, że to jakiś Niemiec, a po chwili, że Ukraińiec, dopiero kiedy on odezwał się po polsku: „Bożenka”, okazało się, że to znajomy. Byli to Polacy, którzy przyjechali z Włodzimierza po paszę dla trzody. Zabrałam się z nimi.

LUDMIŁPOL, GM. WERBA, POW. WŁODZIMIERZ

Kazimiera J. (ur. 1931)

Że ludność ukraińska morduje Polaków, słyszałyśmy w trakcie rozmów dorosłych. Dorosli obawiali się aktów przemocy, niemniej wszyscy prowadzili gospodarstwa i musieli pracować. Ponadto liczyli, że w ich miejscowości nic złego nie ma powodu się wydarzyć. [...]

W niedzielę w nocy usłyszeliśmy zbliżające się strzały i hałasy od strony lasu. Matka zbudziła nas i kazała się ubierać. Poszliśmy do mieszkającego niedaleko wujka Jana. Również nie spali. Wujek stwierdził, że być może idą po mężczyzn i schował się do stodoły. My staliśmy na podwórku. Okrążyło nas dziesięciu mężczyzn, wśród nich był mieszkaniec Głębozczy [..]. Byli uzbrojeni w młotki, kosy, siekiery, jeden miał starą broń. Uspokajali nas, że nic nam nie zrobią. Pamiętam, że mieli pokrwawione nogawki spodni. W pewnym momencie usłyszałam głośne „Hurra!” i zauważyłam, że biją nas tym, co każdy miał w ręku. Stojący obok mnie Ukraińiec zamachnął się na mnie siekierą, upadłam i straciłam przytomność.

Nie wiem, ile leżałam, ale dość długo. Słyszałam jakiś płacz, jęki, myślałam, że śnię. Kilkakrotnie odzyskiwałam i traciłam świadomość. Przypominam sobie, że widziałam matkę z rozrąbaną czaszką. Ojciec leżał zabity, trzymając najmłodszą siostrę, też martwą. [...]

Mógł to być trzeci dzień. Czułam się bardzo głodna, słaba. Doszłam jakoś do sadu babki, zbierałam jabłek i zjadłam. Ukraińcy w dalszym ciągu grasowali. Postanowiłam schować się w kopie zboża na polu babki. Nie wiem, ile tam siedziałam, ale trzy razy widziałam Ukrainki idące do cerkwi w odświętnych strojach. W końcu znaleźli mnie w tej kopie Ukraińcy. Byłam wycieńczona, myśleli, że nie żyję. Wykopali dół i kłócili się, który ma mnie zepchnąć. Mogło być ich z sześciu. Jeden wziął łopatę i zepchnął mnie, przy tym jeszcze uderzył mnie łopatą w bok głowy. Czułam, jak zasypują mnie ziemią. W końcu odeszli.

Udało mi się zgarnąć ziemię z twarzy i podniosłam się. Obserwował mnie jakiś Ukrainiec, pomógł mi wyjść. Bardzo się bałam. Zaprowadził mnie do rzeki, gdzie obmyłam się, gdyż miałam całą twarz zalaną krwią. Pytał, co się stało z moją rodziną. [...] Nazywał się H., wydaje mi się, że był wśród tych, którzy napadli na nas na podwórku wujka. [...] Zaprowadził mnie do swojego domu, jego siostra opatrzyła mi ranę i jakoś doszłam do siebie.

GŁĘBOCZYCA, GM. OLESK, POW. WŁODZIMIERZ

30 SIERPNI 1943 | PONIEDZIAŁEK

Jadwiga P.

Popędzili nas w stronę kościoła. Kiedy doszliśmy, wypędzili z kościoła przeważnie kobiety z dziećmi i popędzili wszystkich w stronę cmentarza, przez krzaki. [...] Koło cmentarza pobili starego organistę z żoną, bo nie dawali rady szybko iść. Było gorąco, zalewał nas pot. [...]

Przepędzili nas kilka kilometrów krzakami i się zaczęło.

Ewa Sz. ze wsi Maria Wola wymawiała im: „Za co nas zabijacie, po Żydach nabraliście złota, a po nas co weźmiecie?”. Zaczęliśmy odmawiać *Anioł Pański* i *Wieczny odpoczynek racz nam dać, Panie*. Kazali kłaść się rodzinami, potem dziesiątkami – i do każdego z oddzielną strzelali. [...] Położyłam się jak do snu. Miałam dużą chustkę i nakryłam nią głowę, żeby nic nie widzieć.

Strzały zbliżały się, czekałam śmierci, a tu słyszę, że strzały oddalają się, a ja nietknięta.

Siostra z jednym bratem, ja z drugim, miałam głowę opartą o jej nogi, musiała słyszeć, że dycham i pyta, czy jestem ciężko ranna. Jeszcze się nie odzywam, boję się, może stoją w krzakach. Drugi raz pyta, podniosła głowę i mówi, że niktogo nie ma. Zobaczyłam, że jest ranna. Wstałyśmy, popatrzyłyśmy na braci (9 i 13 lat), w głowach otwory po kulach. Do dziś mam na sumieniu, że kazałam im wyrzucić czapki, może gdyby byli w czapkach, to by ich nie trafili.

Gdzie iść? Poszliśmy krzakami w kierunku Lubomla. Spotkałyśmy starszego Ukrainca z dziewczynką. Siostra zaczęła prosić, żeby nas wziął do domu, nie chciał. Wyszliśmy na drogę na Zapole, siostrze zrobiło się niedobrze. Powiedziałam: „Poczekaj na drodze, a ja pójdę, po ukraińsku wody poproszę”. Na szczęście najbliższe mieszkanie było zamknięte, z koryta popiliśmy wody i poszliśmy dalej. [...]

Zaczęło się życie tułacze.

WOLA OSTROWIECKA, GM. HUSZCZA, POW. LUBOML

WYBÓR I OPRACOWANIE

Barbara Odnous

W tekście zostały wykorzystane materiały Instytutu Pamięci Narodowej Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Lublinie, akta śledztwa S.1/00/2.

Redakcja składa podziękowania prowadzącemu śledztwo prokuratorowi Piotrowi Zajacowi za pomoc w udostępnieniu i przygotowaniu materiałów.

Materiał pochodzi z „Karty” 46/2005.



FOT. OSRODEK KARTA

Dywizja ukraińska

W ybuch II wojny światowej znaczna część Ukraińców żyjących w Polsce powitała z nadzieją, że w jej wyniku powstanie niepodległe państwo ukraińskie. Protektora sprawy ukraińskiej upatrywano w III Rzeszy. Proniemieckie sympatie powiększał w latach 1939–41 bezwzględny terror na obszarach zajętych przez Sowieców. Nic więc dziwnego, iż ukraińskie podziemie (głównie Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów – OUN) w 1941 roku czynnie wsparło nacierający Wehrmacht, atakując wycofujące się oddziały armii sowieckiej. Po stronie niemieckiej walczyły także tzw. Drużyny Ukraińskich Nacjonalistów, czyli bataliony „Nachtigall” i „Roland”.

Polityka III Rzeszy szybko przyniosła jednak Ukraińcom rozczarowanie. Niemcy nie zgodzili się bowiem na żadne polityczne koncesje, a członków rządu ukraińskiego, samorzutnie powstałego z inicjatywy banderowskiej frakcji OUN, aresztowali i osadzili w obozach koncentracyjnych. Pełnym zaskoczeniem dla Ukraińców stało się włączenie Galicji Wschodniej do „polskiego” Generalnego Gubernatorstwa i prowadzenie na pozostałych ukraińskich terenach

← Lwów, 18 lipca 1943. Przemarsz ochotników do 14 Dywizji Strzeleckiej SS „Galizien”

rabunkowej gospodarki. Bataliony „Nachtigall” i „Roland” wycofano z frontu, a następnie włączono w skład dywizji policji, która do początku 1943 roku zwalczała partyzantkę sowiecką na Białorusi.

W odpowiedzi na politykę władz niemieckich banderowcy ponownie zeszli do podziemia i w końcu 1942 roku zaangażowali się w tworzenie Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA). Partyzantka ta, znana w Polsce głównie z krwawych pogromów polskiej ludności, od 1943 roku prowadziła ograniczoną walkę z Niemcami, atakując siedziby administracji i oddziały policji. Unikała natomiast uderzeń na szlaki komunikacyjne, nie chcąc w ten sposób pośrednio wspierać ZSRR. Jednak część środowisk ukraińskich, głównie w Galicji, w dalszym ciągu widziała w III Rzeszy jedyną siłę, która mogła zapewnić powstanie niepodległej Ukrainy. Do polityków, co pewien czas zwracających się do hitlerowców z propozycją powołania ukraińskich jednostek wojskowych, należeli m.in. Wołodmyr Kubijowycz oraz Andrij Melnyk. Propozycje te spotykały się jednak z milczeniem.

Na początku 1943 roku rosnące straty skłoniły niemieckich przywódców do skorygowania swojego nieprzejednanego stanowiska wobec tworzenia ukraińskich oddziałów. Z inicjatywy gubernatora dystryktu Galicja Otto Wächtera postanowiono sformować galicyjską dywizję Waffen SS, przeznaczoną do regularnych walk na froncie wschodnim. Przyjęła ona nazwę 14. Ochotniczej Dywizji SS „Galizien” (po ukraińsku „Hałyczyna”). Tworzenie cudzoziemskich jednostek SS nie było w tym czasie czymś wyjątkowym. Pod hasłem walki z komunizmem sformowano podczas wojny m.in. jednostki francuskie, holenderskie, łotewskie, estońskie, chorwackie czy białoruskie.

Dywizja z założenia miała galicyjski, a nie ukraiński charakter. Niemcy nie mieli bowiem zaufania do Ukraińców mieszkających na Wołyniu i wschodzie Ukrainy, inaczej natomiast traktowali mieszkańców Galicji Wschodniej, która przez długi okres była częścią Austro-Węgier. Z tych powodów w dywizji nie wprowadzono ukraińskiej symboliki: tryzubia i błękitno-żółtego sztandaru; symbolem dywizji był żółty galicyjski lew z trzema złotymi koronami na niebieskim polu.

Informacja o formowaniu dywizji, ogłoszona 28 kwietnia 1943, przez mieszkańców w Galicji

Ukraińców została przyjęta pozytywnie. Choć Niemcy nie poczynili żadnych koncesji politycznych, tworzenie ukraińskiego SS powszechnie odebrano jako pierwszy krok w stronę powstania państwa ukraińskiego. Do punktów werbunkowych zgłosiło się około 80 tysięcy osób. Jednak tylko kilkanaście tysięcy z nich objęto przeszkoleniem.

O entuzjazmie panującym wśród części ludności ukraińskiej Galicji świadczy fakt, że np. w Mościskach zgłosiło się 20 procent wszystkich Ukraińców tam mieszkających. Zdarzały się wypadki, iż przekazywano ochotnikom sztandary ukraińskich jednostek z czasów I wojny światowej. Często też tłumaczono skrót SS jako Strzelcy Siczowi (była to nazwa ukraińskiej formacji wojskowej z lat 1914–19, będącej odpowiednikiem Legionów Piłsudskiego).

Z pierwszego rzutu ochotników do dywizji Niemcy sformowali kilka pułków policji SS (numeracja od 4 do 8). Włączono je w skład dywizji na początku 1944 roku. Nim to zrobiono, dwa spośród nich – 4 i 5 – wzięły udział w akcjach przeciwpartyzanckich. Małoletnich ochotników skierowano do tzw. Junaków SS, a następnie do jednostek obrony przeciwlotniczej na terenie Niemiec.

Dywizja SS „Galizien” otrzymała niemieckie dowództwo. Żołnierzy dywizji szkolono w kilkudziesięciu obozach szkoleniowych w Polsce, Niemczech, Austrii, Francji i Holandii. W maju 1944 dywizję odwiedził w obozie w Neuhammer (Świętoszów) koło Żagania Himmler. Wyniki inspekcji przekonały go, że dywizja może zostać skierowana na front wschodni w Galicji. Ostatecznie w końcu czerwca 1944 skoncentrowano ją w rejonie Brodów. Składała się ona wówczas z trzech pułków piechoty. 13 lipca ruszyła ofensywa Armii Czerwonej. W jej wyniku 18 lipca dywizja znalazła się w okrążeniu. W kotle zginęło lub dostało się do niewoli około 7 tysięcy Ukraińców. Nielicznym udało się dotrzeć do UPA. Z potrzasku wyrwało się około 3 tysięcy żołnierzy dywizji.

Niemcy szybko uzupełnili dywizję jednostkami rezerwowymi, dzięki czemu na początku września liczyła znowu około 10 tysięcy ludzi. Pod koniec września 1944 skierowano dywizję do zwalczania powstania w Słowacji, w styczniu 1945 przerzucono ją do Słowenii, gdzie zwalczała partyzantkę Tito, a od 1 kwietnia 1945 do końca

wojny toczyła ciężkie walki z Armią Czerwoną w rejonie Grazu w Austrii, tracąc w nich około tysiąca zabitych i rannych.

Na początku 1945 roku klęska Niemiec stała się rzeczą oczywistą. Pomimo to 17 marca utworzono Ukraiński Komitet Narodowy (UNK), będący reprezentacją Ukraińców wobec III Rzeszy. Jednocześnie powołano Ukraińską Armię Narodową (UNA). Miano ją stworzyć ze wszystkich ukraińskich żołnierzy walczących po stronie Niemiec, w tym przede wszystkim z członków Dywizji SS „Galizien”. Dowódcą UNA został mianowany generał Pawło Szandruk.

Szandruk do 1939 roku służył w Wojsku Polskim. W wojnie obronnej 1939 roku znakomicie dowodził 29 Brygadą Piechoty WP, za co otrzymał po wojnie krzyż *Virtuti Militari* z rąk generała Władysława Andersa. Do jesieni 1944 nie angażował się w politykę i pracował w kinie w Skierniewicach. Zostając dowódcą UNA, postawił przed sobą jeden cel – uratowanie jak największej liczby ukraińskich żołnierzy przed niewolą sowiecką i tym samym deportacją do łagrów. Zaraz po objęciu swojej funkcji Szandruk udał się do Dywizji SS „Galizien” i doprowadził do jej przemianowania na 1 Ukraińską Dywizję UNA. Pod jego wpływem 7 maja 1945 dywizja ta opuściła linię frontu, oderwała się od wojsk sowieckich i wkrótce skapitulowała przed Anglikami i Amerykanami.

Najwięcej emocji w historii dywizji budzą popełnione przez jej żołnierzy prawdziwe i domniemane zbrodnie wojenne. Chodzi tu o „Bojową Grupę Beyersdorfa” oraz 4 i 5 pułki policji SS. Grupa Beyersdorfa i 5 pułk policji dowodzony przez ppłk. SS Franza Lechthalerę w pierwszej połowie 1944 roku prowadziły działania przeciwko polskiej i sowieckiej partyzantce na Lubelszczyźnie, po czym żołnierzy obydwu jednostek włączono ponownie w skład dywizji. Niewykluczone, iż w trakcie akcji przeciwpartyzanckich przeprowadzano także represje wobec ludności cywilnej. Z badań Krzysztofa Jasiewicza wynika na przykład, że 5 pułk policji w rejonie Masfomęcza spalił w stodole około stu Polaków*.

Najpoważniejsze zarzuty popełnienia zbrodni wojennych ciążyą jednak na działającym w Galicji Wschodniej 4 pułku policji SS mjr. Zygfryda Binza. Szczególnie ciężki dotyczy spalenia wsi Huta Pieniacka. Wieś ta była polską placówką samoobrony przed UPA. Przez pewien czas stacjonował w niej oddział partyzantki sowieckiej. Ukrywała się w niej także grupa Żydów. 23 lutego 1944 przybył do wsi w celach rozpoznawczych złożony z Ukraińców pododdział 4 pułku policyjnego SS. Polacy, sądząc, że mają do czynienia z przebranymi upowcami, zaatakowali napastników, zabijając dwóch z nich – Ołeksę Bobaka i Romana Andrijczuka (byli to pierwsi zabici żołnierze Dywizji SS „Galizien”). W sukurs żołnierzom 4 pułku przybył miejscowy oddział UPA „Jastruba” (Dmytro Karpenki), który zaatakował Polaków z boku. Umożliwiło to pododdziałowi SS odwrót i najpewniej uratowało go przed całkowitym pogromem. Na wieść o śmierci dwóch żołnierzy SS Niemcy zorganizowali im manifestacyjny pogrzeb i przeprowadzili karną ekspedycję, która zrównała wieś z ziemią. Kilkuset cywilnych mieszkańców zamordowano.

4 pułk policji SS prawdopodobnie umożliwił także UPA wymordowanie ludności polskiej, która schroniła się w klasztorze w Podkamieniu (zob.: *Niemcy a UPA*, „Karta” 23). Niewykluczone, że uczestniczył również w innych akcjach represyjnych w Galicji Wschodniej.

Historia 14 Ochotniczej Dywizji SS „Galizien” ciągle wywołuje wiele emocji i wymyka się łatwym ocenom. Jedni zarzucają jej żołnierzom i organizatorom, że byli germanofilami i kolaborantami. Rozciągają też zbrodnie popełnione przez część żołnierzy na całą jednostkę. Drudzy podkreślają patriotyczne pobudki, jakimi kierowali się ukraińscy ochotnicy, i zwracają uwagę na brak w ówczesnej sytuacji alternatywy dla ukraińskiego ruchu niepodległościowego.

—
Grzegorz Motyka

* Krzysztof Jasiewicz, *Lista strat ziemiaństwa polskiego 1939–1956*, Warszawa 1995, s. 397.

Mobilizacja Lwowa

Prezentujemy zdjęcia wykonane 18 lipca 1943 we Lwowie podczas uroczystej odprawy ochotników do 14 Dywizji Strzeleckiej SS „Galizien”. Warto zwrócić uwagę na propagandowy wydźwięk prezentowanych zdjęć. Były one robione w taki sposób, aby stworzyć wrażenie, że cała ludność ukraińska Galicji bez zastrzeżeń popiera nazistów. Była to nieprawda. Wskazują na to chociażby represje, które w tym samym czasie Niemcy podejmowali przeciwko Ukraińcom. W latach 1943–44 zginęło w nich około 15 tysięcy cywilów.

Opis uroczystości pochodzi z ukraińskiego dziennika „Wola Pokuttia” z 25 lipca 1943. Zdjęcia nieznanego autora znajdują się w zbiorach Ośrodka KARTA. (RED.)

FOT. OŚRODEK KARTA



→ Lwów, 18 lipca 1943

Wielka manifestacja Lwowa z okazji wyjazdu pierwszych ochotników Dywizji Strzeleckiej SS „Hałyczyna”

Niedziela, 18 lipca, zostanie wpisana wielkimi literami w dzieje obwodu galicyjskiego, a w ciągu tej wojny światowej będzie oznaczać dla Galicji ważną datę: tego dnia stolica naszego obwodu żegnała pierwsze oddziały ochotników Dywizji Strzeleckiej SS „Hałyczyna”, oficerów, podoficerów oraz strzelców, którzy odjeżdżali na szkolenia

wojskowe. Było to wspaniałe wydarzenie, uświadamiające tym, którzy odchodzili, i tym, którzy ich żegnali, że dla narodu ukraińskiego wybiła historyczna godzina obrony Ojczyzny z bronią w rękę, że ludowi ukraińskiemu przyszło nadal spełniać tę misję, którą pełnił on na przestrzeni wieków – być żywym murem obronnym dla całej Europy przed barbarzyństwem Wschodu, a teraz przed bolszewizmem. Niedzielną manifestacją pozostanie ważnym wspomnieniem dla każdego,





→ Lwów, 18 lipca 1943

kto brał w niej udział, a dla historii ukraińskiej wojskowości będzie ona jednym z najwspanialszych momentów.

[...] Godzina 8.00. Zaczyna się msza polowa. Odprawia ją przewielebny Nikita wraz z o. Wasylem Łabą oraz o. Sewerynem Saprunem. Śpiewają połączone chóry „Surma” i „Bojan” pod kierownictwem dyrygenta o. Pleszkewycza. Słowo Boże płynie do zgromadzonych przez głośniki. Po raz pierwszy Ukraińcy ze Lwowa słuchają nabożeństwa polowego przy ścianach cytadeli lwowskiej.

Czuje się wojskowy charakter tej uroczystości: surmy zapowiadają najważniejsze momenty nabożeństwa i wtedy też padają odpowiednie komendy.

Po nabożeństwie, po odśpiewaniu przez chóry *Boże, Węlykyj Jedynyj* samborska orkiestra dęta pod kierownictwem dr. Riabija gra ukraiński hymn narodowy. Przemawia główny kapelan polowy Dywizji SS „Hałyczyna” o. dr Wasyl Łaba:

„Wy, drodzy bracia żołnierze, oficerowie, podoficerowie oraz rekruci – mówi – pożegnaliście się ze swymi matkami i małżonkami, z tymi ukraińskimi spartankami, które zdławiły ból w piersiach, wysyłając Was na ciężką krwawą drogę. Idźcie – powiedziały Wam – tam, skąd Was woła obowiązek narodowy. A teraz przychodzicie po drugie macierzyńskie błogosławieństwo – po błogosławieństwo rodzimej Cerkwi, ponieważ wyruszą na wyprawę nie tylko za Ojczyznę, ale i za wiarę, za Chrystusa, za moralność Chrystusową, za wolność sumienia, za kulturę człowieczeństwa. Idźcie walczyć przeciwko hordzie, która śladem najazdu tatarskiego pcha się na nasze ziemie. Będziemy się modlić, aby Wasz czas wojenny okazał się szczęśliwy, żeby zaopiekowała się Wami Matka Przczysta.

Jest Was niewielu. Ale będziemy prosić Najwyższego, żeby za Wami szli następni, żeby Wasze szeregi rosły. Pamiętajcie, iż na Wasze czyny

→ Lwów, 18 lipca 1943.
 Ochotnicy 14 Dywizji
 Strzeleckiej SS „Galizien”
 w drodze na uroczystości

↓ Lwów, 18 lipca 1943. Duchowny
 greckokatolicki przemawiający
 do ochotników 14 Dywizji
 Strzeleckiej SS „Galizien”



będą czekać i patrzeć rozsypane po całej Ukrainie groby rycerzy, których duchy żądają od Was zapewnienia im spokojnego spoczynku, że patrzeć na Was będzie wielomilionowy lud ukraiński. Nie zapomnijcie, iż będą na Was patrzeć cudzoziemcy, w szczególności sławni żołnierze Niemieckiej Armii. Waszym obowiązkiem jest wynieść wysoko imię ukraińskiego żołnierza. Bądźcie pod opieką Najwyższej i Matki Przczystej, która «kule zavraca, głowy ocala». Zdobywajcie chwałę dla siebie, dla swojej rodziny, a dla naszej Ojczyzny, dla naszego ludu – drogą wolność i lepszy los.”

Nabożeństwo połowe zakończone. Zgromadzeni formują się w pochód, który otwiera grupa rannych żołnierzy ukraińskiego wojska niemieckiego. Za nimi niosą sztandary, idą chóry, oddział młodzieży narodowej, komendant pułku, orkiestra z Sambora, pułk odjeżdżających ochotników, za nimi orkiestra „Zori” ze Lwowa, jednostki Ukraińskiej Służby Ojczyźnie, oddział Policji Ukraińskiej, dwa bataliony ochotników z obwodu lwowskiego, orkiestra ze Złoczowa oraz bezkresne masy społeczeństwa ukraińskiego idące szóstkami. Ulicami: Herbststrasse, Kopernika oraz Adolf Hitler Ring pochód przesuwa się przed budynek Opery Lwowskiej. [...]

W manifestacji wzięło udział około 50 tysięcy ludzi. Cały plac od Opery do ulic Akademickiej oraz Galicyjskiej wyglądał jak ocean ludzi.

Wypełnia się też trybuna. Znaleźli się na niej przedstawiciele partii oraz rządu z jego szefem, dr. Bauerem, na czele, niemiecka generalicja, naczelnicy wojskowi, przedstawiciele wojskowych oraz cywilnych instytucji, starosta, dowódca obwodu, zastępca dowódcy oraz przełożeni pododdziałów Ukraińskiego Centralnego Komitetu, członkowie Zarządu Wojskowego, niemieckie pielęgniarki, przedstawiciele Cerkwi oraz ukraińskich instytucji społecznych, przedstawiciele Urzędu Propagandy, prasy i inni.

[...]

Godzina 10.00 – rozbrzmiewają fanfary i pojawia się auto Gubernatora. Wita go między innymi grupa ukraińskich dziewcząt w strojach narodowych i wręcza mu bukiety kwiatów. Gubernator zajmuje miejsce na trybunie, a orkiestra samborska gra pieśni ukraińskie.

Na trybunę wchodzi płk Alfred Bisanz. [...] mówi:

„Panie Gubernatorze, Dostojni goście! Witam Was i dziękuję za przybycie. [...] Minęły

FOT. OSRODEK KARTA



↑ Lwów, 18 lipca 1943.
Trybuna przed gmachem
Teatru Wielkiego





FOT. OSRODEK KARTA (3)

- ← Gubernator Galicji Otto Wächter
- Lwów, 18 lipca 1943.
Odprawa ochotników do 14 Dywizji Strzeleckiej SS „Galizien”. Drugi od prawej mjr Jewhen Pobihuszczyj
- ↓ Lwów, 18 lipca 1943.
Trybuna przed gmachem Teatru Wielkiego





zaledwie trzy miesiące, a już pierwsi ochotnicy, Panie Gubernatorze, stanęli tu do wyprawy. Z wdzięczamy to wspólnej pracy wszystkich niemieckich oraz ukraińskich służb. [...]”

Głos zabiera dr Kost Pańkiwskyj, zastępca Przywódcy UCK:

„Panie Gubernatorze, moi Panowie! Podziękowania dla Zarządu Wojskowego Galicji, które nam właśnie złożył pan pułkownik Bisanz, przyjmujemy z radością. Odpowiadamy na to deklaracją, iż pełniliśmy jedynie swoje obowiązki, ponieważ zadanie Dywizji Strzeleckiej SS „Hałyczyna” było nie tylko zadaniem Zarządu Wojskowego, lecz jednocześnie i UCK oraz całej społeczności ukraińskiej. Za to czujemy się zobowiązani do podziękowania – w pierwszej kolejności p. Gubernatorowi Galicji. Jego inicjatywie, Jego energicznym wysiłkom oraz Jego szczeremu oddaniu zawdzięczamy, że Dywizja Strzelecka SS „Hałyczyna” zaistniała dzisiaj. Panie Gubernatorze! Proszę przyjąć od nas najserdeczniejsze podziękowania!

[Po podziękowaniach wypowiedzianych po niemiecku, dalej mówi po ukraińsku.]

„Panowie Towarzysze! [...]”

Wiecie, iż godne miejsce w nowym świecie, w Nowej Europie, będą mieli tylko ci, którzy wspólnie z innymi europejskimi ludami walczą o tę nową Europę z jej najzaciętszym wrogiem. I dlatego właśnie teraz, gdy woła Führera ludu niemieckiego, a szczególnie szczerze wysiłki Pana Gubernatora Galicji, pozwoliły Wam stanąć ramię w ramię ze sławną armią niemiecką oraz jej sojusznikami, to my wszyscy, a szczególnie Wy, którzy odchodzicie pod sztandary wojskowe, musimy okazać się godnymi tego zaufania. Wspólnym wysiłkiem – my na froncie pracy, a Wy na froncie zbrojnej walki – chcemy pomóc w budowie nowej Europy.

[...]”

Ojczyzna woła Was do walki!”

Połączone chóry „Surma” i „Bojan” śpiewają *Hej, u ludzi*, po czym na trybunie pojawia się Gubernator dr Wächter, który tak oto przemawia do ochotników:

„Ochotnicy SS! Wasz krok marszowy zabrzmiał dziś po raz pierwszy na ulicach starego miasta Lwowa. Stanęliście razem – oficerowie, podoficerowie i strzelcy, którzy w I wojnie

światowej walczyli zawzięcie i odważnie, dumnie i radośnie. Zebrałiście się tutaj razem kombatanci Galicyjskiej i Ukraińskiej Armii z lat 1918–1920 i Wasza młodzież ze wszystkich krańców tego pięknego kraju. [...]

Cios żołnierzy niemieckich przegonił niszczycielskiego bolszewickiego molocha, który także tu ścisnął w cierpieniu Wasze serca i starał się zgasić wszystko, co dawało oznaki życia. To było dwa lata temu. Dziś na Wschodzie, tysiące kilometrów stąd stanęły do walki niemieckie dywizje pancerne. Żołnierze niemieccy chronią swoją piersią zarówno Was, jak i Wasze rodziny, a także ten kraj. I dlatego, ochotnicy, dowiedzieliście się, gdzie jest Wasze miejsce. Idźcie do boju i wracajcie jako dumni zwycięzcy do kraju!”. [...]

Jako ostatni zabiera głos pułkownik Alfred Bisanz:

„Ochotnicy Dywizji SS «Hałczyzna»! Za trzy godziny odjeżdża pierwszy transport z dworca lwowskiego. Za nim kolejne transporty po 25-letniej przerwie pojadą na zachód do obozów szkoleniowych.

W obecności Waszych ochotników obiecuję Wam, członkowie rodzin osób powołanych do Dywizji Broni SS, dbać o Was oraz w każdej chwili przychodzić Wam z pomocą, żeby Wasi rodzice, mężowie oraz bracia spokojnie mogli wykonywać swoje obowiązki i przyczyniali się na froncie do ostatecznego zwycięstwa Europy.

Nie stalibyśmy tutaj i nie moglibyśmy rozpocząć tej sprawy, gdyby Führer ze swoją siłą zbrojną nie uwolnił tej ziemi. Nasze podziękowanie należy się Führerowi i Najwyższemu Dowodzącemu Adolfowi Hitlerowi! Witamy go okrzykiem «*Sieg Heil!*».

Trzykrotnie rozbrzmiewa potężna odpowiedź rzesz ludzkich. Orkiestrasamborska gra niemiecki hymn narodowy oraz *Horst-Wessel-Lied*.

Tym kończy się manifestacja przed Operą. O godzinie 11.30 przed gmachem byłego Sejmu Galicyjskiego [...] zaczyna się defilada wszystkich uczestników wielkiej uroczystości. [...]

Z UKRAIŃSKIEGO PRZEŁOŻYŁ
Wołodymyr Pawliw

Materiał pochodzi z „Karty” nr 35/2002.

FOT. OSRODEK KARTA



↑ Lwów, 18 lipca 1943.
Kobiety w regionalnych strojach ukraińskich pozdrawiają dygnitarzy stojących na trybunie hitlerowskim „Sieg Heil”



Po roku

FOT. OSRODEK KARTA

Polskie podziemie bardzo uważnie przyglądało się formowaniu Dywizji SS „Galizien”. Starano się poznać nastroje jej żołnierzy i śledzono pod tym kątem ukraińską prasę. Wynikało to między innymi z panującej wówczas wrogości pomiędzy Polakami i Ukraińcami. Powszechnie spodziewano się, że po II wojnie światowej, podobnie jak po 1918 roku, dojdzie do polsko-ukraińskiej wojny o Lwów. Pojawienie się Dywizji wzmacniało siły ukraińskie w wypadku wybuchu konfliktu. Z drugiej strony osłabiała też polskie roszczenia do Kresów Wschodnich na arenie międzynarodowej, gdyż wstępując do SS, ukraińscy obywatele II Rzeczypospolitej jednoznacznie okazywali brak związków z państwem polskim. Niemcy doskonale zdawali sobie sprawę z tych polsko-ukraińskich zatargów i starali się wykorzystać je w interesie III Rzeszy. W tym właśnie kontekście należy odczytywać przemówienie Heinricha Himmlera do oficerów Dywizji. Wiedząc o krwawych akcjach UPA przeciwko Polakom i sympatiach żołnierzy Dywizji do ukraińskiego podziemia, wprowadził do swojego przemówienia wątki antypolskie, by w ten sposób zapobiec dezercjom do lasu. Niemcy byli zaniepokojeni możliwością ucieczki członków SS „Galizien” do UPA. (G.M.)

Lwów, 18 lipca 1943.
Jeden z ochotników
podczas przemarszu
14 Dywizji Strzeleckiej
SS „Galizien”

Przeglądy codziennej prasy ukraińskiej (robione prawdopodobnie przez akowskie Biuro Wschodnie Delegatury Rządu na Kraj)

Nr 15 (27 kwietnia – 1 maja 1944)

„Lwowski Wisti” nr 95 z dn. 28 kwietnia poświęcają artykuł wstępny rocznicy powołania do życia SS Dywizji Galicyjskiej.

Dzień 28 kwietnia 1943, kiedy to po wsiach i miastach Galicji ukazały się afisze werbunkowe – nazywa autor artykułu dniem historycznym. Dzień ogłoszenia werbunku ochotników do Dywizji – to jasne chwile w historii, które stanowią podstawę do dumy narodowej.

Powołanie do życia Dywizji było realnym czynem, którym, jak pisze autor: „Naród ukraiński Ziemi Galicyjskiej zdawał egzamin swojej dojrzałości politycznej”.

Poza tym autor pisze dalej:

„Stworzenie SS Dywizji Galicyjskiej – to nie tylko przedłużenie tradycji narodu ukraińskiego, to nie tylko wyraz takiego czy innego sentymentalno-patriotycznego uczucia – to przede wszystkim wyraz zdrowego politycznego rozumu narodu ukraińskiego, który jasno zdaje sobie sprawę z tego, że od obecnej chwili zależy dalszy los i egzystencja narodu.”

SS Dywizja Galicyjska to nie tylko emanacja ukraińskich narodowych i wyzwolenieczych tradycji, to nie tylko romantyzm kozackich czy strzeleckich pieśni, ale przede wszystkim wielki twór

ukraińskiego politycznego rozumu i historycznego, narodowego rozwoju”.

Nr 17 (11–16 maja 1944)

„Naprzód na wroga”

Ukazują się we „Lwiwskich Wistiach” regularne reportaże z działalności SS Dywizji Galicyjskiej, zaczynają one obecnie opisywać również bojową działalność poszczególnych oddziałów Dywizji na tyłach frontu przeciwko bandom bolszewickim. To w oficjalnej wersji. Z opisów jednak sądząc, są to wystąpienia przeciwko poszczególnym wsiom za rzekome torowanie drogi bolszewikom, co w praktyce uderza w ludność polską.

Jeden taki dość wyraźny reportaż „Lwiwski[ch] Wisti” nr 105 z dn. 1 maja przynosi ponadto zupełnie niedwuznaczne stwierdzenie współdziałania SS Dywizji Galicyjskiej z ukraińskimi partyzantami, tj. UPA.

Opisując spotkanie takie, po wyjaśnieniu, że spotkani nie są bandą bolszewicką, autor, ukraiński korespondent wojenny SS pisze:

„Stoją przed nami ludzie, ubrani po cywilnemu, uzbrojeni w różnorodną broń. Były to grupy ukraińskich partyzantów, które walczyły z bandami bolszewickimi, oczyszczając z nich poszczególne wioski. Kolumna ich ruszyła dalej, my idziemy naprzód z przewodnikami partyzantów na czele.

«Mamy tu – opowiada partyzant – dużo roboty, wrogowie obsadzili każdą chatę i nie dopuszczali nas do wsi ogniem swoich karabinów. Ale nam udało się zniszczyć ich tak samo jak we wsi G. i Dz.»

Po przyjeździe do wsi ukraińskiej dowódca oddziału idzie do tzw. sztabu powstańczego.

«Zniszczyliśmy bandytów w trzech wsiach. Obecnie znajdują się oni w trzech wsiach M., Cz. i S. Musimy ich zniszczyć, bo oni torują drogę armii bolszewickiej» – mówi kierownik sztabu. Na mapie leżącej na stole zakreslają miejscowości, które należy oczyścić od wroga. Po godzinnej naradzie oddział SS Dywizji z powstańcami idzie dalej”.

Można się poważnie obawiać, że tak ogólne zdefiniowanie wroga jako bandy bolszewickiej, określając je nazwami wsi – dotyczyć może ludności polskiej.

W każdym razie reportaż ten jest pierwszym publicznym stwierdzeniem współdziałania SS Dywizji Galicyjskiej z UPA.

Nr 18 (19–26 maja 1944)

Występy SS Dywizji Galicyjskiej

Znów ukazały się we „Lwiwskich Wistiach” nr 115 z dn. 21/22 maja dalsze opisy wystąpień oddziałów Dywizji Galicyjskiej przeciwko „bandom sowieckim” na terenie Małopolski Wschodniej.

W dalszym ciągu nie można się oprzeć wrażeniu, że ofiarą tych wystąpień pada nie banda sowiecka, a ludność polska. Z opisów tych wynika bowiem, że w dalszym ciągu kompanie Dywizji naprowadzają na dane wsie informacje miejscowej ludności ukraińskiej. Tak skierowani żołnierze Dywizji kończyli swe dzieło zawsze zniszczeniem i spaleniem całej wsi (!). Ostatni opis takiej walki z bandyckimi sowieckimi oddziałami z łamów „Lwiwskich Wisti” kończy się takim ustępem:

„Między chatami łowiono bandytów. Mieszkańcy tej wioski byli wszyscy aktywnymi partyzantami bolszewickiej bandy. Każdą chatę oczyszczano z nich, a jeńców oddawano pod straż. Bój trwał pięć godzin. Wzięto stu jeńców. Był wieczór. Trzecia kompania pierwszego batalionu SS Dywizji Galicyjskiej wracała bez strat z pierwszego boju do swych stanowisk”.

(Archiwum Wschodnie, Kolekcja Bukata, t. 41 i 107)

Polityczne i wojskowe położenie Małopolski Wschodniej w świetle ostatnich wydarzeń [1944 rok]

[...] Ukraińcom udało się jednak przeforsować własne plany. Dywizja SS-Galicja została przeznaczona, wbrew powszechnie żywionym przypuszczeniom z polskiej strony, do Małopolski Wsch[odniej]. Co prawda, przybyły zaledwie

dwa bataliony, ale początek został zrobiony, jakkolwiek z przeznaczeniem tych batalionów plotka łączy wyraźne kombinacje. Z przemówienia powitalnego gub[ernatora] Wächtera do tych batalionów wynikało, że dywizja będzie użyta do walki z bandami i bandytami. Ponieważ w terenie działają dywersyjne bandy bolszewickie oraz bandy UPA, przeciwko nim użyty ma być własny żołnierz, wyćwiczony i bądź co bądź doskonale uzbrojony. Na razie trudno stwierdzić albo przewidzieć, jak naprawdę będzie wyglądała prawdziwa rola dywizji ukraińskiej na terenie Małopolski Wschodniej. Być może przez pewien czas zachowywać się będzie zgodnie z regulaminem i rozkazami, będzie przykładowo uganiała się po kraju za partyzantami, „nie wypada” bowiem, aby tak nagle, nieomal z drogi i na drugi prawie dzień uciekać w lasy do oddziałów UPA. Że jednak dywizja ukraińska, oprócz nakazanej akcji pacyfikacyjnej przeciwko bolszewikom, będzie współdziałała za przykładem choćby policji ukraińskiej, która bierze udział w napadach na wsie polskie i w mordach ludności polskiej – z bandami ukraińskimi, ujętymi w karby UPA, zdaje się nie ulegać najmniejszej wątpliwości. Wkrótce też będziemy mogli notować nowe okoliczności związane z napadami na wsie polskie. Nie należy bowiem zapominać, raczej przypomnieć należy, że na wagonach pociągów, które wczesnym latem 1943 roku wiozły SS Dywizję „Galicja” na zachód na przeszkolenie, było wyraźnie wielkimi literami napisane odwieczne hasło ukraińskie „*Smert Lachom*” (Śmierć Polakom). [...]

(AW, Kolekcja Bukata, t. 48)

Sprawozdanie sytuacyjne z Ziemi Wschodnich, kwiecień 1944

[...] SS Dywizja „Galizien” uzupełnia dzieło UPA.

Oddziały SS-Schützendivision „Galizien”, które rozlokowane zostały w niektórych powiatach Małopolski Wschodniej, pod pozorem walki z dywersją sowiecką uzupełniają krwawo dzieło UPA, mordując polskie osiedla w sposób równie krwawy i bestialski.

Do zbrodni dokonanych przez te formacje poprzednio: w Hucie Pieniackiej, Zawoi i Podkaminieniu, przybyła obecnie nowa. W pierwszej połowie kwietnia spalona została przez nie doszczętnie wieś Jasienica Polska pod Kamionką Strumilową.

Obecnie dotarły do nas bliższe informacje o potwornej masakrze dokonanej przez oddział

SS-Schützendivision „Galizien” dnia 27 lutego [1944] na ludności polskiej we wsi Huta Pieniacka, o czym relacjonowaliśmy w sprawozdaniu za miesiąc marzec.

Z całej ludności tej wsi dotychczas odnaleziono zaledwie 49 osób, reszta zginęła. Ogólną ilość ofiar trudno jest ocenić, ponieważ we wsi znajdowali się liczni uchodźcy polscy z okolicznych wsi jak Pieniaki, Huciska itp. W każdym razie jednak trzeba się liczyć z tym, że zginęło przeszło 500 osób.

Wyprawę oddziału spowodował posterunek ukraińskiej policji w Podhorcach, który złożył meldunek, że Polacy w Hucie Pieniackiej przechowują Żydów, popierają bolszewicką partyzantkę, posiadają broń itp. Kiedy ukraińscy SS-mani przybyli celem przeprowadzenia rewizji, zaczęli rabować, rozmawiając między sobą po ukraińsku – Polacy, myśląc, że to są przebrani ukraińscy bandyci, ostrzelali ich. Wówczas wyruszył znaczny ukraiński oddział SS z Podhorzec, który otoczył wieś i przystąpił do mordowania ludności. Żołnierze ukraińscy byli przeważnie pijani i znęcali się nad ludnością w potworny sposób, mordując między innymi i w kościele, w czasie czego jeden z nich przygrywał na harmonii. Ogół ludności stłoczono tak silnie w stodołach, że musieli tam pozostać w pozycji stojącej, następnie oblano benzyną i podpalono. Makabryczny widok przedstawiał potem obraz takiej stodoły, w której wśród zgłiszcz stało jeszcze długo w masie kilkadziesiąt razem sklejonych trupów.

Obraz ten widział jeszcze 5 marca silny oddział partyzantki sowieckiej, który przechodził przez Hutę Pieniacką. Żołnierze sowieccy ze zgrozą oglądali te zwały trupów. Na interwencję polskich czynników w dystrykcie lwowskim wyjaśnili Niemcy, że „masakra ta wynika z pomyłki”. [...]

(AW, Kolekcja Bukata, t. 105)

Raport polityczno-wojskowy z podróży odbytej w czasie od 1 czerwca do 18 czerwca 1944

[...] SS Strzelecka Dyw[izja] „Galicja”.

Dywizja ta (oficjalna nazwa: 14 SS-Schützendivision „Galizien”) przebywa obecnie w wielkim obozie wyszkoleniowym Neuhammer, 90 km na północny zachód od Wrocławia i 15 km na południe od m[iejscowości] Sagon [?], leżącej przy linii kolejowej Wrocław–Legnica–Frankfurt n. Odrą. Jest to ogromny obóz, obliczony na około 80.000 ludzi. Prócz Dywizji „Galicja” stoją tam jeszcze

inne formacje niemieckie oraz znajduje się obóz jeńców sowieckich.

W skład dywizji wchodzi 29, 30 i 31 pułki piechoty niezmotoryzowanej. Artyleria jest o ciągu konnym. Jedyne artyleria przeciwpancerna i przeciwlotnicza jest zmotoryzowana.

[...]

Dowódcą dywizji jest gen. Freitag. Jego adiutantem osobistym i referentem spraw personalnych jest por. Palijiw, który przedtem miał być członkiem Zarządu Wojskowego; oskarżają go, że jest intrygantem. Na czele pułków i samodzielnych jednostek stoją częściowo Niemcy, częściowo Ukraińcy galicyjscy. Oficerowie naddnieprzańscy z Wielkiej Ukrainy mają być źle widziani, przede wszystkim z powodu złej znajomości języka niemieckiego. [...]

Element oficerski ukraiński w dywizji pod względem wyszkolenia ma być bardzo słaby, szczególnie oficerowie artylerii, których ponadto odczuwa się wielki brak. Element podoficerski jest podobno dobry.

W Neuhammer przeprowadza się forsowne szkolenie dywizji przed jej rychłym wyruszeniem na front. Ćwiczenia rzekomo trwają z małymi przerwami od 5.00 rano do 9.00 wieczorem. Częste są ćwiczenia nocne i dłuższe przemarsze.

[...]

Dywizja w najbliższym czasie (o ile już nie jest w ruchu) ma przejść do Galicji przed dalszym wyruszeniem na front. Od żołnierzy dywizji słyszałem dwa warianty tego wyruszenia z Neuhammer. Według pierwszego, dywizja ma przejść marszem pieszym przez teren Gen[eralnego] Gubernatorstwa dla zaprawy bojowej przed frontem przez użycie jej na tym terenie w walce z „bandytami”, wzgl[ędnie] partyzantami. Według drugiego wariantu, dywizja ma przybyć wprost do Galicji, a mianowicie do Lwowa, Stanisławowa i okolic, gdzie ma stanąć załogami przed wysłaniem jej na front. Podoficer tej dywizji mówił mi 10 czerwca, że kwaterunkowi dywizji już przybyli do Lwowa dla jej rozmieszczenia. W każdym wypadku żołnierze dywizji obiecują sobie krwawą rozprawę z Polakami.

Nastroje w dywizji są przeciwpolskie, ale stosunek do Niemców jest wyraźnie wrogi. Źródłem nastrojów antyniemieckich są przyczyny polityczne w postaci „zawiedzionych nadziei” oraz złe postępowanie Niemców z Ukraińcami na terenach przyfrontowych przez zabieranie ludności

ukraińskiej żywności, bydła, wysiedlania z domów, wysyłania na roboty do Niemiec itp. W samej dywizji istnieje wśród żołnierzy niezadowolenie, że Niemcy są wszędzie nadrzędni. Narzekają również, że dywizja „Galicja” jest gorzej wyekwipowana, umundurowana i żywno niż inne dywizje SS. Niezadowolenie budzi również rzekomy zakaz obcowania żołnierzom dywizji z dziewczętami niemieckimi. Chodzą również pogłoski, że od żołnierzy dywizji brano jakoby przymusowo krew dla żołnierzy niemieckich. To ostatnie nie jest pewne, ale już w formie pogłoski budzi sprzeciw i niezadowolone przeciwko Niemcom. Toteż obiecują sobie żołnierze dywizji odkucie się na Niemcach na froncie, a w szczególności za złe postępowanie z nimi, za częste i ostre kary (za dwutygodniowe spóźnienie się z urlopu karzą jakoby śmiercią) itp. Są też częste wypadki dezercji z dywizji. Na wyraźne moje zapytanie grupy żołnierzy dywizji, czy Niemcy są przyjaciółmi ukraińskimi, czy wrogami, odpowiedzieli mi żołnierze bez chwili bodaj namysłu: „naturalnie, że Niemcy są naszymi wrogami” i mówili, że w odpowiedniej chwili chętnie będą ich bić.

Dużą popularnością cieszy się wśród żołnierzy dywizji UPA (Ukr[aińska] Powstańcza Armia) i panuje wśród nich przekonanie, że po przejściu dywizji do Galicji rozpocznie się masowa dezercja z dywizji do UPA. Precedens do takiej dezercji dali żołnierze SS policyjnych pułków, których spora liczba przeszła do UPA.

W drugiej połowie maja do Neuhammer przybył na inspekcję dywizji Himmler, który miał do żołnierzy przemówienie. [...]

Dywizja „Galicja” ma w swoich szeregach znaczną ilość galicyjskiej inteligencji ukraińskiej, która za namową i propagandą Zarządu Wojsk „Galicja” wstąpiła do dywizji. Twierdzi wielu z nich, że zostali oszukani, gdyż celem ich zgłoszenia się miało być rzekomo tylko danie dobrego przykładu szerokim masom ludności galicyjskiej i mieli oni być po przeprowadzonej akcji wyreklamowani z powrotem do swoich zajęć i stanowisk zawodowych. Tymczasem obietnic nie spełniono, poza małymi wyjątkami, i delikwenci pozostali w szeregach dywizji jako „przymusowi ochotnicy”. Są to oczywiście obecnie w dywizji malkontenci. Inteligentni Ukraińcy wyrażają obawę, że w ten sposób kwiat inteligencji galicyjskiej zostanie wybity na froncie. M.in. w ten sposób trafili do dywizji z obietnicą niespełnioną późniejszej reklamacji wszyscy młodzi ukraińscy lekarze galicyjscy.

Jaką niepopularnością cieszy się dywizja „Galicja” wśród ludności niemieckiej, świadczy fakt, że na terenie Rzeszy żołnierz dywizji został zapytany przez Niemca, do jakiej formacji należy. Ukrainiec odpowiedział, że jest ochotnikiem do SS dywizji „Galicja”. Na to Niemiec odrzekł, że rozumie, iż Niemców biorą przymusowo do wojska i oni muszą się bić, ale jest wielkim łajdactwem iść na ochotnika do wojska, szczególnie, gdy jako Ukrainiec nie musi się bić; w ten bowiem sposób Ukraińcy będą przedłużać wojnę. Niemiec przy tym z oburzenia miał plunąć żołnierzowi dywizji w twarz. Twierdzą również, że Austriacy rzekomo nie podają ręki żołnierzom dywizji z tego samego powodu.

Ciekawe, jaki pogląd panuje wśród niektórych żołnierzy co do wyników wojny. Inteligentny podoficer dywizji (artysta teatru) wypowiedział mi ten pogląd, a mianowicie: Niemcy wojnę przegrają. Zwyciężą Anglicy i Amerykanie. Polska po wojnie nie powstanie, gdyż Alianci po I wojnie światowej przekonali się, że Polska nie jest zdolna do życia i nie jest w stanie utrzymać pokoju. Na wschodzie będzie wielki chaos, na tle którego dzięki posiadanym siłom zbrojnym w postaci zorganizowanych już ukraińskich oddziałów powstanie Ukraina.

(AW, Kolekcja Bukata, t. 67)

Przemówienie Reichsführera Heinricha Himmlera do oficerów Dywizji

Postój, dnia 17.05.[19]44

14 SS Dobr[owolna] Dyw[izja] „Hałyczyna”
Służba informacyjna, UI
Przyjaciele!

Mniej więcej rok temu, 28 kwietnia [19]43, ogłoszono apel o dobrowolnym naborze do tworzącej się jedynej dywizji w Waszej ojczyźnie. Ta dywizja została nazwana 14 SS Dobr[owolna] Dyw[izja], a dokładnie Galicyjską Dobrowolną Dywizją. Ponieważ mam zwyczaj otwarcie omawiać wszelkie sprawy z korpusem oficerskim, dlatego też i z Wami chcę dzisiaj omówić następujące kwestie.

Wiem, że niektórych z Was gnębi to, iż Dywizja ta nazywa się Galicyjska i że często nazywają Was Galicjanami. Ja, rzecz jasna, wiem, że mieszkańcy Galicji tacy jak Wy – są Ukraińcami. Podobnie jak w Niemczech Niemiec mieszkający na Pomorzu nazywa się Pomorzanie lub ten, kto mieszka w Bawarii, nazywa się Bawarczykiem – w taki sam sposób powstała i ta nazwa „Hałyczyna”, wywodząca się od nazwy Waszej pięknej ojczyzny, z której możecie być naprawdę dumni.

Wasza ojczyzna stała się jeszcze piękniejsza w momencie, gdy straciła, że się tak wyrażę, z naszej inicjatywy, tych mieszkańców, którzy często plamili dobre imię Galicji, a mianowicie – Żydów.

Znam smutną historię Waszego narodu. Przez całe wieki Wasz uczciwy lud musiał cierpieć pod uciskiem Moskali i Polaków, część zamieszkała w Galicji, dostała się po rozbiorze Polski w 1772 roku do Austrii. Tylko ta jedna część odczuła szczęście większej wolności, a zarazem niemieckiego porządku i sprawiedliwości. Wy jesteście tymi spośród Waszego ludu, którzy całkowicie się zgadzają z Zachodem i mogą tę zgodę przekazać rodakom. Od Waszej dyscypliny i Waszego zdrowego rozsądku w znacznej mierze będzie zależała przyszłość Waszego narodu. Po wojnie 1918 roku musieliście przejść, za panowania państwa polskiego, bardzo ciężkie czasy. Polak prześladował i gnębił jednakowo Ukraińców, jak i Niemców, ale jeszcze gorsze były lata 1939–1941 za Moskali-bolszewików.

Trzy lata temu Führer Adolf Hitler postanowił uderzyć na bolszewików w Rosji. Krwią Waszych niemieckich przyjaciół, niemieckich żołnierzy, uwolniono Waszą ojczyznę od bolszewizmu. Jednak byli tacy wśród Was, którzy z ogromnej miłości do swego narodu oczekiwali od Niemiec większych darów oraz większych praw.

Führer, kierując się zdrowym rozsądkiem, postanowił w ostatnich latach inaczej. Ponieważ już wiemy, jak Führer, którego nam Bóg zesłał, przez ten czas rządził Niemcami i jak uwolnił Europę – tak mądrze wszystko przeprowadził – w żaden sposób nie wypada nam dziś być niezadowolonymi. Moim zdaniem, najlepiej dla nas będzie, jeśli poczekamy na jego decyzję w sprawie porządku narodów w Europie aż do końca wojny.

W 1941 roku Führer postanowił, iż ta część narodu ukraińskiego, która mieszka w Galicji i która przez 150 lat należała do Rzeszy, powinna należeć do Generalnego Gubernatorstwa. Druga część, która była przez 25 lat pod panowaniem bolszewickim, na skutek decyzji Führera uzyskała inną formę rządów. Niektórzy byli niezadowoleni i, gdy dziś bolszewizm przejściowo ponownie opanował ten kraj, powinni odczuć na własnej skórze, jak gorzki los ich spotkał.

Teraz przejdę do Was – do Dywizji. Rok temu padło wezwanie: ukraiński lud Galicji zgłosił się dobrowolnie do szeregów w wielkiej liczbie – starzy i młodzi, ojcowie i synowie. Od razu

wszczęli propagandę przeciwko Dywizji i przeciwko Wam wszystkim ci wiecznie niezadowoleni – ci, którym nigdy nie zależało na ocaleniu swego ludu, którzy zawsze mają czas i chcą zbierać plony, chociaż sami niczego nie siali.

Mówiono wówczas, iż tych, którzy się zgłosili, Niemcy wezmą tylko na mięso armatnie. Takie pogłoski pojawiły się przed rokiem, a teraz – każdy żołnierz Dywizji jest świadkiem, że było to pomówienie. Tutaj muszę jeszcze coś dodać: my, Niemcy, jako żołnierze nigdy nie zmuszaliśmy innych narodów do walki na wojnie większej niż nasza. Daliśmy Wam rozkaz rocznego, starannego szkolenia. Wiem, iż niektórym ludziom spoza Dywizji to również się nie podobało, ponieważ twierdzili, że Niemcy będą Was jedynie szycanować ćwiczeniami. Można to ująć tak: kto ma złe chęci, zawsze znajdzie jakieś zarzuty. Lecz tu jedynie my, żołnierze, mamy coś do powiedzenia, a nie oni – bo nie są żołnierzami.

Jest ogromna różnica w tym, czy idę do lasu w pojedynkę, czy idę walczyć na front z Dywizją. Strzelać zza krzaków i rzucać obelgi potrafi każdy głupiec. Kto tak czyni, nie jest żadnym patriotą. Lecz ten, kto zaprawia się w dyscyplinie, musztruje się, uczy się rzemiosła wojskowego, szkoli sam siebie i swoich strzelców, ten naprawdę daje coś swemu narodowi. Jedynie wtedy, gdy pójdziecie na front ze swoją wiedzą, którą zdobyliście w czasie szkolenia, będziecie na należyтым miejscu. Na 20-, 30- lub 40-kilometrowym odcinku, który dadzą Wam do obrony czy też do ataku, będziecie tarczą dla swojej ojczyzny. Gdy to uczynicie, będziecie sławą dla swego narodu, nosicielami pokoju, nosicielami rozkazu oraz posłuszeństwa. A zapewne wiecie, iż na rozkazach i posłuszeństwie zbudowane jest dobro ludu.

Nasi „przyjaciele” mówili też, iż Niemcy nie pozwolą Wam pójść wyżej. Że żaden z Was nie stanie się prawdziwym oficerem, szefem batalionu, szefem sotni czy też przywódcą. Wierzę, że Wy możecie świadczyć przeciwko temu. Każdy zajmuje takie miejsce, na jakie zasługuje. I ja, czy też Wasz dowódca, nigdy nie pytamy, czy to Ukraińiec, czy Niemiec, lecz pytamy, czy poprowadzi on swój batalion tak, żeby uniknąć niepotrzebnych krwawych ofiar, i czy jest to mąż, który potrafi wyrobić u swoich podwładnych cnoty i bojowe zdolności. Czy ten mąż prowadzi swój batalion do zwycięstwa, czy do zagłady, czy ten mąż płaci za zwycięstwo śmiercią wielkiej liczby

strzelców, czy prowadzi tak, żeby było jak najmniej poległych.

To w pierwszej kolejności musicie sobie zapamiętać Wy, moi oficerowie, Wy – dowódcy tej Dywizji, jako najwyższe przykazanie, ponieważ Wy jesteście odpowiedzialni za życie i zdrowie każdego z Waszych strzelców, Wy – bez znaczenia, czy jesteście Niemcami, czy Ukraińcami.

Z szeregów tej Dywizji wysłano 250 osób do szkoły oficerskiej i mam zamiar nadal spośród młodzieży galicyjskiej wybierać i wspierać najlepszych i najzdolniejszych. Cieszę się i jestem dumny z każdego z Waszych szeregów, kto zostaje oficerem we wspólnocie europejskich dywizji SS. Nie jestem dumny z tych, którzy dają jakieś obietniki na przyszłość, żeby sprawić Wam przyjemność. Nie miałyby to żadnej wartości, gdybym Wam opowiadał, jak to robią Anglicy, że otrzymacie po wojnie to i owo, takie prawa i takie wolności. Jeśli coś obiecuje, to muszą być pewien, że dotrzymam słowa i wtedy na pewno dotrzymam.

Mogę Wam powiedzieć tylko jedno. Status, wartość oraz ważność każdego narodu w przyszłej Europie będą oceniane jedynie na podstawie jego czynów w czasie tej wojny. Gadulstwo nie jest naszą cechą. My, żołnierze oraz oficerowie SS, możemy stwierdzić, że dywizje SS wywalczyły sobie w tej trudnej rywalizacji niesłychaną sławę. Dla mnie pytanie Waszego gubernatora było niełatwe – musiałem dobrze się zastanowić nad propozycją utworzenia Dywizji z ukraińskich synów ziemi galicyjskiej. Musicie to dobrze zrozumieć: gdy tworzy się dywizję z żołnierzy SS, którą dowodzić będzie Reichsführer-SS, to plama, która padnie na tę dywizję, splami też sławę bojową tysięcy, dziesiątek tysięcy poległych żołnierzy SS. Jeżeli jakaś pojedyncza dywizja nie będzie wykonywać swoich obowiązków, wtedy niesplamiona sława całej grupy, która nigdy nie zawiodła, zostanie zniszczona. Zastanawiałem się też nad tymi kwestiami, gdy tworzyłem dywizję Estończyków, dwie dywizje Łotyszy, gdy tworzyłem pierwszą, a teraz już drugą – Bośniaków oraz dywizję Albańczyków. Gdy wtedy pytałem Waszego gubernatora, czy ten naród jest porządny i wierny, ten stary oficer SS odpowiedział mi tak, jak przystoi żołnierzowi SS: Reichsführer, temu porządnemu narodowi rolników może Pan wierzyć. Wtedy powiedziałem „tak” i swoją decyzję wcieliłem w życie.

Jesteście reprezentacją Waszego narodu w Europie, ponieważ tylko Wy, według

przysługującego Wam prawa, będziecie nosić na kołnierzu godło Waszej ziemi, a w przyszłości będziecie nosić przyznane Wam kolory Waszej Ojczyzny tu, na ramieniu. Poszedłem jeszcze dalej, postanowiłem, iż każdy należący do tej Dywizji, zarówno każdy Ukraińiec, jak i każdy Niemiec, ma nosić przyznany Dywizji uniform służbowy, jak swój własny.

Zaufałem Wam i wiem, iż Wy mojego zaufania nie będziecie nadużywali. Wymagam od Was, od mego korpusu oficerskiego, od moich podoficerów i żołnierzy, pewnych zasad, mianowicie:

1) W Dywizji nie ma miejsca na jakąkolwiek politykę. Naszą jedyną polityką jest walka przeciwko wrogowi, który chce zniszczyć wszystkich nas, a w pierwszej kolejności Wasz naród. Polityką będzie jedynie to, gdy będziecie szli na pierwszą linię walki, gdy będziecie myśleć za swój lud, gdy będziecie walczyć nie przemówieniami, nie gazetami, nie ulotkami, lecz urzynkiem, granatem, armatą – twarzą w twarz z wrogiem. Wtedy powiecie takiemu jednemu czy drugiemu, którzy chcieli Wam coś podszeptać: „Mój kochany, najlepszą politykę jako Ukraińcy prowadzimy my – żołnierze tej Dywizji, ponieważ my uosabiamy cześć, sławę i osiągnięcia naszego narodu”.

2) Druga rzecz, jakiej od Was wymagam – to porządek, porządek zarówno wielki, jak i mały. Porządek jest podstawą cywilizacji, kultury, na nim opiera się państwo. Żołnierz, którego ubranie nie jest w porządku – sam nie jest w porządku. Jeśli wcześniej czy później dojdzie u nas do nieposłuszeństwa, to będzie u nas jak u bolszewików.

W przyszłości, gdy ta wojna się skończy, chciałbym, przemierzając kolejne kilometry Waszej Ojczyzny, rozpoznać każdego żołnierza tej Dywizji, nawet w ubraniu mieszczanina czy chłopca, chciałbym, żeby był czysty i porządny. Jeżeli nie będziecie utrzymywali porządku, nie będziecie dbali o swoją broń czy też nie będziecie rozkazywali o nią dbać, wtedy taki nieporządek oraz zaniedbanie może kosztować jutro życie Wasze i Waszych żołnierzy. Wasza broń nie będzie mogła strzelać, jeśli nie będziecie o nią dbać i jej czyścić. Wasi młodzi żołnierze nie będą sami z siebie tego robić, jeśli Wy – oficerowie, nie będziecie ich nieustannie w tym duchu wychowywać. My mamy taki zwyczaj, że jeżeli strzelec zaniedbuje swą broń lub gdy ją zapomni, wtedy karę ponosi jego podoficer i szef batalionu. Untersturmführer ma więcej honoru, więcej szacunku, więcej praw

i dlatego więcej obowiązków; im wyższy stopień, tym więcej obowiązków.

3) Trzecia rzecz, której się domagam, to posłuszeństwo. Posłuszeństwo zaczyna się w momencie, gdy dostaniecie rozkaz wykonania czegoś, co jest dla Was nieprzyjemne. Ja wiem, że jeżeli dałbym Dywizji rozkaz: „zniszczyć w jednej czy drugiej okolicy Polaków” – o, wtedy byłbym dla Was bardzo miłą osobą. Gdy dam inny rozkaz: „Dywizja przemaszeruje w pełnym składzie tym i tym szlakiem i walczy na froncie przeciwko Moskałom, bo porządek z Polakami, którzy Was i naszych Niemców odzierali w Polsce, zrobi już Führer sam” – stanie się to wtedy, gdy dostaniemy taki rozkaz, wcześniej nie.

Spodziewam się więc, iż Wy, korpus oficerski, czy to Niemcy, czy Ukraińcy w swoim godnym naśladowania posłuszeństwie – dosłownie pod każdym względem – będziecie wzorcem dla swoich strzelców.

4) Czwarte moje wymaganie, to przyjazne stosunki. Jeżeli domagałbym się, żeby wszyscy z tej samej wsi trzymali się razem, nie byłoby to żadną trudnością, ale będzie już trudniej, kiedy powiem – cała sotnia niezależnie od tego, z jakich wsi pochodzą strzelcy, powinna trzymać się razem na śmierć i życie. To hańba, gdy jeden drugiego porzuca, to hańba, gdy jeden drugiego okrada, to hańba, gdy jeden drugiemu odmawia pomocy. Naprawdę nielato jest, kiedy wymagam, żeby wszyscy Ukraińcy tej Dywizji na śmierć i życie wzajemnie sobie pomagali, a jest jeszcze trudniej, kiedy domagam się, żeby wszyscy w tej Dywizji pomagali sobie wzajemnie: czy to Ukraińcy, czy Niemcy. Tego wymagam od Was, moi SS-oficerowie i strzelcy, żebyście byli z innymi towarzyszami tak, jakbyście się razem urodzili. Abyście wszystko, co wiecie i czego się nauczyliście w Niemczech, przekazywali, na ile potraficie, swoim towarzyszom oraz podwładnym, którzy też są Waszymi towarzyszami. Wymagam od Was, moi niemieccy oficerowie i strzelcy, żebyście zranionego ukraińskiego przyjaciela wynosili jak swego brata. I po Was, ukraińscy oficerowie i strzelcy tej Dywizji, i po Was, Niemcy, spodziewam się, że będziecie jeden drugiemu udowadniać, kto jest lepszym przyjacielem, a po wszystkich spodziewam

się – że nie pozwolicie żadnym podżegaczom i agentom wbić pomiędzy siebie klina niezgody.

Nie dajcie się nigdy rozdzielić wszelkim propagandystom, których nie ma tam z przodu, gdzie Dywizja musi walczyć jako całość – gdzie moskiewski nabój czy granat nie pyta, czy trafi tym razem Niemca czy Ukraińca, lecz strzela naprzód, żeby znowu zabić i zniszczyć kogoś w szarym mundurze z orłem na rękawie.

Bądźcie braćmi, bądźcie przyjaciółmi w tej Dywizji Europy, w tej Dywizji, która złożyła świętą przysięgę na wierność mężowi, który jest Führerem dla nas wszystkich – dla Niemców, z których narodu on się wywodzi, ale i dla tych wszystkich, którzy zamieszkują Europę.

5) Piąte i ostatnie, czego oczekuję od Was: wierności mężowi, o którym Wam mówiłem, który stanie się zbawicielem Europy i twórcą Waszej przyszłości. Za kilka tygodni Dywizja skończy swoje szkolenie i pójdzie na front. Zwalniam Was, moi oficerowie, z tego apelu, z tej konferencji oficerskiej. Jutro zrobię przegląd jednego czy drugiego batalionu – co wiecie i czego się nauczyliście. Niedługo po tym, na froncie przeciwko naszemu wrogowi – Moskałom i bolszewizmowi – złożycie egzamin swojej wartości, umiejętności, odwagi, posłuszeństwa, wierności i świętości Waszej przysięgi, którą złożyliście przed Bogiem. Ja wiem, że nie zawiedziecie SS i mnie, który Was powołał, i że Führer będzie mógł powiedzieć pod koniec tej wojny: „Dywizja, którą wystawił ucziwy naród Galicji, cały czas wykonywała swój obowiązek i naród ten zasługuje na zajęcie odpowiedniego miejsca w Europie”.

Tym kończę ten apel*.

(AW, Ukraina – lata 40. Niemieckie raporty z okupowanej Ukrainy, Dywizja SS „Halyczyna”, M/II/30/2)

—
Z UKRAIŃSKIEGO PRZEŁOŻYL
Wołodymyr Pawliw

CAŁOŚĆ OPRACOWAŁ I DO DRUKU PODAŁ
Grzegorz Motyka

Materiał pochodzi z „Karty” nr 35/2002.

* Zdaniem Andrija Boljanowskiego, po przemówieniu Himmlera wystąpił kpt. Dmytro Palijiw, który stwierdził m.in.: „Niechaj będzie mi wolno, tu w waszej obecności, Reichsführer, stwierdzić, że my Ukraińcy nie zamierzamy «*rizaty Polaków*» i nie dlatego zgłosiliśmy się do szeregów dywizji «Galizien». Zob.: Andrij Boljanowskij, *Dywizja „Halyczyna”. Istorija*, Lwów 2000, s. 202.

POD NIEMIECKĄ OKUPACJĄ

UKRAIŃSKA



ORIENTACJA

Grzegorz Motyka



FOT. ZBIÓR FOTOGRAFICZNY OTTO ROSNER / NAK

W 1929 roku w Wiedniu powstała Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów (OUN). Jej celem było utworzenie, poprzez bezkompromisową walkę, niepodległego i zjednoczonego państwa ukraińskiego o ustroju zbliżonym do faszystowskiego. Za swojego wroga uważała ówczesnych „okupantów” Ukrainy – przede wszystkim ZSRR i Polskę oraz, w mniejszym stopniu, Rumunię i Czechosłowację. W swojej działalności niejednokrotnie korzystała z pomocy wywiadu Niemiec i Litwy.

OUN z zadowoleniem przyjęła upadek Polski w 1939 roku; od tej pory zamiast dwóch głównych wrogów miała tylko jednego – ZSRR. Siłę organizacji osłabiła jednak walka frakcyjna pomiędzy „starymi”, zgrupowanymi wokół Andrija Melnyka, a „młodymi”, skupionymi przy Stepanie Banderze. Doprowadziło to w lutym 1940 do podziału organizacji na dwie zwalczające się części, od nazwisk przywódców nazywane melnykowcami (OUN-M) i banderowcami (OUN-B). Różnice ideologiczne pomiędzy nimi były początkowo niewielkie i często wyrażały się w drobiazgach (na przykład w OUN-M na oficjalne pozdrowienie partyjne „Sława Ukrainie” odpowiadało: „Wodzowi sława”, zaś w OUN-B – „Bohaterom sława”).

Przy pewnych różnicach taktycznych, obie frakcje orientowały się na III Rzeszę, licząc na jej pomoc w zdobyciu niepodległości, jednak banderowcy w kontaktach z Niemcami próbowali zachować większą niezależność. OUN-B w latach 1939–41 zdobyła największe wpływy na Ukrainie Zachodniej, na początku 1941 roku posiadając tam prawie 20 tysięcy członków. Już jesienią 1939 banderowcy rozpoczęli aktywną walkę z władzą sowiecką – także przez likwidację partyjnych aktywistów. Aby pokazać światu, iż Ukraińcy nie zgadzają się na wcielenie do ZSRR, w grudniu 1939 zorganizowano nawet napad na Zbaraż.

Do najgwałtowniejszych wystąpień doszło po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej. Bojówki OUN atakowały oddziały NKWD i milicji, ostrzeliwały grupy żołnierzy Armii Czerwonej. W sumie stoczono blisko sto walk. Największe starcia miały miejsce 24 czerwca 1941 we Lwowie, który OUN-B próbowała nieskutecznie zająć.

↑ Czerwiec 1943. Generał-gubernator Hans Frank przed frontem oddziału ochotników Dywizji SS „Galizien”

30 czerwca, po wejściu Niemców do Lwowa, banderowcy proklamowali powstanie Samostijnej Ukrainy i rządu Jarosława Steckiego. Ogłoszenie niepodległości godziło jednak w zamiary Niemców, w związku z czym hitlerowcy kategorycznie zażądali wycofania proklamacji. Gdy Ukraińcy odmówili, Niemcy aresztowali około 80 procent kadry przywódczej banderowców. Stepana Banderę i Jarosława Steckę osadzono w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen (wypuszczono ich stamtąd dopiero jesienią 1944). Wielu mniej ważnych członków OUN-B przez więzienie na Montelupich w Krakowie trafiło do Oświęcimia. Rozwiązano także spontanicznie powstałą na Ukrainie Zachodniej ukraińską administrację i policję. Niemcy następnie powołali ukraińską policję pomocniczą, ale już ściśle im podporządkowaną.

W listopadzie 1941 hitlerowcy poddali prześladowaniom także melnykowców, wielu z nich aresztując i rozstrzelując. W ten sposób pozbyto się ich z Kijowa, gdzie przejęli oni administrację.

Czary goryczy dopełniły decyzje Hitlera dotyczące podziału Ukrainy. Ziemie po rzekę Boh przyznano Rumunii. Galicję Wschodnią wcielono do Generalnego Gubernatorstwa (GG), zaś z pozostałych terenów (w tym z Wołynia) utworzono Reichskommissariat Ukraine (RKU), na którego czele stanął znany z brutalności Erich Koch. (Słynne było jego stwierdzenie: „Gdybym spotkał Ukraińca godnego usiąść ze mną do stołu, to bym musiał go zastrzelić”). Twarde ściąganie kontyngentów, masowe wywózki młodzieży do Niemiec czy krwawe pacyfikacje stały się w RKU codziennym zjawiskiem.

Pomimo bezwzględnej eksploatacji Ukrainy prowadzonej przez Niemców, melnykowcy zachowali wobec nich lojalność, gdyż nie widzieli dla siebie innej realnej możliwości. Starali się za to przejąć jak najwięcej stanowisk w administracji i co jakiś czas występowali do Niemców z propozycją współpracy – w zamian za niepodległość Ukrainy. Szczególnie duże wpływy posiadali w Galicji Wschodniej, gdzie sympatyzowała z nimi duża część pracowników wpływowego Ukraińskiego Centralnego Komitetu (UCK), powołanego przez Niemców w GG na przełomie

1939 i 1940 roku. UCK miał „posiadać charakter organizacji opieki społecznej, lecz stał się [...] instytucją o rozległej działalności kulturalno-oświatowej, wyposażoną w określone pełnomocnictwa w zakresie szkolnictwa i gospodarki”^{*.}

Na początku 1943 roku, z inicjatywy gubernatora dystryktu Galicja, Otto Wächtera, Niemcy wystąpili z propozycją sformowania galicyjskiej – a nie ukraińskiej – dywizji Waffen SS. Działacze OUN-M czynnie zaangażowali się w jej organizowanie, natomiast banderowcy byli tej inicjatywie zdecydowanie przeciwni i wzywali do bojkotu werbunku. Dywizja SS „Galizien”, powołana w czerwcu 1943, rok później została wysłana na front i w lipcu 1944 rozbita przez Armię Czerwoną w okolicach Brodów. Odtworzona na terenie Słowacji, brała udział w zwalczaniu tamtejszego powstania oraz partyzantki Tito w Jugosławii. W marcu 1945 została przemianowana na I Dywizję Ukraińskiej Armii Narodowej, wkrótce wycofana z frontu i poddana wojskom alianckim. Niektóre oddziały dywizji, głównie pułki policyjne, brały udział w pacyfikacjach polskich wsi (spaliły m.in. Hutę Pieniacką).

Zbliżanie się frontu wschodniego radykalnie obniżyło popularność melnykowców. Fiaskiem zakończyły się podejmowane przez nich próby utworzenia własnych oddziałów partyzanckich. Te nieliczne, które powstały, zostały siłą wcielone do formowanej przez banderowców Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA).

Wobec antypolskich działań banderowców OUN-M zajęła negatywne stanowisko. Potępiła ona metody „antypolskiej akcji” OUN-B i zarzuciła swym rywalom prowokowanie krwawych polskich akcji odwetowych.

Po zakończeniu II wojny światowej melnykowcy kontynuowali działalność na emigracji, w dalszym ciągu rywalizując z banderowcami. Pod wpływem innych ukraińskich ugrupowań ich poglądy coraz bardziej ewoluowały ku demokracji. (Po odzyskaniu przez Ukrainę niepodległości w 1991 roku rozpoczęli tam legalną działalność polityczną, występując pod starą nazwą OUN).

Inaczej na politykę hitlerowców w 1941 roku zareagowali banderowcy. Ponownie zeszli do podziemia i rozpoczęli odbudowywanie swoich nadwerżonych przez niemieckie aresztowania

* Ryszard Torzecki, *Polacy i Ukraińcy. Sprawa ukraińska w czasie II wojny światowej na terenie II Rzeczypospolitej*, Warszawa 1993, s. 51.

struktur konspiracyjnych. W lutym 1943 zdecydowali się na rozpoczęcie zakrojonych na dużą skalę walk partyzanckich skierowanych jednocześnie przeciwko Niemcom, Sowiecom i Polakom.

Pierwszy „leśny” oddział OUN-B wyruszył do akcji w październiku 1942 na Polesiu i datę jego powstania przyjęto się uważać za początek dziejów UPA. W marcu 1943 banderowcy doprowadzili do dezercji 5 tysięcy członków pomocniczej policji ukraińskiej, co poważnie wzmocniło szeregi UPA. Do ucieczek z policji i dywizji SS „Galizien” do UPA dochodziło także później, ale już na mniejszą skalę.

Od marca 1943 na Wołyniu OUN-UPA przeprowadzała wiele akcji przeciwko Niemcom. Kierowała je głównie przeciwko niemieckiej administracji i formacjom policyjnym, uniemożliwiała też ściąganie kontyngentu. Z badań Czesława Madajczyka wynika, iż w 1943 roku na Wołyniu niemiecką administrację wycofywano czasem nawet ze szczebla powiatu. Dostawy mięsa i mleka spadły o 75 procent, masła o 40 procent, w mniejszym stopniu spadła ilość dostarczanego zboża*.

Na operacje UPA hitlerowcy zareagowali krwawymi pacyfikacjami, podczas których wybijano całe wsie ukraińskie. Zdarzały się nawet wypadki bombardowania miejscowości przez lotnictwo. Warto wspomnieć, że po dezercji kilku tysięcy policjantów ukraińskich Niemcy w ich miejsce zaczęli tworzyć policję polską, część oddziałów sprowadzając z GG, część formując na miejscu. W sumie w jej szeregach znalazło się najprawdopodobniej 1,5–2 tysięcy osób. Dopuszczała się ona mordów na ludności ukraińskiej, lecz wszystko wskazuje na to, że była to reakcja na rzezie na Polakach.

Po zajęciu w 1944 roku Zachodniej Ukrainy przez Armię Czerwoną, OUN-UPA, dysponująca wówczas około 30 tysiącami ludzi w oddziałach partyzanckich, przystąpiła do bezwzględnej walki z władzą komunistyczną, starając się nie dopuścić do tworzenia administracji cywilnej. Sowieci skierowali przeciwko UPA kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy NKWD, którzy z dużą brutalnością rozpoczęli przeprowadzanie potężnych „czekistowsko-wojskowych” operacji czyszczą-

cych. Zorganizowana walka ukraińskiego podziemia trwała do 1954 roku, a ostatni pojedynczy oddział UPA został zniszczony przez KGB w 1956 roku na Polesiu. OUN-B przetrwała na emigracji, aż do uzyskania przez Ukrainę niepodległości.

W latach 1943–44 za swojego głównego wroga, jak się wydaje, banderowcy uznawali Polaków. Byli oni przekonani, iż powtórzy się scenariusz z roku 1918, czyli że wojna zakończy się klęską i Niemiec, i ZSRR, a Ukraińcy znów zostaną sam na sam z Polakami. Obawiali się (nie bez racji), że w takiej sytuacji dla utrzymania Kresów Wschodnich Polacy przetrucą z Zachodu swoje wojsko, z którym partyzantka ukraińska nie będzie w stanie zwyciężyć.

Z tych powodów, najprawdopodobniej na III Konferencji OUN-B w lutym 1943, zapadła decyzja o natychmiastowym usunięciu siłą wszystkich Polaków ze spornych terenów. Fakt podjęcia tej uchwały jest nierzadko negowany, ale teza, jakoby mordy na Polakach były wynikiem prowokacji Niemców i Sowieców, nie znajduje dziś wiarygodnego potwierdzenia. Natomiast o wydaniu rozkazu usunięcia Polaków otwarcie napisał jeden z ówczesnych przywódców OUN, Mykoła Łebedź. W swojej książce poświęconej UPA stwierdził: „Ukraińska Powstańcza Armia próbowała wciągnąć Polaków do wspólnej walki przeciwko Niemcom i bolszewikom. Kiedy nie przyniosło to żadnego sukcesu, UPA dała polskiej ludności rozkaz opuszczenia ukraińskich terenów Wołynia i Polesia”**.

Niestety, nie znamy treści samej uchwały OUN-B, gdyż banderowcy nigdy jej nie ujawnili. O tym, co zawierała, możemy zatem wnioskować wyłącznie na podstawie późniejszych wydarzeń. Jest to dosyć zawodne, ponieważ nie wiemy, co było wypełnianiem zaleceń OUN-UPA, a co ich przekroczeniem. Nie wiadomo zatem, czy w wypadku pozostania Polaków na miejscu zamierzano zabijać wszystkich, czy też wyłącznie mężczyzn. Najprawdopodobniej – co wynika choćby z publikowanych poniżej materiałów – przynajmniej w Galicji Wschodniej kierownictwo OUN-UPA zamierzało zabijać mężczyzn, po wcześniejszym uprzedzeniu ich za pośrednictwem ulotek. Jednocześnie jednak nie wyciągano

* Czesław Madajczyk, *Faszizm i okupacje*, t. 1, Poznań 1983, s. 629–631.

** Mykoła Łebedź, *UPA*, Drohobycz 1993, s. 53.

konsekwencji z „nieświadomego” przekraczania tego rozkazu przez niższe komórki organizacyjne. Niewykluczone też, iż na Wołyniu tamtejsze dowództwo podjęło decyzję o likwidacji wszystkich Polaków, dorosłych i dzieci, przeprowadzanej w dodatku bez uprzedzenia – wskazywać na to mógłby przebieg wydarzeń w tym regionie (charakteryzujących się często dużym okrucieństwem).

Tak czy inaczej, „antypolska akcja” na Wołyniu rozpoczęła się w marcu–kwietniu 1943. Dwie kolejne duże fale mordów miały tam miejsce w lipcu–sierpniu i grudniu 1943. W Galicji Wschodniej masowa banderowska operacja zaczęła się później – w lutym 1944. Po przejściu frontu i zajęciu Zachodniej Ukrainy przez Armię Czerwoną dowództwo OUN-UPA postanowiło zaprzestać dalszych działań antypolskich. Najpóźniej 1 września 1944 wydano zakaz atakowania nieuzbrojonej polskiej ludności. Od tego momentu UPA miała tępić wyłącznie Polaków należących do *istriebitelnych batalionów*. Rozkaz ten jednak, także z powodu zaciętości poszczególnych dowódców, często był łamany.

Niemniej zmiana charakteru działań UPA w 1945 roku na ziemiach dzisiejszej Polski jest wyraźnie widoczna. Pogłębiła się ona jeszcze po podpisaniu w kwietniu i maju 1945 porozumień z polskim podziemiem antykomunistycznym. Z tego powodu stawianie przez wielu autorów znaku równości pomiędzy „czerwonymi nocami” na Wołyniu a „łunami w Bieszczadach” jest daleko idącym uproszczeniem.

Antypolska akcja z lat 1943–44 była usprawiedliwiana przez OUN-UPA współpracą Polaków z Niemcami i Sowietami. Nie zaprzeczając istnieniu tego typu wypadków, należy podkreślić, że z pewnością nie zdarzały się one częściej, a raczej rzadziej niż wśród samych Ukraińców. Trudno też stwierdzić, czy ten argument podawano z wewnętrznego przekonania, czy wyłącznie w celach propagandowych. Z pewnością w tym drugim celu tworzono wersję, iż operacja UPA na Wołyniu była prostą konsekwencją antyukraińskich poczynań polskiego podziemia na Chełmszczyźnie. Tymczasem, jak podaje O.S. Sadowyj w wydanej przez OUN-B w 1944

roku propagandowej broszurze *Kudy priamujut Polaky?*, w latach 1942–43 na Chełmszczyźnie zginęło z rąk polskich 394 Ukraińców. Biorąc pod uwagę, że w tym samym czasie na Wołyniu zabito 30–40 tysięcy Polaków, trudno uznać te cyfry za porównywalne. Z innych źródeł wynika, iż większość ukraińskich ofiar na Chełmszczyźnie padła w drugiej połowie 1943 roku – na wieść o wydarzeniach na Wołyniu*. Inna rzecz, że Polacy niejednokrotnie przeprowadzali akcje odwetowe, w których ginęli ukraińscy cywile, w tym również kobiety i dzieci. W sumie zginęło (szacunkowo) do 100 tysięcy Polaków i 15–20 tysięcy Ukraińców.

Jedną z ciągle niewyjaśnionych kwestii dotyczących konfliktu polsko-ukraińskiego podczas II wojny światowej jest udział w nim Niemców. W okresie PRL rozpowszechniano pogląd, że to oni sprowokowali, a nawet nadzorowali rzezie polskiej ludności. UPA według tej koncepcji traktowana jest jako niemiecka przybudówka. W rzeczywistości Niemcy nie byli zainteresowani rzeziami ludności, ponieważ siłą rzeczy anarchizowały one teren, uniemożliwiając im pełną kontrolę oraz ściąganie kontyngentów i tym samym utrudniając walkę na froncie z Armią Czerwoną. Inna rzecz, że swoją polityką wykorzystywania jednych przeciwko drugim zrobili wiele dla podsycania nienawiści między Polakami a Ukraińcami.

UPA od początku swego istnienia (co potwierdzają zamieszczone dalej dokumenty) prowadziła z Niemcami ograniczoną walkę partyzancką; ograniczoną, gdyż nie chcąc pośrednio wspomagać ZSRR, Ukraińcy nie atakowali oddziałów Wehrmachtu. Dopiero w styczniu 1944 doszło do niemiecko-ukraińskich rozmów na temat współpracy. Prowadzono je niezależnie z Wehrmachtem i policją bezpieczeństwa. Ich końcowy rezultat jest różnie przedstawiany. Zdaniem Ryszarda Torzeckiego, doszło do zawarcia nieformalnych układów, na mocy których w zamian za broń i amunicję Ukraińcy zgodzili się przekazywać Niemcom „materiał informacyjny, próby rosyjskiej broni i środków specjalnych”**. Ponadto UPA zablokowała niektóre przełęczce w Karpatach, uniemożliwiając w ten sposób poczynania partyzantki sowieckiej.

* Centralne Archiwum Wyższych Organów Władzy i Administracji Ukrainy w Kijowie (CDA Ukrainy), zesp. 3833, inw. 1, vol. 135, k. 3.

** Ryszard Torzecki, *Polacy...*, s. 244.



↑ Stanisławów, 17 lipca 1943. Wielka manifestacja ludności ukraińskiej na placu Adolfa Hitlera

Inaczej sprawę tę widzą autorzy ukraińscy. Wołodmyr Kosyk twierdzi, że doszło do rozmów, ale według niego nie miały one wpływu ani na antyniemieckie akcje UPA, ani na skalę hitlerowskiego terroru wobec Ukraińców, w wyniku którego pomiędzy 10 października 1943 a czerwcem 1944 w samej Galicji zginęło 15.780 osób pochodzenia ukraińskiego*. Z kolei zdaniem Mykoły Łebedzia, na początku 1944 roku Komenda Główna UPA wydała kategoryczny zakaz kontaktów z Niemcami. Za jego złamanie 7 marca 1944 na Wołyniu rozstrzelano kuriniego Antoniuka Sosenko Kliszczka, zaś w Wielką Sobotę 1944 roku w powiecie Kamionka Strumiłowa – sotennego „Orła”. Tego drugiego skazano na śmierć za „uzgodnienie z Kreishauptmannem Nehringiem i przeprowadzenie za jego zgodą antypolskiej akcji”***.

Prezentowane dokumenty zdają się potwierdzać wersję Ryszarda Torzeckiego. Wynika z nich, że Niemcy zasadniczo byli przeciwni mordom na polskiej ludności, choć w lokalnych zdarzeniach, jak w Podkamieniu, nie tylko przymykali oczy, ale wręcz brali w nich udział. Nie

wyjaśniona pozostaje sprawa rozstrzelania sotennego „Orła”. Sprawozdania pokazują wyraźnie, że Nehring przeciwstawia się antypolskim akcjom UPA (a skoro tak, to „Orzeł” nie mógł uzgodnić z nim działań przeciwko Polakom). Tymczasem jednak rozkaz bliżej nieznanego „Oresta Karata”, nakazujący likwidację ludności polskiej w powiecie Kamionka Strumiłowa, wspomina, iż o planowanych poczynaniach UPA Niemcy wiedzą. Czyżby zatem z Nehringiem zawarto porozumienie ustne? Ale w takim razie dlaczego zlikwidowano „Orła”, a nie „Oresta Karata”, który je akceptował? Zbyt mało wiemy o wewnętrznych podziałach w OUN-UPA, aby można było dziś odpowiedzieć na te pytania.

Co do jednego prezentowane dokumenty nie pozostawiają wszakże wątpliwości: za ówczesne morderstwa na ludności polskiej odpowiada banderowska frakcja OUN. Nie mieli racji ci, którzy zaprzeczali istnieniu dokumentów potwierdzających tę odpowiedzialność.

Grzegorz Motyka

* Wołodmyr Kosyk, *Ukraina i Niemiecztyna u druhij switowij wijni*, Paryż – New York – Lwów 1993, s. 419–432.

** Mykoła Łebedź, *UPA...*, s. 120; Kreishauptmann – starosta powiatowy.



FOT. OTTO ROHNER / NAC

Dokumenty

↑ Lwów, sierpień 1941.
Gmach Sejmu Krajowego
– siedziba władz
dystryktu Galicja

Prezentowane tu dokumenty pochodzą przede wszystkim ze zbiorów kijowskich: Centralnego Państwowego Archiwum Wyższych Organów Władzy i Administracji Ukrainy (CDAWOWU), zesp. 3833, inw. 164, oraz Centralnego Państwowego Archiwum Organizacji Społecznych Ukrainy (CDAHOU), zesp. 4628, inw. 1, vol. 10. Inne źródła zaznaczamy. Zostały odnalezione w ramach koordynowanego przez Ośrodek KARTA programu „Wspólne Miejsce – Europa Wschodnia”, finansowanego przez National Endowment for Democracy (USA). W większości (poza trzema zaznaczonymi) nie były dotychczas publikowane. Dokumenty niemieckie, zapewne przejęte przez NKWD w końcowym okresie wojny na terenie III Rzeszy, zostały przetłumaczone na rosyjski i w takiej formie przechowywane w archiwach. Dokumenty ukraińskie pozostały w języku oryginalnym. Kopie dokumentów przechowywane są w Archiwum Wschodnim.

Działania bojowe UPA

22 marca 1943 oddział UPA uwolnił z więzienia w Łucku 40 więźniów. Wszyscy oni wstąpili do UPA. [...]

Operacje w okręgu krzemienieckim

[...] We wsi Nowostaw w rejonie szumskim Niemcy urządzili obławę na zbiegłych schutzmanów [policjantów]. Oddziały UPA przyjęły walkę, w której zostało zabitych 38 Niemców i zniszczono dwa samochody. Reszta Niemców wycofała się w panice. Podczas walki zniszczono 10 zagród. Spośród ludności cywilnej zginęło kilka osób. Po stronie UPA nie było żadnych strat.

We wsi Kuty w rejonie szumskim spalono całą polską kolonię (86 gospodarstw), a ludność zlikwidowano za współpracę z gestapo i władzą niemiecką. [...]

Operacje w okręgu dubieńskim

We wsi Smyga w rejonie werbskim zniszczono fabrykę mebli i tartak. W walce zabito 40 Niemców, 15 wzięto do niewoli. Z naszej strony 1 zabity.

W rejonie werbskim spalono polską kolonię Nowa Nowina [?] (40 zagród) za współpracę z władzą niemiecką. Ludność zlikwidowano. [...]

Operacje w okręgu rówieńskim

Niemieckie i polskie oddziały policji, powracające z grabieżczej wyprawy po wsiach ukraińskich, wpadły w zasadzkę koło wsi Żuków (rejon Klewań). Tabor wroga został rozbity. Po stronie nieprzyjaciela było 35 zabitych i 10 rannych. Na pomoc przybyły im nowe jednostki oraz jeden samolot. Oddział UPA przerwał walkę i wycofał się. Po naszej stronie było 5 zabitych i 2 rannych. Zdobyto 1 karabin maszynowy, karabiny i 2 wozy naładowane dobytekimi*. [...]

Operacje w okręgu kostopolskim

Koło wsi Biczal [?] w rejonie derażnieńskim doszło do starcia pomiędzy oddziałem UPA i niemiecką policją w składzie 200 ludzi. Nieprzyjaciel w strasznej panice rozproszył się, porzucając dużą ilość broni i amunicji, 2 zabitych i 7 rannych.

Oddział UPA strat nie zanotował. Wzięci do niewoli żołnierze zostali zwolnieni. Za aktywną współpracę z Niemcami zniszczono polską kolonię w tej samej wsi. [...]

(przekład z ukraińskiego)

RSHA [Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy (Reichssicherheitshauptamt)] – III-B CHdF Sturmführer dr Elich, Berlin

[...]

BdS [dowódca policji bezpieczeństwa (Befehlshaber der Sicherheitspolizei)] i SD [służby bezpieczeństwa (Sicherheitsdienst)] w Generalnym Gubernatorstwie Oberführer SS Bierkamp, Kraków

Treść: Informacja sieci łącznościowców Wehrmachtu [...]

Fragment raportu Naczelnego Dowództwa Południowej Grupy Wojsk z 11 marca 1944 o położeniu band za luty 1944 r.

[...]

3. Stosunek UPA do niemieckiego Wehrmachtu:

Ponieważ UPA wykazuje na froncie skłonność do współdziałania z Niemcami, dowództwo 4 Armii Zmotoryzowanej wydało rozkaz, zgodnie z którym rozmowy z bandami UPA mogą się rozpocząć na następujących warunkach:

a) Możliwe jest tylko współdziałanie z małymi grupami. Negocjacje ogólne, zwłaszcza o charakterze politycznym, są zakazane.

b) Cel: wykorzystanie band UPA przeciwko Armii Czerwonej oraz sowiecko-rosyjskim i polskim bandom na następujących warunkach:

– Banda UPA prowadzi swoje własne operacje przeciwko Armii Czerwonej. Wzięci do niewoli Rosjanie oddawani są do dyspozycji Niemców w celu przesłuchania. Uzyskane przez UPA informacje na temat rosyjskich band i Armii Czerwonej niezwłocznie przekazywane są Wehrmachtowi.

– Jeńcy niemieccy zostają zwolnieni, w zamian za co Niemcy pozostawiają bandy w spokoju.

* W opisywanym starciu po stronie polskiej policji brała udział najprawdopodobniej jedna z kompanii Schutzmannschaftsbatallion 202. W walce poległo pięciu Polaków.

c) Tam, gdzie bandy UPA nie przyjmą warunków, będą zwalczane. Zostaną zaatakowane także w przypadku grabieży wsi polskich.

Na tych zasadach zostały już z pewnym skutkiem przeprowadzone rozmowy w terenie między małymi jednostkami wojskowymi a pojedynczymi bandami UPA. Na przykład 13 lutego 1944 jeden z niemieckich oddziałów w Tarnopolu zameldował, co następuje:

Jedna z band UPA już oświadczyła, że będzie prowadziła walkę przeciwko sowieckim Rosjanom, dostarczając Niemcom jeńców w celu przesłuchania.

UPA zadeklarowała swoją pomoc przy dokonywanych przez stronę niemiecką rekwizycjach, jeśli nie będą prowadzone zbrojnie. UPA wydała polecenie swoim zaufanym starostom, by wspierali takie rekwizycje. Jeśli UPA spotka się z przypadkiem rekwizycji dokonywanej z użyciem broni, wówczas zaatakuje oddział niemiecki. Wspomniana sieć wywiadowców dysponuje tego rodzaju donieseniami.

[...]

Sturmbahnführer SS doktor Witiska

13 marca 1944

Ścisłe tajne, wagi państwowej Do dowódcy policji bezpieczeństwa i SD w Generalnym Gubernatorstwie Oberführera SS i pułkownika policji Bierkampa (osobście), Kraków

Od pewnego czasu donoszą mi przez pośredników, że grupa OUN kierowana przez Bandę chciałaby omówić na spotkaniu możliwości wspólnych działań przeciwko bolszewizmowi. Z początku nie zgadzałem się na żadne negocjacje, dając do zrozumienia, że rozmowy o charakterze politycznym nie będą miały sensu. Jednak po jakimś czasie zgodziłem się zapoznać z postulatami banderowskiej grupy OUN.

5 marca 1944 roku odbyło się spotkanie mojego referenta N. z pewnym Ukraińcem, który przedstawił się jako Herasymowskyj* i stwierdził, że ma pełnomocnictwa centralnego kierownictwa

banderowskiej grupy OUN do prowadzenia rozmów w imieniu sektora politycznego i wojskowego tej organizacji, reprezentującej wszystkie tereny zamieszkałe przez Ukraińców. Tym samym podkreślił, że reprezentuje nie tylko organizację w Galicji, ale i całą Wielką Ukrainę wraz z obszarami, na których Ukraińcy stanowią mniejszość narodową. Jego organizacji zależy na rozmowach, dlatego też są skłonni odłożyć na później omówienie wszystkich dążeń politycznych Ukraińców. Negocjacje na takich warunkach są organizacji całkowicie na rękę, gdyż uważa ona, że nie czas teraz na pertraktacje polityczne. Wraz z cofaniem się wojsk niemieckich na froncie wschodnim duża część narodu ukraińskiego znów znajdzie się pod panowaniem bolszewików. Jeśli strona niemiecka pójdzie na jakieś polityczne ustępstwa wobec organizacji ukraińskiej, Stalin wykorzysta to, aby oskarżyć wszystkich bez wyjątku Ukraińców znajdujących się pod jego władzą o to, że są niemieckimi poplecznikami i agentami, i unicestwić ich fizycznie.

Oświadczył on, że naród ukraiński, zajmujący drugie miejsce w Europie pod względem liczebności, ma prawo do własnej państwowości. Ale historia dowiodła, że prawa tego narodowi ukraińskiemu stale odmawiano, a odmowa pochodziła ze wschodu, ze strony Moskwy. Dlatego został on upoważniony do jednoznacznego stwierdzenia, że jego organizacja, konsekwentnie i wytrwale broniąca prawa narodu ukraińskiego do samodzielności i własnej państwowości, uznaje za swych wyłącznych i jedynych wrogów Moskali i bolszewików, a cała jej nielegalna działalność nastawiona jest na ich zniszczenie.

Grupa OUN pod kierownictwem Bandery nigdy nie uważała Niemców i Polaków za swoich przeciwników. Nielegalną walkę z Polakami prowadzono tylko dlatego, że terroryzowali oni mniejszość ukraińską. Gdyby nie było terroru ze strony Polaków, niewątpliwie dałoby się żyć z nimi w pokoju. O wrogości wobec Niemiec nigdy nawet nie było mowy, o czym wielokrotnie zaświadcza sama historia. Ukraińcy, a zwłaszcza banderowska grupa OUN, zdają sobie jasno sprawę, że niezawisłość mogą uzyskać jedynie przy pomocy Niemców. [...] Sytuacja polityczna

* Pod pseudonimem Herasymowskyj występował o. Iwan Hrynioch. Ze strony niemieckiej rozmawiał z nim funkcjonariusz SD Papee. Patrz: *Ryszard Torzecki, Polacy i Ukraińcy*.



← Afisz przeciwko Stalinowi, 1941

na terenach rosyjskich mogłaby wyglądać zupełnie inaczej, gdyby Rzesza Niemiecka w 1941 roku uznała prawo Ukraińców do własnej administracji państwowej. Ukraińcy bez wątpienia zadowoliliby się taką formą państwowości jak protektorat. Skoro jednak nadzieje te spелzły na niczym, grupa Bandery zmuszona była kontynuować swoją nielegalną działalność, trzymając się wszakże następującej zasady: nie występować przeciwko Niemcom, lecz wszystkie swoje siły skupiać na przygotowaniach do zdecydowanej walki z Moskalami.

Banderowska grupa OUN przystąpiła do formowania oddziałów wojskowych dopiero w lutym 1943, to jest w okresie, kiedy wydarzenia na froncie wschodnim wykazały, że Rzesza Niemiecka nie jest w stanie pokonać bolszewizmu w wyznaczonym czasie. Obecny przebieg operacji na froncie wschodnim w pełni potwierdza słuszność planów grupy OUN kierowanej przez Bandere.

Herasymowśkyj uważa za błąd to, że policja bezpieczeństwa odnosi się do tych formacji wojskowych z rosnącą nieufnością, ponieważ mają one tylko jedno zadanie: mobilizować całą aktywną młodzież przeciwko bolszewikom. Zmuszony był co prawda przyznać, że oddziały te nie zawsze poprzestają na wykonaniu właściwych zadań, czasem przeprowadzają akcje skierowane przeciwko interesom Niemiec, ale przede wszystkim dokonują surowych aktów terroru wobec Polaków. Do ekscesów tych dochodzi jednakże nie na polecenie kierownictwa OUN grupy Bandery. Należy rozpatrywać te przypadki jako samowolne działania instancji terenowych, organizacji czy też poszczególnych osób, jako akty odwetu. Nie chce w ten sposób usprawiedliwiać tych nieprawidłowości, chce je tylko wyjaśnić.

Odpowiedzialność za trwający między Ukraińcami i Polakami terror przypisuje wyłącznie Polakom. Na początku okupacji byłych

terenów polskich między Polakami a Ukraińcami przez jakiś czas panował pokój i spokój. Ale potem z inicjatywy Warszawy rozpoczął się niepohamowany terror, który dotknął wiele ukraińskich miejscowości*. Początkowo grupa OUN próbowała skłonić Polaków do opamiętania się, wysuwając wiele konstruktywnych propozycji. Ale Polacy nie doceniali siły Ukraińców, zwłaszcza siły grupy Bandery. Wzmoczenie terroru wymierzonego w Ukraińców zmusiło banderowską grupę OUN do odparcia uderzenia, do wydania rozkazu, by jednostki bojowe odpowiedziały na polski terror aktami odwetu, za co organizacja bierze na siebie pełną odpowiedzialność. Terror wobec Polaków będzie natychmiast zaniechany, gdy tylko usunięte zostaną wszelkie przeszkody na drodze do osiągnięcia przez organizację jej głównego celu – walki z bolszewizmem, a Ukraińcy uzyskają ze strony Niemiec gwarancje ochrony przed polskim terrorem.

Banderowskiej organizacji OUN zależy zwłaszcza na pomyślnym rozwoju sytuacji politycznej w dystrykcie Galicja. Chociaż Ukraińska Centralna Rada** nie odpowiada ambicjom organizacji, świadomie powstrzymuje się ona od wystąpień przeciwko tej pozornej reprezentacji narodu ukraińskiego. Z czasem ponownie będzie rozpatrywana kwestia ewentualnego udziału organizacji [banderowskiej] w tym przedstawicielstwie, w jakiejś formie.

Herasymowśkyj sformułował tylko następujące postulaty OUN (grupy Bandery) wobec policji bezpieczeństwa:

1. Policja bezpieczeństwa nie będzie więcej aresztowała Ukraińców za nielegalną działalność polityczną, jeżeli banderowska grupa OUN będzie ściśle wywiązywała się ze swojej obietnicy prowadzenia aktywnej walki wyłącznie przeciwko bolszewizmowi i przerwie wszelki terror, sabotaż i wszelkie próby zamachów.

2. Niemiecka policja bezpieczeństwa zwolni wszystkich więźniów politycznych, aby mogli wziąć czynny udział w decydującym boju Ukraińców z bolszewizmem. Banderowska grupa OUN chciałaby udowodnić swoją dobrą wolę i szczerą dążenie do współpracy, więc nie domaga

FOT. DEUTSCHES HISTORISCHES MUSEUM, BERLIN



→ Berlin, 30 września 1942.
Pierwszy pociąg z żywnością z Ukrainy

się uwolnienia poszczególnych więźniów politycznych, jeśli policji bezpieczeństwa z jakichś względów szczególnie zależy na przetrzymywaniu ich w areszcie. Grupa jest na tyle roztropna, by ani razu nie zażądać zwolnienia Bandery. Organizacja chce tym samym podkreślić, że nie domaga się bezwarunkowego zwolnienia wszystkich więźniów politycznych, musi jednak zażądać uwolnienia wszystkich kobiet, dzieci i zakładników. Przetrzymywanym w więzieniach i obozach

* Informacji o fali antyukraińskiego terroru przed rozpoczęciem na Wołyniu banderowskiej akcji przeciwko Polakom nie potwierdzają żadne wiarygodne źródła.

** Chodzi o Ukraiński Centralny Komitet.



koncentracyjnych Ukraińcom należy zapewnić takie warunki życia i pracy, które zagwarantują utrzymanie ich kondycji fizycznej, by w odpowiednim momencie, w pełni sił fizycznych i duchowych, mogli wziąć udział w rozstrzygających starciach z bolszewizmem. Oswobodzenie nie musi koniecznie nastąpić w jakimś ściśle określonym terminie. Wystarczy, jeśli będzie dokonywane stopniowo. Banderowska grupa OUN jest zainteresowana zwłaszcza uwolnieniem dzieci aresztowanych wraz z rodzicami i uzna ten krok za wyraz dobrej woli oraz szczerych zamiarów policji bezpieczeństwa.

3. Nie można pozwalać, by ukraińskie instancje oficjalne w rodzaju Ukraińskiego Centralnego

Komitetu szkalowały OUN jako agenturę, w której roi się od bolszewików, ponieważ takie nieprawdziwe i niesprawiedliwe wystąpienia obrażają honor OUN i zniesławiają ją. Również inne oficjalne instancje, niemieckie i ukraińskie, nie powinny występować z podobnymi osądzeniami o zależność organizacji od bolszewików i oskarżeniami o poplecznictwo.

4. Ruch OUN kierowany przez Banderę powinien mieć możliwość zachowania swobody działania w ramach swojej organizacji. Na działalność tę składają się przedsięwzięcia propagandowe, organizacyjne oraz wojskowe – z jedynym wyraźnym ograniczeniem: nie mogą one w żadnym stopniu szkodzić interesom niemieckim.

Jeśli chodzi o przygotowania wojenne, mogą one dotyczyć tylko przyszłej walki z bolszewizmem lub też wykonania zadań bojowych, które postawi przed organizacją strona niemiecka.

5. Policja bezpieczeństwa powinna zapewnić Ukraińcom ochronę przed terrorem i prowokacjami ze strony polskiej.

II.

W razie uzyskania gwarancji co do wykonania powyższych postulatów, grupa OUN kierowana przez Banderę składa następujące zobowiązania:

1. Grupa Bandery zachowuje bezwarunkową i pełną lojalność wobec wszystkich niemieckich interesów, zwłaszcza dotyczy to służb transportu i zaopatrzenia, niemieckich obiektów na wschodzie oraz przestrzegania koniecznej dyscypliny w strefie zaplecza operacyjnego grupy armii.

2. Banderowska grupa OUN odda do dyspozycji policji bezpieczeństwa zdobyte przez siebie dane wywiadowcze dotyczące bolszewizmu, komunizmu oraz strony polskiej i pozwoli policji, by oceniła i wykorzystała je według własnego uznania.

3. Banderowska grupa OUN nie będzie podejmowała żadnych kroków w odpowiedzi na prowokacje i akty terrorystyczne ze strony polskiej; ograniczy się do tego, że będzie powiadamiała policję bezpieczeństwa o wszystkich działaniach Polaków na szkodę Niemców i Ukraińców oraz pozostawi policji prawo prowadzenia dochodzeń w sprawie wszystkich aktów terroru i skazywania wojskowych.

4. Banderowska grupa OUN użyje swoich sił wojskowych przeciwko bandom sowieckim i do innych akcji bojowych podobnego rodzaju.

Herasymowski powiedział, że przekaze treść rozmów swoim zwierzchnikom i za tydzień poinformuje o rezultatach. Jeśli chodzi o niego samego, już dziś może zapewnić, że wśród najwyższego kierownictwa panuje głębokie zrozumienie konieczności bliskiej współpracy z Niemcami.

Informuję o treści tej rozmowy i proszę o przedłożenie niniejszego raportu dowódcy policji bezpieczeństwa i SD w celu podjęcia decyzji co do dalszych działań. Ze swej strony uważam, że niektóre postulaty banderowskiej grupy OUN są możliwe do spełnienia i liczę, że w toku dalszych rozmów uda mi się uzyskać zgodę na przyjęcie żądań policji bezpieczeństwa, a tym samym osiągnąć w tym rejonie względny spokój.

Proszę o udzielenie mi pełnomocnictw do przedstawienia w kolejnych negocjacjach następujących postulatów świadczących o naszym lojalnym stosunku do grupy OUN kierowanej przez Banderę.

III.

1. Banderowska grupa OUN natychmiast zaprzestaje wszelkiej działalności przynoszącej szkodę interesom Niemiec oraz wszelkiego terroru wobec ludności polskiej.

2. Banderowska grupa OUN zobowiązuje się przekazywać do dyspozycji policji bezpieczeństwa wszystkie posiadane dane wywiadowcze dotyczące bolszewizmu, komunizmu i polskiego ruchu oporu.

Należałoby, jak sądzę, poczynić następujące ustępstwa:

1. Zaprzestajemy aresztowań – pod warunkiem pełnej lojalności ze strony ukraińskiego ruchu oporu. Jednak najmniejsza wroga akcja daje nam pełne prawo użycia dowolnych środków.

2. Uwolnienie wszystkich ukraińskich więźniów politycznych nigdy nie będzie przedmiotem negocjacji, jesteśmy jednak gotowi wypuścić na wolność poszczególne osoby, zwłaszcza kobiety i dzieci.

3. Zaprzestaniemy wszelkich prześladowań i szykan wobec Ukraińców, jeśli tylko z ich strony będzie zachowana pełna lojalność.

4. Odnosnie dalszych działań UPA powinny odbyć się specjalne rozmowy.

Proszę o jak najszybsze przekazanie decyzji Urzędu Bezpieczeństwa, gdyż trzeba liczyć się z tym, że przedstawiciel banderowskiej grupy OUN – prawdopodobnie przyszedł minister spraw zagranicznych państwa ukraińskiego – wkrótce znowu do mnie przybędzie.

CDAHOU, zesp. 4628, inw. 1, vol. 10. Dokument został opublikowany w Kijowie – *OUN i UPA u druhij switowij wjini*, [w:] „Ukraiński Istoryczny Żurnal” nr 6/1994.

Telegram BdS
[dowódcy policji bezpieczeństwa]
Kraków, 15 marca 1944

Lwów

Szef policji porządkowej skierował do starszych dowódców SS i policji następujące pismo:

12 marca 1944 z oddziału żandarmerii... [tak w oryg. – red.] wpłynął następujący meldunek posterunku żandarmerii:

11 marca 1944 w okolicach miejscowości Podłami [Podkamień] [...] 200 członków ukraińskiego ruchu niepodległościowego oświadczyło, że będą walczyć przeciwko bolszewizmowi wspólnie z niemieckim Wehrmachtem. W dniu 12 marca 1944 ich liczba doszła do 1200 osób. Pochodzą z RKU [Reichskommissariat Ukraine] i w większości są uzbrojeni. W klasztorze w P. przebywa około 500 polskich zbiegów.

12 marca 1944 klasztor ten został ostrzelany z granatników przez ukraińskich bojowników o wolność. Ponadto usiłowali oni włamać się do klasztoru, ale na to nie uzyskali pozwolenia ze strony Wehrmachtu. Posterunkowi żandarmerii nie udało się dowiedzieć, co nastąpiło potem.

[...] BdO [właśc.: BdS] i SD w Generalnej Guberni Oberführer pułkownik policji Bierkamp

Raport z Ziem Wschodnich Biura Wschodniego przy Departamencie Spraw Wewnętrznych Delegatury Rządu na Kraj

Rzeź w Podkamieniu

Obecnie dopiero dotarł do nas szczegółowy opis wypadków w Podkamieniu, które w swojej potworności należą do najbardziej tragicznych, a zarazem są jaskrawym przykładem współdziałania Niemców z bandami ukraińskimi, bez którego współdziałania w danym wypadku w Podkamieniu do rzezi w ogóle by nie doszło. Banda ukraińska grasowała bezkarnie w Podkamieniu w ciągu całych 5 dni. Zjawiła się ona 10 marca w mieście, w którym kwaterował jeszcze wówczas oddział SS-Dywizji i dowództwo niemieckie. Zaraz następnego dnia oficerowie niemieccy i stacjonowany tam oddział SS-Dywizji opuścił miasteczko, a banda UPA, uzupełniona nowymi posiłkami, zaczęła otaczać klasztor oo. Dominikanów, w którym skupiona była ludność polska, składająca się przeważnie z uchodźców z okolicznych popalonych wsi polskich. Bandyci zażądali wypuszczenia ich do klasztoru, czemu odmówiono. Przez cały dzień 11-go i do południa 12-go marca bandy ostrzeliwały klasztor, lecz Polacy, posiadając kilka karabinów, byliby do ich wdarcia się do środka nie dopuścili.

Sytuacja zmieniła się dopiero około godziny 13-ej, kiedy pod Podkamieniem zjawił się oddział niemiecki, wracający z ekspedycji karnej na polską wieś Polikrowy. Dowódca tego oddziału wysłał posłańca do ludności polskiej, zgrupowanej w klasztorze, nakazując jej natychmiast klasztor opuścić pod groźbą bombardowania. Przerazona ludność zaczęła wychodzić za mury i od tej chwili rozpoczęła się rzeź. Bandy ukraińskie pozabijały uciekających, wdarły się do klasztoru i wymordowały bestialsko ludność tam jeszcze się znajdującą. Następnie, już wspólnie z Niemcami z przybyłego oddziału, rzuciły się na ludność polską w samym miasteczku. Sprawdzano dowody osobiste i każdego Polaka natychmiast zabijano. Mord i rabunek trwał w ciągu całego 13 i 14 marca. Niemcy sprowadzili do Podkamienia aż 200 furmanek i szereg aut ciężarowych, aby wywieźć zrabowane mienie.

[...] Dopiero 15-go marca wieczorem bandy UPA opuściły miasto, a 16-go marca wróciła normalna komenda niemiecka, która udawała zdziwienie, że takie wypadki zaszły i wyrażała przypuszczenie, że musiała to być banda bolszewicka.

Instytut Studiów Politycznych PAN, Zbiór Wojciecha Bukata, Raport z Ziem Wschodnich nr 41, k. 4.

(tekst polski)

Lwów, 24 marca 1944 Ścisłe tajne, wagi państwowej Raport

Drugie spotkanie z Herasymowskim opóźniło się, ponieważ H. z nieznanych przyczyn pojechał do Śniatyna i w drodze powrotnej do Lwowa zatrzymał się dłużej niż trzeba z powodu przeciężenia Wschodniej Linii Kolejowej transportami wojskowymi Wehrmachtu. Opóźnienie było spowodowane też tym, że w wyniku nieobecności we Lwowie pośrednika Bołłucha nie mógł nawiązać kontaktu. Udało mu się to dopiero 23 marca 1944 przez Ukraińca Mudrego. Spotkanie z Herasymowskim wyznaczono na godz. 15.00 dnia 23 marca 1944 w mieszkaniu Mudrego przy ul. Wójtowskiej 8/1.

Na początku rozmowy Herasymowski stwierdził, że odnośnie [do] wszystkich kwestii, które omawiał ze mną na pierwszym spotkaniu 6 marca 1944, w organizacji panuje pełna jasność

FOT. IAC



→ Ludność ukraińska w czasie (niezidentyfikowanych) uroczystości, okupacja niemiecka

i wszystkie punkty zostają ostatecznie uznane i przyjęte. OUN bardzo wiele oczekuje od tego porozumienia, zarówno dla samej organizacji, jak i dla dalszego rozwoju wydarzeń na terytorium całej Ukrainy, ale głównie z punktu widzenia sytuacji obecnej i organizowania wspólnej walki z zaciętym wrogiem – bolszewizmem.

[...]

1. OUN gotowa jest natychmiast przerwać wszelką działalność szkodzącą interesom niemieckim oraz wszelki terror wobec Polaków.

Jeśli chodzi o terror wobec Polaków, OUN zgodziła się oddać w gestię policji decyzje we wszystkich sprawach związanych z polskimi prowokacjami i aktami terrorku w miastach i osiedlach. OUN ze swej strony będzie tylko przekazywać informacje i dowody dotyczące prowokacji i aktów terrorku, i spokojnie czekać, aż policja bezpieczeństwa podejmie niezbędne przeciwdziałania.

Jeśli chodzi o prowokacje w terenie, poza skupiskami ludności, w lasach itp., to przedstawione powyżej reguły są nie do przyjęcia. Jeśli OUN zacznie najpierw przekazywać policji bezpieczeństwa* informacje o pojawieniu się, liczebności i uzbrojeniu polskiej bandy, a następnie będzie oczekiwać zgody na podjęcie działań bojowych przeciwko niej, to kontruderzenie czy

akt odwetu na polskiej bandzie, która dokonała zbrodni na Ukraińcach, będą znacznie spóźnione i mogą okazać się w ogóle niemożliwe, zaś banda, wykorzystując swoją ruchliwość i to, że nie jest związana z konkretnymi miejscowościami, zdoła uniknąć kary. Przekazywanie informacji i danych wywiadowczych zajmie tyle czasu, że banda zdąży porzucić swoją kwaterę i zniknąć bez narażania się na kontruderzenie. Dlatego też OUN (grupa Bandery) uważa, że powinna otrzymać zgodę na prowadzenie własnymi siłami działań bojowych przeciwko polskim bandom działającym poza skupiskami ludności i daje pełne gwarancje, że będzie to dotyczyć wyłącznie polskich band, a w żadnym wypadku nie rozszerzy się na zamieszkujących w danej miejscowości Polaków ani na pobliskie polskie wsie niemające z bandą nic wspólnego. Po każdym starciu z polską bandą OUN gotowa jest przedstawić dowody, że banda ta dokonała zbrodni na Ukraińcach i poinformować, jak i w jakich okolicznościach rozprawiono się z nią.

2. OUN (grupa Bandery) zobowiązuje się przekazywać do dyspozycji policji bezpieczeństwa wszystkie dane wywiadowcze dotyczące bolszewizmu, komunizmu i polskiego ruchu oporu.

* W oryg.: *ochronnej policji*. W rosyjskich przekładach dokumentów niemieckich w różny sposób określano Sicherheitspolizei: *policja bezpieczeństwa* lub *ochrannaja*. (Red.).

Ponadto OUN gotowa jest współpracować z Niemcami we wszystkich wojskowych kwestiach, które okażą się niezbędne w walce ze wspólnym wrogiem (bolszewizmem). OUN wprowadzi do akcji swoje oddziały bojowe na tyłach wojsk sowiecko-rosyjskich z zadaniem wyrządzania szkód w sowiecko-rosyjskim systemie transportu i zaopatrzenia, bazach zaplecza, ośrodkach zaopatrzenia w broń i amunicję, magazynach i in. – przez dokonywanie aktów dywersji, oddziaływanie propagandowe na Armię Czerwoną osłabiające jej potencjał bojowy, ale przede wszystkim drogą nieustającego terronu, zadawania maksymalnych strat fizycznych organom NKWD. Ponadto wykorzysta się wszystkie sposoby i środki (radio, kurierzy) w celu przekazywania w ręce niemieckie informacji o charakterze wojskowym i politycznym z terenów położonych na tyłach wojsk sowiecko-rosyjskich. [...]

Następne spotkanie z Herasymowskiem powinno odbyć się w sobotę 26 marca 1944 we Lwowie albo w środę 29 marca 1944 w Przemyślu. H. poda dokładny termin spotkania niżej podpisanemu telefonicznie.

Pod koniec rozmowy Herasymowski zwrócił się z prośbą do policji bezpieczeństwa, by zwolniono z aresztu panią Łebedź, jej dziecko oraz krewnych i w ten sposób zrobiono pojednawczy gest w stronę jednego z funkcjonariuszy Bandery, obecnie jednego z czołowych działaczy organizacji. Teraz rzecz jasna ma on osobisty żal do policji, więc taki gest pomógłby zdobyć jego poparcie dla rozmów między policją bezpieczeństwa i OUN.

Obersturmführer SS i komisarz policji kryminalnej (-)

CDAHOU, zesp. 4628, inw. 1, vol. 10. Dokument został opublikowany w Kijowie – OUN i UPA u druhij switowij winji, [w:] „Ukrajński Istoryczny Żurnal” nr 1/1995.

Ścisłe tajne Chwała Ukrainie Rozporządzenie specjalne

Rozkazuję Wam niezwłoczne przeprowadzenie czystki swojego rejonu z elementu polskiego oraz

z agentów ukraińsko-bolszewickich. Czystkę należy przeprowadzić w stanicach słabo zaludnionych przez Polaków. W tym celu stworzyć przy rejonie bojówkę złożoną z naszych członków, której zadaniem byłaby likwidacja wyżej wymienionych. Większe Wasze stacje będą czyszczone z tego elementu przez nasze oddziały wojskowe nawet w biały dzień.

Jak już przekazywałem w rozkazie z 5 kwietnia, przypominam jeszcze raz o prowadzeniu na swoim terenie systematycznego rozpoznania w celu wytropienia bolszewickich band. Codziennie musicie wysyłać kuriera z meldunkiem do naszego oddziału. Gdyby nie było żadnych ruchów, to o tym też należy powiadamiać. Meldunki wysyłać codziennie na Sokal do druha Orła. W meldunkach odpowiadać na następujące pytania:

1. Miejsce kwaterowania bolszewickiej bandy.

2. W jakim czasie banda kwaterowała i skąd przybyła.

3. Liczebność tej bandy.

4. Jaką broń ciężką posiada.

5. W jakim kierunku odeszła i skąd przybyła.

O wszystkim informować z każdej stacji.

Zmobilizować do tej pracy wszystkich członków, a także młodzież i kobiety. Wykonywać wszystkie polecenia dokładnie i natychmiast. Dlaczego ciągle to zaniedbujecie? Oczyszczanie terenu musi być zakończone jeszcze przed naszą Wielkanocą, żebyśmy świętowali ją już bez Polaków. Pamiętajcie, że jak bolszewicy zastaną nas z Polakami na naszych terenach, wtedy wszystkich nas wyróżną*. Działać szybko i mądrze. Mamy w tych sprawach określone pełnomocnictwa od Niemców. Nie trzeba zachowywać konspiracji aż do nieróbstwa. Czemu mnie w ogóle nie informujecie o wykonaniu wysłanych do Was rozkazów i różnych instrukcji? Z wykonania każdego rozkazu trzeba szczegółowo zdać sprawę według dat i zagadnień. Chcę to wszystko mieć.

Przysyłajcie mi szczegółowe informacje na temat czystki, jaka prowadzona jest na Waszym terenie. Zbliża się 10-ty, więc przypominam o miesięcznych sprawozdaniach. Sprawozdań liczbowych teraz mi nie przysyłajcie, aż do odwołania. Informujecie szczegółowo o ruchach

* Jest to zapewne odwołanie się do obaw ludności ukraińskiej, że po nadejściu Armii Czerwonej Polacy będą informowali NKWD o wszystkich, którzy w 1941 roku wspomagali czy choćby tylko witali wkraczającą armię niemiecką.

Polaków i ich ewakuacji z naszych terenów. Pro-
wadzić z nimi twardą, bezpardonową walkę. Niko-
go nie oszczędzać, nawet w przypadku małżeństw
mieszanych wyciągać z domów Lachów, ale Ukra-
ińców i dzieci w tych domach nie likwidować.
Przypominam jeszcze raz, że musi to być wyko-
nane jeszcze przed naszymi świętami.

Powyciągać całą broń, a także amunicję, bo
jest teraz potrzebna. Niech broń nie leży na stry-
chach. Jest przecież rewolucja i w całym kraju
osiąga ona wysoki stopień [rozwoju].

Wydobyć broń. Śmierć Polakom.

Chwała bohaterom!

Postój, 6 kwietnia 1944

Orest Karat (-)

PS Wysyłajcie natychmiast każdą liczbę lu-
dzi do oddziału Orła. O wymarszu ludzi z bronią
każdorzazowo mnie informować. Ludzi zdolnych
do noszenia broni nie magazynować.

(przekład z ukraińskiego)

Sokalszczyzna Sprawozdanie polityczne za okres 7–15 kwietnia 1944

[...]

Polacy. Polacy to najgorsza zaraza w terenie.
Wysługują się wszystkim diabłom na świecie, by
zniszczyć Ukraińców. Łączą się z partyzantką
bolszewicką, poprzez folksdojców wysługują się
Niemcom przez różne donosy. Ostatni miesiąc
poświęcili na rozszerzenie swojego imperializmu
i na jego umocnienie na Chełmszczyźnie. Spalili
całkowicie albo częściowo do 30 wsi ukraińskich,
mordując przy tym do 2000 ludności ukr[aiń-
skiej], głównie kobiety i dzieci*. Ich bandyckie
wypadki na Chełmszczyznę zostały powstrzy-
mane przez nasze oddziały zbrojne UPA-Z oraz
UPA-S, w tym także oddziały (małe) miejscowej
samoobrony. Przeprowadzona na terenie Galicji
antypolska akcja wyparła Polaków do miast, gdzie
pod ochroną Niemców i żandarmerii tworzą oni
bojówki. Może ich wypędzić z miast tylko nasza

poważniejsza akcja na tym odcinku. Polacy, któ-
rzy pozostali na miejscu, zaczynają przechodzić
na grekokatolicyzm. W strefie działań wojennych
czystka terenu jest utrudniona. Polska partyzant-
ka wysyła w teren na zwiad kobiety, które mają
za zadanie śledzić ruchy UPA-Z. W okresie spra-
wozdawczym zostały przez nas ujęte takie polskie
zwiadowczynie. Polska inteligencja nie wierzy
w antypolskie nastawienie bolszewików, a komu-
nistyczne ulotki uważa za ukraińską prowokację.

[...]

(przekład z ukraińskiego)

Lwów, 8 kwietnia 1944 Tajne, wagi państwowej

Zgodnie z umową, 7 kwietnia 1944 w mieszka-
niu starosty powiatowego Nehringa w Kamionce
Strumiłowej odbyło się spotkanie dowódcy ban-
dy UPA Orła i niżej podpisanego, który zabrał
ze sobą jako świadka sekretarza kryminalnego
Streichera. Ponadto byli obecni starosta powia-
towy [Kreishauptmann] Nehring i komendant
wojskowy płk Meiler. Pod koniec przybyli jesz-
cze Hauptsturmführer SS i Obersturmführer SS
dywizji zmotoryzowanej SS Hohenstaufen, któ-
rzy rozmawiali z Orłem wyłącznie o sprawach
wojskowych i chcieli zawrzeć umowę, na podsta-
wie której stacjonująca na tym terenie jednostka
Hauptsturmführera SS nie będzie walczyła z ban-
dą Orła. [...]

Przede wszystkim starosta powiatowy Neh-
ring oświadczył, że poprzednie rozmowy mię-
dy nim i Orłem doprowadziły do tego, że Orzeł
będzie dostarczał informacji o sowieckich ro-
syjskich i polskich bandach, w zamian za co jego
banda nie będzie atakowana przez Niemców, jeśli
pozostanie lojalny wobec niemieckich interesów.
Starosta powiatowy Nehring powtórzył znaną już
informację, że dostarczył Orłowi pewną ilość bro-
ni i amunicji. Poprosił mnie, abym kontynuował
negocjacje, ponieważ jestem do tego upoważnio-
ny, ja zaś oddałem głos Orłowi, by wyrobić sobie

* Mowa o tzw. partyzantkiej ofensywie podjętej w marcu 1944 przez hrubieszowskie i tomaszowskie oddziały AK, której celem miało być uniemożliwienie przeprowadzenia w tym rejonie analogicznej do wołyńskiej akcji przeciw Polakom. W trakcie ofensywy spalono ponad dwadzieścia ukraińskich wiosek, m.in. Sahryń, Lasków, Bereść. Choć rozkazy AK zabraniały zabijania cywilów, nie ulega wątpliwości, że nie były przestrzegane. Zginęło ponad tysiąc Ukraińców. W następnych dniach na tereny te wkroczyły znaczne siły UPA i doszło do zaciętych walk polsko-ukraińskich. W ich wyniku powstał regularny front długości ponad 100 km.

o nim opinię i ustalić, czy dalsza dyskusja na temat jego poglądów oraz żądań jest sensowna i celowa.

Było rzeczą zdumiewającą, że Orzeł nie wysuwał absolutnie żadnych żądań co do wynagrodzenia, sprawiając wrażenie, że wyjątkowo poważnie stara się przekonać wszystkich uczestników rozmów, iż jego oddział UPA w żadnym wypadku nie zajmuje stanowiska wrogiego wobec Niemców, gotów jest nawet Niemcom pomóc w miarę swoich możliwości, oczywiście bez szkody czy też uszczerbku dla narodowych interesów ukraińskich. Jedyna prośba, z którą – podobnie jak poprzednio – wystąpił Orzeł, dotyczyła wypuszczenia z więzienia przez policję bezpieczeństwa kilku członków jego oddziału UPA; dodawał z naciskiem, że przyjazne uczucia jego i jego ludzi wobec Niemców nigdy nie osłabły, nawet wtedy, gdy policja bezpieczeństwa nie chciała uwolnić aresztowanych.

Następnie przedstawiłem Orłowi żądania analogiczne jak w innych rozmowach ze stroną nacjonalistyczną, kładąc nacisk na aktualną sytuację wojenną, kiedy to, według jednoznacznych ocen, element ukraiński prawdopodobnie zaprzepaścił okazję do udowodnienia, że jest gotów walczyć u boku sił niemieckich przeciwko bolszewizmowi. Nigdy nie mogłem dostrzec tej gotowości; przeciwnie, w tych ciężkich czasach i w obliczu zagrożenia bolszewizmem ukraiński element narodowy tracił swą energię na kontynuowanie aktów terroru wobec elementu polskiego, prowadząc intensywną walkę przeciwko polskim kobietom, dzieciom, wsiom. Ten stan musi koniecznie ulec zmianie, również zdaniem policji bezpieczeństwa. Przedstawiłem Orłowi żądania, od których ani na krok nie wolno odstąpić.

1. Pełna lojalność wobec interesów niemieckich.

2. Zaprzestanie działań terrorystycznych wobec ludności polskiej.

Zazaczyłem przy tym, że nie zabrania się Orłowi i jego oddziałowi UPA z własnej inicjatywy walczyć z polską bandą w lasach. Walka ta jednak nie może w żadnym razie rozprzestrzeniać się na polskie osiedla i wsie, czy też na tych polskich mężczyzn, kobiety i dzieci, którzy do band nie należą. Jeżeli Orzeł jest w stanie udowodnić, że miejscowi Polacy i Polki działają nielegalnie lub wspomagają bandy, to materiał wywiadowczy na ten temat powinien przedstawić policji bezpieczeństwa, gdzie zostanie on wykorzystany,

a oskarżonych Polaków i Polki pociągnie się do odpowiedzialności.

3. Rezygnacja z jakichkolwiek nacisków na policję ukraińską.

4. Rezygnacja z wywierania wpływu na galijską dywizję piechoty SS.

Orzeł bez zbędnych słów oświadczył, że gotów jest przyjąć te cztery żądania, z wyjątkiem warunku zawartego w punkcie drugim, pozbawiającego władzy wykonawczej w stosunku do podejrzanych lub winnych miejscowych Polaków i Polek oraz ich osiedli. W tej sprawie chce on najpierw uzyskać zgodę swoich zwierzchników i przedyskutować ją ponownie na kolejnym spotkaniu.

[...]

Pułkownik Meiler przypomniał, że o kolejnym spotkaniu z Orłem na temat stosunku do Polaków starosta powiatowy poinformuje mnie, sekretarza kryminalnego Streichera i naszą ochronę.

Przy pożegnaniu Orzeł zaprosił mnie i Streichera na ukraińskie święto Paschy, proponując, byśmy spędzili je z jego oddziałem. Uważam, że zaproszenie należy przyjąć jako zadanie służbowe, które pozwoli bezpośrednio zapoznać się z życiem bandy UPA.

[...]

Obersturmführer SS i komisarz kryminalny (-)

15 kwietnia 1944, Tajne, wagi państwowej

Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy
Gruppenführer SS Müller (osobiście), Berlin

Szef policji bezpieczeństwa i SD w Generalnym Gubernatorstwie Oberführer SS i pułkownik policji Bierkamp (osobiście), Kraków

Szef SS i policji Brigadeführer SS i generał-major policji Diehm (osobiście), Lwów

Treść: kontakty UPA (Ukraińska Powstańcza Armia) z Wehrmachtem, policją i instancjami administracji cywilnej.

[...]

Pod koniec stycznia 1944 liczne oddziały UPA zaczęły szukać bezpośrednich kontaktów z oddziałami bojowymi (Wehrmachtu).

Szef wydziału wywiadu i kontrwywiadu (Is) grupy bojowej „Prützman” Sturmbahnführer SS

Schmitz umiejętnie wykorzystał zmienioną sytuację. Nawiązał kontakt z poszczególnymi dowódcami band w rejonach Postojno (33 km na półn. zach. od Równego), Krzemieniec, Werba, Kochilno, Bereżce, Podkamień i Derażne, uzyskiwał od nich informacje wywiadowcze o sowiecko-rosyjskich i polskich bandach oraz o armii sowieckiej i wykorzystał te oddziały jako grupy dywersyjne przeciwko Armii Czerwonej. Jego wysiłki okazały się bardzo przydatne dla jednostek bojowych. Jego zdaniem, grupy ogromnie dopomogły w gromadzeniu danych wywiadowczych i znacznie rozszerzyły wiedzę na temat sowieckich band.

Schmitz przekonał się, że oddziały UPA należy wykorzystywać tylko do zadań wywiadowczych i działań dywersyjnych, lecz nie jako jednostki bojowe na froncie. Uważa on, że nie powinno się spełnić prośby oddziałów UPA o wyposażenie ich w broń ciężką. Na jego polecenie oddziałom UPA wydano 70–80 karabinów, 4 karabiny maszynowe i około 10.000 szt. amunicji.

[...]

III. Za każdym razem, kiedy rozmowy toczyły się między podrzędnymi dowódcami UPA i innymi instancjami (z naszej strony), wyraźnie wysuwano jednakowe żądania, ale przede wszystkim należało tak prowadzić sprawę, aby strona przeciwna nie odniosła wrażenia, że może uważać się za równorzędnego partnera.

Mimo iż do kontaktów z Herasymowskim i dowódcami UPA niższego szczebla dochodzi już od dłuższego czasu, wydaje się, że wszystkie te starania policji bezpieczeństwa nie przynoszą praktycznie rezultatu. Chociaż Herasymowskyj jako przedstawiciel autorytatywnego kierownictwa banderowskiej grupy OUN wciąż zapewnia, że organizacja niezwłocznie wyda rozkazy zakazujące wyrządzenia szkód interesom niemieckim, prowadzenia wywrotowej roboty przeciwko policji ukraińskiej pozostającej na służbie niemieckiej oraz przeciwko ochotniczej dywizji piechoty SS „Galizien”, kontynuowania bezwzględnie ukraińskiego terroru wobec polskich kobiet, dzieci i całych osiedli, to działania oddziałów UPA w dystrykcie Galicja wcale nie świadczą o tym, że otrzymały one od swojego centralnego kierownictwa dyrektywy wynikające z porozumień zawartych w trakcie rozmów między referentem N. a Herasymowskim.

Ponadto w dalszym ciągu dochodzi do podpalenia budynków i innego majątku trwałego

będącego we władaniu Niemców, strona ukraińska dokonuje napadów i mordów na urzędnikach niemieckiej policji wykonujących zadania wywiadowcze w terenie. Dezerterzy i zbiegowie z ochotniczej dywizji SS „Galizien” w dalszym ciągu przyjmowani są do oddziałów UPA i nie powracają do swych jednostek, coraz bardziej wzmagają się terror ze strony ukraińskiej w stosunku do skupisk ludności polskiej.

Staje się wobec tego jasne, że banderowska grupa OUN nie do końca panuje nad wieloma jednostkami bojowymi rozrzuconymi po rozległym terenie i że nie wszystkie oddziały podporządkowują się rozkazom centralnego kierownictwa, lecz działają na własną rękę. Fakty te potwierdzają moje przypuszczenie, że dla grupy banderowskiej przestrzeganie postulatów strony niemieckiej i umacnianie współpracy z niemieckimi instancjami nie jest rzeczą najważniejszą.

[...]

Lwów, 21 kwietnia 1944 Ścisłe tajne, wagi państwowej

Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy
Gruppenführer SS Müller (osobiście),
Berlin

Treść: Kontakty UPA (Ukraińskiej Powstańczej Armii) z Wehrmachtem, policją i instytucjami administracji cywilnej.

Poprzednie dokumenty: Mój raport z 17 kwietnia 1944 o analogicznym numerze w dzienniku podawczym.

Na pierwszym spotkaniu z Herasymowskim referent wydziału N., zgodnie z otrzymanymi wskazówkami, jasno i kategorycznie oświadczył, że w toku negocjacji banderowska grupa OUN obiecała ograniczyć terror wobec Polaków i zaniechać negatywnego wpływu na ukraińską pozycję [policję] i skład osobowy dywizji SS „Galizien”. Mimo to strona niemiecka zmuszona jest stwierdzić, że bandy UPA nadal prowadzą akcje karne wobec Polaków i przyjmują do swoich szeregów zbiegów z policji ukraińskiej i ochotniczej dywizji SS „Galizien”. Właśnie dlatego policja bezpieczeństwa odnosi wrażenie, że banderowska grupa OUN nie ma zamiaru rzetelnie z nią współpracować.

Herasymowski odpowiedział, że kwestia polska i problem uciekinierów z policji ukraińskiej oraz ochotniczej dywizji SS „Galizien” to zagadnienia najtrudniejsze do rozwiązania. I chociaż on sam po zakończeniu rozmów na te tematy wielokrotnie podkreślał w sztabie, iż policja polityczna przywiązuje do nich szczególną wagę, za każdym razem napotykał na opór. Mających miejsce nieporozumień i rozbieżności nie da się rozwiązać jednym pociągnięciem, a policja także nie zaprzestaje walki z ukraińskimi nacjonalistami.

Herasymowski oświadczył, że niespełnienie określonych oczekiwań banderowskiej grupy OUN w toku pertraktacji z policją bezpieczeństwa może okazać się nadzwyczaj niebezpieczne dla niego samego jako osoby, której polecono utrzymywanie kontaktów z policją bezpieczeństwa, ponieważ tylko on, bez żadnego wsparcia i gwarancji, przedstawia w sztabie OUN żądania policji bezpieczeństwa. Dla Herasymowskiego, jak i dla całej organizacji, ważne jest uzyskanie takiego wsparcia przez umożliwienie Banderze zaprezentowania jego stanowiska w kwestii rozmów policji bezpieczeństwa z banderowską grupą OUN. Organizacja jest przekonana, że Bandera bez wahania poprze i zaakceptuje obecne kontakty mające na celu wzajemne współdziałanie w walce z bolszewizmem. Zarówno organizacja, jak i sam Herasymowski uważają za konieczne, aby Bandera taki punkt widzenia potwierdził.

W związku z tym Herasymowski zwraca się z prośbą, aby kompetentne instancje zezwoliły na spotkanie przedstawiciela banderowskiej grupy OUN, na przykład właśnie Herasymowskiego, z Bandera. Czas i miejsce spotkania z Bandera mogą zostać ustalone przez policję bezpieczeństwa. Oczywiście jest, że na spotkaniu mógłby być obecny jeden z przedstawicieli policji, znający język, aby następnie zdać policji bezpieczeństwa relację z jej wyników.

Proszę o możliwie szybkie przekazanie instrukcji odnośnie [do] tej propozycji, żebym mógł dać ostateczną odpowiedź Herasymowskiemu*.

CDAHOU, zesp. 4628, inw. 1, vol. 10. Dokument został opublikowany w Kijowie – *OUN i UPA u druhij switowij wijni*, [w:] „Ukraiński Istoryczny Żurnal” nr 2/1995.

„Trojan”, 5 maja 1944 Ścisłe tajne

Odpis rozkazu ORKP nr 7/44

Dla powiatowych prowidyńków – Rozkaz [Głównego Prowidu OUN]

[...]

Z uwagi na oficjalne stanowisko polskiego rządu w sprawie współpracy z Sowietami, należy Polaków z naszych ziem usuwać. Proszę to tak rozumieć: należy dawać polskiej ludności polecenie wyprowadzenia się w ciągu kilku dni na rdzennie polskie ziemie. Jeśli to nie zostanie wykonane, wtedy wysłać bojówki, które będą likwidować mężczyzn, a chaty i majątek palić (rozbiierać). Jeszcze raz zwracam uwagę na to, żeby wzywać Polaków do opuszczenia ziemi i dopiero później likwidować, a nie na odwrót. (Proszę na to zwrócić szczególną uwagę). W szczególności należy przeganiać z mieszanych wiosek tych Polaków, którzy nie mają tendencji do asymilacji. Natomiast nie ruszać tych, którzy mają ukraińskie rodziny i specjalnie nie ciągną do Polaków, trzymając się tylko religii. Polecenia eksmisyjne można przekazywać ulotkami (lokalnymi) bez naszego organizacyjnego podpisu. Podkreślać w nich postawę polskiego rządu i ludności na terenach zajętych przez bolszewików.

(Dokładne protokoły z antypolskich akcji przesyłać do Okr[ęgowych] P[rowidów OUN].)

(przekład z ukraińskiego)

CDAWOWU, zesp. 3833, inw. 1, vol. 3, k. 53. Zachowała się tylko jedna strona dokumentu.

Postój, 11 maja 1944

Panie starosto powiatowy!

Żałuję, że do 10 maja 1944 nie mogłem zjawić się u Pana osobiście, a to z tej przyczyny, że nie wolno mi bezpośrednio spotykać się z Panem, nie mam na to zgody moich zwierzchników, więc przepraszam, ale u nas jest surowa dyscyplina i porządek zgodne z Pańskim wyobrażeniem.

* Do spotkań SD z „Herasymowskim” dochodziło jeszcze w maju i czerwcu 1944. Na spotkaniu 7 czerwca rozmawiano na temat ewentualnego wydzielenia z szeregów UPA grup agentów-radziistów i dywersantów, którzy bezpośrednio współpracowaliby z Niemcami. „Herasymowski” zaproponował też Niemcom, aby ci utworzyli składy z bronią, amunicją i środkami medycznymi, które przekazałby UPA w wypadku konieczności oddania Galicji Armii Czerwonej. Zagwarantował, że do momentu nadejścia wojsk sowieckich UPA nie będzie przejmowała tych magazynów. Patr: *OUN i UPA u druhij switowij wijni*, [w:] „Ukraiński Istoryczny Żurnal” nr 2/1995.

Jeśli zostaną upoważniony przez zwierzchników, zjawię się u Pana ku obopólnej korzyści. Byłem rad usłyszeć od pana starosty powiatowego, że nie musimy się kryć przed żołnierzami niemieckimi, ponieważ wiedzą oni, że nie powinni do nas strzelać i wdawać się w potyczki z ukraińskimi partyzantami, albowiem Wehrmacht jest sprzymierzeńcem UPA w walce z głównym wrogiem – bolszewizmem.

Niestety, żołnierze niemieccy stale przeszkadzają bojownikom ukraińskim w rejonie naszych operacji przeciwko bandom bolszewickim, co osłabia obie strony, my zaś pragnęlibyśmy wykorzystać te operacje w walce ze wspólnym wrogiem. Jednocześnie Polacy, jak pokazują fakty, gotowi są pomagać bolszewikom przeniknąć na tyły niemieckiego frontu. Jedna trzecia Polaków należy do band bolszewickich, a miejscowa ludność cywilna skwapliwie szpieguje na rzecz bolszewickich band. Tylko z pomocą polskiej ludności bolszewicy mogą prowadzić operacje w Galicji.

Gdyby władze niemieckie nie stawiały nam, bojownikom ukraińskim, przeszkód, to bandy bolszewickie nie mogłyby nawet przez tydzień utrzymać się w Galicji.

[...]

Chmil

Kamionka Strumiłowa, 19 maja 1944

Pan dowódca grupy Chmil

O sołtysie Streptowie

Z wdzięcznością potwierdzam otrzymanie Pańskiego listu z 11 maja 1944

Odpowiadam nań, co następuje:

1) Starć między oddziałami niemieckich sił zbrojnych a pojedynczymi grupami UPA nie da się w pełni uniknąć, dopóki władze zwierzchnie UPA nie będą gotowe do współpracy i nie przedstawią mi odpowiednich propozycji.

2) W pozostałych kwestiach osobiście nie widzę możliwości pozytywnej współpracy, jeśli poszczególne grupy UPA wciąż, prawdopodobnie na rozkaz kierownictwa UPA, w sposób samowolny dokonują podpaleń polskich wiosek i nawet majątku nieruchomego. Niszczenie majątku uważam za niedopuszczalne nie tylko w czasie wojny, a przede wszystkim za przestępstwo w obliczu przyszości

narodu ukraińskiego. Jeżeli w okresie obecnej zdecydowanej mobilizacji wysiłków w walce z bolszewizmem, zamiast koncentrować wszystkie siły przeciwko bolszewizmowi, nacjonalistyczne grupy ukraińskie palą polskie wsie, to po zwycięstwie niemieckiego oręża naród ukraiński zostanie za to srogo ukarany. Jako szczery przyjaciel narodu ukraińskiego bardzo nad tym ubolewam; wie Pan, że wykazałem w praktyce wolę poważnego współdziałania i że UPA odniosło dzięki temu znaczne korzyści. Tym samym brałem na siebie niemalą odpowiedzialność, ponieważ Orzeł, nieukrywający swoich nacjonalistyczno-ukraińskich celów, wykazał się zarówno wobec mnie, jak i wobec niemieckich sił zbrojnych wzorową dyscypliną. Jednak z przykrością muszę stwierdzić, że postępowanie innych grup UPA nadzwyczaj utrudnia, jeśli nie uniemożliwia, mnie samemu, a także innym przyjaciółom narodu ukraińskiego, przedstawienie wyższym instancjom niemieckim postulatów narodu ukraińskiego.

[...]

Starosta powiatowy (Nehring)

Sprawozdanie polityczne za 13–28 czerwca 1944

[...]

W ostatnim czasie Niemcy piją w ogromnych ilościach samogon. Morale żołnierzy niemieckich jest bardzo niskie, kradną, co tylko im wpadnie w oczy (w Perwiatyczach ukradli płótno znad rzeki, we wsi Spasów 27 czerwca br. ukradli około dwunastu metrów płótna, które się bielilo, we wsi Górki [?], odjeżdżając dnia

17 czerwca br., ukradli buty z cholewami i nowe trzewiki). Kradzież miała miejsce również w Jastrubiczach [?], gdzie trzech kabardijców ukradło chłopu parę koni. On swoje konie rozpoznał i odebrał, a kabardijców aresztowano.

W ostatnim okresie Niemcy coraz bardziej rozbudowują administrację, ewidencjonują mienie, bydło itp.

Złapanych zbiegów, którzy pracowali przy kopaniu okopów koło Stojanówki, Niemcy skazali na karę śmierci. Rozstrzelano jednego [naszego] sympatyka pochodzącego z Jastrubicz [?], którego przedtem hitlerowscy bandyci bestialsko zmasakrowali.



FOT. LUCYK / ANIC

← Walki na Zachód od Krosna, 26 września 1944. Dowódca niemieckiego batalionu nadaje odznaczenia

Stosunek Niemców do UPA jest podstępny i dwuznaczny. Raz złapanych w niemieckich mundurach z bronią w rękach rozstrzelują, drugim razem wypuszczają – pewnie w celach propagandowych. W taki sposób wypuszczono wraz z bronią pięciu strzelców z sotni Nedołuhego, którzy zostali złapani podczas oblawy w Pawłowie, jednego zatrzymali jako zakładnika – bo chcieli mówić z sotennym. Natomiast gestapo wszystkich złapanych rozstrzeluje.

[...]

Polacy. Polaków na naszym terenie nie ma. Pozostały tylko rodziny mieszane oraz ci, którzy poprzynosili metryki do cerkwi [greckokatolickiej] i chcą się asymilować. Są to zwykle ludzie, którzy nigdy aktywnie nie występowali jako Polacy, jedyną oznaką ich polskości była religia rzymskokatolicka.

Polacy, którzy uciekli do Sokala, bardzo często powracają do wsi z folksdojczami, wykopują swój majątek, a przy tym okradają Ukraińców i grożą im.

Po „powitanium”, jakie zgotowano im w Komarowie 15 czerwca 1944, Polacy już się nie pokazują we wsi. W jednostkach niemieckich są Polacy z Poznańskiego. Bardzo interesują się, kto pobił Polaków, martwią się o los Polaków, którzy wyjechali z zachodnich ziem Ukrainy.

Do Sokala powraca wielu Polaków z zachodu (z Krakowa), którzy nie mają tam warunków

materialnych do życia, mówią – niech nas tu zabiją, ale z głodu umierać nie chcemy. Jednak po rozrzuceniu antypolskich ulotek wielu Polaków, którzy nigdzie nie wyjeżdżali, nie zważając na głód na zachodzie, wybiera się na zachód.

[...]

Chwała Ukrainie!

Ref. Prop. (Robert)

Postój, 27 czerwca 1944

Pow. P. [podpis nieczytelny]

(przekład z ukraińskiego)

WYBRAŁ I OPRACOWAŁ
Grzegorz Motyka

PRZEŁOŻYŁ Z ROSYJSKIEGO I UKRAIŃSKIEGO
Romuald Niedzielko

Materiał pochodzi z „Karty” nr 23/1997.

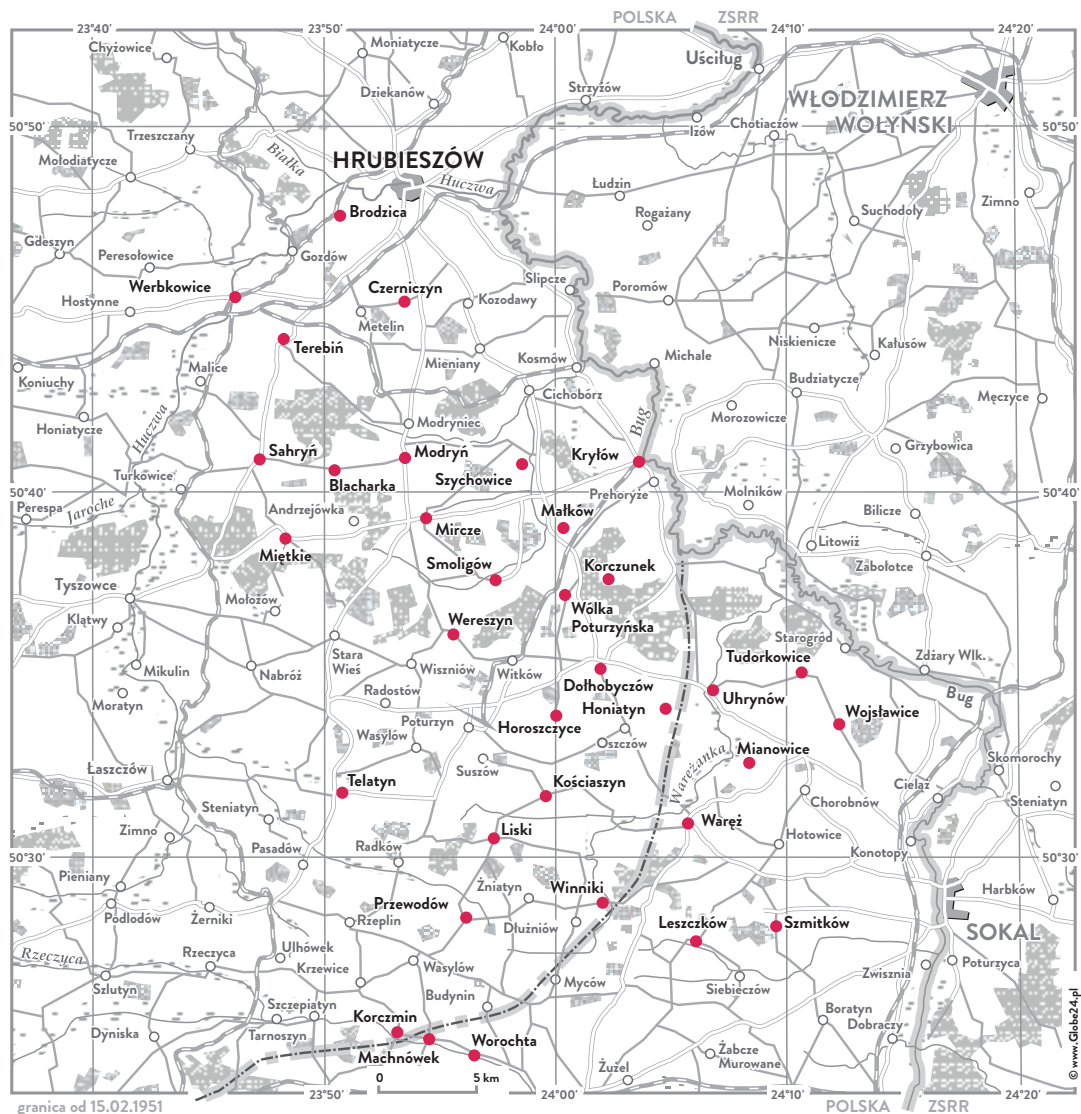
CODZIENNOŚĆ SOTNI UP,
NOTOWANA NA BIEŻĄCO
PRZEZ JEJ KRONIKARZA – WALKA
O NIEZALEŻNĄ UKRAINĘ Z SOWIETAMI
I POLSKIM PODZIEMIEM
NIEPODLEGŁOŚCIOWYM

Okolice Mycowa. Teren
działalności sotni „Wilki”

Sotnia „Wilki”

Oddział Ukraińskiej Powstańczej Armii „Wilki” powstał w połowie marca 1944 w Brodnicy (ówczesnej Bohorodycy) w powiecie hrubieszowskim. Operował jako sotnia (kompania) w sile około 120 ludzi, zaś od jesieni 1945 roku jako jednostka o większej sile: kureń (batalion). W jego skład wchodziłi Ukraińcy z Chełmszczyzny, Galicji Wschodniej i Wołynia. Wcześniej część z nich walczyła w 5. pułku policji SS (skąd zdezerterowała) oraz lokalnych bojówkach Ukraińskiego Legionu Samoobrony, podległych Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Pierwszym dowódcą był Marjan Łukasewycz ps. „Jahoda”, „Czernyk”¹, który zginął we wrześniu 1945². Oddział działał do akcji „Wisła” w 1947 roku.

Po ukraińsku *Kronika* ukazała się co najmniej trzy razy. Po raz pierwszy jej fragmenty wydali ukraińscy kombatanci we Francji w końcu lat 40.³ Była to wersja niepełna, z opuszczonymi – ze względów konspiracyjnych – nazwami miejscowości. Zmieniano w niej niektóre słowa, w tym regionalizmy, opuszczano wybrane zdania. Po raz drugi ukazała się w takim samym kształcie w zbiorze dokumentów dotyczących UPA kilka lat później⁴. W całości wydrukowano ją w *Litopysie UPA* kilkanaście lat temu⁵. W języku polskim zafałszowane fragmenty *Kroniki* opublikował Władysław Szelański w książce *Pseudonim Myron* ponad czterdzieści lat temu⁶. Tutaj sięgnięto do oryginału, który znajduje się w Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej⁷. Wybraliśmy najbardziej esencjonalne fragmenty. (MARIUSZ SAWA)



Teren działalności sotni „Wilki”

9 września 1944, sobota

Dochodzimy do wsi Terebiń. Koło chat spotykamy młode dziewczęta robiące porządki. Jutro 10 września, niedziela. Chłopcy, którzy rzadko przebywają w kobiecym towarzystwie, otaczają dziewczyny i zaczynają z nimi żartować, ale ta przyjemna chwila nie trwa długo. Na stanowczy rozkaz *rojowego* [stojącego na czele *roju* – drużyny] wszyscy idą na kolację, a po niej kładą się do snu w stodole. Śpimy długo. Po śniadaniu nawiązujemy rozmowę z mieszkańcami wsi. Wszyscy są smutni i zamyśleni.

Dokuczają im brak pewności, pod czyją okupacją przyjdzie im żyć. Podczas rozmowy dowiadujemy się, że woleliby bolszewików (wolną Ukrainę ciężko jest im sobie wyobrazić). Wieś ta nie zaznała jeszcze bolszewickiej rzeczywistości. Miała ich niemal za wyzwolicieli. Zresztą, nic w tym dziwnego. Bolszewicy [po wkroczeniu na Lubelszczyznę w lipcu 1944] nie wtrącaли się do niczego, oprócz pobierania niewielkiego kontyngentu mięsnego i zbożowego – milicja składała się z miejscowych chłopców – a chłopcy jeszcze wtedy nie byli zepsuci.

Tego samego dnia dowódca „Karpo” przeprowadza z milicją dłuższą rozmowę. Jej członkowie zobowiązują się wykonywać wszystko, co im nakaze dowództwo UPA, ale w taki sposób, by nie stała im się żadna krzywda. Mają świadomość, że po popełnieniu przestępstwa nie schowają się przed powstańcem.

Dezerterów z Armii Czerwonej coraz więcej. Znow zatrzymaliśmy trzech. To także Wołyniacy. Siłą wcielono ich do armii i dopiero teraz udało im się uciec z frontu. Mówią, że takich jak oni będzie jeszcze więcej, kto wie, czy nie przyczyni się to do załamania frontu. Po południu do tej części wsi, w której kwaterujemy, przychodzi trzech czerwonoarmistów. Dowódca „Karpo” wydaje rozkaz, by ich nie zaczepiać. Taki mamy rozkaz od wyższego kierownictwa. Zabijać możemy tylko enkawudzistów i partyjniaków, a zwyczajnych żołnierzy Armii Czerwonej – tylko wtedy, kiedy nas zaatakują.

16 września, sobota

[...] Nocą wywiad donosi, że do Terebinia mają przyjechać polscy cywile z milicją, by żąć zboże. Dzień spędzamy spokojnie. Na noc nadal pozostajemy na [kolonii] Blacharka. Przed świtem 1. i 3. rój otrzymują rozkaz od dowódcy „Karpa” stawić się w pełnym uzbrojeniu. Po kilku minutach zostawiamy 2. i 4. rój i odchodzimy w kierunku pól dworskich. Droga wiedzie przez las. Doszedłszy do skraj, zajmujemy stanowiska i czekamy na wroga.

Około dziesiątej za wzgórkami ukazują się jedna podwoda z kilkoma polskimi milicjantami. W ślad za nią druga, trzecia i czwarta. Na dwóch ostatnich widzimy kobiety i mężczyzn ubranych po cywilnemu, ale z bronią. Podjeżdżają do pięknej pszenicy, zatrzymują wozy i zaczynają żąć. W tym momencie pada komenda: „Ognia!”. Grad kul sypie się na Polaków. A oni – jak oparzeni – odskakują do tyłu i co sił uciekają. Widzą to nowo nadjeżdżający Polacy. Nie czekają długo, szybko zawracają wozy i co koń wyskoczy pędzą z powrotem do Werbkowic – na stację. Scena ta wywołuje wielki śmiech pośród strzelców. Przystajemy strzelać i czekamy, czy ktoś przyjdzie po pozostawione podwozy. Jednakże nikt nie przychodzi. O czwartej po południu wracamy na Blacharkę.

17 września, niedziela

[...] Mieszkańcy wsi Wólka [Poturzyńska] odnoszą się do nas dość przychylnie, boją się tylko, by

bolszewicy nie dowiedzieli się o naszym pobycie i nie spalili wsi. Chłopy szybko się myją, czyszczą broń i doprowadzają do porządku ubrania. Wystroiwszy się, idą do dziewcząt. A te, dawno już w świątecznych strojach (dzisiaj niedziela), gromadzą się koło kwater, by z nami pożartować. Nie zwracają uwagi, iż u każdego z nas w mocno polatanym ubraniu zawsze znajduje się kilku „sześciogich przyjaciół”. Podoba im się, że jesteśmy powstańcami i walczymy o dobro ogółu. A na tych, którzy chowają się za spódnicami matek i siedzą w domu, patrzą z pogardą i lekceważeniem. [...]

21 września, czwartek

Wieczorem 4. rój odchodzi do Szychowic na pogrzeb poległych kolegów⁸. Przychoǳą wszystkie dziewczęta i wiele starszych osób. Po raz ostatni żegnają tych rycerzy, którzy oddali swoje młode życie w walce o lepszy los narodu. Płaczą starsi gospodarze, kobiety, płaczą i dziewczęta. Przy martwych ciałach strzelcy przysięgają w myślach pomścić ich śmierć. To ich najlepsi przyjaciele i nierównani żołnierze. Strata czterech strzelców i zastępcy dowódcy „Karpa” dotyka nie tylko cały oddział, ale także tych, którzy ich znali albo tylko o nich słyszeli. [...]

8 października, niedziela

[...] Wieczorem idziemy na kolonię Sahryń i zostajemy tu na noc. Kolonia ta położona jest od kolonii modryńskiej na zachód. Na południowy wschód znajduje się wieś Miętkie – cała, z wyjątkiem kilku chat, spalona przez Polaków⁹. Jeszcze nocą dowiadujemy się, że stacjonuje tam jeden oddział Armii Krajowej. AK, którą utworzył rząd emigracyjny w Londynie, obejmuje swoim podziemnym ruchem wszystkie polskie ziemie. Występuje przeciw bolszewikom i przeciwko Niemcom, przez co ludność polska odnosi się do niej przychylnie. Ostatnio wywiad ustalił, że wielu Polaków – zamiast do „Wojska Polskiego”, które razem z bolszewikami walczy przeciwko Niemcom i zniewala wiele innych narodów – idzie do AK. Organizacja utrzymuje związek niemal ze wszystkimi polskimi ośrodkami oporu.

Przez cały dzień siedzimy zakonspirowani w stodółach. Deszcz nie przestaje padać. Na pobliskich polach Polacy żną żyto, orzą oraz wykonują wiele innych prac polowych. Zaczepiać ich nie wolno, taki mamy rozkaz od dowódcy.

16 października, poniedziałek

Wieczorem razem z dowódcą „Jastrubem” przechodzimy na kolonię Blacharka. Na drugi dzień na wschodzie i południu słyszymy strzały z karabinów maszynowych i moździerz. To na pewno oddziały UPA biją się z bolszewikami. Tu, na południowej Hrubieszowszczyźnie, jest tylko nasz oddział i Służba Bezpieczeństwa [Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów]. Wielu chłopców z tych terenów, którzy powinni byli zgłosić się dobrowolnie do UPA, poszło do Armii Czerwonej. Są i tacy, co do tej pory siedzą w domu, ukrywając się przed bolszewikami, Polakami i nami. Im jest obojętne: będzie Ukraina czy nie. Oni mogą wszystkim służyć jednakowo, aby tylko być w domu. A wojnę przesiedzieć na piecu jest trudno. Ot, niedawno kilku takich złapali Polacy i nie wiadomo, co z nimi zrobią.

[...]

Ludność wsi Bohorodyca swoją gościnnością przewyższa wieś Terebiń, a pod względem narodowym zajmuje pierwsze miejsce na Chełmszczyźnie, a nawet w dużej części Galicji. Wieś ta nie dała ani jednego syna do Armii Czerwonej. Ani jeden chłop nie poszedł służyć wrogowi. Młodszy w UPA, a starsi w domach walczył o wolną Ukrainę.

26 października, czwartek

[...] O 16.00 dowódca „Jastrub” z kilkoma strzelcami złapał na szosie siedmiu Polaków milicjantów i dwie Polki. Milicjanci byli z dolhobyczowskiego posterunku. Dowódca „Jastrub” podszedł ich podstępem, zatrzymując słowami [po polsku]: „Stać, taka wasza mać – banderowcy!”. Polacy poddali się bez wystrzału. Zdobyto pięć karabinów i dwie pepesze. Sługusów Stalina rozstrzelujemy.

Zapada wieczór. Kładziemy się wcześniej spać, bo nie wiemy, czy nocą nie pójdziemy. [...]

2 listopada, czwartek

[...] Rankiem na miejsce naszego postoju dociera kolega „Zenko”¹⁰, który przebywał w okolicy Hrubieszowa. Opowiada, że w lesie dolhobyczowskim razem z kilkoma kolegami natknął się na podwodę z polskimi milicjantami. Po krótkiej strzelaninie Polacy porzucili podwodę i uciekli. Dalej opowiada, jak w okolicach Hrubieszowa polska milicja wspólnie z polskimi podziemnymi bojownikami¹¹ terroryzuje ludność ukraińską. We wsi

Bohorodyca w biały dzień zabili trzech chłopów, spalili wieś Peresołowice, mordując dziesięć osób. We wsi Czerniczyn zabili około dziesięciu ludzi i wielu aresztowali. Oprócz tego jeżdżą po terenie i robią oblawy w ukraińskich wsiach.

Terroryzując mieszkańców, Polacy mają na celu zmuszenie naszej ludności do wyjazdu za Bug, bo „tam Ukraina, a tu demokratyczna Polska”¹². Wielka liczba Ukraińców już zapisała się na wyjazd za Bug¹³. Czy ktoś pojedzie – nie wiadomo. Historia Polski jeszcze niczego nie nauczyła swoich synów. Wszelkimi sposobami wysługują się czerwonemu okupantowi, starając się zniszczyć Ukraińców, odwiecznych właścicieli tej ziemi. Połało się już wiele krwi na chełmskiej „Golgotcie” i jeszcze wiele się poleje. Ale krew tę my potrafiemy pomścić, jak już nie raz na przestrzeni naszej historii mściliśmy. Będziemy umieli raz jeszcze przypomnieć przeklętym polskim tępym głowom hajdamackie uczty, podczas których nie pozostało na Ukrainie „ni Lacha, ni Żyda”. Niech wróg szaleje zaślepiony swoją głupotą – my z zimną krwią zapamiętamy wszystkie ich zbrodnie. [...]

22 listopada, środa

[...] Po godzinnym odpoczynku odchodzimy. Siwa mgła spowiła ziemię. Na dworze ciemno. Pod nogami ślisko. Schodzimy w dolinę na łączkę. Oddaliliśmy się już od chat [kolonii Koroszczyca] na ponad 100 metrów, kiedy posłyszeliśmy lekki strzał w naszym strzeleckim szeregu. Chwilę potem powietrzem wstrząsa potężny huk. Nie wiedząc, o co chodzi, zajmujemy stanowiska. „Oj, oj, oj!” – poniosło się w powietrzu. Biegniemy w tym kierunku i dostrzegamy jakąś leżącą na ziemi postać; słyszymy zduszony krzyk. „Kto ranny?” – zapytał któryś ze strzelców. „To ja, «Pidkowa»¹⁴, nie jestem ranny, jestem zabity!” – wyjącał.

Ciemno, niczego nie widać. Przybiegł ktoś z latarką elektryczną i zaświecił. Patrzymy i ból przeszły serca: na ziemi leży kaemista „Pidkowa”. Twarz biała jak ściana, błękitne otwarte oczy wpatrzone w ciemność listopadowej nocy. Lewa ręka urwana, podobnie jak cały lewy bok, tak że wnętrzności wyszły na zewnątrz, nogi poranione.

– Co się stało? – zapytał ktoś.

– Granat się rozerwał, dał mi „Sołowij”¹⁵, ach powojowałem, powojowałem. Ukraino, już zdaje się, że wolnej cię nie ujrę... „Zdobędziesz Państwo Ukraińskie albo zginiesz w walce o nie”¹⁶ – mówił ranny wzniosłym, ale drżącym głosem.

Zbiegli się chłopcy, przyszedł dowódca „Jastrub”.

– Przyjacielu „Pidkowo”, co z tobą? – pyta dowódca.

Strzelcy poświęcili. Na widok poranionego ciała kaemisty „Pidkowy” po twarzy dowódcy „Jastruba” spłynęła łza.

– Nie mam boku? – zapytał „Pidkowa” dowódca.

– Nie, urwany – odpowiedział.

– I ręki nie mam?

– Nie!

Podniósł jeszcze ocalałą prawą rękę, popatrzył na nią, poruszył palcami, wyprostował nogi i zamilkł na moment. Po chwili przemówił błagalnym tonem:

– To dobiejcie, dobiejcie.

Dowódca „Jastrub” ujął „Pidkowe” za rękę:

– Żegnaj przyjacielu „Pidkowo”, takich ludzi jak ty trzeba nam więcej.

– Pochowajcie mnie bliżej domu, powiadomcie ojca, że nie żyje – prosił „Pidkowa”.

Dowódca poprosił jeszcze „Pidkowe”, by ten przebaczył, że musimy go zastrzelić własną ręką. Po wszystkich *czotowy* [stojący na czele *czoty* – plutonu] „Duda”¹⁷ dwoma strzałami z pistoletu skrócił cierpienia „Pidkowy”.

Kaemista „Pidkowa” – Chełmszczak, od 1943 roku członek OUN, wzorowy bojowiec. Przez dłuższy czas pełnił funkcję rojowego. Kiedy zawiązały się pierwsze bojówki, został aktywnym bojówkarzem i w okrutny sposób odpłacał Polakom za krzywdy, jakie wyrządzili naszemu narodowi¹⁸. Przez strzelców był bardzo lubiany i nie ma się co dziwić, że kiedy śmierć zamknęła jego oczy, niejednemu zakręciła się łza. Ciało „Pidkowy” grzebiemy tymczasowo tam, gdzie zginął.

Sami z wielkim żalem po stracie przyjaciela odchodzimy. Podczas wybuchu granatu, oprócz zabitego strzelca „Pidkowy”, zostało rannych jeszcze dwóch strzelców: „Bursuk”¹⁹ i „Jewhen”.

[...]

Wieczorem chłopcy wychodzą z siana, niektórzy po kolacji idą spać, a inni – siadając na toku [w środkowej części stodoły] – prowadzą rozmowy na różne tematy. Czotowy przywołuje do siebie jednego z powstańców, Niemca, i przekazuje mu najnowsze wieści z frontu. Wynika z tego wesoła scenka.

Nieco później przychodzi drugi powstaniec, „Misza” – Azerbejdżanin. Jest w dobrym nastroju,

częstuje chłopców papierosami i zaczyna opowiadać swoim łamanym ukraińskim wesołe historie na swój temat. W pewnym momencie „Misza” przestaje się śmiać i pyta: „Gdzie jest Niemiec?”. Pokazują mu. Podchodzi do niego i z uśmiechem mówi, że chce go poczęstować tabaką. Niemiec wstaje. „Misza” siada obok niego, częstuje tytoniem. Ich rozmowa jest komiczna. Niemiec zna kilka słów po ukraińsku, po polsku i rosyjsku, a wszystkie miesza z niemieckim. „Misza” tak samo, umie po niemiecku: „*Gut, kaput, kamrat*”, do tego wtrąca słowa rosyjskie i ukraińskie. Ten dialog wywołuje śmiech wśród strzelców.

[...]

Po obiedzie przychodzi do nas propagandzista, który informuje o najnowszych wydarzeniach na froncie i w sposób ogólny nakreśla, jak będzie wyglądała wojna w Europie w najbliższym czasie. Później opowiada o walkach Japończyków z Amerykanami na Dalekim Wschodzie. Potem mówi o działalności UPA na Wschodzie i o naszym obecnym położeniu. Najciekawsze dla strzelców było to, co dotyczyło rychłego rozpadu Sowietów, a tym samym szybszego osiągnięcia naszych celów. Po wszystkich prowadzimy rozmowy na te tematy – wypowiada się każdy ze strzelców. Wieczorem rozstrzelujemy enkawudzistę-zwiadowcę, którego schwytailiśmy poprzedniego dnia. Po kolacji idziemy spać.

1 grudnia, piątek

Idziemy na kolonię Blacharka. Przychodzimy na miejsce, gdy jest już prawie dzień. Nieco później przyjeżdża podwoda z prowiantem. Chłopcy, dzięki gościnności mieszkańców wsi, póki co nie chodzą głodni. Gospodarze, u których kwaterujemy, zapisali się na wyjazd za Bug. Nie tylko tutaj, ale i w innych wsiach ludzie zapisali się na wyjazd, postanawiając zostawić cały swój dobytek, by już więcej nie mieć styczności z Polakami. Mimo to żal za wsią rodzinną, za ciężko zapracowanym majątkiem odbiera im ochotę na wyjazd. Dlatego nie spieszą się. Wielu z nich mówi: „Pojedziemy, a jeśli będzie coś nie tak, wrócimy”. Ludzie nie robią w gospodarstwach. „I tak to porzucimy” – mówią. To tu, to tam stoją grupki osób naradzających się, co robić. Każdy z nas, gdzie tylko zajdziemy, radzi ludziom, by zostali na miejscu, bo lepszego losu w obecnej sytuacji nigdzie nie znajdą, a wszystkie złe lata z czasem miną.

[...]

Dowiadujemy się, że podczas postoju pierwszej czoty na kolonii Korczunek zdezerterowali strzelcy „Wania” i „Wasył”. „Wania” – Wschodniak²⁰, dezertier z Armii Czerwonej, podczas ucieczki zabrał swojemu czotowemu zegarek i automat strzelca „Wyszni”. Strzelec „Wasył” – Chełmszczak, 17-letni junak, uciekł prawdopodobnie dlatego, że jego ojca aresztowali Polacy.

8 grudnia, piątek

Nocą raz jeszcze żegna się z nami dowódca „Jastrub” i wyjeżdża na leczenie. Na dworze mróz i silny wiatr. Mimo iż napaliliśmy w chatach, chłód nie daje spokojnie zasnąć. Znów rozchodzimy się po drewno. Stareńka babcia przygotowuje nam śniadanie. Korzystając z czasu wolnego, czytamy książkę generała N. [właśc. M.] Kapustianskiego *Ukraińska siła zbrojna*²¹. Książka bardzo podoba się wszystkim strzelcom. Około drugiej łowimy jednego *seksota*²², który raz napuścił na wieś obławę, oprócz tego miał jeszcze inne przewiny na swoim koncie. Dowódca „Karlo” wydaje rozkaz, by go rozstrzelać.

16 grudnia, sobota

Kwaterujemy na wspomnianej kolonii [Blacharka]. Sowieci wzięli się na dobre za wysiedlenia ukraińskiej ludności z powiatu hrubieszowskiego i tomaszowskiego. Zasmuceni chłopci mówią tylko o tym. Patrzą jedni na drugich i jak tylko ktoś z nich się zapisze na wyjazd, zapisuje się zaraz cała wieś. Ostatki zboża i majątku Sowieci podczas przesiedlenia zabierają. Dotychczas wyjechały następujące wsie: Werbkowice, Sahryń, Mołodiatyże, Bereś, Strzelce.

18 grudnia, poniedziałek

[...] Siedzimy spokojnie we wsi. Dowiadujemy się, że komisja przesiedleńcza kończy pracę nad sporządzaniem paszportów. Chłopci przygotowują skrzynie, w które pakują swój dobytek. W chatach ukraińskich we wsi Werbkowice rozłokowano Polaków z Wołynia. To tylko starcy, kobiety i dzieci, młodych nie ma.

2 stycznia 1945, wtorek

W chacie harmider. Azerbejdżanin „Misza” śpiewa wesoło pieśni w swoim języku, opowiada o swoim kraju i narodzie. Jest bardzo rad z tego, że go słuchamy.

Około 13.00 straż powiadamia nas, że niedaleko chaty idzie podejrzany typ. Czotowy „Krapka” z jednym strzelcem doganiają go i przyprowadzają do chaty. Jego ubranie jest obdarte i zawszone, w kieszeniach – dwa granaty. Czotowy „Bojan”²³ z rojowym „Brybludą” przeprowadzają śledztwo. Przesłuchiwany udaje dezertera z Armii Czerwonej, ale wkrótce przyznaje się, że został wysłany na zwiady. Jest enkawudzistą. Po spisaniu protokołu czotowy „Bojan” wydaje rozkaz, by go rozstrzelać.

3 marca, sobota

[...] Około 18.00 czujka²⁴ łapie na drodze trzech podejrzanych typów, którzy jadą podwodami. Przeglądamy dokumenty. Czotowy „Krapka” zna jednego z nich osobiście. Coś szepce dowódcy „Karpowi”, który jest w mundurze sowieckim. Dwóch odprowadza do sąsiedniego pokoju. Z pierwszym rozpoczyna się rozmowa na tematy polityczne. Chłop mówi o sobie jako o wielkim ukraińskim patriocie. Twardo obstaje przy tym, że Ukraina musi istnieć i że bolszewicy przegrają. Opowiada także o swoich dzieciach: „Jedna córka, Maria, jest w szkole w Sokalu, o drugiej wiele nie wiem, może gdzieś u was, banderowców, jest sanitariuszką. U mnie samego razu pewnego kwaterowali chłopcy, w pełni współpracując z banderowcami”.

Raptem dowódca „Karlo” dokonuje zwrotu rozmowy [mówiąc po rosyjsku]: „Towarzyszu sierżancie, notujcie wszystko, co mówi ten banderowiec”. Mówi to bardzo poważnie, w związku z czym przesłuchiwany zmieszał się i nie wie, co dalej robić. Czotowy „Krapka” pisze wszystko, co on mówi. Następnie dowódca „Kropywa” zaznacza, że zaraz przyjedzie NKWD. Sporządzony protokół zostanie przekazany na ich ręce. Podpisać, co zeznał, przesłuchiwany nie chce. Ni prośbą, ni groźbą zmusić go do tego nie można. Gdy dowódca „Kropywa” nakazuje, by związać mu ręce, mówi: „Nie wiążcie, jeśli chcecie wiedzieć, to moja córka pracuje w NKWD w Tomaszowie [Lubelskim] jako maszynistka. A syn jeszcze za Polski siedział w więzieniu za to, że działał w partii komunistycznej”. Jego rozbiegane oczy dopytująco wodzą za dowódcą, który mówi w tym momencie do niego:

– Trzeba było mówić od razu, a tu tyle czasu zmarnowaliśmy na to odpytywanie.

– Bo ja nie wiedziałem, że swoi, myślałem, że to banderowcy.



↑ Marjan Łukasewycz „Czernyk”, „Jahoda”

Chłop stawia wódkę na stół i proponuje, by wypić za pomyślne zakończenie sprawy i spotkanie ze „swoimi”. Zaczyna się „bal”. Nasz „gość” wychyla kieliszek za kieliszkiem, my także udajemy, że pijemy. W rzeczywistości wylewamy gorzałkę na ziemię. „Gościowi” rozwiązuje się język. Wymienia wszystkich „banderowców” w swojej wsi. Opowiada także o „dobrych” ludziach. Później całuje dowódcę i prosi, żeby ten jeszcze dzisiaj odwiedził go w jego domu w Telatynie, gdzie nas ugości jeszcze lepiej.

O swoim towarzyszu, który znajduje się w drugim pokoju, mówi, że to swój człowiek. Uda się do Lublina do NKWD; przedłożył prośbę, by go przyjęto do służby. Jeśli przyjmą, będzie pracował w Lublinie. O trzecim mówi, że jest „neutralny”. Po kilku godzinach dowiedzieliśmy się od naszego „gościa” wszystkiego, co nas interesowało. Czas odejść. Dowódca „Kropywa” podchodzi do niego i każe mu się rozebrać. Ten początkowo głupio mruga oczami, ale potem zabiera się do ściągania ubrania. Rozbieramy go do bielizny. Teraz zrozumiał, gdzie zajechał, jego twarz przybiera na zmianę to biały, to czerwony kolor. „Przez takich zdrajców, jak ty, cierpi cały ukraiński naród” – mówi dowódca i twardą ręką gładzi go po pyzatej twarzy.

Później wyprowadzamy go do lasu i rozstrzelujemy. Z innymi robimy to samo. Odcho-

dzimy. W świeżym śniegu zostają bardzo wyraźne ślady. [...]

11 marca, niedziela

Dzień gorący, słoneczny. Na kolonię, w której kwaterujemy, przywozimy dwie torpedy [pociski raketowe]; trwają dalsze przygotowania. Dowódca „Czernyk” jeszcze raz przegląda broń. Około 16.00 przyjeżdża po nas sześcioro sań. Szykujemy się do wyjazdu. Czotowy „Suszko”²⁵ zwołuje zbiórkę czoty szturmowej i zdaje raport dowódcy „Czernykowi”, który objaśnia nam zadanie. Idziemy zaraz na jedną małą robotę: mamy zlikwidować „galantów”²⁶ we wsi Machnówek.

Grupa w mundurach sowieckich jest już o swoich zadaniach poinformowana. Wejście do centrum wsi. Ja i „Orlyk”²⁷ ze strzelcami wystawimy posterunek od wsi Budynin i Worochta. Grupy, które wyjechały wczoraj, wystawią czujkę w lesie na południe od wsi Machnówek i Korczmin.

Od kilku miesięcy w tejsze wsi pod dowództwem miejscowego komunisty Galanta działają tzw. *istribitiele*. Po kilku miesiącach stali się oni zaciekle wrogiem ukraińskiego ruchu niepodległościowego. Otrzymali od bolszewików broń i wojskowe hasło. Bez „przepustki” ze wsi ani do wsi nikogo nie puszczali. Do tej pory we wsi było około 50 uzbrojonych osób. Codziennie jeździli do okolicznych wiosek w poszukiwaniu „banderowców”. Aresztowali przy tym niewinnych chłopów, grabili dobytek, a nawet podpalali chłopskie zabudowania. Podobne placówki zaczęły powstawać i w innych wsiach. Dla okolicznych wsi, poprzez swój terror i grabieże, stali się wielkim postrachem. Zuchwałstwo tych komunistów, zwanych galantami, nie znało granic.

Siadamy na sanie i podjeżdżamy. Słońce jest jeszcze dość wysoko na niebie. Odległość między saniami: 40–50 metrów. Jedziemy ciągle dolinami. Po półtoragodzinnej jeździe zatrzymujemy się na jednej górcie. Przed naszymi oczami rozciąga się panorama kilku wsi. Terenowi wyjaśniają: na lewo Worochta, na prawo Machnówek, a jeszcze dalej na prawo Korczmin. Wszystkie te wsie rozciągnięte są na jednej linii, ze wschodu na zachód. Na południe od Machnówka widać las, w którym rozstawione zostały nasze czujki. Jedziemy dalej. Do Machnówka jeszcze pół kilometra. Ze wsi dobiegają beztroskie gromkie śpiewy. 150 metrów przed pierwszymi zabudowaniami nasze konie zapadają się w głęboki śnieg. Na skraju wsi widać



FOT. WOJSKOWE BIURO HISTORYCZNE (3)

Członkowie oddziałów UPA na Podkarpaciu i w Bieszczadach

- ↑ Zima 1946, Jamna Górna (powiat przemyski).
Oddział Wołodymyra Szczyhelskiego ps. „Burlak”
- Okolice Komanowic (powiat przemyski). Grupa oficerów UPA
z sotni „Burlaki”
- ➔ 1946, rejon Załwarczy (Bieszczady). Członkowie sotni „Bira”
(Wasyla Szyszkanynca)



kilka osób. Wydostajemy się ze śniegu i wjeżdżamy do wsi. Ci ludzie to straż wroga. Zatrzymują nas, pytając głośno: „Kto taki?”. – „Żołnierze czerwonoarmiści” – odpowiada od razu kilkanaście głosów z naszej strony. Galantom wydaje się to podejrzane. Jeden z nich puszcza serię z automatu. Poganiamy konie i wjeżdżamy do wsi.

Konie zostawiamy za spalonym kościołem. Tu rojowy „Orłyk” ustawia czujkę. Druga staje od strony Worochty. Grupa w mundurach sowieckich udaje się do wsi i zaraz na skraju łapie dwóch galantów, którzy próbują nas zatrzymać. Prowadzimy ich do spalonego kościoła. Słońce zaszło już dawno i zaczęło się ściemniać. Śpiewy we wsi ucichły. Grupa w sowieckich mundurach posuwa się w kierunku chaty Galanta, w której rozlokował się „sztab”. Po drodze biją się z małymi grupami galantów, którzy zaczynają stawiać opór. Koło posterunku uwija się kilkunastu komunistów. Zobaczywszy nas, zaczynają strzelać. Puszcza kilka serii z karabinu maszynowego i rozbiegają się w popłochu. Panika we wsi wielka.

Nasi strzelcy przez cały czas rugają ład sowiecki [...]. Wielki zamęt. Przelękłe kobiety wybiegają na dwór i – ujrawszy „swoich” – nie wiedzą, co się dzieje. Po drodze łapiemy wszystkich mężczyzn i odprowadzamy do spalonego kościoła. Jednocześnie zaczynamy palić chaty wszystkich istriebitieli. Wybucha wielki pożar, niebo przybiera czerwony kolor. Trzeszczą palące się chaty. To tu, to tam odzywa się automat albo pojedyncze strzały karabinowe. Po jakimś czasie słychać ostrą strzelaninę od strony lasu. To nasze czujki biją się z nadchodzącą pomocą dla wroga.

Po dwóch godzinach 40 chat stoi w płomieniach, po wsi walają się trupy istriebitieli. W kościele jest wielu aresztowanych mężczyzn. Pod budynek Galanta (murowany) podwozimy torpedę. Po kilku minutach wybucha i z wielkim hałasem uderza o mury domu. Silna detonacja wstrząsa powietrzem. Koło kościoła dowódca „Czernyk” z kwatermistrzem „Sataną”²⁸ przeglądają papiery aresztowanych mężczyzn. Wszystkich istriebitieli rozstrzelujemy. Niewinnych puszcza do domów.²⁹

Ból i nienawiść jednocześnie ściskają duszę każdego strzelca-powstańca. Własnymi rękami musimy strzelać do swoich braci – zdrajców ogłupionych komunizmem. Długo cierpieliśmy i czekaliśmy, aż ci ludzie się opamiętają i zaprzestaną swojej niszczyielskiej roboty, ale końca ich orgii nie było widać. Coraz odważniej wcielali swoje

myśli w czyn. Zastraszona ludność, modląc się, czekała chwili, kiedy nadejdzie zemsta za wyrządzone krzywdy. Dzisiaj akcją zbrojną pokazujemy wszystkim katom narodu ukraińskiego, że mścicieli nie brakuje. Każda krzywda, jak nie dziś, to jutro, zostanie pomszczona. Trupy zdrajców i zgłiszcza niech staną się przestrogą dla każdego, kto stanie na drodze ruchu wyzwolenieckiego.

O 23.00 dowódca „Czernyk” daje znak trójkolorową racą, że robota skończona – niech czujki opuszczą swoje stanowiska. Pod kościół schodzą się strzelcy i przygotowują się do wyjazdu. Daleko za wsią, obejrawszy się, widzimy zabudowania oznaczone płomieniami ognia. [...]

— 25 marca, niedziela

[...] Na podwórzu odbywa się zbiórka oddziału. Strzelcy w sowieckich mundurach stoją oddzielnie. Dowódca „Czernyk” oznajmia, że dziś mamy do wykonania robotę. Na zbiórce odbywa się odprawa dowództwa, podczas której wszyscy czotowi i rojowi otrzymują oddzielne zadania. O 22.00 idziemy do Szychowic i zatrzymujemy się w jednej z pustych chat. Pół godziny później przyjeżdża do nas dowódca „Czernyk”. Dowiadujemy się, że celem naszej roboty jest zlikwidować polską milicję – stalinowskich sługusów w miasteczku Kryłów. Tamtejszy posterunek liczy ponad 30 osób. Oprócz tego dużo broni posiadają cywile.

Wszyscy rojowi ze strzelcami rozchodzą się w różne strony. Rojowy „Jarosław” obstawia kierunek od Małkowa, rojowy „Kłen”³⁰ pod samym Kryłowem na drodze wiodącej do Kosmowa. Czotowy „Krapka” z pierwszym rojem obstawia las od strony Cichoborza.

Przed wschodem słońca czujki były już na swoich miejscach. Niedaleko w gęstej mgłę majaczy Kryłów ze swoim wysokim kościołem. Gdy się rozwidniło, grupa uderzeniowa w sowieckich mundurach wchodzi do miasteczka. Milicję postanowiono wziąć podstępem. Jednego z naszych strzelców, „Mańkę”, znanego od dawna Polakom w Kryłowie jako zawziętego wroga Polaków, prowadzą strzelcy zakutego w kajdany na czele strzeleckiej grupy. Polacy wybiegają z chat i zadowoleni z tego, że trafiło na „Mańkę”, nie zauważają naszego podstępu. Z okien uśmiechają się młode Polki. Za strzelcami biegnie zgraja dzieci. Niedaleko posterunku MO przed powstańców wychodzi jeden uzbrojony milicjant – posterunkowy. Czotowy „Suszko”, który gra rolę sowieckiego

kapitana, rozkazuje mu zawrócić na posterunek. On ochoczo się zgadza. Po dojściu do posterunku zaczynają pukać do drzwi, żeby otworzyli. Po kilkunastu minutach zebrani milicjanci zapraszają strzelców do środka.

Nasze dwie małe grupy w sowieckich mundurach, które odłączyły się w środku miasta, wystawiły niedaleko posterunku straż. Szykowani Polacy przechodzą obok chłopców całkiem spokojnie. Polki kokieterystycznie uśmiechają się do strzelców i próbują nawiązać z nimi rozmowę. Inni zapraszają na śniadanie. Na posterunku jest tylko ośmiu milicjantów, reszta kwateruje w prywatnych domach. Aresztowanego „Mańkę” strzelcy przekazują milicji i rozkazują zamknąć go w piwnicy. Bardzo zadowoleni Polacy krzyczą i chcą go bić, ale nasi im na to nie pozwalają. Rozkazują zastępcy komendanta milicji (komendant wyjechał do Hrubieszowa), żeby niezwłocznie zamówił piętnaście furmanek oraz śniadanie.

Milicjanci zaczynają schodzić się na posterunek. Jest ich już około 25. Tych, którzy jeszcze się nie zjawili, szukają nasi „Sowieci”. Niektórzy strzelcy udają się na śniadanie. Przygotowane furmanki podjeżdżają pod posterunek. W tym momencie strzelcy, którzy stali dookoła milicjantów, prawie wszyscy jednocześnie krzyknęli [po rosyjsku]: „Ręce do góry!” – i skierowali w ich stronę automaty. Wszystkich Polaków powiązano i położono na podłodze. Inni strzelcy przyprowadzają Basaja³¹ – słynnego Polaka-terrorystę, który palił wieś na Chełmszczyźnie, oraz trzech ludzi z jego ochrony. Ważniejszych powiązanych Polaków odprowadzamy na podwozy, wszystkich innych rozstrzelujemy³². Jeden milicjant, którego dopiero co przywieziono, rzuca się na „Suszkę” i chce wyrwać mu automat. W tym momencie strzelec „Honta” zabija go ze swojego automatu i jednocześnie rani w rękę czotowego „Suszkę”.

Wszystkich Polaków rozstrzelujemy³³. Dowódca „Czernyk” daje rozkaz wystrzelenia czerwonej racy na znak, że robota skończona. Czujki opuszczają swoje stanowiska. Czota szturmowa zabiera podwozy, na których znajdują się związani Polacy oraz zdobycze wojenne, i odchodzi w kierunku wsi Małków. Punkt zborny jest w lesie uhrynowskim.

[...]

Odchodzimy dalej do wsi Liski. Tu dowiadujemy się, że poprzedniego dnia Polacy zrobili oblawę na wieś Przewodów. Tam zaskoczyli

naszych strzelców: „Sirkę” (Wschodniaka)³⁴ i „Andrija” (Wołyniaka), w bunkrze. Podpalili dom. „Sirko” i „Andrij” wyszli z kryjówek i zaczęli strzelać do wroga, który wpadł w panikę. Ale wkrótce – opamiętawszy się – z całą siłą zaczął nacierać na naszych dwóch bohaterów. Okrążeni ze wszystkich stron byli zmuszeni znów zejść do bunkra. Oszałałe ze złości Lachy zaczęły rzucać do schronu granaty. „Andrij” zginął od razu od wybuchu granatu, a „Sirko” został ciężko ranny i po odjeździe Polaków żył jeszcze ze trzy godziny, zanim zamknął oczy na wieki. [...]

— 22 kwietnia, niedziela

[...] W żywność zaopatrujemy się nadal w Uhrynowie. Wieczorem idziemy tam. Przespawszy się, nieco po północy znowu idziemy do lasu i tu czekujemy cały dzień. Tegoż dnia do oddziału dołączają: nowy instruktor wojskowy i propagandzista z ośrodka okręgowego. Ten drugi zrobił wykład dla całego oddziału – nieco o historii nacjonalizmu, krótko o platformie UHWR³⁵, a na koniec o obecnej międzynarodowej sytuacji politycznej.

Kiedy się ściemniło, przechodzimy do wsi Wólka [Poturzyńska] i tutaj jemy kolację. Po kolacji idziemy do wsi Wojsławice i tu rozlokowujemy się w dwóch chatach. Strzelcy zanurkowali w słomie i w krótkim czasie posnęli.

Po śniadaniu oficer polityczny rozpoczął kontynuowanie wykładów. Ich tematem były „Postanowienia III Nadzwyczajnego Wielkiego Zjazdu OUN”³⁶. Wykłady trwają do południa. Po kilkugodzinnej przerwie trwają nadal. Wieczorem idziemy do wsi Honiatyn. Tu odpoczywamy. Już dawno kwaterowaliśmy w tej wsi. Wieczorem dowódca „Krapka” powiadamia nas, że jutro odbędzie się spowiedź naszego oddziału. Po kolacji idziemy do wsi Uhrynów. Cały czas pada deszcz. Choć droga krótka, strzelcy przemokli do suchej nitki. Oddział rozlokowuje się w chatach na skraju wsi.

— 4 maja, piątek

Rano idziemy do lasu. Na szerokiej polanie wśród zieleni budujemy ołtarz z młodych brzoźek. Przed nim ustawiamy stół i przykrywamy go wyszywaniem obrusem. Około 16.00 przyjeżdża ksiądz. W świątecznym nastroju odbywa się ogólna spowiedź wszystkich strzelców. Po spowiedzi ksiądz wygłasza do strzelców płomienne kazanie, nawołując do walki z okupantem. Słońce znika za horyzontem. Ściemnia się. Ciemność spowija las.

Książd – życząc nam sukcesu w walce wyzwoleniczej – odjeżdża. [...]

6 maja, niedziela

Zaraz wszędzie słońce. Dzisiaj pierwszy dzień świąt Zmartwychwstania Jezusa Chrystusa. Mimo że w lesie, oddaleni od wsi i ludzi, w swojej powstańczej duszy świętujemy, jak tylko możemy, ten radosny dla świata dzień. Kilku strzelców bierze się za porządkowanie pokoju. Z desek robią stoły. Ściany przybierają młodą brzozę. Odurzający zapach brzozy wypełnia pomieszczenie. Godzinę później przyjeżdża podwoda, która przywozi ze wsi święconą paschę. Jest z nami dowódca „Czernyk”, ale niestety zaraz z rana zachorował, przez co nie może zasiąść przy wspólnym stole. Strzelcy schodzą się do pokoju, zajmują miejsca. Odśpiewujemy modlitwę.

Po modlitwie oficer polityczny „Osyp”³⁷ wygłasza płomienną przemowę do strzelców. Wszyscy w myślach przenieśli się do swoich bliskich, znowu inni wspomnieli gorzki los wywiezionych na Syberię rodziców. Przypomniały się minione Wielkanocce, kiedy to beztrudnie świętowaliśmy pod opieką rodziców. W pokoju wzniosły, świąteczny nastrój. Podczas przemowy wielu strzelcom błyszczą się oczy, nie wiadomo – z radości czy smutku. Za pośrednictwem oficera politycznego „Osypa” dowódca „Czernyk” przekazuje strzelcom najszczersze życzenia w ten wesoły wielkanocny dzień.

Po przemowie oficer polityczny „Osyp”, zgodnie z tradycją, dzieli się ze strzelcami święconym jajkiem. Na stołach nie brakuje niczego: kielbasa, szynka, ciasteczka, do tego świeża kawa. W pokoju dobry nastrój. Strzelcy śpiewają, śmiechom i żartom nie ma końca. Nieco później na całym podwórzu widać grupki strzelców, którzy o czymś rozprawiają. Zapewne w ich pamięci odżyły dawne lata i o nich teraz mówią. Dzień mija bardzo wesoło. Wieczorem znów przy wspólnym stole. Po modlitwie idziemy spać do stodoły.

7 maja, poniedziałek

Z samego rana odbywa się zbiórka. Strzelcy otrzymują czystą bieliznę. Jedzenia nam nie brakuje. Na stołach przez cały czas stoją świąteczne przysmaki, których można kosztować, ile tylko nam się chce. Wieczorem dowódca „Czernyk” odjeżdża.

Dowódca „Krapka” wyznacza każdemu rowowi oddzielny teren, na który każdy z nich odchodzi ze specjalnymi zadaniami.

W tym czasie w tych okolicach szaleje terror polskiej milicji i szturmówek. Nad wsiami wokół Waręża, Belza i Uhnowa zawisło widmo polskiego terroru. Ludność ukraińska jest na co dzień przeżarzana wieściami o spalonych wsiach i atakach, które dotyczą niewinnych chłopów. Z wielkim lękiem pyta, co będzie dalej, kto powstrzyma zezwierzęciałych Lachów w ich dzikiej orgii. „Gdzie nasi chłopcy, gdzie oni się podziali?” – pytają bezbronni ukraińscy chłopci. A wsie płoną. Ludzie giną razem ze swoim dobytkiem. Nie pomaga ukrywanie się w schowkach na zboże, bo i tam wróg ich znajduje. Brakuje środków do życia. Spaliła się połowa wsi Wojsławice, wieś Kościaszyn, znaczna część Przewodowa, Winnik. Do szczytu ograbiono Ninowice, Chorobród, Tudorkowice, Sołomów, Żniatyn, Przewodów i wiele innych wsi. W każdej miejscowości wciąż padają ofiary polskiego terroru. Więzienia zapelniają się niewinnymi mężczyznami, chłopcami i dziewczętami. [...]

23 maja, środa

Dzisiaj obchodzimy święto – rocznicę śmierci naszego Wodza Jewhena Konowalca, który zginął na dalekiej obczyźnie z rąk żydokomunistów³⁸. Nasz oddział, choć skromnie, jednak obchodzi tę smutną rocznicę. Cały dzień nastrój smutno-świąteczny. Święto otwiera oficer polityczny „Osyp” pierwszym przykazaniem „Dekalogu [ukraińskiego nacjonalisty]”. Później odczytuje krótki referat, w którym naświetla życie, walkę i znaczenie Wodza dla narodu ukraińskiego. Po referacie trzyminutową chwilą ciszy oddajemy hołd bohatersko poległemu Wodzowi. [...]

1 czerwca, piątek

Rankiem zachodzimy do stodoł pod telatyńskim lasem. Nim słońce zajdzie, kładziemy się, by wypocząć. Kiedy słońce podniosło się i zaczęło przygrzewać, pod stertami zrobiło się tłoczno. Nasi strzelcy zaczęli nawiązywać znajomości ze strzelcami dowódcy „Hajduka”. Znajdujemy znajomych pośród nich. Jedni drugim opowiadają o swoich przeżyciach. Pośród strzelców panuje wesoły nastrój. Dowódca „Krapka” pozwala cicho pośpiewać. Rozbrzmiewają ciche i tkliwe melodie pieśni strzeleckich i narodowych.

Mimo iż dzisiaj w jednym miejscu zeszli się synowie dwóch regionów Ukrainy: Galicji i Chełmszczyzny, różnica między nimi nie istnieje. Łączy ich wspólna idea, wspólna walka i jedno

przywództwo. Granice ustanowione przez wrogię okupanta zostały zatarte wniwecz.³⁹

[...]

15 czerwca, piątek

Rano strzelcy ze wszystkich oddziałów stają do wspólnej modlitwy. Po niej ogólne czyszczenie broni. Na podwórzu gwarno i wesoło. Chłopcy zapoznają się jeden z drugim⁴⁰. Wieczorem odchodzimy [z kolonii Smoligów] rozłożystym stępem zniszczonej Chełmszczyzny. Idziemy w kierunku zachodnim.

16 czerwca, sobota

Nad ranem zatrzymujemy się na skraju terebińskiego lasu i czekamy, aż się rozwidni. Kiedy się rozwidniło, wchodzimy głębiej w las i w odpowiednim miejscu rozkładamy się. Strzelcy szybko zabierają się za robienie szałasów, bo na niebie pojawiają się ciemne chmury. Jeszcze nie wszystkie prace zostały skończone, gdy zaczął padać deszcz. Oprócz czujkowych nikt nie wychyla głowy z szałasów. Ale i szałasów niewiele pomagają. Pod wieczór deszcz ustaje. Nocą na miejsce naszego postoju przybywa czotowy „Łys” z czotą i zakwaterowuje w pobliżu. Czota ta ma dołączyć do szkoleniowej czoty „Bahrianego”⁴¹. Noce stają się chłodne.

17 czerwca, niedziela

Dzień mija spokojnie. Pod lasem na polach pracują Polacy po cywilnemu. Udając akowców⁴², wychodzimy do nich i rozmawiamy na różne tematy. Są bardzo radzi, że widzą swoje wojsko. Opowiadają o wszystkim, o co tylko ich pytają. Przysięgają, że nikomu nie powiedzą o naszym postoju. Chwalą się tym, że w pełni rozumieją sprawę.

[...]

Wieczorem, kiedy się ściemniło, dowódca „Krapka” ze strzelcami w polskich mundurach idzie do wsi Terebiń, gdzie wśród polskiej ludności⁴³ robi rozeznanie o sytuacji w terenie. Polacy, uważając go i strzelców za akowców, chętnie udzielają informacji. Dowódca „Krapka” prosi sołtysa, by ten zaprowadził go do jakiegoś paczkara [przemytніка], który mógłby odsprzedać tytoniu. Sołtys spełnia prośbę ochotczo i zaprowadza do jednej bogatej „spekulantki”. Dowódca „Krapka” prosi ją, by odsprzedała mu część tytoniu. Ale „spekulantka”, upierając się, nie chce odsprzedać. Wtedy dowódca rozkazuje cały tytoń zarekwirować. Polacy, którzy powychodzili z sąsiednich chat, słysząc krzyk

Polki, są zadowoleni z tego, co się stało. Później szepczą nam na ucho, że „jest komunistką, zabieracie jej wszystko”. Dowódca „Krapka” spełnia wolę sympatyków AK i rekwiruje cały dobytek.

Potem zachodzimy do jednej z chat, gdzie przed kilkoma dniami z polsko-czerwonej armii powróciło trzech Polaków. Zastajemy ich w łóżkach. Obok na krzesłach leżą ich zielone mundury. Przedstawiamy się jako AK i żądamy od nich wydania tychże mundurów. Zgadniają się na to, prosząc tylko o cywilne ubranie. Robimy zamianę. Po dłuższej rozmowie wygadali się, że chcieliby mieć Polskę bez NKWD, taką jak akowcy. Bardzo narzekają na tych, którzy służą bolszewikom. Do oddziału wracamy o północy. [...]

18 czerwca, poniedziałek

Około południa strzelcy dowódcy „Sztyla” przejmują w lesie dwóch uzbrojonych Polaków, którzy wracali z grabieży w ukraińskich wsiach. Polaków-bandytów rozstrzelujemy. Oprócz dwóch karabinów, mieli jeszcze jeden pistolet i zrabowane rzeczy. Przed zmierzchem odchodzimy do wsi Wereszyn na umówioną kolację. Wieś ta liczy około 20 rodzin, reszta wyjechała za Bug. Mieszkańcy jeszcze nie widzieli za Sowietów tyle naszego wojska. Ludzie witają nas z radością i cieszą się jak dzieci. Dziewcząt tu mało, a te, które są, zajęte rozprowadzaniem naszych strzelców na kwatery. Po kolacji odbywa się zbiórka oddziału. Dowódca „Sztyl” przeprowadza we wsi mityng propagandowy i przekonuje mieszkańców, by nie wyjeżdżali za Bug.⁴⁴ [...]

28 czerwca, czwartek

Z samego rana pada rześisty deszcz. Ale niedługo – chmury szybko znikają i zaczyna świecić jasne słońce. Niedaleko od naszego miejsca postoju płynie rzeka Wareżanka. Przez cały dzień strzelcy kąpią się po kolei. Umywszy się, kładą się na trawie i wygrzewają w słońcu. Wieczorem, po wspólnej modlitwie, nasz oddział razem z oddziałem dowódców „Sztyla” i „Szumskiego” odchodzi do lasu, który rozciąga się między Wólką a kolonią Korczunek. Tu strzelcy od razu zabierają się za budowę szałasów.

30 czerwca, sobota

Dzisiaj obchodzimy nasze rewolucyjne święto. To pamiętny dzień, kiedy w 1941 roku w grodzie Lwa Stepan Bandera ogłosił uniwersał o wolności całego narodu ukraińskiego, by mógł żyć wolnym,



↑ Kwaterna członków UPA na cmentarzu w Szychowicach, w tym partyzantów sotni „Wilki”

niezależnym życiem⁴⁵. Cztery lata temu w ukraińskich miastach i wioskach załopotwały niebiesko-żółte flagi. Tegoż dnia ludność ukraińska pijana ze szczęścia witała długo wyczekiwany moment. Dzisiaj jesteśmy spadkobiercami dzieła 30 czerwca 1941. Poprzez skromne świętowanie postaramy się wspomnieć ten dzień i oddać hołd tym, którzy tego dzieła dokonali.

O 14.00 wszystkie trzy oddziały wychodzą na szeroką polanę i formują czworobok. Pośrodku stoją dowódcy wszystkich trzech oddziałów. Święto inauguruje słowem wstępnym dowódca „Szumski”. Później swoje referaty odczytują oficerowie polityczni wszystkich trzech oddziałów. Gorące słowa kieruje do strzelców nasz oficer polityczny „Osyp”. Nasi strzelcy stoją we wzorowym

szuku i słuchają tych słów. Ich rozpromienione twarze świadczą o tym, że każdy z nich rozumie powagę chwili obecnej i swoją walkę łączy z walką tych, którzy dokonali dzieła 30 czerwca 1941. Po wysłuchaniu referatów wszystkie oddziały odśpiewały pieśń *Ne pora, ne pora...*⁴⁶. Po święcie rozchodzimy się na swoje miejsca postoju.

4 lipca, środa

[...] W porze obiadowej dowódca „Krapka” wysłał „Dibrowę” z trzema strzelcami w polskich mundurach, żeby w polskich wioskach zdobyli trochę ubrań, bo niektórzy strzelcy chodzą obdarci. Po południu otrzymujemy pozwolenie na wyjście do spalonych polskich kolonii na czereśnie. Wieczorem powraca „Dibrowa” z resztą strzelców. Byli

w Starej Wsi, gdzie w ukraińskich chatach mieszkają Polacy. Tam, udając akowców, spotkali Polaka, który pełni funkcję u nas zwaną stanicznym⁴⁷. Nie wiedząc, że pod polskimi mundurami kryją się ukraińscy powstańcy, informuje o całej organizacyjnej robocie i podaje pseudonimy osób z konspiracji. Oprócz tego wymienia tych, którzy nie chcą współpracować z AK. Prosi, by tych ostatnich ukarać. Strzelec „Dibrowa” spełnia jego wolę i rekwiruje dobytek tych, których wskazał staniczny „Iskra”. Kiedy wyjeżdżał, do wsi z lasu wracała „placówka” w liczbie 50 osób. Staniczny uspokoił, że to swoi. Ze śpiewem i wesołymi okrzykami pożegnalnymi „Dibrowa” oddalił się ze wsi. [...]

10 lipca, wtorek

Z samego rana zabieramy się za suszenie ubrań. Dowódca „Krapka” martwi się, czemu tak długo nie wraca „Dibrowa” ze strzelcami⁴⁸. Aby sprawdzić, co się stało, wysyła w kierunku, gdzie tamten wyjechał, kilku innych strzelców. Po południu wracają razem z „Dibrową”. Okazało się, że – udając Sowietów – wjechali do wsi Leszczków, gdzie kilkudziesięciu polskich milicjantów grabiło ukraińską ludność. Nasi strzelcy rozkazali oddać cały zagrabiony dobytek chłopom i niezwłocznie opuścić wieś. Polacy, myśląc, że mają do czynienia z prawdziwymi Sowietami, bez słowa wykonali rozkaz. Nasi strzelcy zorganizowali zasadzkę. Na miejsce, które przyjeżdżał wróg [milicjanci], przyjechali jednak z opóźnieniem. Strzelając z daleka, zabili jedynie kilku, a reszta stalinowskich sługusów zdążyła zbiec.

11 lipca 1945, środa

Stoimy nadal w tym samym miejscu [Liski]. Tego dnia rozpoczynamy przygotowania związane ze świętem, jakie ma się odbyć 13 lipca w Liskach ku czci Matki Bożej Cierpiącej. Dowódca „Krapka” planuje w tym czasie zorganizować w tym miejscu mityng propagandowy. Strzelcowi „Zenkowi” zleca wybór strzelców z lepszymi głosami i przygotowanie kilku rewolucyjnych pieśni. Oficer polityczny „Osyp” z pisarzem „Nowyną” przygotowują referaty, a strzelcy ze wschodnich rejonów Ukrainy „Dibrowa” i „Andrusza” opowiedzą o życiu w ZSRR. Praca wre: strzelec „Zenko” bez przerwy uczy wybranych strzelców śpiewać, oficer polityczny „Osyp” poci się nad referatem. Oprócz swojego referatu ma jeszcze pomóc strzelcowi „Andruszy” i „Dibrowie”. Dzień mija bardzo wesoło. [...]

ŹRÓDŁO: Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej, sygn. IPN BU 1552/9

WYBRAŁ,
PRZEŁOŻYŁ Z UKRAIŃSKIEGO
I PODAŁ DO DRUKU
Mariusz Sawa

(ur. 1985) – dr historii, pracownik Biura Edukacji Narodowej IPN w Lublinie, autor książki *Ukraiński emigrant. Działalność i myśl Iwana Kedryna-Rudnyckiego* (1896–1995), Lublin 2016.

¹ Drugim głównym dowódcą był Anatol Sydoruk ps. „Jastrub”, trzecim Pawło Pylyp-czuk ps. „Karpo”, czwartym Wasyl Koł-toniuk ps. „Kropywa”, piątym Myrosław Kuras ps. „Krapka”. Przy identyfikacji osób pomocna była publikacja: I. Hałagida, *Prowokacja „Zenona”*, Warszawa 2005 oraz artykuł: M. Zajączkowski, *Wobec „polsko-bolszewickiej władzy okupacyjnej...” Ukraińskie podziemie na Lubelszczyźnie po lipcu 1944 r.*, [„Rocznik Chełmski”], mps, a także *Zakerzonnja, Spohady wojakiw Ukrainjskoji Powstanskoji Armiji*, t. 1, red. B. Huk, Warszawa 1994.

² M. Zajączkowski, *Ukraińskie podziemie na Lubelszczyźnie w okresie okupacji niemieckiej 1939–1944*, Lublin 2015.

³ P. Nowyna, *Wowky. Frahmenty z chroniky odnoho widditu UPA „Wowky”*, Lion–Paryż 1948.

⁴ *UPA w switli dokumentiw z borotby za Ukrainsku Samostijnju Sobornu Derżawu 1942–1950 rr. (zbirka dokumentiw)*, cz. 1, 1957, [brak miejsca wydania], s. 390–446.

⁵ *Chronika widditu „Wowkiw”*, w: *Litopys UPA*, t. 39, Toronto–Lwiv 2003, s. 59–121.

⁶ W. Szelański, *Pseudonim Myron*, Warszawa 1974. Prawdopodobnie nie korzystał on z oryginału, a z jednej z wersji wydanych na Zachodzie, bo przytacza wstęp do nich, którego nie ma w oryginale i za wersją emigracyjną cytuje fragmen-

ty podając w nich zaszyfrowane nazwy miejscowości. Podał mimo to sygnaturę akt MSW, wśród których znajdowała się *Kronika*.

⁷ AIPN, sygn. IPN BU 1552/9.

⁸ Zginęli w walce z oddziałami sowieckimi pod Wólką Poturzyńską 20 września 1944.

⁹ Wieś Miętkie została spalona 10 marca 1944 podczas akcji oddziałów AK i BCh jako jedna z kilkudziesięciu zaatakowanych wówczas miejscowości ukraińskich.

¹⁰ Andrij Rybickij ps. „Zenko”

¹¹ Fragment nie jest jasny, o jakie „polskie podziemne bojówki” chodzi. Milicja mogła atakować Ukraińców przy udzia-

le tzw. szturmówek, ale nigdy razem z „polskimi podziemnymi bojówkami”. Być może autor stara się sugerować, że z polską komunistyczną milicją współpracowały polskie podziemne organizacje niepodległościowe, w rzeczywistości przez komunistów zwalczane. Trzeba też mieć świadomość, że w Milicji Obywatelskiej w tym okresie służyli także byli członkowie Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich.

¹² 9 września 1944 polska władza komunistyczna (PKWN) podpisała umowę z rządem USRR o wymianie ludności, która rozpoczęła pierwszy etap przesiedlenia ludności ukraińskiej.

¹³ Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego tym Ukraińcom, którzy oświadczyli, że wyjadą do ZSRR, anulował zaległości podatkowe, ubezpieczeniowe i kontyngenty, a jednocześnie odmówił ludności ukraińskiej prawa do ziemi z parcelacji w ramach reformy rolnej.

¹⁴ Mychajło Hroma ps. „Pidkowa”.

¹⁵ Jewhen Liborski ps. „Sołowij”, „Roman”.

¹⁶ Pierwsze przykazanie z „Dekalogu ukraińskiego nacjonalisty”.

¹⁷ Jewhen Jaszczuk ps. „Duda”.

¹⁸ Władysław Szelągowski w książce *Pseudonim Myron* dodał o „Pidkowie”: „Nie oszczędził nawet swych krewnych, którzy poszli na współpracę z wrogiem” (Warszawa 1974).

¹⁹ Oleksandr Bilewycz ps. „Bursuk”.

²⁰ Mieszkaniec Ukrainy Wschodniej.

²¹ *Ukraińska siła zbrojna i ukraińska narodowa rewolucja* – publikacja ukazała się w Kanadzie w 1936 roku. Mykoła Kapustiański był weteranem armii carskiej, członkiem armii Hetmanatu (Ukraińskiego Państwa z 1918 roku podległego Niemcom), armii Ukraińskiej Republiki Ludowej, od 1923 roku na emigracji, członek OUN-M. Jego książka opowiada o historii Ukrainy od XVI do XX wieku, wskazuje ukraiński nacjonalizm jako najskuteczniejszą drogę do wywalenia wolności.

²² *Seksot, czyli sekretnej sotrudnyk* – tajny współpracownik, szpieg lub kolaborant.

²³ Mychajło Ulhiwskij ps. „Bojan”.

²⁴ W oryginale *zastawa*, czyli dwóch–trzech żołnierzy obsługujących karabin maszynowy na stanowisku poza głównym obozem.

²⁵ Hryć Rudenko ps. „Suszko”.

²⁶ *Istriebitielny batalion* (oddział sowieckiej milicji pomocniczej podległej NKWD) pod dowództwem Hryhorija Galanta, w których działali również jego synowie: Wasyl, Matij i Mychajło. Grupa złożona z Ukraińców, ale również i Polaków zajmowała się rabunkami na rodzinach członków ukraińskiego podziemia nacjonalistyczne-

go (A. Leśkiw-Kit, *Zakerzonski doli. Spohad pro seło Korczyn*, red. M. Iwanek, Toronto 2002).

²⁷ Roman Kowalczuk lub Teodor Zablockiy ps. „Orlyk”.

²⁸ Jewhen Hura lub Jewhen Nydorok ps. „Satana”.

²⁹ Prof. Grzegorz Motyka przywołuje meldunek UPA, w którym jest mowa, że sotnia „Wilki” rozstrzelała wówczas „74 bolszewików” (*Od rzezi wołyńskiej do akcji „Wiśła”*, Kraków 2011, s. 367).

³⁰ Wasyl Jurkiw ps. „Klen”.

³¹ Stanisław Basaj ps. „Rys”, w okresie okupacji niemieckiej dowódca oddziału BCh, który brał udział w walkach z Ukraińcami (od wiosny 1942, a szczególnie od początku 1943 roku do wiosny 1944), po wkroczeniu Sowietów od połowy 1944 roku organizator Milicji Obywatelskiej.

³² Prawdopodobnie chodzi o 16 milicjantów (informacja na pomniku).

³³ Prawdopodobnie chodzi o 25 cywilów (informacja na pomniku). Grzegorz Motyka i Mariusz Zajczkowski, powołując się na dane administracji polskiej, podają liczby zabitych: 8 milicjantów i 49 cywilów.

³⁴ Mykoła Kaszczawalow ps. „Sirko”.

³⁵ UHWR – Ukraińska Główna Rada Wyzwoleńcza, powołana przez część banderowców i niektórych demokratów w połowie 1944 roku w celu reprezentacji politycznej na zewnątrz (emigracja), przyciągnięcia do OUN sympatyków związanych z różnymi tradycjami politycznymi (jako kontynuacja petlurowskiej Ukraińskiej Republiki Ludowej). W rzeczywistości UHWR była zdominowana przez banderowców (G. Motyka, *Ukraińska partyzantka 1942–1960*, Warszawa 2006, s. 131–136).

³⁶ Prawdopodobnie chodzi o III Nadzwyczajny Zjazd OUN w sierpniu 1943. W ich trakcie część działaczy banderowskich postulowała odejście od integralnego nacjonalizmu (w tym totalitarnej symboliki) i częściową demokratyzację w funkcjonowaniu partii. Jednocześnie postulowano jedność i współpracę wszystkich Ukraińców, także z petlurowcami. Ponadto położono nacisk na walkę z Sowietami (a nie z Sowietami i Niemcami). Zjazd umocnił władzę Romana Szuchewycza odpowiedzialnego za eksterminację polskiej ludności (G. Motyka, *Ukraińska partyzantka 1942–1960*, Warszawa 2006, s. 115–118, 123–125).

³⁷ Osyp Nijako ps. „Osyp”.

³⁸ Jewhen Konowalec (1891–1938) – założyciel Ukraińskiej Organizacji Wojskowej (UWO) i Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN), zginął w zamachu bombowym w Rotterdamie zorganizowanym przez NKWD.

³⁹ Granica między Polską a ZSRR, będąca przedmiotem dyskusji podczas konferencji w Jalcie (luty 1945), została ostatecznie potwierdzona umową w Poczdamie w sierpniu 1945.

⁴⁰ W kolonii Smoligów „Wilki” spotkały się z 70-osobową czołą zbroją z nowo zmobilizowanych strzelców dowódcy „Bahrianego”.

⁴¹ Jewhen Daciuk ps. „Bahrianyj”.

⁴² Warto zwrócić uwagę, że następuje to już po dokonanych porozumieniach, zawartych przez polskie podziemie poakowskie z UPA w maju 1945.

⁴³ Ludność ukraińska Terebinia wyjechała do ZSRR wiosną 1945. W czerwcu we wsi mogło już nie być Ukraińców.

⁴⁴ Szacuje się, że do marca 1945 w tzw. dobrowolnych wyjazdach Polskę opuściło nieco ponad 80 tysięcy Ukraińców. W połowie czerwca 1945 do wyjazdów trzeba już było ludność ukraińską namawiać. Do Polski, w tym na teren powiatu hrubieszowskiego, powróciło wiele osób, które przywoziły ze sobą negatywne doświadczenia z pobytu w ZSRR.

⁴⁵ „Akt 30 czerwca 1941 roku” lub „Akt odnowienia państwa ukraińskiego” został ogłoszony 30 czerwca 1941 we Lwowie przez Stepana Banderę i Jarosława Stećkę, co spowodowało hitlerowskie represje i aresztowania wśród przywódców OUN.

⁴⁶ Ukraińska pieśń powstańcza zaczynająca się od słów: „Nie czas, nie czas służyć Moskalowi i Lachowi”.

⁴⁷ Staniczny w hierarchii OUN stał na czele stancji (wsi).

⁴⁸ „Dibrowa” z czterema strzelcami w sowieckich mundurach został wcześniej wysłany przez „Krapkę” (już po akcji w Stariej Wsi) do Leszczkowa i Szmitkowa.



Mariusz
Sawa

„**T**yhry” (Tygrysy), „Mėsnyky” (Mściciele), „Wowky” (Wilki) – złowieszcze nazwy banderowskich oddziałów Ukraińskiej Powstańczej Armii, operujących w latach 40. na Lubelszczyźnie, kojarzą się z brutalnością, bezwzględnością, fanatyzmem, zbrodniami na cywilach. Stereotyp ukraińskich nacjonalistów wzmacniają chociażby obrazy z filmu *Ogniomistrz Kaleń* z 1961 roku: półdzikich, zarosniętych, wyłaniających się spod ziemi zwyrodniałców, ścinających głowy siekierami i wykrzykujących bez opamiętania, podczas swoich wprost mistycznych uroczystości, hasło „Bandera!”. Na to nakładają się relacje osób ocalałych z rzezi na Wołyniu i w Galicji Wschodniej, które w drastycznych okolicznościach straciły swoich bliskich z ukraińskich rąk. Dochodzi jeszcze dzisiejszy kontekst – polityka historyczna Polski i Ukrainy, w tym polsko-ukraiński konflikt pamięci.

Kronika „Wilków” obejmuje okres od 24 sierpnia 1944 do 11 lipca 1945. Terytorialnie opis dotyczy dzisiejszych powiatów hrubieszowskiego i tomaszowskiego w województwie lubelskim oraz rejonu Uhrynowa, który na początku lat 50. włączono do Ukraińskiej SRR. Autorem tekstu był jeden z członków oddziału Iwan Sywak „Bosfor”, który brał bezpośredni udział w opisywanych przez siebie wydarzeniach. Przedstawione źródło nie jest jedyną kroniką oddziału UPA z terenów Polski (istnieje jeszcze sprawozdanie z rajdu na Podlasie oddziału „Hałajda 2”), ale jedyną dla terenu Chełmszczyzny.

Dla ukraińskiego podziemia tereny dzisiejszej Polski nigdy nie były najważniejsze. Jak zauważył Grzegorz Motyka, pierwszoplanowe znaczenie miały zachodnie obwody Ukrainy. Jednakże, w świetle wytycznych OUN, również te pierwsze miały się znaleźć w granicach przyszłego państwa ukraińskiego jako „etnograficzne ziemie ukraińskie”. To tutaj rozegrał się ostatni akt „antypolskiej akcji” – stąd zainteresowanie w Polsce jednym z oddziałów UPA, który wpłynął na bieg tego konfliktu.

Hrubieszowska sotnia UPA pod dowództwem „Jahody” powstała w marcu 1944 jako pierwsza na Chełmszczyźnie (nie znamy dokładnej daty). Nieprzypadkowo miejscem sformowania oddziału była Bohorodyca (dzisiejsza Brodzica). Ludność ukraińska tej wsi, jak mówi sama kronika, z oddaniem wspierała swoich partyzantów. Znaczenie ma także czas pojawienia się „Wilków” na tym terenie. Walki polsko-ukraińskie na Lubelszczyźnie osiągnęły wówczas apogeum. 10 marca połączone siły Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich zaatakowały kilkanaście wsi, zabijając bez mała siedmuset ukraińskich cywilów, między innymi w napadzie na Sahryń. Jak zauważył Mariusz Zajączkowski, badacz tematu, uderzenie w Ukraińców miało zahamować „antypolską akcję” – taką, jaka miała miejsce rok wcześniej na Wołyniu, a której przejawy z początkiem 1944 roku zaczęły być widoczne na Lubelszczyźnie. Na powstanie sotni „Jahody” i jej podobnych miały więc wpływ antyukraińskie akcje polskiego podziemia. Było ono jednak także powiązane z planami „antypolskiej akcji” na Chełmszczyźnie, jak i – co zauważył Grzegorz Motyka – koniecznością przygotowania się na polskie powstanie powszechne, o którym Ukraińcy przypuszczalnie wiedzieli. Nadchodził czas starcia militarnego, które ostatecznie przyniosło duże straty polskiemu podziemiu. W tym konflikcie miała swój udział sotnia „Wilki”.

Po przeszkoleniu oddziału na Wołyniu, powrócił on na Chełmszczyznę na przełomie marca i kwietnia. Jego stan

osobowy zwiększył się do 150 strzelców, głównie o dezertersów z jednostek niemieckich, takich jak 5. pułk policji SS czy Dywizja SS Galizien. Polepszyło się również uzbrojenie. Sotnia weszła w skład Chełmskiego Zjednoczonego Frontu UPA, prowadząc walkę głównie z AK i Niemcami – przede wszystkim latem 1944, w czasie przechodzenia frontu. Na obszar jej działania niejednokrotnie wkroczyły także oddziały UPA z Wołynia, by walczyć wspólnie. Pierwszym poważnym bojem z jej udziałem była zwycięska dla Ukraińców bitwa z polską partyzantką pod Posadowem w kwietniu 1944. Walkom towarzyszyły mordy dokonywane na polskich cywilach. 19 kwietnia oddział zniszczył wieś Steniatyn. Dowództwo Chełmskiego Zjednoczonego Frontu UPA zamierzało przerzucić część sił, w tym sotnię „Jahody”, na teren Południowego Podlasia w celu walki z komunistyczną partyzantką, jednakże wejście Sowieców na Lubelszczyznę udaremniło ten plan. W lipcu część sotni operujących na Lubelszczyźnie przeszła na wschód za linię frontu, zaś kilka z nich, w tym „Wilki”, zostało zaskoczonych nową sytuacją i pozostało na Chełmszczyźnie.

Sowiecka okupacja przyniosła nową rzeczywistość, zmuszając upowców do głębszej konspiracji i przemyślenia nowej strategii działania. Główny wysiłek skierowano na walkę z Sowiecami oraz rodzimymi i polskimi komunistami. „Wilki” uderzyły w posterunki milicji w Czerniczynie, Mirczu czy Kryłowie, zadały też silny cios sowieckim współpracownikom w Machnówku. Istotnym problemem stały się też w tym czasie wysiedlenia ludności ukraińskiej do ZSRR, rozpoczęte jesienią 1944. Sotnia „Wilki” prowadziła agitację wśród ludności ukraińskiej, mającą na celu zahamowanie początkowo do pewnego stopnia dobrowolnych wyjazdów. Starała się paraliżować działalność komisji przesiedleńczych, np. w Werbkowicach. Walkom z NKWD, Wojskiem Polskim, milicją, a także likwidacjom konfidentów, towarzyszyły zbrodnie na polskich cywilach w okolicach Terebinia, Małkowa,

Rzeplina – zarówno na miejscowych, jak i repatriantach z za Buga, którzy zajmowali poukraińskie gospodarstwa.

W sierpniu 1945 sotnia była już tylko jednym z dwóch oddziałów UPA działających na Lubelszczyźnie. Na terenie Polski przebywało też kilka sotni z Ukrainy. Jak ustalił Grzegorz Motyka, na taki stan rzeczy wpływ miały porozumienia podpisane w maju 1945 przez podziemie poakowskie z UPA. W Lubaczowskim ustalono zawieszenie broni i niewystępowanie wobec ludności cywilnej. Dowództwo UPA skoncentrowało się na Zachodniej Ukrainie i walce z Sowiecami. W sytuacji, gdy ukraińska ludność niektórych wsi została już wysiedlona, sotnia zajęła się paleniem opuszczonych domów ukraińskich. W samym tylko Terebiniu w październiku 1945 spalono ich aż trzydzieści. W tym też czasie sotnia „Wilki” nie była liczna. W pewnych okresach liczba partyzantów spadała nawet do 50 osób, podczas gdy inne oddziały posiadały kilkakrotnie wyższe stany osobowe.

W końcu 1945 roku dawny oddział „Jahody”, którego założyciel zginął w we wrześniu tego roku w Żniatynie, został przeorganizowany. Rozrósł się do kurenia, składającego się z dwóch, a następnie trzech sotni, „Wilki I”, „Wilki II” i „Wilki III”. W połowie października 1945 oddział znalazł się na Podlasiu. Z Podlasia wrócił na Chełmszczyznę w końcu listopada. Wielu żołnierzy kurenia zginęło w bitwie z NKWD w lutym 1946 we wsi Białystok pod Dołhobyczowem. Wśród poległych był także „Bosfor”, autor kroniki. Niektórzy z „Wilków” walczyli ramię w ramię z dawnymi wrogami z AK przeciwko NKWD w Hrubieszowie w maju 1946. Sotnia dotrwała do lata 1947. Poniósłszy straty, została rozwiązana.

Materiał pochodzi z „Karty” nr 89/2016.





↑ Pomnik na mogile członków UPA, w tym sotni „Wilki”, poległych w lutym 1946 w walce z NKWD w Białymstoku pod Dołhobyczowem. W 2015 roku napis mówiący o tym, że członkowie UPA „polegli za wolność Ukrainy” oraz ich pseudonimy zostały zatarte, a na kilku elementach pomnika umieszczono datę 11 lipca 1943, symbolizującą apogeum antypolskiej akcji na Wołyniu

SAMORZUTNA DECYZJA
LOKALNEGO ODDZIAŁU AK
O AKCJI, KTÓRA MA „STĘPIĆ
ŻĄDŁO UKRAIŃSKIE”, PROWADZI
DO RZEZI MIESZKAŃCÓW WSI.

Konflikt na Chełmszczyźnie w 1944 roku sięga korzeniami końca lat 30., kiedy władze pomajowe zaostrzyły politykę wobec mniejszości, w tym Ukraińców. Po 1939 roku skonsolidowana przeciw Polakom ludność prawosławna tych terenów liczyła na pomoc ze strony III Rzeszy, która włączyła Chełmszczyznę do Generalnego Gubernatorstwa. Relacje polsko-ukraińskie, a także samą strukturę społeczną powiatów hrubieszowskiego i tomaszowskiego naruszyły prowadzone od końca 1942 roku wysiedlenia Polaków z Zamojszczyzny (zob. „Karta” 54, 62) i sprowadzanie na ich miejsce osadników niemieckich, ale też – ukraińskich (początek 1943). Taki los dotknął także Sahryń. Zantagonizowane stosunki między Polakami i Ukraińcami na tym obszarze wzmogły dochodzące – wraz z napływającymi uciekinierami – wiadomości o rzezi Polaków na Wołyniu. Z kolei UPA od 1944 roku zintensyfikowała swoją działalność w tym rejonie. Miejscowa polska partyzantka postanowiła zdławić tę aktywność, pacyfikując wieś sprzyjające ruchowi ukraińskiemu. (RED.)

→ Sahryń 2018. Cmentarz prawosławny, gdzie pochowane są ofiary z marca 1944

FOT. OK

A K C J



A S A H R Y Ñ



Stefan Kwaśniewski „Wiktor”, komendant Rejonu V w Obwodzie AK Hrubieszów

Przedstawiłem [komendantowi Obwodu Hrubieszów Marianowi Gołębiowskiemu*] konieczność radykalnego działania, w postaci brutalnych akcji celem zmuszenia Ukraińców do zaniechania krwiożerczej polityki przeciw ludności polskiej.

W tym celu podałem komendantowi Obwodu „Sterowi”, myśl, że projektuję akcję zbrojną, o cechach pełnej brutalności, na ukraińskie skupiska, które są bazami wypadów zbrojnych na polskie wsie: Sahryń, Szychowice, Łasków. Komendant „Ster” udzielił mi pełnej aprobaty w tym względzie. Omówiliśmy plan akcji w szczegółach [...]. Postanowiliśmy włączyć do planowanej akcji oddziały tomaszowskie. Pojechałem na punkt kontaktowy – do „Wiktora” tomaszowskiego (Jachymek Zenon)**. [...]

Omówiliśmy akcję w szczegółach, położenie własne, położenie nieprzyjaciela. Wyzaczyliśmy akcję na dzień 10 marca 1944, godzina 4.00 rano. [...] Ukraińcy ubezpieczali się dość dobrze, byli czujni. Lecz czujność ich była najbardziej wyczulona do północy, no jeszcze kilka godzin po północy. [4]

Eugeniusz Wiśniewski „Burza”, dowódca plutonu w Obwodzie AK Tomaszów Lubelski

4 marca 1944. O godzinie 13.00 zostałem powiadomiony przez łącznika kolegę Pintasza z plutonu trzeciego Majdan Sielec, że o godzinie 18.00 dzisiaj w mieszkaniu Gałana (Majdan Krynicki) odbędzie się odprawa podoficerów z dowódcami plutonów jak też z dowódcą pierwszej kompanii kolegą „Renetą” [Franciszkiem Bednarskim]. Odprawę zwołuje komendant „Wiktor” [Zenon Jachymek], na której będzie obecny. [...]

Koledzy głośno dyskutują na temat dzisiejszej narady. Wszyscy są przekonani, że zanoszą się na większą akcję, z tego powodu [panuje] ogólne zadowolenie. [...] Z tego powszechnego gwaru daje się słyszeć głos komendanta „Wiktora”. Wszyscy

cichną i słuchają jego słów z największą uwagą, kiedy wyjaśnia: „Zbliżająca się ofensywa wojsk sowieckich do terenów nadbużańskich zmusiła do wycofania band ukraińskich [z] zagrożonych terenów działaniami frontowymi na nasze tereny. Oddziały zbrojne AK [z] tych terenów nie są w stanie zapewnić całkowitego bezpieczeństwa ludności cywilnej na tych terenach. Dowódcy obwodu hrubieszowskiego, a szczególnie komendant «Korab», «Irka» zwrócił się do nas o wsparcie zbrojne w celu zniszczenia głównych baz ukraińskich, które znajdują się w Sahryniu i Szychowicach. Niezwłocznie zwróciłem się do dowódcy naszego obwodu komendanta «Drugaka»*** o zezwolenie na przeprowadzenie tej akcji. Po długim namyśle i konsultacjach z Inspektorem**** takiego zezwolenia nie otrzymałem. Wyjaśniono mi, że na walkę z bratnim narodem ukraińskim nie mogą zezwolić [...]. Nie mogę podporządkować się takim rozkazom, choć grożą mi za tę akcję, że będę sądzony po wyzwoleniu przez sądy polskie. Uważam, że w mojej obronie na tym sądzie zgłoszą się liczni świadkowie, których uratowałem od mordów ukraińskich. Postanowiłem udzielić pomocy oddziałom hrubieszowskim w tej akcji. Wszystkie kompanie dywersji wezmą udział w tej akcji i niektóre plutony z Rejonu III udzielą nam wsparcia [...]”.

Po zapoznaniu się z programem przyszłej akcji zebrani przeszli do szerokiej dyskusji, w której wszyscy obecni aprobują plan przyszłej akcji i nikt nie ma wątpliwości o jej celowości. Wszyscy są zadowoleni, ciesząc się, że choć częściowo będą mogli pomścić śmierć rodaków. Późną nocą zebrani rozeszli się do swoich domów. [11]

Stefan Kwaśniewski „Wiktor”

Na odprawę [...] wezwałem wszystkich dowódców biorących udział w tejże akcji, do dowódców plutonu włącznie. Tudzież zaprosiłem dowódcę oddziału Batalionów Chłopskich, „Rysia” [Stanisława Basaja] z Małkowa. [...] Omówiłem z dowódcami

* Marian Gołębiowski „Irka”, „Ster”, „Korab” (1911–1996) – cichociemny, zrzucony do Polski w 1942 roku, od 1943 komendant Obwodu Hrubieszów AK. Po wojnie skazany na dożywocie (zwolniony w 1956 roku), w latach 70. zaangażowany w działalność ROPCiO, potem „Solidarności”.

** Zenon Jachymek „Wiktor” (1912–1986) – od wiosny 1943 komendant Rejonu VII w Obwodzie Tomaszów Lubelski, dowódca oddziałów biorących udział w pacyfikacji Sahrynia. Po wojnie aresztowany, skazany na karę śmierci (zamienioną na 15 lat więzienia), zwolniony w 1956 roku.

*** Wilhelm Szczepankiewicz „Drugak” (1901–1960) – komendant Obwodu Tomaszów Lubelski, po wojnie kierował Okręgiem Lublin.

**** Na czele Inspektoratu Zamość AK, obejmującego Obwody: Zamość, Tomaszów Lubelski, Bilgoraj, Hrubieszów, stał Stanisław Prus „Adam” (1905–1944 lub 1945).



↑ Część terenu walk polsko-ukraińskich na Chełmszczyźnie w 1944 roku (pogrubiono miejscowości występujące w tekście)

sposób wykonania walki, w myśl przesłanek brutalnych – co przez to sobie wyobrażam. Cel był jasny; podjęte posunięcia na szeroką skalę nazwałbym cesarskim cięciem. Miały one doprowadzić swoją gwałtownością i brutalnością do stopienia żądła ukraińskiego. Nikt z będących oficerów nie wnosił poprawek co do przedstawionego przeze mnie sposobu wykonania. Tak pod względem technicznym, jak też formalnym mój punkt widzenia przeszedł bez wniosków. A zatem poprzydziałem zadania poszczególnym osobom, w tym też obywatelowi „Rysiowi” z BCH.

[4]

Zenon Jachymek „Wiktor”, komendant Rejonu VII w Obwodzie AK Tomaszów Lubelski

Byliśmy w walce nie tyle z ukraińskim nacjonalizmem, ile z barbarzyństwem ukraińskim, ich mordem ludności polskiej. Przyjęliśmy zbrojną samoobronę.

W nocy 5/6 marca 1944 na Rejon I Obwodu Tomaszów Lubelski przybył komendant Obwodu Hrubieszów AK ob. kpt. Marian Gołębiowski ps. „Irka”, „Ster”, „Korab” oraz komendant Rejonu Południe-Wschód, por. Stefan Kwaśniewski



FOT. STANISŁAW MINOR / WOJEWÓDZKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA W LUBLINIE

↑ Patrol zwiadu Obwodu Tomaszów Lubelski AK. Rejon Sahrynia, 9 marca 1944

ps. „Luks”, „Wiktor” – hrubieszowski*. Spotkanie nasze odbyło się w Łykoszynie u „Matora” – Stanisława Świerżawskiego. Przyjechali do mnie prosić mnie, jako dowódcę odcinka wschodniego przeciwukraińskiego na Obwodzie Tomaszów, o pomoc w rozgromieniu, w zniszczeniu bardzo silnie uzbrojonego w broń gniazda ukraińskiego, znajdującego się na ich terenie – Sahrynia. [...] Na wspólnej odprawie zostało ustalone: że oddziały AK Obwodu Tomaszów i Oddziały Obwodu AK Hrubieszów przeprowadzą akcje bojowe przeciwko Ukraińcom w dniach 9 i 10 marca. [3]

Eugeniusz Wiśniewski „Burza”

8 marca 1944. [...] Zbliżający się wieczór jest sygnałem do odmarszu, wszędzie ożywiony ruch, szcęk broni, nawoływania dowódców drużyn. [...] Przed nami jakaś kolonia, wchodzimy na teren dużego gospodarstwa, rozległy sad. Idziemy aleją, po obu stronach szpaler świerkowy. Przed nami w cieniu nocy rysuje się duży dom mieszkalny. Jak nas zorientowano, jesteśmy na kolonii

Miętkie. Gospodarstwo Rejmaka. Żołnierze czołówki wchodzą do mieszkania. Nie możemy zrozumieć, po co żołnierze wchodzą do środka i jak się pomieszczą. Pomału zbliżamy się do wejściowych drzwi, żółte słabe światło przebija się przez szyby okien domu. Dom duży, pomieszczeń nie ma. Wchodzimy do środka, komendant „Wiktor” [Zenon Jachymek] przynagla do pośpiechu. Oczom naszym ukazuje się przeraźliwy widok, w dużym pokoju na podłodze leżą jeden przy drugim ciała pomordowanych mieszkańców, jest ich siedmiu. Dzieci, starcy i kobiety. Głowy, ręce pocięte siekierami. Dzieci z powykrzywianymi usteczkami od płaczu, posiniaczone, przypuszczalnie pozabijane maczugami czy kolbami karabinów. Widać ślady klute bagnietami czy nożami.

Pierwszy raz bezpośrednio spotykamy się z dokonaniem mordem na ludności polskiej przez Ukraińców, którego dokonali ubiegłej nocy. Idziemy jeden za drugim z odkrytymi głowami z przerażeniem i nienawiścią do morderców. Cisza wokoło, nikt nie śmie głośniej się odezwać. Zegar

* Tak określane dla odróżnienia od samego Jachymka – „Wiktora” tomaszowskiego.

wiszący na ścianie z roztrzaskanymi drzwiczkami wskazuje 10.30, wczoraj o tej godzinie dokonano okrutnej zbrodni. Wchodzimy jednymi drzwiami, a wychodzimy następnymi i tak przez ten dom przeszliśmy wszyscy. Nie wiem, czy to był przypadek, czy komendant „Wiktor” celowo pokazał nam pomordowanych dla wzbudzenia nienawiści. Długo nie możemy otrząsnąć się z tego potwornego widoku, lecz po pewnym czasie słychać głosy tu i ówdzie, że już wkrótce pomordowani będą pomszczeni.

Tak została przełamana bariera tolerancji. Niejeden chłopiec spod Zamościa, który uważał za wroga śmiertelnego Niemców, do Ukraińców, z którymi się nie stykał, nie miał najmniejszej urazy. Widok tej zbrodni wypalał w nim wszystkie uczucia umiaru i litości. [...]

9 marca 1944. [...] O godzinie 22.30 mój pluton wyrusza pierwszy, dowódcy drużyn idą przy swoich drużynach. Jest pewne skupienie, nie słychać rozmów. Na pewno każdy myśli, co go może spotkać w tej akcji. Ostatnie meldunki naszego wywiadu doniosły, że we wsi [Sahryń] znajdują się mundurowi esesmani. [...] Idziemy jeden za drugim gęsiego w kierunku zachodnim. Przyspieszamy kroku, ażeby szybciej zaprząć ogniwa łańcucha tyraliery. Wkrótce wieś zostanie opasana pierścieniem. Komendant „Wiktor” zostaje na punkcie dowodzenia z grupą gońców i łączników, jak też ochroną. Zbliża się czas rozpoczęcia akcji. [...]

Mijamy cmentarz, który w odległości i szaryźnie nocy czarnieje zadrzewiony. To odcinek kolegi „Orła” [Stanisława Gontarza]. Wtem cisze nocy nieoczekiwanie przerywa seria z broni maszynowej, za nią druga i trzecia. Już nie odróżniesz, ile maszyn strzela, kiedy się zaczyna, a kiedy kończy seria. Huraganowy ogień. Ukraińcy czuwali, zostaliśmy zaatakowani całą siłą ognia. [...] Walki na cmentarzu toczą się o każdy grobowiec. Metr po metrze posuwają się do przodu, wypierają przeciwnika z umocnień. Przeciwnik ponosi poważne straty w ludziach i sprzęcie. Wśród zabitych znalazł się mundurowy esesman, przypuszczalnie przywódca. Pozostali przy życiu Ukraińcy przerażeni wycofują się z cmentarza do wsi. Natarcie nasze na całej linii rusza do przodu, wtem dostają silny ogień po naszej linii, pociski wbijają się w grunt to przed nami, to za nami. Podrywam żołnierzy do przodu, rażenie ognia zostaje za nami. Duża część żołnierzy unika padania

z powodu dużego błota. Krzyczę: „Padnij, padnij!”. Nie wszyscy na pewno słyszą.

Wieś rysuje się coraz bliżej. [...] Do zabudowań wioski mamy około 300 metrów. Ukraińcy wycofali się z przedpola do wioski i zajęli stanowiska w mieszkaniach i na strychach domów, lecz ta ich obrona nie jest skoordynowana i nie tak skuteczna. Nasze maszyny ostrzeliwiają zabudowania, serie nie milkną. [...] Dopadamy opłotków, chwila oddechu wśród huku salw, bacznie obserwujemy najbliższe zabudowania, z których widać błyski światełek po wystrzałach przeciwnika. Trzeba zapalić zabudowania i wykurzyć z nich zbrojnych Ukraińców. [...]

10 marca 1944. Świt poranka wstaje w świetle krwawych łun i kłębowi czarnych dymów. Jak daleko sięgnie wzrok, wszędzie wkoło widać buchające dymy i słychać salwy broni. Łańcuch tyralier z bronią maszynową zostaje na stanowiskach. Grupy szturmowe wchodzą do wioski, ogień się rozszerza, płomienie buchają ku górze i świecą jak pochodnie. [...] Na zachodniej stronie wsi w murowanych zabudowaniach grupa esesmanów ukraińskich broni się zaciekle, strzelają z maszynowych pistoletów i kabeków, amunicji mają pod dostatkiem, bo jej nie oszczędzają. Pod osłoną naszego ognia udało się chłopcom podejść i zarzucić ich granatami. Skuteczność była niespodziewana. Duża część ginie od wybuchów. Pozostałych ogluszonych, na pół przytomnych wyciągnięto z umocnień.

Komendant „Wiktor” przybył na miejsce akcji, osobiście kieruje likwidacją ukraińskich punktów oporu. Ukraińcy już są rozbici, szukają schronienia w różnych kryjówkach, strychach, schronach, piwnicach, z których nasi żołnierze ich wyciągają. Wszystkim żołnierzom przypominamy, ażeby pojedynczo nie wchodzili do środka. W każdym zabudowaniu czai się niebezpieczeństwo śmierci. Zbrojni Ukraińcy pochowali się, gdzie mogli, a nawet poprzebierali się w stroje kobiet. [...] Po wejściu do mieszkań spotykamy w nich nielicznych mieszkańców. Jak się okazało, wszyscy mężczyźni są pod ziemią. Na całej długości wsi są rozbudowane bunkry, schrony i kryjówki pod ziemią, dobrze zamaskowane i trudne do wykrycia, zapełnione po brzegi Ukraińcami. Z niektórych Ukraińcy po odkryciu wychodzą, z innych nie chcą wychodzić. Żołnierze nawołują do wyjścia ludności cywilnej. Odnosi to skutek. Pozostali to zbrojni, są niszczeni granatami [11]

FOT. ZE ZBIORÓW STANISŁAWA HINDBA/KSIĄŻKA I. CABANA I Z. MANKOWSKIEGO ZWZ/ ARMA KRAJOWA W OKRĘGU LUBECKIM 1939–1944, LUBLIN 1971



→ Żołnierze AK po pacyfikacji Sahrynia, w tle płonące zabudowania wsi, 10 marca 1944

Jerzy Hildebrand-Wilski, żołnierz AK

Znalazłem się z prawej strony drogi i strzelam, gdy widzę jakiś ruch. Mimo strzelaniny słyszałem krzyk [...]: „Podpalać! Podpalać!”. Zatrzymałem się, wyciągnąłem zapalki i szukałem słomy. Wreszcie ją znalazłem, zrobiłem wiecheć, usiłując go podpalić. Zgubiłem zapalki, ale wiecheć już płonął. Raptem usłyszałem gwizd kul i zorientowałem się, że jestem pięknie oświetlony przez tę płonąca słomę. Uskoczyłem za pierwszą chałupę, usiłując zapalić dach. Wreszcie zapalił się. Słysząc znowu okrzyk – rozkaz: „Podpalać! Podpalać!”. Cholera, nie wiedziałem, że to taka trudna robota z podpalaniem wiejskich chałup. Zdażyłem wypracować sobie metodę podpalania. Stojąc za rogim budynku, podpalałem słomiane dachy. Gdy ujrzałem jakąś postać, rzucałem wiecheć i strzelałem. Niektóre domy było bardzo

trudno zapalić, trzeba było je podpalać od wewnątrz. Najlepiej płonęły budynki gospodarcze, jak stajnie i obory. Widziałem w nich konie i krowy. Próbowałem wypędzać zwierzęta, ale słysząc rozkaz: „Naprzód, naprzód!”, musiałem biec z innymi. Posuwaliśmy się jakby tyralierą, od chałupy do chałupy.

Od środka wsi wzmogła się strzelanina nieprzyjaciela, trzeba było się chować i odskakiwać. Wreszcie rzuciłem wiecheć, myśląc: niech podpalają ci, co idą za nami. Biegłem do przodu z kolegami, od czasu do czasu strzelając. Niektórzy z nas sprawdzali wnętrza domów, aby nie zostawić z tyłu ukrytych Ukraińców. Jakby sądny dzień nastał! Wszystko pali się wokół. Kwiczą świny, ryczą krowy, galopują jakieś konie. Straszne zamieszanie i chaos – a my wciąż do przodu. Zrobiło się zupełnie widno, Ukraińcy, cofając się, ostrzeliwują nas. Odpowiadamy i my ogniem ze wszelkiej broni, jaką



posiadaliśmy. [...] Wciąż sprawdzaliśmy domy, aby nie oberwać w plecy. Skokami posuwamy się do przodu, od chałupy do chałupy, strzelając do każdej ludzkiej sylwetki, jaka znalazła się w zasięgu wzroku. Za nami pożar. Wieś płonie. [2]

Zenon Jachymek „Wiktor”

Ciągnę w kierunku na cmentarz, gdzie – wydaje mi się – będzie najtrwalszy punkt oporu nieprzyjaciela. Już wieś się pali – w kilku miejscach od amunicji zapalającej i od podpaień w kolonii Sahryń – nasi zapalają.

Rozszerzają się luny pożarów, że zaczyna się robić widno od strony południowo-zachodniej. Tam „Depko” [Antoni Plizga] i zasięg lewego skrzydła leśnych pod dowództwem „Ligoty” [Witolda Kopca]. O wynik jestem spokojny. Rozbijemy gniazdo morderców okolicznej ludności polskiej. Po pierwsze – zbyt duża nasza siła.

Po drugie – jakaś ogromna zawziętość na twarzach żołnierzy. Po trzecie – żołnierz już zaprawiony i wyszkolony. Ogromna różnica między żołnierzem dzisiejszym a tym, który zaczął dwa lata temu walkę w oddziałach – przy wysiedlaniu Zamojszczyzny. Po czwarte – bezsprzecznie – obecnie górowaliśmy nad naszym nieprzyjacielem – Ukraińcami – wyszkoleniem żołnierza i dowodzeniem [...] Zapewne już ponad godzina dnia, a może dwie. Wysyłam gońców po liniach z rozkazem, by oszczędzać ludność cywilną. Przed akcją zostały wydane też takie rozkazy. Zawsze u nas obowiązywały i ściśle były przestrzegane, wykonywane. Zdaję sobie sprawę, że w Sahryniu nie wszyscy do nich się stosowali. Niektórzy chcieli odwetu, odplacić tym samym. Ale wysłane rozkazy oszczędzania ludności cywilnej uratowały masie mieszkańców życie. [3]

Stefan Kwaśniewski „Wiktor”

Najbardziej zapamiętali w walce okazali się byli policjanci polscy z Wołynia, których zabraliśmy Niemcom w Dolhobyczowie. Oni bowiem już potracili rodziny, najbliższych, na Wołyniu, w najrozmaitszy sposób pomordowane przez Ukraińców. Tych ludzi po prostu trzeba było reflektować, przywoływać do porządku [4]

Olga Szydłowska, mieszkanka Sahrynia, w zeznaniu złożonym w Ukraińskim Komitecie Pomocowym w Hrubieszowie

10 marca 1944 rano, około godziny czwartej zauważyłam, że wieś płonie i mocno strzelają kulami zapalającymi. Zebrałam swoje dzieci, Zofię, lat 9, Marię, lat 3, Annę, lat 6 i starego ojca, lat 69, i schowaliśmy się w całkowicie zniszczonej piwnicy. Stamtąd było widać, co się dzieje naokoło. Widziałam, jak polscy bandyci szukali kryjówek, mówiąc: „Trza szukać, bo tu może być”. Widziałam i słyszałam, jak bandyci napadli na moją sąsiadkę Marię Nosal i zabili ją, oddając do niej trzy strzały. Chcieli jeszcze wrzucić Marię Nosal do ognia, ale jeden z nich powiedział, że ona i tak się spali.

Dziecko Marii Nosal – Eufrozyna, lat 7, usłyszawszy, że jej matka już nie żyje, zaczęła mocno krzyczeć. Znajdowała się wtenczas w schronie. Bandyci podeszli do schronu i wołając, nakazali wylazić z kryjówki. Wyszło troje: Tymoszczuk Antonina, Jewstafij Tymoszczuk i Lida Tymoszczuk. Wszystkich ich bandyci rozstrzelali. Później ich ciała spalono, a resztki poroziągały

świnie. W tym samym schronie było jeszcze siedem osób. Bandyci jeszcze rozkazywali wyjść, ale nikt się nie pokazał. Bandyci wrzucili granat do schronu, który ranił dwoje ludzi. Bandyci jeszcze dłuższy czas kręcili się koło kryjówki i rozmawiali między sobą. Byli pewni, że w kryjówce wszystkich granat zabił. Słyszałam, jak radzili sobie nawzajem: „Wiecie, chłopcy, trzeba dobrze szukać po piwnicach i schronach”.

Potem wyszli na drogę i przyglądali się naszej piwnicy, ale jakoś nic nie robili. W tym czasie podszedł do nich jakiś ważniejszy i zaczął na nich mocno krzyczeć: „Kurwa wasza mać, wy tylko czekacie, żeby za was ktoś pracował! Palić i zabijać! Do tej pory wszystko powinno być spalone. Dobrze szukać po polach i schronach”. Podbiegł do okna naszego domu, uderzył kolbą w okno i krzyczał: „Na Ukrainę, na Ukrainę!” – i podpalił dom. Wśród nich poznałam dwóch naszych kolonistów, Tutkę i Bzdyrę. Cały czas krzyczeli: „Zabijając i palić!”. Tutka i Bzdyra wskazali schron Jaciuka. W tym schronie zabili 15 osób. Z piwnicy słyszałam, jak banda zabija ludzi. Słyszałam, jak 6-letni chłopiec prosił ich, żeby go zabili. Mówił: „Moja mama nie żyje i ja nie chcę żyć”.

Banda posiadała miejscowych przewodników. Ten oddział bandytów w liczbie siedmiu miał za przewodnika dwóch małych chłopców, jeden w wieku 14 lat, drugi 12. Słyszałam, jak banda obiecała tym chłopcom dobrą zapłatę, aby tylko pokazywali im kryjówki. Obydwaj chłopcy – Polacy, którzy wychowywali się u Jaciuka, gospodarza-Ukraińca. Ojciec chłopców to Polak – Biłyk Jan, imion chłopców nie znam. Chłopcy ci pokazali jeszcze kryjówkę Stelmaszczuka, z której bandyci wyciągnęli dziewięć osób i zabili. Potem nabrali słomy, wrzucili do piwnicy i podpalili. W kryjówce jeszcze byli ludzie, ale jakoś się nie podusili. Mali Biłykowie prowadzali bandytów po wsi i wskazywali kryjówki. [5]

Nadia Melnyk-Nowosad, mieszkanka Sahrynia

O godzinie czwartej rano, gdy było jeszcze całkiem ciemno, wieś spała. Nagle dało się słyszeć strzały. W tym czasie mieszkaliśmy tymczasowo w Sahryniu, bo mieliśmy nadzieję, że w tak dużej

wsi ukraińskiej będzie bezpieczniej. Strzały stały się coraz częstsze. Od kul zapalających zajęły się słomiane strzechy. Ludzie zaczęli uciekać w pole. Za polem był las, w którym zamierzali się schować, ale nadaremnie. Z lasu odezwały się karabiny, kładąc i zabitych, i żywych na ziemię, która już na wiosnę zaczęła stawać się miękką. Za kilka godzin przez pola przeszedł żywy łańcuch bandytów. Podeszli i do nas, leżeliśmy w parowie. Był tam mój tato, malutka córeczka i ja. Gdy podeszli bliżej, tato jak ten ptak broniący gniazda wstał i wyszedł im na spotkanie. Poprosili o dokumenty, tato pokazał. Kiedy zobaczyli, że Ukraińiec, strzelili prosto w głowę rozrywającą kulą. Podeszli do nas i zapytali, kim jesteśmy. Mówię:

– Panie, ja Polka, za co mnie zabijając, co ja wam złego zrobiłam?

Pytają o dokumenty. Zaczęłam błagać, mówię, że nie mam dokumentów, zostawiłam w domu. Jeden z nich mówi:

– Bij chamski łeb, bo to się tego rozmnoży.

– Nie, niech żyje, żebyś wiedziała, że ci Polak życie darował.

I tak zostałam z córką żywa pośród martwych na marcowym czarnym polu. [8]

Larysa Sajenczuk, mieszkanka Sahrynia

Moi rodzice, którzy mieszkali w dużej i ładnej wsi Majdan Niewirków, zajmowali się uprawą roli. Oprócz tego tato był nauczycielem w ukraińskiej szkole początkowej, kierował organizacją „Ridna Chata”^{*}.

W końcu zimy 1944 przeprowadziliśmy się do Sahrynia. [...] Właśnie do Sahrynia, by ocalić życie, uciekało wielu ludzi z okolicznych wsi. Zamieszkaliśmy w szkole. [...]

Dookoła rozległa się straszna strzelanina. Polacy podpalili szkołę. Słyszeliśmy, jak przed śmiercią w sąsiedniej chacie rozpaczliwie krzyczała kobieta. Zdaje mi się, że właśnie wtedy mama zrozumiała, że nie uda nam się uratować. Do piwnicy zaszło trzech Polaków, jeden z nich powiedział: „Strzelaj”. Mama schowała mnie za sobą, co uratowało mi życie, mimo iż zostałam ranna w lewe ramię. Mama zmarła na moich rękach. Miałam wtedy siedem lat... W tę noc tylko z naszej rodziny zginęło dwanaście osób. [8]

^{*} Ukraińskie stowarzyszenie kulturalno-oświatowe, działające od lat 20 w II RP – na Chełmszczyźnie i Podlasiu. Prowadziło księgarnie, chóry, biblioteki, czytelnice, koła teatralne i naukę języka ukraińskiego.



↑ Oddział Okręgu Tomaszów Lubelski AK w rejonie Sahrynia

Oleksij Stachurskyj, przesiedlony z Zamojszczyzny do Sahrynia

Rankiem polska banda rzuciła się na wieś Sahryń. Otworzyli szalony ogień i podpalili wszystkie budynki we wsi. [...]

Zaczęliśmy uciekać do Hrubieszowa: ja, mój brat, bratowa i dwie siostry. Dobiegliśmy do chutoru, a on też otoczony przez Polaków z bronią w rękach. Dalej nie można było biec. Wbiegliśmy na podwórze Iwana Cyca. Kobiety schowały się w piwnicy na podwórzu, a my z braćmi i gospodarzem weszliśmy na wyszki [strych] nad chlewem i tam się skryliśmy. Ojciec Iwana Cyca, Petro, był bardzo chory i leżał w domu na piecu, on nie mógł uciec.

[...] Na podwórzu zebrała się cała zgraja bandytów. [...] Pili, jedli, śpiewali polskie pieśni narodowe. My to wszystko słyszeliśmy i widzieliśmy przez szczelinę. Przybiegł jakiś posłaniec i pyta najważniejszego: „Palić czy nie palić?”. Odpowiedź: „Nie”. Za jakiś czas znowu przybiegł z takim samym pytaniem. Odpowiedź: „Poczekaj”. Za trzecim razem padła odpowiedź: „Palić”.

I w kilka chwil wszystko ogarnął dym. Polacy opuścili podwórze. Zeszliśmy na ziemię. Przedtem w chacie rozległ się strzał. Iwan Cyc pobiegł do domu i na rękach wyniósł ojca, ciężko poranionego, jeszcze żywego, który wkrótce zmarł. Z pożaru ocalał tylko ten chlew, w którym się schowaliśmy.

Gdy wróciliśmy do wsi Sahryń, naszym oczom ukazał się straszny widok: zgliszcza i masa trupów, które wałały się po ziemi we krwi w różnych pozycjach. Odnaleźliśmy swoich kuzynów: Iwana Szokałę, jego żonę Hannę, ciotkę Olgę Juszcuk z córką Lubą. Wyciągnięto ich z kryjówek. Wśród żywych został tylko wujek Josyp Juszcuk, który nie wyszedł z kryjówek. [8]

Eugeniusz Wiśniewski „Burza”

Akcja na tym odcinku dobiega końca. Broni się jeszcze posterunek policji ukraińskiej, w którym znajdują się przywódcy esesmani. Ci się nie poddadzą. Ognia nie podłożysz, dom jest murowany, piętrowy, kryty dachówką. Broni, amunicji i granatów mają pod dostatkiem, bo ogień nie ustaje z okien, z otworów dachu. Nasi erkaemiści nie

pozwalają im się wychylić, prowadzą ogień po otworach. Okna posiekane kulami, dachówka na dachu pobita, ale przy drzwiach nie można dłużej pracować, bo z góry lecą granaty. Nie można wiązać wszystkich sił przy zdobywaniu jednego gniazda. Komendant „Wiktor” [Zenon Jachymek] pozostawia część żołnierzy z oddziału leśnego i drużyny wschodniej do kontynuowania walki aż do całkowitej likwidacji załogi ukraińskiej na posterunku.

Trębacz, kolega „Zagłoba” [Aleksander Wronko] podaje sygnał na zbiórkę. Stają oddziały na wyznaczonym miejscu. Żołnierze zmęczeni, zabłoceni, brudni, lecz uśmiechnięci i zadowoleni ze zwycięstwa. Krótki odpoczynek. Nikt nie może jeść. Widok krwi i trupów odbiera apetyt. W krótkiej przerwie komendant „Wiktor” dokonał likwidacji na oczach wszystkich zebranych oddziałów żołnierza z oddziałów leśnych pseudonim „Śmieszny” za popełnione gwałty i rabunki z bronią. Parokrotne upomnienia nie dały rezultatu. Nieuleczalny recydywista, niebezpieczny bandzior. Po obcięciu guzików od munduru na miejscu został zakopany. Wyrok był słuszny, lecz na tę egzekucję nie poszedłem i dużo moich kolegów nie uczestniczyło. Myśmy jego czynów hańbiących nie znali, a w walce był odważny, koleżeński. Widok śmierci naszego żołnierza nie sprawiał przyjemnego wrażenia. [11]

Jerzy Hildebrand-Wilski

W głębi wsi widać było ten ufortyfikowany budynek – posterunek policji ukraińskiej. Wokół budynku też już byli nasi, prowadząc silny ostrzał tej fortecy. Zatrzymaliśmy się, uskakując poza opłotki i ostrzeliwując wycofujących się Ukraińców. Zobaczyłem dużą grupę UPA-owców [ukraińskich obrońców lub cywilów] biegnących w stronę lasu, ale chyba wszyscy zginęli, natknąwszy się na nasze ubezpieczenia. Niektórzy Ukraińcy ukryli się w jakichś dołach i strzelali do nas. Wykurzyliśmy ich stamtąd. [...]

Ciągła palba i wybuchy granatów trwały nadal wokół tego ufortyfikowanego budynku. Długo nie mogli nasi zdobyć tego murowanego, piętrowego domu. Był tam i „Wiktor”. W końcu „Mogilka” [...] jakimś cudem doskoczył do ściany domu z dra-

biną, wspiął się na dach i wrzucił do środka granat. To przesądziło o powodzeniu. [12]

Stefan Kwaśniewski „Wiktor”

Bardzo późno, bo dopiero o godzinie 13.00, zdołoby posterunek policji ukraińskiej, stacjonujący w murowanym budynku. Tudzież oddział ukraiński, broniący się w kościele murowanym zlikwidowano około godziny 13.00 przy pomocy saperów szturmowych. Saperzy szturmowi, wyszukując przykrycie własnego ognia, podpełzali do obydwu obiektów broniących się załóg ukraińskich. Materiałem wybuchowym – plastikiem – poczyniono wyłomy, którymi drużyny szturmowe wwały się do wnętrza bronionych obiektów. Ogniem pistoletów maszynowych zlikwidowano samostijną Ukrainę w Sahryniu. [14]

Ukraiński Komitet Pomocowy w Hrubieszowie w piśmie do Ukraińskiego Komitetu Centralnego we Lwowie, Lublinie, Krakowie*

Podajemy do wiadomości, że od dnia 9 marca 1944 do 11 marca 1944 zostało spalonych 11 ukraińskich wsi i zostali wymordowani nie tylko mężczyźni, ale i kobiety, i dzieci w bardzo brutalny sposób. [...] W tej wsi [Sahryniu] było skoncentrowanych ponad 3 tysiące Ukraińców ze wszystkich okolicznych wsi. Wieś i kolonia spalone, jest bardzo dużo zabitych Ukraińców (około 500). Rano 10 marca ta sama banda przyszła do kolonii Terebiń, spaliła ją i pomordowała ludzi. Inna znowu banda spaliła wieś Strzyżowiec, gdzie także były ofiary w ludziach. Po południu od godziny 2.00 banda spaliła wieś Terebiń (10 km od Hrubieszowa), a o godzinie 4.00 podpalili wieś Malice, wybierając tylko samych Ukraińców. Następnie banda podeszła pod wieś Werbkowice, ale w Werbkowicach znajdowała się czujka ukraińskich Ortschaftów i policji, co zmusiło ich do odwrotu.

Druga banda poszła na teren gminy Kryłów, spaliła i wymordowała Ukraińców we wsi Szychowice, gdzie jest ponad 200 zabitych i rannych, wróciła do wsi Łasków. Pomimo silnej obrony wieś spaliła i zabiła wiele osób. Trzecia banda spaliła Starą Wieś w gminie Telatyn. Gdzie aktualnie

* Ukraiński Komitet Centralny – organizacja działająca w Generalnym Gubernatorstwie jako reprezentacja Ukraińców przed władzami niemieckimi, na jej czele stał Wołodmyr Kubijowycz. Komitet posiadał swoje oddziały w miastach – Ukraińskie Komitety Pomocowe, które prowadziły działalność oświatową i wydawniczą.

bandy się znajdują, nie wiadomo, w każdym razie na terenie gminy Sahryń i w tamtejszych lasach i polskich koloniach. Banda przyszła z gminy Łaszczów, Tyszowce, Kotlice i z okolic Komarowa w powiecie zamojskim. Miejscowi Polacy byli przewodnikami i wspomogli ich posiłkiem i bronią. Zaznaczamy, że ludność polska z tych miejscowości, w których były napady, przeniosła się do Hrubieszowa i do okolicznych folwarków, których bandyci nie palili ani nie grabili.

Od wiosny zeszłego roku [1943] w każdym sprawozdaniu wskazywaliśmy, skąd przychodzą bandy na nasz teren, ale jak dotąd nikt z władz centralnych nie przedstawiał tego jak należy, a teraz doszło do takiej strasznej katastrofy. Zwracamy jeszcze uwagę, że na teren grabowieckiej, uchańskiej i mołodiatyckiej gminy przychodzą bandy z gminy Wojsławice (lasy Bończy) w powiecie Krasnystaw. Jeżeli władze centralne nadal nie będą zwracać uwagi na te miejscowości, to Ukraińcy w powiecie hrubieszowskim przestaną istnieć. W odpowiedzi na nasze prośby i sprawozdania dotyczące niebezpieczeństwa w powiecie miejscowa władza niczego nie robiła i nie robi, choć w mieście jest wojsko, żandarmeria, oddziały Dywizji SS Galizien, a w okolicy Hrubieszowa są trzy sotnie (Legionu Wołyńskiego)*.

Prosimy o to, by nasze centrale niezwłocznie zreferowały to wszystko odpowiednim władzom bezpieczeństwa, aby to się więcej nie powtórzyło. Jednocześnie zwracamy się z prośbą o jak największą pomoc, bo mamy już więcej jak 3 tysiące rodzin bez dachu nad głową, gołych i głodnych. Mamy na utrzymaniu prawie połowę dzieci, które uczęszczają do zawodowych i średnich szkół w Hrubieszowie i innych miastach. Chwała Ukrainie!

HRUBIESZÓW, 11 MARCA 1944

[7]

Z meldunków niemieckich z marca 1944 roku

W nocy 10 marca 1944 bandyci zaatakowali ukraińskie wsie Sahryń, Miętkie i Turkowice, mieszkańców wymordowano, a wsie spalono. Posterunek policji ukraińskiej został zaatakowany karabinami maszynowymi i nie mógł się wy dostać. Część załogi 10 marca 1944 około godziny 7.30 dotarła do Hrubieszowa. Według ich zeznań ogólna liczebność bandy wynosi około 400 ludzi,

z czego część na koniach. Część bandy przyszła 9 marca 1944 z powiatu Zamość do powiatu Hrubieszów. [...]

Bandyci w konnych grupach otaczali wsie. Ludzie rzekomo nie byli rozstrzelani, lecz zakłuwani bagnietami. Bandyci rozmawiali po polsku, nosili cywilne ubrania. Grupa w liczbie 100 osób przyszła z kierunku powiatu Zamość. [6]

Stefan Kwaśniewski „Wiktor”

Nie potrafię powiedzieć, co mnie pchało, co było motorem oporu w wyznaczeniu właśnie na dzień 10 marca 1944 akcji na Sahryń, Szychowice i Łasków. Ten bowiem okres był bardzo trudny, najgorsze roztopy. Kilku moich kolegów właśnie uważało te trudności, radzili, by akcję odłożyć na lepsze drogi. Jakieś przecucie wewnętrzne nakazywało mi opór, trwanie przy powziętej decyzji [...]. Po zdobyciu dokumentów ukraińskich, przestudiowaniu ich zorientowałem się – była to siła wewnętrzna, wyczuwająca niebezpieczeństwo wiszące nad życiem Polaków w tym regionie po 10 marca 1944. Opisując tę akcję, sugeruję widzieć w niej dwa aspekty. Zmuszenie Ukraińców do zaprzestania morderstw ludności polskiej tudzież niszczenia materialnego w postaci palenia. Zaś drugi aspekt: uprzedzenie akcji ukraińskiej, wyznaczonej na dzień 16 marca 1944. Akcja, którą aranżowałem, [...] zniszczyła w zarodku mrzonki ukraińskie, gdyż zupełnie sparaliżowała, praktycznie biorąc, akcję przeciw Polakom. [4]

Arcybiskup chełmski i podlaski Ilarion (Iwan Ohijenko) w liście do Wołodymyra Kubijowycza, przewodniczącego Ukraińskiego Komitetu Centralnego w Krakowie

Ludność prawosławna ginie setkami, cerkwie są palone i profanowane, dobytek puszczany z dymem. Tysiące ludzi traci dach nad głową. W okrutny sposób Polacy zabijają dziewczęta, kobiety i starców. Zmuszają do przyjęcia katolicyzmu. Polska bojówka bez przeszkód morduje nawet w dzień. Samych zabitych jest ponad 500. W imieniu całej ludności prawosławnej błagam o jak najszybszą obronę naszego życia i majątku.

CHELM, 12 MARCA 1944

[5]

* SS Galizien – ukraińska dywizja walcząca u boku Niemców z ZSRR; Legion Wołyński (Ukraiński Legion Samoobrony) – oddział utworzony przez Organizację Ukraińskich Nacjonalistów (odłam melnykowców), wspierający armię niemiecką w walce z Sowietami, a od 1944 roku – także z AK i BCh.

Pismo prowidnyka* Lwowskiego Obwodu OUN-B Mychajła Szkambary „Skały” do prowidnyka Chełmskiego Okręgu OUN-B Fedira Zaborowcia „Żena”

Boli mnie sprawa Pańskiego terenu. Dziś jednak trudno jest temu zaradzić. Jeszcze kilka miesięcy temu można było zrobić wiele, ale wtedy nie miałem prawa. Dziś jest za późno. Ale jeszcze spróbujemy.

To, że Lachy strzelają do mieszkańców i palą wioski, należy umiejętnie wykorzystać w propagandzie. Dzisiejsze wydarzenia muszą raz na zawsze poróżnić Ukraińców i Polaków na tym terenie – jasno pokażą, kto Ukrainiec, a kto Polak. Nienawiść do Lachów należy rozdmuchać tak, by na słowo „Polak” Ukrainiec kipiał żądzą zemsty, szedł rąbać i bić Lacha. Dzisiejsze wydarzenia muszą zmusić Ukraińców, by szukali Polaków i mścili się na nich. Należy doprowadzić do tego, by mąż Ukrainiec zarząbał żonę Polkę, a żona Ukrainka żeby zabiła swego męża Polaka albo swoje polskie dzieci. Hajdamaczyzny, koliszczyzny, nowych Gontów**, Jaremów, Hałajdów*** – dziś czas na to. Na ukraińskiej ziemi nie może pozostać żaden Lach – spalić wszystko, co lackie. Do walki z Lachami muszą pójść wszyscy. Kto co ma pod ręką: broń, kosy, siekiery – powinien iść bić i rąbać. Zainspirować ludową zemstę, sformować dywizje siekierników – postrach Lachów. Nadszedł czas, by podpalić i zastraszyć nimi całą Polskę. Jeżeli nie wykorzystamy tego czasu, przegramy. Tylko w ten sposób uda się zaktywizować i zorganizować teren. Najpierw trzeba wzniecić ogień w spokojnej i niemrawej masie, podniecić ją, rozruszać, zrewolucjonizować. Niech płonie! Niech płonie ogniem zemsty i żądzą czynu! W ogniu masa się zahartuje, wyrosną przywódcy, charaktery, rewolucjoniści. Nie praca u podstaw i Proswita****, a rewolucja i ogień, które wywrócą wszystko, co zastałe, bezczynne i słabe.

28 MARCA 1944

[12]

Józef Błasiak „Grom” w raporcie Komendy Obwodu Hrubieszów Batalionów Chłopskich do Komendy Okręgu BCH

Inspirowane przez okupanta [niemieckiego] walki narodowościowe na terenie Obw[odu] nr 5 [Batalionów Chłopskich] przyniosły stronie polskiej całkowitą przegraną. [...] Ten smutny stan rzeczy przypisać należy nie tylko przewrotnej inspiracji okupanta [niemieckiego] oraz nienawiści i barbarzyństwu Ukraińców – jak to się powszechnie sądzi – ale i całkowicie błędnej taktyce stosowanej w tej walce przez czynniki wojskowe polskie [AK].

Nasze stanowisko w tej sprawie było takie: zorganizować samoobronę wsi polskich i nie prowadzić akcji zaczepnych w stosunku do wsi ruskich, a uderzać na poszczególne jednostki, które akcją Ukraińców kierują. Tymczasem ZWZ [AK], początkowo idący po tej linii, zmienił taktykę i zaczął stosować akcje odwetowe przez palenie pierwszych z brzegu wsi ruskich i mordowanie ich mieszkańców przy pomocy ściągniętych w tym celu ludzi z powiatu tomaszowskiego. Akcje takie wywołały kontrakcje u Ukraińców i okupanta i zamiast być pomocą ludności polskiej, osłabiły ją, ponieważ oddziały ZWZ nie zabezpieczyły ludności, a wycofywały się w bezpieczne miejsca. Po każdej takiej akcji ze strony polskiej okoliczna ludność polska rzucała swoje siedziby i uciekała na zachód.

29 KWIEŚNIA 1944

[1]

Stefan Kwaśniewski „Wiktor”

Po ukraińskiej stronie sromotna klęska. Jak powyżej wspomniałem, pierwszy raz w historii oręża polskiego postanowiliśmy działać na płaszczyźnie przesłanek pełnej brutalności. [...] A to jedynie na skutek wytworzonych przez Ukraińców sytuacji w tym regionie Polski. Taka bowiem postawa przez nas zajęta, w myśl ogólnoludzkiej zasady, [że] należy popełnić mniejsze zło, by uniknąć zła większego. Mając właśnie na uwadze storpedowanie zła większego, zmuszeni byliśmy podjąć walkę

* Ukr.: kierownik, naczelnik.

** Koliszczyzna – antypolskie powstanie ruskich chłopów, Kozaków i hajdamaków w 1768 roku pod wodzą Iwana Gonty; szerzej ukraiński ruch zbrojny przeciw Polakom w tym okresie zwany jest hajdamaczyzną.

*** Imiona legendarnych Kozaków walczących w powstaniach w XVIII wieku, opisanych w poemacie *Hajdamacy* Tarasa Szewczenki.

**** W tłumaczeniu na język polski „Oświata” – organizacja kulturalno-oświatowa o XIX-wiecznym rodowodzie, kładąca nacisk na naukę języka ukraińskiego i organizację bibliotek-czytelni.

o cechach pełnej brutalności. Walka z brutalnym wrogiem rzutowała na podjęcie takiej decyzji. [4]

Jerzy Sobieszczański „Wulkan”, żołnierz AK

Po tym wyczynie Polaków ośrodek bojówek ukraińskich został przesunięty z Sahrynia do Mircza i Masłomęcza. Spalenie Sahrynia nie wpłynęło na uspokojenie ukraińskich wiosek, ludność była stale buntowana przez agitatorów i policję. Coraz częściej powtarzające się napady, połączone z morderstwami i podpalaniem, czyniły życie wsi nie do zniesienia [9]

Z polskiej ulotki *Do ludności ukraińskiej i prawosławnej*

Wzywa się ludność ukraińską, aby zaprzestała akcji zbrodniczej przeciw ludności polskiej. Naród polski nie chce przelewu krwi bratniej, a jeśli występuje wobec ludności ukraińskiej, to tylko jako odwet za wiele zbrodni i morderstw nad ludnością polską w powiecie hrubieszowskim. Znane nam są

nazwiska zbrodniarzy i karabiniarzy, którym nie damy spokoju i będziemy tępić na każdym kroku.

Wzywa się ludność ukraińską naszych wsi (powiatu zamojskiego), aby bezzwłocznie wydalili ze swych wsi wszystkich Ukraińców przybyłych z powiatu hrubieszowskiego, aby uniknąć wypadków, jakie miały miejsce w powiecie hrubieszowskim.

Jeśli wymienieni pozostaną na tym terenie – będziemy z całą bezwzględnością ich tropić, a winnych utrzymania ich na tutejszym terenie karać jako współdziałających z bandami i mordercami ukraińskimi z powiatu hrubieszowskiego.

Wypędźcie ich jako szkodników i waszych wrogów! Czekamy do 30 marca br. Miejsce tych zbrodniarzy [jest] za Huczwą i za Bugiem na pogorzeliśkach i mogiłach przez nich pomordowanych Polaków. [10]

OPRACOWAŁ ZESPÓŁ REDAKCJI

ŹRÓDŁA WYKORZYSTANE W TEKŚCIE

- Józef Błasiak, raport Komendy Obwodu Hrubieszów Batalionów Chłopskich do Komendy Okręgu BCh, Archiwum Państwowe w Lublinie, Raporty sytuacyjne Obwodu nr 5 Hrubieszów Batalionów Chłopskich, sygn. 68.
- Jerzy Hildebrand-Wilski, *W trybach historii...* [zbiory prywatne], cyt. za: Mariusz Zajączkowski, *Ukraińskie podziemie na Lubelszczyźnie w okresie okupacji niemieckiej 1939–1944*, Lublin 2015.
- Zenon Jachymek, wspomnienia, Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie, Dział Zbiorów Specjalnych, Rękopisy, sygn. 2079.
- Stefan Kwaśniewski, *Relacja z lat okupacji*, rkps w zbiorach Tomasza Gołębiewskiego.
- Jurij Makar, Mychajło Hornyj, Witalij Makar, *Wid deportacji do deportacji. Suspilno-polityczne zytja chołmsko-pidłjaśkych ukrajinciw (1915–1947). Doslidżennja, spohady, dokumenty*, t. 2, Czerniwczi 2014.
- Meldunki niemieckie z marca 1944, Archiwum Państwowe w Lublinie, zespół Komendantura Placu w Lublinie, III 1944, sygn. 23.
- Pismo Ukraińskiego Komitetu Pomocowego w Hrubieszowie do Ukraińskiego Komitetu Centralnego we Lwowie, Lublinie, Krakowie, avr.org.ua (dostęp z 19 grudnia 2017).
- Sahryń-bil' i peczał' nasza*, red. Iwan Banaszczuk, L'wiv 2007.
- Jerzy Sobieszczański, wspomnienia, Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie, Dział Zbiorów Specjalnych, Inspektorat Zamojski AK, Obwód Tomaszów Lubelski, teczka 23.
- Ulotka *Do ludności ukraińskiej i prawosławnej*, Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie, Dział Zbiorów Specjalnych, Inspektorat Zamojski AK, Obwód Tomaszów Lubelski, teczka 33, Placówka AK Tyszowce.
- Eugeniusz Wiśniewski, *Wspomnienia uczestnika AK z terenu Komarowa i okolic*, Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie, Dział Zbiorów Specjalnych, Inspektorat Zamojski AK, Obwód Tomaszów Lubelski, teczka 39.
- Mariusz Zajączkowski, „Sformować dywizję siekierników – postrach Lachów”. *Przyczynek do genezy i charakteru akcji antypolskiej OUN-B i UPA na Chełmszczyźnie w pierwszej połowie 1944 roku*, „Pamięć i Sprawiedliwość” 1 (29)/2017, tłum. Konrad Byzdra.

Kontekst

Polsko-ukraiński i zarazem katolicko-prawosławny antagonizm na Lubelszczyźnie w czasie II wojny światowej uległ gwałtownemu zaostreniu. Na relacje te najpierw duży wpływ wywarła niemiecka akcja wysiedleńcza, rozpoczęta w końcu 1942 roku. Niemcy chcieli stworzyć na Zamojszczyźnie własny pas osiedleńczy. Na jego obrzeżach postanowili jednak nasiedlić ludność ukraińską, by to na nią spadła spodziewana kontrakcja polskiego podziemia. Setki rodzin ukraińskich wysiedlono z ich wiosek i przeniesiono do gospodarstw, z których z kolei dopiero co wyrzucono Polaków. Naziści tworzyli wrażenie, że prowadzona przez nich akcja jest pierwszym krokiem w kierunku stworzenia w Generalnym Gubernatorstwie jednorodnych etnicznie ukraińskich kantonów, w co część ukraińskich działaczy politycznych uwierzyła.

Od początku 1943 roku polskie podziemie, w ramach samoobrony przed wysiedleniami, zaczęło organizować – obok bezpośredniego oporu wobec Niemców – także zamachy na ukraińskich wójtów, nauczycieli i policjantów, uznając ich za niemieckich kolaborantów. W maju 1943 doszło do trzech pierwszych zbiorowych zabójstw ukraińskich cywilów w Strzelcach, Mołożowie i Tuchaniach (zginęło tam w sumie kilkadziesiąt osób). W efekcie tych napadów, do końca 1943 roku – jak wynika z dokumentów Ukraińskiego Centralnego Komitetu – zginęło 500–600 Ukraińców. Akcje te zapewne powoli by wygasły, gdyby nie antypolskie

czystki prowadzone od początku 1943 roku przez Ukraińską Powstańczą Armię na Wołyniu.

W drugiej połowie 1943 roku na Lubelszczyznę napłynęło bardzo wielu uciekinierów z Wołynia. Przynieśli oni przerażające informacje o masowych mordach na Polakach dokonywanych na ziemi wołyńskiej. Dlatego, kiedy na przełomie 1943/44 roku pojawiły się niewielkie oddziały UPA, zaczęto się obawiać, że niebawem złączą one realizować w Lubelskiem scenariusz wołyński. By temu przeciwdziałać, polskie podziemie postanowiło przeprowadzić operację wyprzedzającą. Przy czym – ponieważ komendant główny AK dał pozwolenie, aby niemieckich kolonistów osadzonych na Zamojszczyźnie „wycinać w pień” – lokalne dowództwo samowolnie postanowiło rozciągnąć ten rozkaz na wybrane wioski zamieszkałe przez ludność ukraińską.

Polskie uderzenie rozpoczęło się 10 marca 1944 od opanowania i spalania trzech miejscowości: Sahrynina, Łaskowa i Szychowic (ta pierwsza jest dziś uznawana za symbol tragedii polskich Ukraińców). Wsie były słabo bronione, dlatego fakt, że ofiarą działań AK i BCh padło wielu cywilów, nie mógł być dziełem przypadku. Tylko 10 marca zginęło około 700 osób, przy wiele mówiących stratach własnych polskich oddziałów: 1–2 zabitych, 3–5 rannych. W ciągu całego miesiąca liczba zabitych Ukraińców wzrosła do co najmniej 1,1–1,2 tysiąca.

Należy odnotować, że obawy komendantów AK, by na Lubelszczyźnie nie doszło do realizacji „scenariusza wołyńskiego” nie były bezpodstawne. „Antypolska akcja” UPA miała objąć również część Lubelszczyzny (między innymi powiaty Chełm, Hrubieszów i Tomaszów Lubelski). Zamieszkujący ten obszar Polacy mieli zostać częściowo wymordowani, a po części zmuszeni do ucieczki. Już 30 maja 1943 banderowcy zabili w Nabrożu kilka osób. Kolejne tego typu wypadki zanotowano we wrześniu i grudniu tego samego roku. Nocą 15/16 grud-

nia 1943 w Starej Wsi członkowie ukraińskiego podziemia zabili 25 osób.

Co więcej, polska akcja z 10 marca 1944 wyprzedziła o kilka-kilkanaście dni ofensywę UPA. W połowie marca 1944 w Lubelskie wkroczyło kilka kurení UPA, przybytych z Galicji Wschodniej i Wołynia, które przystąpiły do rozprawy z polską ludnością (dokonały one masakr między innymi w Poturzynie, Łubczu i Rzeplinie). Równoległe doszło do zaciętych walk z polską partyzantką, które doprowadziły do powstania na przełomie kwietnia/maja 1944 swobodnego „frontu polsko-ukraińskiego”, ciągnącego się przez około 100 kilometrów. Po jednej stronie stały oddziały AK i BCh, po drugiej UPA. W walce te zostało zaangażowanych w sumie kilka tysięcy partyzantów z obu stron. W efekcie działań UPA, o czym nie zawsze się pamięta, zginęło na Lubelszczyźnie w latach 1943–44 około 1,7 tysiąca Polaków. W tym samym czasie z polskiej ręki padło w tym regionie około 2,2 tysiąca Ukraińców.

Jak widać, w wyniku tych działań straty ludności cywilnej były na tym terenie po obu stronach wysokie, ale – choć Ukraińców zginęło więcej – zarazem dość zbliżone. To jedyny region w latach 1943–44 objęty konfliktem polsko-ukraińskim i zarazem „antypolską akcją” UPA, gdzie spotkamy się z takim rozłożeniem strat*. Na Wołyniu i w Galicji Wschodniej liczba polskich ofiar była nieporównanie większa.

Nie zmienia to faktu, że „polska ofensywa” z marca 1944 była w tym okresie najbardziej krwawą akcją zemsty przeprowadzoną wobec Ukraińców przez polskie podziemie. Zastosowanie odpowiedzialności zbiorowej wywołało kontrowersje nawet w jego kierownictwie: dowództwo lubelskiego okręgu AK skrytykowało to, co stało się w Sahryniu, odcinając się od popełnionych mordów.

Wszczęto prawdopodobnie jakieś postępowanie wyjaśniające. Jeden z organizatorów akcji, kpt. Marian Gołębiowski, żalił się później: „Grożono mi procesem za tzw. ludobójstwo”.

Pomimo to, również dziś można napotkać opinie próbujące pomniejszyć polską odpowiedzialność za zabójstwa cywilów. Niekiedy więc zniszczenie Sahrynia w marcu 1944 i wymordowanie jego paruset cywilnych mieszkańców przedstawia się jako napad na uzbrojoną po zęby wieś, w której rzekomo stacjonowało silne zgrupowanie UPA. Natomiast śmierć osób bezbronnych przedstawia się jako przypadkowe ofiary walki prowadzonej przez dwie uzbrojone strony.

Takie podejście, jak potwierdzają prezentowane świadectwa, w żadnym razie nie da się obronić. Trafną ocenę tym wydarzeniom dał Mariusz Zajączkowski, autor monografii pokazującej wydarzenia w tym regionie najpełniej i w sposób niezwykle drobiazgowy: „Chciałbym wyraźnie podkreślić, że akcje AK i BCh w stosunku do ludności ukraińskiej, nawet jeśli tylko w minimalnym stopniu przypominały działania banderowskiej partyzantki wobec ludności polskiej, niezależnie od intencji sprawców, także nie znajdują usprawiedliwienia i zasługują na surowe potępienie, gdyż ich ofiarami byli w przeważającej większości niewinni ludzie”.

Grzegorz Motyka

(ur. 1967) – prof., dyrektor Instytutu Studiów Politycznych PAN, historyk, zajmujący się głównie polskim i ukraińskim podziemiem oraz stosunkami polsko-ukraińskim w czasie II wojny i po niej, autor m.in. *Od rzezi wołyńskiej do akcji Wisła* (2011), *Wołyń '43* (2016).

Materiał pochodzi z „Karty” nr 95/2018.

* Gdy jednak weźmiemy pod uwagę lata 1943–47, to okaże się, że na ziemiach dzisiejszej Polski (Lubelskie i Rzeszowskie) liczba ofiar ukraińskich jest wyraźnie większa niż poniesione w tym czasie straty polskie. Wynika to przede wszystkim z mordów na Ukraińcach, jakie miały miejsce pomiędzy lutym a kwietniem 1945 w pasie pomiędzy Lubaczowem a Sanokiem.



FOT. WOTERWÓDZKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA IM. HIERONIMA ŁOPACIŃSKIEGO W LUBLINE

Oddział partyzancki „Groma”,
działający m.in. w lasach
sieniawskich. Od lewej: Feliks
Pardus „Piast” z Józefowa,
porucznik Włodzimierz Hascewicz
„War”, kierownik szkoły
z Aleksandrowa. Od prawej:
sierżant Murw, Edward Błaszczak
„Grom”, Makiełło „Sosna”

Zasadzka

Michał Kusy

Prezentujemy ślad ukazujący w małej skali losy żołnierzy Armii Krajowej walczących na terenie Polski południowo-wschodniej, którzy w latach 1944–45 uznali, że najlepszym dla nich „schronieniem” będzie wstąpienie do oddziałów Wojska Polskiego.

Sytuację, w jakiej się znaleźli, dobrze charakteryzują dwie instrukcje Głównego Zarządu Polityczno-Wychowawczego WP*. Z instrukcji ogólnej „Do Wojska Polskiego”. „[...] dla nich sformowane są pierwsze bataliony zapasowe w Lublinie, Jarosławiu, Białymstoku i Wilnie, które całkowicie przeznaczone są dla członków podziemnych organizacji zbrojnych”.

Z instrukcji poufnej do oficerów polityczno-wychowawczych II Armii WP: „Każdy pracownik

pol.-wych. pojąć musi, że dzisiaj nie ma miejsca na żadne kompromisy z AK w wojsku. Jeśli byli akowcy chcą pracować z nami, nie zawieramy z nimi żadnych «układów o nieagresji» w stosunku do ich dawnej ideologii. Oni muszą ze swoją przeszłością zerwać, potępić ją i odgrodzić się od niej, a wtedy będzie dla nich miejsce w Wojsku Polskim. To nie jest układ równych z równymi. [...] Zwolenników neutralnego czy pojednawczego kursu w stosunku do AK traktować jako akowców, dopóki się nie wykażą w najbliższym czasie aktywną walką przeciw AK”.

Liczmy na dopełnienie obrazu tamtych zdarzeń – na opisy służby w II Armii Wojska Polskiego, dezercji, a także walk z podziemiem ukraińskim na wschodnich ziemiach Polski, walk nadal kryjących wiele tajemnic. (B.B.-F.)

Urodziłem się w 1927 roku w Raniżowie (województwo rzeszowskie). W 1944 roku mieszkałem w swojej wsi. Parę kilometrów za nią, w miejscowościach Cmolas i Wilcza Wola, grupowało się wielu partyzantów. Okolice były lesiste, od Sokołowa do Więclowa lasy ciągnęły się dwanaście kilometrów. Tam lokowały się jednostki ze Lwowa i Wołynia. Na terenie Kolbuszowej, Nowej Dęby, Raniżowa działały oddziały „Lisa”. Jak Niemcy wycofywali się, a Ruski nadchodzili, byliśmy w akcji, w rozbrajaniu Niemców.

U mojego wujka, Jakuba Kusego – „Żbika” i u dowódcy, „Nogi”, przechowywało się amunicję do stenów, którą przywoziliśmy od partyzantów. Ich magazyny były dobrze zamaskowane w lesie

w miejscowości Wilki. Ze zrzutowych spadochronów ciocia partyzantom koszule szyła, chociaż my sami byliśmy obdarci. Porządku należało pilnować. Wujek, starszy sierżant, niegdyś szef kompanii cekaemów, i my z oddziału „Nogi” – założyliśmy komendę milicji. Wujek dowodził placówką. Pełniliśmy służby nocne. Gdy wkroczyli Rosjanie, nie było żadnych walk. Zaciekawili nas, bo cekaemy ciągnęły im psy, dla dzieciaków to heca. Rosjanie przyglądali się naszym opaskom, mundurkom harcerskim (jeszcze je mieliśmy) – nie czynili żadnych wrogich gestów. Myśmy wiedzieli, co potrafią, słyszeliśmy o Katyniu, otrzymywaliśmy podziemne gazetki z Rzeszowa. Mimo to częstowaliśmy ich, czym się dało. Dobrze było, nic nie zapowiadało aresztowań.

* Cyt. za: J. Blum, *Sprawa 31 pp.*, „Wojskowy Przegląd Historyczny” nr 3, 1965.

Ale gdy ogłosił się rząd lubelski, powstała inna milicja i UB. W końcu lipca 1944 musieliśmy przejść do podziemia. Początkowo jednak nie działo się nic podejrzanego. Ćwiczenia wojskowe odbywaliśmy normalnie. Jak kazano zdawać broń, nie zrobiliśmy tego. Ukryliśmy ją. Ćwiczenia przeprowadzaliśmy nocami. Trwało to do września, aż któregoś dnia milicja wyszła na patrol i natknęła się na nas. Ktoś puścił serię i zastrzelił milicjanta – nie wiem, jak to się stało, może przez pomyłkę. Sytuacja zaczęła się zaostrzać. Część ludzi z pododdziałów trzeba było wycofać. Niektórych zabrano do wojska. Aresztowań nie było, ale słyszało się o dochodzeniach. W październiku 1944 do akcji wkroczyło NKWD.

Mieli swoje placówki w Rzeszowie. Rozpracowywali wspólnie z UB nasze oddziały. Wiedzieli, gdzie kto mieszka. Niektórzy z NKWD chodzili w mundurach i czapkach z granatowymi otokami, ale byli też tajniacy. A część ubowców była spośród miejscowych.

Na pomoc Powstaniu Warszawskiemu miały ruszyć pobliskie oddziały, dowiedzieliśmy się o tym. A tu zjawia się goniec z wiadomością, że wszystkich akowców wymordowało NKWD. Pochowani zostali – tysiąc dwieście osób – w lesie we wsi Turza, koło Sokołowa Małopolskiego**.

Dostaliśmy od razu rozkaz, żeby zamaskować broń. Za kilka dni NKWD okrążyło Raniżowo. Nad ranem przybiegł do mnie młodszy braciszek: „Michał, uciekaj, wujka już wzięli”. Wyskoczyłem przez okno, bo już wchodzili do kuchni. Mojego wujka aresztowali i z wielu innymi wywieźli na Sybir. Z tamtej wysyłki tylko kilku wróciło; chorzy, opuchnięci – zmarli szybko. Powiedzieli nam, że kiedy wujka dowieźli na miejsce, to zaraz zaprowadzili go za barak i zastrzelili.

Ja ukrywałem się w pobliskiej wsi, później w Rzeszowie, gdzie było więcej znajomych. Postanowiliśmy, że nie ma co dalej się ukrywać, że zgłosimy się do wojska i tam się jakoś przechowamy.

5 lutego 1945 zgłosiłem się do rzeszowskiego RKU, jako ochotnik. Zostałem przez komisję przyjęty do służby liniowej w 28 pułku IX dywizji II armii WP. Po dwutygodniowym szkoleniu miałem iść na front. Już w marcu zaprowadzono nas, czterdziestu rekrutów pod dowództwem podoficerów, na dworzec. Czekał na nas pociąg towarowy.

Było w nim wojsko polskie i ruskie – ranni, niedo-bitki. Załadowano nas i pociąg ruszył. Jednak nie na zachód, do Krakowa – jak nam mówiono, lecz na wschód. Dotarliśmy do Lubaczowa. Po przyjeździe, na rozkaz podoficera, sformowaliśmy sztyk zwarty i czwórkami przemaszerowaliśmy przez miasto, do koszar. Przyjęto nas serdecznie. Dowiedzieliśmy się, że tu jest punkt zbiorczy i niedługo wyruszymy na front. Po obiedzie otrzymaliśmy pełne umundurowanie. Fryzjer ostrzygł nas na kolano. Po kąpieli przebraliśmy się w mundury. Każdy z nas otrzymał broń – krótki karabin ze składanym bagnetem.

Rozdzielono nas, ja trafiłem do drugiej kompanii, drugiego plutonu. W koszarach były piętrowe łóżka bez sienników i podglówek, spaliśmy na gołych dechach. Ćwiczenia terenowe odbywały się w koszarach, szkolenie balistyczne w salach. W mojej drużynie była zbieranina zewsząd, najwięcej z Wilna, Lwowa, Sambora, Stanisławowa i innych miast kresowych.

Jeszcze w marcu zaczęto wysyłać nas na akcje – przeciwko UPA. W Lubaczowie stacjonował 2 samodzielny batalion Wojsk Wewnętrznych, uzbrojony w cekaemy, moździerz, kbk, pepesze, granaty ręczne obronne i zaczepne. Posiadał też tabory konne oraz ruskie samochody. Bandy UPA miały lepszą broń i ciągle otrzymywały zrzucone niemieckie. Nas wspierały działające w okolicach Lubaczowa oddziały AK – wiedzieli, kiedy idziemy na akcję, do siebie nigdy nie strzelaliśmy.

Wszyscy oficerowie nosili polskie mundury. Byli to głównie Ukraińcy, a także Ruscy, przeszkoleni przez NKWD, które na terenie koszar miało swój specjalny oddział.

Najbliższymi miastami, w których stały skoszarowane wojska, były Oleszczyce i Cieszanów. W kwietniu jakaś jednostka cieszanowska wiozła z Rzeszowa broń i mundury Droga prowadziła przez las, w który oficer konwoju, Ukrainiec, kazał wjechać bez przedniej i tylnej straży. Kolumna samochodowa znalazła się w zagrożonym terenie zupełnie bez zabezpieczenia. Nie było to zgodne ani z regulaminem, ani z warunkami wojennymi. UPA doskonale wiedziała, gdzie zrobić zasadzkę. Zaskoczyli ich na skraju lasu i wybili wszystkich. Żołnierzom wydłubali oczy, pościągali mundury i buty – jeśli nie mogli ich rozsznurować, to siekierami odcinali stopy. Potworna masakra, a dowódcy

* Obecnie we wsi Turza odkrywane są niezidentyfikowane dotąd groby – przyp. red.

nawet nie drasnęli. Przyjechał do koszar, coś zenał, żołnierzy dyskretnie pochowano.

Od tamtej pory już wiedzieliśmy, że dowództwo współpracuje z bandami UPA.

Bywało tak: chwytałyśmy jeńców, a ich prowadzono do koszar i po kilku godzinach puszczano. Stałem kiedyś na warcie w bramie głównej. Widzę – z koszar idzie duża grupa niedawno złapanych, z naszym oficerem na czele. Zatrzymuję ich przed bramą i nie puszczam. A ten oficer – Ukrainiec – podchodzi do mojego dowódcy warty i rozkazuje otworzyć bramę. I wychodzą, skręcają w lewo, w kierunku lasu. Po chwili wraca oficer, ale sam. Takich scen było więcej.

Banderowcy, których braliśmy do niewoli, mieli nowoczesną ruską broń. UPA nie miała wytwórni broni, zaś Niemcy, ponieważ front dochodził do Berlina, zaniechali zrzutów i pomocy dla UPA. Wiadomo było, że to NKWD dostarcza im broń i amunicję. Mieli nawet rusznice przeciwpancerne, nowiutkie pepesze, prosto z fabryki.

W następnych akcjach zabroniono nam strzelać do UPA. Kazali brać ich żywych i przywozić do sztabu. Potem ograniczono ilość amunicji – pięć sztuk do kbk, piętnaście do rkm, trzydzieści do ckm. Przeciwstawialiśmy się temu. No, bo jak! Oni są uzbrojeni po zęby, a my?

Zrobiliśmy zebranie w stołówce. Pytamy dowództwo: dlaczego dostajemy tak mało broni? Dlaczego mamy brać ich żywcem, skoro oni do nas strzelają i mogą z nami zrobić, co zechcą? Odpowiedź była krótka: „nie mamy amunicji”. A niedługo potem okazało się, że w magazynie jest pełno amunicji i broni. Pytaliśmy pułkownika i sztab: „Przecież jest lotnictwo, artyleria, w ciągu czternastu dni mogliby zrobić porządek z UPA, dlaczego tego nie robią? – *Nielzja*. Trzeba ich wyłapać i wychować”. 20 kwietnia 1945 około godziny czternastej siedziałem w oknie na pierwszym piętrze i patrzyłem na plac ćwiczeń, gdzie musztrowano kompanię. Nagle słyszę rozkaz: „lotnik, kryj się!”. Padli na ziemię. Było kilka wybuchów, a potem chmura dymu. Plac był zaminiowany i oficer dobrze o tym wiedział. Sam stał z daleka, a potem tak się ukrył, że nie mogliśmy go znaleźć. Pozbierano szczątki poroziwianych żołnierzy, złożono na furmanki i odwieziono na cmentarz. Następnego dnia odbył się pogrzeb, z księdzem. Miałem wartę przy trumnie. Przyszło trochę młodzieży szkolnej oraz ludność cywilna i tylko jeden oficer, który przemówił, że trzeba pamiętać o żołnierskich grobach.

Jasne było, że Ruscy chcą nas zdziesiątkować i wyniszczyć różnymi sztuczkami. Żołnierze dobrze się na tym znali – co drugi był z AK.

Porozumieliśmy się z okolicznymi oddziałami Armii Krajowej. Powiedzieli nam, że jeśli chcemy żyć, to musimy zmienić koszary. Na znak – trzy serie z karabinu – mieliśmy wychodzić. Nastąpiło to 22 kwietnia. Wszystkie kompanie ruszyły. Porozbijaliśmy magazyny, zabraliśmy broń, amunicję i granaty; załadowaliśmy na tabory konne. A ile jeszcze zostało! Ludzie miejscowi też się dozbroili. Po parę karabinów maszynowych poszło na wsie. Cywile mieli się czym bronić. Później szukano tej broni, zaczęły się represje, oblawy.

Kiedy wychodziliśmy z koszar, oficerowie próbowali się nam przeciwstawić. Poturbowaliśmy ich, ale nikt nie zginął. Pułkownik wycofał się za Lubaczów, a kto go zastrzelił, nie wiem. Ci oficerowie-Ukraińcy, którzy zostali w koszarach, odgrywali bohaterów, że nie dali się namówić i w dalszym ciągu chcą służyć w LWP. A wieczorem weszło do Lubaczowa NKWD i wszystkich ich rozstrzelało.

Zanim wyszliśmy z Lubaczowa, zaatakowano nas z broni maszynowej. Kto – nie wiem. Po drodze rozbijaliśmy Ruskich, niedobitki z oddziałów. Broni nie braliśmy, tylko wyrzucaliśmy zamki. Byli zaskoczeni. Mówili: przecież jesteście armią zaprzyjaźnioną. A my im na to – wy jesteście armią ruską, a my polską, i macie stąd uciekać.

Później słyszałem w różnych komunikatach, czego to wojsko z Lubaczowa nie wyprawiało.

Dotarliśmy do Sieniawy. Tam czekał przewodnik i zaprowadził nas do obozu we wsi Przyimiarki, gdzie kwaterowały oddziały „Mewa”, „Radwan” i „Wołyniak”, zdziesiątkowane walkami z UPA.

3 maja odbyła się wielka uroczystość. W kościele w pobliskiej wsi Cieplice urządziliśmy ołtarz polowy. Po Mszy, w obecności miejscowych księży i niezliczonej ludności cywilnej, złożyliśmy przysięgę Armii Krajowej. Zakończyliśmy uroczystą defiladą. Zabawa trwała do wieczora, dużo ładnych dziewcząt przyszło. Nad ranem zaatakowała nas UPA, ale daliśmy im dobrą odprawę. Nie zaskoczyli nas, bo były wystawione warty. Nasze dowództwo panowało nad sytuacją.

Zaczęła się półoficjalna polsko-bolszewicka wojna. Oni napuszczali na nas żołnierzy w polskich mundurach. Nie wiem, czy to było wojsko czy NKWD, ale na pewno Rosjanie. Nami dowodzili starzy, doświadczeni partyzanci, częściowo jeszcze

przedwojenni podoficerowie. Dowódcą mojego oddziału był kapitan „Mewa”, a plutonu – podporucznik „Bąk”. Ja zostałem „Sroka”.

Teren był podzielony między oddziały „Mewy”, „Radwana” i „Wołyniaka”. Maszerujemy kiedyś w szyku zwartym z naszego obozowiska we wsi Przymiarki do kolonii Pokrzywy, a na wprost nas też idzie zwarta grupa. Rozsypaliśmy się między parkanami. Nagle słychać: „Sie masz, Tolek”. A to bracia – jeden był w naszym oddziale, a drugi w tamtym.

Pierwszą naszą dużą akcją była likwidacja agentów i zdrajców w Tarnogrodzie, gdzie stacjonowało NKWD i UB. Nad ranem okrążyliśmy całe miasto oraz wybrane domy. Z moją drużyną weszliśmy do kilku mieszkań. Na wierzchu leżały porzucone w popłochu biżuteria, obrączki, zegarki, pieniądze – wszystko z rabunków. Nikt z nas nic nie wziął, przestrzegliśmy dyscypliny.

W czasie odwrotu zaatakowano nas. Podjechał samochód sowiecki z cekaemem i strzelał z górką, a nam wypadło cofnąć się na bagna. Całe szczęście, że cekaem przestał trajkotać. Jak zaczął dawać drugą serię, lufa się rozgrzała i pociski zaczęły iść bokiem – tośmy się już nie bali. Ale pojawiła się większa liczba Ruskich. Słyszymy rozkaz: „do tyłu”. A tam wieś. Już spod dachów strzelają do nas z pistoletów. To pojedynczy Ukraińcy, co byli po wsiach. Nie wiadomo, przed kim się bronić. Zajęliśmy wreszcie pozycje obronne na skraju lasu i wpuściliśmy ich w ten pierścień. A potem jak żeśmy im dali zgrupowanym ogniem czadu! Jedna seria, druga! Nieźle ich przetrzepaliśmy.

Po kilku dniach dowiedzieliśmy się, że atakowało nas NKWD i UB z Jarosławia i Przeworska.

W okolicy Sieniawy działały UPA, NKWD, jakaś regionalna armia ruska, UB. Wszyscy oni dążyli do likwidacji naszych oddziałów akowskich i ludności cywilnej, zwłaszcza chłopów. Nie wiadomo było, kto napadł na jaką wieś. Grasowali banderowcy, bulbowcy i UPA. Współpracowali ze sobą. Byli też tam tacy, cośmy ich nazywali „pędzlarze”, bo opędzłowali wioski ze wszystkiego, co się dało załadować na furmanki. Okrążyliśmy ich kiedyś. Ich dowódca nawet sobie dystynkcje poprzypinał. To co zrabowali, porozdawaliśmy ludziom.

Po pobycie w Sieniawie rozpoczęły się przemarsze z miejsca na miejsce i coraz cięższe potyczki. Wszędzie las. Ciągłe ktoś strzelał, to stąd, to stamtąd; właściwie nie wiadomo kto, bo oddziały zwarte nas nie atakowały.

W czerwcu przeszliśmy przez most na Sanie. Dowództwo rozlokowało nas drużynami po okolicznych wsiach, broń złożyliśmy u dowodzącego. W lipcu 1945 oddział został zdemobilizowany. Otrzymaliśmy po trzy tysiące złotych, cywilne ubranie oraz dokumenty – fałszywe kenkarty. Każdy wyjeżdżał na własną rękę. Ja dostałem rozkaz, aby po dwóch tygodniach urlopu zameldować się z powrotem u kapitana „Mewy”. W sierpniu wróciłem do Sieniawy. Dostałem broń i kwaterę. Rządziliśmy tam wszystkim, nawet miejscowe MO nam podlegało.

Wieczorem 15 października przyjechał goniec konny z Przymiarki z wiadomością, że banda UPA pacyfikuje wieś Cieplice i kolonię Pokrzywy. Późno nam dali znać, co się dzieje. „Chłopcy, czas nagli” – wołał dowódca. Wszystko biegiem. Do składu, amunicję i karabiny zabrać. Zawsze jedną amunicję mieliśmy schowaną w kieszonce. Wiadomo było, że języki odcinali, wylupiali oczy, obdzierali żywcem ze skóry. To lepiej palnąć sobie w łeb, niż dostać się im w ręce. Oni znali naszą taktykę. Wiedzieli, że walka będzie do ostatniego, że to jest oddział, który nie bardzo chce się kogoś bać.

Natychmiast ruszyliśmy na kilku furmankach. Ja jechałem na pierwszej, obsługiwałem karabin maszynowy. Zanim dojechaliśmy, wieś została zniszczona. Na podwórkach leżały trupy kobiet, dzieci, mężczyzn. Tylko kilka domów uratowaliśmy od spalenia. Jak daliśmy ognia, to napastnicy wycofali się do pobliskiego lasu. Niektórzy porzucili nawet w popłochu broń. Nie podjęli walki, nie strzelali do nas. A było ich dużo, ponad sto ludzi. Widać ich było dokładnie, kiedy zbiegali z górką przez pole, w kierunku lasu.

Ta wieś łączyła się z drugą – kolonią Pokrzywy, gdzie był kościół. Uratowało się w nim trochę ludzi. Wybiegł do nas ksiądz, ludzie mało nas po rękach nie całowali. Niesamowitą radość im sprawiliśmy przyjeżdżając dla nich – na czas.

We wsi Cieplice zginęło bardzo dużo ludzi. Nie robiliśmy wywiadu, kto napadł, bo nie było na to czasu. Po kilku dniach do Sieniawy przyszło dwóch wieśniaków. Przynieśli naszemu dowódcy kilka ruskich książeczek wojskowych. To były legitymacje NKWD. Nie wiem, z jakiego oddziału, ale nadruk był: NKWD. Domyślaliśmy się, że to jakaś zatajemniczona jednostka. Legitymacje te przesłane zostały do rządu polskiego w Londynie jako dowód rzeczowy, kto tu był.

Zadaniem NKWD było pacyfikować – mordowali wszystkich. Na tym terenie często były

FOT. ZE ZBIORÓW PŁK. STANISŁAWA KSIĄŻKA / MARIUSZ ZŁAZKOWSKI



← Lubliniec Nowy (powiat lubaczowski), 21 maja 1945. Wspólne zdjęcie żołnierzy chroniących członków delegacji podziemia polskiego i ukraińskiego po podpisaniu porozumienia

mieszane rodziny, a UPA swoich oszczędzała, zależało im, żeby mordować tylko Polaków. Po tym też rozpoznawaliśmy, kto był.

Przyjeżdżało do nas UB z Jarosławia. Mówili, że chcą iść razem z nami na akcję przeciw UPA. Kapitan przydzielił im kilku partyzantów. Jak się zaczęła walka w Jastrzębiu, to ubowcy – zamiast strzelać do UPA – celowali do naszych. Gdy nasi się zorientowali, zawrócili z nimi na furmankach do Sieniawy, do dowódcy. Po drodze ubowcy uciekli, a potem napuścili na nas NKWD.

Pewnego dnia przyjechał do nas chłop z Sieniawy. Powiedział, że ma tam kawałek ziemi i chce zasiać oziminę. Ale w pobliskim lesie jest UPA, więc prosi, żeby dać ochronę, i to dzisiaj. Kapitan wysłał mnie i mojego kolegę „Słowika”. Podjechaliśmy pod las. Rolnik zaczął obsiewać swój zagonek, a myśmy zajęli stanowisko w pobliskich krzakach i ustawiliśmy tam karabin. Ja chodziłem sobie w pobliżu, „Słowik” mnie ubezpieczał. Nagle z lasu ktoś wychodzi, trochę po cywilnemu, trochę w mundurze. Buty miał niemieckie, uzbrojony był w pistolet maszynowy. Rękę do góry podniósł i macha tym pistoletem – „Sroka” – mówi „Słowik” – zobacz, co on chce. Zbliżyłem się jakieś piętnaście metrów, a on kładzie pistolet na ziemię i podchodzi do mnie. Pół po polsku, pół po ukraińsku przekazuje mi w zaklejonej kopercie meldunek dla mojego dowódcy. Podał i do widzenia.

Jak przyjechaliśmy, oddałem list, a dowódca czyta, że proszą nas o przebaczenie i pojednanie, żebyśmy razem walczyli ze wspólnym wrogiem – Armią Czerwoną. Dowódca zameldował o tym do Londynu. Nadeszła odpowiedź, że nie mamy prawa łączyć się z UPA; trzeba walczyć z nimi do

ostatka, za to, że tylu Polaków wymordowali.

Po kilku dniach oddział NKWD natarł na Sieniawę. Nie wiadomo, skąd przyszli. Na tej linii Sieniawa–Jarosław nie było połączenia, bo most na Sanie spalony, a na prowizoryczny prom można było załadować tylko furmankę. Zaskoczyli nas. Przyjechali taborami konnymi z bronią maszynową. Wiedzieli wszystko: jak wygląda nasz dowódca, gdzie mieszkamy. Zawiadomiono naszych ludzi. Lejtnant w czapce z granatowym otokiem zaczął wymyślać naszemu dowódcy od polskich banderowców, kontrrewolucjonistów. Najpierw oddano strzały ostrzegawcze, a potem rozgorzała walka. Nieustępliwość była jednaka... Ruscy wciąż wznowiali ogień, dwa domy się zapaliły. Musieliśmy się wycofać ze względu na bezpieczeństwo ludności cywilnej. Ci, co się wdali w bezpośrednią walkę, musieli natychmiast opuścić Sieniawę.

Kiedy odchodziłem z oddziału „Mewy”, Armia Krajowa była już oficjalnie rozwiązana. Potem był WiN: nazwa inna, ale walka ta sama.

ROZMAWIAŁ I PRZYGOTOWAŁ DO DRUKU

Bartłomiej Binder-Frycz

Tekst przygotowany na podstawie autorskich notatek oraz rozmów nagranych i spisanych z taśmy magnetofonowej (Warszawa, 1990). Pełna relacja została złożona do zbiorów Archiwum Wschodniego.

Materiał pochodzi z „Karty” nr 1/1991.

Ukraińskie tropy

Andrzej Chmielarz

Opublikowana w pierwszej „Karcie” relacja Michała Kusego *Zasadzka*, w której autor postawił Ukraińskiej Powstańczej Armii zarzut współpracy z NKWD, wywołuje odruchowy protest. Krzysztof Schramm, w liście opublikowanym w trzeciej „Karcie”, stwierdza wręcz: „Analizując fakty przedstawione przez Michała Kusego, nie mogę zgodzić się z tezą, iż UPA współdziałała z NKWD”. To kategoryczne zdanie, wsparte stwierdzeniem, że NKWD tropiło zaciekle oddziały UPA, jest generalnie słuszne. Pozostaje jednak pytanie, co rzeczywiście kryje się za przedstawionymi w relacji Kusego faktami.

Mamy trzy możliwości. Po pierwsze – nie można wykluczać indywidualnych przypadków

współpracy żołnierzy i oficerów radzieckich, tak z armii jak służb bezpieczeństwa, z podziemiem ukraińskim; po drugie – defensywna postawa Wojska Polskiego, gdzie na stanowiskach dowódczych dominowali oficerowie radzieccy, a także MO i UB (doradcy radzieccy), mogła być interpretowana jako rozciąganie parasola ochronnego nad UPA; po trzecie – działania prowokacyjne, czyli podszywanie się pod oddziały UPA wojsk NKWD i WP (zob. „Karta” 2, Eugeniusz Misiło „Polskie «bandy UPA»”).

O skali tak rozumianej „współpracy” NKWD z UPA trudno dziś z braku rzetelnych badań coś bliższego powiedzieć. Możemy jedynie potwierdzić, że zjawisko takie miało miejsce – świadczą o tym zachowane dokumenty.

(A.C.)

Instrukcja Komitetu Centralnego PPR nr 1/26/45 – Z

Otrzymują: Z-J-Sk-S-D-P.

Ścisłe tajne

Podać do wiadomości tylko tym członkom, którzy byli na ostatniej odprawie sztabu „S” w Głogowie.

Zastosować bezwzględna tajemnicę wobec członków naszej Partii, niemniej należy posługiwać się najbardziej zdolnymi ludźmi w terenie, celem rozpowszechniania podawanych w instrukcjach i rozkazach wiadomości.

Wobec Milicji zachować się umiejętnie, gdyż według [wiadomości] ze sztabu „S”, wielu szpicłów z AK przeniknęło do naszych szeregów. [...]

Do wszelkich incydentów na pograniczu, między Ukraińcami i Polakami, należy zachować się obojętnie. Można nawet zęcnie prowokować incydenty, gdyż nasza sprawa na tym nie ucierpi. Broń Ukraińców jest skierowana wyłącznie

przeciw faszystom z AK. W porozumieniu z NKWD nie dopuszczać, aby wojsko lub Milicja interweniowały w tym kierunku. Działać przy tym bardzo OSTROŻNIE.

Wszystkich tych, którzy działają przeciw nam, niszczyć w sposób podany w okólniku z dnia 18.2.45/457/u, z tym że każdy wypadek należy uprzednio zgłosić na ręce szefa NKWD danej miejscowości.

W razie przejawów większej i nieuchwytej działalności AK w danym terenie, należy wykonać ogólną pacyfikację. Wszystkie przestępstwa, jakie zdarzają się w terenie, składać na r[achune] k AK. [...]

Delegat Szefa Sztabu „S” (-) Ż.

Komitet Centralny PPR

Wydział Organizacji Walki

[ARCHIWUM INSTYTUTU POLSKIEGO I MUZEUM IM. GEN. SIKORSKIEGO W LONDYNIE A 48.4/A5 CZ. III]

Rzezie ukraińskie pod okupacją sowiecką

Ukraińska Armia Powstańcza zajmuje obszary pow. leskiego i sanockiego. Liczy ona tam około 5000 żołnierzy. Trzy sztaby kwaterują w trzech różnych miejscowościach na terenie tych dwóch powiatów. Korpus ten ma łączność z innymi oddziałami operującymi w okolicach Przemyśla oraz z resztą UPA zajmującą nieprzerwanie całe Podkarpacie, przy czym główne siedlisko i centrum organizacyjne mieści się na tak zwanym Pokuciu.

Poza tym UPA ma swoje oddziały zbrojne na Ukrainie sow[ieckiej] pod nazwą „czarna koszka”. Na zajętych przez siebie obszarach UPA organizuje ukraińskie władze samorządowe i administracyjne, ściągą podatki wedle polskiego systemu podatkowego, wymierza sprawiedliwość przez swoje sądy wojskowe: porządek publiczny utrzymuje ukraińska żandarmeria wojskowa. UPA rekrutuje się z oficerów sztabowych i niemieckich oddziałów technicznych, np. saperów. Poza tym wchodzi w jej skład własowcy, Turkmeni, członkowie byłej dywizji SS Chawajczyzna*, ukraińskich organizacji wojskowych i organizacji nacjonalistów ukraińskich. Są tam chłopci, inteligenci oraz specjaliści ukraińscy, np. lekarze, pobrani normalnie do wojska przez komisje poborowe UPA.

Częstokroć spotyka się w oddziałach nawet wysokich oficerów sowieckich, którzy rekrutują się podobnie z nacjonalistów ukraińskich, z Ukrainy sowieckiej. W powiatach leskim i sanockim zajmuje UPA coraz dalsze tereny, paląc wsie polskie, mordując Polaków, niszcząc połączenia drogowe i kolejowe. Milicja Obywatelska zwija swoje posterunki. Władze samorządowe ewakuują zarządy gminne. Inspektoraty nakazały z terenów zagrożonych usunąć dokumenty i pieczęcie szkolne. Ludność polska żyje tam w trwodze i sama się częściowo ewakuuje, bojąc się utracić życie z rąk ukraińskich. UPA otoczyła miasta Sanok, Lesko, Rymanów, uszkodziła linię kolejową Zagórz–Chyrów, wysadzając trzy mosty kolejowe, linię Zagórz–Łuków, wysadzając most, wyminowując wieże ciśnienia i stację wodną w Strzawnym oraz niszcząc na tej linii na wierzchu kolejowym [tor] na przestrzeni kilkunastu kilomet[rów]. Na linii Zagórz–Jasło wyminowała UPA zupełnie

stację w Nowosielcach. Na zajętych przez siebie obszarach UPA pali budynki posterunków Milicji Obywatelskiej, milicjantów rozbraja i rozmundurowuje, a ekwipunek wysyła do własnych magazynów wojskowych lasów poborowych [tak w oryginale]. Zdarza się dlatego często, że oddziały UPA umundurowane są w mundury polskie, dezorientując mieszkańców wsi polskiej. Wojsko Polskie nie odbiera zajętych terenów i zajmuje wobec UPA stanowisko co najwyżej defensywne.

UPA w stosunku do Polaków, stałych mieszkańców tych dwóch powiatów, odnosi się brutalnie, jednak nie morduje, wypędza w białeńce, pali domy i dobytek. Rozrzuca przy tym ulotki wzywające Polaków do opuszczenia województwa rzeszowskiego, jako rdzennie ukraińskiego. Polaków ze wschodu osiadłych na terenach tych dwóch powiatów Ukraińcy mordują, powołując się na specjalne polecenia w tej mierze.

Zostało to dokładnie stwierdzone przy zamordowaniu przez UPA Władysława Leszczyńskiego spod Podhajec, zamieszkałego ostatnio w Zboiskach koło Bukowska. UPA ściągła kontyngenty nie tylko z terenów przez siebie zajętych, ale też i z sąsiednich pozostających pod obecną władzą polską i to nawet ze wsi polskiej. Nastawienie UPA jest nacjonalistyczne i antysowieckie. Świadczy o tym nie tylko uszkodzenie linii kolejowych na wschód, którymi Sowietci przewożą do Rosji transporty z Zachodu, ale także treść ulotek przez UPA wydawanych oraz akcje zbrojne przeciw Sowietom. Zaznaczyć też należy, że w lecie 1945 r. na terenie Małopolski Wschodniej była prowadzona przez Sowietów przeciwko UPA akcja pacyfikacyjna znacząca wielkimi dla Sowietów stratami. Została jednak przez tych ostatnich przerwana aż do dalszych „przekazów”.

Mimo to dla oddziałów UPA Sowietci dostarczają amunicji, np. w rejonie Odrzechowej posłali Ukraińcom dwa auta amunicji w beczkach. Prawie w rejonie Komańczy, w czasie walki oddziału Wojska Polskiego (Wojskowej Ochrony Pogranicza) [z] UPA samolot sowiecki rzucał dla UPA broń. Schwytych i dostawionych do komendy WOP banderowców Sowietci tam urzędujący puszczały wolno, mimo dowodów, że zatrzymani pozbawili życia trzech podoficerów WP (czwarty właśnie zdołał uciec i oświadczył). Na odprawach

* Dywizja złożona z Ukraińców. Oficjalna nazwa w strukturze wojsk niemieckich – SS Galizien, potoczna – Hałyczyna.

komendantów posterunków MO instruktor sowiecki z Bezpieczeństwa pouczał w grudniu 1945 r., że nie banderowców należy ścigać, a AK i chłopów polskich, którzy mają broń.

Z tego wynika, oficjalnie koła sowieckie, aczkolwiek u siebie zwalczą[ją] banderowców, to jednak na terenie polskim ich popierają w celu wywołania zamętu i niepokoju. Równocześnie, aby ludność polską źle ustosunkować do Armii Andersa, rozpuszczają wiadomości, że banderowcom mordującym Polaków dostarcza broni Anders. Wyżsi oficerowie WP – Sowietci – nie przychodzą z pomocą napadniętym wsiom polskim, dopuszczając do ich kompletnego zniszczenia. W pierwszych dniach sierpnia 1945 r. napadniętej Średniej Wsi pułkownik Wojska Polskiego nazwiskiem Kiryluk nie przyszedł z pomocą z odległego o 9 km Leska. Tej samej nocy UPA niszczyła sąsiednie wsie i miasteczka, jak Hoczew i Baligród, mordując Polaków i pałac domostwa. Dnia 29 grudnia 1945 r. banda UPA zaatakowała Nowosielce, Pilnie i Długie. Pułkownik Pluto ze Sanoka (również Sowiet) nie podążył na pomoc. Ukraińcy wtedy w samych Nowosielcach spalili 200 domów i wymordowali 20 rodzin oraz wysadzili stację kolejową.

Wieś Długie, która się obroniła, ma dochodzenie o posiadanie broni. Ludność tamtejsza na darmo interweniuje u władz naczelnych przez Rady Narodowe i władze partyjne. Z tego powodu nawet PPR-owiec Goł, prezes powiatowej Rady Narodowej musiał ustąpić. Ludność ukraińska we wszystkich swoich warstwach (nawet tzw. starzy Rusini) popiera bez zastrzeżeń Ukraińską Powstańczą Armię moralnie i materialnie oraz pełni funkcję wywiadowczą dla sztabów ukraińskich.

Dalszy rejestr zbrodni

W styczniu banderowcy spalili 87 domów w Dylągowej, pow. Brzozów, byli ranni i zabici. Dokno koło Rymanowa spalono 46 gospodarstw, 6 osób zginęło w płomieniach. Wołtarzewo koło Rymanowa spalono całą wieś. W Rymanowie-Zdroju spalono trzy wille zajmowane przez sieroty, których rodziców wymordowali Ukraińcy na wschodzie. Nowosielce, pow. Sanok banderowcy spalili 158 gospodarstw, 16 osób zastrzelono, 2 ciężko raniono. Stacja kolejowa spalona i wysadzona w powietrze. Bircza, pow. Sanok i Lesko,

prawie co noc pożary. W Hermanowicach koło Przemysła spalono część wsi i dwór. W Kupiatyczach spalono również część wsi i dwór. W lesie koło Krownik zabito kilku żołnierzy polskich. W czasie strzelaniny złapano 6 graniczników sowieckich współpracujących z banderowcami. 20 stycznia spalono Uszyce dwór. Ukraińcy w dalszym ciągu wyjeżdżają na polskie dokumenty na Zachód.

[FRAGMENTY NIEDATOWANEGO (LUTY–MARZEC 1946) SPRAWOZDANIA WiN (?) Z TERENU WOJEWÓDZTWA RZESZOWSKIEGO (KARTY 18–20). ARCHIWUM WIH III/35/24 K. 13–15.]

Załącznik nr 3 do meldunku sytuacyjnego nr 32 z 5 IV 1945 r. Okręgu Krakowskiego AK

Dnia 15 III [1945] przybył do m. Łubno w godzinach wieczornych oddział w sile ok. 80 ludzi z kier[unku] południowego. Oddział ten po drodze w Nozdrzcu rozbroił milicję, zniszczył telefony. Z wyglądu robił wrażenie oddziału ukraińskiego, zwłaszcza że znajdowali się w nim zbiegli, wzgl[ędnie] wysiedleni z tych terenów miejscowi Ukraińcy, oraz że byli w większości ubrani po cywilnemu, częściowo w mundurach polskich, a częściowo w sowieckich. Opinia publiczna doszła do przekonania, że są to banderowcy, co zostało ugruntowane faktem, że żaden z okolicznych posterunków milicji nie miał zawiadomienia o jego przybyciu*. Milicja w Dynowie, wraz z władzami bezpieczeństwa, szukała rozwiązania tej zagadki. Na ich zapytanie, starostwo w Brzozowie, władze bezpieczeństwa w Brzozowie, Przeworsku, Sanoku, Przemysłu oraz w Rzeszowie zgodnie stwierdziły, że nic o żadnym oddziale wojskowym nie wiedzą, za tym jest to banda ukraińska. Starosta w Brzozowie nawoływał do obrony, wołając: „Rodacy wytrwajcie, pomoc nadejdzie”. O pomocy zapewnił również Rzeszów i Przemysł. Kierownik „Związku” zorganizował samoobronę spośród b[yłych] żołnierzy AK, by odeprzeć ewentualny napad, jakie w tamtych okolicach często mają miejsce.

Dnia 16 III oddział, o którym wspomniano, rozpoczął aresztowanie Polaków i rabunki na terenie m. Łubno. Aresztowano 43 osoby i spędzono je do cerkwi. Poszukiwanej broni nie znaleziono.

* Zob. także Stanisław Kluz, *W potrzasku dziejowym. WiN na szlaku AK*, Londyn 1978, str. 265–269.

Następnego dnia oddział skierował się do Dynowa, lecz na przedmieściu otrzymał silny ogień od milicji i cywilnych ubezpieczeń. U npla [nieprzyjaciela] był 1 zabity i 4 rannych. Po naszej stronie 1 ranny. U npla po otrzymaniu ognia powstała panika, z której skorzystali aresztowani i część ich zbiegła. Równocześnie drugi oddział npla w sile 30 ludzi usiłował przeprować się przez San, lecz wycofał się w popłochu pod ogniem, tracąc przy tym kilku zabitych (około 15) i kilku rannych. W tym czasie npl otrzymuje pomoc w sile ok. 400 ludzi, z ciężką bronią maszynową na tarczankach, działkami i taborem, a równocześnie nadchodzi z Rzeszowa nadesłana przez władze PKWN pomoc w sile 80 ludzi i milicja kolejowa z Przeworska w sile 20 ludzi, oraz samochody z większą ilością wojska berlingowskiego. W tym momencie nadchodzi z Sanoka wiadomość, że npl – to jest oddział NKWD. Przed samym przyjęciem tej wiadomości d[owó]dztwo posiłków npla zostaje przyjęte silnym ogniem z naszej strony, co później milicja przyjęła na siebie, opierając się na rozkazie bezpieczeństwa. Mimo to milicja, której groziło aresztowanie, w całości zbiegła. Nasze oddziały samoobrony rozplynęły się również, a npl wyszedł z Dynowa. Na miejscu w Dynowie, jak i we wioskach okolicznych pozostali tylko mężczyźni, którzy uważali, że ze względu na swój wiek lub inne okoliczności nic im nie grozi.

Dnia 17 III w nocy przedmieścia dynowskie, Bachórz, Harta, Ulanica, Futoma, Karolówka, Batkówka zostały otoczone. Dnia 18 III rankiem nastąpiły w tych miejscowościach aresztowania. Zabierano wszystkich mężczyzn do lat 50 i rabowano mienie. Ogółem aresztowano ok. 500 osób. Wszystkich skoncentrowano w Nozdrzu, a ostatnio doprowadzono do Sanoka. Ogółem biorąc, wśród aresztowanych jest ok. 20% żołnierzy AK. Nad aresztowanymi znęcano się. Wg wypowiedzi NKWD, mężczyźni ci mają być wcieleni do armii sow[ieckiej] i natychmiast odesłani na front, a akcja miała na celu, obok ochrony wysiedlonych w tej chwili Ukraińców, spacyfikowanie tych terenów za ich opór do zarządzeń mobilizacyjnych. Akcja trwała do dnia 24 III, przy czym spacyfikowana została również m. Futoma. Jak stwierdzono, akcję przeprowadzało NKWD z Sanoka. Akcja była planowana cichaczem i upozorowana

napadem banderowców. Wprowadziła ona w błąd województwo i władze bezpieczeństwa rzeszowskie[go] i wywołała interwencję wojewody u Osóbki Morawskiego, przy czym wojewoda rzeszowski Tkaczow powoływał się (telefonicznie) na § 8 umowy PKWN a ZSSS, mówiąc, że „albo my rządzymy, albo kto inny. W tym wypadku nie chcę być wojewodą”.

Zbiegła milicja ukrywa się i melinuje, oddając naszym ludziom swoje mundury i broń. D[owó]dca berlingowców zawiadomiony, że jest to NKWD, klnąc, zwracał się do naszych ludzi i mówił „uciekajcie, kto może, przed tymi draniami. To jest straszny podstęp ze strony NKWD, niech ich cholera weźmie”. Berlingowcy na akcję tę otrzymali tylko po 5 n[a]b[oi] na karabin i po jednym magazynku na pistolet maszynowy.

[ARCHIWUM WIH III/22/29 K. 32]

Instrukcja Komitetu Centralnego PPR nr 3/28/111/45 – ZK

Otrzymują J-T-D-P

Tajne

Odnośnie ostatnich wypadków w Dynowskim, puszczać wersje, był to odwet banderowców na AK oraz że AK napadało na oddziały sow[ieckie]go] bezpieczeństwa i dlatego nastąpiły te aresztowania i sankcje.

Jeżeli są straty w naszych ludziach, należy natychmiast zgłosić w C[entralnym] K[omitecie] i ci zostaną niezwłocznie odstawienni do domu i z powrotem.

Obserwować ruchy działaczy ludowych, gdyż według informacji wywiadu radzieckiego, ma przybyć do Polski jeden z działaczy chłopskich jako delegat sanacyjnej klikki emigracyjnej z Londynu.

Komitet Centralny PPR
Wydział Organizacji Walki
[ARCHIWUM INSTYTUTU POLSKIEGO I MUZEUM IM.
GEN. SIKORSKIEGO W LONDYNIE A 48.4/A5 CZ. III.]

OPRACOWAŁ DO DRUKU
Andrzej Chmielarz

Materiał pochodzi z „Karty” 4/1991.

Ukraińskie „powstanie”



FOT. STANISŁAW POTOCKI / MUZEUM HISTORICZNE W SANOKU

↑ Bukowsko po atakach UPA, wrzesień 1946

Grzegorz Motyka

Dowódca Ukraińskiej Powstańczej Armii w Galicji Wschodniej Wasyl Sydor „Szelest” 1 września 1944 wydał swoim podwładnym zakaz atakowania polskiej ludności. Dozwolone było jedynie zwalczanie Polaków służących w tworzonych u boku NKWD *istriebitielnych batalionach* i współpracujących z komunistami. Decyzja ta była początkiem procesu zmiany taktyki UPA wobec Polaków.

Jednak wielu lokalnych dowódców nie chciało się podporządkować rozkazom przełożonych. Stąd ciągle zdarzające się zabójstwa,

szczególnie widoczne wiosną 1945 w dawnym województwie tarnopolskim. Stopniowo stawały się one jednak coraz radsze. Zmiana nastawienia UPA do Polaków jest najlepiej widoczna na ziemiach dzisiejszej Polski. Jeszcze jesienią 1944 obowiązywały tu ściśle tajne wytyczne dowództwa OUN-UPA zezwalające na likwidowanie wybranych polskich rodzin, łącznie z kobietami i dziećmi. Rok później, jesienią 1945, takie praktyki były już zakazane.

Ziemie dzisiejszej Polski miały dla UPA znaczenie drugorzędne. Główne jej siły zawsze były skoncentrowane na Wołyniu i w Galicji Wschodniej. Wbrew obiegowym mitom, UPA nie miała też zamiaru stworzenia w Bieszczadach

„ukraińskiego Piemontu”. Traktowała ona te ziemie jako „okno na świat”, ważny kanał łączności pomiędzy Ukrainą a Zachodem. Poza tym miała za zadanie przeciwstawić się prowadzonym przez władze komunistyczne wysiedleniom Ukraińców do ZSRR.

Przesiedlenia ludności ukraińskiej były efektem umowy zawartej 9 września 1944 pomiędzy Polskim Komitetem Wyzwolenia Narodowego a rządem Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Na jej podstawie Ukraińcy mieli opuścić Polskę, a Polacy USRR. Ponieważ Ukraińcy – czemu trudno się dziwić – nie chcieli wyjeżdżać dobrowolnie, władze Polski Ludowej postanowiły użyć siły. Przymusowe wysiedlenia do ZSRR rozpoczęły się we wrześniu 1945 i trwały do końca 1946 roku. Prowadziły je jednostki Wojska Polskiego, które często stosowały brutalny terror. Niejednokrotnie miały miejsce rabunki, gwałty oraz zabójstwa. Dzięki tym metodom – porównywalnym do stosowanych wobec Polaków „repatriujących się” ze wschodu – według oficjalnych danych wyjechało 488.612 osób.

Akcja wysiedleńcza wywołała kontrakcję OUN-UPA. Jesienią 1945 przystąpiono do gwałtownego rozwoju oddziałów partyzanckich. Liczba działających w Polsce sotni wzrosła z kilku do kilkunastu. W szeregach UPA znalazło się wielu ochotników, którzy chcieli bronić bliskich przed wypędzeniem z ojcowizny. Z tego samego powodu działania partyzantki poparła duża część ukraińskiej społeczności.

W celu uniemożliwienia wysiedleń, UPA przeprowadziła dziesiątki akcji bojowych. Niszczono tory kolejowe, mosty, palono wysiedlone wioski, organizowano zasadzki na oddziały wojska, wycinano całe kilometry słupów telefonicznych. Nierzadko atakowano garnizony wojskowe i przyjmowano otwarte bitwy z silnymi grupami pościgowymi. Palono także miejscowości zamieszkałe przez Polaków, lecz w odróżnieniu od sytuacji na Wołyniu w 1943 roku, tym razem przynajmniej starano się nie zabijać cywilów. Skala oporu wobec wysiedleń była tak duża, iż wydaje się zasadne mówienie o czymś w rodzaju ukraińskiego powstania.

Oddziały UPA nie mogły zatrzymać wysiedleń, ale odniosły wiele taktycznych sukcesów. Zdarzały się zwycięskie starcia roju (drużyny) z kompanią WP, czoty (plutonu) z batalionem!

Niewątpliwie wpływ na te sukcesy miał wysoki poziom bojowy sotni. Jednak jest to tylko część prawdy. Dziś często przedstawia się walkę z UPA w latach 1945–47 jako priorytetową dla ówczesnego państwa polskiego. Tak jednak nie było. W rzeczywistości dla komunistów głównym wrogiem było polskie podziemie i opozycja. W specjalnym raporcie sporządzonym wiosną 1946 w Naczelnym Dowództwie Wojska Polskiego istnienie UPA określono jako mające „charakter raczej przejściowy”. „Więcej stały charakter (na dłużej się zapowiadający) ma działalność band reakcyjnych NSZ i AK. Tworzą one największe zagęszczenie band i stanowią główne niebezpieczeństwo [...] szczególnie w czasie walki wyborczej”¹. W 1946 roku w dowództwie WP przewidziano użycie do walki z „reakcją” żołnierzy szesnastu dywizji piechoty (1–12, 14–16 i 18), 1 Dywizji Kawalerii, 12 i 13 brygady artylerii, 76 manewrowego pułku artylerii, 24, 25 i 28 pułku artylerii szturmowej, 24, 27 i 28 samodzielnego dywizjonu artylerii ciężkiej oraz 1, 6 i 9 pułku czołgów. Spośród tych jednostek przeciwko UPA skierowano jedynie 3, 8 i 9 DP oraz niektóre oddziały z 2, 6 i 15 DP². Pozostałe walczyły z „polskimi faszystami”³.

Władze komunistyczne postanowiły bardziej zdecydowanie zająć się UPA dopiero w 1947 roku, po sfałszowaniu wyborów do Sejmu Ustawodawczego oraz zniszczeniu głównych sił polskiego podziemia. Dla ułatwienia sobie zadania dokonano tego poprzez kolejne masowe wysiedlenia ludności ukraińskiej, tym razem na Ziemię Zachodnią; operację tę ochrzczono kryptonimem „Wisła”. Prowadzone jednocześnie z wysiedleniami akcje przeciwpartyzanckie doprowadziły do wykrwawienia sotni UPA. Resztki oddziałów zostały rozformowane bądź przeszły do ZSRR lub Zachodnich Niemiec.

W czasie akcji „Wisła” w 1947 roku użyto do likwidacji partyzantki ukraińskiej sił aż nadto wystarczających – w sumie 21 tysięcy żołnierzy WP, Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Wojsk Ochrony Pogranicza oraz Milicji Obywatelskiej, Służby Ochrony Kolei i Urzędu Bezpieczeństwa. Tymczasem w działaniach towarzyszących referendum w 1946 roku brało udział 36 tysięcy żołnierzy WP i 7970 KBW, nie licząc MO, Ochotniczej Rezerwy MO i UB. Zimą 1947 polskie podziemie i PSL zwalczało już 56 tysięcy samych tylko żołnierzy WP³.

Przeciwko polskiej opozycji kierowano bardzo często także te oddziały, które miały za zadanie zwalczać UPA. I tak na przykład 9 DP w ramach „zabezpieczenia” wyborów do Sejmu w grudniu 1946 i styczniu 1947 (w najlepszym czasie do zwalczania partyzantki!) zorganizowała 555 wieców, „obsłużyła” 542 gromady wiejskie, objęła „pracą indywidualną” 9940 osób. Dywizyjne brygady artystyczno-propagandowe dały 84 występy dla 35.618 widzów. Argumentacja żołnierzy 9 DP była tak „przekonująca”, że „w czasie wieców członkowie PSL publicznie darli swe legitymacje”⁴. W efekcie „rozwiązało się” 51 kół Mikołajczykowskiego PSL, a 2092 członków stronnictwa opuściło jego szeregi. Poza tym wojsko usunęło ze stanowisk 44 wójtów i sołtysów związanych z PSL, zastępując ich działaczami prokomunistycznymi⁵.

Nawet podczas przeciwukraińskiej akcji „Wisła” nie zrezygnowano z działań mających na celu pozbycie się Polaków niewygodnych dla władz. Zdarzały się wypadki, iż „w jednym

transporcie jechały rodziny ukraińskie, których członkowie byli w UPA, i rodziny polskie, które straciły swych najbliższych w wyniku działalności ukraińskiego faszystwu”⁶.

Zamieszczone poniżej dokumenty pokazują ewolucję stanowiska UPA wobec Polaków. Spośród bardzo wielu ukraińskich akcji bojowych wybrano jedynie najbardziej charakterystyczne. Ukraińskie meldunki zostały uzupełnione sprawozdaniami polskich władz samorządowych (ewentualnie w przypisach wskazano na dostępne opracowania zawierające opis wybranego starcia).

Z dokumentów widać wyraźnie, jak wielką wagę władze komunistyczne przykładały do niszczenia polskiego podziemia, nawet na terenach objętych działaniami UPA i w czasie największego nasilenia jej uderzeń. Wojsko Polskie nie miało sił na stworzenie garnizonów w miejscowościach narażonych na ataki UPA (np. w Bukowsku), natomiast zawsze je znajdowało na prowadzenie operacji mających na celu umocnienie totalitarnej władzy. (GRZEGORZ MOTYKA)

Rozkaz dowódcy UPA Zachód Wasyla Sydora „Szelesta” nr 7/44 z 1 września 1944

[...] Zasadniczo masowe akcje antypolskie wstrzymujemy. Jednak konsekwentnie należy je prowadzić przeciwko wszelkiemu polskiemu elementowi współpracującemu z NKWD oraz z tymi organami moskiewskiego imperializmu, które dążą do moralnego i fizycznego zniszczenia narodu ukraińskiego (przykład [akcji przeciwko takim Polakom – przyp. G.M.]: napad na polską milicję w jakimś ośrodku, która liczy 20 osób. Należy zniszczyć trzecią część czy połowę z nich, resztę rozbroić i uprzedzić, że jeśli nie zaprzestaną współpracy z bolszewikami przeciwko nam – następnym razem też zostaną zniszczeni)⁷.
CENTRALNE PAŃSTWOWE ARCHIWUM WYŻSZYCH ORGANÓW WŁADZY I ADMINISTRACJI UKRAINY (CDA-WOWU) W KIJOWIE, F. 3833, O. 2, D. 3, L. 64–68.

Informacja zastępcy naczelnika 6 Oddziału Wydziału do Walki z Bandytyzmem NKWD ZSRR majora bezpieczeństwa Czugunowa, 28 listopada 1944

Ścisłe tajne

O stosunku ukraińskich nacjonalistów do Polaków

W czasie śledztwa w sprawie nacjonalistycznej działalności OUN-UPA ustalono, iż w ostatnim

czasie ounowcy gwałtownie zmienili swój stosunek do Polaków, starając się przyciągnąć ich do wspólnej walki przeciwko sowieckiej władzy.

[...]

Aresztowana członkini stanisławowskiego obwodowego prowodu⁸ OUN Szlemko podczas przesłuchania w tej sprawie powiedziała:

„OUN w nowy sposób traktuje problem stosunku do Polaków. Jeśli wcześniej były dawane rozkazy niszczenia Polaków jako kolonistów, to teraz stawia się problem wspólnej walki OUN i polskich nacjonalistów przeciwko władzy sowieckiej w celu niedopuszczenia do sowietyzacji Polski”.

Dowództwo UPA wydało rozkaz, w którym zabrania się stosowania represji przeciwko Polakom.

Agent „Wojnow” działający w bandzie UPA „Bystrego” doniósł, że na jednej z porad dowództwa kurenia „Bystry” ogłosił:

„Otrzymaliśmy rozkaz kategorycznie zabraniający stosowania represji przeciwko Polakom niewchodzącym w skład polskich bojówek i niezamieszanych w szpiegostwo. Ten rozkaz powinien być przekazany każdemu żołnierzowi UPA i miejscowym bojówkom, ponieważ odcinamy się od przeszłości; wszystko jedno, czy to będzie Polak,

Rosjanin czy Czech – byleby pomagał budować «Niepodległą Ukrainę»”.

PAŃSTWOWE ARCHIWUM FEDERACJI ROSYJSKIEJ (GARF) W MOSKWIE, F. 9478, O. 1, D. 117, L. 49.

Rozkaz OUN-UPA, 10 maja 1945

Do dowódców oddziałów UPA, prowidów rejonów i kuszców⁹.

Ponieważ do tej pory zdarzają się nieporozumienia co do nowej taktyki przeciwko Polakom i bolszewikom na terenie Polski, jeszcze raz wysyłamy rozkaz w tej sprawie.

Na ziemiach ukraińskich, które czasowo weszły w skład polskiego terytorium bolszewickiej okupacji, obowiązuje nas i całą organizację, a także grupy zbrojne, przyjęcie nowej taktyki przeciwko bolszewikom i Polakom.

1. Nie ma konieczności przeprowadzania jakichkolwiek działań przeciwko Polakom. Nie ma konieczności rozpoczynania zbrojnych starć z polską milicją, polskim wojskiem, a tym bardziej z polską ludnością cywilną.

2. W wypadku napadu polskiej milicji i innych band, a także w wypadku zasadzek należy prowadzić aktywną zbrojną obronę. [...] także wtedy, gdy przeciwnik ma przewagę.

3. Należy prowadzić intensywny wywiad na temat pochodzenia napadającej bandy [...].

Zakazuje się prowadzić bez zezwolenia odwetowe działania przeciwko polskiej ludności z tych środowisk, które pozostają pod wpływem kłamstw tych band, jednak należy zastosować wszelkie środki, aby napadająca banda była zniszczona.

Akty odwetu przeciwko osobom polskiego pochodzenia, które kontynuują swoją terrorystyczną działalność, także będą przeprowadzone, ale tylko po dokładnym rozpoznaniu i przygotowaniu, na rozkaz kompetentnych władz politycznych organizacji.

4. Pojedynczych Polaków zatrzymanych w ukraińskiej miejscowości nie należy zabijać, lecz koniecznie surowo sprawdzać. Tych, których sąsiedzi Ukraińcy dobrze znają jako miejscowych ludzi nieprawomyślnych [tj. niewspółpracujących z Sowietami] – przekazywać w ręce Polaków z największej [pobliskiej] wsi, nakazawszy im, by nigdy więcej nie chodzili po obcej miejscowości, ponieważ jest niebezpieczeństwo bolszewickiej prowokacji.

O każdym takim wypadku należy poinformować organizację i przekazać dokładne dane: nazwisko, imię i miejsce zamieszkania, wykształcenie,

rodzaj wykonywanych zajęć, kto go zna, komu i kiedy został przekazany. W czasie przekazywania wziąć pokwitowanie od przejmujących. Tych, których miejscowi chłopci nie znają, a także tych, których znają, lecz podejrzewają o współpracę z bolszewickim wywiadem, zatrzymywać (ale nie bić). Tym ostatnim zorganizować dobrą ochronę i obserwację i natychmiast poinformować [o nich] wyżej, przekazując wszystkie potrzebne dane takiej osoby.

5. Wśród polskiej ludności prowadzić zorganizowane rajdy oddziałów, rozpowszechniać literaturę, prowadzić silną propagandę na rzecz wspólnego wyzwolenia wszystkich narodów zniewolonych i zastraszonej przez bolszewicko-moskiewski imperializm.

W żadnych okolicznościach nie zaostrzać stosunków polsko-ukraińskich.

Zakazujemy pojedynczym strzelcom i członkom organizacji z własnej inicjatywy bratać się i rozpoczynać jakiegokolwiek rozmowy [z Polakami].

Stosunek do bolszewików:

1. Podtrzymywać antybolszewickie wystąpienia mas. Wyjaśniać, że za masowym polskim terrorem ukrywa się w pierwszej kolejności ręka bolszewicka.

2. Uchyłać się i nie podejmować we własnej miejscowości żadnych działań skierowanych przeciwko bolszewikom (walka zbrojna).

Na terenach, które odeszły do Polski, nie wysuwać Ukraińców jako głównej siły antybolszewickiej. To zadanie wypełniają na terenie Ukrainy. Na polskim terenie pozostawić aktywne, uzbrojone grupy, które będą działać w wypadku terroru i innych działań przeciwko nam.

3. Chwytać bolszewickich wywiadowców tak jawnych, jak i niejawnych, którzy wysyłani są masowo w nasze lasy; przekazywać ich kompetentnym instancjom organizacji.

Niewypełniający rozkazu zostaną surowo ukarani¹⁰.

Chwała Ukrainie!

Miejsce postoju, 10 maja 1945 K.P.
GARF, F. 9478, O. 1, D. 292, L. 80–82.

Instrukcja UPA na temat postępowania z jeńcami, sierpień 1945

Oddziały UPA, SB [Służba Bezpieczeństwa OUN] [...] wypełniają często zadania bojowe, w których biorą lub mają możliwość wzięcia jeńców. Schwytanych żołnierzy wrogich armii, zgodnie

z obowiązującymi instrukcjami, przekazują władzom organizacyjnym i śledczym w celu przesłuchania, przygotowania propagandowego i zwolnienia. W ten sposób zwolniono dotąd setki jeńców. Mimo tego zdarzają się wypadki, kiedy takie postępowanie nie znajduje należytego zrozumienia. Zdarzają się wypadki, że komendanci oraz strzelcy wykonujący operację bojową nie przykładają należytej uwagi do tego, żeby wziąć jeńców, a jak ich mają, to uważają ich za ciężar dla siebie. [...] Z drugiej strony zdarzają się wypadki, że zwolnieni przeprowadzają obławę na miejsce, gdzie ich trzymano. Tego rodzaju fakty wywołują jeszcze większe niezadowolenie. Po co takiego dziada zwalniać, mówią nieraz strzelcy, skoro on nam nowej szkody narobi.

Pomimo to przypominam, że nakazane w poprzedniej instrukcji chwywanie i zwalnianie żołnierzy wrogich armii, którzy nie są indywidualnie odpowiedzialni za przestępstwa przeciwko ludności ukraińskiej – jest obowiązkiem. Takie postępowanie ma dla nas duże znaczenie propagandowe. Zwolnienie jeńca, nawet w wypadku, kiedy on później przyprowadzi obławę – w niczym nie traci swojego wielkiego znaczenia propagandowego. Jeśli nawet żołnierz nieprzyjacielski nie zmieni swojego wrogiego stosunku do nas, to mimo wszystko jego koledzy dowiedzą się, że my nie odnosimy się do nich z osobistą wrogością, że my ich zwalniamy – i będą szybciej się poddawać. Żołnierz, który będzie wiedział, że czeka go pewne rozstrzelanie, nie podda się, lecz będzie walczył do ostatniego naboju.

Dlatego każdy dowódca i każdy strzelec powinien pamiętać, że zdobycie jeńców zwiększa bardzo poważnie sukces każdej operacji bojowej [...]. W tym celu należy ze wszystkimi jeńcami obchodzić się bardzo uprzejmie. Nie bić, nie grozić, rannych opatrzyć, dać jeść, zapewnić, że nie stanie się im nic złego [...] i odstawić do władz śledczych i organizacyjnych. Nie wolno także zabierać żadnych rzeczy stanowiących prywatną własność, jedynie broń i dokumenty. Dokumenty zapieczętować i przekazać czynnikom śledczym razem z jeńcem.

Można także ich przemundurować w zniszczone ubranie cywilne, wyjaśniając, że mundur zabieramy, bo stanowi on własność wojskową [...] i dlatego podlega konfiskacie, zgodnie z obowiązującymi u nas instrukcjami. Przy tym też zachowywać się uprzejmie, żeby nie miało to charakteru zdzierania, żeby w ogóle jeńca niczym nie terroryzować. Należy jednak pamiętać o zachowaniu

wszelkich wymogów bezpieczeństwa i konspiracji: a) żeby jeńiec nie mógł uciec, b) żeby nie widział i nie orientował się, gdzie się znajduje, ilu nas jest, jak jesteśmy uzbrojeni i jakie u nas panują zasady. Dlatego w razie potrzeby wiązać jeńcom ręce z tyłu, a nawet nogi. Wiazać tak, aby nie mógł się rozwiązać. W razie potrzeby należy także zawiązywać oczy. [...] Jeśli przy tym będziemy uprzejmi i wyjaśnimy jeńcowi, że to konieczne, ponieważ u nas są takie przepisy – to w niczym nie zaszkodzi to naszej reputacji. Surowe, urzędowe postępowanie, ale przy tym grzeczne i sprawiedliwe, powiększy tylko jeszcze respekt dla nas. [...]

Sytuacja czasem wymaga przetrzymania jeńca przez pewien czas, zanim powstanie możliwość przekazania go odpowiednim czynnikom. W tym celu należy mieć gotowe odpowiednie ziemianki-kryjówki, specjalnie przygotowane, aby nie prowadzić jeńca do obozu i zbiorczych punktów. Tam trzymać związanych, pod srogą strażą, dostarczać wodę i jedzenie. [...] Ręce można rozwiązać tylko na krótki czas jedzenia czy załatwienia innych najbardziej koniecznych potrzeb. Podczas rozwiązywania na straży musi być co najmniej dwóch strzelców przygotowanych na wszystkie ewentualności [...].

Władze śledcze muszą także mieć przygotowane pomieszczenia dla jeńców oraz powinny stosować wszystkie zasady ostrożności, włącznie z wianiem oczu, rąk i nóg. Po przeprowadzeniu błyskawicznego śledztwa należy właściwie ukarać winnych mordów, rabunków i terroru. Z pozostałymi przeprowadzić propagandowe rozmowy, przyczyny surowego traktowania (wiązania, zabrania munduru) wyjaśnić koniecznością naszej walki, partyzanckiej taktyki i obowiązującymi u nas przepisami, co w niczym nie zmniejsza naszego ludzkiego, humanitarnego zachowania, zgodnego z międzynarodowymi prawami prowadzenia wojny. Dać nasze materiały i wypuścić.

Jeżeli dowódca jakiegoś oddziału, który zdobył jeńców, [...] nie ma możliwości trzymania jeńców i przekazania ich do dalszego śledztwa [...], wtedy może z konieczności zrobić to własnymi siłami – tj. przesłuchać jeńców, żeby zdobyć wojskowe informacje i ustalić, czy wśród nich nie ma enkawudystów czy innych ludojadów-terrorystów, przeprowadzić rozmowy propagandowe, dać ulotki i zwolnić¹¹.

ARCHIWUM MSWiA, AKTA ŚLEDZTWA PRZECIWKO MIROSLAWOWI ONYSZKIEWICZOWI, X-15, k. 61 i 61 BIS.



← Żołnierze 36 pułku piechoty WP

Relacja por. Wojska Polskiego Józefa Jareckiego

[...] Dnia 15 grudnia 1945 wyjechałem z miejscowości Jasiel do Komańczy na odprawę dowódców Strażnic. Po odprawie w dniu 16 grudnia i po załatwieniu wszystkich spraw służbowych, udałem się w podróż powrotną tą samą podwodą, którą przyjechałem. Około godz. 17.00 przyjechałem do miejscowości Wisłok W[ielki]. W pewnym momencie, kiedy byłem w środku wsi, wyskoczyli z domów jacyś osobnicy, krzyknęli „stój” i oddali jeden strzał. Ponieważ zjeżdżałem z góry, konie biegnęły szybko i zatrzymały się dopiero po kilku krokach. W bandzie, która mnie zatrzymała, było około 18 osób. [...]

Zaraz po zatrzymaniu mnie i kaprała Stomiasza, który jechał ze mną, powracając z urlopu, przystąpił do nas starszy tej bandy i zapytał się, kto ja jestem i dokąd jadę, a także pytał woźnicę, skąd pochodzi. Odpowiedziałem mu, dokąd jadę, a wtedy zaproponował mi, abym pozostał w tej wsi na nocleg, ponieważ dalej krążą patrole po drodze, więc mogę wpaść w obce ręce. O nic więcej nie pytał mnie. Wskazał mi zaraz kwaterę na noc, dwóch ludzi poszło ze mną do tego domu, gdzie miałem zanoć. Po przybyciu dowódcy tej bandy polecił gospodarzowi w języku polskim, ażeby nam przygotował kwaterę i kolację.

Około godz. 21.00 przyszli jacyś osobnicy w liczbie około dziesięciu. Poznałem zaraz, że to banderowcy. Załadali dokumentów, przeprowa-

dzili osobistą rewizję, przy czym powiedzieli, że nie wierzą, że dokumenty moje są prawdziwe, ponieważ dzisiaj jest dużo szpiegów i dokumenty mogą być sfalszowane. Przy rewizji zabrali pistolet T.T. i mnie 1010 złotych i kapralowi 950 złotych. Po rewizji naszych rzeczy zabrali portfele, związali je do chustki i dali konwojentowi. Kazali nam się ubrać i pojechaliśmy rzekomo do ich sztabu, celem sprawdzenia naszej tożsamości i wylegitymowania. Gdzie to było, nie wiem, gdyż było ciemno – jechałem do tego sztabu od godz. 21.30 do godz. 1.00. Konwojowało mnie sześciu banderowców.

Po przybyciu banderowcy wskazali mi kwaterę, gdzie przebywałem do godz. 3.00. O godz. 3.00 wyjechaliśmy dalej i jechaliśmy w nieznanym mi kierunku do godz. 6.00. W tej miejscowości odebrali nam nasze czapki wojskowe i dali zimowe sowieckie. Przebywałem tutaj przez cały dzień, przy mnie było sześciu nowych konwojentów. W nocy około godz. 23.00 zbudzili mnie, kazali się ubrać, wyprowadzili do sieni, gdzie skuli mnie i kaprała w kajdanki. Następnie nakryli nam głowy kocem, byśmy – jak powiedzieli – ze względów konspiracyjnych nie mogli rozpoznać terenu. Przeprosili nas za to i zaprowadzili do sani. Jechałem aż do godz. 3.00 do nowej, nieznanego mi miejscowości, gdzie przebywałem aż do zwolnienia.

Trzy dni siedziałem beczczynnie. Nikt w ogóle nie przychodził do mnie, nigdzie mnie nie wołano. [...] W trzecim dniu przyszedł do mnie dowódca bandy, tak przynajmniej sam wywnioskowałem.

Uświadamiał mnie, przekonywał, że my, Polacy, nie jesteśmy Armią Polską, tylko bolszewicką, że jesteśmy sługusami Moskwy. Namawiał mnie do dezercji z Wojska Polskiego, do sabotażu, do niewykonywania rozkazów swoich przełożonych, ponieważ są wydawane przez NKWD oraz do niewykonywania rozkazów przy wysiedlaniu ludności ukraińskiej do Rosji. Zachęcał mnie do wstąpienia do AK, bo to jest prawdziwa Armia Polska, z którą oni są w przymierzu i mają wspólną ideę walki z okupantem sowieckim.

Obecny rząd nie jest uznawany przez naród polski ani przez nich. Nie pozwolą dalej wysiedlać ludności ukraińskiej z Polski, nawet przeciwstawią się z bronią. Walczyć będą z bolszewikami do ostatniego, aż do uzyskania niepodległości. Będą palić, niszczyć wsie i miasta polskie, za spalone i zniszczone wsie ukraińskie. Powstańcy ich, którzy walczą o niepodległość Ukrainy, są rozproszeni, począwszy od Słowacji i Węgier, aż po Bałkany, Kaukaz i Sybir. Jest ich około 3 milionów. Do powstania przyłączyły się już inne narody, jak: Uzbekcy, Azerbejdżanie, Kirgizi i inni, którzy chcą wspólnym frontem obalić reżim bolszewicki.

Opowiadał mi dalej, że w Rosji panuje głód, nędza, dezercja z wojska, rozluźnienie dyscypliny wojskowej. Amerykanie popierają ich (banderowców), nawet zaproponowali im kredyty na prowadzenie akcji zbrojnej, lecz oni tej propozycji nie przyjęli, ponieważ walczą honorowo. Armia ich nie jest żadną bandą, tylko armią powstańczą, zalegalizowaną przez aliantów. Koło Lwowa został zrzucony desant angielski, uzbrojony w nowoczesną broń. Jest nadal zaopatrywany przez samoloty angielskie i czeka na wyraźny rozkaz do czynnej walki z bolszewikami w pewnym, ustalonym czasie. Mnie ostrzegał, ażebym się wyrzekł Wojska Polskiego obecnie, gdyż przyjdzie inny rząd i stracę gwiazdkę.

Banderowcy rekrutują się z obecnych i byłych terenów polskich. Umundurowanie mają przeważnie niemieckie lub też cywilne. [...]

W czasie mojego tam pobytu śpiewali konwojenci różne pieśni o Stalinie, Mołotowie, Woroszyłowie, że oni nic nie pomogą. [...] Obchodzili się ze mną bardzo grzecznie, dawali jeść, byli uprzejmi. Kaprała, jak zauważyłem, nie badali w ogóle.

Przy zwalnianiu mnie był obecny dowódca banderowców, który poprzednio ze mną rozmawiał, i powiedział, że wszystkie oddziały polskie będą rozbrajane i rozmundurowane, ponieważ tak zdecydowali. Pieniędzy i pistoletu nie chciał mi

zwrócić, ponieważ, jak powiedział, są zapracowane u bolszewików za wierną pracę. Zabrali mi płaszcz, twierdząc, że zostaje skonfiskowany, ponieważ nie jest polski. Wydali mi dwa kwity w języku ukraińskim na zabrane uzbrojenie i umundurowanie.

W końcu przestrzegli mnie, że tam, dokąd doprowadzą mnie konwojenci, mam się zatrzymać, przenocować i na drugi dzień kontynuować marsz do swojego oddziału. Powodem mego zatrzymania była – według ich twierdzenia – późna godzina mojej jazdy i chęć stwierdzenia, czy nie nadużywam mojej władzy na Strażnicy wobec ludności ukraińskiej. Zwolnili mnie w nocy 29/30 grudnia 1945 i odprowadzili lasem i górami w stronę Komańczy. Dnia 30 grudnia około godziny 10.00 zameldowałem swój powrót w Komendzie Odcinka Nr 38. Kapral Stromiasz wrócił razem ze mną. [...]

CENTRALNE ARCHIWUM WOJSKOWE (CAW) w REMBERTOWIE, IV-III-510, K. 96–97.

Sprawozdanie dowódcy Odcinka Taktycznego UPA „Lemko”, majora „Rena” za grudzień 1945

[...] Dnia 17 grudnia 1945 r. pododdz. 512 [...] przygotował zasadzkę na skraju lasu koło drogi, która prowadziła z Rybotycz do w[si] Kopysno. [...] WP nadeszło strzeleckim rzędem. Od pierwszych naszych strzałów unieszkodliwiony został erkaemista wroga. Karabin maszynowy przejął od niego jego amunicyjny, ale i ten padł od naszych strzałów. 2 oficerów WP rozkazało reszcie wycofywać się skokami, lecz padli od naszych kul. Na polu boju pozostało 3 zabitych oraz 3 rannych. 5 uciekło, z czego 4 rannych. Ranny szeregowiec zeznał, że obaj oficerowie to komuniści i „jeśli ich puścicie, to oni nas potem powieszą”. D[owód]ca oddz. U-4¹² przeprowadził sąd polowy i po wykazaniu winy obydwu oficerom rozstrzelano ich. Dla rannego szeregowca WP przysłano podwoję, która odwiozła go do Rybotycz¹³.

[...]

Dnia 27 grudnia 1945 r. oddział [U-4] na rozkaz z góry oraz dlatego, by odebrać z rąk wroga inicjatywę ofensywną i żeby ten przestał myśleć o wypadach w teren, połączonych z mordami i rabunkami cywilnej ludności ukraińskiej, a bardziej myślał o obronie swoich centrów miejskich, [...] przeprowadził akcję na m. Przemyśl. Akcja trwała od godz. 1.30 do 3.00. [...] Pododdz. 510 [...] zajęł bez walki wodociąg. Podpalono wieżę ciśnień, zniszczono [...] granatami zegary oraz maszyny,



← Nowosielce spalone przez UPA
29/30 grudnia 1945

a także podpalono oliwę i naftę w wieży wodnej. [...] Pododdz. 511 spalił Kruhel Wielki, pozostawiając ok. 20 domów zamieszkałych przez Ukraińców. Sekcja moździerzowa wystrzeliła 11 pocisków na m. Przemysł, z czego 2 pociski padły na dworzec kolejowy m. Przemysła i jeden zapalił wagon pocztowy, który spłonął. 3 pociski spadły na koszary [...], jeden na ulicę Słowackiego, 2 na zabudowania szpitala wojskowego przy ul. Słowackiego, reszta nad San.

Wyniki akcji: w m[ieście] Przemysł panika, „banderowcy strzelają z ciężkiej broni”. Brak wody w m. Przemysł, spalono zboże kontyngentowe w stodołach. [...]

Dnia 30 grudnia 1945 [...] na polecenie rej[onowego] prow[idnyka] Ł.¹⁴ [...] oddz. U-1 razem z oddz. U-5¹⁵ zlikwidowały pomiędzy godz. 00.15 a 01.25 w[ieś] Nowosielce, która liczyła 250 numerów, a była zasiedlona już wyłącznie przez Polaków repatriantów ze wschodu. [...] Akcja rozpoczęła się na sygnał białej rakiety i wybuch na stacji. Polacy ostrzeliwali się z domów. Były wypadki, że z siekierami rzucali się na strzelców. Erkaemista „Sosna” zabił kolbą (zaciętego) erkaemu [Polaka], który chciał uderzyć go kółkiem. Większość Polaków to przybysze z Galicji. Kiedy strzelcy chcieli jednemu Polakowi pomóc wynosić rzeczy i wygnać bydło – to ten zapał się, nie chciał sam wyjść z chaty i nie dał wygnać bydła. Tak i spalił się w chacie razem z całym swoim dobytkiem.

Strzelcy idący na akcję otrzymali instrukcje, jak mają podczas niej postępować. Wszystkim

mówili: „Palimy swoje chaty”, „Stalin wrogiem Polaków i Ukraińców” itp. Jak brali bydło z dworu, to oświadczyli, że rekwirują na „fundusz walki zniewolonych narodów”. Wszędzie rozdawano ulotki. Strzelcy pomagali (jeśli to było możliwe) wynosić rzeczy. W czasie akcji zabito około 15 Polaków, którzy stawiali opór lub ostrzeliwali się¹⁶. Na stacji rozbrojono milicjanta, a budynek stacji całkowicie zniszczono. W czasie akcji zatrzymano transport. [...] Zwiad doniósł, że w zatrzymanym transporcie było kilku zabitych i rannych bolszewików. Akcja spowodowała wielką panikę wśród polskich repatriantów, a szczególnie we w[si] Zarszyn i polskich wioskach bandyckich. Wszelkie rabunki w ukraińskich wioskach na razie ustały. Polscy sołtysi rozmawiają z naszymi wioskami. [...]¹⁷

POSTÓJ, 31 GRUDNIA 1945

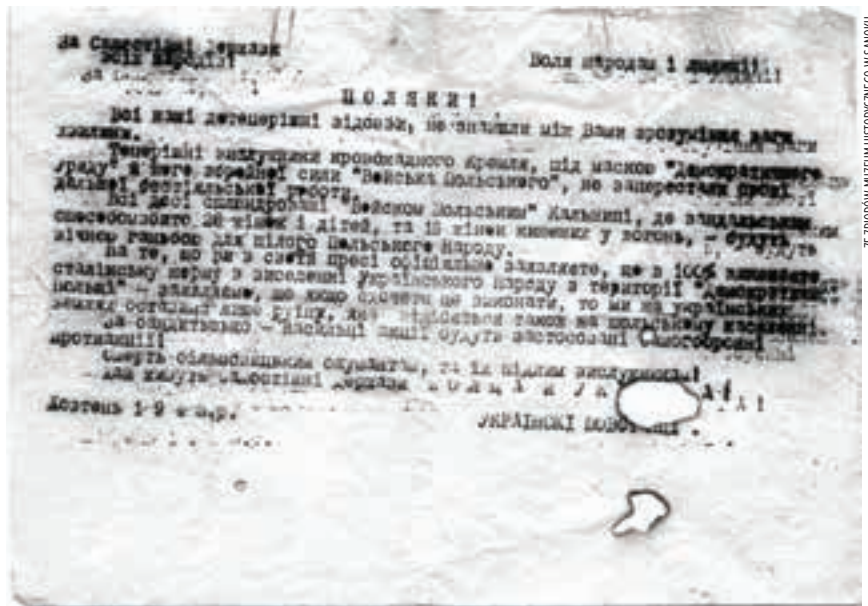
AMSWIA, AKTA SPRAWY MIROSLAWA ONYSZKIEWICZA „ORESTA”, X-8, k. 167, 168, 165.

o niezależne państwa wszystkich narodów! Wolność narodom i człowiekowi!

POLACY!

Wszystkie nasze dotychczasowe odezwy nie znalazły u Was zrozumienia wagi chwili.

Obecni służą krwawego Kremla, pod maską „Demokratycznego rządu” i jego siły zbrojne „Wojska Polskiego”, nie zaprzestali dalszych prób bestialskiej roboty.



ZE ZBIORÓW MUZEUM HISTORICZNEGO W SANOKU

→ Ulotka rozrzucana w czasie palenia przez UPA wsi Nowosielce w nocy 29/30 grudnia 1945

Wszystkie spłądrowane dotychczas przez „Wojско Польске” Kalnice, gdzie w brutalny sposób zabito 28 kobiet i dzieci oraz 16 kobiet rzucono w ogień, staną się wieczną hańbą całego Narodu Polskiego.

Na groźby w Waszej prasie, w której oficjalnie informujecie, że w stu procentach wykonacie stalinowską normę w wysiedleniu Narodu Ukraińskiego z terytorium „Demokratycznej Polski” – odpowiadamy, że jeśli zechcecie wykonać ten plan, to my na ziemiach ukraińskich pozostawimy tylko ruiny, które wpłyną także na położenie ludności polskiej.

Na akcje bandycko-rabunkowe zareagujemy samoobronnymi przeciwakcjami.

Śmierć bolszewickim okupantom oraz ich podłym sługom!

Niechaj żyją niezależne państwa POLSKA i UKRAINA!

Październik 1945

UKRAJŃSCY POWSTAŃCY

Sprawozdanie dowódcy Odcinka Taktycznego „Łemko”, majora „Rena” za styczeń 1946

[...] Dnia 19 stycznia 1946 o godz. 10 pododdz. 507 i 509 pod dowództwem samego d[owó]d[cy] oddz. „Chrina” – przyp. G.M.] brały udział w Świątce

Wody we wsi Serednie Wielkie. W czasie Świątce Wody doniesiono, że przez w[ieś] Choceń w kierunku na Serednie Wielkie posuwa się WP w sile ok. 100 żołnierzy. [...] W ciągu 30 minut pojawił się wróg. Jego moździerz [...] ostrzelał szczyt góry 658 oraz w. Serednie Wielkie, a wojsko zaczęło nacierać [...]. Pododdz. 507 zaczął nacierać i zepchnął wroga do potoku, który płynął ze w. Choceń do Serednich Wielkich. W tym czasie pododdz. 509 ze skrzydła zaatakował wroga, który zaczął cofać się potokiem w kierunku w. Choceń. Oba pododdz. nękały wroga aż do w. Tysowiec.

[...]

Wyniki boju:

Straty wroga: 44 zabitych [...] oraz wielu rannych¹⁸. Oprócz tego 4 żołnierzy, w tym jednego porucznika wzięto do niewoli; po zapoznaniu z celami naszej walki i wręczeniu im wydanych przez nas ulotek dla WP zwolniono ich.

Straty własne: żadne.

Zdobyto: 1 moździerz 82 mm [...], 3 karabiny maszynowe z amunicją (diegtiariewy), 8 PPS, 3 PPSz, 1 ros[yjski] karabin snajperski. [...]

*

[...] Dnia 14 stycznia 1946 oddz. WP napadł na w. Polany Surowiczne, gdzie zabił 9 osób oraz ograbił wieś.

Dnia 22 stycznia 1946 oddz. WP napadł nocą na w. Ratnawica, spacyfikował wieś, ograbił, pobił oraz zabił 7 osób, a kilka aresztował.

Dnia 23 stycznia 1946 WP napadło na w. Bachów, obrabowało wieś oraz zabiło 2 osoby.

Dnia 24 stycznia 1946 oddz. WP w sile 150 ludzi napadł na w. Wisłok Dolny, który ostrzelał z dwóch moździerzy 82 mm, spalił 32 chaty, zabił 5 osób, a 4 ciężko zranił.

Dnia 24 stycznia 1946 oddz. WP w sile 100 żołnierzy napadł na wieś Karlików, spalił 11 chat oraz zastrzelił 15 osób. Akcja trwała tylko 45 minut, dlatego nasze oddz. nie miały możliwości przyjść z pomocą.

Dnia 25 stycznia 1946 w nocy WP, w sile około 5 kompanii i 2 auta NKWD-ystów oraz około stu cywilów ubranych częściowo w wojskowe mundury, podjechało cicho do wioski [Zawadka Morochowska]. Ustawili ubezpieczenia od strony lasu, obstawili wsie Morochów, Mokre, Wysoczany, Płonna i góry od Niebieszczyń i Ratnawicy. Wpadli do wioski bez strzału i zamordowali 58 dzieci i kobiet (różnęli je bagnietami, wydłubywali oczy, rozciinali brzuchy, piersi, łamali ręce, nogi, obcinali nosy i uszy i tak rzucali je w ogień płonących chat¹⁹). [...]

Po [dokonaniu] mordu Lachy uciekli bardzo szybko, bojąc się, aby ktoś na nich nie napadł.

Dnia 25 stycznia 1946 WP napadło na w. Płonna, spaliło trzy chaty, obrabowało oraz pobiło gospodarzy. [...]

AMSWIA, AKTA MIROSLAWA ONYSZKIEWICZA „ORESTA”, X-6, k. 50, 60.

Kierownik Powiatowego Oddziału Informacji i Propagandy w Sanoku do Wojewódzkiego Urzędu Informacji i Propagandy w Rzeszowie, Sanok, 4 lutego 1946

Przy niniejszym podaję dane o wypadkach w powiecie, otrzymane ze Starostwa Powiatowego – Ref[eratu] Polit[yczno]-Spol[eczny].

Na podstawie doniesienia sołtysa gromady Wisłok Wielki-Dolny zgłasza się, że w dniu 25 stycznia 1946 r. oddział wojskowy, prawdopodobnie z 32 pułku, spalił w gromadzie Wisłok Wielki 34 domy mieszkalno-gospodarcze, zabrał 32 sztuki bydła rogatego oraz 30 koni. W czasie tej akcji zastrzelono 6 osób, a raniono 10 osób.

25 stycznia 1946 r. oddział wojskowy stacjonowany w Sanoku przechodził przez gromadę Karlików. Po wejściu do wsi oddział został ostrzelany przez nieznanych osobników, wskutek czego wywiązała się obustronna strzelanina. Zastrzelono 18 osób cywilnych z gromady Karlików.

Oddział przechodził dalej przez gromadę Zawadka Morochowska, gdzie został ostrzelany przez nieznanych sprawców. W czasie strzelaniny zginęły 64 osoby cywilne, zostały spalone zabudowania gospodarcze.

30 stycznia w nocy nieznani sprawcy spalili w Rzepedzi na przysiółku Zajniki 7 zabudowań polskich, 2 mosty na drodze Rzepedź–Komańcza przez Oslawę. Sprawcami tego napadu byli prawdopodobnie Ukraińcy.

ARCHIWUM PAŃSTWOWE W RZESZOWIE, ZESP. 16, SYGN. 146, k. 2.

Sprawozdanie dowódcy Oddziału Taktycznego „Łemko”, majora „Rena” za marzec 1946

[...] Dnia 20 marca 1946 r. o godz. 06.45 oddz. 94, 95a²⁰ oraz oddz. Myrona²¹ dokonały napadu na w. Jasiel, gdzie byli zebrani żołnierze ze strażnic granicznych ze w. Komańcza, Łupków, Radoszyce i Wola Michowa. Żołnierze ci grabili oraz mordowali bezbronną ludność ukraińską. I tak we w. Polany Surowiczne ograbili i zabili 9 gospodarzy, a we w. Wisłok Dolny zabili 7 gospodarzy i spalili 32 chaty. Aby przerwać te ich bandyckie napady na bezbronną ludność ukraińską, dowódca oddz. U-5 postanowił dokonać na nich napadu właśnie wtedy, kiedy żołnierze będą wszyscy razem.

Według planu atakować miały pododdz. 513 i 514 oraz 501 [...]. Reszta pododdz. miała wystawić zabezpieczenia i nie wypuścić żadnego polskiego żołnierza z wioski. [...] Pododdz. 501, ponieważ WP nie uciekało, ale przyjęło bój, zaczął [...] atakować. Kiedy pododdz. 501 wszedł do wioski, zaczął przeszukiwać chaty, w których ukrywali się polscy żołnierze, brać ich do niewoli i odprowadzać na wyznaczone miejsce. W czasie ataku odznaczyli się odwagą strzelcy Czajka, Topór i Dowhyj, którzy pierwsi wbiegli do wsi i z bliskiej odległości ostrzelali chaty, w których znajdowało się WP [...].

Wyniki boju:

Straty wroga: 24 zabitych, 6 rannych oraz 79 wziętych do niewoli (w tym 2 poruczników, 5 podporuczników, 1 chorąży, plutonowy i 32 kaprali).

Straty własne: 2 lekko ranni strzelcy.

Zdobyto: 2 moździerze 54 mm, [...] 7 rkm „diegtariewa”, [...] 64 karabiny, 40 PPSz i PPS, [...] 5 wiader, 1 maszyna do pisania, 50 kg makaronu, 50 kg mąki, 100 kg zboża, 50 kg soli, [...] 7 koni z taboru, 2 wozy oraz archiwum sztabu²².

AMSWIA, AKTA SPRAWY MIROSLAWA ONYSZKIEWICZA „ORESTA”, X-6, k. 233–235.

Ze spisu akcji UPA w roku 1946

20 marca 1946 r. kurenie UPA d[owód]ców „Chrina” i „Myrona” wspólnie przeprowadziły atak na Jasiel. [...] Wroga okrążono i całkowicie rozgromiono. [...] W archiwum znaleziono dokładną charakterystykę każdego członka WP; na podstawie tych danych 20 jeńców zwolniono, resztę, która wstawiła się paleniem i zabójstwami ludności ukraińskiej, rozstrzelano²³.

UPA W SWITLI DOKUMENTIV ZA BOROTBY ZA UKRAJINSKU SAMOSTIJNU SOBORNU DERŻAWU 1942–1950 R., t. II, [B.M.W.] 1960, s. 156.

Sprawozdanie dowódcy Odcinka Taktycznego „Łemko”, majora „Rena” za marzec 1946 (cd.)

Dnia 23 marca 1946 r. o godz. 01.10 oddz. U-1 przeprowadził akcję na w. Komańcza.

Po akcji na w. Jasiel polscy żołnierze uciekli do w. Radoszyce, a miejscowa ludność zaczęła grabić porzucony majątek. Żeby ratować resztę majątku przed rozgrabieniem, d[owód]ca U-1 wydał rozkaz marszu do w. Komańcza. Oddz. U-1 przyszedł do w. Komańcza [...]. Przede wszystkim spalono wszystko, co tylko mogło spłonąć, budynki i budki kolejowe oraz 40 wagonów (lokomotywa z 2 wagonami uciekła do w. Łupków). Następnie spalono: koszary wojskowe, budynek MO, mleczarnię, 4 drewniane mosty na szlaku kolejowym, 1 drewniany most na szosie, 3 wille na [górze] Birezy oraz folwark. Następnej nocy wysadzono: zwrotnicę wyjazdową i wjazdową, wieżę ciśnienia, 2 wodopompy oraz żelazny most kolejowy na szlaku do w. Komańcza (most przerwano w środku i zawalił się).

Klasztor na Birezy po porozumieniu z kuszcz[owym] Makarenką pozostawiono nienaruszony²⁴. W czasie akcji we w. Komańcza zatrzymano jako podejrzanych o szpiegostwo miejscową nauczycielkę, jej siostrę i dróżnika [...]. Kiedy zamierzali uciec, korzystając z nieuwagi strażnika, zastrzelono ich²⁵.

[...]

Dnia 24 marca 1946 r. o godz. 19.20 oddz. [U-5 „Chrina”] razem z oddz. d[owód]cy Myrona przeprowadził na rozkaz kol[egii] rejonowego Łewka napad na m. Bukowsko. Celem napadu było schwytanie bandytów, którzy rabowali okoliczne wsie ukraińskie. W m. Bukowsko przeprowadzono zebrania z ludnością polską, na których polska ludność pod groźbą 1.000.000 zł kontrybucji wydała wszystkich bandytów. Z wydanych bandytów

złapano tylko jednego, bo reszta częściowo wyjechała, a częściowo została aresztowana przez UB z Sanoka. Schwytanemu bandycie kazano zapłacić 30 dolarów amerykańskich jako karę za grabieżę. Oprócz tego zabrano z wioski 6 szt. bydła na wyżywienie oddz. [...]. Następnie strzelcy zjedli kolację, za kolację w restauracji zapłacono 750 zł. [...]

AMSWIA, AKTA SPRAWY MIROSLAWA ONYSZKIEWICZA „ORESTA”, X-6, k. 235, 249.

Kierownik Powiatowego Oddziału Informacji i Propagandy w Sanoku do Wojewódzkiego Urzędu Informacji i Propagandy w Rzeszowie, Sanok, 26 marca 1946

Przy niniejszym podaję dane o wypadkach w powiecie, otrzymane ze Starostwa Powiatowego, Ref[erat] Polityczno-Społeczny.

Donoszę, że w nocy z 18 na 19 i z 19 na 20 marca 1946 r. banderowcy zabrali bydło na terenie gminy Jaśliśka w gromadzie Rudawka 14 sztuk, Woli Niżnej 4 sztuki, w Moszczańcu 4 sztuki, w Surowicy 20 sztuk i w Dąbrowie 8 sztuk.

W tym czasie została przez banderowców zlikwidowana na terenie tej gminy placówka ochrony pogranicza po trzygodzinnej walce, w czasie której zostało zabitych 2 żołnierzy i 2 rannych oraz 100 żołnierzy dostało się do niewoli. Banderowcy przeprowadzają na terenie tej gminy pobór do wojska i w Moszczańcu urządzają ćwiczenia wojskowe. Młodzież ukraińska uchyla się od poboru, za co banderowcy zabierają od rodziców uchylających się bydło, konie, buty i odzież.

W nocy z dnia 24 na 25 marca br. banderowcy spalili budynek gminny w Bukowsku, zdemolowali granatami ręcznymi budynek b. Sądu, gdzie mieścił się Posterunek Milicji Obyw. i Poczta, uprowadzili bydło i konie oraz zlikwidowali 2 sklepy. Posterunek Milicji Obywatelskiej został rozbrojeny. Ponadto banderowcy zażądali miliona złotych kontrybucji oraz oddania bydła i koni zabranych przez Wojsko Polskie w czasie wysiedlania ludności ukraińskiej – gromady Płonna. W czasie napadu na Bukowsko wojska tam nie było. Bliższych szczegółów ze względu na brak połączenia telefonicznego brak. W tym samym czasie zostały spalone 3 mosty drewniane na rzece Sanoczek [...].

W nocy z 21 na 22 marca br. została zmuszona przez banderowców placówka ochrony pogranicza w Komańczy do wycofania się w kierunku Łupkowa. Jeden oficer por. Gerasik i milicjanci



← Nowosielce, marzec 1946.
Ukraińcy na stacji kolejowej
przed wysiedleniem

Posterunku w Komańczy zostali uprowadzeni przez banderowców.

Na terenie tutejszego powiatu są już trzy urzędy gminne zniszczone, a to: w Szczawnem, Komańczy i Bukowsku.

ARCHIWUM PAŃSTWOWE W RZESZOWIE, ZESP. 16,
SYGN. 146.

Sprawozdanie dowódcy Odcinka Taktycznego „Łemko”, majora „Rena” za kwiecień 1946

[...] Dnia 4 kwietnia 1946 r. o godz. 20.00 oddz. [U-5 „Chrina”] przeprowadził odwetową akcję na m. Bukowsko. Polska cywilna ludność tego miasteczka razem z bolszewicko-polskimi, bandyckimi wojskami napadała na nasze wioski, grabili, palili, a niektórych gospodarzy żywcem rzucali do ognia. Pomimo naszego ostrzeżenia, jakie miało miejsce na przeprowadzonych [przez nas] zebraniach w dniu 24 marca 1946 r., bandycka ludność m. Bukowska nie zaprzestała swoich grabieżczych napadów na okoliczne ukraińskie wioski; postanowiono [zatem] to m[iaścisko] zniszczyć. Miasteczko Bukowsko liczyło ok. 500 budynków, w tym 60 murowanych, które podpalone w ciągu 16 minut, paliły się przez dwa dni.

Wyniki akcji:

Straty wroga: nieznanne.

Straty własne: żadne.

Zabrano: 15 koni, 25 krów (przekazano je ludności ukraińskiej z wiosek spalonych przez Polaków).

Zniszczono: ok. 500 budynków, w tym 60 murowanych całkowicie.

[...]

Sanok, dnia 27 maja 1946 r.

AMSWIA, AKTA MIROSLAWA ONYSZKIEWICZA „ORESTA”, X-13, k. 40.

Kierownik Powiatowego Oddziału Informacji i Propagandy w Sanoku do Wojewódzkiego Urzędu Informacji i Propagandy w Rzeszowie, Sanok, 8 kwietnia 1946

Wiadomości własne.

Dnia 26 marca br. w nocy napad większych band ukraińskich na Bukowsko. Spalono budynek Sądu, gdzie był posterunek MO. Zrabowano bydło, obuwie i bieliznę, bandy zagroziły przy odejściu spaleniem całego Bukowska. Następnego dnia WP spaliło trzynaście wsi ukraińskich. Mały oddział WP przybył do Bukowska, gdzie kwaterował przez sześć dni. Po odejściu tego oddziału dnia 5/6 kwietnia w nocy większe bandy ukraińskie napadły na Bukowsko i spaliły prawie wszystkie domy. Spłonęło 570 domów, pozostało tylko 11 domów na uboczu, w górnym końcu wsi. Zrabowano przy tym większość bydła. Zapytani przez ludność wiejską napastnicy ukraińscy, dlaczego palą i niszczą wsie, odpowiedzieli: „Polskie wojsko niszczy, pali i morduje naszą ludność ukraińską, nasi ojcowie i matki siedzą na zgłiszczach – i wy też będziecie siedzieli na zgłiszczach”.

Dnia 6 kwietnia przybyło WP do Bukowska, zastrzelili 3 Ukraińców w Tokarni, na skutek czego ludność ukraińska z Tokarni i Wolicy uciekła w popłochu przed WP do lasu. WP radzi ludności

polskiej pozostałej w Bukowsku, aby uciekała do Sanoka przed napadami band ukraińskich z gór. Ludność jest bezradna i przerażona – krążą różne wersje: jedni mówią, że jest to zemsta Ukraińców za spalenie przez WP 13 wiosek ukraińskich, inni twierdzą, że jest to robota band ukraińskich, które są w zмовie z polską reakcją. Ksiądz rzym[sko]-kat[olicki], proboszcz z Bukowska werbuje ludność polską – pogorzalców do wyjazdu na Zachód.

Dnia 7 kwietnia w Komańczy został rozstrzelany przez WP tamt[ejszy] ksiądz ukraiński – proboszcz Komańczy wraz z synem za posiadanie broni w domu.

ARCHIWUM PAŃSTWOWE W RZESZOWIE, ZESP. 16, SYGN. 146.

Kierownik Powiatowego Oddziału Informacji i Propagandy w Sanoku do Wojewódzkiego Urzędu Informacji i Propagandy w Rzeszowie:

(wiadomości własne)

Dnia 24 maja 1946 r. o godz. 8.00 na stadionie sportowym w Sanoku odbyła się egzekucja przez powieszenie dwóch osobników z bandy NSZ: Rygniaka i Pudlika²⁶, skazanych wyrokiem sądu doraźnego na karę śmierci za napady z bronią w rękę na Posterunki MO, funkcjonariuszy UB, na żołnierzy polskich, na spółdzielnie i za kradzież bydła. Egzekucja wywarła silne wrażenie na tutejszej ludności. Na terenie Sanoka na temat egzekucji krążą różnego rodzaju pogłoski antysowieckie:

1. Jedni mówią, że wyrok jest za surowy i niesprawiedliwy, bo Żyd sądził, a Sowiec wieszał.

2. Inni mówią, że wyrok jest również niesprawiedliwy, bo skazani na śmierć, chociaż posiadali broń i dokonywali napadów, jednak nikogo z osób cywilnych ani też z Wojska, Bezpieczeństwa czy Milicji nie zamordowali, co potwierdził również przewod sądowy, zatem wyrok powinien być łagodniejszy.

3. Inni twierdzą, że dotychczas nie widzieli żadnego publicznego wyroku i egzekucji na Ukraińcach, którzy często napadają, palą i mordują ludność polską i przedstawicieli Władz państwowych, żołnierzy polskich i milicjantów. W fakcie tym dopatrują się win Władz Sowieckich, które rzekomo nie dopuszczają do wykrycia i ukarania Ukraińców winnych zbrodni na Polakach. [...]

ARCHIWUM PAŃSTWOWE W RZESZOWIE, ZESP. 16, SYGN. 164.

Meldunek informacyjny prowadzącego nadrejonu „Beskid” OUN-UPA, „Mara” za okres 1 lipca – 1 sierpnia 1946

[...]

Odcinek ukraiński

Ludność ukraińska, która podczas akcji wysiedleńczej podupała na duchu i została zniszczona materialnie, zaczyna znowu wracać do normalnego stanu. [...] Jednak nastroje mas to słomiany ogień. Raz usłyszawszy jakąś informację, ludność podnosi się [na duchu] i oczekuje w każdej chwili wybuchu wojny, a tym samym polepszenia swojej doli, ale z drugiej strony zobaczywszy terror WP [...], masy łamią się i nie wierzą w zwycięstwo naszej walki. Największe załamanie ukraińskiej ludności nastąpiło po zamordowaniu 33 Ukraińców w wiosce Terka. [...]

Odcinek polski

Administracja – polska administracja nadal skupia się głównie w centrach powiatowych, gdzie również przebywają urzędy gminne. [...] Do nas polskie czynniki administracyjne odnoszą się dobrze. Także ludności nie robią żadnej krzywdy. W niektórych wioskach urzędy gminne wydawały ludności ukraińskiej przydziały z UNRRA.

[...]

Posterunki MO nadal znajdują się w centrach powiatowych. [...] Do ukraińskiej ludności odnoszą się przychylnie (nie biją, nie rabują). W podmiejskich okolicach MO bierze udział w wypadach na polskie i ukraińskie wioski wspólnie z UBP. W miesiącu lipcu sanocki UBP aresztował wspólnie z MO około 300 Polaków i 40 Ukraińców. Aresztowania w sanockim powiecie doprowadziły do tego, że i polska ludność ze strachu przed UBP nie śpi po domach i ukrywa się. Aresztowanych częściowo puścili dobrowolnie, a częściowo za pieniądze.

Wojsko Polskie – WP nie zmieniło swojego zachowania w stosunku do ludności ukraińskiej. Na każdym kroku rabuje, bije i morduje [...], do nas odnosi się wrogo. [...]

Polskie podziemie – polskie grupy podziemne, jakie przez cały czas działały w powiecie sanockim, zostały rozbite przez UBP i WP. [...]

Niech żyje Ukraina!

P[ostój], 16 sierpnia 1946 r.

Mar²⁷

ARCHIWUM WARSZAWSKIEGO OKRĘGU WOJSKOWEGO, AKTA SPRAWY PETRO FEDORIWA, 118/91/3937, k. 105–108.

Jedenaste posiedzenie Krajowej Rady Narodowej, 23 września 1946, godz. 17.25

Ob. Prezydent: Wznawiam posiedzenie.

Został zgłoszony przez posła Burdę i towarzyszy wniosek nagły następującej treści (czyta):

Na mocy art. 18 i 19 regulaminu obrad Krajowej Rady Narodowej posłowie Polskiego Stronnictwa Ludowego wnoszą o uchwalenie: „Krajowa Rada Narodowa powołuje komisję poselską w składzie 12 posłów – po dwóch z każdego klubu poselskiego – dla natychmiastowego zbadania stosunków, dotyczących bezpieczeństwa na terenach województwa rzeszowskiego i lubelskiego, zaproponowania środków dla zwalczania grasujących band, zapewnienia bezpieczeństwa osobistego, majątku i opieki miejscowej ludności oraz przedłożenia planu zagospodarowania opuszczonych lub zniszczonych terenów”.

Posłowie Polskiego Stronnictwa Ludowego uważają swój wniosek za nagły i żądają głosu wnioskodawcy dla uzasadnienia nagłości wniosku.

Dla uzasadnienia nagłości wniosku udzielam głosu posłowi ob. Burdzie.

Poseł ob. Burda: Wysoka Rado! Jeżeli wejdziemy na teren województwa rzeszowskiego, na teren województwa lubelskiego, a przeważnie na terenie powiatów: sanockiego, przemyskiego, lubaczowskiego i wielu innych, to mamy wrażenie, że jeszcze wojna się nie skończyła. Patrzymy na te setki, tysiące osad ludzkich, patrzymy na tysiące gospodarstw, patrzymy na te wielkie tysiące hektarów odlogów, z których tak żyzne ziemie zasańskie dawały tyle chleba ludności polskiej. Te cyfry, które tu rzucam, to nie są cyfry gołostowne, to są cyfry opancerzone krwią i zgrozą, to są cyfry, które wołają do sumienia narodu, do sumienia Rządu i Wysokiej Rady, aby natychmiast przyjść ludności z pomocą jeszcze przed nadchodzącą zimą. To są cyfry oblane łzami, cyfry oblane krwią ludzką.

Wobec tego prosimy Wysoką Radę o uchwalenie nagłości tego wniosku. (Oklaski).

Ob. Prezydent: Kto przeciw nagłości wniosku zabiera głos? Czy Minister Bezpieczeństwa Publicznego zgadza się na nagłość wniosku?

Minister Bezpieczeństwa Publicznego ob. Radkiewicz (powitany oklaskami): Wysoka Rado! Pozwolę sobie tym razem ograniczyć się tylko do tego konkretnego wniosku. Ja nie widzę potrzeby powołania specjalnej komisji. Organa Bezpieczeństwa w ciągu tego całego okresu czasu prowadziły dość intensywną walkę, szczególnie jeżeli chodzi o oczyszczenie wymienionego terenu z band ukraińskich i faszystowskich. Sytuacja w tej chwili jest niewątpliwie inna, lepsza, aczkolwiek jeszcze niezadowolająca, ale nie jest taka, jak była 4–5 miesięcy temu, kiedy repatriacja jeszcze nie była skończona.

Gdyby chodziło o sens polityczny wniosku klubu PSL – muszę oświadczyć, że ma on specjalny posmak. Powstaje pytanie, dlaczego PSL stawia ten wniosek i ogranicza zagadnienie bezpieczeństwa tylko do terenów rzeszowskiego i lubelskiego i wymienia tamte powiaty. Chodzi więc tylko o sprawę band ukraińskich. Dla nas, dla obozu demokratycznego ważne jest oczyszczenie terenu z band wszelkiego rodzaju reakcji, niezależnie czy ukraińskiej, czy polskiej, oczyszczenie z band ukraińskich i polskich.

Dlatego wypowiadam się przeciw nagłości wniosku.

Ob. Prezydent: Poddaję pod głosowanie sprawę nagłości wniosku.

Kto jest za nagłością wniosku, zechce podnieść rękę. Dziękuję. Kto jest przeciw nagłości? Większość.

Wniosek jako zwykły zostanie przekazany Komisji Administracji i Bezpieczeństwa²⁸.

SPRAWOZDANIE STENOGRAFICZNE Z POSIEDZEŃ KRAJOWEJ RADY NARODOWEJ W DN. 20, 21, 22 I 23 WRZEŚNIA 1946 R., WARSZAWA 1946, S. 474–476.

DOKUMENTY Z ROSYJSKIEGO I UKRAIŃSKIEGO
PRZETŁUMACZYŁ I CAŁOŚĆ OPRACOWAŁ
Grzegorz Motyka

ULOTKĘ Z UKRAIŃSKIEGO PRZEŁOŻYŁA
Bernadetta Wojtowicz



FOT. STANISŁAW POTOCKI / MUSEUM HISTORICZNE W SANOKU (3)

↑ Bukowsko po atakach UPA,
wrzesień 1946



← ↑ Łódzina, wrzesień 1946.
Ofiary ataku UPA

- 1 Za: Ignacy Blum, *Z dziejów Wojska Polskiego w latach 1944–1948. Szkice i dokumenty*, Warszawa 1968, s. 262–263.
- 2 Tamże, s. 54–55.
- 3 Tamże.
- 4 Mikołaj Tyliczszak, *9 Drezdeńska Dywizja Piechoty w walce z ukraińskim i polskim podziemiem zbrojnym (czerwiec 1945 – październik 1947)*, [w:] *W walce ze zbrojnym podziemiem*, Warszawa 1972, s. 182.
- 5 Tamże, s. 185–186; Edmund Ginalski, Eugeniusz Wysokiński, *Dziewiąta drezdeńska. Z dziejów 9 Drezdeńskiej Dywizji Piechoty (1944–1947)*, Warszawa 1984, s. 369.
- 6 *PPR w województwie przemyskim*, Przemysł 1976, s. 73.
- 7 11 września 1944 słowa „Szelesta” dokładnie powtórzył w rozkazie nr 12/44 dowódca Okręgu Wojskowego UPA „Bug” płk „Woronyj”.
- 8 *Prowid* – kierownictwo.
- 9 *Rejon* – jednostka w strukturze terytorialnej OUN odpowiadająca powiatowi; *kuszc* – obejmuje kilka wsi.
- 10 Ten rozkaz OUN-UPA został zdobyty przez polską 9 Dywizję Piechoty WP, która następnie 15 września 1945 przekazała go 89 Oddziałowi Wojsk Pogranicznych NKWD. Z języka ukraińskiego na rosyjski przetłumaczył lejtnant Borodaj.
- 11 Rozkaz ten wydano w końcu sierpnia 1945. Jego założenia przypominał dowódca Odcinka Taktycznego UPA mjr „Ren” w marcu 1946 w liście do swych podkomendnych. Wasył Marcin Mizerny „Ren” – przez podkomendnych nazywany „Karpackim Lwem” i „Lemkowskim Niedźwiedziem”, ur. w 1910 roku we wsi Wierzbów (pow. Podhajce). W 1945 roku został dowódcą odcinka „Lemko”, składającego się z dwóch kuren. W 1947 przeszedł na tereny Ukrainy, gdzie pracował w sztabie UPA-Zachód. Zginął w walce z NKWD 24 sierpnia 1949 w wiosce Libochora k. Drohobycza.
- 12 Dowódcą oddziału U-4 był Wołodmyr Szczyhelskyj „Burlaka” – ur. w 1917 roku we Lwowie. W czerwcu 1944 poszedł w Karpaty z całym posterunkiem policji ukraińskiej w Medyce i tam zorganizował sotnię UPA. We wrześniu 1947 w czasie akcji „Wisła” przebił się ze swoją sotnią do Czechosłowacji z zamiarem przedostania się do Niemiec Zachodnich. Tam rozproszył oddział, a sam oddał się w ręce Czechosłowaków. Wydany władzom polskim, został skazany na karę śmierci w styczniu 1949.
- 13 Zob. też: Edmund Ginalski, Eugeniusz Wysokiński, *Dziewiąta drezdeńska*, Warszawa 1984, s. 300.
- 14 Mychajło Dżiman „Lewko”, prowidyk (kierownik) rejonu III nadrejonu „Beskid” I Okręgu OUN, obejmującego północną część powiatów Sanok i Lesko. Został ujęty w nocy 15/16 listopada 1946 we wsi Zahutyń.
- 15 Chodzi o sotnie U-5 Stepana Stebelskiego „Chrina” i U-1 „Didyka” (NN). Stepan Stebelskyj „Chrin” – ur. w 1914 roku k. Sambora. Pod wpływem matki związał się z OUN. Jesienią 1945 skierowany w Bieszczady, zorganizował tam sotnię złożoną z Lemków. Na jej czele odniósł wiele sukcesów w walkach z WP, m.in. zorganizował zasadzkę, w której zginął gen. Karol Świerczewski. W 1947 przeszedł na Ukrainę. Zginął 9 listopada 1949 na granicy czechosłowacko–austriackiej, którą chciał przejść razem z grupą kurierów. „Didyk” – nazwisko nieznane. W latach 1945–46 dowodził sotnią U-1. W 1946 roku z powodu złego stanu zdrowia przekazał dowództwo Romanowi Hrobelśkiemu „Brodyczowi”.
- 16 W Nowosielcach zginęło 19 Polaków.
- 17 Zob. też: Eugeniusz Misilo, *Repatriacja czy deportacja*, Warszawa 1996, s. 305–306.
- 18 Straty polskie w meldunku ukraińskim zawyżono – prawdopodobnie zginęło siedmiu żołnierzy i milicjant. Zob. też: Henryk Dominiczak, *Wojska Ochrony Pogranicza 1945–1948*, Warszawa 1971, s. 209–212.
- 19 Z dokumentów wynika, że pacyfikacje dokonywane przez oddziały WP bywały bardzo brutalne. Jednak brak potwierdzeń takiego barbarzyństwa.
- 20 Chodzi o sotnie U-1 „Didyka” i U-5 „Chrina”.
- 21 Wołodmyr Hoszko „Myron” – por. UPA, dowódca sotni „Bulawa” w latach 1945–46. Jego oddział często działał w Bieszczadach, lecz był operacyjnie podporządkowany dowództwu UPA na Zachodniej Ukrainie. Zginął jesienią 1948 w Karpatach.
- 22 Zob. też: Henryk Dominiczak, *Wojska Ochrony Pogranicza 1945–1948*, Warszawa 1971, s. 221–228.
- 23 Ogółem rozstrzelano wówczas sześćdziesięciu żołnierzy. W czasie egzekucji udało się wyrwać i zbiec szeregowcowi Pawłowi Sudnikowi. Ucieczka ta została przedstawiona m.in. w filmie *Ogniomistrz Kaleri* (reż. Ewa i Czesław Petelscy, 1961); warto jednak przypomnieć, że jeńców rozstrzelano, a nie – tak jak w filmie – ścięto toporem.
- 24 Klasztor oszczędzono, ponieważ siostry pomagały rannym członkom UPA.
- 25 Zob. też: Henryk Dominiczak, *Wojska...*, s. 232–238.
- 26 Należeli oni do oddziału NSZ Antoniego Żubryda.
- 27 Stefan Golasz „Mar” – od października 1945 do lipca 1947 prowidyk nadrejonu „Beskid” w I Okręgu OUN. W 1947 roku przedostał się do amerykańskiej strefy okupacyjnej Niemiec, skąd wyemigrował do USA (za: Eugeniusz Misilo, *Akcja „Wisła”*, Warszawa 1993, s. 259).
- 28 Zob. też: Zbigniew Nadolski, *WUBP w Rzeszowie*, Rzeszów 1998, s. 240.

Polskie „bandy UPA”

Eugeniusz Misiło

W „Karcie” 1 przedstawiliśmy relację Michała Kusego, świadka zaskakujących zdarzeń: oddziały II Armii WP walczące w 1945 roku z OUN i UPA wypuszczały z powrotem do lasu złapanych „członków band”, co działo się pod wyraźnym wpływem NKWD. Eugeniusz Misiło odnalazł dokumenty, z których wynika, że podobne metody zastosowały nieco później polskie władze. Liczymy na dalsze świadectwa z tamtego „rogu” (pfd.-wsch.) dzisiejszej Polski. (RED.)

Prowokacja była jedną z podstawowych metod prowadzenia walki z podziemiem w Polsce po 1944 roku. Planowano użycie jej wobec całej opozycji politycznej i zbrojnej w Polsce. Z całą pewnością zastosowano ją wobec Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów i Ukraińskiej Powstańczej Armii.

W początkowym okresie w latach 1946–47 do zwalczania podziemia zbrojnego, jak i wspierającej je ludności cywilnej, używano na ogół oddziałów wojskowych działających metodami partyzanckimi. Formowano je z reguły z żołnierzy, byłych członków partyzantki komunistycznej – przebranych i wyposażonych na wzór walczących „band”. Była to metoda sprawdzona przez NKWD przy zwalczaniu UPA na terenie ZSRR. Aby te działania były skuteczne, należało – poza zewnętrznym upodobnieniem się do swego przeciwnika – zdobyć zaufanie tej części społeczeństwa, które sprzyjało podziemi.

Pomysł organizowania przez UB i wojsko „własnej partyzantki” zrodził się zapewne już w 1945 roku. Wskazuje na to ściśle tajne opracowanie „Taktyka walki z bandami”, przedstawione 5 stycznia 1946 szefowi Głównego Zarządu Polityczno-Wychowawczego WP, gen. bryg. Kazimierzowi Świetlikowi i szefowi Sztabu Generalnego WP, gen. broni Władysławowi Korczycowi, przez szefa Oddziału Organizacyjno-Instruktorskiego GZP-W, płk. Neugebauera*.

Opracowanie składało się z czterech części: 1. *Taktyka band*; 2. *Taktyka władzy demokratycznej*; 3. *Wyniki*; 4. *Zmiana taktyki walki*. Zawarte w nim oceny i propozycje odnosiły się głównie do województwa białostockiego, ale zgodnie z sugestią płk. Neugebauera, mogły być z powodzeniem wykorzystane w innych regionach kraju zagrożonych działaniem „band”. Najistotniejszy był punkt 4. Płk Neugebauer proponował w nim m.in.:

– tworzyć z aktywistów partyjnych, robotników, żołnierzy, oficerów oddziały partyzanckie, ubrane po cywilnemu, wypuszczać w las celem wprowadzenia dezorganizacji w szeregach band;

– zaostrzyć represje wobec czł[onków] band, osób współpracujących. Złamać bezkarność chłopstwa, ukrywającego bandytów. Na bandycki terror reakcji odpowiedzieć naszym terrorem. Postawić zasadę odpowiedzialności zbiorowej wsi za zbrodnie dokonywane na jej terenie. Na akty zbrodnicze reagować natychmiast:

- a) nakładaniem kar materialnych, konfiskowaniem dobytku;
- b) masowymi aresztami;
- c) przesiedlaniem mieszkańców wsi na teren zachodnie (nie całości wsi, ale w rozproszkowaniu);

* Płk. Neugebauer – płk. Janusz Zarzycki, mianowany w grudniu 1946 generałem brygady (przyp. red.).

d) natychmiastowe na miejscu rozstrzelanie schwytanych z bronią w ręku, właścicieli domów, w których broń została znaleziona;

e) w skrajnych wypadkach, przy napotkaniu na zbrojny opór wsi, spalenie wsi”.

Dla poparcia proponowanych przez siebie metod, płk Neugebauer powołał się na doświadczenia akcji pacyfikacyjnej na ziemiach polskich włączonych po 17 września 1939 do ZSRR, „kiedy to – jego zdaniem – nawet w trakcie kolektywizacji czy ściągania kontyngentów panował tam bezwzględny porządek i spokój”^{*}.

Notatka zastępcy szefa Sztabu Generalnego WP, gen. bryg. Stefana Mossora, z posiedzenia Biura Politycznego Komitetu Centralnego PPR, które odbyło się 17 czerwca 1946 w Belwederze^{**}, świadczy o tym, że płk Neugebauer nie był odosobniony w swoich pomysłach. W punkcie drugim narady, poświęconej zwalczaniu podziemia w związku ze zbliżającym się referendum ludowym, zanotował on: „Użycie tu i ówdzie (gdzie duży aktyw) partyzantki cywilnej”, zaś w punkcie piętnastym: „Sprawa prewencyjnych aresztowań i likwidowania aktywów przeciwnika”^{***}.

O tym, że takie metody zastosowano w praktyce, świadczą liczne tajemnicze morderstwa dokonywane przez nieznaną sprawców na działaczach opozycji. Metody te były na tyle skuteczne, że Państwowa Komisja Bezpieczeństwa^{****} uznała za podstawowe w okresie przedwyborczym „posługiwanie się grupami bojowymi w ubraniach cywilnych” i poleciła, aby ich akcje były „ściśle koordynowane z oddziałami umundurowanymi, w celu uniknięcia nieporozumień”^{*****}.

Nieco później, w październiku 1946, również dowództwo Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego wydało dyrektywę zalecającą m.in., by „w taktyce działań przeciw bandom zastosować działalność konspiracyjną przez wydzielenie specjalnych oddziałów w ubraniach cywilnych”^{*****}.

Dzięki zachowanym dokumentom możemy dziś sporo powiedzieć o użyciu takich oddziałów na terenach objętych działalnością podziemia ukraińskiego. Skala tych działań była dość duża zarówno w 1946, jak i w 1947 roku; było przy tym charakterystyczne, że oddziały te wprowadzano do akcji z reguły wówczas, kiedy aktywność grup upowskich słabła lub wręcz zanikała. Sytuacja taka po raz pierwszy miała miejsce wraz z zakończeniem w czerwcu 1946 przymusowego wysiedlenia ludności ukraińskiej do USRR.

Reakcja dowództwa 8 DP na zanik aktywności bojowej podziemia była niemal natychmiastowa. 19 lipca 1946 szef sztabu 8 DP, ppłk Roszkowski, w wysłanym do sztabu Grupy Operacyjnej „Rzeszów” szyfrogramie meldował: „Pododdziały dywizji zorganizowane na wzór partyzancki wyjechały w teren”^{*****}. Ile było takich pododdziałów, dokąd i w jakim celu zostały wysłane?

Z szyfrogramu nr 302 płk. Jęwczenki wysłanego 29 lipca 1946 do Sztabu Generalnego WP wynika, iż grupy takie posiadał każdy pułk (8 DP miała cztery pułki). Wiadomo również, że przykładowo 32 pp wchodzący w skład 8 DP 27 lipca miał w akcji cztery pododdziały „partyzanckie” działające na terenie powiatu sanockiego. W tym samym czasie w powiecie brzozowskim operowały cztery grupy z 36 pp i tyleż samo z 34 pp i 37 pułku artylerii lekkiej (pał) w powiecie leskim. W raporcie z 27 lipca pojawiają się informacje

* Centralne Archiwum Wojskowe (dalej: CAW), Sztab Generalny WP, IV.111, t. 606, k. 20-21.

** Posiedzenia BP KC PPR odbywały się w Belwederze. Ukrywano w ten sposób fakt, iż prezydent RP Bolesław Bierut („Tomasz”) należy do PPR i jest członkiem Biura Politycznego.

*** CAW, Sztab Generalny WP, IV.111, t. 455, k. 295.

**** Państwowa Komisja Bezpieczeństwa (PKB) – była centralnym organem do koordynowania walki z podziemiem zbrojnym. Na czele Komisji stała Rada Bezpieczeństwa w składzie: przewodniczący – minister obrony narodowej, marszałek Polski Michał Rola-Żymierski; członkowie – minister bezpieczeństwa publicznego, gen. bryg. Stanisław Radkiewicz; szef Sztabu Generalnego WP, gen. broni Władysław Korczycki; dowódca KBW, gen. dyw. Bolesław Kieniewicz; komendant główny MO, gen. bryg. Franciszek Józwiak („Witold”). We wszystkich województwach utworzono Wojewódzkie Komitety Bezpieczeństwa. PKB istniała od lutego 1946 do grudnia 1947.

***** CAW, Sztab Generalny WP, IV.111, t. 490, k. 750. Wytyczne na okres przedwyborczy z 17 lipca 1946 – podpisane przez ministra bezpieczeństwa publicznego, gen. bryg. Stanisława Radkiewicza i wiceministra obrony narodowej, gen. dyw. Mariana Spsychalskiego; rozdział poświęcony walce z bandytyzmem.

***** Tamże, t. 501, k. 26.

***** Tamże, t. 733, k. 248.

o identycznych grupach wysłanych do powiatów przemyskiego, jarosławskiego i lubaczowskiego przez 26 pp, 28 pp i 30 pp, wchodzące w skład 9 DP. Liczyły one od pięćdziesięciu do stu ludzi doskonale uzbrojonych i przebranych w mundury UPA. O ich działalności na bieżąco informowany był szef Sztabu Generalnego, gen. broni Władysław Korczyński*. Jeśli przyjmiemy, że w każdym pułku były po 4 grupy, to łącznie w 8 i 9 DP było ich 32. Podobne oddziały posiadały na tym terenie również wojewódzkie i powiatowe urzędy bezpieczeństwa publicznego.

Narodziny jednego z takich oddziałów opisał Władysław Pożoga, wiceminister spraw wewnętrznych w latach 80., a w 1947 roku „strzelec UPA”:

„W WUBP [w Rzeszowie – E.M.] zapadła decyzja, aby stworzyć czołg** według najlepszych wzorów UPA. Trzeba było znaleźć ludzi, którzy dobrze znają stosunki, praktyki, zwyczaje i obyczaje nacjonalistów ukraińskich, odpowiednio ich przygotować psychicznie i fizycznie oraz wyposażać w sprzęt i umundurowanie, jakim posługiwał się przeciwnik. Z tym był najmniejszy kłopot. Nasze magazyny były pełne trofeów zdobytych na rozbitych grupach UPA. W urzędzie znajdowało się kilka osób nadających się do takiej wyprawy. Kilka dalszych ściągnięto od sąsiadów [?]. Resztę pożyczono od wojska. Szukano znających język ukraiński, brano tylko ochotników. Wszystko odbywało się w największej tajemnicy.

[...] Gdy grupa nazwana czołg Czumaka była gotowa, załadowano ją na samochody, szczerlnie zakryto plandeki, wywieziono w lasy, życzone szczęścia i zostawiono własnemu losowi. Oczywiście ustalono kontakty i sygnały współdziałania, wyznaczono ludzi czuwających nad naszą czołg. [...] Nie pamiętam, ile dni czołg Czumaka włóczyła się po terenie, gdy doszło do pierwszej strzelaniny. Niestety, ze swoimi. W założeniu mieli zdobyć rozgłos dla nowego oddziału. Tu i ówdzie potar mosiło się niektórych. Starannie jednak omijali miejscowości, o których wiedzieli, że są tam milicjanci lub wojsko. Było przykazane unikać starć ze swoimi”.

A tak wyglądał powrót czoły po wykonaniu zadania do koszar: „Przygotowano więc kolejną akcję zakończoną «sukcesem». Wojsko ujęło czołg. Spędziło jej członków do starej stodoły. [...] Wieczorem pod stodołę podjechały samochody, załadowano zatrzymanych. Konwój pojechał w kierunku miasta, wjechał do Urzędu Bezpieczeństwa przez tylną bramę, przy wszystkich światłach pogaszonych. Tak w ciemności, w środku nocy, czołg Czumaka zakończyła swoje istnienie. Jej członkowie nie przestali być potrzebni. Nabrali przecież jeszcze większego doświadczenia, które przydało się w następnej akcji”***.

Podstawowym zadaniem fikcyjnych oddziałów „banderowskich” było nękanie ludności cywilnej, bezpośredniego zaplecza podziemia, a także dezorientacja jego potencjalnych sprzymierzeńców. Cel ten można było osiągnąć tylko przez akcje podrywające zaufanie do „swojego” podziemia. Był to przy tym znakomity pretekst dla władz, uzasadniający stosowanie najostrożniejszych nawet represji. Wszystko to rodzi pytanie o autentyczność wielu akcji przypisywanych podziemiowi po 1945 roku. Jest bardzo prawdopodobne, że ujawnienie kolejnych dokumentów pozwoli na poznanie prawdy o działaniach, za które odpowiedzialnością obciążano dotychczas podziemie zarówno polskie, jak i ukraińskie.

Publikujemy też dwa dokumenty z sierpnia 1947, które dowodzą, że z metody tej korzystano jeszcze wielokrotnie. Tym razem dla zniszczenia rozproszonych oddziałów UPA i ujawnienia tych Ukraińców, którzy uniknęli wysiedlenia w trakcie akcji „Wisła” (28 kwietnia – 31 lipca 1947).

W rok później, już po całkowitej likwidacji UPA na terytorium Polski, miało się okazać, iż władze bezpieczeństwa są zainteresowane wskrzeszeniem Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Misję zorganizowania fikcyjnego *prowidu* (przywództwa) OUN, mającego powiązania z ukraińskim podziemiem w USRR i kierownictwem OUN za granicą, powierzono agentowi UBP Leonowi Łapińskiemu, ps. „Zenon”, „Bogusław”, „Rwuczyn” – byłemu szefowi służby bezpieczeństwa w III Okręgu OUN (Lubelszczyzna).

* Tamże, zob. szyfrogramy, k. 252, 272, 274, 286.

** Czołg (ukr.) – oddział będący odpowiednikiem plutonu, liczący około trzydziestu ludzi.

*** *Siedem rozmów z generałem dywizji Władysławem Pożogą, I zastępcą ministra spraw wewnętrznych, szefem wywiadu i kontrwywiadu*, Warszawa 1987, s. 40–42, 44.

Cała siatka, licząca kilkadziesiąt osób, została w maju 1954 zdekonspirowana przez organa bezpieczeństwa, a „Zenon” popełnił fikcyjne samobójstwo. Działalność tej organizacji, kontrolowanej całkowicie przez polskie i radzieckie organa bezpieczeństwa, a następnie jej likwidacja, stała się pretekstem dla masowych aresztowań i kolejną okazją do udowodnienia społeczeństwu, iż zagrożenie ze strony ukraińskich nacjonalistów jest nadal realne.

—
Notatka zastępcy szefa Sztabu Generalnego WP, gen. bryg. Stefana Mossora, z posiedzenia Biura Politycznego KC PPR w dniu 17 czerwca 1946 (Warszawa, 18 czerwca 1946)

Ścisłe tajne

1. Najwięcej uwagi poświęcono 2 zagadnieniom:

– jednolitemu kierownictwu 3 części składowych bezpieczeństwa: Urzędów Bezpieczeństwa (Min[isterstwa] i Woj[ewódzkich]), wojsk KBW, milicji, działających dotąd równolegle bez jednolitego kierownictwa;

– zorganizowaniu lepszego wywiadu operacyjnego stanowiącego główną podstawę powodzenia walki z bandytyzmem.

Decyzji ostatecznej nie podjęto. Proponowano środki:

– lepszy dobór personelu,
 – wzmocnienie fachowości,
 – lepsze wykorzystanie środków pieniężnych i zwiększenie ich sumy,
 – przystosowanie wywiadu do charakteru wsi – głównej bazy band.

Ponadto poruszono kwestie następujące:

2. Użycie tu i ówdzie (gdzie duży aktyw) partyzantki cywilnej.

3. Używanie przez grupy operacyjne bezpieczeństwa ubrań cywilnych.

4. Konieczność sankcji przeciwko noszeniu mundurów przez bandy.

5. Konieczność sankcji przeciwko rodzinom bandytów (ich bazie i wywiadowi).

6. Kwestia ochrony kolei – wymaga zasadniczych decyzji odnośnie [do] sklejenia bezpieczeństwa i SOK oraz oczyszczenia tego ostatniego.

7. Stwierdzono, że kwestia zabezpieczenia szos jest funkcją prawidłowej organizacji wywiadu agencyjnego i zniszczenia band wykonujących napady na szosy. Zadania komitetów wojew. – a na odcinkach odpowiedzialności bezpieczeństwa zadanie KBW.

8. Poruszono braki milicji i konieczność jej dalszego oczyszczenia.

9. Ponowny nacisk na rozdawnictwo broni dla ORMO i aktywu.

10. Konieczność oczyszczenia administracji województw opanowanych przez PSL (krakowskie, warszawskie, a przede wszystkim rzeszowskie).

11. Omówiono dalszą konieczność zwalczania schematycznych, ciężkich operacji i przystosowania giętkich operacji do charakteru terenu i band.

12. Konieczność wykańczania operacji przez niszczenie rozbitych lub odpartych części band i pojedynczych bandytów.

13. Podkreślono przeciążenie wojska różnorodnością zadań niewojskowych i niebezpieczeństwo zupełnego zawieszenia wyszkolenia w całym wojsku od 3 miesięcy.

14. Poruszono konieczność współpracy komendantów wojewódzkich z sekretarzami PPR.

15. Sprawa prewencyjnych aresztowań i likwidowania aktywów przeciwnika.

(–) Mossor gen. Bryg.

[Na marginesie dokumentu odręczny dopisek gen. Mossora:]

Adj[utant]. Doręczyć osobiście gen. Stecy* do aktów Komisji Bezpieczeństwa.

KOPIA, MASZYNOPIS. CENTRALNE ARCHIWUM WOJSKOWE (DALEJ: CAW), SZTAB GENERALNY WP, IV.111, t. 455, k 295.

—
Szyfrogram nr 266 szefa sztabu 8 Dywizji Piechoty ppłk. Roszkowskiego do szefa sztabu Grupy Operacyjnej „Rzeszów” ppłk. A. Jewczenki, informujący o rezultatach działalności pododdziałów WP sformowanych na wzór UPA (Rymanów Zdrój, 20 lipca 1946)

Ścisłe tajne

Pododdziały dywizji specjalnymi grupami na wzór partyzantki działają w swych rejonach.

* Ostap Steca (1900–1978) – szef Wydziału III Operacyjnego Sztabu Generalnego WP pełniący jednocześnie obowiązki szefa sztabu Państwowej Komisji Bezpieczeństwa, organu koordynującego w latach 1946–47 zwalczanie podziemia zbrojnego.

W rejonie Wielopola (8490) i Rymanowa Zdroju (9060) w nocy z 19/20 VII [19]46 r. pododdziały 32 pp stoczyły walkę z grupami banderowców, które rozproszyły się.

Strat nic ma.

Roszkowski pplk

ORYGINAŁ, MASZYNOPIS. CAW. SZTAB GENERALNY
WP IV.111. T 733. K 252.

Rozkaz dowódcy 9 Dywizji Piechoty dla dowódców 28 i 30 pp w sprawie sformowania oddziałów WP działających na wzór UPA (Przemyśl, 3 sierpnia 1947)

Ścisłe tajne

Dowódca Dywizji rozkazał:

Do dnia 5.8[19]47 r. ze znajdujących się w pułku plutonów zwiadowczych stworzyć oddziały zwiadowcze w sile 30 ludzi. Oddziały te przebrać w ubrania banderowskie i upodobnić zewnętrznie do band. Działać one będą systemem partyzanckim.

Oddziały te otrzymają specjalne zadanie od oficerów zwiadowczych GO OW V.

O wykonaniu powyższego zameldować do dnia 5.8[19]47 r. drogą telefoniczną lub radiową.

Wz. Szefa Sztabu 9 Dywizji Piechoty

Szef I Wydziału 9 DP

(Mgr Modlinger – kpt.)

KOPIA, MASZYNOPIS. CAW, 9 DYWIZJA PIECHOTY,
IV.310.09, T. 38, K 57.

Zarządzenie nr 001 sztabu Grupy Operacyjnej Okręgu Wojskowego nr V w sprawie utworzenia oddziałów zwiadowczych WP działających w przebraniu żołnierzy UPA (Rzeszów, 1 sierpnia 1947)

Ścisłe tajne

W wyniku działalności jednostek Grupy Operacyjnej „Wisła” w powiatach: Lubaczów, Przemyśl, Sanok, Lesko, Nowy Sącz i Gorlice – bojowe oddziały UPA zostały rozbite i zdeorganizowane, straciły większość swoich ludzi, uzbrojenia i sprzętu. Część sotni UPA (sotnie „Hromenki”, „Burlaki” i częściowo „Romana”) pod naciskiem oddziałów WP wycofały się na tereny Czechosłowacji, inne (jak sotnie „Bira”, „Chrina” i „Stacha”) – na tereny ZSRR, gdzie są ścigane i likwidowane stopniowo przez miejscowe oddziały wojska.

Niedobitki oddziałów bojowych UPA błakają się nadal w rejonie woj. rzeszowskiego w małej sile, unikając spotkania z wojskiem, działają drobnymi grupkami w sile od 2-ch do 4-ch ludzi przeważnie w celu zdobycia środków żywnościowych.

Na terenie województwa pozostała ponadto część personelu obsady terenowej UPA w postaci „Rejonowych Prowidnyków”, „Rejonowych Referentów Gospodarczych”, „Rejonowych Referentów SI[uzby] Zdrowia”, SB, BSB oraz „kuszczę”, zadaniem których jest oswojenie rejonów, przygotowanie zapasów żywności i werbowanie nowych członków band spośród ludności nowo osiedlonej.

Dla całkowitej likwidacji resztek band i rejonowej obsady UPA dowódca Grupy Operacyjnej OW V rozkazał:

dowódcom dywizji i brygad KBW sformować:

1. W każdej dywizji po 5 i w każdej brygadzie KBW po 3 oddziały zwiadowcze w sile od 20 do 30 ludzi (uzbrojenie i wskazówki organizacyjne – w załączonej instrukcji).

2. Spośród liczby w/w oddziałów zwiadowczych wybrać w każdej dywizji po 2 i w każdej brygadzie KBW po 1 oddziale zwiadowczym, które należy przebrać w ubrania banderowskie, upodobnić zewnętrznie do band. Działać one będą systemem partyzanckim, starając się nawiązać najbliższy kontakt z bandą (podając się za oddziały banderowskie) – w celu najszybszej i najbardziej skutecznej likwidacji grup bandyckich. Oddziały te otrzymają zadania od oficerów zwiadowczych GO OW V upelnomocnionych przez d-cę GO OW V.

3. Każdemu z oddziałów zwiadowczych wyznaczyć osobny ściśle określony rejon działalności, co do których istnieją pewne dane, że są w nich obecne bandy.

4. Na czas działania oddziałów zwiadowczych zwolnić rejon z obecności innych oddziałów wojskowych, oddziałów MO, ORMO itp. oraz zwrócić szczególną uwagę na organizację łączności, która by wykluczyła ewentualne możliwości wzajemnego nieporozumienia i wzajemnej strzelaniny pomiędzy oddziałami zwiadowczymi z jednej strony, a innymi oddziałami wojskowymi, MO lub ORMO itp. z drugiej strony.

5. Dowodzenie oddziałami zwiadowczymi scentralizować.

6. Oddziały zwiadowcze winne znajdować się przez cały czas wyłącznie w terenie w swoich ściśle określonych i im wyłącznie przeznaczonych rejonach działalności zwiadowczej, przez dowódców GO OW V.

7. Łączność z jednostkami macierzystymi oddziały zwiadowcze utrzymywać muszą wyłącznie przy pomocy łączności kodowej.

8. O sformowaniu oddziałów zwiadowczych wymienionych w punkcie 1 i 2 – meldować do dnia 5.8.1947 r.

Szef Wydziału Zwiadowczego Grupy Operacyjnej OW V Jewczenko płk

Szef Sztabu Grupy Operacyjnej OW V Chiłński płk

KOPIA, MASZYNOPIŚ. CAW, 9 DYWIZJA PIECHOTY, IV.310.09, T. II, K 1-2.

Instrukcja nr 1 organizacji i sposobu działania oddziałów zwiadowczych jednostek GO OW V

1. Oddziały zwiadowcze sformowane z najlepszego składu osobowego jednostek dywizji, przydzielić najlepszą kadrę podoficerską i oficerską dla celów intensywnego szkolenia, ażeby w najkrótszym czasie oddziały zwiadowcze mogły rozpocząć działanie rozpoznawcze w terenie.

2. Uzbrojenie: na każdy oddział zwiadowczy po 2–3 rkm, 70% automatów, 30% kb, granaty.

3. W miarę posiadanych możliwości przydzielić oddziałom zwiadowczym po 1 radiostacji o krótkim zasięgu.

4. Zaopatrzenie: dla zaopatrywania oddziałów zwiadowczych (które działać będą w terenie

przeważnie oderwane od swoich jednostek macierzystych) – zorganizować pośrednie punkty zaopatrzenia (pod kierownictwem specjalnie w tym celu wydzielonego oficera), które zaopatrywać będą oddziały zwiadowcze bezpośrednio. Pośrednie punkty zaopatrzenia utrzymać w ścisłej tajemnicy. Oddziały zaopatrywać w suchy prowiant.

5. Sposób działania w akcji rozpoznawczej: wszelkimi posiadanymi i możliwymi środkami nawiązując ścisłą łączność i współdziałanie z organami UBP i MO oraz ze swymi sąsiadami. W miarę posiadania możliwości używać do działań rozpoznawczych psów, które w tym celu specjalnie dobrać z MO.

6. Każdego napotkanego podejrzanego uzbrojonego osobnika traktować jako bandytę, starając się w pierwszym rzędzie ująć go żywcem, o ile zaś jest niemożliwe – zniszczyć.

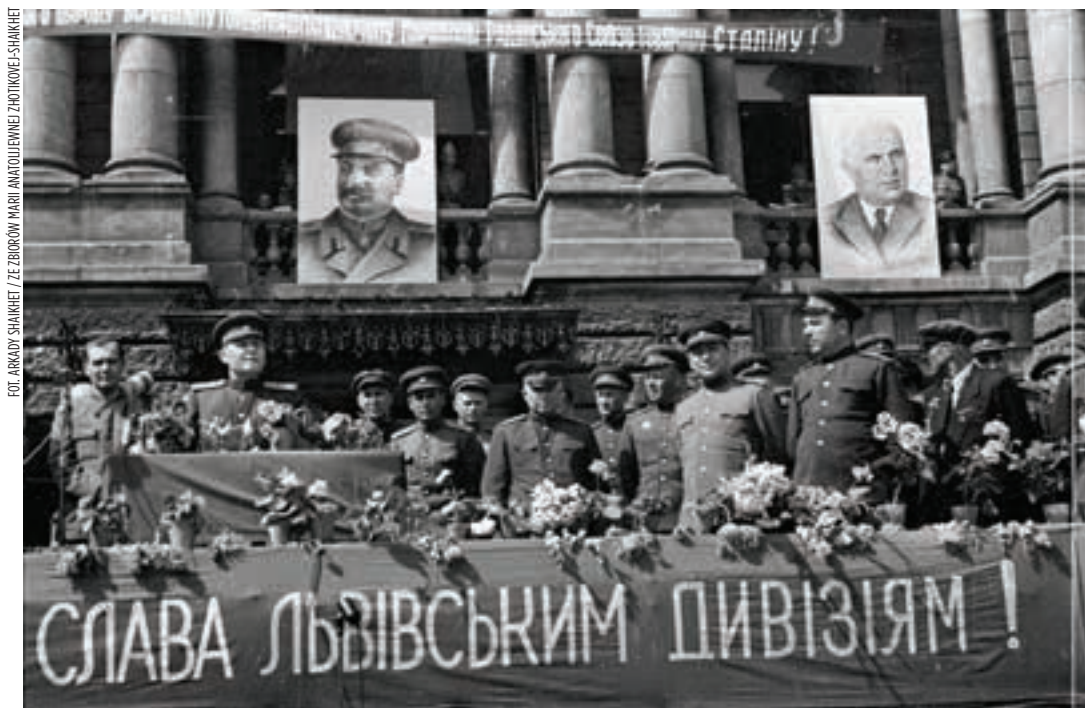
Szef Wydziału Zwiadowczego GO OW V
Jewczenko płk

KOPIA, MASZYNOPIŚ. CAW, 9 DYWIZJA PIECHOTY, IV.310.09, L 78, K 141.

**DOKUMENTY PRZYGOTOWAŁ DO DRUKU
I PRZYPISY OPRACOWAŁ
Eugeniusz Misioł**

Materiał pochodzi z „Karty” 2/1991.

Kombinacje NKWD–UPA



↑ Lwów, koniec lipca 1944. Dowódca 1 Frontu Ukraińskiego Iwan Koniew gratuluje wyzwolenia mieszkańcom miasta. Na podium m.in. pierwszy sekretarz Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Ukrainy Nikita Chruszczow

Grzegorz Motyka

Dość powszechne jest w Polsce przekonanie, że OUN-UPA zajmowała się wyłącznie działalnością przeciwko Polsce i Polakom. Tymczasem co najmniej od 1944 roku głównym przeciwnikiem tej organizacji był Związek Radziecki. Sowieckie tajne służby włożyły wiele wysiłku, aby doprowadzić do zniszczenia „ukraińskich burżuazyjnych nacjonalistów”.

Celem powstałej w 1929 roku Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów było utworzenie niepodległego państwa ukraińskiego z ziem wchodzących wówczas w skład Polski, ZSRR, Rumunii i Czechosłowacji. Początkowo działania OUN przeciwko komunistom były bardzo ograniczone z powodu trudności tworzenia struktur konspiracyjnych na sowieckiej Ukrainie. W 1933 roku, dla zamianifestowania sprzeciwu wobec przymusowej kolektywizacji w ZSRR, która spowodowała „wielki głód” na Ukrainie (ok. 4,5–5 mln ofiar),

bojowcy OUN dokonali z amachu na konsula sowieckiego we Lwowie. Zginął wtedy omyłkowo urzędnik konsulatu Aleksiej Majłow. Równocześnie OUN zaczęła zwalczać wpływy partii komunistycznej, na przykład poprzez „prewencyjne” pobicia jej sympatyków.

W odwecie za zamach, NKWD zmontował pierwszą „kombinację” przeciwko OUN. Agenci sowieccy przekonali przywódcę ukraińskich nacjonalistów, Jewhena Konowalca, że reprezentują antykomunistyczną organizację, powstałą w USRR. Grę zakończono w 1938 roku likwidacją Konowalca w Rotterdamie. To zabójstwo było ciosem wymierzonym niezwykle celnie. Doprowadziło do podziału OUN na dwie zaciekle zwalczające się frakcje – melnykowców i banderowców.

W 1939 roku, po włączeniu w skład ZSRR Wołynia i Galicji Wschodniej, doszło do otwartych wystąpień dywersyjnych (m.in. w grudniu zaatakowano Zbaraż), mających zademonstrować światu dążenie Ukraińców do niepodległości. W następnych miesiącach przygotowywano się do wybuchu powstania, likwidowano przedstawicieli władz komunistycznych i aktywu partyjnego (tylko w maju 1941 zabito 57 takich osób). Do większych sukcesów OUN należało wysadzenie w powietrze magazynów amunicyjnych w Przemyślu.

Odpowiedzią NKWD były czekistowsko-wojskowe operacje przeprowadzone w marcu, wrześniu i grudniu 1940. Największą akcją rozpoczęto w kwietniu 1941 – zamierzano zlikwidować przywódców OUN oraz rozpracować i przechwycić kierownicze centra tej organizacji. Jednocześnie rozpoczęto wysiedlanie ludności ukraińskiej w głąb ZSRR.

W czerwcu 1941 OUN w miarę możliwości udzielała wsparcia wkraczającym wojskom niemieckim. Doszło do wielu ataków dywersyjnych na oddziały sowieckie. Próbowano nawet opanować Lwów. Akcji tych Ukraińcy dokonywali w przekonaniu, że Niemcy stworzą państwo ukraińskie o ograniczonej suwerenności, na wzór ówczesnej Słowacji czy Chorwacji. Brutalna polityka niemiecka przyniosła im jednak rozczarowanie. Frakcja banderowska OUN ponownie przeszła do konspiracji i w końcu 1942 roku

przystąpiła do formowania na Wołyniu Ukraińskiej Powstańczej Armii, która rozpoczęła walkę jednocześnie z Polakami, Sowietami i Niemcami.

Podczas niemieckiej okupacji Wołynia i Galicji Wschodniej Sowietci z uwagą śledzili działalność ukraińskich narodowców. Partyzantka sowiecka sporządzała spisy osób wspierających Niemców czy OUN-UPA.

Wywiadowi sowieckiemu prawdopodobnie udało się stworzyć w OUN-UPA na Wołyniu szeroką siatkę agentów, rekrutujących się spośród żołnierzy Armii Czerwonej pozostałych na tym terenie po klęsce w 1941 roku. Została ona przypadkowo odkryta przez Służbę Bezpieczeństwa OUN, co stało się przyczyną represji przeciwko byłym czerwonooarmistom (część z nich została rozstrzelana). To z kolei spowodowało ich masowe dezercje z UPA po nadejściu frontu. Wydarzenia te budzą jednak wiele wątpliwości. Możliwe, że wersje o sowieckiej siatce rozsiewała sama SB OUN dla usprawiedliwienia swych krwawych poczynań.

Inna prawdopodobna hipoteza to podrzucenie Ukraińcom przez NKWD sfingowanych dowodów istnienia sowieckiej siatki. Warto tu wspomnieć, iż w 1943 roku we wsi Dermań na Wołyniu grupa SB OUN „Smoka” (NN) wymordowała pod zarzutem współpracy z komunistami najbardziej uświadomionych narodowo Ukraińców. Listę rzekomych agentów „Smok” zdobył w „przypadkowej” potyczce z partyzantką sowiecką. Do sukcesu tej gry operacyjnej przyczyniła się współpracująca z NKWD kochanka „Smoka”, która po pierwszych likwidacjach zmusiła także jego do zdrady. W końcu oboje zdemaskowano i zlikwidowano*.

W 1944 roku po zajęciu Zachodniej Ukrainy przez Armię Czerwoną oddziały UPA, liczące wówczas ok. 30 tysięcy ludzi, przystąpiły do zakrojonych na szeroką skalę działań partyzantkich, starając się nie dopuścić do utworzenia sowieckiej administracji. Przeciwko UPA skierowano ok. 40 tysięcy żołnierzy wojsk NKWD, wzmocnionych dodatkowo pododdziałami Armii Czerwonej i naprędce formowaną milicją pomocniczą, czyli tzw. *istribitielnymi batalionami*. Do osłony szlaków kolejowych skierowano dziesięć pociągów pancernych.

* Patrz np. Danyło Szumuk, *Za schidnym obrijem*, Paryż–Baltimor 1974.

Działania wojsk NKWD były niezwykle krwawe. Od lutego 1944 do 1 stycznia 1946 przeprowadziły one 39.773 operacje przeciw partyzantom. Zabiły w nich 103.313 i schwytały 110.785 „bandytów”. Poza tym m.in. aresztowano 8370 „aktywnych członków OUN” i 15.959 „aktywnych powstańców”. Większość wymienionych ofiar stanowiła ludność cywilna.

Obok działań pacyfikacyjnych ważną rolę w zwalczaniu OUN-UPA miały działania agenturalne. W październiku 1944 na Zachodnią Ukrainę skierowano z innych części USRR ok. 600 doświadczonych pracowników operacyjnych zajmujących się m.in. tworzeniem sieci agentów. Aby przyspieszyć prowadzone śledztwa, do Lwowa i Równego skierowano dwie specjalne grupy śledcze, każda po 25 ludzi. Obok okrutnego bicia stosowano niejednokrotnie podstęp.

Dobry przykład stanowi tu rozbiecie siatki OUN na Bukowinie. Opis tej charakterystycznej dla NKWD akcji znalazł się w „Teczce Specjalnej” Stalina, w raportach składanych przez Ławrientija Berię. 27 grudnia 1944 w obwodzie Czerniowce enkawudysty schwytali działaczy OUN – Artemizję Hałycką „Motrię” i Mirosława Hajduka „Fedira”. „Motria” w chwili aresztowania próbowała popełnić samobójstwo, lecz jedynie raniła się w głowę. W szpitalu podjęła kolejną próbę samobójczą. „Fedir” natomiast dość szybko wydał znane mu struktury OUN. Oficerowie bezpieczeństwa – widząc nieugiętość „Motrii” i wiedząc od Hajduka o jej roli w organizacji – postanowili przeprowadzić grę operacyjną.

7 stycznia 1945 nocą „uprowadzono” Hałycką ze szpitala i umieszczono w tajnej kwaterze w Czerniowcach. „Porywaczami” byli oficerowie NKWD: podpułkownik Bilenko „Taras”, starszy leutnant Gonczarenko „Iwan” oraz starszy leutnant Gusak „Stećko”. Przedstawili się oni jako przybysze z Centrali OUN, którzy dowiedziawszy się o aresztowaniu, zorganizowali ucieczkę. „Motria” uwierzyła, tym bardziej że w sukurs NKWD przyszedł przypadek: ppłk Bilenko z wyglądu przypominał znanego Hałyckiej z opisów jednego z członków Centrali.

Aby uwiarygodnić wersję operacyjną, dwukrotnie zmieniano miejsce pobytu „Motrii”.

Za pierwszym razem do nowej kwatery przenoszono ją w pustej szafie, za drugim – w dywanie.

Gdy stan zdrowia chorej nieco się poprawił, poinformowano ją, iż toczy się śledztwo w celu wyjaśnienia jej roli we wsiach, które nastąpiły po aresztowaniu jej i „Fedira”. W śledztwie zastosowano klasyczny podział na „złego” i „dobrego” policjanta. „Złym” był indagujący Hałycką „Iwan”, zaś „dobrym” – czule opiekujący się raną „Stećko”. „Motria” opowiadała mu to, czego nie mówiła Gonczarence, żaliła się też na ostry przebieg śledztwa.

Wkrótce enkawudysty wiedzieli wszystko. Na podstawie zdobytych podstępem zeznań Hałyckiej od 1 stycznia do 20 lutego 1945 zabito 123 i aresztowano 99 członków OUN. „Motria” wróciła do więzienia, gdzie zmarła w końcu 1945 roku*.

Sowieci rozbudowywali także siatki agentów, zmuszając ludzi do współpracy szantażem lub kusząc sowiłą zapłatą. Obok osób zbierających informacje wywiadowcze werbowano też tzw. agentów-bojowników, których zadaniem było wstąpienie do oddziałów partyzanckich i chwytanie lub likwidowanie ich dowódców.

Na dużą skalę NKWD organizował również specgrupy udające UPA lub SB OUN. Takie jednostki przyjęto się w Polsce określać mianem „oddziałów pozorowanych”. Kulisy ich działalności dobrze pokazują prezentowane dalej dokumenty. Pierwsze specgrupy utworzono już w 1944 roku. Początkowo składały się z sowieckich partyzantów, szybko jednak ich kadre zaczęto rekrutować spośród tych członków OUN-UPA, którzy ujawnili się lub – rzadziej – zostali schwytani. W skład specgrup wchodził pracownicy operacyjni NKWD. Mieli oni m.in. czuwać nad tym, aby przewerbowani upowcy nie zdezerterowali. Specgrupy liczyły przeważnie od 3 do 50 osób.

Z dostępnych dokumentów wynika, iż w połowie 1945 roku działało na Zachodniej Ukrainie 157 takich oddziałów, liczących w sumie 1808 osób. Od początku swej działalności do 20 czerwca 1945 zabiły one 1980 i schwytały 2013 „bandytów”. Ciekawe, iż w tym czasie zdobyły: 1 cekaem, 31 erkaemów, 172 automaty, 439 karabinów i 79 pistoletów. Zdołyła broń nie

* Państwowe Archiwum Federacji Rosyjskiej (GARF), f. 9401, op. 1, Teczka Stalina, d. 94, k. 132–140.

wystarczyłoby zatem nawet na uzbrojenie zabitych „bandytów”!

Samo NKWD przyznawało w swoich sprawozdaniach, że członkowie specgrup nierzadko dopuszczają się rabunków, gwałtów, a nawet zabójstw. Jak jednak stwierdził minister spraw wewnętrznych USRR gen. Sawczenko: „Nie można bojówki posyłać do lasu z konserwami, bo zaraz ją rozszyfrują”*. Z kolei mjr Sokołow, pisząc o przekształceniu się jednej ze specgrup w kryminalną bez mała bandę, zauważył: „Mimo wszystko, ten rozkład [moralny] miał i strony dodatnie – w czasie kradzieży i pijatyk ludzie jednoczyli się i nie było chęci ucieczki [ze specgrupy – G.M.]”**.

Próbując przeciwstawić się Sowiecom, także OUN-UPA postępowała niezwykle brutalnie. W rozporządzeniu o zwalczaniu siatek wywiadowczych NKWD czytamy: „Likwidować agentów wszelkimi dostępnymi metodami (rozstrzelanie, powieszenie i także ćwiartowanie z napisem na piersiach: «za współpracę z NKWD»), jednak przy tym należy trzymać się prawdy, ponieważ za niewinne ofiary będą odpowiadać ci, co wydadzą rozkaz [likwidacji – G.M.]”***. Nierzadko też, wzorem NKWD, SB OUN rozciągała represje na całą rodzinę rzeczywistego czy domniemanego agenta. Ponieważ nie można było stosować innych metod izolacji, po prostu ich likwidowano.

Pomimo osłabienia działań partyzanckich UPA, wciąż wysyłano w teren specgrupy. Było ich tyle, iż w 1948 roku prokurator wojskowy płk Koszyrskij stwierdził w specjalnym raporcie, że swoją działalnością zaczynają szkodzić władzy sowieckiej, ponieważ tworzą wrażenie istnienia silnego podziemia.

Nadal nie rezygnowano z tej metody walki z podziemiem, choć zapewne ograniczono ilość takich oddziałów. W 1950 roku zginął, próbując się przebić z okrążenia, dowódca UPA Roman Szuchewycz. W 1954 roku schwymano jego następcę – płk. Wasyla Kuka, a w 1956 na Polesiu zlikwidowano ostatnią grupę partyzancką.

Na początku lat 50. specgrupy zaczęły udawać skoczów spadochronowych zrzuconych przez aliantów. Było to związane z podjęciem

współpracy przez emigracyjną OUN z wywiadem brytyjskim i amerykańskim. Aby przeciwstawić się temu nowemu niebezpieczeństwu, Sowieci przystąpili, wspólnie z polskim UB, do operacji znanej pod kryptonimem S-1. Na terenie Polski stworzono kontrolowaną organizację OUN, na czele której stanął agent sowiecki Leon Łapiński „Zenon”, do niedawna dowódca SB OUN na powiaty Hrubieszów i Tomaszów Lubelski. Przy pomocy nieświadomych niczego dawnych podkomendnych nawiązał on kontakt z OUN w Niemczech. Działalność „Zenona” walnie przyczyniła się do likwidacji trzech ukraińskich grup spadochronowych zrzuconych do Polski i na Ukrainę w 1951 roku. Podobny los spotkał desant dostarczony w 1952 roku do Polski przez brytyjską łódź podwodną. Z kolei dwie dwuosobowe grupy przerzucone w balonach weszły w skład jego organizacji; zostały aresztowane w 1954 roku, kiedy to zlikwidowano całą fikcyjną siatkę. W efekcie operacji S-1 skompromitowano banderowską frakcję OUN wobec brytyjskiego wywiadu.

Była to, jeśli można tak powiedzieć, klasyczna operacja sowieckiego kontrwywiadu. Dokładnie w taki sam sposób w tym samym czasie postąpiono z polskim i łotewskim podziemiem. Tylko przypadek uratował od podobnej porażki podziemie litewskie (na Zachód przedarł się jeden z litewskich konspiratorów, który wiedział, że osoba nawiązująca właśnie kontakt z Amerykanami współpracuje z NKWD).

W połowie lat 50. szef KGB gen. Aleksander Szelepin nakazał zamordowanie emigracyjnych przywódców OUN. Najpierw, w 1957 roku, zabito Lwa Rebeta, stojącego na czele grupy działaczy, którzy opowiadając się za demokratycznymi zmianami w organizacji, odeszli od banderowców i utworzyli nową frakcję tzw. dwójkarzy. Dwa lata później, w 1959 roku zabito Stepana Banderę. (Fakt, iż Rebet zginął jako pierwszy, wskazuje na to, że KGB w nim widział groźniejszego przeciwnika).

W następnych latach KGB inspirował wiele publikacji na temat działalności OUN-UPA, niejednokrotnie wręcz fałszując źródła historyczne

* Iwan Bilas, *Represyjno-karalna systema w Ukraini 1917–1953*, t. 2, Kyjiw 1994, s. 475.

** Tamże, s. 442.

*** GARF, f. 9478, op. 1, d. 126, k. 226–228, Instrukcja OUN nr 1/44.

i przypisując tej organizacji zbrodnie niepopelnione. Ostatnie znane instrukcje w tej materii wychodziły z KPZR do KGB jeszcze w 1991 roku. Te dezinformacje wywarły fatalny wpływ na badania historyczne – próby pokazania prawdziwych przewin UPA często dziś są odbierane jako uleganie „falszywkom KGB” (taki absurdalny zarzut postawiono w niektórych ukraińskich publikacjach także redakcji „Karty” po ukazaniu się w numerze 23 tekstu *Niemcy a UPA*).

Opublikowane poniżej dokumenty pokazują „od wewnątrz” mechanizmy działania specgrup

NKWD. Jest to, jak sądzę, pierwsza tego typu publikacja, chyba nie tylko w Polsce. Pozwalają one także na bardziej ogólną refleksję. Widać z nich, jak bardzo rozpowszechniony był nadzór nad ludnością dawnego Związku Radzieckiego. Prowokacja policyjna była stosowana nagminnie i bez najmniejszego wahania. Prowadziło to do rozbijania więzi międzyludzkich i atomizacji społeczeństwa. To że w takich warunkach partyzantka ukraińska przetrwała aż do lat 50., prowadzi do wniosku, iż musiała się ona cieszyć ogromnym poparciem ludności cywilnej. (GRZEGORZ MOTYKA)

7 stycznia 1946, Drohobycz Ścisłe tajne Zarząd NKWD Obwodu Drohobyckiego Wydział BB [Walki z Bandytyzmem]

Do Sekretarza Drohobyckiego K[omitetu]
O[bwodowego] KP(b)U
tow. Oleksenki, w miejsctu
Informacja

Kontynuując operację wykorzystania zeznań wcześniej zatrzymanej aktywnej osobowości „Nadii”, 20 grudnia 1945 roku wysłaliśmy do rejonu medenickiego w obwodzie drohobyckim specgrupę UNKWD dowodzoną przez naczelnika W[ydziału] [Walki z Bandytyzmem?] majora Samusia.

Z zeznań „Nadii” wiedzieliśmy, że w rejonowym wydziale NKWD pracuje informator referenta SB rejonu medenickiego, kobieta o imieniu Marijka, ustaliliśmy więc jej [tożsamość] i w celu jej aresztowania przeprowadziliśmy następującą agencuralno-operacyjną kombinację.

Po ustaleniu, że wyżej wspomniana „Marijka” to faktycznie obywatelka Kulisz M. – pracownica rejonowego Urzędu Stanu Cywilnego, która noce spędza poza swoim domem, nocując w różnych mieszkaniach – trzech członków specgrupy dnia 21 grudnia 1945 roku podjechało furmanką pod pomieszczenia medenickiego USC.

Jeden z bojowców, ubrany w mundur kapitana, wszedł do USC i łamanym językiem rosyjskim polecił Kulisz Marii ubrać się i pojechać razem z nim. Ta, nie okazując żadnego niepokoju, zajęła miejsce w podwozie, która po przejechaniu przez centrum miasta skręciła w boczną drogę. Gdy tylko furmanka odjechała kilkaset metrów od centrum, bojowcy zawiązali Kulisz oczy. Następnie zawieziono ją do wcześniej przygotowanego bunkra, gdzie oznajmiono, że znajduje się w rękach SB, ponieważ jest podejrzana o współpracę z organami NKWD i wydanie członków OUN.

Kulisz natychmiast zaczęła się usprawiedliwiać, mówiąc, iż lojalnie pracowała w OUN i zobowiązuje się nadal tak pracować. Mówiąc o swojej pracy w OUN, wyjawiała, że sporządziła wykazy całego aparatu partii i rad rejonu medenickiego, w tym także składu osobowego wydziałów rejonowych NKWD i NKGB, z uwzględnieniem miejsca zamieszkania, uzbrojenia i innych podstawowych danych. Ten spis, sporządzony na polecenie referenta SB na rejon medenicki ps. „Turkmen”, przekazała prezesowi gminnej spółdzielni spożywców wsi Krynica, Herasymowi.

Zanotowawszy – jako SB – wszystkie zeznania Marii, nocą na 23 grudnia 1945 roku specgrupa poprowadziła ją lasem w stronę Medenic. Po drodze zainscenizowano napad na „bojówkę SB” i przechwycenie przez grupę żołnierzy Kulisz

Marii, którą odstawiono do UNKWD i w czasie śledztwa całkowicie zdemaskowano jako aktywną ounówkę.

W dalszym ciągu operacji 24 grudnia 1945 roku specgrupa udała się do wsi Krynica w rejonie medenickim, gdzie ustaliła adres prezesa gminnej spółdzielni – Herasym Steć syn Pawła, urodzony w 1904 roku, zamieszkały we wsi Krynica, rejon medenicki, obwód drohobycki.

Nocą [specgrupa] podeszła pod dom i po zastukaniu w okno poprosiła o otwarczenie drzwi. Gospodarz domu przekonany, że to „swoi chłopcy”, bez przeszkód otworzył drzwi. Dwaj członkowie specgrupy weszli do jego domu, kazali mu ubrać się i pójść z nimi. Gdy tylko wyszedł, zawiązano mu oczy i podwodą dowieziono do wcześniej przygotowanego schronu, gdzie, udając SB, członkowie specgrupy przeprowadzili przesłuchanie. [...]

Herasym po długim zapieraniu się, gdy ostatecznie nabrał przekonania, że znajduje się w rękach SB, wyjawiał swój pseudonim – „Kramar” i poinformował, iż jest starym ukraińskim nacjonalistą, już w 1924 roku wstąpił do „Proswity”^{*} i od tego czasu utrzymywał kontakty z organizacją. W ostatnim czasie, zgodnie z zadaniem otrzymanym od referenta SB rejonu medenickiego „Turkmena”, występował jako „sowiecki aktywista”, był sekretarzem rady wiejskiej, prezesem gminnej spółdzielni i brał aktywny udział w zebraniach mieszkańców wsi. Jednocześnie informował „Turkmena” o przemieszczaniu się grup operacyjnych przez wieś Krynica, o istnieniu w wiosce współpracowników NKWD, o osobach lojalnie odnoszących się do władzy sowieckiej itp.

O tym, jak bardzo „Turkmen” mu ufał, świadczy fakt, że niejednokrotnie ukrywał się w mieszkaniu Herasyma. Następnie Herasym zeznał, że w jego mieszkaniu znajduje się skład z rzeczami i produktami przygotowanymi dla rejonowej bojówki SB. Jednocześnie Herasym ujawnił całą ounowską siatkę we wsi Krynica oraz łączników „Turkmena”, wymieniając jako jedną z jego aktywniejszych łączniczek „Czarną” – Krawci Katerynę, którą zatrzymano, przesłuchano i w związku z jej szczerym przyznaniem się pozostawiono w składzie specgrupy do dalszego wykorzystania operacyjnego.

U Herasyma wykryto i zabrano mu sporządzone przez Kulisz M. spisy całego sowiecko-partijnego aktywu rejonu medenickiego.

Wykorzystując dane otrzymane od Herasyma, 25 grudnia 1945 roku siłami grupy operacyjnej UNKWD we wsi Krynica została przeprowadzona operacja czekistowsko-wojskowa, podczas której zatrzymano 15 aktywnych członków OUN [...], a także odkryto cztery magazyny z produktami i jeden magazyn z odzieżą.

26 grudnia 1945 roku, kontynuując operację, specgrupa udała się do wsi Kawsko w rejonie medenickim. Po dotarciu na miejsce specgrupa zajęła stanowiska 200 metrów od wioski w lesnym masywie i wysłała do wsi dwóch bojowców, którzy weszli do miejscowości i w domach położonych na jej skraju zapytali, czy nie ma we wsi wojska. Otrzymawszy odpowiedź, że we wsi nikogo nie ma, zwiad wrócił do lasu. Następnie specgrupa w towarzystwie łączniczki „Czarnej” weszła do jednego z domów i poprosiła [znajdującą się w nim] dziewczynę, by zawołała stanicznego tej wsi o pseudonimie „Kornij”. Dziewczyna zgodziła się. Razem z nią poszło dwóch członków specgrupy i łączniczka „Czarna”.

Po przybyciu do domu stanicznego zastali go śpiącego. Usłyszawszy, że do wsi przybyli „swoi chłopcy”, „Kornij” szybko ubrał się i wyruszył z nimi na miejsce pobytu specgrupy na skraju wsi. Przekonawszy się po odzieży i rozmowie, że ma do czynienia z ounowcami, „Kornij” przedstawił sytuację w wiosce, powiadomił, kiedy ostatni raz byli [w niej] żołnierze. Dowódca specgrupy zażądał od „Kornija” natychmiastowego wystawienia w wiosce straży na wypadek „pojawienia się bolszewików”, zaopatrzenia przybyłej bojówki w żywność i wezwania przez łączników powiatowego prowidyńka SB „Turkmena”. [...]

„Kornij” natychmiast zorganizował ochronę wioski, zaopatrzył grupę w żywność – masło, biały chleb, mięso itd., a następnie wysłał łączniczkę ze sztafetą do „Turkmena” z prośbą, by ten przybył o godz. 18.00 do lasu. Po dwóch godzinach łączniczka wróciła z niedostarczoną sztafetą, ponieważ – jak powiedziała – w związku z „akcjami bolszewickimi” łączność w rejonie została zerwana i wezwanie „Turkmena” jest niemożliwe.

* Towarzystwo oświatowe „Proswita” (Oświata) zajmowało się szerzeniem kultury ukraińskiej. Prowadziło liczne czytelnice, świetlice, biblioteki, chóry, orkiestry i bractwa trzeźwości. W 1924 roku liczyło prawie 400 tysięcy członków, którzy nierazko angażowali się w nielegalne działania niepodległościowe.

„Kornij” zameldował, że wszyscy rejonowi przywódcy, nie mogąc się zorientować, co się dzieje w rejonie i widząc wpadkę szeregu pracowników z dołów [konspiracji], w panice uciekli na teren rejonu stryjskiego.

„Kornij”, całkowicie przekonany, że ma do czynienia z rzeczywistą bojówką, bez przeszkód wypełniał wszystkie żądania dowódcy „bojówki”. Następnego dnia „Kornij” przyszedł na miejsce postoju specgrupy z pewnym człowiekiem, którego przedstawił jako aktywnego ounowca o pseudonimie „Dubenko”. Zabrawszy ze sobą „Kornija” i „Dubenkę”, specgrupa ponownie udała się do bunkra, gdzie przesłuchiwała każdego z nich osobno.

„Kornija” oskarżono o niewypełnienie żądania bojówki, nakazującego wezwać „Turkmena”, i o zerwanie łączności. [...] W czasie przesłuchania „Kornij” ujawnił łączników SB, rejonowego проводу OUN i staniczną żeńskiej siatki, a także wymienił [nazwiska] 17 mieszkańców wioski, czynnych współpracowników bandytów, którzy mają u siebie magazyny ze zbożem przechowywanym dla bandytów.

Następnie był przesłuchany bandyta „Dubenko”, którym okazał się:

Rawiński Pyłyp syn Ilka, urodzony w 1924 roku, od urodzenia mieszkaniec wsi Kawsko, rejon medenicki, obwód drohobycki, wykształcenie średnie, członek OUN, łącznik rejonowego dowódcy SB „Turkmena”.

Po zakończeniu przesłuchania, 27 grudnia 1945 roku ponownie zainscenizowano napad grupy wojska na bojówkę, która maszerowała z zatrzymanymi Bratcewem i Rawińskim do lasu. W czasie inscenizacji „zatrzymani” zostali przechwyceni przez żołnierzy i odstawieni do UNKWD razem z dokumentami, jakoby zdobytymi u „zabitych bandytów”, którzy ich konwojowali.

Wykorzystując zdobyte w czasie przesłuchania Bratcewa i Rawińskiego dane o czynnych członkach OUN i współpracownikach band, grupa operacyjna UNKWD 28 grudnia 1945 roku przeprowadziła operację, w czasie której we wsi Kawsko aresztowano ponad 20 osób.

Równocześnie wykryto i zlikwidowano osiem magazynów ze zbożem i żywnością.

W sumie w czasie prowadzonej agenturalno-operacyjnej kombinacji w rejonie medenickim

zatrzymano 92 ludzi [spośród] czynnych ounowców, odkryto i zlikwidowano ponad dwadzieścia bandyckich bunkrów i magazynów.

Z[astęp]ca naczelnika Zarządu NKWD Obw[odu] D[rohobyckiego]

Podpułkownik Wasiliew

—
22 lutego 1946, Drohobycz
Ścisłe tajne
Zarząd NKWD Obwodu Drohobyckiego
Wydział BB [Walki z Bandytyzmem]

Do sekretarza drohobyckiego K[omitetu] O[bwodowego] KP(b)U tow. Oleksenki, w miejscu Informacja o kombinacji przeprowadzonej przez specgrupę stryjskiego GO [Wydziału Miejskiego] NKWD

10 stycznia br. GO NKWD w Stryju otrzymał od agenta „Neczaja” informację o tym, że nauczycielka ze wsi Bratkowce w rejonie stryjskim – Hrabowska posiada ścisłe kontakty z kierownictwem stryjskiego rejonowego проводу OUN.

Dane te zostały potwierdzone przez rejonowego prowadnika żeńskiej siatki ps. „Roma”, którą przesłuchano 18 stycznia br. „pod legendą SB”.

„Roma” zeznała, że Hrabowska posiada ścisły bezpośredni kontakt z rejonowym prowadnikiem „Somko” i rejonowym referentem SB ps. „Romko”.

Mimo posiadania tych danych, bez oczywistych dowodów należenia Hrabowskiej do OUN nie było możliwe przejęcie od niej interesujących nas kontaktów.

Z tego powodu stryjski GO NKWD postanowił przesłuchać Hrabowską „pod legendą SB”, przedstawiając jej oskarżenia o współpracę z NKWD i wydanie jednego współpracownika bandy, który został aresztowany kilka dni wcześniej dzięki danym otrzymanym od innego agenta.

Z tym zadaniem 23 stycznia br. stryjski GO NKWD wysłał do wsi Bratkowce specgrupę dowodzoną przez „Limonkę”. Specgrupa, udając prowadnika OUN z ochroną osobistą, przyszła do mieszkania Hrabowskiej i poprosiła ją o wyprowadzenie ze wsi, tak aby po drodze nie zetknąć się z ochroną wioski i patrolami garnizonu ochraniającego obwód wyborczy*.

* Chodzi o wybory do Rady Najwyższej ZSRR, które odbyły się 10 lutego 1946.

Przekonana o autentyczności [bojówki OUN] Hrabowska chętnie zgodziła się spełnić tę prośbę. Na trasie, po dojeździe do krańca wioski, członkowie specgrupy zawiązują Hrabowskiej oczy i doprowadzają ją poza miejscowość, na wcześniej przygotowane miejsce, gdzie pod stożkiem siana urządzają jej przesłuchanie, oskarżając ją o współpracę z NKWD.

Aby wykazać nieprawdopodobieństwo przedstawionego zarzutu, Hrabowska opowiedziała o swoich kontaktach z rejonowym kierownictwem OUN, a na dowód swojej niewinności poinformowała, że w chwili obecnej we wsi Bratkowce w domu mieszkańca tej wsi Kuprijanca Iwana znajduje się bunkier, w którym przebywa referent propagandy stryjskiego rejonowego przewodu OUN „Zubenko”, staniczny wsi Bratkowce „Karmeluk” i jego pomocnik „Chmil”. Mają oni do dyspozycji maszynę do pisania, na której przygotowują kontrrewolucyjne nacjonalistyczne ulotki, a następnie kolportują je w mieście Stryj i okolicznych wioskach.

Otrzymawszy te dane, członkowie specgrupy dotarli do wskazanego domu, otoczyli go i po przeprowadzeniu szczegółowej rewizji znaleźli bunkier, w którym zatrzymali pomocnika stanicznego wsi Bratkowce, Czechrija Iwana s. Mychajła, urodzonego w 1925 roku, pseudonim „Chmil”.

W bunkrze znaleziono dokumenty należące do referenta propagandy „Zubenki”, w tym między innymi świeżo napisane ulotki kontrrewolucyjne.

W czasie przesłuchania przeprowadzonego w bunkrze Czechrij zeznał, że „Zubenko” przez dłuższy czas zajmował się w tym bunkrze pisaniem na maszynie antysowieckich ulotek i odezw oraz rozpowszechnianiem ich w mieście Stryj i okolicznych wioskach przy pomocy mieszkańców wsi Bratkowce o nazwiskach Chłopon i Duch. Sam „Zubenko” poszedł z maszyną do pisania do innej wsi, opuściwszy bunkier około godziny przed rozpoczęciem operacji.

Po przesłuchaniu Czechrija Iwana specgrupa zainscenizowała ostrzał miejsca postoju SB, przy czym „członkom SB” jakoby udało się ukryć, a Hrabowska została zatrzymana przez pracowników NKWD.

W ten sposób zainscenizowane przesłuchanie Hrabowskiej „pod legendą SB” pozostało zakonspirowane.

24 stycznia stryjski GO NKWD aresztował mieszkańców wsi Bratkowce Chłopona i Dutcha, którzy w czasie przesłuchania przyznali się, że rzeczywiście zajmowali się kolportowaniem w mieście Stryj ounowskich ulotek, otrzymanych od stanicznego wsi Bratkowce, „Karmeluka”.

Z aresztowanymi, którzy brali udział w rozpowszechnianiu propagandy ounowskiej, kontynuowana jest praca w celu ustalenia ich kontaktów i aresztowania innych działaczy OUN-UPA.

Z[astęp]ca naczelnika Zarządu NKWD Ob[wodu] D[rohobyckiego]

Podpułkownik Wasiliew

Proletariusze wszystkich krajów łączcie się Komunistyczna Partia (bolszewików) Ukrainy 7 lutego 1946

**Drohobycki Komitet Rejonowy
Sekretarz Drohobyckiego Komitetu Obwodowego KP(b)U**

Tow. Oleksenko

O działaniach przeprowadzonych w wiosce Bronica w rejonie drohobyckim

Charakterystyka w[si] Bronica

Wieś Bronica położona jest w dolinie pomiędzy lasami bronickimi, lisznińskimi i sniatykowskimi, 12 kilometrów od centrum rejonu, 8 kilometrów od linii kolejowej, przez miejscowość [przebiega] droga Drohobycz–Sambor.

Wieś Bronica posiada 492 gospodarstwa, które zamieszkuje 1886 mieszkańców, z czego 1053 posiadających prawa wyborcze.

W wiosce znajduje się 46 gospodarstw kulackich.

Od momentu wyzwolenia rejonu drohobyckiego spod niemieckiej okupacji, między 7 sierpnia 1944 a 20 stycznia 1946 z wioski powołano do Armii Czerwonej 64 osoby, do band poszło 61 osób. W efekcie walki z bandami i działań profilaktycznych NKWD i NKGB zabito 22 bandytów, schwytano 9, ujawniło się 81 bandytów, dezertorów i znajdujących się w nielegalnym położeniu [nielegalow].

Represjonowano 37 gospodarstw, wykryto 26 bunkrów, 3 magazyny z zaopatrzeniem.

Wieś Bronica pozostaje pod wpływem bandy „Bystrego”, prawdziwe nazwisko Chariw Iwan, mieszkańca tej wsi, który dwukrotnie ujawnił się, pracował w specgrupie W[ydziału] R[ejonowego] NKWD.

W omawianym okresie w wiosce Bronica i jej okolicach miało miejsce 37 bandyckich akcji, w rezultacie których zabito 32 osoby spośród aktywistów partii i rad oraz wojska, powieszono 9 ludzi, obrabowano 9 sklepów, z których zabrano różne towary na sumę 57.940 karbowańców, obrabowano 14 aktywistów wiejskich.

We wrześniu 1945 roku przewodniczący rady wiejskiej Łesyk uciekł do bandy, mieszkańcy na zebraniach zwoływanych przez przedstawicieli rejonu zachowują się biernie.

Biorąc pod uwagę charakterystykę wsi Bronica, postanowiliśmy przeprowadzić następujące działania:

1. Poprzez mieszkańców wsi Bronica nawiązać łączność z bandą.

2. Ujawnić nastroje mieszkańców wsi Bronica w stosunku do władzy radzieckiej i działalności bandytów.

3. Przeciwwstawić biedniaków i średniaków kułackiej części mieszkańców wsi Bronica.

[...]

Plan ten został zaakceptowany przez generała majora tow. Saburowa.

Przed przystąpieniem do zamierzonych działań w wiosce Bronica, do gabinetu z[astęp]cy nacz[elnika] BB tow. Wejzera wezwano wszystkich uczestników [operacji] i przedstawiono im zadania, jakie każdy z członków specgrupy powinien wykonać oraz sposób, w jaki powinien zachowywać się wobec mieszkańców i w wypadku starcia z bandą.

Specgrupa w składzie 9 ludzi podzieliła się na trzyosobowe grupy. 23 stycznia 1946 wyruszyła do wsi Bronica w celu wykonania postawionych przed nią zadań.

Nocą z 23 na 24 stycznia 1946 specgrupa odwiedziła do stu gospodarskich zagrod. Zgodnie z otrzymanymi wskazówkami nie odwiedzano przypadkowych chat, lecz te, które polecilo NKWD.

Pierwsza noc nie dała oczekiwanych efektów co do nawiązania kontaktu z bandą czy pojedynczymi bandytami. Łącznicy – do których wstępowała specgrupa, wiedząc, że są oni łącznikami bandytów – zeznali naszym ludziom, że w związku ze stacjonowaniem garnizonu we wsi Bronica obecnie bandytów tu nie ma.

Po doświadczeniach pierwszej nocy doszliśmy do wniosku, że ludność wsi Bronica dobrze zna się z bandytami i ich współnikami.

Naszych ludzi w większości domów przyjmowano przyjaźnie.

Postanowiliśmy następnej nocy ponownie skierować naszych ludzi w drugi koniec wioski i dokonać prowokacji. Prowokacja ta miała następujące cele:

O godzinie 6 rano, kiedy nasi ludzie odwiedzą mieszkanie Łużeckiego i będą tam 15–20 minut, grupa żołnierzy z garnizonu wojskowego, kierowana przez oficera operacyjnego WR NKWD, powinna przejść obok tej chaty. W tym momencie nasi ludzie zaczną strzelać w górę i uciekać.

Zostało to wykonane dobrze, nasi ludzie zaczęli uciekać, a wojskowi w czasie pogoni za nimi zatrzymali dwóch z nich i poprowadzili przez całą wieś do miejsca stacjonowania garnizonu.

Ludność upewniła się, że to byli bandyci, z których dwóch NKWD schwytało. W ten sposób wykonaliśmy pierwszą kombinację, która wykazała, że nasi ludzie pozostają zakonspirowani, a także drugą, która polegała na tym, że dwaj nasi rzekomo schwytani ludzie podczas przesłuchania wyjawili nam, gdzie byli, jak i kto ich przyjmował. Było nam to potrzebne po to, aby na zebraniach powiedzieć mieszkańcom o sytuacji w wiosce i stosunku poszczególnych gospodarzy do bandytów.

Przed rozpoczęciem zebrania gospodarzy nasi ludzie przekazali spisy rodzin i ich gospodarstw z charakterystyką ich stosunku do władzy radzieckiej i do bandytów. Oto charakterystyczne przykłady rozmów naszych ludzi z niektórymi mieszkańcami wsi Bronica.

W nocy z 24 na 25 stycznia 1946 roku Kołosowec Petro wpuścił trzech naszych ludzi do domu, gdyż był pewny, że to bandyci. W czasie rozmowy zaczął pytać: „Jak to, moi przyjaciele, będzie – Sowietci przygnali do wsi wojsko i zmuszają nas do chodzenia na zebrania, uczenia się konstytucji i rozporządzenia o wyborach, żebyśmy chodzili do obwodu wyborczego, sprawdzali listy itp. A nam mówili, byśmy w dzień wyborów poszli do lasu. Ale kiedy po lasach i wszystkich wioskach wojsko – to co mamy robić?”

Nasi odpowiedzieli, iż sprawa polega na tym, że kiedy Sowietów pełno w wioskach i lasach, to by nie zgubić siebie i swojej rodziny, trzeba iść do lokalu wyborczego, a jak obok będą wojskowi, to nic nie poradzicie – trzeba chodzić i na zebrania, i na wybory. Do tego dodali: uważajcie, bo pracownicy NKWD będą obserwować was i wszystkich wyborców, co będziecie robić w kabinie podczas

głosowania. Trzeba robić tak, że kiedy weźmiecie karty do głosowania, to nie siedźcie długo, tylko zajdźcie i zaraz wychodźcie, bo jak zauważą, że weźmiecie ołówek i skreślicie nazwisko na karcie, to zaraz mogą was aresztować. Tak zróbcie, tak będzie dla was lepiej, bo przecież sami wiecie, co to takiego NKWD.

Upewniwszy się, że prowadzi rozmowę z swoimi, Kołosowec Petro zaczął ich gościć. Żona wyjęła chleb, jajka, ser i dwa pieczone kurczaki, a gospodarz postawił na stole pół litra samogonu. Kiedy nasi wypili, gospodarz podaje następne pół litra, ale nasi wymówili się od picia, powołując się na rozkaz dowództwa, które zabroniło pić wódkę, lecz pół litra zabrali ze sobą.

Tuż przed wyjściem z chaty nasi zaczęli prosić gospodarza o pomoc dla UPA. Gospodarz odpowiedział, że niedawno oddał krowę, kozuch i 300 karbowańców w gotówce, „ale i wam dam buty i marynarkę”, lecz podkreślił, że to już za- nadto („ja już i tak dużo pomogłem”).

W ciągu dwóch nocy nasi ludzie zebrali wśród mieszkańców wsi Bronica: pieniądze – 1500 karbowańców, półkożuszki – 8, buty z cholewkami – 4 pary, kamasze – 2 pary, bieliznę – 9 kompletów, 14 litrów samogonu, słoninę, masło, 6 kur, chleb i inne. [...]

W czasie nocnych obchodów 23–24 stycznia 1946 nasi ludzie w ciągu dwóch nocy odwiedzili 160 domów, w których absolutna większość gospodarzy przyjmowała naszych (bandytów), tow. tow. Mahura, Bożyka, Tarnawskiego, Suszkę i innych ze szczerą otwartością i serdeczną gościnnością.

Nocą z 24 na 25 stycznia 1946 postanowiliśmy przeprowadzić zebranie mieszkańców wioski z następującym porządkiem dziennym:

Podsumowanie gospodarze 1945 roku (materiał z przemówienia tow. Chruszczowa) i zadania rolników dotyczące przygotowań do następnych wyborów do Rady Najwyższej ZSRR.

W przygotowywaniu zebrania pracownicy WR NKWD nie brali udziału – tak jak było to umówione. Zebranie przygotowywał pełnomocnik RK KP(b)U tow. Horianśkyj. Zebranie wyznaczono na godzinę 12 w południe. Na wyznaczoną godzinę stawili się 60–70 wyborców, na ulicach pusto, było widać, że gospodarze nie chcą przyjść na zebranie.

Stało się dla mnie jasne, że bez rozkazu się nie obejdzie – zebraliśmy dziesiętników, których

w wiosce Bronica jest czterdziestu, a na zebraniu zjawili się tylko dziewięciu. Wydałem przewodniczącemu rady gminnej polecenie, aby dał dziewięciu dziesiętnikom konie i zabezpieczył przybycie pozostałych dziesiętników oraz po jednej osobie z każdego domu.

Na zebranie ludzi daliśmy godzinę. Do godziny 13.00 zgłosiło się 38 dziesiętników, dwóch pozostało nieobecnych – jeden z nich był chory, a drugi wyjechał do Drohobycza.

Zebranie rozpoczęło się o godzinie 13.00, było na nim obecnych 400 wyborców.

Moje wystąpienie na zebraniu miało takie cele:

1. Skompromitować przed bandytami najaktywniejszych współpracowników band rzekomo współpracujących z NKWD, za co w imieniu władzy radzieckiej wyraziłem im podziękowanie.

2. Chodziło nam o to, by na zebraniu niektórzy z tych współpracowników band stwierdzili przy ludziach, że moje wystąpienie jest nieprawdziwe i że oni nam nie pomagają. Tym samym pokazalibyśmy na zebraniu prawdziwe oblicze naszych wrogów.

3. Ujawnić prawdziwych współpracowników band, którzy przez ostatnie dwie noce gościli naszych ludzi.

W swoim przemówieniu powiedziałem mieszkańcom, że w wiosce przebywa banda. W tym miejscu przeczytałem spis tych, którzy gościli naszych (bandytów). Przez salę przeszedł pomruk (ludzie zaczęli rozmawiać szeptem pomiędzy sobą). Dalej wymieniłem tych, którzy nam pomagają i podziękowałem im.

Grupa ludzi, którą postanowiliśmy skompromitować wobec bandytów, pytań nie zadawała i nie powiedziała. Druga część wymienionych osób, wyczytana jako współpracujący z bandytami, zaczęła się usprawiedliwiać. Byli to następujący obywatele: Kuź Stepan, Mychajłowycz Dawyd, Kołosowec Petro, Komar Petro i inni.

Jednocześnie oznajmiłem, że organa NKWD wiedzą, kto wspomaga bandytów żywnością, odzieżą, wpuszcza na nocleg do chaty. W tym miejscu wykorzystałem kombinację, którą przeprowadzono koło domu Kołosowca Petra, czyli to, że nasze wojska schwytały dwóch (bandytów).

Na zebraniu wystąpiło pięć osób, których nazwiska wymieniono jako współpracowników band. Na tymże zebraniu przyznali, że byli

u nich jacyś nieznanymi chłopcy i że tych chłopców, jako że posiadali oni broń, gościli i dawali im, co kto mógł.

Oświadczyli też, że proszą urząd o przebaczenie i o to, by dał im on możliwość usprawiedliwienia się przed władzą radziecką. Na końcu swojego wystąpienia wezwali obecnych do głosowania na wystawionych kandydatów do Rady Najwyższej ZSRR.

Przed zebraniem został zatrzymany przez organa NKWD [osobnik], który w październiku 1945 wrócił z Niemiec i przez cały czas ukrywał się przed organami. Był to Bajba Roman, który o godzinie 10.00 rano był na podwórzu, gdy koło jego chaty przechodzili pełnomocnik tow. Butow i dwaj czerwonoarmiści. Tow. Butow wiedział, że Bajba Roman przyjechał z Niemiec i ukrywa się.

Jak tylko nasi weszli na podwórze gospodarstwa Bajby Romana, zobaczyli, że ktoś pobiegł do mieszkania. Tow. Butow wszedł za nim, przeszedł dom i kiedy nikogo nie znalazł, otworzył szafę i tam był Bajba Roman.

Tegoż Bajbę wykorzystaliśmy na zebraniu gospodarzy. Bajba na zebraniu ogłosił, że popełnił pomyłkę wobec Radzieckiej Ojczyzny i wezwał wszystkich ukrywających się do ujawnienia w organach NKWD. Na tymże zebraniu ujawniło się trzech ludzi, którzy wrócili z Niemiec i nie zgłosili się do WR NKWD. Poprosili o przebaczenie i umożliwienie im rehabilitacji wobec władzy radzieckiej. Na zebraniu wystąpił Jaciw Iwan syn Fedira, który ukrywał się przed organami NKWD od lipca 1945. Jaciw Iwan miał syna w Armii Czerwonej, którego sądził trybunał wojskowy. Bajba Roman i Jaciw Iwan znajdują się teraz pod strażą.

Należy podkreślić, że podczas nocnych obchodów przez naszych ludzi domów w wiosce Bronica 23–24 stycznia kilku gospodarzy, o których na zebraniu nie wspominaliśmy, poinformowało pełnomocnika KR KP(b)U tow. Horianśkiego, dzielnicowego pełnomocnika tow. Butowa o tym, że odwiedzali ich nieznanymi bandyci, którzy prosili o pomoc dla UPA, pieniądze, odzież i żywność. Takich doniesień nadeszło siedem, ci ludzie także teraz nam pomagają.

Nasze przedsięwzięcia

Przeprowadzona kombinacja była przemyślana i wykonana w całości zgodnie z planem. Do czasu przeprowadzenia zebrania, jak wiadomo, członkowie komisji wyborczej, w tym

przewodniczący i sekretarz, chorowali. Po zebraniu regularnie zaczęli brać udział w działalności wyborczej według grafiku. Przed zebraniem wyborczym nie brali udziału w działalności przedwyborczej. W ciągu ostatnich dwu dni 601 wyborców sprawdziło swoje nazwiska na listach wyborców.

Przewodniczący i sekretarz rady gminnej od rana do wieczora pracują w radzie i przeprowadzają konieczne działania w ramach przygotowań do wyborów do Rady Najwyższej ZSRR i działalności gospodarczej.

Lokal wyborczy oszklono, wysprzątno i zaprowadzono konieczny porządek. Niedługo rozpocznie się praca w kołach bezpośrednio wśród wyborców.

Z Komitetu Rejonowego KP(b)U przysłano pięciu pełnomocników z miejskiego aktywu partyjnego do pomocy w pracy wśród wyborców.

W kombinacji wzięli udział: nacz[elnik] WR NKWD tow. Jefimow, zastępca nacz[elnika] BB Zarządu Obwodowego NKWD tow. Wajzber, specgrupa 8 ludzi i trzech pracowników operacyjnych Zarządu Obwodowego NKWD.

Z ostatniej kontroli wynika, że mieszkańcy wsi Bronica po zebraniu zaktywizowali się w kierunku przychylności do władzy radzieckiej. Organ na NKWD aresztowały w tym czasie 14 osób.

Działania represyjne i jednoczesna praca polityczna wśród gospodarzy prowadzą do tego, że 10 lutego frekwencja i wynik wyborczy będą wyglądały tak jak i w innych wioskach rejonu.

Sekretarz Komitetu Rejonowego KP(b)U Kotenko

Państwowe Archiwum Obwodu Lwowskiego (DALO), f. 5001, op. 7, s. 218, k. 1–4, 21–24, 87–91.

WYBRAŁ I PRZYGOTOWAŁ DO DRUKU

Grzegorz Motyka

PRZEŁOŻYLI Z ROSYJSKIEGO I UKRAIŃSKIEGO

Romuald Niedzielko i Grzegorz Motyka



Pozegnanie Lwowa

Alma Heczko

↑ Lwów, 1944. Walki o miasto

Alma Heczko, ur. w 1921 roku we Lwowie, na kilka miesięcy przed wybuchem wojny zdała maturę we lwowskim gimnazjum. W maju 1945 dotarła wraz z rodziną do Bytomia, gdzie mieszka do dziś. Dziennik, którego fragmenty przedstawiamy, złożony został w Archiwum Wschodnim.



FOT. OSRODEK KARTA

1944

Lwów, 19 kwietnia, środa

Nad miastem znów pojawiły się sowieckie samoloty. Od tygodnia panuje ciężka atmosfera wyczekiwania i niepewności. Podobno Sowietci są niedaleko.

26 kwietnia, środa

Wyjechać czy zostać? Lada dzień nastąpi uderzenie aliantów i Moskali. Dzieją się okropne rzeczy. Ukraińcy w zastraszający sposób nas niszczą. Wieczorem nie można pokazać się na ulicy. Brama naszego domu przez cały dzień zaryglowana.

Po wsiach Ukraińcy, za zgodą Niemców, mordują Polaków. Płoną wsie, chłopci uciekają. W naszej kamienicy jest bardzo wielu uciekinierów.

Nie ma dnia, żeby nie było nalotu. Człowiek żyje stale w naprężeniu. Za Lwowem Moskale bombardują jakieś obiekty. Mówi się, że Niemcy przed wycofaniem każą ludności opuścić miasto, aby potem wszystkich wymordować.

Uciekać? Dokąd? Tylu ludzi, bez żywności, dachu nad głową... Przed śmiercią się nie ucieknie. Miasto jest chyba najpewniejsze. Ale gdzie właściwie jest pewność?

Wyjechać, by gdzieś na tułaczce zginąć... Nie, lepiej zostać we własnym domu, w swoim mieście. Wszystkich czeka ten sam los.

4 maja, czwartek

Bombardowania zaczynają się o dziewiątej wieczorem, trwają zwykle dwie godziny. Cały dzień żyjemy w wyczekiwaniu śmierci. Wieczorem paniczny strach, uciekam do schronu z dzieckiem na ręku. Zawsze mam przy sobie walizeczkę z fotografiami i pamiątkami. Samoloty, artyleria, gwizd bomb. Odruchowo chowam głowę w ramiona, tulę dziecko. Bomba spada gdzieś bardzo blisko. Ludzie modlą się do Matki Boskiej, ktoś mdleje. Okazuje się, że to jeszcze nie koniec.

13 maja, sobota

Ludzie uciekają na Zachód. Nie wiadomo, przed kim ta ucieczka – przed Moskalami, przed Niemcami, przed Ukraińcami...

6 czerwca, wtorek

Ubiegłej nocy przez Kanał La Manche alianci rozpoczęli inwazję na Europę. Nareszcie!

19 lipca, środa

Bolszewicy są dwanaście kilometrów od miasta. Drugi dzień słyszymy artylerię. Nie wiadomo, jak długo będzie to trwało. Niemcy mogą oddać Lwów bez walk i równie dobrze mogą stawić ciekły opór.

Nie ma światła, tramwaje nie kursują.

22 lipca, sobota

Lwów jest otoczony. Pierwsze granaty padły od strony Zboisk, potem słyszeliśmy artylerię od strony zachodniej. Bolszewików nie widać.

23 lipca, niedziela

Niemcy podpalili rafinerię. Widok wspaniały. Snop ognia wyleciał z sykiem w górę, co chwila wybuchały zbiorniki benzyny i ropy, kłęby czarnego dymu.

Ogień szalał, leciał wysoko w niebo. Dym jak długi tren uchodził w stronę Zamarstynowa.

Panuje cisza. Wygląda, jakby miasto było okrążone. Godziny wloką się, wydają tygodniami. Dopóki nic się nie działo, żyło się z dnia na dzień, a teraz, kiedy z godziny na godzinę spodziewamy się ostatecznego ataku Moskali, człowiek staje o krok od obłędu, nic się nie robi, kręci się z kąta w kąt.

Niedaleko są magazyny pełne cukru, mąki, konserw i marmolady. Ludzie chodzą tam i wynoszą, co się tylko da.

27 lipca, czwartek

Godzina 6.15. We Lwowie są Sowietci. Widzimy ich przez okno. Przyszli – jako „sprzymierzeńcy naszych sprzymierzeńców”. Ale jacy będą dla nas?

Godzina 20.00. Na ratuszu i kamienicach zawieszono polskie flagi. Oprócz polskiej wiszą flagi – amerykańska i sowiecka. Czuję, że to nie to, na co czekamy. Dużo mówią o Wasilewskiej i jej komunistycznej Polsce. Na ulicach widać polską straż z bronią, na rękawach opaski biało-czerwone.

29 lipca, sobota

Moskale zażądali, by Polacy ze straży mieli na czapkach gwiazdy. Komenda Armii Krajowej nie zgodziła się. Polską straż rozbrojono i rozwiązano. Z ratusza zdjęto flagi – polską i amerykańską.

23 sierpnia, środa

Nie wiadomo, co się dzieje z Polakami, których Moskale biorą do wojska. Nazywają to poborem do polskiej armii, ale sprawą zajmuje się komisja sowiecka. Mężczyzn wywożą do Rosji; tam rzekomo mają przejść przeszkolenie, potem – na front. Mam wrażenie, że bolszewicy zapędzą Polaków do pracy.

30 listopada, środa

Ciągła mobilizacja. Przyjechała do Lwowa polska komisja, która werbuje ochotników – oficerów i podoficerów. Jeśli ktoś zgłosi się do polskiego wojska, cała rodzina otrzymuje polskie obywatelstwo i ma prawo wyjechać do Polski; do Polski za Bugiem. Granica jest pod Przemyślem. Na gwałt chcą nas wysiedlić i na terenie wschodniej Polski utworzyć Ukrainę.

Odszedł pierwszy transport. My na razie zapisać się na wyjazd nie zamierzamy.

1945

11 stycznia, czwartek

Od ośmiu dni masowe aresztowania. Aresztują tych, którzy mieli jakąkolwiek styczność z Niemcami, działali na niekorzyść Sowietów, volksdeut-schów, ludzi, którzy mają na sumieniu Żydów, ludzi, którzy żyli ponad stan, ludzi, którzy za czasów niemieckich pracowali w sądownictwie; aresztują Polaków, którzy z obawy przed bombami uciekli na Zachód i teraz wracają do domów.

Ludzi ogarnął popłoch. Stoją w kolejkach w Urzędzie Repatriacyjnym i zapisują się na wyjazd do Polski. W tym miesiącu odjadą trzy transporty. Każda rodzina ma prawo wieźć do dwóch ton bagażu. Najbardziej żal mi pianina.

Krążą pogłoski, że na Zachodzie nie jest lepiej. Chociaż się boimy, zamierzamy jechać. Nie wiadomo, jak długo jeszcze będą trwały aresztowania. Nie popełniliśmy niczego, co mogłoby spowodować aresztowanie; ale oni nie muszą mieć powodów. Na każde stukanie do drzwi oblatuje mnie strach. Wszyscy się boimy.

22 stycznia, poniedziałek

Prawdopodobnie 1 lutego zamkną rejestrację na wyjazd; potem nikogo nie wypuszczą i wywożą Polaków do Rosji. Tak się na pewno stanie, jeśli Lwów zostanie przyznany Rosji. Na wszelki wypadek rejestrujemy się, by mieć otwartą drogę na Zachód. Ponieważ spadł śnieg i zima porządnie się za nas zabrała, podamy dalszy termin wyjazdu. Może do tego czasu skończy się wojna i Lwów pozostanie w Polsce.

31 stycznia, środa

Zarejestrowaliśmy się na wyjazd na Zachód. Planujemy osiedlić się w Krakowie.

7 lutego, środa

Od paru dni trwa konferencja „trzech”: Roosevelt, Churchill i Stalin. Hasło: wolność wszystkich narodów. Dla świata, a szczególnie dla nas ma znaczenie przełomowe. Wojna czy pokój? Jeśli pokój, to co będzie z nami. Lwów i Wilno polskie czy sowieckie?

Jeżeli będziemy zmuszeni zostawić Lwów, zostanie wspomnienie, zamknięta karta życia. Moje dziecko nie będzie w ogóle pamiętać Lwowa.

9 lutego, piątek

Czekam na koniec konferencji. Jeśli wojna – oczywiście zostajemy. Jeśli pokój, a tym samym utrata Lwowa – konieczna będzie ewakuacja.

13 lutego, wtorek

Konferencja zakończona.

24 marca, sobota

Na drugą stronę postanowiliśmy wyjechać po świętach. Tato zbija skrzynie na rzeczy. Ja sprzedaję z domu, co się da; brakuje ciągle pieniędzy na życie i na wyjazd.

9 maja, środa

Wczoraj nastąpiło podpisanie kapitulacji Niemiec.

Ludzie mówią o ewentualnej trzeciej wojnie. Nie wiadomo, co robić – zostać czy jechać? Boimy się bardzo nowej wojny; w tej sytuacji wołałabym być po tamtej stronie. Między swoimi człowiek czuje się bezpieczniej. Tu zostaje garstka Polaków; reszta to Sowieci i Ukraińcy. Czy zdążymy wyjechać? W strasznej jesteśmy rozterce. Zostać nie możemy, bo już wybraliśmy listy ewakuacyjne. Jechać nie chcemy. Możemy jedynie zwlekać.

Jedziemy w niewiadome. Nowe miejsce zamieszkania, nowi ludzie. Jeśli zostaniemy tutaj, to w razie zbrojnego konfliktu Sowieci wywiozą zarejestrowanych Polaków na Sybir. Lepiej już w nieznane, ale między swoich, niż w nieznane na Wschód.

Ktoś do mnie mówi:

– Czy zechciałaby pani zagrać na pianinie?

– Ach, proszę pana, moje pianino jest rozebrane, zapakowane w skrzyni.

– To nic, przyjdę posłuchać za miesiąc.

Wie, że pojedzie, ale pociesza się, sam siebie okłamuje. Jak my wszyscy. Jeden drugiego pospiesza, a w głębi duszy myśli: każdy dzień, każda godzina może przynieść zmianę. Wszyscy tak czujemy i nikt nic nie mówi.

Mojej mamie wszystko jedno: „Straciłam wszystko, rodzinne miasto, pracę; trzeba jechać, niczego nie zmienimy”. Tato zasadniczo chce jechać, ale codziennie biega do znajomego słuchacza radia. Wraca z różnymi wiadomościami, tylko nie z tą jedną, na którą wszyscy czekamy.

W domu jest ruch, bałagan; na środku pokoju trzy ogromne paki, walizka Martusi i lalka, która płacze.

18 maja, piątek

Jutro wyjeżdżamy. To ostatni wieczór we Lwowie. Piszę w jadalni, na skrzyni. Zbliża się burza, z daleka słychać grzmoty.

Na ostatni spacer poszliśmy pod Wysoki Zamek. Zielono, cudownie, na kasztanach świeczki; piękny maj. Tak lubię ten zakątek, prawie codziennie tu przychodziłam. A dziś ostatni raz patrzyłam na Wysoki Zamek. To niemożliwe, abym już nigdy nie miała tu wrócić.

Za oknem wiatr, błyskawice, deszcz. Wszyscy śpią, a ja piszę o każdym szczególe. Przeżyłam tu 24 lata. Urodziłam się w pokoju, w którym śpi teraz moja córka. Teraz muszę stąd wyjechać. Wypędzają nas z naszej rodzinnej ziemi.

Alma Heczko

Na straży miasta



FOT. OSRODEK KARTA

Ryszard Gansiniec

Ryszard Gansiniec urodził się w 1888 roku w Siemianowicach Śląskich w rodzinie robotniczej. Studiował filologię klasyczną i orientalną na uniwersytecie w Münster, a potem w Berlinie, gdzie w 1917 roku otrzymał tytuł doktora filozofii. W czasie I wojny walczył w armii pruskiej. Jesienią 1915 został czasowo odwołany z frontu wschodniego, żeby organizować studium filologii klasycznej w Warszawie. Ten moment zadecydował o wyborze dalszej drogi. Poddany pruski Richard Ganschinietz stał się Polakiem Ryszardem Gansincem. Od 1919 roku profesor filologii klasycznej na uniwersytecie w Poznaniu, a od 1920 – we Lwowie. W 1940 roku poślubił Zofię (ur. 1919) z domu Przygoda, magistra filozofii.

W maju 1944 Zofia wyjechała wraz z dwójką dzieci na lotnisko do Strzyżowa nad Wisłokiem. Uczyła łaciny w tamtejszym liceum. Początkowo, nawet po wkroczeniu Rosjan w lipcu 1944, mąż

↑ Lwów, 1944. Żołnierze sowieccy szukający min w mieście

mógł ich odwiedzać. Jesienią 1944 ustanowiono granicę i rozpoczęto repatriację. Profesor, pozostając we Lwowie, zaczął prowadzić codzienne notatki – rozmowy z żoną; przysyłał je „okazją”, transportami repatriacyjnymi.

Publikujemy fragmenty *Notatek Lwowskich 1944–46*. Dokonałiśmy skrótów, także wewnątrz poszczególnych zapisów. Tytuł wyboru pochodzi od redakcji. Całość notatek, opracowana przez córkę, Radość Gansiniec, i wyróżniona w konkursie Archiwum Wschodniego „Kresy Wschodnie pod okupacjami 1939–45”, liczy 270 stron maszynopisu; przechowywana jest w zbiorach AW.

1944**Lwów, 16 grudnia**

Żołnierze grasują na ulicach i wyrrywają zegarki, torebki, płaszcze, portfele, latarki, co się da. Krzyki, wołania. Czasem strzał i łoskot. Wszystko dla wódki. Często na ulicy leży ograbiony do naga człowiek, trup już. Więc po szóstej na mieście pusto, kto wyjść musi – biega. Unikam wieczorów poza domem.

17 grudnia

W Izbie Gmin Anglicy z wielkim cynizmem oświadczyli wreszcie, że rozbiór Polski, taki jak Hitler i Stalin przeprowadzili, w pełni akceptują, że cała Polska od linii Curzona Moskwie przypadnie, razem z miastem Lwowem. Rozgoryczenie nasze jest duże. Takich mamy sojuszników. Ale ze Lwowa nikt nie myśli uciekać. Jedno jest pewne: Polacy nigdy na rozbiór Polski i utratę Lwowa się nie zgodzą. I stało się jasne, że po tej wojnie, nim jeszcze wygaśnie, dojdzie do wojny drugiej; bój o naszą ziemię będzie z Moskalem. Do tych szeregów i ja się zgłoszę, dotrzymam wierności ziemi, na której żyłem i pracowałem.

18 grudnia

Jadłem kolację o pierwszej w nocy. Trudno tu z życiem, ale trzeba przetrwać. Zima minie, przyjdzie nasza wiosna ze słońcem, z ciepłem, światłem – i te kaganki, naftówki, które psują oczy, można będzie rzucić.

Na Krakowskim [Rynku] ceny niemożliwe: 350 rubli kilo cukru, za kilo jabłek płacą 70, za mak 100, ciastko jest po 8, słonina 300, masło do 400, mąka 60. Ceny idą w górę, bo zimno i święta. Tylko wódka, którą nas tu po prostu zalewają, jest coraz tańsza: 250 rubli za litr. Ja na przemian gotuję sobie pęczak (tego mam zapas) i proso; niewiele przy tym pracy. Jem bez omasty, aby Ci tłuszczu trochę jeszcze wysłać, bo wojna potrwa do późnego lata. Także kosteczki cukru wyliczone dają do czaju; resztę Wam przyślę.

21 grudnia

Zapomniałem Ci napisać: jaja po 15 rubli. Słone nasze ceny.

Zima mocno trzyma. Siedzę i piszę w płaszczu, kapeluszu, inaczej trudno wytrzymać.

Wczoraj w „delikatesach” wielkie zbiegowisko. Dano nam na talony prawdziwy cukier – niby

na święta. Ponieważ cukru od dawna nie było, wszystko, co żywe, rzuciło się i szturmowało. Warto było to zobaczyć. Poprosiłem kogoś, co blisko już stał przy kasie, żeby wziął i na moje kartki. Tak dostałem cukier i dziesięć jajek bez wielkich kłopotów.

Poza tym u nas nic nowego. Lwowianie twar-do stoją przy swym Lwowie.

24 grudnia

Akurat tyle śniegu poproszyle, żeby można było powiedzieć, że są białe święta. Mróz trzyma dalej. A opału nie ma – idą parkany, a nawet krzesła, by zupkę uwarzyć.

Dziś więc Wigilia. Miałem być z Wami – jestem z Wami: serce, myśl, życzenia ku Wam się wybrały. Mam opłatek, z Wami chcę go łamać, kochana Zosiu, której życzę dzielności, sławy. Łamię się z Orlątkiem [synem], aby tak gorąco, całym sercem, z całym też oddaniem kochał ojczyznę nieszczęśliwą, jak ja ją kocham; by był dzielny Polakiem i nowej chwały jej przysporzył, a orla naszego zawsze dumnie nosił. Łamię się z Radunią – wiem, że jesteś grzeczna. Tobie, córeczko, życzę, abys – wzorem Polek – była pilna, skrzętna, dobra.

1945**4 stycznia**

Po wykładzie, żegnając się z kolegami, znów słyszę o aresztowaniach: na uniwersytecie doc. Puchalik i dr Gaberle, z Medinstytutu prof. Demianowski i dr Kubiecz, z Techniki prof. Sucharda (wczoraj jeszcze z nim mówiłem), prof. Kuczyński i dr Pilatowa; ksiądz Firut, franciszkanie, bernardyni, dominikanie... Miałem plan zajęć na ten dzień ułożony i postanowiłem nie zmieniać ani kroku. Ale nie dano mi tej możliwości. Zmieszany i zdyszany dogonił mnie w mieście dziekan, profesor Czerny, który gorliwym głosem oznajmił, że mam natychmiast iść do rektoratu. Ponieważ i on, jako dziekan, chciał interweniować u rektora w sprawie aresztowanych, poszliśmy razem. W drodze dowiedziałem się o nowych nazwiskach i szczegółach.

Rektora zastępował wtedy towarzysz Buczyło. Przywitał się i powiedział, że prosił mnie do siebie w bardzo ważnej sprawie. Pytał, jak tam katedra pracuje, jak kolektyw, jak kursy. Coś mnie

tknęło i odpowiadałem zdawkowo. Nagle pytanie:

– Czy towarzysz zaznajamia się z marksizmem-leninizmem?

– Owszem.

– Czytaliście książkę towarzysza Stalina o wojnie ojczyźnianej?

– Czytałem inne jego książki.

– Koniecznie musicie przestudiować głębokie i wspaniałe słowa towarzysza Stalina.

Wtem drzwi się otwierają i wchodzi młody porucznik Timofiejew. Towarzysz Buczyło wstaje i przedstawia mnie: „Oto profesor Gansiniec. Towarzysz porucznik ma do was pilny interes. Do widzenia”.

Szedłem z porucznikiem przez przepelniony przedpokój, gdzie znajomi czekali w kolejce do rektora i witali się ze mną. Smutno mi się zrobiło: musiało mi się to przydarzyć na uniwersytecie, w którym pracowałem 25 lat! Takie smętne myśli snuły mi się z powodu bezczeszczenia majestatu wszechnicy.

Myślałem, że porucznik odprowadzi mnie zaraz do więzienia, ale on powiedział, że trzeba będzie w domu spisać protokół. W domu pokazał mi nakaz aresztowania. Potem oświadczył, że musi sporządzić inwentarz rzeczy; prosił, bym na świadka zwołał dozorcę z sutereny i kierownika *domouprawy* [administratora]. Wyszedłem – mogłem nie wrócić. Ale stłumiłem tę myśl. Nic sobie nie miałem do zarzucenia – rozumiałem więc, że wkrótce okaże się, iż doniesienie było bezpodstawne i będę miał potem święty spokój. Młodzi narażają swe życie, a ja miałbym stchórzyć?*

24 lipca

Żyję jak Cygan, gdyż nie mam mieszkania. Ale nie ustępuję. Od początku chciano mi dać inne mieszkanie. Odrzuciłem tę propozycję i obstaję przy powrocie do swojego. Staram się pracować. Póki nie mam swego kąta, praca ta niewiele warta; brak ciągłości i pogłębienia, brak Twojej atmosfery. Nigdy bardziej niż teraz nie czułem, czym jesteś dla mnie i dla mego życia, dla mej nauki. Planów na przyszłość nie robię, gdyż do planowania brak wszelkich podstaw. Gdybym przyjechał do Ciebie, siedziałbym Ci tylko w kieszeni i na karku, zupełnie bez pożytku. Na pewno masz dość trudności,

po cóż jeszcze je mnożyć? Wiem o Twoim życiu tyle, ile sobie wyobrażam.

Z prac najbardziej zajmuje mnie tragedia i w ogóle dramat. Zbieram materiały. W domu było materiałów sporo, ale cóż – poszły na podpałkę. Trzeba zacząć od nowa.

22 sierpnia

Od młodu miałem ambicję wielkości, ale nie ambicję afiszowania się – raczej unikałem „honorów”. Możesz to widzieć w sposobie, w jaki prowadziłem „Filomatę” [pismo dla młodzieży popularyzujące kulturę antyczną, a także wydawnictwo]. Dochodów nie używałem dla siebie, a większą część pakowałem regularnie w wydawnictwo, żeby je rozszerzyć i dostarczać narodowi tanie, dobre i piękne książki naukowe. Także osobistą bibliotekę naukową wstawiłem do seminarium, chociaż wiedziałem, że będzie rozkradana – jak też było. I rad jestem z tego, co robiłem, bo z tym dorobkiem spokojnie mogę stanąć przed przyszłymi pokoleniami. „Filomata” teraz dopiero zaczyna się podobać i jest tutaj poszukiwany.

Sarkasz, że się upieram: bądź pewna, że mam rację, chociaż Ci ciężko. Rozumiem Twoją sytuację i staram Ci się pomóc; jeżeli wszystko to mało – trudno, więcej nie mam. Chyba nie chcesz, bym poświęcił resztę swej biblioteki. Już ona sama warta jest tej zwłoki.

24 sierpnia

Bez względu na to, co robią inni, ja reguluję swe postępowanie według własnych zapatrywań. Postanowiłem, że opuszczę Lwów tylko i wyłącznie pod przymusem. Przymus taki zaszedłby na przykład, gdyby chciano mnie zrobić obywatelem sowieckim. Zresztą przekonany jestem, że Polska z trudem dostanie cały Górny Śląsk i Opolszczyznę, a w ogóle nie dostanie środkowego Śląska z Wrocławiem czy też Dolnego Śląska z Lignicą, ani Frankfurtu i Szczecina. W związku z tym fiaskiem znów stanie się aktualna kwestia Lwowa i Podola. Potrwa to trochę, ale zapewne po Bożym Narodzeniu zacznie się dyskusja. We Lwowie jest jeszcze ze sto tysięcy Polaków. Presja i bezprawie duże. Arcybiskupa wyrzucono z pałacu. Szarytki wyrzucono z klasztoru. Arcybiskup meble ulokował

* Autor przebywał w więzieniu przy ulicy Łąckiego we Lwowie do 24 maja 1945; jego mieszkanie zajęte zostało w tym czasie przez Rojsjan. (Red.)

u dominikanów, archiwum u bernardynów, siebie u franciszkanów.

31 sierpnia

Dzisiaj wróciłem do mojego domu i teraz, po dniu pracy, piszę do Ciebie list w pokoju, gdzie są nasze łóżka.

Prawie wszyscy profesorowie wyjeżdżają. Patrząc na to z przerażeniem i smutkiem – tak kruchością charaktery. Zostanę tak długo, jak to tylko możliwe. Nazwij to, jak chcesz, dla mnie obowiązek był zawsze na pierwszym miejscu.

Każdy się boi, że przyjedzie [do Polski] za późno i kto inny ubiegnie go w posiadzie. Załączam pocztówkę, którą starannie powinnaś zachować: Rostkowski zarezerwował mi posadę urzędnika w Chłodni Gdyńskiej. Więc bez posady nie zostają, jak widzisz.

10 września

Przez cały tydzień robię porządki w domu, jeszcze daleko do końca. Drzwi wejściowe doprowadziłem mniej więcej do ładu. Musiałem kupić dwa zamki, bo stare były połamane. Teraz robię szafy. Prawie wszystkie meble są uszkodzone.

26 października

Zaczął się drugi rok naszej rozłąki; szalenie ciekaw jestem, czy się zmieniłaś. Dumny jestem z Twej dzielności.

Jak tylko będę miał wolne pieniądze, wezmę się do pakowania książek. Jeden profesor obliczył, że gdybym to komuś zlecił, musiałbym wydać około 14 tysięcy rubli. A potem jeszcze koszty transportu...

Myślę, że na wiosnę będę gotów z pakowaniem.

30 października

Profesorowie jeszcze są, od trzech tygodni siedzą na pakach i czekają na wagony. Profesor Hodys pojechał, ale nie bez przygód. Wyrzucili go z wagonu, chociaż już przedtem zapłacił 500 rubli, i kazali przeładować się do innego wagonu, co kosztowało jeszcze 1000 rubli. Każdy ograbia każdego.

6 listopada

U nas wielkie święto rewolucji – dziś, jutro i pojutrze. Zajęcia wtorkowe były w niedzielę, w piątek był mityng, w niedzielę mityng, wczoraj też. Wszędzie trzeba było coś dać: dwa procent poborów dla

inwalidów albo koszule, ubranie itd. Dałem dwa procent, czyli 30 rubli (koszula kosztuje ok. 200). W zeszłym miesiącu nie było mydła na kartki, ale była wódka.

8 listopada

Ciężko mi idzie praca, jak z kamienia. Wczoraj późno zasnąłem, Moskale hałasowali do drugiej w nocy. Aż niemiło chodzić po ulicach – wszędzie na chodnikach kultura moskiewska: wymioty, a przy murze załatwianie się, tak że Lwów (jak ktoś powiedział) jest całkiem „zafajdany”. Pełno pijanych, czepiających się każdego. Wciąż też pukają do moich drzwi pod najrozmaitszymi pretekstami, ale nie odzywam się. Teraz znowu ryczą czule piosenki, tańczą i piją. Myślałem pracować w Akademii – tam cicho i dobra podręczna biblioteka; chciałem pracę przepisać na maszynę. Tymczasem 6 listopada, gdy tam jako jedyny siedziałem, przyszedł kierownik i powiedział, że musi zamknąć i opieczętować maszynę.

Dziś już trzy miesiące od Twego ostatniego listu. Cały świat wydaje mi się nierealny, bo nie trzymam Cię za rękę. Ciężko mi czasem, ale ścisnę zęby – nie dopuszczam zwątpienia. I gdybym miał być tu jedynym Polakiem, musiałbym pozostać i świadczyć o polskości tej ziemi. Zostali jeszcze: Kuryłowicz, który wyekspediował syna, a książki trzyma w pakach, Kucharski, orientalista doktor Lewicki (ale pojedzie); z medycyny profesor anatomii Marciniak, ale już spakowany. Zostają Lenartowicz, Gröer, Dąbkowski, Makarewicz. Duchowieństwo zostaje, choć dużo księży i sióstr wyjeżdża pojedynczo. Klasztor karmelitów zajęto na zakład wychowawczy dla chłopców; klasztor dominikanów, tak jak bernardynów, pójdzie na archiwum państwowe. W Ossolineum dzielą książki na te, które zatrzymają, i te, które dadzą Polsce. Dużo cennych rzeczy idzie do Kijowa. Bibliotekarze na ogół zostają na stanowisku.

Jestem już prawie strzępem człowieka – tak jak to ubranie, które się na mnie rozlatuje. Szyję, łatam – ale nie wiem, czy przetrwa do widzenia się z Tobą. Wszystko tak dalekie, mityczne...

10 listopada

W nocy z 6 na 7 listopada (święto w rocznicę rewolucji) złożono w Anatomii 40 trupów Moskali, którzy pozabijali się w pijaństwie; co noc otrzymuje Anatomia 5–7 trupów żołnierzy. Czasem w biały dzień pijani się biją. Na placu Zofii leżącego we

krwi człowieka żołnierze deptali butami po twarzy, oficerowie patrzyli, nie mówili nic. Praca mi zupełnie nie idzie. Nie wiem, co to jest.

15 listopada

Polaków tu pełno, rano słyhać niemal wyłącznie język polski, wszyscy biegną do pracy. Nastrój jest niezły, choć życie ciężkie. Dalej agituje się za wyjazdem. Prezes komisji ewakuacyjnej, doktor Podkomorski, napisał w „Czerwonym Sztandarze” artykuł *Polska czeka na was*; straganiarki zaraz miały na to odpowiedź: „A my czekamy na Polskę”.

17 listopada

Twoje listy są smutne. Kontraktu na następny rok naturalnie nie podpisałem, ale są dwie sprawy: nie jestem spakowany, a nie mam teraz pieniędzy ani na pakowanie, ani na transport – na to trzeba, skromnie licząc, około 5000 rubli; uważam, że może w ogóle nie trzeba stąd jechać, gdyż kwestia Lwowa właściwie wciąż otwarta. Ponieważ transporty teraz już nie idą, sprawa mego wyjazdu jest na razie bezprzedmiotowa.

18 listopada

Jeszcze raz czytałem Twoje smutne listy. Czy nie traktujesz tego *intermezzo* zbyt tragicznie? Przecież to tylko epizod, w maju będziemy już razem, będziemy budować nasze życie. Wciąż jeszcze trwa wojna. Byliśmy tak naiwni, by sądzić, że po pokonaniu Hitlera i Japonii będzie pokój. Trzeba przetrwać jeszcze te kilka miesięcy.

Ja mam ponad dziesięć godzin zajęć dziennie i nie narzekam: rzadko idę spać przed pierwszą w nocy. Gdy będziemy razem, wszystko Ci wynagrodzę. Będziesz mogła porzucić belferkę i odpocząć.

19 listopada

Dziś byłem bardzo głodny: w dzień nie było gazu, więc stołówki nie gotowały i nie jadłem obiadu.

Zamówiłem kilogram karmelków, aby moja trójka dzieci miała co chrupać podczas świąt. Drogo to wypada, ale przynajmniej to rzetelne cukierki i zupełnie świeże.

Nie jestem spakowany, gdyż grosz, jaki zarobiłem, Tobie przesłałem. Dopiero gdy przestanę wysyłać Ci paczki, mogę nabyć paki na książki i zbierać pieniądze na transport. Nasze pobory są tu małe, 5000 rubli nieprędko się zbierze. Inni mieli pieniądze, bo sprzedali rzeczy, meble,

mieszkanie. Ja się z tym ociągam, nie chciałbym za wcześniej palić za sobą mostów. Nie dawaj mi innych przykładów, chyba że ideał człowieka upatrujesz w tropicielu życiowej wygody. W tym czasie, gdy ważą się losy Polski, dajmy przynajmniej przykład godności narodowej, dyscypliny i rozsądku. Wiem, że bardzo wielu postanowiło zostać we Lwowie, gdy się dowiedzieli, że ja nie myślę wyjeżdżać. A nasza filologia dalej jest polska, wykładam ja, Szczerberbański i Kuryłowicz. Wiem, jak mało to wszystko znaczy, że to ledwie gest protestu – ale coś Rejtan więcej zrobił jak gest bezowocny, a jednak z dumą o nim myślimy. Brońmy godności polskiej, jeśli więcej zdziałać nie możemy.

20 listopada

W poniedziałek po południu była wypłata, dziś mogłem więc wreszcie zrobić zakupy. Zamiast 750 rubli dostałem 525; wciąż jeszcze płacimy podatek wojenny, pożyczkę wojenną, loterię Czerwonego Krzyża, dobrowolne datki na rannych i inwalidów. Przy mniejszych poborach odbierają nawet połowę. Wziąłem na kartki masło i już przetopiłem; pianę sobie zostawiam, ale osad Tobie pošlę, bo doskonały jest na jajecznicę lub sadzone jaja.

27 listopada

Wyciągam Twoją fotografię i patrzę – jakże pięknie żyło się z Tobą! Zawsze o tym myślę jak o raj. Ale mimo tęsknoty do Was czuję, że inaczej postępować mi nie wypada; *noblesse oblige*, z trudem zdobyłem swą polskość, dlatego może tak ją cenię.

Tutaj szykują powoli wybory do rad. Tłum się do tego pcha, bo taki deputowany ma wszystko za darmo albo za dużą zniżką. Dostaje talony na ubranie i bieliznę, limity do *spectorgu*; to pierwszorzędny interes.

Profesor Woźniak dzisiaj przyjęty do partii, miałem pójść na to przyjęcie.

Strasznie dużo tu wojska, a wojsko chce jeść i przede wszystkim pić. Naciągają przechodniów. Obok tego są „kalesoniarze” – ranni wychodzący na miasto w kalesonach. Przychodzą na plac grupami, otaczają przekupkę i nim się obejrzy, nie ma ani jednej bułki, jabłka, papierosa; jeśli krzyczy, to oni z kulami na nią i kijami. Wieczorami czyhają w odludnych punktach parku, aby zdobyć ubranie. To oni zabijają najwięcej ludzi, a zdobywczy zamieniają zaraz na wódkę. W tramwajach chroniczny ścisk, łatwo coś „zgubić”. Kradną tam

specjaliści spośród młodzieńców *bezprizornych*, dokumenty zwracają za opłatą 300–1000 rubli – zwykle przychodzi z tym dziecko, które niby je znalazło, ale tylko za taką kwotę oddaje.

11 grudnia

Przygotowuję Ci paczkę świąteczną i proszę, byś mi szczegółowo potwierdziła odbiór, abym wiedział, kogo właściwie zasilam. Najważniejszy jest pięciolitrowy sój z smalcem, który powinien chyba starczyć na dwa miesiące. O innych rzeczach nie napiszę – starałem się, byś miała naprawdę miłe święta i urodziny, byś nowy rok zaczęła w dobrym i błogim nastroju.

18 grudnia

Dziś rano na dworcu olówkiem kreśliłem ostatnie słowa dla Ciebie. Trudno było z tymi paczkami, ale uprosiłem panią, która obiecała zawieźć je do Gliwic. Nie śmiałem mówić, że ostrożnie trzeba się z nimi obchodzić. Ludzie w wagonie jak śledzie w beczce, zmiętoszeni, są przeszkodą dla rzeczy; te są teraz wszystkim. Każdy musi ustąpić i wcisnąć się w najbardziej niewygodny kącik, byle tylko kufer lub walizka się zmieściły. Więc jak mam liczyć na litość dla moich kartonów, gdy już w mej obecności patrzono na nie krzywo, że zjadają tyle miejsca.

25 grudnia

Dziś dzień roboczy jak każdy. Tylko moje ukraińskie otoczenie utrzymało nastrój świąteczny – wszędzie złożono mi życzenia. Gdy przyszedłem na lekcje na I kursie, przyjęto mnie długą gratulacją łacińską, potem śpiewano trzy pieśni: *Christus*, *Christus natus est nobis*, po polsku *Gdy się Chrystus rodzi*, wreszcie kolędę ukraińską. Cały kurs jest ukraiński, a uniwersytet sowiecki, toteż co chwilę ktoś zaglądał, co się dzieje. Potem dziekan mi zdradził, że studenci już od dłuższego czasu ćwiczyli śpiewanie. Uważam to za sympatyczny objaw, który bardziej mnie ucieszył niż podarek.

Z ulicy dochodzą strzępy kolęd śpiewanych przez dzieci. To już ostatni rok próby: bądźmy, Zosiu, wielkimi do końca, bądźmy dla innych drogowskazem. Próba jest przemijająca, ale pamięć naszej postawy żyć będzie wiecznie. Przykład nasz wychowa nasze dzieci i późne pokolenia w czci najwyższych dóbr narodowych. Wiem, że Ci to wszystko ciężko przychodzi, ale już tym razem rzeczywiście niedaleki koniec męki. Bez

wielkich iluzji patrzę na przyszłość i bardzo realnie liczę się z możliwością emigracji do Ameryki – nie ze względu na mnie, ale ze względu na Ciebie i dzieci, bo szkoda, byście mieli wegetować w tej ohydzie, będąc jeszcze młodymi i czułymi na życie, na słońce, radość, piękno i dobro.

26 grudnia

Nie do wiary, jak polskie święta są widoczne: place prawie opustoszały, w sklepach mały ruch, mniejsze sklepy zamknięte, a mimo wszystko wszędzie słychać polski język. Zaczynam wierzyć, że Polaków jest daleko więcej, niż najbardziej optymistyczne obliczenia podają.

Na ulicy Legionów i na placach pełno żebrzących, którzy każdego zagadują i dotykają kulami, jeśli ktoś udaje, że ich nie widzi. Ja już przywykłem, ale nic im nie daję, bo wolę dać naszym biednym dzieciom i sierotom, których jest dość. Trzeba rano albo późnym wieczorem iść przez miasto, aby widzieć biedę. Grupy dzieci, mających ledwie co na sobie, wylażą z piwnic rozwalonych domów i szukają w odpadkach jedzenia, a przede wszystkim proszą o tytoń. Pałą nawet trzylatkowie, papieros wędruje z ust do ust. Czarny chleb jedzą z apetytem, jak najsmaczniejszy kołacz. Podczas pory obiadowej ci lepiej ubrani wkradają się do stołówki i w milczeniu czekają; jeśli kto nie zje zupy lub kartofli, pytają, czy mogą dojeść. Przeważnie są to dzieci sowieckie, ale czasem też polskie – te poznać po lepszych manierach.

31 grudnia

Dumam sennie. Czekam na dwunastą, by witać Nowy Rok. Strzelają z armat, z rewolwerów i z automatów; z wszystkich ust wyrwa się ryk jak wilków stepowych. I ja Ci życzę, by po tym czarnym roku przyszedł rok dobry. Witajmy Polskę, niech skończy się *Polszcza*.

1946

10 stycznia

Wierz mi, i ja liczę dni do naszego spotkania i ciężko mi to wszystko przychodzi. Szara beznadziejność z wolna przykrywa wszystko. Ale jeżeli co Polskę może wydzwignąć z upadku, to tylko uparta nasza praca i bezgraniczność naszego poświęcenia.

Za grudzień nie płacili i mam wszystkiego jeszcze 10 rubli – to starczy na chleb przez kilka

dni. W butach amerykańskich pięte sobie obtarłem – nie wiem, jak jutro pójdę, bo na domiar złego ani jedna skarpetka już nie ma pięty. Czekam na niedzielę, to sobie skarpetki poszyję – cerować nie ma czego. Piszę dalej szkice z religii greckiej – skończyłem *Palladion*, zaczynam teraz *Apollon latromantis*.

15 stycznia

Cały nasz gród ma znów wygląd pochodowy. Wszędzie portrety, wywieszki, afisze – to przygotowania do wyborów 10 lutego. Chóry ćwiczą, orkiestry grają, młodzież szkolna śpiewa po ulicach. Wielki zapał. Wolno wybrać między Stalinem a Dżugaszwilim. Widać z tego, do jakiego stopnia niewoli i niemyślenia swoich wytresowali.

18 stycznia

Dziś wieczorem na ulicy spotkaliśmy z doktorem Korneckim Polaka wracającego z Donbasu, w łachmanach. Ponieważ był bez pieniędzy, doktor dał mu 20 rubli, a ja bochenek białego chleba, który dopiero co kupiłem. Wciąż jeszcze wracają. Chodzą jak pijani, nieprzytomni.

20 stycznia

Najmilsza to mi godzina, chwila pogawędki z Tobą, bo Tyś jedyna żywa dusza koło mnie. Bardzo osamotnionym się dziś uczułem, zmęczony, zniechęcony. Żyję z książkami i z kałamarzem – ciasny to krąg. Serce tylko i myśl wybiega ze ścian i szuka Was w świecie...

Drzewa bajecznie oszronione. Miasto oblepione afiszami przedwyborczymi, każdy dom ma ich kilka. Jak przy najbardziej zaciętej walce wyborczej. A tymczasem przecież ani wyborów, ani wyboru nie ma – tylko głosowanie. Komisja przedwyborcza – czyli partia – wybiera kandydatów i basta. Głosujesz, nie głosujesz – kandydat w każdym przypadku przejdzie.

Do Lwowa zawitał transport tysiąca Polaków aresztowanych w Polsce. Znajdują się w drodze na Syberię i do kopalń Donbasu.

21 stycznia

Dziś siedziałem w domu, chociaż przepadła mi przez to porcja chleba. Na mityngi z powodu śmierci Lenina się nie wybrałem. Wciąż te same brednie. Temat obecnych odczytów: 20 lat bez Lenina pod przewodnictwem Stalina. Poza tym miałem gości, naturalnie nieproszonych. Najpierw

przyszły Ukrainki agitować do wyborów. Nie wpuściłem ich, dziewczoje się rozsierdziły, długo jeszcze stukały i gadały pod drzwiami. Potem przyszedł podejrzan typ z poleceniem od rektora, żeby zająć mieszkanie dla uniwersytetu. Grubiańsko odpowiedziałem, że albo on, albo rektor zwariował. Na razie ja tu mieszkam i żona z *siola* ma jutro przyjechać – właśnie wybieram się do rektora prosić o etat dla niej. Przepraszał, tłumacząc się, że rektorowi powiedziano, iż wyjeżdżam.

Poza tym jadłem, spałem i przerobiłem szkice już napisane – widzę, że będzie z tym daleko więcej pracy, niż przypuszczałem.

24 stycznia

Bieda, że nie mam już słojów, słoików i woreczków płóciennych – przyjdzie kupić to na Krakowskim [Rynku] za duże pieniądze. Życie tam zaczyna się dopiero w południe, kiedy już trochę pocieplało od słońca – są przekupki, czasem jakaś biedota z resztkami swego gospodarstwa; wyjeżdżający wystawiają meble na sprzedaż. Dobrych okazji tam już nie ma, chyba że jakiś żołnierz przyniesie skradzione rzeczy albo swój fasunek.

Ankiety i narady mamy co dzień, poza tym jeszcze mityngi przedwyborcze. Życie na tym schodzi. Człowiek chciałby coś czytać, pisać – a nie ma właściwie kiedy.

Teraz już na serio zabiorę się do pakowania; całe pieniądze pójdą na paki i transport. Książki myślę posłać do Krakowa.

Wiem, że mego postępowania nie pochwalasz, ale za kilka lat zrozumiesz to i Ty. To, co się teraz dzieje, jest przejściem z jednej epoki w drugą. Nie chodzi o Polskę, ale o cywilizację. Tu trzeba być twardym i hardym, nie ugiąć się i nie bawić w sentymenty. Wiem, że nikt mi nie będzie dziękować za moje stanowisko, ale też nie po to to robię. Chodzi o zasadę, o obowiązek.

2 lutego

Kampania przedwyborcza w całej pełni. Duże aresztowania wśród nauczycieli i uczniów, duże wywózki ze wsi. Banderowcy rzucili hasło zbrojotowania wyborów – odpowiedzią jest sowiecka pacyfikacja. Ukraińcy sami mówią, że pacyfikacja polska była wobec tej niewinnej sielanką. Kolportują przepowiednię, iż 13 kwietnia o 23.00 wybuchnie wojna. Ogarnęła ich psychoza wojenna i są święcie przekonani, że na wiosnę do wojny dojść musi.

Przed wyborami także we Lwowie duża nerwowość. We wszystkich instytucjach kierownicy muszą organizować nocne dyżury, rzekomo dla ochrony budynków i zabytków, w rzeczywistości po to, aby nie zebrali się organizatorzy bojkotu głosowania. W Lewandówce wysadzono ponoć lokal wyborczy – uważam to za bajkę.

3 lutego

Mój biograf na pewno powie, że mogłem coś lepszego zrobić niż wypisywać czułości i plotki – mogłem na przykład zrobić indeks do scholiów Herogenos. Ale żyję nie dla swej pięknej biografii, lecz dla Zosi, której opowiadam bajeczki wielkiego świata, tak jak Orłátkowi i Raduni opowiadam o Czerwonym Kapturku.

9 lutego, północ

Zaczął się wreszcie dzień wyborów. My w mieście możemy to traktować lekko, ale na wsi jest strasznie. Banderowcy zakazują głosować, więc wsie są zalane wojskiem. Banderowcy grożą zastrzeżeniem pierwszego, a podpaleniem następnych głosujących. Chłop – tak sędzę – uważa wywózkę z dobytkiem za mniejsze zło i nie będzie głosował. Polacy zarejestrowani [na wyjazd do Polski], biorąc kartę ewakuacyjną, oddali paszport sowiecki, przestali więc być sowieckimi obywatelami i nie mają prawa głosować. Polacy nieregistrowani powinni głosować, ale nie muszą. Ponieważ z góry wiadomo, że Polacy jako element najinteligentniejszy nie będą głosować, na ogół nie umieszczano ich w spisie wyborców.

10 lutego

Głosować nie poszedłem. Pogoda paskudna. Cztery proszki antigrypiny zażyłem bez wielkiego skutku. Przeziębilem się, gdy pakowałem książki do skrzyń. Wielka to praca, pokoje zimne, przeciągi.

12 lutego

Radio wciąż powtarza, że w 1300 okręgach przeszli wszyscy kandydaci „bloku komunistów i bezpartyjnych” i że żaden inny kandydat się nie utrzymał. Śmieszne! Jak gdyby w ogóle jakiś inny kandydat był do pomyslenia.

We Lwowie milicja już o wpół do siódmej rano napędzała ludzi do wyborów i do późnego wieczora kontrolowała każdą kamienicę, czy wszyscy poszli. Do mnie nie przyszli.

13 lutego

W mieście widzi się dużo dzieci sprzedających gazety, zapalki, jabłka, ciasteczka, byle co. To biedota, źle karmiona, lichy ubrana. Z ubioru wyglądają zupełnie na Moskali i klną tak jak oni: *kurwa twoja mat!* Aż zdumiony byłem, gdy między sobą rozmawiali czystym akcentem łyżakowskim po polsku. To nasi.

Wczoraj miałem odwiedzin *domuprawy* (administratora Moskala), który mi przyprowadził kapitana na mieszkanie. Z początku chciał całe moje mieszkanie, a gdy na to nie poszedł, zażądał jednego pokoju. Na to również się nie zgodziłem. Powiedziałem, że nikogo nie wpuszczę. Wówczas kapitan zaoferował tysiąc rubli odstępnego. Powiedziałem, że doniosę prokuratorowi o tej prowokacji. Prędko poszli. Czepia się ta horda Polaków i już już chciałyby nas wysadzić na ulicę.

17 lutego

Podobno frekwencja we Lwowie (odliczając Polaków i innych) wynosiła najwyżej 85 procent, a głosów ważnych najwyżej 60 procent, bo Ukraińcy głosowali przeciw lub niszczyli kartki. Tymczasem statystyka lwowska podaje frekwencję taką samą jak w głębi Rosji, mianowicie 99 procent, a głosów ważnych 98,6%. Każdy przewodniczący i członkowie komisji, dbając o własną reputację i o własną głowę, dorzucili pełną garść głosów i poprawili frekwencję.

Z powodu wyborów ukazały się naturalnie w prasie wywiady i oświadczenia różnych ludzi, także profesorów. Wypowiedział się profesor politechniki Bogucki, rodzony lwowianin. Oto co m.in. pisze w „Czerwonym Sztandarze” z 11 lutego: „Nasz prawdziwie ludowy ustrój radziecki stwarza wszelkie warunki do szerokiej pracy twórczej. Odczułem to ja i inni koledzy z Instytutu Politechnicznego po przybyciu do nas w 1939 roku Armii Czerwonej, a z nią władzy radzieckiej. Z wielką radością oddajemy swą wiedzę i siły dla dobra narodu, dla swego państwa: pragniemy wzbogacić radziecką naukę i technikę. [...] Chociaż mam już 75 lat, mimo to gotów jestem wiele jeszcze zrobić dla radzieckiej nauki, dla przygotowania młodych kadr inżynierów budowniczych. Głosując 10 lutego na kandydatów stalinowskiego bloku komunistów i bezpartyjnych, głosowałem za rozkwitem potęgi i sławy mej wolnej Ojczyzny”.

19 lutego

Bardzo się u mnie polepszyło: mam dwie pary skarpetek, i to całych. Tak mi z nimi dobrze, że je czasem całuję ze szczęścia. Ty nawet nie wiesz, co to znaczy, bo nie chodziłaś zimą w dziurawych bucikach i w skarpetkach bez palców i pięty.

Chciałbym zostać zdrow, aż Was zobaczę; tęsknię już naprawdę, jak Odyseusz, chociaż żadna Kalypso mnie tu nie zatrzymuje. I chociaż każdy mijający dzień prowadzi mnie wielkim krokiem do grobu, to jednak rzuciłbym teraz pełną garść dni, by przyspieszyć spotkanie z Wami.

Do zbijania skrzyń wziąłem fachowca; pięć jest już gotowych do transportu. Wszystkiego będzie ich 14 lub 15. Mimo to jeszcze sporo książek w domu zostało, na jakieś trzy skrzynie, ale to już zostawię do mego wyjazdu. Potem zabiorę się do skrzyń u dominikanów, gdzie daleko większa i mniej wygodna sprawa: w domu mogłem wieczorami przy świetle elektrycznym pakować, u dominikanów muszę pakować w dzień, a właśnie dni mam zupełnie zajęte. Ale znasz mój upór – przezwycięży i tę trudność. A teraz zjem swoją zupę i pójdę spać.

22 lutego

Lwów zaczyna szaleć – na placu niebywale sceny: wszyscy kupują tłuszcz, słoninę, zapasy. Jak mówią – idzie wojna. Ceny rosną, paskarze mają wielkie święto. Zwłaszcza wśród Ukraińców duży ruch, trudno uwierzyć, jakie bajeczki sobie opowiadają. To we Lwowie na ulicy Zielonej pokazał się diabeł włochaty, z rogami, ogonem i kopytami, *tout comme il faut*, i przepowiedział, że za dwa tygodnie będzie wojna. To we wsi pod Lwowem Ukrainka urodziła dziecko, co w ciągu pięciu dni wyrosło na dojrzałego człowieka, który radził robić zapasy, bo wnet będzie wojna; gdy przerażona matka wrzuciła to duże dziecko do stawu, naza-jutrz powróciło ono do domu, a potem znikło.

Idzie coś, nie wiemy co. To, że Ameryka w marcu zaczyna olbrzymie manewry całej swej floty na Morzu Chińskim, także ma swe znaczenie. Na cóż teraz manewry? Dlaczego właśnie tam? Anglia ze swoją flotą pilnuje Europy. Wygląda na to, jakby każdy zajął swe planem zakreślone miejsce do wielkiej rozgrywki. Jeśli coś ma się stać, stanie się do czerwca.

24 lutego

Tu ponownie w *domuprawach* sprawa masek gazowych i schronów. Sowieci schrony przerobili na

chlewy i teraz podnoszą krzyk, że nie mają gdzie się podziać ze świniami; ale muszą schron opuścić i świnie biorą do mieszkań. Przygotowania robi także wojsko, które zajmuje już duże magazyny przy ulicy Żółkiewskiej. Niewątpliwie coś się szykuje. Wszystko w tej chwili możliwe. Rosja gotowa jest do wojny.

Na prowincji wielka epidemia ospy i świerzbu. Odprawiono więc absolwentów i starsze kursy medycyny na wieś – do szczepienia. Jedna partia pojechała do Nadwórnej, a ze względu na konieczność odwszenia powróciła teraz na krótko do Lwowa. Na wsi panuje najsłabsza bieda. Ludność żyje postnymi kartoflami i kapustą. Chleba nie ma, mięsa też – zabrali banderowcy. Głosowanie odbyło się tam w ten sposób, że urnę na silnie obsadzonym tanku wożono od chaty do chaty i każdy musiał wrzucić swój głos.

25 lutego

Tak jestem do Ciebie przywiązany, że wypełnianie mego tu obowiązku – otwarcie wyznając – niemalą sprawia mi przykrość. Gdyby to nie był obowiązek tak szczytny jak strzeżenie granic, rubieży i honoru naszej ojczyzny, dawno bym porzucił tutejsze wegetowanie i leciałbym do Was. Ale trzeba zaciśnąć zęby i wytrwać. To wszystko nie potrwa już chyba długo. Żyjemy w psychozie wojny. W szkołach kursy przeciwgazowe. Wojskowi czekają na przerzucenie i pakują się.

Wieczorem nie było gazu, jadłem chleb, popijając wodą.

5 marca

Dziś zacząłem pisać moją teorię o powstaniu religii, ale nie bardzo mi idzie. Muszę dążyć do skodyfikowania swoich poglądów, chociażby w szkicach. Duszą mnie w Akademii, domagając się – zgodnie zresztą z planem – abym im pokazał, com dotychczas zrobił. A robiłem wszystko, tylko nie pracę akademicką. Ale już wziąłem się do niej, temat zresztą ciekawy: *Typy domów i grobów w czasach prehistorycznych na Ukrainie*.

8 marca

Dziś byłem pierwszy raz na mityngu w akademii – kierownik mnie zabrał. Tematem było podwyższenie poborów pracownikom naukowym, co w Moskwie już zostało uchwalone. Ile wyniesie podwyżka, nikt dokładnie nie wie, ale każą nam się z niej cieszyć. Oczywiście jest to gra

o pozyskanie inteligencji oraz atut propagandowy wobec zagranicy, mający też zapobiec ucieczce uczonych z krajów okupowanych przez Sowiety. Dawno nie byłem na mityngu; czułem się jak widz wobec aktorów na scenie. Aktorzy grali marnie: w ich słowach czuć było przymus i lęk albo pustą retorykę i rutynę.

15 marca

Plotek jest dużo – według rozgorączkowanych wojna idzie już na dobre. Na Zimnej Wodzie mężczyźni poniżej 50 lat dostali *powiestki* (powołanie do wojska), także Polacy zarejestrowani. W ogóle z Polakami dziwne są historie. Na Skalce żyła rodzina oficerska, zarejestrowana; wzięli już kartę na wyjazd i czekali tylko na transport. Ojciec oficer został aresztowany i skazany za AK. Syn niedawno złamał nogę, potem miał zapalenie opon mózgowych i jeszcze nie wyszedł z tego. Mimo to kazali matce i synowi zabrać rzeczy i stawić się do wywózki na Wschód. Takich wypadków ma być więcej. Pozwalają tyle tylko wziąć, ile kto sam uniesie do pociągu. Dużo nowych aresztowań, także wśród Polaków. Ostatnio dużo pracowałem na temat pojęcia Boga. I ciekawe miałem wyniki: zdawały się one tłumaczyć genezę pojęcia Boga, ale niewytłumaczone zostały pojęcia boskości i duchowości, to znaczy abstrakta. Gdy brnąłem w te rozważania, zajrzałem do biografii Mendelejewa w sowieckiej encyklopedii i przy wykładzie jego poglądów natrafiłem na zdanie, że Mendelejew, choć wybitny chemik, był dualistą, przyjmował bowiem trójcę: materia–siła–duch. Czytając to zdanie, uśmiechnąłem się i szepnąłem: „Jak łatwo było Mendelejewowi być monistą! Przecież siła to tylko funkcja materii, a duch – symbolem materii”. I w jednej chwili miałem to wielkie rozwiązanie w ręku i z pewną gorączką od razu myśl tę zanotowałem, by mi się nie zawieruszyła. Waga tej intuicji od razu była mi wiadoma. Wyjaśniała ona nie tylko religię, ale i wszelką naukę, poezję, sztukę.

Stojąca z dala od tych badań, wątpię, czy potrafisz ocenić wagę mego spostrzeżenia, które zapewne nie jest mniejsze od teorii relatywności Einsteina i warte nagrody Nobla, gdyż stwarza zupełnie nowe podstawy dla metodologii nauk, dla filozofii, religii czy historii. Tylko trzeba teraz tę myśl wyłożyć i wykazać, jak ona stosuje się w niektórych chociażby dziedzinach.

Rozpisałem się, Zosiu, ponieważ Ty pierwsza powinnaś wiedzieć o tym naprawdę wielkim

odkryciu naukowym. Myśl sama jest tak szalenie prosta i tak oczywista, że każdy powie: przecież ja to już dawno wiedziałem. Właśnie. Teraz zajmę się spisaniem wykładu, ale nie wiem, czy mi dobrze pójdzie, bo ani swych dawnych materiałów nie mam, ani też nie ma pracowni uniwersyteckich. Muszę to jednak tu we Lwowie zrobić; gdyż u Ciebie z dziećmi o pracy naukowej nie będzie mowy.

20 marca

Pomnisz, Zosiu, jak my dawniej witali wiosnę. Ciężko nam było – bo kiedyż było nam lekko w czasach tej wojny – ale dla wiosny zawsze mieliśmy radosny błysk w oczach i szeroko otwarte serce. Czasy teraz nie są lżejsze, ale witajmy i teraz wiosnę z miną odświętną, z wiarą we własną gwiazdę. Niech więc żyje wiosna, niech żyje nasza miłość!

Nakupiłem sobie 10 kilogramów grochu i za 100 rubli mam spokój. To starczy na długo.

21 marca

Nie wiem, dlaczego wiosna kojarzy mi się z Tobą, Zosiu. I gdy tak siedziałem przy biurku i słońce zajrzało, zdawało mi się, że stoisz za mną – aż się obróciłem.

Tu we Lwowie znacznie się ożywiło: tanki trzeszczą po bruku, auta połowe mkną po ulicach, słychać przemarsze. To znowu przed domem stoi auto, Sowietka ładuje swe manatki i bachory, aby w czas uciec ze Lwowa. Panika gorączkowa ustąpiła, ludzie zaczynają rozmawiać, ostrożniej mówić i robić zapasy. Ceny dalej trzymają się wysoko.

Profesor Bulanda jest bardzo przygnębiony. Przywykły tutaj, we Lwowie, być ośrodkiem światła uniwersyteckiego, jest teraz zerem w Krakowie. Gnębi go wiek (ma 64 lata), pragnienie zaszczytów (należy mu się członkostwo Akademii Umiejętności), brak zaproszenia na katedrę, to, że sam starać się o nią musi. Gnębi go, że profesoria, którzy wyjechali za Niemców (Bujak, Romer, Ingarden, Czekanowski, Chybiński, Suchodolski) mają tytuł „zasłużonych działaczy naukowych” i dostają 3000 złotych dodatku do poborów 4500 złotych. „A my, niemądrzy – pisze Bulanda – trwaliśmy na posterunku i czy to warto było”. Serdecznie mi go żal, bo go lubię i to naprawdę dobry człowiek, ale mnie wysokie premie „działaczy” absolutnie nie korcą. Ja wyżej cenię swoją nędzę, niesioną radośnie dla świętej mi Polski.

22 marca

Moja myśl sprowadza za sobą przebudowę wszystkich nauk humanistycznych, nowy ich rozkwit i wiek. Bo głównie do nich się moje odkrycie odnosi, chociaż i przyrodniczy ogromne z niego mogą mieć korzyści. Ponieważ pracowałem twórczo w historii medycyny, fizyki, chemii, magii..., widzę jasno zasięg zastosowania mej zasady. Chciałbym dla tej myśli uznania publicznego – nie dla mnie, ja się zadowalam wspaniałością i światłem nowego poznania, ale ze względu na Ciebie, by Ci wynagrodzić wielką Twą miłość i wiarę we mnie oraz Twą dzielność obecną. Nie powinnaś żałować tego czasu, jak i ja nie żałuję, bo pewną jest rzeczą, że gdybym nie został we Lwowie, nie zrobiłbym tego odkrycia.

Praca mi nie idzie. Najfatalniejsze warunki. Poza tym jeszcze ta osobliwa trudność, że intuicja moja jest raczej wizją, syntezą, która da się sformułować w jednym krótkim zdaniu. Jak ją rozciągnąć na książkę, albo chociaż na porządną rozprawę? Wszystko co piszę, nie podoba mi się – ale piszę i w końcu trafię na właściwe ujęcie.

28 marca

Ty wiesz od dawna, że jestem mistykiem i dziwne przecucia miewam. Może dzięki temu mam różne pomysły naukowe. Dalej więc sędzę, że nie wyjadę, że to oni stąd pójdą. Chociaż właśnie dziś sprzedałem meble, aby Ci ufundować karakuly. Musiałem to zrobić, bo ceny na meble spadają gwałtownie: gdybym je sprzedał miesiąc temu, dostałbym znacznie więcej, teraz zaś, wskutek uruchomienia transportów, jest duża podaż i dlatego niskie ceny. Karakuly kosztują 20–30 tysięcy rubli, za mieszkanie razem z urządzeniem mam dostać 22,5 tysiąca.

Pani Cieńska prowadziła przy ulicy Akademickiej 24 kawiarenkę, gdzie głównie sprzedawała sodową wodę. W tej kawiarence schodzili się co dzień o 17.00–18.00 ostatni mohikanie świata uniwersyteckiego, wypijali swoją kawę, zjadali ciasteczko, plotkowali, gawędzili i omawiali wiadomości radiowe. Widocznie jednak regularne zebrania dziesięciu ludzi musiały zwrócić uwagę, bo dziś rano przyszła tam komisja sanitarna i zamknęła kawiarenkę.

30 marca

Opowiadają, że teraz przy rewizji bagażu w Medyce Moskale bagnetami przekłuwają większe

paki, ponieważ przemycali się w nich ludzie bez dokumentu emigracyjnego. Widocznie chodzi o Ukraińców oraz Żydów sowieckich, niemających prawa udania się do *Polszczy*; Polak nie potrzebuje się chować.

Pracuję dalej – dwa dziełka chciałbym zamknąć we Lwowie, bo nigdzie nie mógłbym ich pisać w takim spokoju wewnętrznym, jaki tu mam. Jeśli uda mi się je zakończyć choć w przybliżeniu tak, jak stoją przed oczyma duszy, to nie żałuję rozłąki z Wami, gdyż zrobiłem dla Polski więcej niż ktokolwiek. Będzie to zarazem solidny wkład do majątku rodzinnego.

31 marca

Dziś byłem u Szczerbańskich. On chce zostać i zrobić egzamin kandydacki według wymagań bolszewickich.

Z Wrocławia przyszły listy, ale pesymistyczne: Polacy chcą opuścić Wrocław, bo sądzą, że się nie utrzyma. Zapisałem się na transport, który ma jechać w drugiej połowie maja. Bagaż mój będzie mały: głównie książki. Moskal, który kupił moje rzeczy, były nauczyciel szkoły handlowej, powiedział, że w ciągu najbliższych dwudziestu lat cały świat będzie bolszewicki. Jest o tym przekonany na podstawie prawa ewolucji dziejowej.

1 kwietnia

Nowy miesiąc – nigdy tak szybko nie pędził czas i szczerze obawiam się, że nie zdążę wykończyć swoich prac do wyjazdu. Słyszałem z kilku stron, że Niemcy wracają do Wrocławia, Gliwic, Bytomia, a Polacy muszą opuścić zajęte mieszkania.

Dziś byłem u woźnego A. Jego syn wyjechał w grudniu do Gliwic. Córka pracuje w bufecie i jest na II kursie filologii, chociaż ukończyła już IV rok w 1939 roku, ale bolszewicy tego nie uznają. Rodzina wyjechałaby, gdyby najmłodsza córka nie opierała się temu. Kiedy w styczniu obwieszczono zamknięcie rejestracji, dziewczyna powiedziała: „Zaczekajcie, pójdę do kościoła. Jak Pan Bóg powie, tak zrobimy”. Po godzinie wróciła ze słowami: „Pan Bóg mnie natchnął, bym się nie rejestrowała”. I tak, nie chcąc rozzerwać rodziny, postanowili wszyscy zostać i właśnie zaczynają pracę na swej działce.

Jakoś tak silnie, gorąco wierzymy, że Lwowa nie opuścimy. Ale z drugiej strony każdy boi się następnej zimy, a ja nie mam serca zostawić Cię, byś sama borykała się z życiem, choć wiem, że

dokazujesz cudów dzielności. Pragnę tu wprawdzie zostać, szykuję się jednak do wyjazdu.

Dominikanom polecono zrobić inwentarz klasztoru – jest to wstęp do nacjonalizacji. A ja mam u nich swoje książki!

3 kwietnia

Dziś Komisja Ewakuacyjna ogłosiła, że ci, którzy wzięli numerki ewakuacyjny, mają wyjechać w ciągu 24 godzin, a zarejestrowani do wyjazdu mają wyjechać niebawem.

Na prośbę Generalnego Reprezentanta Polskiej Komisji Ewakuacyjnej, władze rosyjskie będą wobec zwlekających stosować represje – zakaz przebywania we Lwowie, odebranie mieszkania, przymus pracy, odebranie paszportu i możliwości przemieszania się.

Od wczoraj są nocne rewizje w mieszkaniach, w dzień na placach i ulicach obławy, po których Polakom odbiera się paszporty.

Klasztory gorączkowo szykują się do wyjazdu. U dominikanów była dziś komisja z Kijowa, klasztor przeznaczono na archiwum. Przygnębie nie i rozpacz. Bardzo wielu Polaków nie ma za co wyjechać. Na drogę trzeba liczyć 6–7 tysięcy rubli. Ceny mebli spadają gwałtownie.

W szkołach, obok teorii, dzieci mają także ćwiczenia praktyczne. Dziś chłopcy z klas ósmych (14–16-letni) musieli wyjść na place targowe i u sprzedających bez pozwolenia kupować papierosy czy ciastka. Za nimi miał iść milicjant w cywilu i w chwili podawania towaru aresztować sprzedającego za nielegalny handel. Regularny trening prowokatorstwa i szpiclowania dla policji.

4 kwietnia

Cały Lwów gorączkowo się pakuje. Okazuje się, że był tu Chruszczow, wszechwładny prezydent Ukrainy, i zrobił olbrzymią awanturę o to, że we Lwowie jeszcze pełno Polaków. Rozmówił się z kapitanem Turczyńcem, pełnomocnikiem *Pol-szczy* do spraw ewakuacyjnych, któremu Lwów podlega. Turczyń zaproponować miał rygory wobec odraczających swój wyjazd. Przypuszczają, że kapitan Turczyń to wcale nie Polak, lecz Ukrainiec w polskim mundurze. Kiedy przy transporcie profesorskim ktoś się skarżył na organizację tego wyjazdu, straszną zrobił awanturę na dworcu i powiedział: „Salonowymi wagonami chcieliby jechać! Ale ja wam, Polaczkom, jeszcze pokażę, za dobrze się z wami obchodzą”.

5 kwietnia

We Lwowie zrobiło się teraz dla Polaków istne piekło: Moskale każdego zatrzymują, rewidują, ograbiają – i to na oczach wszystkich, na ulicy. Przede wszystkim lecą na dokumenty – za ich zwrot każą sobie płacić po 3 tysiące rubli, więc to interes wielce intratny. Pretekst do odbierania dokumentów wszędzie ten sam: że podrobiony.

7 kwietnia

O ile tylko będę mógł, postaram się regularnie przekazywać Ci pieniądze. Naturalnie wówczas nie będę w stanie zrobić tu jakichkolwiek zapasów, ale będziesz mogła dogodzić swej woli, podczas gdy ja w paczkach narzucam Ci to, co uważam za pożyteczne. Dalej usilnie Cię proszę, byś prowadziła rachunki domowe i w ogóle w sprawach ekonomicznych nie puszczała wodzy fantazji – to bowiem narodowa Polaków wada, która ich zgubiła. Fundamentem życia jest zdrowy sens ekonomiczny. Ale widzę, że moralizuję, i to Tobie, najmiłsza małżonko, któraś przecież wzorem skrzętności.

8 kwietnia

Przed chwilą spotkałem profesora Czuruksa; jego syn, skazany za AK na dziesięć lat, siedzi na Pełtewnej, wczoraj się z nim widział. Syn żąda, by rodzice wyjechali. Ja mu to samo radziłem, bo i tak synowi pomoc nie może, a paczki mogą mu inni podawać.

3 kwietnia studenci chcieli obchodzić moje imieniny i przyszli do mnie z dużym koszem kwiatów oraz tortem migdałowym, który – jak się wczoraj dowiedziałem – kosztował 400 rubli. W ogóle nie puściłem ich przez próg i odesłałem z prezentami. Wiesz przecież, że zawsze byłem przeciw tym małomiasteczkowym zwyczajom imieninowym i tylko Tobie, nie wiem dlaczego, ustępowałem i obchodziłem urodziny.

12 kwietnia

Wracam od Langów, dały mi list do Ciebie. Helena ma arteriosklerozę i wzrok jej się psuje gwałtownie, Kazia wciąż w spazmach. Już nie mają znajomych, czują się opuszczone i bezradne. „Order” [przydział] na ich mieszkanie dostał jakiś kapitan. Mają masę rzeczy, a trudno w tej chwili coś sprzedać – place zawałone, Moskale wstrzymują się z kupnem, aby dostać wszystko za darmo. Ja mam tylko meble i książki na głowie, co prawda dużo.

13 kwietnia

Czasem tak mi się widzi, Zosieńko prześliczna, że czas spędzony o własnych siłach z dziećmiakami zaliczać będziesz do najwspanialszych okresów Twego życia, że kiedyś, gdy normalne nastaną warunki, znowu za nim tęsknić będziesz. Dni Twojej samotności są jednak policzone – najdalej w czerwcu zjawię się i wezmę losy rodziny bezpośrednio w swoje ręce. Jak szybko lecą dwa miesiące – ze strachem na to patrzę, bo widzę już, że zamierzonych prac, mimo całego wysiłku, nie skończę na czas.

14 kwietnia

Silny nacisk na księży i klasztory. Było posiedzenie *kompartii* w sprawie zlikwidowania Polaków we Lwowie. Zostawia się nam trzy kościoły – Św. Magdaleny, Katedrę oraz dominikanów, resztę przerabia się na kluby i bazy. Ruskie cerkwie także się likwiduje. Szkoły polskie będą cztery. Nierejestrowanych Polaków jest jeszcze około 40 tysięcy. Moskale się tu rządzą, jak gdyby sprawa Małopolski była już definitywnie załatwiona.

15 kwietnia

Nastroje wielkanocne w pełni. Wczoraj była palmowa niedziela, ludzie nosili bukiety zieleni i bazy. Ukraińcy chodzą teraz do polskich kościołów, które dzięki temu są nadal przepełnione.

W „Czerwonym Sztandarze” jakiś Bik, rejonowy delegat do „reemigracji” sławetnej *Polšczy*, napisał długi artykuł o konieczności niezwłocznego wyjazdu do *Polšczy*, aby umowa, która przewiduje wyjazd do 15 czerwca, mogła być dotrzymana. Nacisk jest szalony, zapewne wielu tego nie wytrzyma. Na polskie mieszkania – także moje – wystawia się „*ordery*” i, mimo że to jawne bezprawie, prokuratorzy nie przyjmują reklamacji. Całe rodziny się wyrzuca, jeśli w ciągu 48 godzin nie wyjadą. Zwalniają z posad. Milicja nie przedłuża polskich paszportów.

16 kwietnia

Obiady jadam w Akademii krótko przed osiemnastą, potem wracam i przygotowuję paczki do zanieśienia do dominikanów, gdzie stoją skrzynie do pakowania. Noszę książki w plecaku. Z transportami kara boska: nie idą już przez Medykę–Przemysł, lecz do Rawy Ruskiej. Tam odbywa się teraz bardzo szczegółowa rewizja osobista i bagażu; dużo rzeczy ginie, bo rewidujący kradną

bezcennie. Potem jest przekładanie bagażu do „polskich” wagonów – znów wydatek po 100 rubli dla każdego; potem zaplombowanie wagonów i odjazd. Przy tym bardzo ciężną się transporty; ostatni, w którym posłałem Ci pieniądze, jeszcze po dziesięciu dniach stał w Rawie. Gdy się rewizorem nie da w łapę, to pakę za paką każą otwierać i wszystko przewracają.

Młody Pazdro, syn profesora prawa, skazany za AK na 10 lat, wysłany został do Irkucka do rąbania drzewa.

Wszyscy czekają na wojnę jak na zbawienie. Dawniej modlono się: „Od głodu, moru, wojny zachowaj nas, Panie” – dziś prosimy: „Wojnę ześlij nam, Panie, choćby z głodem i pomorem!”. Najnowsza przepowiednia głosi, że wojna będzie jeden rok, jeden miesiąc, jeden tydzień, jeden dzień i sześć godzin po kapitulacji Niemiec; ma to być niby 17 czerwca.

Nacisk na Polaków wzmacnia się jeszcze: nie wolno zabierać książek jak dotąd, lecz trzeba spisać tytuły i przedłożyć do „cenzury”, która ostempluje spis. Książki mam już zapakowane – rozbić pakę to szalona praca.

19 kwietnia

Dziś Wielki Piątek, wszyscy robią przygotowania świąteczne, ja zmęczony, zmęczony... Ale słyszę, że i inni czują się śmiertelnie znużeni. Jeszcze dwa miesiące! Czas piorunem leci, zwłaszcza kiedy człowiek chciałby popracować. Jestem niezdolny nawet do lektury. Nowin nie ma. O domu marzę jak o raj.

22 kwietnia

Zaraz się położę – plotki jutro Ci opowiem. Twój list umiem na pamięć – wyprany z wszelkiej małostkowości, mówi mi właśnie to, co koniecznie chciałem wiedzieć. Żal mi dwóch rzeczy: że sobie nabrałaś tyle pracy oraz że paczka gwiazdkowa nie doszła i wszystkie rzeczy się zepsuły. Trudno – to jest wojna.

24 kwietnia

Coraz ciężiej. Cały dzień pakowałem książki profesora Bulandy, aby pojutrze poszły. W sobotę po rezurekcji wezwano arcybiskupa do NKGB i krótko mu zakomunikowano, że w ciągu trzech dni ma opuścić Lwów. Pożegnano go, nie czekając na odpowiedź. Dziś rano wezwano go znowu – po to, by podpisał deklarację, że z własnej inicjatywy



↑ Lwów, zniszczenia wojenne

i dobrowolnie opuszcza Lwów. Ponieważ nie chciał podpisać, trzymali go do wieczora i potem wypuścili.

Ze Szwecji powrócił Ukrainiec – filolog Posadzki, nauczyciel ukraińskiego gimnazjum we Lwowie. W 1942 roku, za Niemców, wyjechał do Szwecji, mieszkał w Sztokholmie, było mu dobrze; tu zostawił żonę. Ma ponad siedemdziesiąt lat. Od kilku dni jest we Lwowie. Mina mu zrzędlą; czuje się jak myszka w pułapce.

28 kwietnia

Dziś napakowałem skrzynię dla Ciebie. Tu piszą o głodzie w Polsce, dlatego posyłam Ci różne kasze. Mam jeszcze mąkę, może i tę wysłać? Przede wszystkim staram się dla Was o tłuszcz i cukier. Zresztą postaram się przesłać pieniądze, to chyba się urządziś bez wielkiego wysiłku. Żyję skromniuteńko, abyś miała choć mały zbytek.

Dziś wprost gorąco. Górka nasza zielona. Pęta się tam sowiecka gawiedź, wszystko niszczy i zaśmieca. Mało kto działkę obrabia – szkoda pracy i wkładu, i tak dzieci wszystko zniszczą lub skradną, gdy już dojrzeje. Lwów zrobił się smutny i bezbarwny.

29 kwietnia

Czy wierzysz, że od godziny dziewiętej do dwiętnastej stałem w *gastronomie* w ogonkach, aby przed końcem miesiąca wybrać towary? Miałem przy tym protekcję Polek, które mi załatwiały i ułatwiały: kierownika sklepu i bloczkarki – inaczej nie dałbym rady. Sowietki są rozwydrzone, wrzask niesłychany. Trzymam się na uboczu i unikam kłótni – ostatecznie dochodzę do celu, i to godziwą drogą. Muszę jeszcze to i owo kupić, ale dziś nie mam siły nawet myśleć o tym.

Jak najspieszniej chcą nas tu zlikwidować, aby potem powiedzieć na konferencji, że Polacy sami się wynieśli i proponować plebiscyt na tych terenach. Z każdym Polakiem przy każdym spotkaniu idzie rozmowa tylko o wyjeździe.

30 kwietnia

I znów cieszę się na wspólne życie, w którym pewnie przez jakiś czas będę Ci raczej ciężarem niż pomocą. By szczerze Ci wyznać, czarno patrzę na urządzenie się w *Polszcze*. Naturalnie, żadnego obrazu nie mam, bo z dochodzących strzępów wiadomości niepodobna go sobie wyrobić. Bardziej dbam o moralną niż materialną

FOT. IAC



→ Lwów, kościół bernardynów

stronę życia, bardziej o daleką przyszłość niż teraźniejszość. Ty i ja wędrujemy po szczytach, wszystkim widoczni. Nie godzi się, byśmy się zachowali jak błazny, gdyż tysiące orientują się według nas. I nawet gdyby nikt nie patrzył, powinniśmy zawsze tak postępować, jakbyśmy żyli na oczach wszystkich.

4 maja

Mimo szykan, lwowianie upierają się zostać. Otwarta już groźba: kto nie wyjedzie na zachód, pojedzie na wschód – niewielkie robi wrażenie, bo prawie każdy albo sam był na Wschodzie, albo ma tam kogoś z krewnych.

5 maja

Byłem na rampie Chodorowskiej zobaczyć, co z moimi paczkami. Ale jak zwykle rozczarowanie. Ludzie z rzeczami obozują pod gołym niebem z małymi dziećmi, bo w ostatniej chwili przesunięto transport na jutro. Traktuje się tu ludzi gorzej niż bydło, bo to nie tylko ryzyko niepogody, ale przede wszystkim napady rozwydrzonej soldateski i sowieckiej służby kolejowej. Wszyscy już w dzień szykują się do obrony i pełnią dyżury.

Chciałem pracować, ale nie udało się. Wątpię zresztą, czy do końca roku zdolny będę do

pracy; człowiek staje się nerwowy. Wciąż myślę o Tobie.

7 maja

Dziś pakowałem książki, 10 maja mają pójść do Krakowa. Bardzo męczące i smutne zajęcie – gdy stolarz wieko dobija w mrocznej wozowni dominikańskiej, brzmi to zupełnie jak dobiecie wieka trumny.

11 maja

W kościele bernardyńskim pracują Sowietci. Ambonę już rozebrali. Posąg Matki Boskiej został na placu Mariańskim, Sowietci naprawili ogrodzenie. Ludzie co dzień kładą przed statua kwiaty.

Robią na nas nagonki, jak ongiś organizowano łowy na niewolników. Jeżeli ma być transport, a do kompletu nie wystarcza dobrowolnych, to milicja z placów i ulic ściąga ludziom paszporty i oznajmia, że mogą je odebrać w Komisji Emigracyjnej. Tam się dowiadują, że zostali zarejestrowani na dobrowolny wyjazd i mają natychmiast odebrać kartki ewakuacyjne. Protesty, przeklinania – wszystko na nic. Trzeba iść i pakować się. Sceny te powtarzają się prawie co dzień. Dość często słyszy się, że ludzie w związku z wyjazdem odbierają sobie życie.

Po cóż Ci takie smutne rzeczy opowiadam... Wiem, że i na mnie przyjdzie kolej i mróz mnie chwyta. O śmierci mogę myśleć spokojnie, jako

o konieczności przyrody, ale o swym wyjeździe stąd nie – krew cała się burzy.

14 maja

Lwów przeżywa masową psychozę: na ulicy Kętrzyńskiego w oknie drugiego piętra ukazała się Matka Boska. Tłumy tam się wybrały, a milicja robi kordony i bije – wszystko na nic, bo każdy chce zobaczyć Matkę Boską. Milicjanci twierdzą, że w oknie nic nie ma, że niczego nie widzą – a baby na to: „To jeszcze poganom miałyby się objawiać?”. I dalej napierają. Wtem nowe pogłoski: na ulicy Grodeckiej, na Żulińskiego, Zofii, na Zygmontowskiej pokazała się Matka Boska. Na wszystkich prawie ulicach stoją grupy kobiet i dzieci. Wszyscy twierdzą, że widzą Matkę Boską w oknie. Ma się wrażenie, że lwowianki są u kresu nerwów i wkroczyły w stan jawnej halucynacji. Łączą te wizje z nadzieją oswobodzenia. Ponieważ to możliwe tylko po nowej wojnie, wnioskuje, że niebawem się ona rozpocznie. Tymczasem dyplomatom ani się o tym śni.

Wiem, że czekasz na mnie, a ja wyraźnie czuję się źle – moralnie i także fizycznie. Tak czuje się pewnie oficer storpedowanego okrętu, nabierającego z wolna wody i zanurzającego się w otchłań; jeszcze jest przeblysłk nadziei, że uda się okręt utrzymać na powierzchni, choć rozsądek każe nie wierzyć i ratować się.

23 maja

Człowiek chodzi półprzytomny i jak w hipnozie załatwia kolejno to, co trzeba. Za niego planuje władza i podła życia konieczność.

Piszę Ci już ostatki kroniki Lwowa, bo wkrótce wyjadę. Nic z tego, com chciał załatwić, nie załatwiłem. Prac nie napisałem, pieniędzy nie uzbierałem. Obdarty przyjdę do Ciebie. Trudno. Tak sobie życzysz i niech tak będzie.

Dzisiaj zabrano moje książki, pojadą do Krakowa, do Akademii: 100 kartonów oraz 42 skrzynie. Przy rewizji rozbito dwie.

27 maja

Aby wyjechać, trzeba przedłożyć zwolnienie urzędowe z Uniwersytetu i z Akademii. Napisałem więc te *zajawy* i zakomunikowałem kierownikom i rektorowi o swoim zamiarze. Wielka stąd u nich konsternacja. Wprost odmawiali zezwolenia – jak się okazuje, jestem jedynym klasycznym filologiem na całej Ukrainie.

29 maja

Tak mi w sercu, jakbyś była w drugim pokoju, a ja miał iść na Twoje spotkanie. Tak się czuję – ale wiem, że teraz idą najcięższe dni. Muszę dostać zwolnienie z Akademii, z Uniwersytetu, starać się o rozmaite poświadczenia i pozwolenia... Do tego egzamin I kursu, IV kursu, prace dyplomowe, egzaminy aspiranckie, egzaminy kandydackie, prace kandydackie. W Akademii dąsy, że odchodzę; na Uniwersytecie najpoważniejsze trudności, bo wczoraj spostrzegli, że – gdy wyjadę – Uniwersytet nie będzie mógł żadnej komisji egzaminacyjnej tworzyć dla egzaminów dyplomowych ani kandydackich. Dlatego wszyscy wsiedli na mnie, abym został lub co najmniej wyjazd odroczył. Złote góry obiecują. Wszystko, czego przez dwa lata nie mogłem się doprosić, obiecują w dwa dni mi dać. Poza tym polski paszport z prawem trzykrotnego w roku pobytu w Polsce itd., itd. Ale już nie chcę zmieniać decyzji – chociaż, gdybym to wszystko miał przedtem, niewątpliwie bym tu został.

30 maja

Dzisiaj nasz transport odebrał kartę ewakuacyjną. Okazało się, że dla mnie jej nie ma, mam przyjść za dwa dni i znowu czekać w ogonku. Potem trzeba ostemplować kartę. Wszystkie te formalności żywo przypominają przygotowania pogrzebowe – i faktycznie jest to pogrzeb polskiego Lwowa.

Pewny jestem, że bardzo byłbym smutny, gdybyś Ty mnie opuściła lub ja Ciebie – bo wprost żywiłowo Cię kocham i życie posiada jeszcze dla mnie urok tylko przez Ciebie. Ale równą miłością kocham i Polskę, a Lwów teraz mi Polską. Z krwawiącym sercem patrzę na piękność tego szlachetnego miasta, które powoli tonie w barbarzyństwie stepu.

Uniwersytet chce mnie zatrzymać – zwrócił się do *obkomu* partii, która tu najwyższą władzą. Ale ja wyjadę.

1 czerwca

Wczoraj był feralny dla mnie dzień – ostatni w miesiącu. Trzeba wykupić talony na mąkę i inne produkty, tymczasem przedtem nie dawali i dopiero o trzynastej przyszło pozwolenie sprzedaży. Wyobraź sobie, co nastąpiło: w dużym magazynie granda, rozgwar, krzyki, spory i bójki o miejsce w ogonku. Trzeba trzy razy stać – do bloczkarki, która wypisuje kwity z cenami, potem do kasjerki, aby płacić, wreszcie do sprzedawczyń, aby



otrzymać towar. Trwało to około trzech godzin. Z gorąca byłem bliski omdlenia. Wreszcie otrzymałem całą górę produktów – ale jak to zanieść do domu? Plecaka nie miałem. Na szczęście znalazłem w kieszeni sznur – zrobiłem więc z woreczków paczkę i złany potem dowlokłem się do domu; rozebrałem się i chciałem się umyć. Nagle

pukanie – reflektanci na kupno sypialni. Oferują za mało, po dłuższych targach wychodzą. I znów pukanie, wchodzi doktor Jedlicz, poeta, z garścią książek, które 22 lata temu pożyczył ode mnie. Idzie. Pukanie – wchodzi faktor z żydowską parą małżeńską, chcą kupić sypialnię, dają 12 tysięcy rubli. Mało, ale ceny w ogóle strasznie niskie,



FOT. MAREK PÓŃZ, „ŚWIATOWID. ILLUSTROWANY KURIER TYGODNIOWY”, NR 46, 1934 / WIKIMEDIA COMMONS

← Lwów. Widok z wieży ratusza

więc się zgadzam. Idą i wreszcie mogę się umyć. Następnego dnia od rana podobna historia. Uciekam z domu, zostawiam go faktorom.

W sobotę przyszedł osobisty sekretarz rektora, jakiś Kowalenko – przekonać się naocznie, że nikt mnie już nie napastuje w mieszkaniu i że niczego mi nie brak. Sypialnia już wyniesiona,

obrazy zdjęte, półki rozebrane. Rzekł na ten widok: „Na próżno szykujecie się do wyjazdu, rektor was nie puści. Wy w całym Sojuszu jedyny spec, takiego nie wolno wypuścić. Zostańcie po dobremu”.

2 czerwca

Dziś w kościołach ostatnie nabożeństwo; tylko katedra pozostanie otwarta. Jutro wyjeżdżają księża i reszta zakonów.

Siedzę na gruzach mego życia i przeżywam tęsknotę umierającego. Nawet nie wiedziałem, jak wrosłem w tę ziemię, jak to miasto wcisnęło się w moje serce. Patrzę na nie i pojąć ni uwierzyć nie mogę, że z Polską tu mam się rozstać. Cała ta „likwidacja” wygląda jak sprzątanie po umarłym.

10 czerwca 1946 profesor Ryszard Gansiniec opuścił Lwów. Zamieszkał z rodziną we Wrocławiu, a od 1948 roku w Krakowie, gdzie do końca życia wykładał filologię klasyczną na Uniwersytecie Jagiellońskim. Zmarł w 1958 roku.

—
Ryszard Gansiniec

Materiał pochodzi z „Karty” 13/1994.

Oczyścić Lwów



FOT. OŚKODER MARJA

Piotr Mitzner

↑ Lwów, 1944. Żołnierze sowieccy wkraczający do miasta

27 lipca 1944 Armia Czerwona wkroczyła do Lwowa. Rozpoczęła się planowa sowietyzacja miasta – jego depolonizacja. Ukraińcy, którzy początkowo na tym korzystali, rychło doczekali się i dezukrainizacji.

Polacy stawiali opór – najczęściej bierny, polegający na odmowie wyjazdu „do Polski”. Czekali na decyzje aliantów, na trzecią wojnę, na cud. W „Karcie” 13 publikowaliśmy dzienniki lwowian z lat 1944–46. Nasi współpracownicy z Uniwersytetu Lwowskiego nadesłali dokumenty różnych szczebli aparatu KP(b) U uzupełniające te zapisy. Jest to swego rodzaju „dziennik” życia miasta prowadzony przez urzędników partii i bezpieczeństwa w latach 1944–45. Znajdujemy tam także zacytowane (prawdziwe lub zmyślane) wypowiedzi lwowian. (P.M.)

Sekretarz lwowskiego Komitetu Obwodowego KP(b)U Iwan Hruszecki do sekretarza CK KP(b)U Nikity Chruszczowa, 21 czerwca 1944

Biorąc pod uwagę, że obwód lwowski jest szczególnie zaśmiecony przez ukraińsko-niemieckie i polskie elementy nacjonalistyczne oraz ichopleczników, a posiada bardzo zróżnicowany skład społeczny, Komitet Obwodowy KP(b)U uważa, że po wyzwoleniu obwodu lwowskiego od niemieckich okupantów konieczne jest przeprowadzenie szczegółowego spisu powszechnego ludności.

Centralny Dierżawnyj Archiw Gromadskich Objednań Ukrainy (CDAGOU) I/23/889/18 (za: *Kulturne žyttja w Ukraini. Zachidni zemli. Dokumenty i matieriały*, tom 1 – 1939–1953, Kyjiv, Naukowa Dumka 1995)

Sekretarz lwowskiego Komitetu Miejskiego KP(b)U Czupis do odpowiedzialnego organizatora CK WKP(b) Stiepanowa, 28 lipca 1944

Pierwszego dnia po wyzwoleniu Lwowa przez Armię Czerwoną od niemieckich okupantów faszystowskich wyczuwało się dobry nastrój wśród polskiej części społeczności, do czego przyczyniła się robota polskich nacjonalistów. Na prawie wszystkich domach wywieszono flagi narodowe, Polacy chodzili uzbrojeni, z opaskami na rękawach.

Dierżawnyj Archiw Lwiwskoj Oblasti (DALO) 3/1/63/69-70

Naczelnik Zarządu NKGB obwodu lwowskiego Wołoszenko do sekretarza lwowskiego Komitetu Obwodowego KP(b)U Iwana Hruszeckiego, 29 lipca 1944

Na ulicach Polacy podchodzili do oficerów Armii Czerwonej i pytali: „Gdzie są polscy oficerowie? Gdzie polska armia Berlinga?”. Wyjaśniano im, że armia polska walczy w Polsce, a nie na terenach zachodnich obwodów Ukrainy. Takie wyjaśnienie wywoływało niezadowolenie i budziło nastroje nacjonalistyczne polskiej części społeczeństwa.

Urządzony 30 lipca wiec ludzi pracy Lwowa, na którym odpowiedzialni przedstawiciele rządu radzieckiego potwierdzili, że ukraińskie miasto Lwów było, jest i pozostanie w składzie Ukrainy Radzieckiej, został źle przyjęty przez inteligencję polską.

Rozbrojenie tak zwanej polskiej milicji, to znaczy oddziałów „Armii Krajowej”, a także aresztowania wielu aktywnych polskich nacjonalistów zostały bardzo źle przyjęte przez inteligencję

polską. Po internowaniu przez władze radzieckie dowództwa i niektórych członków „AK”, wśród ludności, a szczególnie wśród inteligencji dało się zauważyć niepokój i spadek zaufania. Po tych wydarzeniach zasadniczą część inteligencji polskiej zajęła pozycję „neutralności” i „wyczekiwania”.

Na przykład lekarz Kamniebrodzki Władysław wyraził pogardliwy stosunek do władzy radzieckiej i Armii Czerwonej, oświadczając: „Obecne porządki muszą się zmienić na skutek interwencji anglo-amerykańskiej i rozmów Mikołajczyka w Moskwie. Wojska radzieckie zapewne wycofają się, zostawiając Polsce Lwów i Wilno. Władza sowiecka uważa terytorium Galicji za ukraińskie. Dobrze by zrobili, gdyby sobie poszli, zabierając ze sobą wszystkich Ukraińców”. [...]

Ta część przodującej inteligencji polskiej, która w okresie okupacji niemieckiej prowadziła podziemną walkę partyzancką z okupantem, wypowiada się teraz zupełnie otwarcie za powstaniem radzieckiej Polski.

Doktor medycyny Bieliński Zdzisław, wyrażający poglądy tej grupy, powiedział wprost: „Widzę tylko jedną drogę, na której może być rozstrzygnięty tak zwany konflikt polsko-radziecki. Jest to droga przemiany Polski w republikę radziecką, co leży w interesie każdego uczciwego polskiego człowieka pracy”.

DALO P3/1/68/95-100

Kostantyn Łytwyn, Iwan Hruszecki i Mykoła Bazan do Nikity Chruszczowa, 14 sierpnia 1944

Stare ukraińskie miasto Lwów po zdobyciu przez Polaków podlegało wieloletniej polonizacji i było szczególnie zasiedlane przez Polaków. Obecnie większość mieszkańców Lwowa to Polacy. W celu przywrócenia miastu jego ukraińskiego charakteru należy podjąć następujące działania.

1. Przeprowadzić dobrowolne masowe przesiedlenie ludności ukraińskiej z terytorium Polski do obwodu lwowskiego, w tym ukraińskiej ludności miejskiej – do Lwowa. Przyjeżdżającym zapewnić pracę i mieszkanie.

2. Osobom narodowości polskiej zaproponować dobrowolne przesiedlenie z terytorium Ukrainy Radzieckiej na terytorium Polski.

Dalo P/3/1/163/14-16 (za: *Kulturne žyttja w Ukraini. Zachidni zemli. Dokumenty i matieriały*, tom 1 – 1939–1953, Kyjiv, Naukowa Dumka 1995)

Uzupełnienie nr 2 do umowy między Rządem Ukraińskiej SRR i Polskim Komitetem Wyzwolenia Narodowego, 9 września 1944

Przewodniczący Rady Komisarzy Ludowych [USRR] N.S. Chruszczow zgodził się przekazać polskim władzom polskie pamiątki narodowe znajdujące się we Lwowie, związane wyłącznie z historią i kulturą Polski, i równocześnie wyraził życzenie, aby pozostawić we Lwowie pomnik Mickiewicza jako pisarza, który cieszy się popularnością i miłością ludu ukraińskiego.

Pan Grabski w imieniu władz polskich wyraził wdzięczność Rządowi Ukraińskiej SRR za ten wielkoduszny dowód przyjaźni.

CDAGOU 1/23/1464/22

Nikita Chruszczow do Stalina, 29 września 1944

W Związku Radzieckim zorganizowano szkoły dla polskich dzieci, w których naucza się w języku polskim i według polskich programów, to znaczy wychowanie prowadzone jest w duchu polskiego burżuazyjnego państwa demokratycznego. Niektórzy Polacy podnieśli kwestię, by szkoły takie zorganizować też we Lwowie. Odmówiliśmy im i zdecydowaliśmy, by we wszystkich ukraińskich i polskich szkołach zajęcia prowadzone były według programów zatwierdzonych przez Ludowy Komisarjat Oświaty USRR.

CDAGOU 1/23/790/137

Kierownik Wydziału Organizacyjno-Instruktorskiego lwowskiego Komitetu Obwodowego KP(b)U Bogorodczenko do towarzyszy: Szomberga z CK WKP(b) i Iwana Zlenko z CK KP(b)U, 5 listopada 1944

1 listopada, w dniu święta religijnego „Wszystkich Świętych” polsko-burżuazyjni nacjonaliści zorganizowali antyradziecką demonstrację. Od rana 1 listopada na Cmentarz Łyczakowski zaczęli przychodzić Polacy i ozdabiać groby swoich bliskich kwiatami i zapalonymi świecami.

Równocześnie polscy nacjonaliści, przedostawszy się w tę część cmentarza, gdzie pochowani są „Wyzwoliciele [!] Lwowa” [żołnierze i oficerowie zabici w latach 1918–21 w wojnie ze

Związkiem Radzieckim], zaczęli ozdabiać ich groby polskimi flagami narodowymi z naklejonymi polskimi gazetami. Wiele płonących świec wstawiono w kłosze, na których znajdowały się antyradzieckie, nacjonalistyczne napisy: „Nie oddamy Lwowa ZSRR”, „Chwała bojownikom o polski Lwów”. Na drugiej stronie tego klosza była narysowana mapa wschodniej granicy Polski z 1939 roku, a pod mapą i nad nią napis: „Co nam obca przemoc wzięła, szabłą odbierzemy”.

Około siedemnastej Polacy zaczęli gromadzić się na cmentarzu „Wyzwoliciele Lwowa” przy grobie „żołnierza poległego w 1918 roku”. Około osiemnastej zaczęli śpiewać pieśni religijne. Kiedy się ściemniło, tłum złożony z 3–4 tysięcy ludzi zaczął śpiewać polski hymn i pieśni o charakterze nacjonalistycznym. W czasie śpiewania tych pieśni można było słyszeć takie słowa:

- Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród,
- Padniemy trupem, zginiemy za Lwów, a będzie on nasz,
- Ginęli, ginęli w Sybirze, a Polska znów wywalczona,
- Marsz, marsz Dąbrowski, Lwów będzie polski.

W przerwach między pieśniami wykrzykiwano hasła:

- Niech żyje Polska!
- Niech żyje Mikołajczyk!
- Niech żyje Armia Krajowa!
- Niech żyją wschodnie granice Polski!

Po każdym okrzyku tłum kilkakrotnie krzyczał: „Niech żyje”. Prócz tego z tłumy wiele razy krzyczano:

- Precz z bolszewikami,
- Śmierć bolszewikom.

Po tych okrzykach tłum szybko się rozszedł. Około godziny 21.00 cmentarz opustoszał. Pracownicy operacyjni obecni na cmentarzu zatrzymali sześciu aktywnych uczestników.

DALO P3/1/63/55-57

Wystąpienie sekretarza lwowskiego Komitetu Obwodowego Iwana Hruszeckiego na miejskiej naradzie inteligencji polskiej (stenogram w języku ukraińskim), 6 grudnia 1944

Polska ludność, jak już mówiłem, powinna zrozumieć, że Lwów był, jest i będzie miastem

radzieckim, a skoro tak, to i porządki we Lwowie będą radzieckie. Za pomocą radzieckiego prawa będziemy je wprowadzać w życie. Nie będzie takiej polityki, takiego kokietowania jak w latach 1939–40. To znaczy, że wobec ludności polskiej jako obywateli Związku Radzieckiego będziemy stosować wszystkie nasze zarządzenia, bez żadnych poprawek. Będą ich obowiązywały wszystkie radzieckie prawa. To znaczy, że mobilizacja ludności polskiej do pracy na rzecz odbudowy gospodarki narodowej, rolnictwa, zakładów we wschodnich obwodach będzie dotyczyła tak Polaków, jak i Ukraińców. A to znaczy, że podnoszenie kultury będzie się odbywało według radzieckiego prawa i radzieckich programów. We wszystkich instytucjach naukowych, instytutach, technicach, na uniwersytecie będzie się prowadziło nauczanie według radzieckich programów i w języku ukraińskim. Nie jesteśmy nacjonalistami, jesteśmy przeciw; a skoro nie jesteśmy nacjonalistami, to w imię większości będziemy prowadzić politykę narodową w formie i socjalistyczną w treści. Prowadząc taką politykę, wszystkim uczciwym Polakom, na podstawie istniejącej umowy z PKWN, dajemy prawo wolnego wyboru państwa – jak kto chce wyjeżdżać na terytorium Polski, nie ma przymusu, wolna wola, może decydować o swoim losie, i jeśli polskiej ludności nie będą się podobały nasze radzieckie zarządzenia, a jak już mówiłem, w naszych uczelniach będzie język ukraiński, i jak się komuś zechce, żeby jego dzieci uczyły się po polsku, to może sobie wybrać jakieś inne miejsce, a jeśli nie chce, niech sobie tu zostanie, ale podporządkowując się wszystkim naszym radzieckim prawom.

[...]

Będziemy wysyłać do pracy i wprowadzimy surowe porządki, ale przede wszystkim będziemy wysyłać tych, którzy nigdzie nie pracują – w zakładach czy urzędach – będziemy wysyłać tych, którzy myślą o powrocie władzy, jaka była do 1939 roku, tych co wyprowadzają psy na smyczy i psują powietrze we Lwowie, będziemy wysyłali pasożytów, którzy nie przynoszą pożytku naszej ojczyźnie. Mamy radzieckie prawo „kto nie pracuje, ten nie je”. Pracę znajdziemy i na wyrębie lasu – a drewna potrzeba, żeby normalnie działały nasze szkoły, szpitale, żeby normalnie toczyło się życie w mieście Lwowie.

DALO P3/1/59/282-283

Sekretarz do spraw propagandy lwowskiego Komitetu Obwodowego KP(b)U Mazepa do sekretarza do spraw propagandy CK KP(b)U Kostantyna Łytwna, 23 grudnia 1944

Skład instytutów Akademii Nauk USRR we Lwowie:

Według narodowości: Rosjan – 1, Ukraińców – 37, Polaków – 32, Żydów – 1. W sumie: 71. Członków i kandydatów partii nie ma.

Lwowski Uniwersytet Państwowy im. Iwana Franko:

153 pracowników naukowych. Z tego: profesorów – 42, docentów – 41, pozostali – niższe stopnie naukowe (asystenci i inni). Wśród nich członków i kandydatów KP(b)U – 12. Według narodowości: Rosjan – 6, Ukraińców – 82, Polaków – 60, innych – 5.

DALO P3/1/78/88-89, 92

Komisarz ludowy bezpieczeństwa państwowego USRR Sawczenko do pierwszego sekretarza KP(b)U Nikity Chruszczowa – „Informacja o przesiedlaniu obywateli z USRR do Polski zgodnie z umową lubelską”, 3 lutego 1945

Były profesor Politechniki Lwowskiej Pązdro Zdzisław, członek Rady Politycznej lwowskiej „Delegatury Rządu” z ramienia Stronnictwa Narodowego (endeków), oświadczył: „Umowa o przesiedleniu dyskredytuje PKWN jako instytucję, która nie posiada autorytetu. Komitet nie miał prawa podpisywać tego rodzaju umowy, ponieważ w żadnym wypadku nie reprezentuje większości Polaków i zrobił to bez uzgodnienia z rządem w Londynie. Opuścimy te ziemie dobrowolnie tylko w tym przypadku, gdy Moskwa otrzyma zgodę pozostałych dwóch sojuszników”.

Pązdrę aresztowano. Przyznał się do działalności w RP-DR i organizacji endeków.

Mieszkaniec Lwowa Januszek, Polak, lat 36, mówił: „Anglia i Ameryka zerwą umowę z Rosją i zaczną z nią wojnę. Wojna powinna się zacząć na terytorium Polski. Żeby uniemożliwić społeczne poparcie dla wojska polskiego, które pójdzie walczyć z Rosją, bolszewicy zaczęli aresztować Polaków. Wobec tego Polacy powinni wyjechać do Polski, żeby byli gotowi do walki ze Związkiem Radzieckim”.

[...]

	Z OBWODU LWOWSKIEGO	OGÓLEM Z UKRAINY
POLACY PODLEGAJĄCY PRZESIEDLENIU	260.000	736.661
POLACY ZAREJESTROWANI NA WYJAZD	13.330	173.154
POLACY, KTÓRZY WYJECHALI DO POLSKI	4.278	26.662

Jak zauważyliśmy, po przeprowadzonych przez nas aresztowaniach zapisy Polaków na wyjazd znacznie się zwiększyły. Agenturalne rozpracowanie i kontrola polskich komisji do spraw przesiedleń wykazały, że są one w znacznym stopniu zanieczyszczone obecnością uczestników polskich organizacji nacjonalistycznych i innymi elementami antyradzieckimi, prowadzącymi aktywną robotę dywersyjną skierowaną na sabotaż i przerwanie akcji przesiedleńczej. [...]

Kierujący polską komisją przesiedleńczą we Lwowie Roger Alojzy, syn Ignacego, ur. w 1904 roku w Rudkach w obwodzie drohobyckim, narodowości polskiej, bezpartyjny, wykształcenie wyższe, inżynier, zamieszkały we Lwowie, ul. Maryjska 9/3. Pełnomocnik ds. ewakuacji Polaków w przedstawicielstwie lwowskim. Wymieniony jest w materiałach agenturalno-śledczych jako aktywny działacz PZP-AK.

Aresztowany przez UNKGB obwodu lwowskiego podpułkownik żandarmerii Wojska Polskiego – agent gestapo i aktywny działacz PZP-AK Woycikiewicz zeznał, że przyjeżdżający z Lublina do Lwowa dla przeprowadzania poboru oficerów do Wojska Polskiego generał Strzelecki [Kazimierz Marszyński-Strzelecki], uprzednio kierujący AK we Lwowie, systematycznie spotykał się z Rogerem i instruował go w kwestii sabotażu przesiedleń.

Na podstawie posiadanych przez nas danych agenturalnych, Roger za łapówkę wysokości 20 tysięcy rubli załatwił niejakiemu Piotrowskiemu pracę w komisji na stanowisku referenta ds. transportu.

15 stycznia br. przedstawiciel ukraińskiej komisji przesiedleńczej Siwiec odwiedził Rogera i zastał go przy otwieraniu paczki, w której znajdowały się blankiety oświadczenia o wyjeździe do Polski, na odwrocie których było napisane: „Podatek dla patriotów”, i załączone 1000 rubli w radzieckich banknotach. Roger wyjaśnił, że rzekomo gromadzi środki na pomoc dla ewakuowanych.

Agentowi „Leonowiczowi” na jego propozycję, by przeprowadzić pracę wyjaśniającą wśród uczniów i ich rodziców w sprawie wyjazdu do Polski, Roger odpowiedział: „Nie obawia się pan,

że potem będą pana przeklinali? W myśl umowy z rządem radzieckim zabrania się prowadzenia tego rodzaju propagandy”. [...]

Na początku stycznia br. do Lwowa przyjeżdżał główny pełnomocnik Polski do spraw przesiedleń [Władysław] Wolski. Aresztowania polskich elementów antyradzieckich Wolski ocenił jako „terror” wobec polskiej społeczności, występował w obronie aresztowanych członków polskich podziemnych organizacji antyradzieckich i specjalnie odwiedził naczelnika UNKGB obwodu lwowskiego komisarza GB 3 rangi tow. Woronowa, prosząc o zwolnienie aresztowanych.

W rozmowie prywatnej w obecności niektórych przedstawicieli ukraińskiej komisji przesiedleńczej Wolski oświadczył: „Polska nie przyjmie ani jednego Polaka ze Lwowa. Do Polski mogą wyjechać tylko ci Polacy, którzy mają krewnych i znajomych w Polsce. I tylko ludność wiejska. Wysłacie Polaków do Polski pod przymusem. To jest terror. Uzbrajacie Polaków przeciw sobie, a my z bronią w rękę musimy za nimi ganiać po Polsce i rozbijać. Nie macie żadnego prawa prowadzić wysyłki obywateli polskich do Polski. To sprawa strony polskiej”.

Na skutek „działalności” Wolskiego, liczba Polaków zapisujących się na wyjazd do Polski zaczęła spadać, na przykład:

10 stycznia zarejestrowało się 528 osób.
11 stycznia – 389. 12 stycznia – 283. 13 stycznia – 192.

CDAGOU I/23/1466/33-46

Decyzja biura lwowskiego Komitetu Obwodowego KP(b)U, podpisana przez sekretarza Pawła Hapoczkę, 5 lutego 1945

24 stycznia 1945 Związek Patriotów Polskich w porozumieniu z Wydziałem Propagandy i Agitacji Komitetu Obwodowego KP(b)U zorganizował wieczór poezji poświęcony wyzwoleniu Warszawy. Program wieczoru nie został przygotowany właściwie, recytowane utwory były przesiąknięte pesymizmem. W słowie wstępnym i wystąpieniach artystów polskiego teatru nie została podkreślona rola Armii Czerwonej i narodu radzieckiego w wyzwoleniu ziem polskich, a zwłaszcza stolicy Polski – Warszawy.

Na skutek niewłaściwego doboru występujących, wśród tych ostatnich byli dopiero co zwolnieni z aresztu.

Scena teatru, gdzie odbywał się wieczór, była ozdobiona wielkim godłem Polski, polską flagą narodową, płonęły świeczki (podczas gdy w teatrze była elektryczność i świeczki nie były potrzebne), nie było żadnych portretów przywódców partii i rządu i radzieckich patriotów. [...]

Uchwała Biura Komitetu Obwodowego KP(b)U:

Za uśpienie czujności, co wyraziło się w politycznym niedocenieniu przeprowadzenia wieczoru literackiego w związku z wyzwoleniem Warszawy, zastępca kierownika Wydziału Propagandy i Agitacji Komitetu Obwodowego KP(b)U tow. [Pawło] Jowa otrzymuje nagane.

DALO P3/1/162/125-126

Sekretarz lwowskiego Komitetu Obwodowego KP(b)U Iwan Hruszecki do pierwszego sekretarza CK KP(b)U Nikity Chruszczowa – „O rezultatach walki z AK”, 15 czerwca 1945

W ostatnim czasie organa NKGB we Lwowie i obwodzie skonfiskowały 18 radiostacji, których używali dowódcy AK, utrzymując kontakt z polskim rządem emigracyjnym w Londynie.

Ostatnia radiostacja została ujawniona za pomocą pelengatora w centrum rejonu winnickiego.

Aresztowana przez organa NKGB przy pracy na radiostacji radiotelegrafistka [Anna Grolńska „Brzoza”] wskazała dowódcę AK pseudonim „Wiktor” [ppor. inż. Julian Wiktor „Adam”], który – według jej zeznań – kierował pracą wszystkich radiostacji we Lwowie. Na polecenie „Wiktora” realizowane były audycje, on też wyznaczał miejsca dla radiostacji.

Prócz tego ujawniono 16 mieszkań konspiracyjnych, w których znajdowały się radiostacje i zorganizowane były punkty [kontaktowe] lwowskiego obszaru AK.

Zadaniem radiostacji, wyznaczonym przez dowództwo AK, było odbieranie instrukcji od polskiego rządu emigracyjnego oraz przekazywanie informacji szpiegowskich do Londynu.

Aparatura radiostacji, produkcji angielskiej, pochodzi z lat 1941–44. Szyfry i instrukcje przeznaczone były dla głębokiej konspiracji.

Szyfrowane depesze przesyłane do Londynu mają charakter informacji szpiegowskich.

Jak wynika z materiałów, kierownictwo AK w celu lepszego zakonspirowania działających

radiostacji stale zmieniano miejsca dyslokacji, znajdowało nowe mieszkania, za każdym razem w znacznej odległości od poprzedniego miejsca pracy. Wszystkimi tymi działaniami kierował człowiek pracujący jako inżynier miejskiej sieci energetycznej, pseudonim „Wiktor”, który został aresztowany.

Organa NKGB pracują nad ujawnieniem i odszukaniem uczestników AK i właścicieli mieszkań konspiracyjnych. A przede wszystkim zastępcy [„Wiktora”] kierującego łącznością AK we Lwowie z Londynem.

CDAGOU 1/23/1730/36

Sekretarz lwowskiego Komitetu Obwodowego KP(b)U Iwan Hruszecki – „Informacja o nastrojach wśród polskich nacjonalistów w obwodzie lwowskim”, 29 lipca 1945

[Wyciągi z korespondencji przejętej przez organa NKGB]

I. Syczka, wykładowca architektury na Politechnice, do Romana Kenera, 23 czerwca 1945:

„Lwów opustoszał, centrum miasta zajmują Rosjanie – ulice puste. Pod wieczór ruch ustaje, każdy czuje się bezpieczniej we własnym domu... We wszystkich kontaktach ludzie czują się niepewnie. Nie inwestują, nawet nie uprzątają ruin. Nie ma pieniędzy, ja na przykład nie dostałem zaliczki na pensję na ten miesiąc. Na Politechnice wielu rosyjskich wykładowców”.

Maria Zdun do krewnej Krystyny Tendej, 6 lipca 1945:

„Na usta ciśnie się pytanie – z czym jechać i po co zostawać, co będziemy robić tam i co z nami będzie tutaj? Wszędzie beznadziejnie, straszna sytuacja. Oczywiście, będziemy musieli wyjechać.

Wezoram poszliśmy na wiec. Moskale mówią, że Ukraina zakarpacka powinna do nich należeć i w imię tego męczą nas na wiecach. Wyobraź sobie, dziewięć dni przed wyborami wszyscy byli po pracy na wiecach. Mówiliśmy już, żeby nie wypuszczali z pracy i zrobili łagier na terenie fabryki. Wojna się skończyła i powinniśmy pracować od 8.00 do 17.00, a często zatrzymują nas do 20.00. [...]

Ostatnio u nas spokój. Może przed burzą. Radzą nam (ale nie oni) uzbroić się w cierpliwość. Wielu się już zmarnowało. Zawsze jednak

wierzemy w jasne jutro. Przecież to niemożliwe, żeby słońce dla nas nie zaświeciło. Tylko czasami wydaje mi się, że noc bardzo długa, zbyt długa. Ludzie masowo wyjeżdżają na zachód. Po co i na co? Szczury. Nie mogę pisać Ci o wszystkim, bo nie starczy papieru”.

Joanna Detbijko do Heleny Czerwińskiej, 18 czerwca 1945:

„Czuje się napięcie. Mówią, że znów będzie wojna ze Związkiem Sowieckim”.

CDAGOU 1/23/630/16-19

—
Komisarz ludowy bezpieczeństwa państwowego USRR Sawczenko do pierwszego sekretarza CK KP(b)U Nikity Chruszczowa – „Informacja specjalna o reakcji społeczeństwa na podpisanie umowy ZSRR–Polska w sprawie granic”, 24 sierpnia 1945

Kierownik gospodarczy szpitala lwowskiego Instytutu Medycznego, Polak Zawadzki:

„Nie możemy sprzeciwiać się bolszewikom, są silni i dlatego robią, co chcą, a nam zostało tylko wyjechać do Polski”.

Dróżnik Lwowskiego Zarządu Kolei, Polak Mosikiewicz:

„Osóbka-Morawski nie ma Polski na własność i dlatego nie ma prawa oddawać części terytorium pod władzę Sowieców. Polska należy do wszystkich Polaków. Granica nie jest jeszcze ostateczna. Zobaczmy, co będzie dalej”.

CDAGOU 1/23/1630/28-33

—
Sekretarz lwowskiego Komitetu Obwodowego KP(b)U Iwan Hruszecki do Nikity Chruszczowa – „Informacja o pobycie we Lwowie Stanisława Grabskiego, wiceprzewodniczącego Krajowej Rady Narodowej Rzeczypospolitej Polskiej”, 31 sierpnia 1945

S[tanisław] Grabski – dawniej profesor prawa, jeden z wybitniejszych przywódców polskiej partii endecków. Większość swego życia spędził we Lwowie, gdzie przez wiele lat kierował organizacją pod nazwą Akcja Katolicka. Organizacja ta miała na celu szeroką propagandę przychodzących Kościoła katolickiego na Wschodzie. S. Grabski był ściśle związany z duchowieństwem katolickim. Do 1939 roku S. Grabski pozostał we Lwowie. W tym

samym roku jako zajadły wróg władzy radzieckiej został aresztowany przez organa NKWD i wysłany do obozu. Po amnestii 1941 roku Grabski wyjechał do Londynu, gdzie przewodniczył tak zwanej „Radzie Narodowej” i przez dłuższy czas był zwolennikiem antyradzieckiej orientacji Sosnkowskiego, Raczkiewicza i innych.

Do Lwowa przybył w sobotę 25 sierpnia [1945]. Tego samego dnia odwiedził przewodniczącego obwodowego komitetu wykonawczego tow. Kozyriewa. 26 sierpnia w niedzielę spotkał się z Pełnomocnikiem Rządu Polskiego do spraw Repatriacji ob. Podkomorskim. Wszystko wskazuje na to, że Podkomorski informował Grabskiego o nastrojach wśród obywateli polskich we Lwowie, opowiadał mu o Związku Patriotów Polskich jako organizacji, z którą nie warto się kontaktować, gdyż w niej jakoby „usadowili się komuniści”.

Tegoż dnia odwiedzili Grabskiego w jego mieszkaniu przedstawiciele Związku Patriotów Polskich – profesorowie Mazur i Ekstein. Grabski przyjął ich wyjątkowo powściągliwie. Profesor Mazur opowiedział Grabskiemu o głównych kierunkach pracy ZPP. Grabski z kolei przedstawił cel swojego przyjazdu do Lwowa. W czasie rozmowy podkreślił: „Moim głównym zadaniem będzie przekonanie lwowskich Polaków o konieczności możliwie najszybszego wyjazdu do Polski”. Tu opowiedział kilka epizodów ze swego wyjazdu do Moskwy w 1944 roku z Mikołajczykiem i Romerem, a także o pertraktacjach w Moskwie. Powiedział między innymi: „Zapytaliśmy wtedy Stalina o status Lwowa. Robiłem wszystko, by Lwów pozostał w granicach państwa polskiego. Na nasze pytanie o Lwów Stalin odparł, że do tej kwestii jeszcze wrócimy”.

26 sierpnia Grabski odwiedził arcybiskupa lwowskiego [Eugeniusza] Baziaka. Są dane, że Grabski i Baziak długo rozmawiali o Polakach aresztowanych przez organa NKGB. Chodziło o takie osobistości, jak byli profesorowie Uniwersytetu [Juliusz] Makarewicz, Przybyłski i inni.

[...]

[Na spotkaniu w środowisku akademickim] Grabski oświadczył: „Państwo polskie będzie teraz jednonarodowe. Za rozwiązanie tych problemów musimy być wdzięczni Generalissimusowi Stalinowi, który na konferencji poczdamskiej wyjątkowo ciepło odnosił się do losu Polski i jej przyszłości”. [...]

Formułując zadania uczonych, Grabski stwierdził: „Powinniście prawdę służyć narodowi, choć prawda ta może być dla was nieprzyjemna”. [...]

Wśród pewnej części reakcyjnie nastawionych Polaków pojawiło się rozczarowanie wizytą Grabskiego. Mówią, że się skompromitował, że „zwariował”.

CDAGOU 1/23/1464/7-16

Kierownik Wydziału Organizacyjno-Instruktorskiego lwowskiego Komitetu Obwodowego KP(b)U I. Bogorodczenko do tow. Zlonko w CK KP(b)U – informacja „O nastrojach mieszkańców Lwowa w związku z podpisaniem umowy o granicy między Związkiem Radzieckim i Polską”, 12 czerwca 1947

Pracownik filii Akademii Nauk USRR, doktor Derkacz M.D., Ukrainka, w rozmowie z akademikiem Woźniakiem oświadczyła:

„Nie znacie Polaków. Są bardziej bezczelni niż Żydzi i dlatego się przyczepili, a Związek Radziecki, który nie ceni terytorium, ustąpił. Jeśli Związek Radziecki ustępuje, to zaczyna się mówić o jego słabości. Najważniejsze, że ustępstwo terytorialne wobec Polski to nie tylko oddanie ziemi, ale i chłopów, przede wszystkim ukraińskich, pod polskie prawo pańszczyźniane”.

Profesor Wydziału Weterynarii Polak Szydłowski oświadczył:

„Kto teraz jedzie do Polski, źle robi, bo tam nie ma gruntu, tam są już bolszewicy – jak tutaj. Polska to kolonia ZSRR”.

Kierownik działu statystyki kliniki Wydziału Medycznego, Polak Bałtowski mówi:

„Nie mamy na co czekać, trzeba wyjeżdżać do Polski. Teraz ustalono już wschodnie granice i nie mamy na co liczyć”.

CDAGOU 1/23/1630/34-36

Sekretarz do spraw propagandy lwowskiego Komitetu Miejskiego KP(b)U Pawło Jowa do sekretarza lwowskiego Komitetu Miejskiego KP(b)U Iwana Hruszeckiego, 12 czerwca 1947

Lwowski Komitet Miejski KP(b)U prosi Was o postawienie na Radzie Ministrów USRR wniosku o wydanie zgody na zniesienie niektórych

pomników postawionych we Lwowie za rządów polskich i austro-węgierskich. Pomniki te zostały wzniesione w celu upamiętnienia poszczególnych działaczy państwowych – polskich i austro-węgierskich i są symbolami nacjonalistycznej polityki szlacheckiej Polski i Austro-Węgier skierowanej na zdławienie ukraińskiej kultury ludowej i ukraińskiego ruchu narodowo-wyzwoleńczego. Z punktu widzenia architektury pomniki te nie przedstawiają żadnej wartości.

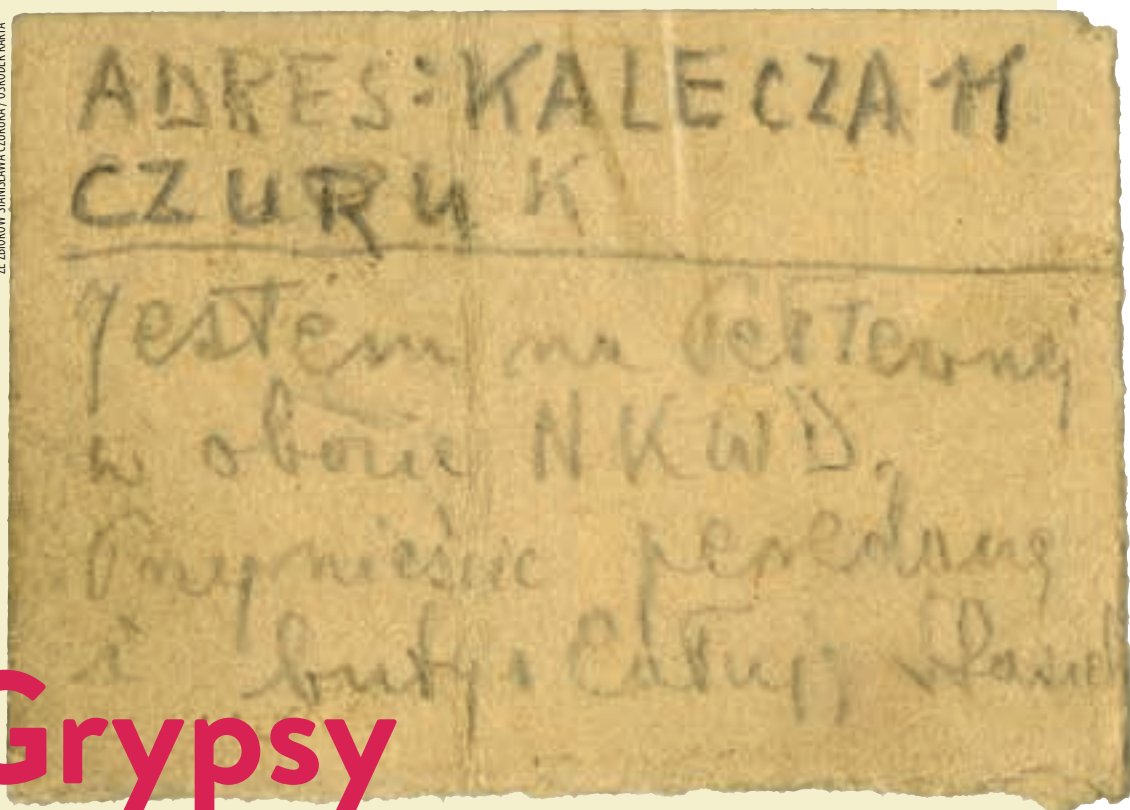
DALO P3/2/181/67

WYBRAŁ I Z ROSYJSKIEGO PRZETŁUMACZYŁ
Piotr Mitzner

Dokumenty odnalezione przez Ołeksandra Łuckiego, Kima Naumenko i Mykołę Łytwyna w ramach programu „Wspólne Miejsce – Europa Wschodnia”. Kopie wszystkich materiałów zostały przekazane do Archiwum Wschodniego.

Materiał pochodzi z „Karty” 17/1995.

¹ 5 marca 1945 prof. Mazur interweniował w komitecie obwodowym KP(b)U w sprawie aresztowanych polskich pracowników nauki. (RED.)



Grypsy Lwowskie

Stanisław Czuruk

↑ Gryps Stanisława Czuruka

Dwukrotnie już publikowaliśmy świadectwa pisane we Lwowie w latach 1944–46 – dzienniki *Pożegnanie Lwowa* Almy Heczko i *Na straży miasta* Ryszarda Gansińca („Karta” 13) oraz opracowany przez Piotra Mitznera wybór dokumentów sowieckich *Oczyścić Lwów* („Karta” 17). Grypsy Stanisława Czuruka również tworzą dziennik, który staje się szczególnym dopełnieniem tych poprzednich.

W tekście wykorzystane zostały fragmenty wybranych grypsów pisanych do rodziny z obozu przejściowego we Lwowie (podajemy je drukiem prostym, zaznaczając skróty) oraz relacja nagrana i spisana przez Małgorzatę Strasz (kursywą). Wszystkie oryginalne grypsy Stanisława Czuruka złożone są w Archiwum Wschodnim. Zdjęcia pochodzą ze zbiorów autora. (RED.)

Z grypsu przekazanego rodzinie Lwów, 14 lutego 1945

Jestem na Pełtewnej w obozie NKWD. Przynieście *peredacę* [paczkę] i buty. Całuję. Staszek.

Starajcie się ze mną zobaczyć. Dostałem dziesięć lat obozu poprawczo-robotczego. Jestem jak najlepszej myśli.

Z relacji nagranej we wrześniu 1996

Urodziłem się w 1923 roku we Lwowie. Mój ojciec był nauczycielem w gimnazjum – uczył polskiego, historii i geografii – a także tłumaczem przysięgłym kilku języków europejskich (prowadził biuro) i lektorem języka rosyjskiego przy Katedrze Języków Słowiańskich Uniwersytetu Jana Kazimierza.

We wrześniu 1939 zgłosiłem się na ochotnika do wojska. Miałem wtedy szesnaście lat, byłem dosyć wyrosnięty. Zostałem przydzielony do VI komisariatu Policji Państwowej; pełniłem służbę regulacji ruchu, pilnowałem mostów kolejowych. Złapałem dwóch szpiegów, byłem ranny podczas bombardowania. Później brałem udział w walkach z Niemcami, na górnym Łyczakowie. Po kapitulacji garnizonu wróciłem do domu.

Wkrótce do biura ojca zaczęli przychodzić oficerowie WP, ludzie poszukiwani przez NKWD. Trzeba było ich przenocować, nakarmić, dać cywilne ubranie. Czasami w naszym mieszkaniu, na materacach na podłodze, nocowało i pięćdziesiąt osób (np. zespół radia warszawskiego). Wszystkie moje ubrania i buty zostały wydane; na zimę pozostałem w sandałach. Współdziałałem w przerzucaniu tych ludzi do granicy węgierskiej, gdzie przejmowali ich przewodnicy. W 1941 roku, jak przyszli Niemcy, pomagaliśmy kolegom-Żydom.

Moje gimnazjum zostało zukrainizowane i przeniesłem się do innej szkoły. W czerwcu 1941 zdałem maturę. Skończyłem jednoroczną Szkołę Handlową i zapisałem się na politechnikę, na leśnictwo – razem z kolegami. Stworzyliśmy tam sobie cieplarniane warunki. Jako nieliczni studenci-Polacy byliśmy faworyzowani przez profesorów.

Do konspiracji wstąpiłem we wrześniu 1943. Pracowałem w Prokuraturze Specjalnej przy Delegaturze Rządu. Zajmowałem się fotografowaniem lotnisk niemieckich, wywiadem ulicznym i kawiarnianym, rozpracowywaniem agentów gestapo. Byłem oficerem łącznikowym

delegata rządu, potem szefem amunicyjnym Delegatury, brałem udział w walkach z Niemcami podczas wyzwania miasta.

22 lipca 1944 Lwów świętował wolność. Nie wiedzieliśmy, że w tym samym dniu ogłoszono Manifest PKWN...

1 września zapisałem się na czwarty rok leśnictwa, dostałem legitymację studencką.

16 września 1944 spacerowaliśmy sobie z Krysią Gogas z Warszawy i jej bratem po Ogrodzie Jezuickim, potem poszedłem kupić bilety do kina, na wieczorny seans. Podszedł do mnie na ulicy człowiek... Dobrze, że nie miałem przy sobie broni. Podjechał samochód i wylądowałem w gmachu prokuratury sowieckiej; następnego dnia przeniesiono mnie do więzienia na Łączkiego. Aresztowali wtedy wszystkich związanych z Delegaturą. Wcześniej uwięziony delegat rządu, dr Jerzy Ostrowski, poszedł na współpracę z NKWD i przekazał im archiwum.

Pierwszego dnia po aresztowaniu siedziałem na krześle w pokoju przesłuchań, w gmachu NKWD – niedawno był to budynek gestapo, który wyzwalałem. Ulicą szły polskie oddziały II Armii, śpiewając Rozkwitały pąki białych róż. Ja byłem przestępcą, mogłem być bity, nawet zabity. Gdy do śledczego zwróciłem się „towarzyszu”, odparł: „Kakoj ja tiebie towarzyszcz? Tiebie towarzyszcz sybirskij wolk”. W tym pierwszym dniu chciałem popełnić samobójstwo – wyskoczyć przez okno, ale złapali mnie. Potem do pewnego stopnia przyzwyczaiłem się.

Miałem dużo mniej do powiedzenia niż moi koledzy. Twierdziłem, że byłem szeregowym żołnierzem i niewiele wiem. Nie mieli na mnie żadnego materiału. Powiedziałem do śledczego:

– Słuchaj, ty mnie i tak nie puścisz.

– No nie.

– To pisz, co chcesz, a ci podpiszę.

– A co ja mam napisać?

– Dajmy na to – że znalazłeś u mnie gazetkę podziemną.

– A skąd ja wezmę gazetkę?

– To już twoja głowa. Jak mi dasz świeżą gazetkę do przeczytania, to ja podpiszę zeznanie.

Tak zrobiliśmy. Dzięki temu dostałem taki niski wyrok. Większość z grupy 21 członków

i żołnierzy Delegatury, w której w styczniu 1945 byłem sądzony, dostała po 15–20 lat lagru.

14 lutego przewieziono nas na peresylkę. Ogromny obóz przejściowy przy ulicy Pełtewnej,



FOT. ZE ZBIORÓW STANISŁAWA CZURUKA / OŚRODEK KARTA

↑ Stanisław Czuruk z rodzicami i siostrą, 1938

za torami kolejowymi, w przedwojennych barakach dla bezrobotnych. Za czasów niemieckich baraki należały do getta. Przebywało tu od 5 do 15 tysięcy więźniów; była ciągła rotacja, co tydzień odchodziły etapy – transporty do łagrów.

18 lutego 1945

Kochani! Przeszliśmy piekło i to, co teraz przeżywam, jest co najmniej „fajne”. Dzięki Waszym *peredaczom*, za które bardzo dziękuję, jestem najedzony i wesoly. Nie martwcie się o mnie. Myślę, że dam sobie jakoś radę. Pracuję już, jako jedyny zresztą z całej naszej grupy, w swoim zawodzie montera wodociągowego.

Nie będę pisał, co było, na to będzie czas, gdy wrócę. Napiszę, jak jest. Dostałem dziesięć lat ITL (*isprawitielno-trudowych lagieriej*). [...] Razem jest nas tutaj dwudziestu członków Delegatury Rządu. Wierzę, że wszyscy niedługo wyjdziemy. Jednak czy tak, czy owak koniecznie jedźcie na zachód [tj. za Bug]. Wrócić zawsze jest czas. Ja jestem dziś o ile możności zabezpieczony, dbajcie więc nie tylko o mnie, ale i o siebie.

[...]

Większość więźniów po prostu czekała na etap. Mój ojciec miał pieniądze i potrafił – znając dobrze język – wkupić się w łaski naczelnika Wydziału Obozów (OITK) Piotrowskiego

i prokuratora rejonowego Ilczenki. Biuro tłumaczeń bardzo dobrze prosperowało – podczas wojny i za Sowietów, ojciec miał odłożone pieniądze. Mógł przekupić naczalstwo. Chroniło mnie to przed wywiezieniem ze Lwowa do łagru, a poza tym mogłem pracować. W momencie aresztowania miałem przy sobie lewe zaświadczenie pracy, że jestem monterem wodociągowym. Wpisano mi to do akt i tak już zostało.

*Mama codziennie przynosiła paczkę. Klóciłem się z nią, że to za często, że nie dajemy rady tyle zjeść. Według regulaminu można było dostawać paczkę raz na tydzień. Mama musiała wszystkich przekupywać (ukończyła niegdyś gimnazjum rosyjskie w Warszawie i dobrze znała język). Nie musiałem nawet chodzić na dyżurkę, *peredacznik* przynosił mi do baraku świeży, gorący obiad.*

Grypsy przekazywałem w torbach, w których przynoszono mi jedzenie, a ja później oddawałem puste garnki. W jednej było podwójne dno, a w innej rozciągnane drewniane rączki, do których wkładało się list. Matka załatwiała, żeby specjalnie nie rewidowali. Raz tylko wpadliśmy, ale znowu udało się wykupić.

19 lutego

Pracowałem dziś cały dzień przy przebijaniu kanału. Dosyć *griaznaja* robota, ale te parę

miesiący wpłynęło na to, że każda robota dobra. [...] Już się nie budzę po nocach, gdy zgrzytnie zamki albo usłyszę kroki na korytarzu – to bardzo dużo znaczy.

Przysyłajcie *peredaczu* dwa razy tygodniowo, więcej *nie nada*. Na naszej kwaterze jest 26 ludzi – w tym 10 Polaków, reszta Ukraińcy i Rosjanie. Żyjemy ze sobą w dobrosąsiedzkich stosunkach, a wieczorem siadamy na kojkach, śpiewamy i opowiadamy w trzech językach – więc czasami bardzo, bardzo miło. W tej chwili przez dziurę w suficie słychać „konkurencyjny” chór naszych pań, wśród których napotkałem wiele koleżanek i znajomych. [...]

Przyslijcie większą ilość machory byle jakiej w woreczku, bo to bardzo dużo tu znaczy. Muszę kończyć, bo już krzyczą *otboj* i trzeba iść spać. [...]

28 lutego

[...] Proszę, piszcie! O tym, co przez te pół roku w domu się zmieniło, co w mieście, u znajomych. W ogóle każda znajomość z tamtego dawnego życia da mi tutaj możliwość oderwania się od brudu życia codziennego, od tego wszystkiego, co – mimo że znajduję się tutaj niecałe trzy tygodnie – tak strasznie mi już zbrzydło. Piszę: „z tamtego dawnego życia” dlatego, bo wiem dobrze, że takim, jakie ono było, już nie powróci; raz, że nie może, a po wtóre, że nie chcę. Takim, jakim byłem, gdybym nawet zechciał, już być nie potrafię. Dzisiaj, gdy wynoszę dwieście i trzysta wiader gnoju z piwnicy w ciągu dnia pracy, jak śmiesznym wydaje mi się to, że pół roku temu nie chciało mi się pójść po kartofle do piwnicy. [...]

Zapytanie Mamusi co do „dobrowolnej rejestracji do wojska” pokazuje, jak strasznie nie zdajecie sobie sprawy ze stosunków tutejszych. Pójście do wojska jest dla nas wszystkich marzeniem prawie nieosiągalnym. Marzeniem o tym, że można jeszcze być człowiekiem. Wszyscy w to wierzą, ale tylko dlatego, że człowiek taki paskudny żwirz i musi w coś wierzyć. [...]

Teraz parę faktów z przeszłości: 16 września 1944 o trzeciej godzinie byłem na Legionów i zauważyłem, że za mną powoli jedzie auto. Po chwili już siedziałem w tym aucie w drodze na Pełczynę [prokuratura przy ul. Pełczyńskiej]. Jak piorun z jasnego nieba. Dzisiaj wiem, że to Feluś¹, o którym Mamusi mówiłem, był ich agentem, ale wtedy nie miałem pojęcia. Całą noc miałem przesłuchanie. Ale to było głupstwo w porównaniu z tym,

co przeżywałem w czasie, gdy w niedzielę rano była u nas rewizja. To były bezwzględnie najcięższe chwile mego życia.

17 września, o godzinie trzeciej po południu zatrzasnęła się za mną brama więzienia i o tym można by napisać całą powieść. Nigdy nie zapomnę osiemnastu przesłuchań. Na jednym z nich, mając zakażenie krwi na twarzy (wyglądałem jak liliowy księżyc) i 40 stopni gorączki, przyznałem się do czytania gazetki po wkroczeniu Sowieców do Lwowa. [...] To było głównym atutem przeciwko mnie. Oprócz tego akt oskarżenia zarzucał mi przynależność do organizacji, tzw. 13 wydziału i pracę w kontrwywiadzie Delegatury Rządu. To wszystko.

Nasz proces trwał przeszło tydzień i, możecie mi wierzyć, obfitował w szalenie ciekawe momenty. Chociażby ten, gdy przewodniczący Trybunału przeczytał o zajęciu Warszawy, a wszyscy podsądni powstali z miejsc. Potem odczytano nam wyroki. [...]

4 marca

Kochani! Że ten list do Was piszę, zawdzięczam tylko opiece Bożej nade mną. Byłem pewien, że poprzedni list będzie ostatnim, który otrzymaliście ode mnie. Przedwczoraj o piątej rano obudziło mnie wejście na salę „fakira”, zajmującego się wyczytywaniem nazwisk na etap. Zbyttno się oczywiście jego widokiem nie przejąłem i obróciwszy się na drugi bok, starałem się zasnąć. Naraz „fakir” wrzasnął moje nazwisko. Kazałem sobie powtórzyć dwa razy, nie wierząc własnym uszom. Po tym usłyszałem sakramentalne „*Sobirajsia s wieszczami, skoro*” i skoczyłem tak, jak stałem, a właściwie jak leżałem, do majora. I co powiecie – wyciągnął.

Cztery godziny byłem w kamerze [celi] etapowej. Zjadłem mleko skondensowane, „bo i tak zabiorą”, wyspałem się, a następnie – przeżyłem „powrót do życia”. Z triumfem wytaskałem swój – wzbudzający u swoich i u obcych podziw – wór.

Andrzej Niezabitowski pojechał. Mimo starań z mej strony, nie udało się go wyciągnąć. Był o ile możliwości wesoly i pełen wiary w niedługi powrót². [...]

Proszę o przysłanie dwóch par ciepłych skarpet dla mojego majora (spaliły mu się na piecu, trochę dzięki mojej nieuwadze) – o ile możliwości najlepszych. Proszę o tytoń. O ile możliwości, przyslijcie wódkę – tutaj znaczy to wszystko.

Oprócz pieniędzy ojca ratowały mnie przed transportem zbiegi okoliczności. Spotkałem w peresyłce Marusię, Ukrainkę, znajomą z letniska, zaprzyjaźniliśmy się. Pracowałem wówczas w szpitalnej łaźni. Raz wpada do mnie Marusia, mówi, że mnie biorą – i podaje mi pudełko od zapalek, zawinięte w szmatkę. Już na korpucie etapowym zajrzałem do pudełka; było pełne wszy. Schowałem się za piec i wysypałem je sobie za koszulę. Gdy już mnie wyczytano z listy, podeszła do mnie naczelniczka sancazasti:

– Stanisław, na etap jediesz? A żaloby [skar-gi] u ciebia jest?

– Nina Grigoriewna, woszy u mienia.

Podniosłem koszulę, wszystkie wszy zbiły mi się na brzuchu... Naczelniczka kazala mnie szybko zabrać. Dzięki temu zostałem. Marusia pojechała następnym etapem.

Innym razem – znów na etapowym – przyszedł do mnie znajomy felczer, Ormianin. Poskarżyłem się mu, że mam krwawy ponos (biegunkę). Kazał pielęgniarce iść ze mną do ubikacji i sprawdzić. Po drodze powiedziałem dziewczynie, żeby raczej przyniosła peredacze z dyżurki, to zjemy sobie obiad. Wróciła, powiedziała lekarzowi, że rzeczywiście mam potworny ponos. Potem zjedliśmy jeszcze ciepły obiad od mamy. I znów się udało.

28 marca

Kochani! Dziś i jutro pracuję od strony końca ulic Pod Dębem i Kresowej, koło mostu kolejowego. Jeżeli chcecie mnie ujrzeć z dość małej odległości, przyjdźcie pod most. Wszelka gestykulacja jednak i machanie jest wykluczone. Pamiętajcie, że dla takiego głupstwa nie ma co się narażać na przykrości, a nawet na strzał ze strony postu. [...]

4 kwietnia

Piszę krótko, bo światła nie ma i piszę przy świeczce. Wszyscy weseli, opowiadają wice i komentują ofensywę i bliski koniec wojny. Jedni chrapią, drudzy śpiewają. Całkiem fajno. Major w negliżu siedzi na *krowati* i śpiewa grobowym głosem piosenki, że skonać można ze śmiechu. [...] Nikt już nie myśli o etapie i o tych, co pojechali. [...]

10 kwietnia

Prawdopodobnie za parę dni zmienię robotę i pójdę na strażaka. I tak palić się nie będzie, a jakby się

paliło, to nie ma czym gasić, bo nie ma ciśnienia w rurach.

W ciągu tego krótkiego czasu, od ostatniego mojego listu, odeszły dwa etapy – tylko banderowców. Koło piętnastego spodziewany jest następny. Jestem jednak pewny, że tym razem wyjdę ochronną ręką.

W tym miejscu światło zgasło, a przy jednoświecówce nie miałem ochoty pisać. Może tak i lepiej, bo wczoraj była czarna cela, a dzisiaj jasny ranek w kuźni. Przez piwniczne okno widzę akurat wychodzące zza zwalisk i ruin getta – złote słońce. Znacznie mi lżej na sercu niż wczoraj, może dlatego, że znowu widać nadchodzącą wiosnę. Ale precz z poezją; jest twarda jak proza rzeczywistość i rzeczywistość tę można oddać tylko prozą. [...]

Proszę o przysłanie mi skarpetek na rajtki, bo jasne opadają i musiałem je przywiązać huculskimi sznureczkami. Wyglądam jak Tyrolczyk z Kołomyi. A zielonych teraz nie chcę nosić. Proszę o jakieś ciemne. [...]

12 kwietnia

[...] Ratusz wylazi w tej chwili z mgły porannej, a z drugiej strony Wysoki Zamek. Tak blisko, a tak daleko. Ale jednak nie jest mi smutno. Mógłbym powiedzieć, że nawet wesoło. Przecież w obozie jestem wybrańcem losu. Mogę pracować, chodzić po słońcu, gdzie chcę i kiedy chcę. Mogę ze wszystkimi rozmawiać. To też coś warte, nawet dużo. [...]

Dla Zochy [siostry] posyłam znalezionej pierwiosnek – w chusteczce.

Kwiecień

[...] Jeden z najprzykrzejszych, a zarazem najbardziej interesujących odcinków życia obozowego to tor kolejowy. Jadą dniem i nocą, nocą i dniem. Na wschód – czołgi, samochody, rozśpiewane zwycięstwem wagony – powoli – mamy czas – już niepotrzebne albo jeszcze niepotrzebne. Na zachód – polskie chorągiewki na stertach gratów – milczące łą, a może i wstydem pożegnania – powoli, ze znanego w nieznane, z ugoru może, ale swojego, na nieznane – dopiero odebrane, prawie cudze. I na wschód – prędeż, prędeż – maszyny, kotły, dźwigary, obrabiarki, turbiny, motory – bo przecież czekają ręce – tysiące rąk, miliony rąk, rąk w zabitych deskami wagonach... Ale nie o tym chciałem pisać. To nieważne. Ważne, że jest słońce i że już jestem prawie zdrow. [...]



FOT. ZE ZBIORÓW STANISŁAWA CZURUKA / OŚRODEK KARTA

↑ Zespół artystyczny i chór na *peresyjce*. W pierwszym rzędzie trzeci od lewej Orzechowski, z prawej Antoni Christ, w drugim rzędzie piąta od prawej Danuta Turczak, w ostatnim rzędzie czwarty od lewej Stanisław Czuruk

Czy p. prof. Kupisz dostał *peredacę* za Waszym pośrednictwem? Jest on teraz kierownikiem chóru i bardzo dużo od niego zależy. *Á propos* chóru. Przypomniała mi się piosenka, którą ułożyliśmy na Łąckiego. Może Wam się będzie podobać:

*Wesoła 40-ta kamera – śmieje się z losu w głos.
Czasami tylko dech zapiera – gdy idzie na dopros.
Pan sędzia dłubie w nosie, automat w ręku ma.
Po takim doprosie, po takim doprosie [paragraf] 54a*

*Wesoła 40-ta kamera, na kwintę spuszcza nos.
Po prostu bierze ją cholera, że skończył się dopros.
Bandyto i faszysto – czemu w uporze trwasz?
Przecież za to wszystko, przecież za to wszystko [paragraf] 54 masz.*

6 maja

[...] 1 i 2 maja mieliśmy wolne. Był wielki fest, śpiewy, tańce... Ja osobiście udziału w tym nie brałem. Po pierwsze, bo byłem wówczas chory, po drugie zaś, gdy zapisałem się do chóru, miałem z niezbyt błogosławionej pamięci [brygadzi-
stą] Witkowskim bardzo przykrą wymianę zdań, podczas której przyrzekł mi on, że pierwszym

etapem pojedę. Na skutek tego wypisałem się wówczas z chóru i dopiero dzisiaj po raz pierwszy znowu przyszedłem na próbę. A los zrzucił inaczej – Witkowski już daleko w głębi Azji, jedzie w bezkres Rosji i będzie jeszcze długo jechać. [...]

Entuzjastycznie przeżywaliśmy tutaj i przeżywamy załamywanie się prusactwa. Tak – Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy. Wiadomości mamy zawsze. Nawet wczoraj wyraził się jeden z enkawudowców, że „my jak chcemy coś wiedzieć, to musimy tylko posłuchać rozmów więźniów...”. [...] Prosiłbym jednak o przysyłanie gazet, czy to w polskim, czy w ukraińskim, czy w rosyjskim języku. Ciężko czasami czekać, a tak zawsze jakaś nadzieja, jakieś słowo o nas i naszej sprawie.

Á propos... Gdyby zachodziło niebezpieczeństwo wojny z wujkiem Tomem, napiszcie mi krótko, że sprawa, o której rozmawialiśmy na obiedzie z Mamusią, staje się aktualna. [...]

9 maja

[...] Słońce dzisiaj – świeci w tej chwili prosto w moje oczy. I już po wojnie. Nie chce się wierzyć. Aż straszno chwilami, gdy zdam sobie sprawę, że te upiorne sześć lat mogą lada chwila się skończyć. Jeszcze jednak straszniej, gdy pomyślę, że mogą trwać dalej. Trudno – czekajmy. [...]

[później]

Wszyscy mają wisielczy humor. Muzyka zawodzi jakąś zwariowaną melodię, a za torem sypią się iskry salutów, jak wielkie złote osy albo jak fosforyzowane lzy. [...]

Mam wielką prośbę. Mianowicie śpię obecnie obok Poznaniaka, który jeszcze nigdy nie jadł mamalygi. Ja również mam apetyt na tę naszą „potrawę lwowską”, a więc proszę, przyślijcie trochę – na słodko z owocami albo na słono z cebulką. [...]

10 maja

Mamy tutaj detektor, tak że każda wiadomość lotem błyskawicy rozchodzi się wśród naszej Polonii. Czekamy z godziny na godzinę na coś rozstrzygającego nasz los. Jest to tak niewiarygodne, że mimo wszystko osobiście nie chcę w to uwierzyć. Po co poza tym ma nastąpić jeszcze jedno rozczarowanie. Ale, kto wie... Przecież głównym motywem mego oskarżenia jest przysięga złożona „na wierność rządowi Mikołajczyka”. Tak oni napisali. Nic więc już nie przeszkadza, bym dalej był wierny temu rządowi. [...]

12 maja

Kochani! Proszę jak najszybciej o bluzę, gdyż ciągle mówią o możliwości wznowienia śledztwa. Wczoraj puszczone nawet wiadomość, którą osobiście uważam za plotkę, że mamy w tych dniach samolotem odlecieć do Moskwy. [...]

13 maja

Tatusku Kochany! Jakże można pisać, że na nasze pocieszenie nic nie ma i kto tu mówi o rozpacz? Jest słońce nad nami, zielone drzewa za drutami, czekające na nas i zdrowe łapy w kieszeniach. Czy to nie wystarcza. [...]

Siostrzyczko! Aż tych długich pięciu miesięcy więzienia trzeba było, bym zrozumiał, co znaczy życie i co ono jest warte, bym poznał wartość każdego promienia słońca i każdego uśmiechu ludzkiego, niejednokrotnie cieplejszego odeń. Życzę Ci więc Zocha, byś i Ty to rozumiała i w dalszej wędrówce doczesnej była zawsze wesoła. Będzie z tym i Tobie, i drugim lepiej. Poznałem także, Zocha, mało – przyjemność, rozkosz pracy, podczas której, choćby była ona nie wiem jak brudna i ciężka, mogę mieć tyle wrażeń, mogę żyć. Gdy przyjechałem tu po pięciu miesiącach patrzania w szarą ścianę lub przez zardzewiałe kraty

na czerwony dach i strzępy obłoków na niebie, miałem białe żyłkowane rączki. Już nigdy takich rąk mieć nie będę. [...]

28 maja, godz. 20.00

Kochani! W tej chwili przeczytano mi, że jadę na etap. Próbuje zatrzymać mnie wszelkimi siłami. [...]

Zaraz potem w etapówce zaczęła się rewizja. Przewadził ją starszy nadzorca Kosowicz, z którym byłem zaprzyjaźniony. Gdy podszedł do mnie, wyciągnąłem rękę z listem i powiedziałem, by oddał ojcu. Bez słowa schował list do kieszeni, a wracając rano z dyżuru, zaszedł do mych rodziców i ten „ostatni list” oddał. Godzinę później do naszego domu przyjechała rodzina Recków z Przemysła; chcieli się ze mną zobaczyć i podziękować za pomoc za okupacji niemieckiej (nie wiedzieli o moim aresztowaniu).

W południe wypędzono z baraków wszystkich przeznaczonych na etap, ponad tysiąc ludzi. Siedzieliśmy na swoich rzeczach na placu, wokół biegały psy policyjne i żołnierze w białych płaszczach narzuconych na mundury. Za trzema stołami oficerowie w niebieskich czapkach segregowali nasze akta i związywali je kablem telefonicznym – każdy wagon osobno. Następnie opakowywano akta prześcieradłami. Widziałem swoje dokumenty i wiedziałem, że pojedę wagonem nr 1 do Buchty Nachodka – na Kołymę.

I wtedy zobaczyłem oficera ze złotymi galonami i wielkim brzuchem. Był to pułkownik Piotrowski, postrach więźniów i nadzorców. Wyciągnął tłusty paluch i krzyknął:

– Czuruk! Co ty tu robisz? Co za świństwo! Zanieś rzeczy do baraku i natychmiast do mnie!

Naczelnik konwoju uniżenie tłumaczył, że już akta zawiązano według wagonów, ale Piotrowski przerwał:

– Mało macie ludzi? Weźcie sobie innego. Dawać te papiery.

Z moimi aktami pod pachą odszedł do sztabu. Gdy po paru minutach zameldowałem się w jego gabinecie, spojrzął na mnie zza biurka i spytał:

– Kto to jest Reck?

– Józef Reck to Żyd, przemyski zegarmistrz, który w 1942 roku uciekł do Lwowa. Jemu, jego żonie i szwagrowi, który uciekł z obozu koncentracyjnego przy Janowskiej (gdzie był

w „brygadzie śmierci” i palił trupy), pomogłem się uratować.

– *Coś ci powiem. Ja jestem Żyd, ale takich jeszcze nie widziałem. Wpadło do mnie do domu siedemnastu Żydów z krzykiem: „Co robisz! On nam życie uratował, a ty go wysyłasz...!”. Musiałem im obiecać, że nigdzie nie pojedziesz, bo chcieli mnie bić.*

33 razy brali mnie na etap. Inni tak dobrze sobie nie radzili.

30 maja

Kochani! Jak przyjemnie wyciągnąć list, który napisałem w etapowym baraku, i podrzeć go na drobne kawałki. Tak jakbym spalił zawszoną szmatę. Znowu siedzę na tym samym łóżku, oddycham świeżym powietrzem i patrzę na zachodzące słońce nad zielonym lasem. I znowu rozumiem, co znaczy wolność. I znowu rozumiem, co znaczy Ojczyzna i własne, choćby twarde miejsce na własnej ziemi.

To wszystko było tak niespodziewane... Wróciłem wczoraj przed siódmą z za zony, spracowany, lecz zadowolony. Żałowałem tylko, żeście nie byli przy *peredaczach* i nie mogliśmy sobie trochę porozmawiać. Byłem na parterze i mogliśmy się spokojnie przez okno rozmówić. Było słońce, zieleń drzew i niedalekiego lasu. A zaraz potem kamera, trzy razy taka jak mój pokój, a na niej 96 ludzi. Rwetes, rabunek, bójka, kryminal z wygłodniałymi i zezwierzęcałymi ludźmi. Ta noc, gdy nasi na tej kamerze siedzący dostawali *peredacze*, a kabany staczali o nie formalne bójki, nie zostawiając właścicielowi literalnie nic – była niesamowita. [...]

8 czerwca

[...] Obecnie pracuję cały dzień na słońcu, pilnując ludzi, którzy przebijają kanały, robiąc wykopy – tak zwane szukanie mamuta, wyższa geologia. Czuję się pierwszorzędnie i jestem zdrow. Dotychczas moje stosunki z brygadierem są, z mojej przyczyny zresztą, dosyć oziębłe, on bowiem mówi do mnie wyłącznie per „Stasik” i jest bardzo potulny – tuli uszy. Trudno jednak zapomnieć, że przez tego banderowskiego draba odwiedziłbym daleką północ. [...]

Z chóru się wypisałem. Stosuję się do zasady, że „najlepszych przyjaciół poznaje się w biedzie” – a chór mnie podczas etapu prawie nie reklamował. Kapitan jest dla mnie istotnie życzliwy, lecz

przekonałem się, że więcej mówi o swych możliwościach, niż jest w istocie. Niemniej utrzymuję z nim nadal przyjazne stosunki. W ogóle idę przez to więzienne życie z hasłem „Cioci Zosi” Kossak-Szczuckiej³: „Szukajmy przyjaciół”. Staram się nie mieć kompletnie ludzi nieprzyjaznych i to mi bardzo pomaga. [...]

11 czerwca

[...] Siedzę na łóżku i patrzę przez okno. Na oknie puszka od konserw z fasolką – tak rzadka tutaj zieleń. A na skarpie kolejowej – koza. Pomyśleć, że ona może pójść na tamtą stronę torów, a ja nie... Śmieszne, co? [...]

19 czerwca

Mamusi moja Najmilsza, Ukochana!

Kiedyś – już tak dawno, choć zdaje się dziś prawie, patrzyłem na ścianę więzienia upstrzoną napisami w różnych językach i różnej treści. Nie na nie jednak patrzyłem. Patrzyłem na ścianę, by moi współtowarzysze nie widzieli łez toczących się po mych policzkach. Nigdy więcej nie płakałem w więzieniu – tych łez się jednak nie wstydzę. Łzy te bowiem nie były ani łzami bólu, ani złości, ani rozpacz, były to łzy szczęścia.

Mała bibułka papierosowa zapisana niezapomnianym, kochanym pismem – jak małe słońce spadłe niespodziewanie do mnie, na chwilę wprost wyprowadziła mnie z równowagi. Z tą małą bibulką wpadły do mej celi nie tylko Twe słowa, Mamusi Kochana, słowa pociechy i nadziei. [...]

Wy, ludzie wolni, nigdy sobie tego nie wyobrażacie, co oznacza po paru miesiącach tępego patrzenia na wytartą ludzkimi plecami ścianę, po paru miesiącach obcowania z brzydota, nieszczęściem i złością ludzką – nagle wspomnienie lasu i śpiewu ptaków lub śmiejącej się dziewczyny. Nie wiem również, czy ktoś na swobodzie potrafi tak bezpośrednio, tak namacalnie prawie – odczuć czyjaś troskę o siebie, o swój los i swoje życie. Wiem, że ja nigdy bym w normalnych warunkach, warunkach zresztą dosyć cieplarnianych, nie odczuł tej troski o mnie, tego ciepła, jakie płynęło od Tych słów, Mamusi Kochana. [...]

Lipiec

Siedzę w tej chwili na belce, leżącej przed moją budką stacji rozdzielczej. Zapada niezbyt cichy wieczór obozowy. Znajduję się jakieś dziesięć

metrów od drutów. Za drutami tor kolejowy i zwalony most na Pełtewnej. A za mostem ulica Słoneczna. Tak blisko, a tak daleko... A za plecami piekło w swym rodzaju. Gdyby tu był Dante, miałby o czym pisać. Setki ludzi na słońcu i nocnym chłodzie siedzą otoczone drutem kołczastym... bo nie ma miejsca na korpusach. Pocieszają się, że już niedługo amnestia wejdzie w życie, to może przynajmniej jeśli nie wszystkich wypuszczą, to chociaż trochę luźniej się zrobi. My, żyjący tutaj na stopie prawie wolnej, nie przejmujemy się zbyt ich losem – przeważnie z frontu, zdziczałe, zezwierzęcałe, zbrodnicze żuliki. A zresztą cóż możemy poradzić? [...]

Koło mostu stać jest ryzykiem, bo dyżurni łapią do karceru, a z karceru, gdzie się śpi na betonie, droga prosto na etap. Mówią w końcu, że [z wyrokiem] do dziesięciu lat na etap nie biorą, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże. [...]

1 sierpnia

Kochani! Jest już po *otboju*. Siedzę na stole, który w nocy jest moim łóżkiem, i patrzę za okno. Za oknem gwiazdzista noc. Tyle gwiazd spada świetlistą smugą po firmamencie i tyle razy wypowiadam moje życzenie... Może naprawdę się spełni.

Znowu idą. Równym krokiem... Zamykam oczy i przypominam sobie ten krok o świcie, pod naszymi oknami... Ale to nie wojsko – to więźniowie idący na wolność. Coraz to nowi i nowi. I to przeświadczenie, że ja z nimi nie pójdę. I ból, i coś jakby pewnego rodzaju duma. Nie pójdę na wolność z mordercami i złodziejaskami. Nie pójdę „w gwiazdzistą noc” – w taką, w jaką oni idą.

Wczoraj widziałem, jak zaraz po wyjściu z obozu jakieś baby zalały się w drobną pestkę, a potem wyglupiały się pod drutami. Tych mi było tylko żal i wstyd mi za nie było.

Jednemu ze znajomych jednak zazdrościłem. Wyszedł przed bramę na pół godziny przed odejściem pociągu na zachód. Po pożegnaniu z nim wróciłem w stronę torów. Jakież było moje zdumienie, gdy go znów ujrzałem. Stał na dachu wagonu jadącego na zachód i machał czapką, którą mu kupiłem. Krzyczał coś jeszcze, ale wiatr niósł jego słowa z dymem lokomotywy w dal. Temu jednemu zazdrościłem.

Sierpień

[...] Godzina będzie pewnie koło północy. Stałem przed chwilą przed moją budką i bawiłem

się, robiąc na jej białej ścianie „chińskie cienie”. Zrobiłem psa, łabędzia, a nawet i diabła. Cóż, kiedy wypadł roziskrzony pociąg na most, zawył, zaryczał przejmująco, przejmująco aż do szpiku kości i odeszła mnie chęćka do robienia „zwierzaków”. Uciekłem do budki, trzaskając za sobą szybko drzwiami (nie żebym się bał, ale jakoś tak nieprzyjemnie, że aż ciarki po plecach przechodzą), i siadłem przy stoliku pisać list. Może do mej „dezereji z chińskiego posterunku” przyczyniły się również upiorne reflektory, ustawione od mej budki o jakieś dziesięć metrów, sukinsyny latające na łańcuchu tuż-tuż prawie, jakieś pięć metrów ode mnie, po tamtej stronie drutów – i pozostający razem ze swą wieżyczką w czerni nocy kacap. Czy pamiętacie Chińczyka na opakowaniu herbaty Wysockiego? Taki sam siedzi z tamtej strony drutów. Zamiast cybucha trzyma karabin, a warokcz pewnie obciążał dopiero niedawno (bo niemodny), a może ma go pod swoją „furażerką”? [...]

Sierpień

[...] Proszę Was, byście byli przygotowani i spakowani, gdyż wierzę, że mogę do Was zajrzeć po powrocie prezesa ZPP z Moskwy, to znaczy za jakieś dwa tygodnie. [...]

Wierzyłem w III wojnę, jednak przede wszystkim wierzyłem w samego siebie. Miałem taki plan, że rodzice wyjadą za Bug, a my uciekniemy, przedostaniemy się przez linię demarkacyjną na Sanie albo przez Karpaty i Czechosłowację do Niemiec. Byłem pełen optymizmu.

Udało mi się parokrotnie wyjść poza obóz – z konwojentem. Raz na przykład załatwił mi to mój kolega, Żyd, naczelnik administracyjny OITK, któremu przedtem pomogłem – kazał żołnierzowi iść tam, gdzie ja zechcę. Więc poszliśmy do domu. To był 3 sierpnia 1945, dzień imienin mego ojca, pełno gości. Żołnierz, młody chłopak, jak zobaczył nasze mieszkanie, myślał, że ojciec jest ministrem. Potem trochę wypiliśmy. Wracaliśmy przez miasto pod pachę, śpiewając... Koło poczty jacyś chłopcy spytali mnie: „Proszę pana, załatwić go?”. Nie chciałem; bałem się, że wezmą za to moich rodziców.

Latem 1945 zaczęliśmy przygotowywać ucieczkę. Witold Łazoryk, inżynier lwowskich wodociągów i kanalizacji, zwrócił nam uwagę, że obok peresyłki przechodzi główny kanał burzowy (można byłoby tam jeździć samochodem).

Opracowaliśmy plan – mieliśmy przedostać się do burzowca rurą kanalizacyjną koło łaźni, a potem na pola zamarystynowskie. Ze Staszkiem Puchniewiczem sprawdzałem, czy plany kanałów pokrywają się z rzeczywistością. Nawiązaliśmy kontakty na zewnątrz, przygotowane już były ubrania, meliny, nawet broń. Mieliśmy uciekać 7 listopada – w rocznicę Rewolucji Październikowej, po wieczornej prowierce.

Czekałem na wyjazd rodziców. Ale matka bała się, że sam nie dam sobie rady. Czasami nadmiar macierzyńskiej czułości nie jest dobry.

15 sierpnia

[...] Wczoraj byłem jedynym w obozie, który otrzymał *peredacze*. Nie wiem, czy Mamusia wie o tym. Gdy pomyślę, że już tyle, tyle kilometrów zrobiła Mamusia dla mnie i tyle kilogramów, tyle ton już przeniosła Mamusia w swoich rękach, rozpacz i złość mnie ogarnia, połączona z pewnego rodzaju dumą – dumą, że codziennie, czy to z ust naszych, czy też z ust radzieckich słyszę słowa podziwu dla wytrwałości Mamusinej. Wiem także, że nie jestem sam, że za mną stoicie. [...]

19 sierpnia

[...] Pamiętam, kiedyś szedłem szosą z Lipnik i na asfalcie w Sokolnikach kilkaset metrów przed rogatką było napisane wielkimi literami „POLSKA”. Tak było za Niemców, dziś napis zatarły na pewno gąsienice czołgów. Dalszy ciąg...

Ale to symbole. Wartością rzeczywistą są tylko żywe serca ludzkie, mocne ręce i myślące mózgi – to najważniejsze. Jeżeli wrócą te miliony rąk i mózgów ze Wschodu, to jeszcze wygramy wojnę, nie powiem – zwyciężymy. Jeśli to nastąpi, to choćby nie wiem jak zatarły gąsienice czołgów ten napis, zostaną serca i mózgi, które zapamiętają.

Jest teraz ciemna noc. Księżyc zachodzi za czerń Kurtymowej Góry. Jeszcze niedawno stało tam niemieckie krematorium. I tylko takie niemądre pytanie ciśnie się na usta. Po co ci tam leżą na Kurtymówce i po co my w cieniu tej Kurtymówki siedzimy w sowieckim kryminale? Chyba musi być w tym jakiś sens, bo jakby w ogóle sensu nie było, to by było bardzo przykro...

29 sierpnia

[...] Dzisiaj miałem dzienną służbę. Koło południa przyszedł do mojej stacji na inspekcję Piotrowski, jak się potem okazało – razem z prokuratorem.

Po zdaniu raportu i objaśnieniu przeze mnie armatury stacji, Piotrowski spytał mnie o zdrowie, a następnie zwrócił się do prokuratora, zaznaczając, że jestem synem profesora uniwersytetu, i podkreślając moją działalność podczas okupacji niemieckiej, jak uratowanie życia 29 Żydom czy karmienie jeńców sowieckich. Prokurator zapytał mnie z kolei, za co mnie sądzono. Odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że za przynależność do polskiej organizacji podziemnej i pomoc okazaną jej w walce przeciwko agentom gestapo. Widziałem, że prokurator był, jak to mówią – w kropce. Zapytał mnie, czy wniosłem prośbę o *pomilowanie*. Gdy powiedziałem, że *poka niet* – radził mi wnieść podanie do Prokuratora Generalnego ZSRR. Kupić nie kupić... [...]

31 sierpnia

[...] Jestem już całkiem zdrow i wcinam, co się da. Przed chwilą jedliśmy kolację. Jako że była dosyć oryginalna, więc podam menu. Zupa pieczarkowa z pieczarek własnego chowu. Zbieram codziennie kilkanaście tych grzybków. Prima! Na drugie obiady – z mojej *peredaczy*. Równie prima! Dalej kanapki. Chleb z Winnik, jaja z Rawy Ruskiej, pomidory i ogórki ze Lwowa, a serek owczy aż z Kaukazu, z Armenii, skąd rodzice przywieźli jednemu z naszych towarzyszy *peredacze*. Na deser kawa z kaukaskimi plackami z miodem i lwowskim plackiem z jabłkami. Zaraz potem ktoś „odkrył” jeszcze knedle ze śliwkami w swojej *peredaczy*... [...]

Jak widzicie, z głodu nie mam zamiaru umrzeć. [...]

1 września

Kochani! I znów smutna rocznica, i znów myśl, że przetrwaliśmy długich sześć lat – zdaje się – całkiem niepotrzebnie; myśl tocząca duszę jak robak i zaciskająca pięści. I znów jasna myśl [...], że może ta jesień będzie już naprawdę polską, złotą... [...]

Dzisiaj był po południu koncert. Wyśmiałem się z wygłupiania ludzkiego za cały tydzień w tył i co najmniej tydzień naprzód. Wczoraj dawali nam jakiś film. W ogóle wychowują nas w duchu radzieckim, jak tylko mogą. [...]

8 września, godz. 8.00

Całe szczęście, że miałem dziś w nocy służbę, gdyż tylko dzięki temu nie jestem na etapie. Chodzą po kamerach, cholery, i kto dobrze wygląda,

tego biorą. Wzięli bardzo dużo naszych. [...] Będę się starał nadal dekować, czy mi się jednak uda, nie wiem.

9 września

W ciągu ostatnich dwóch dni większość mieszkańców obozu żyje „jak mysz na pudle”. Każdy spodziewa się lada chwila wyczytania na etap. [...] Najgorsze w tej całej bidzie jest to, że naczelnikiem od brania na etap został mianowany – po uprzednim uwolnieniu – człowiek, który jako aresztant spędził prawie rok w obozie. Taki wie, co i gdzie. Gorszego „milioniera” nie może być. [...] Strasznie mi już „dojadło” to chowanie się, wyczekiwanie na to, by Turek jakiś z uśmiechem zadowolenia przeczytał mi, że mam jechać tam, gdzie – jak oni mówią – „Pan Bóg cieląt nie pasie”. Niedoczekanie ich!

Jest teraz północ. Jak na złość jedna z licznie gnieżdżących się w pogettowych ruinach sów przyleciała na dach naprzeciwko i szceka już od pół godziny. [...] Wracają na któryś korpus ludzie z bani. Śmiesznie klapią kroki po bruku ulicy, a echo roznosi się po całym obozie. Za chwilę będą pędzić do bani następną kamerę. I tak w koło Macieju – przygotowują etap. Brrr... zimno się robi. [...]

Noc z 12 na 13 września

Kochani! I jeszcze piszę. Ale piszę także dlatego, że przede mną leżą czerwone liście klonu. Czerwone – takie same jak te, które leżały pod kołami auta, do którego wsiadałem po aresztowaniu. [...] Obok liści leży „Czerwony Sztandar” z dwunastego i kielbasa, którąście mi przysłali. Czy zauważyliście, że torebka, w której się ona znajduje, zrobiona została z kartek *Historii literatury polskiej*. Na jednej z nich widnieje wiersz, nie wiem czy, a zresztą to nie gra roli:

[...]

Szarawy tuman powstaje z pól,

Spadając szepce

Niech tobie powie twój wielki ból,

Dokąd człowieku masz iść!

Papier podarłem, kielbasę zjem jutro. Dobranoc.

14 września

Kochani! Ten etap, który odszedł wczoraj, to chyba najstraszniejszy z dotychczasowych. Poszło

ponad ośmiuset ludzi. W większości ruskich – naszych dziesięciu.

Między innymi pojechał pan Rewucki. Jeszcze przed wyprowadzeniem i objęciem przez konwój już go żuliki przebrały w jakieś szmaty. [...]

U mnie nic nowego. Po staremu siedzę na stacji i czytam. Aha. Proszę o parę książek, bo się zanudzę na śmierć. [...]

19 września

[...] Codziennie słyszy się, że ktoś poszedł do domu, że niesądzeni mają w najbliższych dniach wszyscy odejść. Prokurator wzywa codziennie do siebie dziesiątki niesądzonych w celu rozpatrzenia sprawy. [...]

Co do „amnestii”. *Primo* – nie wiem, czy będzie ona nas dotyczyć, czy tylko naszych oddziałów działających na terytorium znajdującym się obecnie pod polską administracją. *Duo* – w ogóle odnoszę się do tego, nie wiem zresztą dlaczego, z kompletnym niedowierzaniem. Proszę, byście i Wy w ten sposób się do tego odnosili. Po co mamy się tysiąc pierwszy raz oszukać, gdyśmy się już tysiąc razy oszukali. [...]

Noc z 21 na 22 września

[...] Czemuście tak szybko zapomnieli o mych ostatnich listach, że plotki, podkreślam – plotki potrafiły zbić Was z tropu, potrafiły zmienić zupełnie Wasze plany. Przecież i tak pozostać tu nie możecie, a w najgorszym wypadku lepiej po stokroć będzie, jak zostanę sam, aniżeli byśmy mieli wszyscy tu zostać. Bo gdy zostaniemy wszyscy [zamknięci] – nikt nam *peredaczy* tak samo nie poda, jakbym i sam został. [...]

Wrzesień

[...] Staram się o zajęcie „posady” palacza przy hajcu w bani. Robota przy gazowym palenisku byłaby bardzo dobra, a w każdym razie możliwa. Z kanalizacją stanowczo chcę zerwać, bo raz, że mi to już fest „nadojelo”, a po wtóre myślę, że są tysiące przyjemniejszych zajęć. [...]

Siedzę na belce w drewni, naokoło stopy wiórów i trzasek, pod ścianami kozły i flaszki. Poślam Wam znowu parę z nich. Napiszcie, czy potrzebne Wam litrowe monopolówki i słoiki, bo tutaj ich cała masa. Zabierają po korpusach podczas rewizji po to, by rzucić potem w błoto piwnicy. Deszcz leje i przez okienka piwnicy sący się senny blask. Piły też sennie śpiewają, raz cienko, raz



↑ Obóz na Pełtewnej, 3 października 1945. Od lewej: Stanisław Puchniewicz „Herman”, Mirosław Wigierski „Eryk”, Stanisław Czuruk „Zygmunt III”

grubo na olszowych pniakach. Nad głową krzątania – w wielkich kotłach gotują obiad. [...] I tak jeść nie będę... [...]

Wrzesień

[...] Proszę Cię, Zocha Kochana, bądź dobrą dla Rodziców i pomóż im się pakować. Od tego zależy bardzo dużo i bardzo mi na tym zależy. Gdy przyjdę niedługo – a wierzę w to mocno – chciałbym dopomóc w zakończeniu pakowania i zataskać do etapu – innego niż mnie już tyle razy czekał. Etapu na zachód! Pewnie, że przykro, żeśmy się przyzwyczaili, że to nasze – ale czy można tak dłużej żyć nerwami, czy można uczyć się i wykladać wyłącznie w obcym języku? Nie ma sensu. [...]

Wrócił dzisiaj z Dalekiego Wschodu mój rosyjski przyjaciel, o którym wspominałem parę razy – Jurek Zykw. Pojechał tym samym etapem co Witkowski i był nad Morzem Beringa przez miesiąc. Opowiada straszne, niewiarygodne wprost rzeczy. Sam z Irkucka postarał się o wysłanie go z powrotem do Lwowa. Mówi, że woli

tu siedzieć pięć lat niż w Buchcie Nachodce jeden dzień. Mówi, że tam są tysiące Polaków. [...]

4 października

[...] Jest teraz koło północy. Gaz jak zwykle syczy w rurach, poza tym cicho. Gdy jadłem kolację – parę okruszyn sera upadło na podłogę. Widocznie tymi okruszkami zwabiona myszka wylazła z kąta i spaceruje koło moich butów. Strasznie śmieszny zwierz. Ciekawe, w jakich okolicznościach obserwował myszy Walt Disney, zanim stworzył swojego Micki. W tej chwili, biorąc mnie widocznie za martwy przedmiot, wlaźła mi moja mysz na but – to już zakrawa na bezczelność! Ale widocznie wie bestia, że nic złego jej nie zrobię. Taka z niej śmieszna kulka się robi, gdy się skuli. Przypomina napuszonego wróbla, który wlaźł kiedyś do nas przez kraty na Łąckiego. Siadł na oknie i zaczął dziubać okruchy – to było śmieszne, ale jak wtedy ćwierkał ten wróbel, mieliśmy lzy w oczach. I oboje nawet nie przypuszczają, że są w kryminale!



FOT. ZE ZBIORÓW STANISŁAWA CZURUKA / OSRODEK KARTA

↑ Lwów, 1951. Matka przed naszym mieszkaniem (piętro z balkonem)

Żeby to tak na kwadrans w taką mysz się zmienić.

24 października

[...] Mimo tego, że amnestia jest coraz bliżej, optymistów jest coraz mniej. Wszyscy zaczynają zdawać sobie sprawę, że wszystkich puszcza, a nas [politycznych] zostawia. [...]

Pracuję znów na punkcie rozdzielczym gazu, bezpośrednio koło szpitala. Gdy przed paru dniami przeprowadzano remont w bani, przygnano do kąpieli w bani szpitalnej 3 tysiące nowo przybyłych [z Szopronu na Węgrzech]. Nigdy mi ani Rosjan, ani tym bardziej Niemców żal nie było, ale to, co się działo przed moją budką tej upornej nocy, nie da się opisać. Wystarczy powiedzieć, że w ciągu trzech godzin po przybyciu etapu straciło przytomność z powodu wyczerpania około trzydziestu ludzi, z których ośmiu tego samego dnia zmarło. [...]

Po przybyciu tego etapu obrabowano go. Zakwitł w obozie handel. Za dwie pajki chleba kupuje się płaszcz, za pajkę spodnie. Nie mogę w ogóle patrzeć na tych ludzi. Gdy na nich patrzę, wstydzę się, tak jak wstydziłem się, przechodząc

koło mordowanego getta, wstydzę się, że jestem człowiekiem.

Są tutaj wszystkie narodowości Środkowej Europy: Czesi, Niemcy, Austriacy, Węgrzy, Słowacy, Rumuni. Ale Europejczyków się nie widzi, są cisi, zakrzyczani, rozbici, zalani przez aresztowaną Azję. Dzisiaj na jednym z korpusów słyszałem taką rozmowę w języku rosyjskim:

- Wania, popatrz, niczego sobie ubranko.
- No tak, Miszka, ale w środku jest człowiek.
- Niczego – *wybrosim*. [...]

Wczoraj widziałem samochód ciężarowy wywożący z obozu kradzione rzeczy, a więc naczelnik i złodziejska banda to jedna sitwa.

Noc z 2 na 3 listopada

Jest znów noc, taka sama noc. I jutro będzie taki sam dzień, jaki był wczoraj. [...] I z góry wiem, że jutro mam dzień wolny – mogę spać, mogę czytać, mogę robić, co mi się żywnie podoba. Mogę w końcu wyjść na obchód milion razy obchodzonego obozu. [...] Nie powiem, żeby mnie jadła jakaś melancholia czy inny diabeł, ale to życie staje się strasznie nieciekawe, mało powiedzieć szare, czasami aż zupełnie bezbarwne. [...]

Na parę godzin przed planowanym terminem ucieczki, 7 listopada przeniesiono mnie do innego obozu; postarali się o to moi rodzice, których przecież nie mogłem o naszych planach powiadomić. Znalazłem się na Zubrzy – w obozie przy *promkombinacie*, gdzie produkowano buty, remontowano samochody i odzież dla wojska. Warunki tam były znośne, nie było głodu – dlatego rodzice chcieli mnie tu umieścić.

Ucieczka z *peresyłki* przebiegła zgodnie z planem, wydostało się 24 ludzi. Zaraz potem mnie i wielu innych więźniów pognano z powrotem na Pełtewną.

8 listopada

[...] Miałem służbę dzienną na stacji rozdzielczej. Około dwunastej zrobił się szucher, że będzie *szmond*, czyli przedświąteczna rewizja. Istotnie, za chwilę kazano wszystkim iść na kamerę. Ja jeden zostałem na posterunku, oczywiście obciążony danymi mi na przechowanie workami (dosłownie) noży, igieł, zapalniczek, zegarków i innych „trefnych” kawałków. Powtykałem to wszystko, gdzie się dało, oczywiście moje też, i z pewnego rodzaju *schadenfreude* spoglądałem na nieboraków, poddawanych na podwórzu przykrej operacji *szmondu*. Moją kontemplację przerwał wrzask Józka Piernika, który ni z tego, ni z owego wylazł mi pod pachą i krzyknął: „Stasiek, pierunie, biorą ciebie”. Co? Gdzie? Dlaczego? Dalej poszło piorunem. Za chwilę taskałem swój pinkiel w stronę bramy obozu, przed frontem swojej brygady. W pośpiechu nie zabrałem paska i nożyka. [...]

Zapakowali nas siedmiu mężczyzn i siedem kobiet do *czarnego worona*, czyli mówiąc po polsku do „suki” i niedługo potem byłem koło Teatru Wielkiego, a potem Sykstuska, Ossolińskich, plac Akademicki, Zyblikiewicza i na Stryjską. Przejeżdżając przez ulicę Frydrychów, widziałem przez dziurkę w ścianie wozu idącą ulicą Mamę. Nie mogła ona przypuszczać, że w tym czerwonym samochodzie z pięknym napisem *Miaso* jedzie Jęj syn w nieznanie.

Na Zubrzę przyjechałem w niedzielę około 16.00 i zaraz wpadłem w swoją pakę. Z początku wyglądało mi tu głupio i smutno. I faktycznie ranna i wieczorna *powierka* na dworze, znacznie ostrzejszy „reżim” niż na Pełtewnej, mała zona i ciągły wrzask sztyldwachów zza drutów: „*kuda idiosz?*” – na pewno do przyjemności nie

należy. Ale ja, jak chyba słusznie zauważyła któraś z naszych pań z Pełtewnej, należałem do tych, którzy „przywykli”, może zatem i tu „przywyknę”. [...]

2 grudnia

[...] Nie wiem, czy będę miał możliwość w jakiś sposób się jeszcze z Wami porozumieć, dlatego postanowiłem napisać list. Od wtorku jestem na Pełtewnej – czuję się niezłe w gronie kolegów. Mamy osobne kamery Polaków i dni dzielące nas od etapu spędzamy na pieśniach i na modlitwie. Tak, Mamus, źle i smutno się stało, ale wiem, że inaczej nie można było. [...]

9 grudnia

Kochani moi! U nas bez zmian. Siedzę na kamerze etapowej. Jest nas 126 samych Polaków – to całe szczęście w nieszczęściu. Coraz mniejsza nadzieja, bym pozostał – już dziś zapisują, kto nie ma ciepłej odzieży. [...]

Nie wiem, o czym pisać, choć tyle słów ciśnie się na usta. Chciałbym Wam jeszcze dużo, dużo powiedzieć i jakoś tak głupio... Nie chcę uwierzyć, że jadę, że po słonecznym lecie przyszła ta strasznie bolesna zima. [...]

17 grudnia

Najukochańsi! Jest to prawdopodobnie ostatni mój list stąd do Was. Nie wiem w ogóle, czy dojdzie on do Waszych rąk. Przed chwilą po raz pierwszy przeczytano mnie na etap. [...] *Pere-daczy* mi już nie wysyłajcie, chyba że dam znać, że zostałem.

Całuję Was, Kochani Rodzice, i żegnam. Żegnam – może na długie lata, może tylko na parę miesięcy. Żegnam z wiarą, że Bóg Wszchemogący pozwoli mi do Was powrócić i ucałować Wasze drogie ręce. Całuję Was serdecznie z tą także wiarą, że się nie dacie... że już w parę dni po moim odjeździe zobaczycie się z Zochą [za Bugiem] i ucałujecie ją ode mnie. Pamiętajcie, że musicie się z nią zobaczyć i po to, by tysięcy, tysięcy mych kolegów ojczyzna nasza zechciała zażądać. Pamiętajcie, że musi żądać. Inaczej przepadniemy wszyscy. Zanieście te słowa premierowi Mikołajczykowi i powiedzcie, że czekamy na jego dalsze rozkazy. Ostatnim jego rozkazem było oddanie list członków AK w ręce kierowników NKGB⁴. [...]

Pamiętajcie, bądźcie ostrożni i spieszcie się. [...] W wieczór wigilijny będę z Wami, Kochani,

choć może już przejadę Zbrucz; będę zawsze myślami i sercem przy Was. Czarny chleb zastąpi nam w tym roku opłatek. Przesyłam Wam serdeczne życzenia spokojnych Świąt, zdrowia i do-czekania lepszego jutra, w które wierzę.

Nie wyjechałem, jeszcze raz się udało. Następnym roku nie przyniósł zmian.

Ojciec pracował na UJK jako profesor zwyczajny literatury rosyjskiej. Aż do 1946 roku, kiedy to został aresztowany pod zarzutem, że jest delegatem rządu. Teraz się przekonuję, że rzeczywiście pełnił tę funkcję od 1944 roku; sam ojciec nic mi nie powiedział.

Więziony był dwa miesiące. Znając doskonale język rosyjski, mógł się wyklamać; wypuścili go, by uciekł. Przyjechał do Krakowa, wykladał literaturę rosyjską na Uniwersytecie Jagiellońskim. W liście do swojej siostry, do Katowic, napisał: „To dla mnie straszne, droga Jadziu, ale ja już tego języka uczyć nie potrafię...”. Zmarł w maju 1950.

Matka została we Lwowie sama. W naszym mieszkaniu zrobiono przedszkole i mama zamieszkała w pokoiku służącej koło kuchni. Udało się jej przyjechać do Polski dopiero w 1958 roku.

Byłem już pod stałym nadzorem, nie wychodziłem z obozu. Oni wiedzieli, że ojciec wyjechał i ja przy lada możliwości ucieknę. Udaowało mi się jeszcze pozostać we Lwowie – to dzięki mamie i temu, że już znałem ludzi, kontynuowałem różne kombinacje.

Ponownie dostałem się na Zubrę, spędziłem tam rok. Potem przerzucono mnie do byłego klasztoru karmelitów na Persenkówce. Pracowałem tam jako ślusarz wodociągowy. Warunki były znośne, ale mnie pilnowano. Stamtąd już raczej nie można było uciec.

Sądziłem, że ojciec nadal będzie pisał do Stalina i skrócą mi wyrok do pięciu lat, tak jak niektórym.

17 marca 1946

[...] Naprawdę nie wiem, o czym Wam pisać. Po cóż napiszę o tych koszmarnych etapowych nocach i jeszcze koszmarniejszych dniach, po cóż będę pisał o handlu żywym towarem, po cóż będę pisał o życiu takim jak ludzie – złym i brudnym... Napiszę Wam jedno słowo, o którym dobrze wiecie; ale nie wiem, czy zdajecie sobie sprawę, co oznacza ono dla mnie. To słowo brzmi: jestem!

a znaczy: zwyciężyliśmy. Może jeszcze nie całym, może jeszcze między dniem dzisiejszym a tym wymarzonym, słonecznym jutrem leży tysiące niebezpieczeństw i niespodzianek – ale droga jest wolna. [...]

11 sierpnia 1948, w moje 25 urodziny wywieziono mnie ze Lwowa. Zabrano wtedy wszystkich politycznych. Jechaliśmy wagonami cielęcymi, pociągami – do Buchty Wanino. Stamtąd przyплыliśmy na Kołymę okrętem, w listopadzie. Zimą spędziłem w Magadanie, zachorowałem na szkorbut. W maju przerzucono mnie do Niżnego Siemczanu. Pracowałem jako górnik dołowy w kopalni im. Łazo – do 4 maja 1954. W grudniu 1955 przyjechałem do Polski.

Stanisław Czuruk

RELACJĘ WSPÓLCZESNĄ PRZYGOTOWAŁA
Małgorzata Straszczyńska

¹ Feliks Dobrowolski „Zygmunt I”, który wydał całą naszą grupę i za to został zwolniony z więzienia.

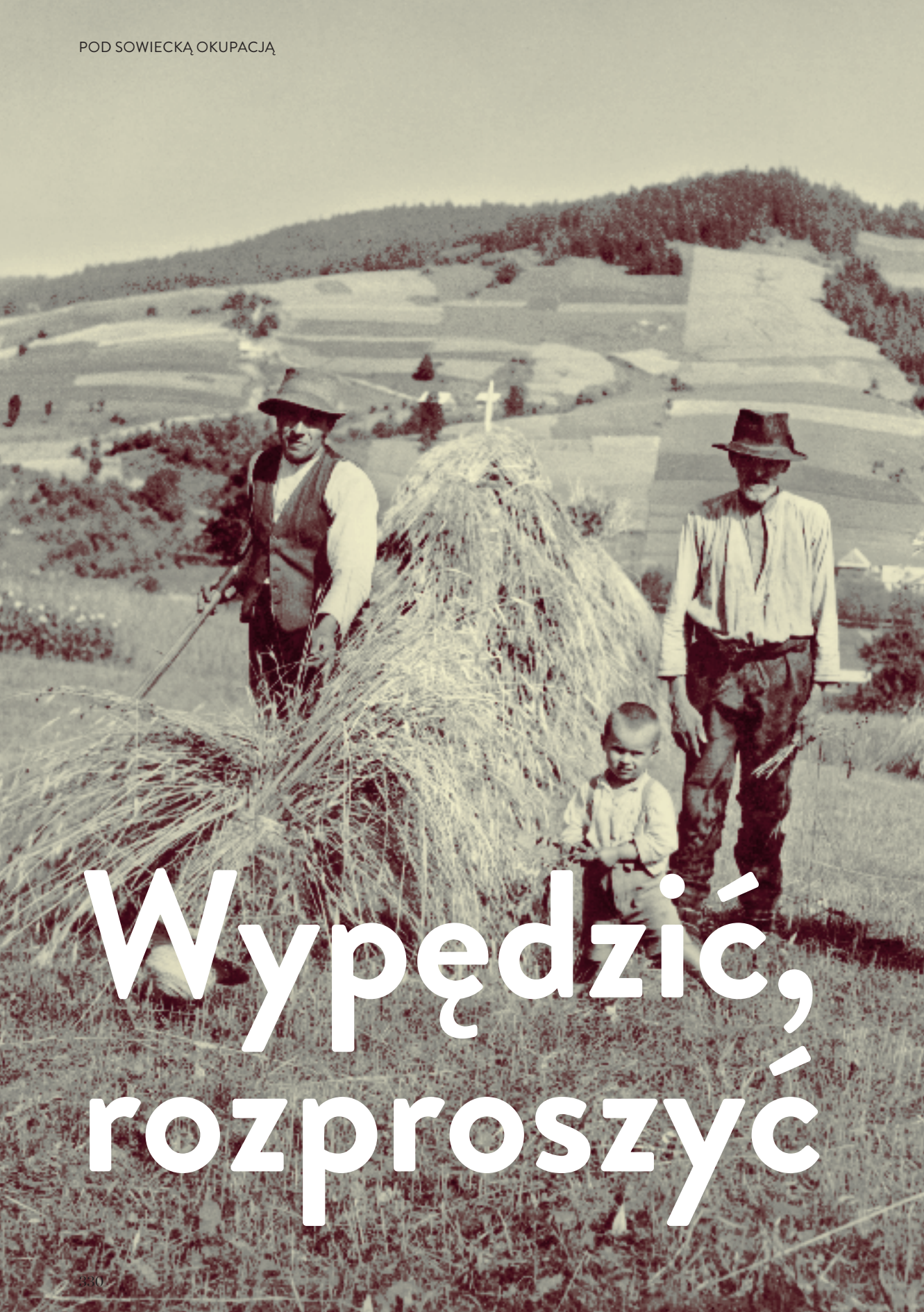
² Andrzej Niezabitowski przebywał w łagrach Uralu i Workuty, wrócił do Polski w 1955 roku.

³ Zofia Kossak-Szczucka była moją matką chrzestną, nazywałem ją „ciocią”. Zatrzymywała się u nas podczas wizyt we Lwowie.

⁴ Chodziły takie słuchy – że Mikołajczyk poszedł na współpracę z komunistami. Wydawało się nam, że skoro pojechał do Moskwy, to nie mogło być inaczej.



↑ Niżnyj Siemczan, Kołyma, lato 1955. Stanisław Czuruk po uwolnieniu z łagru przed restauracją, w której pracował najpierw jako nocny stróż, potem jako kucharz. Zdjęcie zrobione w czasie tzw. białej nocy, około godziny pierwszej



Wypędzić, rozproszyc



Maria Buczyło

Umowy o wymianie ludności, podpisane przez PKWN i rządy Ukrainy, Białorusi (9 września 1944) oraz Litwy (22 października 1944), zastrzegają, że podczas przesiedleń żaden przymus – pośredni czy bezpośredni – nie może być stosowany. Akcja przesiedleńcza Ukraińców z Polski do Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej rozpoczęła się 15 października 1944 i trwała do 2 sierpnia 1946, a jej przebieg dowiódł, że zastrzeżenie to było fikcją.

Polskie władze „zachęcały” Ukraińców do wyjazdu – pozbawiając ich prawa do ziemi parcelowanej w ramach reformy rolnej, likwidując szkolnictwo ukraińskie i Cerkiew greckokatolicką. Dodatkową „zachętą” stały się antyukraińskie akcje przeprowadzane przez podziemie polskie. W ramach akcji deportacyjnej do USRR przesiedlono w sumie około 488 tysięcy Ukraińców, były ofiary śmiertelne – wojsko miało rozkaz strzelania do każdego, kto uciekał, żołnierze palili zabudowania, bili mieszkańców, gwałcili kobiety, kradli mienie, czasem podszywając się pod banderowców.

Nieudane próby kontynuowania deportacji do USRR, podejmowane przez polskie władze już po wygaśnięciu umowy, spowodowały, że w Sztabie Generalnym Wojska Polskiego jesienią 1946 zaczęto rozważać wariant przymusowego wysiedlenia ludności ukraińskiej na tzw. Ziemie Odzyskane. Na początku 1947 roku przygotowania do akcji były zaawansowane.

W lutym 1947 zastępca szefa Sztabu Generalnego WP generał Stefan Mossor pisał w sprawozdaniu dla ministra obrony narodowej marszałka Michała Żymierskiego: „Przy rozważeniu sytuacji na terenie całego Okręgu Krakowskiego nasunął się problem resztek ukraińskich. [...] wydaje się rzeczą konieczną, aby na wiosnę przeprowadzić energiczną akcję przesiedlenia tych ludzi pojedynczymi rodzinami w rozproszeniu na całych Ziemiach Odzyskanych, gdzie szybko się zaasymilują”.

27 marca 1947 na posiedzeniu Państwowej Komisji Bezpieczeństwa generał Mossor przedstawił plan operacji. Następnego dnia w rejonie Jabłonki w powiecie leskim zginął w zasadzce UPA wiceminister obrony narodowej generał Karol Świerczewski. Kilkanaście godzin później, na specjalnie zwołanym posiedzeniu Biura Politycznego KC Polskiej Partii Robotniczej, postanowiono: „W ramach akcji represyjnej wobec ludności ukraińskiej [...]: 1. W szybkim tempie przesiedlić Ukraińców i rodziny mieszane na tereny odzyskane [...], nie tworząc zwartych grup i nie bliżej niż 100 km od granicy [zachodniej]”.

Śmierć generała Świerczewskiego stała się doskonałym pretekstem do podjęcia akcji wysiedleńczej, która rzekomo miała zlikwidować Ukraińską Powstańczą Armię, a w istocie – jak to zostało określone w *Projekcie organizacji*

akcji specjalnej „Wschód” (pierwotna nazwa akcji „Wisła”) z 16 kwietnia 1947 – „ostatecznie rozwiązać problem ukraiński w Polsce”. W tym czasie na terenach zamieszkałych przez ludność ukraińską działało niespełna półtora tysiąca partyzantów UPA (nie licząc cywilnej siatki OUN). Po zakończeniu deportacji do USRR ataki partyzantów ukraińskich na oddziały Wojska Polskiego i posterunki milicji były rzadsze, wyraźnie malały straty ponoszone przez polską ludność cywilną (w 1947 roku zginęło w sumie 16 osób).

Akcja „Wisła” rozpoczęła się 28 kwietnia 1947 o godzinie 4.00 (choć już wcześniej, z rozkazu generała Mossora, w wielu miejscowościach odbywały się masowe aresztowania Ukraińców, podejrzanych o współpracę z ukraińskim podziemiem). Niejednokrotnie, zwłaszcza w pierwszej fazie, akcja miała brutalny przebieg.

Ówczesna propaganda skutecznie zadbała o poparcie społeczne dla wysiedlenia Ukraińców: „I skrytobójców, bandytów, i katów narodu polskiego z UPA nie łączymy przez chwilę z narodem ukraińskim. Widzimy w nich to, czym byli i są: obcych najmitów i rezunów faszystowskich. Resztki nędznej fali, które historia wyrzuciła na brzeg bezsilności. Bankrutów, którzy [...] usiłują rozpaczliwie przeszkodzić przesiedleniu pozostałych jeszcze w Polsce Ukraińców” („Życie Warszawy”, 29 marca 1947).

Iwan Biszko (ze wsi Nietreba)

Opowiadał mi dziadek, że kiedy mieszkali tu jego pradziadowie, wieś jeszcze nie miała nazwy. Pewnego wiosennego dnia jeden z mieszkańców zasadził w chacie bób. Bób rósł i rósł, aż wyrósł pod sufit. Człowiek ten zrobił dziurę w strzesze. Bób rósł dalej, aż prawie sięgnął nieba. Ludzie ze wsi byli bardzo ciekawi, co jest w tym niebie. Kazali jakiemuś młodemu chłopcu pójść i sprawdzić. Ten zaczął wspinać się po bobie. Kiedy był już bardzo blisko nieba, wyciągnął rękę i chciał go dotknąć, ale ręka okazała się za krótka. Wtedy zawołał do czekających na dole ludzi, żeby mu podali drabinę. Ludzie zaczęli podawać mu drabinę, ale wtedy bób zaczął się chwiać, a chłopak – tracić równowagę. Ze strachu wykrzyknął: „*Ne treba, ne treba...*”, i tak właśnie mieszkańcy nazwali swoją wieś. [...]

Po raz pierwszy [po wysiedleniu] przyjechałem do swojej rodzinnej wsi w roku 1965. Kiedyś znałem tutaj każdą ścieżkę, każde krzywe drzewo. Przez pierwsze minuty nie wiedziałem, na co patrzeć. Łzy napływały mi do oczu, przez dłuższy czas nie mogłem wymówić ani słowa. Zaozaryli naszą piękną Nietrebę i zasadzili las... [9]

Petro Kowal (z Miękisza Nowego)

W maju 1946 zaczęło się wysiedlenie na Ukrainę. Okoliczne wsie i przysiółki naszego Miękisza Nowego stopniowo pustoszały. Zostawały po nich zgliszcza. Przenosiliśmy się z mamą z przysiółka do przysiółka, w końcu zatrzymaliśmy się w Zagrodach, gdzie było bezpieczniej, bo mieszkano tam kilka polskich rodzin. [...] Żyliśmy w ciągłym strachu. Nie mogliśmy być pewni jutra. Nocami przychodzili z lasu nasi partyzanci, trzeba było im dać

chleba i mleka, mimo że mogła nas za to spotkać straszna kara. Ukraińców było coraz mniej. [...]

Którejś niedzieli [w końcu czerwca 1946] usłyszeliśmy strzały, wulgarnie krzyki i płacz kobiet, dochodzące nas z końca przysiółka. Nad domami uniosły się kłęby czarnego dymu. [...] Do naszego domu też wtargnęli żołnierze [polscy], zaczęli wyrzucać wszystko ze skrzyń. Mama nie chciała wypuścić z rąk ostatniej sztuki dziecięcej bielizny, żołnierz uderzył ją i pchnął na ścianę. [...] Wybiegłem z krzykiem na podwórze, zobaczyłem, że ogień jest coraz bliżej naszego domu. [...] Kiedy żołnierze skończyli rabunek, przed naszą chatą ustawiła się kolumna pustych wozów. Na pierwszym siedział wysoki oficer: „Zbiórka! Koniec akcji! A teraz, chłopcy, jedziemy na wesele!”. I ruszyli w kierunku wsi Ryszkowa Wola.

Tego dnia odbywało się wesele naszej kuzynki Marijki, która niedawno wróciła z robót przymusowych w Niemczech. [...] Nagle dom, w którym miała miejsce uroczystość, otoczyli żołnierze i podpalili pociskami zapalającymi. Pobili pana młodego i kilku gości, którzy nie zdołali uciec; zakrwawionych rzucili na jeden z wozów, gdzie już leżeli schwytni w Zagrodach. Kiedy mieli odjeżdżać, nagle na podwórzu pojawiła się panna młoda w białej sukni, z welonem na głowie. Błagała, żeby wypuścili jej męża Iwana. Żołnierze roześmiali się, związali jej sznurem ręce i przywiązali do ostatniego wozu. Dziewczyna początkowo biegła, potem upadła, wlekli ją po ziemi. Żołnierze strzelali do niej, w końcu odciepli ją od wozu i martwą zostawili na drodze.

Mama poszła tam i wszystkiego się dowiedziała. Marijka wciąż leżała na drodze w zakrwawionej sukni; wokół same zgliszcza, po których chodziła, jak w obłędzie, babcia Marijki.

Żniwa minęły spokojnie. [...] Zbliżała się zima, wojsko szukało powstańczych kryjówek. [...] Wśród ludzi narastał niepokój. Mama zaczęła suszyć suchary. [6]

Anna Mryczko-Kulczycka (z Nowego Sioła)

Po wyjeździe ludzi na Ukrainę Nowe Sioło było jak martwe. Niedługo po tym wieś spalono (te chaty, które stały puste). We wsi założyli polską milicję, do której poszli wszyscy młodzi Polacy. Co wieczór przychodzili pod nasze okna, podglądali, czy nie ma naszych z lasu. [...] Po półtora roku znowu przyszło wysiedlenie, ale tym razem już na zachód. [9]

Osyp Romanyk (z Wańkowej)

Po ciężkiej zimie dość wcześnie przyszła ciepła wiosna, a z nią coraz więcej polskich żołnierzy. W powietrzu wisiał jakiś niepokój. W sąsiednich wsiach nasilały się oblawy, w naszej wsi zakwaterowało dużo wojska. Ponieważ nasza chata była nowa, jeszcze częściowo nieskończona, rozkazano nam zwolnić pokoje i kuchnię. Ulokował się w nich przesiedleńczy sztab, a my z chorą mamą zamieszkaliśmy w dwóch niewykończonych izbach. Do sztabu przyprawiano różnych ludzi na przesłuchania. Żołnierze znęcali się nad nimi w stodole. Przez szparę podglądałem, co się tam działo. A działy się przerażające rzeczy. Kazali dziewczętom podnosić ręce do góry i trzymać w ten sposób bardzo długo. Na podwórzu leżało dużo witek leszczynowych, przygotowanych do otynkowania domu; żołnierze brali te witki i siekli nimi ludzi podczas przesłuchań. Rozlegały się straszne krzyki, jęki. Każdego ranka moja siostra Rozalia musiała tam iść i zmywać z podłogi krew, a często też kał. [10]

Anna Kuryj (z Trzcianca)

Na początku kwietnia 1947 Wojsko Polskie, które stacjonowało w Birczy, okrążyło Trzcianiec. Do pomocy wzięli sobie miejscowych Polaków, a także mieszkańców Wojtkówki. Tego dnia miały miejsce walki pomiędzy Polakami a naszymi partyzantami, ranni byli po obu stronach. Powstańcy, zobaczywszy, że Polacy mają przewagę, wycofali się do lasu, zostawiając nas na pastwę żołnierzy. Dostaliśmy rozkaz zawiezienia rannych do Birczy. Pojechałam tam razem z ojcem. Zaprzęgliśmy do wozu woły, bo konie dawno już nam zabrano. Zawieźliśmy rannych do kwatery wojskowej i tam zabrali nam wóz z wołami. Nas zatrzymali – że niby należymy do UPA i zostaliśmy schwytni podczas potyczki w Trzciancu.

Zamknęli nas w piwnicy i strasznie bili. Na zmianę, mnie i tatę. Kiedy byłam już skatowana, zabrali mnie do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie też odbywały się przesłuchania. Cała podłoga była pokryta krwią. Kazali mi ją umyć, ale nie miałam siły. Przyszedł jakiś oficer, chwycił mnie za włosy, przygniół mi twarz do podłogi i powiedział: „Zlizuj tę banderowską krew, banderówko!”. [10]

Roman Bamburak (z Trzcianca)

Dziewczęta chowały się przed żołnierzami, gdzie tylko mogły. A jeżeli któraś wpadła im w ręce, to mówili, że znaleźli ją na strychu w sianie i że to

banderówka, bo się ukrywa. Straszili sądem, a potem zawozili do sztabu i tam ze schwytaną dziewczyną robili, co tylko chcieli. [10]

Roman Chomiak (z Wawrzki)

Przyszli do mojego domu polscy żołnierze [...]. Byli to: porucznik Lewandowski, porucznik Jerzy Twardowski, sierżant, plutonowy i jeszcze paru szeregowców. Prosilili o jedzenie i kobiety dały im jeść; a może macie co wypić – pytali; kobiety dały im pół litra wódki. Jak sobie wypili, porucznik powiedział do mojej żony: „Niech się mąż do nas zgłosi, mamy do niego sprawę”. [...]

Na drugi dzień [...] przychodzę na plebanie [...]; na środku była przygotowana ława. [...] Porucznik ryknął: „Czemuś, ukraińskie bydlę, nie wyjechał do Rosji?!”. Sierżant [...] uderzył mnie trzy razy bardzo mocno w pierś, zatoczyłem się, a on złapał mnie za włosy i przewrócił na ławę. [...] Trzymał mnie za włosy, dwóch innych chwyciło za ręce, a porucznicy Lewandowski i Twardowski bili drewnianymi pałkami po całym ciele. [...] Strasznie krzyczałem [...], więc zapchali mi usta szmatą i przydusili, wtedy zemdlałem [...]. Oucili mnie i znowu zaczęli bić [...]. Twardowski tak się zmęczył, że aż rzucił się na leżankę, a jego miejsce zajął inny; znowu straciłem przytomność, polali mnie wodą. [...] To było w niedzielę, w cerkwi odbywało się nabożeństwo, a na plebanii mordowano niewinnego człowieka.

Przyszedł po mnie żołnierz, dał mi dwa wiadra i zaprowadził do studni po wodę. [...] Nabrałem wody i postawiłem wiadra obok studni, a wtedy żołnierz krzyknął: „Skurwysynu, będziesz stawał wiadra w błocie?!” – i uderzył mnie w twarz [...]. Inny żołnierz powiedział do mnie: „Nie było w Polsce dobrze i nie będzie. Co te cholery wyprawiają z ludźmi!”. [9]

Irena Oleszkewycz (z Żernicy)

Tuż przed przesiedleniem w 1947 roku w naszej wsi ciągle miały miejsce napady. Pamiętam rozlagające się zewsząd płacz i krzyki ludzi. Pamiętam, jak bili naszą mamę. Zdarli z niej spódnicę i po nagim ciele chłotali drutem. Na naszych oczach bili ją i wykrzykiwali: „Ty banderówko!”. My, dzieci, zanosiliśmy się strasznym płaczem. Przepędzili nas, a mamę zabrali do chaty. [10]

Rostysław Ludkewicz (z Bóbrki)

25 kwietnia 1947. Tego dnia uczniowie jak co dzień poszli do szkoły. Dyrektor ogłosił, żeby po

trzeciej lekcji wszyscy zebrali się na podwórzu. Kiedy się zeszedliśmy, dyrektor poinformował nas, że jutro i w poniedziałek 28 kwietnia nie będzie lekcji. Powiedział również, żeby ci, którzy nie mieszkają z rodzicami w Lesku, pojechali do swoich domów. Zakończył słowami, że dziś już więcej lekcji nie będzie i możemy iść. Wróciłem na stację, zjadłem obiad i cały czas zastanawiałem się, dlaczego odwołano zajęcia. Myślałem też, czy jechać do Bóbrki do rodziców dziś czy następnego dnia rano. Zdecydowałem, że pojadę rano.

W sobotę wczesnym rankiem wyruszyłem do domu. Od razu opowiedziałem rodzicom o zarządzeniu dyrektora szkoły. Zaczęliśmy się zastanawiać, co to może oznaczać. Tego dnia była piękna pogoda, więc mimo zmartwień poszedłem wykapać się w Sanie. Kiedy wróciłem znad rzeki, w domu zastałem płaczącą matkę. Okazało się, że polscy żołnierze patrolujący nasze wsie zabrali mojego ojca. Natychmiast wybiegłem z domu w kierunku, w którym odeszli. Dostrzegłem ich – z przodu szedł mój ojciec w sutannie (był grekokatolickim księdzem). Byli już za daleko i nie mogłem ich dogonić.

Wróciłem do mamy. Zastanawialiśmy się, czy ojciec będzie na jutrzejszej mszy. Nie wrócił. Ludzie zebrali się w cerkwi, pomodlili się i poszli do domów. [10]

Anna Huczak (z Tworylnego)

Kilka dni przed wysiedleniem wezwali tatę i około siedmiu mężczyzn z Tworylnego, żeby wyrobili sobie dowody osobiste. Pojechali do Sanoka furmanką i już nigdy do wsi nie wrócili. Nikt nie wiedział, co się z nimi stało. Dopiero rok później dowiedzieliśmy się, że wszystkich aresztowano, strasznie skatowano w sanockim więzieniu i po jakimś czasie wywieziono do obozu w Jaworznie. [...]

Ojciec był wysokim, silnym mężczyzną. Ważył ponad 80 kilogramów, a jak wrócił z obozu – około 30. W styczniu 1948 pojechałam do Babiaku, gdzie osiedlono moją mamę. Wchodzę i widzę tatę. Siedział jakiś taki malutki, chudziutki, sama skóra i kości. Na mój widok próbował coś powiedzieć, ale ja nie byłam w stanie zrozumieć ani jednego słowa. Kiedy podeszłam bliżej, zobaczyłam, że ma wybite wszystkie zęby. [9]

Iwan Szytnio (z Tworylnego)

Na dwa dni przed przesiedleniem przyszło wojsko i spędziło wszystkich mężczyzn do sołtysa.



↑ Rzeszowszczyzna, 1947. Pacyfikacja wsi podczas akcji „Wisła”. Żołnierze Wojska Polskiego z Jednostki Wojskowej nr 6

Kazali im kopać okopy, budować bunkry, niby na wypadek ataku UPA. Potem zapędzili ich do Sanu i kazali czołgać się w lodowatej wodzie. „Padnij! Powstań!” – i tak bez końca. Ruscy po drugiej stronie Sanu patrzają, co się tam dzieje; baby lamentują, zawodzą [...].

Trzymali tych chłopców cały dzień i noc, w końcu puścili do domu. A następnego dnia obwieścili, że będą nas wysiedlać. Na zebraniu u sołtysa powiedzieli, że za dwie godziny musimy opuścić domy – i koniec. Jeśli nie wyniesiemy się z własnej woli, będą palić wieś. [9]

Anna Huczak (z Tworylnego)

Akurat miałam piec chleb, kiedy do naszej chaty wszedł żołnierz i kazał iść na zebranie do dworu. [...] Po jakimś czasie przybiegł mąż i mówi, że za dwie godziny ma być wszystko spakowane i mamy opuścić wieś. Za dwie godziny! A tu nic nieprzygotowane, ja dopiero rozczyniłam ciasto na chleb. [9]

Helena Szytnio (z Tworylnego)

Boże! Niczego nie zdołaliśmy zabrać. Ten, kto miał wóz i konie, jeszcze coś uratował. A my? Konia nie mieliśmy, bo zabrali nam partyzanci, więc wzięliśmy tylko to, co zdołaliśmy udźwignąć

na plecach. A ile można włożyć w tobolek? [...] Zabraliśmy ze sobą tylko dwie krowy. Żołnierze kazali nam sypać zboże do worków i zostawić na podwórku pod domem. Mówili, że przyjadą samochody wojskowe i wszystko nam przywieżą, ale niczego nie przywieźli. Albo zabrali sobie, albo wszystko spłonęło. [9]

Iwan Szytnio

Spędzili nas na plac koło dworu. Potem szliśmy przez góry, drogą na Terkę. Część ludzi uciekła przez San do Ruskich. [...]

Tworylne spalili jeszcze tego samego dnia. Niby dlatego, żeby partyzantka ukraińska nie mogła sobie robić zapasów z pozostawionego dobytku. Dochodziliśmy do Studennego, patrzymy, a nasza wieś już się pali. Boże! Takie łuny na niebie były! [9]

Mychajło Maruszczak (z Arłamowa)

Do Arłamowa polscy żołnierze przyjechali 1 maja 1947. Do naszej wsi zaczęli zganiać mieszkańców Jamny Górnej. W domu, gdzie znajdował się sztab, w dzień odbywały się przesłuchania, a w nocy ludzie siedzieli w wykopanych przez siebie w ziemi dołkach, żeby szybciej schodziła z nich opuchlizna spowodowana biciem.



↑ Żołnierze Wojska Polskiego w lasach koło Duszatyna podczas akcji „Wisła”

Po kilku dniach tortur wszystkich zabrali do więzienia, a później do Jaworzna. Sołtys Jamny, Grabowski – Polak – po powrocie z Jaworzna wyznał się polskiego pochodzenia, nie chciał nawet rozmawiać po polsku.

Pewnego dnia do naszego domu przyszło pięciu uzbrojonych ludzi z tryzubami na czapkach. Pozasłaniaли okna i podniesionymi głosami zażądali, żebyśmy przygotowali kolację dla czterdziestu osób – „dla naszych powstańców z UPA”. Jednak zamiast *szukujcie* powiedzieli *szachujcie*, więc zorientowaliśmy się, że to Polacy przebrani za naszych. Zaczęłam im wyjaśniać, że jesteśmy biedni, że nie mamy jedzenia dla siebie, a coś dopiero dla czterdziestu osób. W końcu przyznali, że są polskimi żołnierzami, a jeden nawet ma stopień porucznika. Powiedzieli też, że nasi sąsiedzi, Dmytro i Pelagia, dali im butelkę samogonu i nasmażyli jaj, a „wtedy my im tak dali, że ich jutro nie poznacie”. Rzeczywiście, ledwo można ich było poznać, tak byli spuchnięci od bicia.

Dwa dni później już nas wysiedlano. [6]

Anna Małanczak (z Krzywej)

Od nas zabrali ojca Dmytra i dwóch braci, Wasyla i Mychajkę. Ojciec miał 62 lata i był inwalidą, miał

sztynną nogę, chodził o kuli, ale nie pozwolili mu jej zabrać. Aresztowali wielu mężczyzn i gdzieś powieźli.

Żołnierze przyszli znowu w pierwszych dniach czerwca z krzykiem, że mamy się wynosić. Mama strasznie płakała, my też – były nas trzy siostry. A tutaj już trzeba wychodzić z chaty, bo poganiają. Mama zdjęła ze ściany ikonę, zebrała trochę ubrań – to wszystko zawiązała w tłumoczek, który zrobiła z pierzyny. Obeszliśmy stół, całując go i zalewając się łzami. Wyszliśmy na podwórze i płakałyśmy coraz głośniejsze, bo porzuciłyśmy nasz dom i nasze góry, najlepszą sąsiadkę – cerkiewkę, która od teraz miała zostać sama, opuszczona. Nie mogliśmy zabrać ani psów, ani kotów, ani kur. Jeszcze dziś widzę psa przywiązanego do budy i słyszę jego wycie. [10]

Ks. Wasyl Hrynyk (z Hańczowej)

W Zielone Świątki w 1947 roku wracałem z Ropok do Hańczowej. [...] Z samolotu zrzucano ulotki po polsku, przeznaczone dla naszych ludzi, żeby bez paniki przygotowywali się do wysiedlenia. Wszystkich, którzy nie wyjadą, polskie władze będą traktować jak banderowców i oddadzą pod sąd. Ludzie

byli bardzo przygnębieni. Przychodzili do mnie po radę, prosili, żebym był z nimi do końca. Zgodziłem się i byłem z nimi tak długo, jak to było możliwe, lecz nie mogłem zostać z nimi do momentu samego wysiedlenia [...].

Jeszcze przed wysiedleniem ks. Jarosław Hrebieniak, wykonujący obowiązki dziekana dziekanatu grybowskiego [Cerkwi greckokatolickiej], zwrócił się do mnie z prośbą, abym udał się do Warszawy w celu uzgodnienia z kardynałem [Augustem] Hlondem pewnych kwestii kościelnych zgodnie z rozporządzeniami Stolicy Apostolskiej. [...] Umówiłem się ze szwagrem księdza Hrebieniaka, Kyryłem Stawickim, że przyjedzie po mnie na stację do Grybowa. Przyjechałem w umówionym terminie, ale Kyryła nie było. Domyśliłem się, że wysiedlili już Banicę. [...]

Poszedłem do miasta, [...] a tam polskie wojsko konwojuje wozy z naszymi wysiedleńcami.

Przy jednej z kolumn nie było strażników, podszedłem zatem do ludzi i zacząłem ich wypytywać. [...] Dowiedziałem się, że mieszkańcy Banicy czekają już za drutami na transport w nieznaną. [...] Postanowiłem wrócić do Hańczowej [...]. Po drodze dowiedziałem się, że Hańczowa i okoliczne wsie zostały już wysiedlone, a ludzie czekają w punkcie zbornym w Gorlicach. [9]

— Maria Szyroń (z Bednarki)

Wojsko od kilku dni przyjeżdżało do Bednarki. Rozeszła się wiadomość, że w górach już wysiedlają. Nie wierzyliśmy, że i nas to spotka. Sądziliśmy, że robią to za karę, więc dlaczego nas miałiby wysiedlić z ojcowizny... [8]

— Hryhorij Prytuła (z Wierzbicy)

5 czerwca do Wierzbicy przyjechało polskie wojsko. [...] Żołnierze pytali ludzi o sotnię „Szuma”



FOT. JAN GERHARD. ARCHIWUM JERZEGO TOMASZEWSKIEGO

← Wiosna 1947. Ukraińiec zmuszony przez żołnierzy polskich do zjedzenia kartki z „tryzubem”

→ Maj 1947. Polscy osiedleńcy w poukraińskim gospodarstwie (Jan Socki drugi od prawej oraz jego syn) w rozmowie z zastępcą komendanta punktu załadunkowego w Komańczy (poza kadrem z lewej strony)



ROT.IPN

[Jana Szymańskiego]. [...] Aresztowali czterech mężczyzn z przysiółka Wola i dwóch z Wierzbicy, po czym odjechali do Korniów. [...] 6 czerwca o świcie w Wierzbicy oblawa. Polscy żołnierze dowiedzieli się w Korniach, że w naszej wsi przebywa „Szum” ze swoimi strzelcami. [6]

Petro Łewko (z Wierzbicy)

Tego dnia byliśmy w terenie [...]. Szliśmy z Teniatysk do Korniów. W pewnym momencie wiadomcy donieśli nam, że w Wierzbicy jest oblawa. Przeczekaliśmy do wieczora nieopodal Korniów, a kiedy było już wiadomo, że polskie wojsko opuściło Wierzbicę, jeden z dowódców [UPA] rozkazał, żeby każdy z nas załatwił swoje osobiste sprawy i jak najszybciej przedostał się do Wierzbicy. [...]

Dotarłem do domu. [...] Przez okno dostrzegłem czterech Polaków. Postali chwilę i odeszli w stronę sadu. Po chwili zjawili się kolejni. Popatrzyłem uważniej i zobaczyłem na drodze pełno żołnierzy. Zaczynało świtać. Wejście do kryjówki znajdowało się co prawda w domu, ale przejście było pokryte jedynie półmetrową warstwą ziemi – bałem się, że jak będzie oblawa, żołnierze szybko mnie znajdą. Zza okna dochodziły już odgłosy strzelaniny. Przebrałem się za kobietę, wziąłem wiadro i poszedłem do stajni, gdzie również urządzona była kryjówka. Przesiedziałem w niej dwie

godziny. Nagle usłyszałem okrzyki żołnierzy. Zrobiłem dziurę w strzesze – zobaczyłem płonąca wieś. Znowu w kobiecym przebraniu pobiegłem do chaty, wszedłem do kryjówki, a tato zamaskował wejście. Po paru minutach usłyszałem nad sobą tupot wielu par nóg, słyszałem też, że biją moich rodziców. A ja nie mogłem wyjść! [...]

Przesiedziałem w ukryciu dwie doby. [2]

Myrosław Omelan (z Wierzbicy)

Polskie wojsko okrążyło wieś aż dwoma pierścieniami i zaczęło buszować po wsi w poszukiwaniu kryjówek i powstańców. W naszym domu jeszcze przed rozpoczęciem akcji zakwaterowali się dwaj oficerowie; pewnie dlatego, że wróciliśmy z Sybiru i mieliśmy repatrianckie dokumenty. Myśleliśmy, że dzięki nim zostawią nas w spokoju.

Tak się jednak nie stało. Już pierwszego dnia akcji zaczęli krzyczyć do naszego taty, że jacy z nas repatrianci, skoro jego synowie budowali koło cerkwi pomniki Szewczenki i powstańców UPA.

[...]

Zabrali mnie, młodszego brata Mykołę i tatę. Kiedy przechodziliśmy przez wieś, widzieliśmy, jak na placu obok dzwonnicy, naprzeciwko budynku „Proswity”², ludzie niszczyli pomniki. [...] Zaprowadzili nas do pańskiego majątku, kazali położyć się na ziemi, bili gdzie popadnie, wypytyjąc

o kryjówki i o moich braci. [...] Obok stała ciężarówka, w której była radiostacja. Słyszałem, jak jeden z żołnierzy nadawał informację, że banderowcy podpalili wieś. Spojrzałem w kierunku Wierzbicy i zobaczyłem kłęby czarnego dymu. Trzymali nas tak cały dzień. Pod wieczór wypuścili tatę i brata półprzytomnego od bicia, a mnie zaprowadzili do młyna. Kiedy prowadzili mnie obok stawów, widziałem leżących na groblach mężczyzn, spędzonych tu z całej wsi. Między nimi chodził kapitan z zakasany do łokci rękawami [...] i krzyczał, że co dziesiątemu odrąbie nogę i rękę, jeżeli nie dowie się, gdzie są bunkry.

Po selekcji powieziono nas samochodem. Auto zatrzymało się w Bełżcu. Nieopodal stało paru Polaków. Jakiś żołnierz krzyknął do nich: „Patrzcie, wieziemy bandytów!”. Wtedy ci ludzie zaczęli rzucać w nas kamieniami i krzyzczeć: „Bij banderowców i morderców!”. Po pewnym czasie transport ruszył do Lubaczowa, gdzie przez parę dni odbywały się przesłuchania – bili niemilosiernie. Wreszcie zawieźli nas do Jaworzna. [6]

Stefania Łewko (z Wierzbicy)

Żołnierze ostrzelali Wierzbicę pociskami zapalającymi i wieś zapłonęła jak pochodnia. Ludzie rzucili się ratować swój dobytek, wyrzucali rzeczy na podwórze, ale żołnierze z powrotem wrzucali je w ogień. Potem zaczęli zganiać wszystkich do młyna. Wieś płonęła, gdzieniegdzie rozlegały się strzały. Zabrali mojego 14-letniego brata, Jakowa. Wybiegłam z płonącej chaty. Polak chwycił mnie i zaczął bić po twarzy. Nagle, jakby od niechcenia, powiedział: „Słyszysz, jak twój brat się smaży?”.

Przyszli żołnierze i zabrali nas do młyna, z którego dochodził płacz dzieci – Polacy znęcali się tam nad ludźmi. Potem zaczęli nas sortować; młodych wyprowadzali na dwór, kładli jeden obok drugiego twarzą do ziemi i chodzili po nich. Niektórzy nie wytrzymywali tych tortur i popełniali samobójstwa – rzucali się pod młyńskie koło, topili się. [6]

Anna Sołducha (z Wierzbicy)

Pamiętam kobietę – dołączyła do nas, zamkniętych w młynie, później – która cały czas powtarzała, że już wie, co to piekło, bo właśnie je przeżyła; kiedy żołnierze prowadzili nas do młyna, ona, niezauważona przez nikogo, została w domu i dopiero potem ją znaleźli. Prowadzili ją do młyna przez płonąca wieś. [5]

Stefania Łewko (z Wierzbicy)

Po trzech dniach nas wypuścili. Kazali nam iść i nie rozglądać się, uprzedzali, że jeśli ktoś będzie się rozglądał, to zastrzelą. Kiedy wyszłam z młyna, pierwszą rzeczą, którą zobaczyłam, była sterta trupów ułożona na rozstaju dróg. Wszędzie tam, gdzie jeszcze parę dni temu stały zabudowania gospodarskie, teraz widać było tylko zgliszcza i sterzące kominy, jakby wyrosłe z ziemi. W miejscu, gdzie stała chata mojej ciotki, zobaczyłam martwego bratanka, Wasylą Faszczuka. Rozerwał się granatem. Nie miał go kto pochować. [6]

Anna Prytuła (z Wierzbicy)

W młynie trzymali nas do niedzieli, 8 czerwca. Wtedy przyjechały furmanki z innych wsi. Ustawili nas w dwa rzędy, przyszedł polski oficer i powiedział: „Macie dwie godziny, dostaniecie furmanki i pojedziecie na Ziemię Odzyskaną”. [...] Każdy pobiegł na swoje podwórze, ale tam niczego nie było – wszystko splądrowane, budynki spalone, a bydło uciekło w pole. [6]

Irena Boriak (z Cebłowa)

W Cebłowie do wysiedlenia przeznaczono osiem rodzin. Mnie nie było na liście. Ucieszyłam się, że mogę zostać i czekać na męża, który się ukrywał. Trzeba było mu pomagać, tak samo, zresztą, jak innym chłopcom z partyzantki. Zdradziła mnie pewna kobieta w dzień wyjazdu. W obecności żołnierzy nazwała mnie banderówką. Wywlekli mnie z domu, dzieci rzuciły się za mną. Żołnierze zaczęli strzelać w powietrze. Błagałam o litość, nie dla siebie – o sobie już nie myślałam – ale dla dzieci. Bili mnie do nieprzytomności, a potem wrzucili do piwnicy. Kiedy wszyscy byli już gotowi do odjazdu, wyciągnęli mnie stamtąd, wrzucili na wóz i zawieźli do Przemysłowa. Tam w piwnicy były już dwie ciężko pobite kobiety.

[...] Wzięli mnie na przesłuchanie. Oficer pytał, gdzie mąż, kazał mówić prawdę, wskazując na dwóch żołnierzy z pałkami. Milczałam. Spytał po raz kolejny. Wtedy pokazałam mu moje zbite, zakrwawione ciało, mówiąc, że teraz to już może mnie zabić. Oficer oddał mi dokumenty i powiedział, że jestem wolna. Nieprzytomna powlokłam się do swoich dzieci.

Wróciłam do wsi. [...] Po wysiedleniu naszych przyjechały tu polskie rodziny z biłgorajskiego i zajmowały opuszczone domy. Zostawiony przez wysiedleńców dobytek rabowali też milicjanci i wojskowi. [...]

Jesienią 1948 odszukał mnie mój mąż, który przyszedł tu z oddziałem „Prirwy” [Jewhena Sztendery]. [...] Zaczęło się nasze nieszczęście. Ukrywaliśmy przed dziećmi, że to ich ojciec, a one mówiły do niego „proszę pana” i wciąż pytały o tatę. Powiedzieliśmy im prawdę dopiero wtedy, gdy osiągnęły pełnoletniość. [6]

Stepan Kuszczak (ze Starego Lublińca)

Wysiedlenie spadło na nasz Stary Lubliniec jak bomba z nieba. Jeszcze dwa dni wcześniej sąsiad zapytał mnie, czy może wydzierżawić moje pole, a tu nagle wojsko otacza wieś i każe wyjeżdżać. Dali nam furmanki, ale Polacy nie pozwalali ładować za dużo ziarna, niby że wóz nie pojedzie, a tak naprawdę – bo polska ludność już czekała na zboże. Rozkradano je na naszych oczach. [6]

Anna Kit (z Korczmina)

Piątek, 27 czerwca 1947. Ludzie chodzili koło swoich obejść jak nieprzytomni, nie wiedzieli, jak mają rozstać się z rodzinnym domem, ziemią ojców. Zdawało się, że gdyby dać im broń, broniliby się do końca. [...] Nasi sąsiedzi Maślankowie mieli psa. Zawsze był uwiązany, postrzegalam go jako groźnego. Ale teraz, kiedy już zabrakło gospodarzy, spuszczone z łańcucha przybiegł na nasze podwórze i zaczął wyć. W tym momencie pies wydał mi się łagodny, podeszłam więc i pogłaskałam go, a wtedy psu popłynęły z oczu łzy, zaczął żalśnie skomleć, jakby prosił, żeby także jego zabrać z miejsca, którego nastał kres. [6]

Seman Madzelan (z Binczarowej)

Transporty na zachód szły już ze wschodniej Łemkowszczyzny, ale u nas w Binczarowej nikt tak naprawdę nie wierzył, że ktoś bez żadnego powodu będzie miał prawo wygnać ludzi z ich ojczyznej ziemi. 29 czerwca 1947 nie było już wątpliwości. Wysiedlali Florynkę, Polankę, Berest.

Zbijałem na podwórzu klatkę dla kur, kiedy wpadło na koniach dwóch żołnierzy: „Co pan robi?”. – „To, co panowie widzicie. Szykuję się do drogi”. – „Coś pan, zgłupiał? Przecież wasza wioska nigdzie nie pojedzie, bo jest wyjątkowo spokojna. Weź się pan lepiej za robotę i nie panikuj”. [...] 30 czerwca, trzecia w nocy. Na podwórzu huknęło: „Wstawać i szykować się do drogi”. Chociaż to najkrótsza noc w roku, na dworze jeszcze ciemno, tylko nad Werchem niebo trochę poszarzało. Do chaty weszło kilku żołnierzy,

ostrym tonem nakazali w dwie godziny się spakować. [6]

Andrij Orzechowski (z Radawy)

Ojciec chciał zabrać dla mojego malutkiego brata Romka kołyskę, ale jeden z żołnierzy kazał mu ją wyrzucić i zabrać pług, mówiąc, że na zachodzie trzeba będzie orać ziemię, a nie bawić dzieci. [10]

Irena Misztal (ze Szczawnika)

Kiedy tato pakował nasze rzeczy, jeden z żołnierzy uderzył go w plecy karabinem i powiedział: „Szybciej, skurwysynu!”. Wystrzelił w stronę okna. Obok okna stało rozczyznione ciasto na chleb. Wpadły do niego odłamki szkła. Byłam siedmioletnią dziewczynką, bardzo to przeżyłam.

W sadzie mieliśmy jabłka, ale nie pozwolili nam ich narwać. Powiedzieli, że to już nie nasze. [10]

Seman Madzelan (z Binczarowej)

Nasza rodzina była liczna, gospodarka niemała – dali nam wóz zaprzężony w jednego konia. Część majątku załadowałem na dwa własne wozy, zaprzężone w woły. Słońce już weszło i ozłociło wierzchołki naszych gór. [...] Pogoda cudowna – na błękitnym niebie żadnej chmurki i o dziesiątej już zaczynało przygrzewać. Nasi nowi sąsiedzi (od 1945 roku), Polacy, patrzyli przez okna zadowoleni, bo dzieje się „historyczne” wydarzenie – Polska ma być tylko dla Polaków, a im obojętne, co się z nami stanie.

Dwunastoletnia Ola Repela szła obok swojej mamy, a w rękach trzymała wazonik. Podeszła do niej starsza Polka i powiedziała: „Dziecino, daj mi ten wazonik, on już i tak nie będzie tobie potrzebny”.

Za wsią, na tak zwanych Binczarkach, zatrzymali nasz pochód i jeszcze raz sprawdzili, czy wszyscy są. Okazało się, że w rodzinie Anny Kostelnyk nie ma Iwana Polańskiego, niemowy, kaleki od urodzenia, niezdolnego do żadnej pracy, bo nie mógł chodzić. [...] Jego opiekunka zostawiła go u Jaśka Zaliszewskiego, Polaka. Zapłaciła mu słoną sumę za opiekę nad Iwanem na czas przesiedlenia. Wysłali po niego furmankę z kilkoma żołnierzami, a my w skwarze czekaliśmy dobre dwie godziny. [...]

I znów zaskrzypiały rozeschłe na słońcu wozy, podniosła się kurzawa, a my powoli opuszczaliśmy nasze góry. Ktoś tam przed nami albo za nami głośno płakał, bydło ryczało, konie rżały,



↑ Akcja „Wisła”. Ukraińska wieś wysiedlana przez polskich żołnierzy

owce beczwały, prosiak kwiczał, kury gdakały. [...] Większość Polaków spotkanych po drodze milczała w głębokiej zadumie, może nawet nam współczuli. Pamiętam jednego starego człowieka, który oparty o płot chyba się modlił, a każdą furmankę błogosławił znakiem krzyża. [6]

Rostysław Ludkewicz (z Bóbrki)

Powiedziano nam, że mamy zabrać tylko żywy inwentarz, paszę i jedzenie na drogę, bo tam, gdzie jedziemy, wszystko będzie na nas czekało przygotowane. Zabraliśmy konie, krowy i owce, reszta zwierząt uciekła. W spiżarni zostały garnki ze słodkim i kwaśnym mlekiem, beczki z solonym serem, słoniną i kapustą, a w piwnicy i na strychu – ziemniaki i zboże. Zdołaliśmy zabrać trochę siana i słomy. Zaprzęgliśmy konie do wozu i przyczepiliśmy do niego krowy i owce. Pobiegłem jeszcze do cerkwi i wzięłem kilka najważniejszych rzeczy do odprawiania mszy. [1]

Jewhenia Iwanuk (z Honiatynia)

Kiedy nas wywozili, na naszych polach zieleniły się łany żyta i pszenicy, w ogrodach dojrzewały

pierwsze warzywa, a drzewa w sadach były obsypane kwieciami. [...] Naprędce zaczęliśmy związywać jakieś tłumoki i przygotowywać się do drogi. Nikt nie wiedział, dokąd nas wywożą i jaki los nas czeka. Ojciec robił to wszystko w milczeniu. Był biały jak ściana. Po maminej twarzy płynęły wielkie jak groch łzy. Pomagałyśmy z siostrą mamie – i pakować się, i płakać.

[...]

Mama stanęła pośrodku podwórza, zwrócona twarzą do domu, i z żalu zapłakała na cały głos. I jeszcze raz podbiegła do chaty [...], pocałowała ikonę, którą zostawiła, żeby ochraniała dom, a potem ściany, drzwi, próg. [...] Ojciec stał na podwórzu jak skamieniały. Wsiadł na wóz, przeżegnał się i pojechaliśmy. [6]

Iwan Hudko (z Zawyszni)

Wojsko okrążyło wieś, zgoniło wszystkich chłopców na podwórzu Iwana Hnatiuka. [...] Pozostaliśmy kazali jechać do Wareża. Tam, na podmokłej łące, znajdował się tymczasowy punkt zborny dla przesiedleńców. Z Wareża popędzili nas do obozu w Werbkowicach, a nasza piękna Zawysznia

przestała istnieć. Po jakimś czasie przyszli synowie wysiedlonych i podpalili swoje rodzinne domy, żeby wróg i jego dzieci nie mieli gdzie mieszkać. Została jedynie cerkiewka na wzgórzu. Murowaną czytelną, plebanię i szkołę rozebrali już Polacy. [6]

Petro Kowal (z Miększa Nowego)

Czerwony od alkoholu porucznik rozkazał spać w ciągu pół godziny, a potem wyciągnął się na ławie, żeby odespać nieprzespaną noc. Dali jeden wóz na dwie rodziny. Poszły na niego pieczywo, trochę ubrań i jedzenia. Potem na piechotę, pod okiem i bagnietami żołnierzy, ruszyliśmy w drogę. Matka niosła trzymiesięcznego Mychasia, a za rękę prowadziła czteroletniego Sławcia. Głośno płakała. Ojczym szedł za nami, na sznurku prowadził krowę. Znajomi Polacy, żegnając się z nami, płakali. [6]

Irena Oleszkewycz (z Żernicy)

Pod karabinami gnali nas, nie wiadomo dokąd. Kiedy nastąpiła głęboka noc, pozwolili się zatrzymać w szczerym polu przy drodze. Noc była chłodna. Nie dali nawet zagrać mleka dla dzieci, które bardzo płakały. Bydło ryczało. Zmęczeni i zmarznięci ludzie pozbijali się w grupki, żeby choć jeden od drugiego się ogrzać. Cicho płakali. Nie wiedzieliśmy, dokąd nas pędzą. [10]

Anna Baranyk (z Ulucza)

Urodziła się nam córka. Ja tuż po porożu, leżę jeszcze słaba, a tu przychodzi do wsi wojsko. Zrobili zebranie w pańskim ogrodzie: za dwie godziny wysiedlenie. Ludzie mdleli.

Wzięłam nowo narodzoną córeczkę na rękę, drugą, Zosię, za rękę. Mąż niósł pierzyny, a stareńcy mama i tato swoje rzeczy. Szliśmy pieszo przez Ulucz, przez Hroszówkę, przeszliśmy przez San na stronę, gdzie leżały polskie wsie. Byłam już strasznie zmęczona, słońce miało się ku zachodowi. Dzieci płaczą, trzeba je nakarmić i przewinąć małą. Poszłam do pierwszego polskiego domu, poprosiłam, żeby pozwolili się choć ogrzać. Pozwolili. Dali mi trochę słomy, żeby ją rozłożyła na podłodze. Mąż przyniósł chleb. Noc przespaliśmy na słomie. [6]

Maria Ostrowska (z Jasionowa)

Przeprawa przez San to był okropny widok. Wydało mi się, że lada moment ludzie zaczną tonąć. Kobiety, dzieci i starcy z trudnością utrzymywali

się na powierzchni wody. Dotarliśmy jednak do Wary. Stamtąd ciężarówkami zawieźli nas do Sanoka, pod namioty. Życie pod namiotami było ciężkie. Byliśmy głodni. Pamiętam, jak wyciągali z namiotów młode dziewczęta i obcinali im włosy do gołej skóry. Zrobili sobie z tego świetną zabawę, a my czuliśmy się jak zaszczute, bezbronne zwierzęta. [10]

Halina Drewko (z Małaszewicz)

Niebo jakby się na nas zawzięło, słońce niemiłosiernie prażyło, ręce ciążyły, nogi odmawiały posłuszeństwa, dokuczala duchota, po twarzy strumieniami lał się pot. A my mieliśmy na sobie zimową odzież, w której byłoby ciepło nawet w najcięższy mróz. Na odpoczynek nie było szans. Nasza kolumna posuwała się co prawda wolno, ale bez przerwy. Miałam wrażenie, że to trwa wieczność. Po kilkugodzinnym marszu dotarliśmy do stacji kolejowej w Chotyłowie. Słońce wciąż grzało, nie było gdzie się przed nim schować. Ale może to na nasze szczęście, bo gdyby lunął deszcz, co stałoby się z naszym ubogim dobytkiem na wozach, zwłaszcza z żywnością... Tato, żeby zapewnić nam choć trochę ochrony przed palącym słońcem, zrobił z koca coś w rodzaju zadaszenia.

Obok drutów ogradzających nasz obóz [w Chotyłowie] płynął strumyczek. Dzieci podkopały się pod drutami i mogliśmy kąpać się w chłodnej wodzie, choć wychodzenie poza obóz było zabronione, a przez cały czas pilnowali nas strażnicy z karabinami gotowymi do strzału. [...] Potrzeby fizjologiczne załatwialiśmy w wykopanych dołkach. W takich warunkach kilkutyścerny tłum ludzi – kobiety, mężczyźni, dzieci, starcy, zdrowi i chorzy – przez dwa tygodnie czekał, nie wiadomo na co. [10]

Mychajło Maruszczak (z Arłamowa)

45 arłamowskich rodzin znalazło się w Trzciancu. Byli już tam ludzie z innych wiosek, czekali na pociąg. Była z nami chora na schizofrenię Luba Pelagia z dzieckiem. Trzeciego dnia naszyli ją złe myśli, zaczęła biec w stronę lasu. Nie usłuchała rozkazu „stój” i po chwili upadła wraz z dzieckiem. Naza jutrz jeden z żołnierzy chwalił się, że zabił banderówkę, która uciekała do męża do lasu. [6]

Jewhonia Iwanik (z Honiatynia)

Nasz punkt zborny znajdował się w gminie Dołhobyczów. Stamtąd zawieźli nas do stacji kolejowej



↑ Stacja załadunkowa transportów z wysiedlonymi podczas akcji „Wisła”

w Werbkowicach. Obok stacji było około pół morga ogrodzonego drutem pola. Tam nas zrzucili. Płacz unosił się pod niebiosa, bo każdy miał w pamięci to, co stało się z żydowskimi gettami. [6]

Jewhen Czubyński (z Hroszówki)

Zapędzili nas do punktu zbornego we wsi Wara. Tego dnia wysiedlali też Jabłonicę [Ruską]. Przez kilka dni trzymali wszystkich w stodole. Ci, którzy nie mieli co jeść, dostawali żywność od wojska. Żołnierze powiedzieli, że jeżeli ktoś zacznie uciekać, będą strzelać. Były z nami też polskie rodziny z naszej wsi, mimo że wojsko nie chciało ich zabierać, bo przecież byli Polakami. Ale oni powiedzieli, że jeżeli jedzie cała wieś, to oni też. [...] Potem, już na zachodzie, śmiesznie było z nimi, bo nikt im nie wierzył, że są Polakami, a oni nawet dobrze po polsku nie potrafili mówić. [6]

Tekla Liborska (z Czerniczyna)

Ze wsi wyruszamy pod wieczór. Po niebie płyną szare chmury, zaczyna padać. Ludziom ciężko na duszy. Wyganiają nas z naszej ziemi, pod konwojem, w daleką, niewiadomą drogę. Boso, w deszczu,

idziemy po bruku, pędzimy nieszczęsne kozy i biedną jałówkę. Głęboką nocą docieramy do punktu zbornego w Werbkowicach.

Kilka strasznych dni spędzamy za drutem kolczastym. Bagaż zwalony na ziemię, a my koło niego bezbronni, przerażeni, beczynni, w oczekiwaniu na najgorsze. Dzień – jak rok.

Do obozu wciąż przybywają nowi ludzie. Wśród nas chodzą żołnierze i jacyś panowie po cywilnemu, kontrolują, zabierają młodych, biją, aresztują, kradną. Atmosfera jest przytłaczająca. Od ludzi z Honiatynia dowiadujemy się, że nasz brat Jewhen wpadł w ręce bezpieki. Mama jest załamana. Drzemmy i wrzucamy do rzeki ukraińskie dokumenty, świadectwa i zdjęcia. Żołnierze zabierają mnie i siostrę – jesteśmy aresztowane. Trzymają nas w oddzielnych namiotach, przesłuchują. Zrozpaczona mama chce się utopić w rzece. Jej świat nagle się załamał – troje dzieci zostało aresztowanych, a los męża jest nieznany. [6]

Stepan Nisewycz (z Dobrej Szlacheckiej)

Późnym wieczorem doszliśmy do Leszczawy. Przez dwa tygodnie siedzieliśmy na łące pod strażą



→ Wagony z dobytkiem wysiedlonych

żołnierzy. Wreszcie odstawili nas do Załuża, gdzie zwozili ludność z całej okolicy. Zebrało się tam straszne mrowie ludzi; każdy starał się zdobyć jakąś żywność, nie stracić krów, uniknąć aresztu, utrzymać przy sobie całą rodzinę. [...]

Nikt nie zwracał uwagi na chorych i starych. Nie można było rozpalić ognia, żeby cokolwiek ugotować, nie wolno było wyjść za ogrodzenie, nie było gdzie pójść za potrzebą. Jedyne San, do którego mieliśmy dostęp, przynosił nam jakąś ulgę. Po wodę chodziły same kobiety, bo mężczyzn właściwie nie było – zabici albo aresztowani.

Tuż za drutami stał barak, w którym w dzień odbywały się przesłuchania. Najpierw brali pozostałych jeszcze mężczyzn. Wracali ledwo żywi od bicia. Potem szły starsze kobiety, a jak się ściemniało, żołnierze zabierali młode. Wybrane zaganiaли pod prysznic i nagie zamykali w pokojach. Nad ranem wracały ledwo żywe, z przykazaniem, żeby

nikomu nic nie mówić o swojej hańbie. Ta, która zawzięcie się broniła, już nie wracała, jechała do Jaworzna, oskarżona o współpracę z UPA. [6]

Rostysław Ludkewicz (z Bóbrki)

Dotarliśmy całą kolumną do Uherców. [...] Przy drodze znajdowała się rozległa łąka, ogrodzona płotem z drutu kolczastego, wysokości około dwóch i pół metra. To był obóz, do którego prowadziła jedna brama wjazdowa; w każdym rogu stał żołnierz z karabinem. Byli tu już pierwsi wysiedleńcy. Stali po kolana w błocie. Nie było wody, sanitariatów, niczego ciepłego do zjedzenia. Gdy padał deszcz, siedzieliśmy w błocie pod wozem. Kiedy wschodziło słońce, wszyscy z powrotem wchodzili na wozy. Swoje potrzeby załatwiali się w kąciku, zasłoniętym przez kogoś kocem lub prześcieradłem. Opuszczanie obozu było zabronione. Co pewien czas przychodził żołnierz z listą

i sprawdzał, kto jest obecny. Od czasu do czasu kogoś zabierano, najczęściej taka osoba już nie wracała. [...] Zdarzały się również przypadki, że jeżeli jakimś żołnierzowi spodobała się dziewczyna, to musiała z nim iść. [1]

Teodor Król (z Glinnego)

[W Olszanicy] pod gołym niebem zebrali kilka wiosek w otocznym drutem kolczastym obozie. [...] Bydło ryczało, bo było głodne [...]. Kto miał furmankę, ten zabrał trochę siana i nakarmił zwierzęta. Łamaliśmy jakieś chaszczki na podpałkę i gotowaliśmy ziemniaki, bo nic innego ze sobą nie mieliśmy. [...]

W nocy do obozu przychodzili pijani żołnierze. Wybierali młode dziewczyny czy mężatki i zabierali ze sobą niby na spytki. Gwałcili je bezkarnie pod pozorem przesłuchania. Niektóre mężatki ze wstydu, że zostały wykorzystane, wieszały się.

[...]

W obozie trzymano nas siedem dni. Przyszedł transport. Ładowali po cztery rodziny do wagonu. [...] Kiedy nastąpił odjazd, rozległ się wielki płacz, tym większy, że przejeżdżaliśmy obok naszej wsi. [...] Nie wiedzieliśmy, co z nami będzie. Po drodze znowu miały miejsce przypadki gwałtów. [3]

Iwan Hudko (z Zawyszni)

W Werbkowicach trzymali nas około dwóch tygodni. Obóz znajdował się nad rzeczką, ale woda była tak brudna, że nie można było się w niej umyć. Wykopany pośrodku obozu dół miał służyć za ubikację. Przerzucili przez niego gruby, okrągły i śliski pień, z którego niby mieliśmy załatwiać swoje potrzeby. A przecież trzeba było nie lada akrobaty, żeby na niego wejść, a cóż dopiero mówić o reszcie. Dlatego wszyscy chodzili w owies, przy którym co prawda stał gospodarz i odganiał ludzi, ale ten owies przynajmniej dawał jakąkolwiek osłonę. Kiedy podstawiono wagony, ludzie mówili: wieźcie nas bodaj do piekła, bo tu już nikt dłużej nie wytrzyma. [6]

Kateryna Mudra (z Łazów)

Wagony przerażały samym swoim wyglądem – były okręcone drutem kolczastym, a w środku brud i smród, bo wcześniej przewożono nimi bydło. Zawieźli nas do Szczakowej, a stamtąd pędzili 5 kilometrów na piechotę. Wreszcie zmordowani stanęliśmy przed bramą, nad którą widniał napis: „Centralny Obóz Pracy w Jaworznie”. [4]

Anna Sołoducha (z Wierzbicy)

Kiedy dotarliśmy do stacji kolejowej w Belźcu, ludzie dziwili się, że wśród nas prawie nie ma mężczyzn. Naszego tatę zabrali do Lubaczowa. Był tam przesłuchiwany i, choć niewinny, trafił do obozu w Jaworznie, tak jak prawie wszyscy mężczyźni. [5]

Anna Prytuła (z Wierzbicy)

Do Belźca dojechalibyśmy późnym wieczorem. Na drugi dzień podstawili wagony i kazali się do nich załadować. W naszym wagonie było osiem rodzin z Wierzbicy. Zdawało się, że już mieliśmy ruszać, ale nie – chcą jeszcze kogoś aresztować. Doszli do mnie.

– Imię i nazwisko.

– Anna Prytuła.

– Raczej Przytuła.

– Nie, Prytuła.

– To wczoraj byłaś Prytuła, dziś jesteś Przytuła, a jutro będziesz Przytułska! [6]

Iwan Bida (z Korhyni)

Po trzech tygodniach przesłuchań przewieźli więźniów na stację w Belźcu. Podczas niemieckiej okupacji Belżec był jednym z miejsc zagłady Żydów. [...] Widziałem raz transport ze ściśniętymi ludźmi w wagonach z zakratowanymi otworami. Do takich wagonów zaganiali teraz aresztowanych, tylko okrzyki brzmiały inaczej.

[...]

Na stacji w Rozwadowie żołnierz odsunął drzwi i postawił wiadro z wodą. Więźniowie zaczęli się bezładnie pchać, żeby zamoczyć choć rękę w wodzie. Ale żołnierz zabrał wiadro, mówiąc, że dla bandytów nie warto się trudzić.

W lipcu 1947 słońce grało niemilosiernie. [9]

Josypa Żarki (z Lachawy)

W wagonie mieściło się po pięć rodzin, bo ludzie prawie niczego nie mieli, ktoś kożę, ktoś cielaka. Do wagonów podbiegali Polacy, krzyčeli do żołnierzy, żeby nas wywieźli raz na zawsze, rzucali kamieniami. Kobiety płakały i pytały się, czy wiozą nas nad jakieś morze, żeby potopić. [6]

Seman Madzelan (z Binczarowej)

Gdy zaszło słońce, nasz transport ruszył na zachód. [...] Maszynista to ruszał, to cofał, a na nasze głowy leciały drewniane skrzynie, z wader wylewała się woda, rozbiły się gliniane garnce

z mlekiem, krowy padały na podłogę, bo rwały łańcuchy. [6]

Tekla Liborska (z Czerniczyna)

Nie mogliśmy się zorientować, jakie mijamy stacje, bo wieźli nas w zamkniętych wagonach, przeważnie w nocy. W ciągu dnia pociąg zatrzymywał się w szczerym polu. Kobiety czasami dostawały od maszynisty trochę węgla i gotowały wodę. [...] Nikt nie interesował się stanem naszego zdrowia ani czy mamy coś do jedzenia. Nie było gdzie się umyć, o praniu nie mogło być mowy.

Ciotka Olga miała pięciomiesięczne dziecko, które karmiła piersią. Przez całą drogę ani razu nie wyprała pieluszek. Leżały brudne i strasznie cuchnęły. Wyciągała ze skrzyni ubrania, rwała je na pieluszki i przewijała maleństwo. Kiedy w Olsztynie chciała pójść po wodę, żołnierz jej nie pozwolił, powiedział, że ją zastrzeli. [6]

Stepan Nisewycz (z Dobrej Szlacheckiej)

Z przodu w jednym wagonie – sami wojskowi. Przychodzili do nas na postojach, niby coś sprawdzić, ale tak naprawdę szukali młodych kobiet. Przed odjazdem wywoływali je przed wagon [...]. Żołnierze pod groźbą śmierci nakazywali im milczenie: „Znajdziemy was i na zachodzie, jak będzie trzeba”. Ale kobietom trudno było ukryć na twarzy to, co przeżyły. [6]

Wołydimyr Kowalczyk (z Woli Krzywieckiej)

Starzy, chorzy i słabsi strasznie cierpieli. Ludzie bali się prosić o pomoc. Żołnierze straszili bronią, czasem bili.

[...] Trzeba było czymś nakarmić zwierzęta, coś ugotować. Na każdym postoju próbowaliśmy zdobyć cokolwiek, co nadawałoby się do zjedzenia – w lesie lub w rowach przy torach.

Mojemu dziesięciomiesięcznemu braciszki Petrowi też nie podobała się ta podróż. Miał chyba niezłą orientację, bo gdy tylko podczas jakiegoś postoju dotknął ziemi, próbował iść w przeciwną stronę do kierunku jazdy pociągu. [6]

Petro Kowal (z Miększa Nowego)

Krowy strasznie ryczały – były głodne. Gdy pociąg stawał, ludzie wybiegali i bez pytania zabierali siano z łąk albo stogów. [...] Tak stawaliśmy się złodziejami.

[...] Postoje trwały długo. Wojsko coś tam dla nas gotowało, ale ludzie brzydzili się jeść tę gęstą

breję. Brakowało wody. Zaczął się świerzbić, między palcami i na głowie pojawiły się piekące rany, po których chodziły wszy. Dzieci nie mogły tego znieść, cały czas płakały, nie chciały spać. Kobiety błagały maszynistów o trochę wody z parowozu, ale nie dla wszystkich starczało. [...]

Jechaliśmy przeważnie nocą. Nie chciało się nam spać, wsłuchiwalismy się w stukot kół, patrzyliśmy w ciemną przestrzeń, która zostawała za nami. Taka sama rozciągała się przed nami. Nikt nie wiedział, dokąd jedziemy. Żołnierze mówili, że do Prus Wschodnich, ale nie dowierzaliśmy im. Myśleliśmy, że przez Prusy wiozą nas na Sybir. [6]

Anna Łazorko (z Hrebenego)

Mama kazała mi jechać w wagonie, gdzie były nasze kury i prosię. Było tam parę starszych osób. Jak tylko pociąg się zatrzymywał, wysiadaliśmy i zbieraliśmy różne zioła, żeby nakarmić zwierzęta. Ktoś z naszego wagonu nakosił trawy i mieliśmy na czym się położyć. Mama dała mi kilka sucharów i przez całą drogę je gryzłam. W moim wagonie jechała jedna krowa, więc mogliśmy się pokrzepić mlekiem, ale ja nie lubiłam nieprzetworzonego mleka. Po drodze czasem dostawaliśmy trochę zupy. W taki sposób jechaliśmy przez dwa tygodnie. [10]

Jewhenia Iwanyc (z Honiatynia)

Pod koniec czerwca nasz transport wreszcie przyjechał na Mazury, do Giżycka. Przyjechaliśmy w nocy. Jak tylko zaczęło świtać, ludzie wyglądali przez szpary w wagonach, gdzie nas przywieźli i dlaczego stoimy. I zobaczyli wielką wodę [...], jakiej nigdy w życiu jeszcze nie widzieli. Wzniósł się płacz i lament, wszyscy byli przekonani, że nas tu potopią. [6]

Tekla Liborska (z Czerniczyna)

Dowieźli nas do Lublina. Tu rozdzielili mieszkańców Czerniczyna i innych wsi, załadowali do różnych pociągów. Dotąd było nas 49 rodzin, taka mała wieś. [...] A po podziale wieś już na dobre przestała istnieć. [6]

Mychajło Polański (z Ulucza)

Kiedy pociąg wjechał na ziemię poniemieckie, zaczął się zatrzymywać coraz częściej – z każdego wagonu kogoś wysadzali. Nas powieźli do Braniewa.

Wszędzie było widać ślady wojny. Na stacji czekały na nas polskie furmanki. Załadowaliśmy na jedną z nich nasz dobytek i sami wsiedliśmy.

Ruszaliśmy. Braniewo przedstawiało smutny widok: wokół same ruiny, spalone budynki, gruz. Dalej droga wiodła przez las – połamane drzewa ze ściętymi koronami, ogołocoane z gałęzi, wyglądały jak ludzie bez rąk. Przejechaliśmy 20 kilometrów [do wsi Stare Monasterzysko] [...]. Furman wjechał na jakieś podwórze i powiedział, że to jest miejsce, które zostało nam przydzielone. Rozładowaliśmy wóz [...]. Usiedliśmy na ziemi i rozglądaliśmy się wokół. My, dzieci, zaczęliśmy płakać, potem mama. Tato milczał, był smutny. [...]

Dom był stary, nie miał drzwi ani okien, jedna ze ścian była pęknięta, sypał się tynk. Podwórze zarosło gęstym zielskiem, stajnia i stodoła były tak samo zniszczone, jak dom. Weszliśmy do środka, a tam żadnych mebli, rozwalone piece, pobite szkło i pełno śmieci zostawionych przez szabrowników. To nie był niemiecki porządek. [6]

Anna Zazula (z Brzozowca)

W wielkim strachu dotarliśmy do Bytowa. Tu nas rozładowali, następnie musieliśmy iść 20 kilometrów do Trzebiatkowej. Dom – same ściany, bez drzwi i okien. Tuż pod oknem była pochowana Niemka, którą Sowietci powiesili na strychu. [6]

Teodor Szewczyk (z Czarnej)

Przyjechaliśmy do Legnicy. Około dwóch tygodni staliśmy na stacji. W nocy pilnowali nas sowieccy żołnierze.

Rozwieźli nas po wsiach. Jechaliśmy przez Rogoźnik do Piotrówka, gdzie zastała nas noc. Spaliliśmy znowu koło wozów. Rankiem odezwał się dzwon. We wsi byli Sowietci, na bramie budynku, w którym stacjonowali, wisiała gwiazda. Moja siostra zaczęła płakać i powiedziała do swojego męża: „Oj, Stefanie, Stefanie, do Rosji nie chciałeś jechać, boś się bał, a tutaj cię przywieźli pod samą gwiazdę”. [7]

Wołodimir Fal (z Morochowa)

Nasza rodzina dostała przydział do Starego Boru. [...] Krowy musiały przejść 5 kilometrów. Trzeba je było widzieć – poobijane w czasie jazdy, wygłodzone, ciągnęły w stronę trawy, klękały ze zmęczenia. [10]

Taras Michno (z Jawornika Ruskiego)

Im dłużej jechaliśmy, tym mniej nas zostawało. Naszych ludzi osiedlali małymi grupami w różnych miejscowościach powiatu stargardzkiego, żebyśmy

się już nigdy nie spotkali, żeby nie zamilkł nasz płacz i nie zniknął strach.

Naszą rodzinę wylądowali w Ińsku i kazali jechać do wsi Granica. Jedna rodzina na całą wieś! Potem przyjechały jeszcze dwie nasze rodziny: jedna z Wańkowej, druga z Zawadki. Reszta to byli Polacy zza Buga, którzy zajęli już najlepsze gospodarstwa. A nas – do najgorszych – bo i my byliśmy najgorsi. W czasie drogi niektórym powypadały włosy; wszy nie zostały nawet kawałka nietkniętej skóry. Do Granicy dojechałem już jako dorosły, dzieciństwo zostało gdzieś po drodze. [...]

Zająłem się naszym skarbem – krową. O wschodzie słońca wyprowadzałem ją w pole. Jakże ta rosa była zimna! A ja chodziłem boso. W Jaworniku rosa była ciepła, a w powietrzu nie latały żadne komary! Krowa była wszystkim: ogrzewała i karmiła. Właziłem w jej ciepłą kupę (złościłem się nawet, kiedy jeszcze nie zrobiła), a gdy już się rozgrzałem, wchodziłem pod krowę i hyc! – troszkę mleczka. Ach, jak ono smakowało! Do domu wracałem na krowie. [6]

Iwan Babiak (z Jawornika)

Wylądowali nas w Sławnie. A dalej – do Dziewięcina. Razem z nami były jeszcze trzy jawornickie rodziny. Zapędzili nas w pole, do pustego domu, bez drzwi, bez okien, bez niczego. W tym domu powiesiło się ośmiu Niemców.

Noc, siedzimy. Strasznie ciężły komary, dzieci były całe pokąsane – to przez ten brak okien. Pozatykaliśmy dziury tekturą. Przyszedł sąsiad, spojrzął i powiedział: „Gorzej niż w więzieniu”. Dał nam potem dwa podwójne okna. Kolejne dwa dał sołtys. Drugi sąsiad, Iwan z Lubelskiego, przywiózł jedno łóżko i stół. Mieliliśmy już na czym jeść.

To byli spolonizowani Ukraińcy. Jego siostra umiała jeszcze *Ojciec nasz* po naszymu. Mówili, że Polaków zrobił z nich Piłsudski i że zmienili sobie papiery, żeby nie jechać na Ukrainę. Iwan powiedział do mojej żony: „Nie płacz, ja taki sam, jak i ty”, ale po naszymu już nie mówił. Wszyscy rozmawiali po polsku. My ich rozumieliśmy, oni nas nie. Bardzo nas to dziwiło, przecież byli Ukraińcami. Sołtys, kiedy sobie popił, śpiewał ukraińskie piosenki. [6]

Mychajło Wudkewycz (z Lisek)

Po wylądowaniu transportu na stacji w Elku, Państwowy Urząd Repatriacyjny skierował ks. Myrosława Ripeckiego i kilka rodzin wysiedlonych

z Lisek do wsi Gorzekały, położonej wśród lasów i bagien, daleko od kolei, 30 kilometrów na południowy zachód od Elku. Pewnie chcieli, żeby ksiądz założył tam pustelnię. Ksiądz Ripecki stanowczo oświadczył w starostwie, że to jest niesprawiedliwe, bo on zostawił cerkiew, ładną plebanię i dom, przyjechał tu ze swoimi parafianami, przywiózł cerkiewne przedmioty potrzebne do odprawiania nabożeństwa, a został potraktowany w sposób urągający przyzwoitości.

Starosta wydał naczelnikowi PUR-u zarządzenie, żeby przydzielić księdzu budynek szkoły w Chrzanowie, 5 kilometrów od Elku. [...] Budynek był rozszabrowany, bez okien i drzwi. W klasie urządzono prowizoryczną kaplicę, gdzie ksiądz odprawiał nabożeństwa.

Pierwsze odbyło się 5 lipca 1947. [...] Następnego dnia mijał pierwszy tydzień od naszego przyjazdu na ziemię mazurską. [...] Ksiądz miał już zaczynać mszę, powiedział do mnie szeptem, że bym zaczął śpiewać, ale coś ścisnęło za gardło, łzy napływały do oczu... [9]

Antoni Dubiec (z Horostyty)

Po zakwaterowaniu rodziny w kolonii Lelkowo, ojciec pojechał do naszej rodzinnej wsi Horostyta, chcąc ratować zostawiony majątek. Był lipiec 1947. Po jakimś czasie otrzymaliśmy informację, że został aresztowany przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa we Włodawie. Słuch po nim zaginął. Mama, niepiśmienna, była zagubiona w nowej sytuacji. Czekala na powrót ojca, a my, dzieci, nie mogliśmy jej w niczym pomóc. [...]

Naszą niepewność przerwał powrót z Jaworzna znajomego z sąsiedniej wsi. Opowiedział, co tam przeżył. Głód, chłód, znęcanie się nad bezbronnymi, katowanie niewinnych. Opowiedział nam o ojcu – został pobity przez strażników. Miał połamane żebra, krwotok z ust. Był grudzień 1947, mroźna zima. Mama naprędce przygotowała paczkę. Wysłałem ją z miejscowej poczty. Wróciła po pewnym czasie, z pokruszonymi pszennymi bułkami. Odebrałem ją.

Łzy znaczyły moją drogę ze szkoły do domu. Zamarzały na styczniowym mrozie. Zrozumiałem, że ojca już nie ma. Na potwierdzenie nie trzeba było długo czekać. Niebawem z Jaworzna przyszło zawiadomienie: „Szymon Dubiec zmarł 4 stycznia 1948”. Przesłano też osobiste rzeczy ojca. Niewiele: stary, dziurawy kożuch i mały kalendarzyk – prezent ode mnie. Na jednej ze stron przeczytałem

jego własnoręczny wpis: „Synu, bądź w życiu sprawiedliwym człowiekiem”. [10]

Hryhorij Seniuta (z Lisek)

Na mazurskiej ziemi osiedlali się ludzie z różnych stron Polski. [...] Także repatrianci z Białorusi i Litwy. Ludności miejscowej było niewiele. [...] Relacje z nimi układały się rozmaicie. Niektórzy odnosili się do Ukraińców życzliwie, nawet pomagali w pracy. [...] Były jednak również przypadki wrogiego stosunku do Ukraińców. Wiele szkody w tej kwestii wyrządzały informacje rozpowszechniane przez wójtów, zgodnie z instrukcjami ze starostwa, że Ukraińcy to niebezpieczni ludzie. [...]

We wsi Suczki, w której mieszkaliśmy jakiś czas, pewna kobieta opowiedziała mi, że władze uprzedzały mieszkańców, że przywiozą tu niebezpiecznych bandytów i że trzeba będzie na nich uważać.

Kiedy przywieźli mnie, moją żonę i trójkę małych dzieci pod budynek gminy, zbiegła się cała wieś. Mieszkańcy otoczyli nas i patrzyli, jakich to bandytów przywieziono. Jakże się zdziwili, kiedy zamiast bandytów zobaczyli biedną, obdartą, nieszczęsną rodzinę z małymi dziećmi, dla której nie było żadnego miejsca.

Niedaleko siedziby gminy stała chatynka bez drzwi, okien i dachu. W środku – pełno śmieci i gnoju. Wyładowali na ten śmietnik nasz ubogi dobytek, a my z żoną zabraliśmy się za wyrzucanie gnoju. Chcieliśmy dokopać się do podłogi, ale tej nie było – zerwana. Przez dziurawy dach widać było niebo.

Wyczyściliśmy chatę, wnieśliśmy nasz dobytek, razem z klatką z kurami, okna zasłoniliśmy workami, drzwi – płachtą. Na podwórku na ceglach ugotowaliśmy kaszę. Po dwóch tygodniach ciężkiej podróży zjedliśmy pierwszą kolację. Każdą łyżkę dosalaliśmy łzami.

Jednak są na świecie dobrzy ludzie. Pierwszy przyszedł nasz sąsiad Kostek Kluch. Podarował nam drewniane, rozkładane łóżko. Niedługo potem przysłała sąsiadka i pożyczyła kołyskę dla małego Bohdanka.

Zapadł wieczór, 4 lipca 1947. Pierwszy raz po długiej wędrówce mieliśmy spędzić noc w mieszkaniu, już w nowej ojczyźnie, czy raczej na zesłaniu. Położyliśmy się spać. W nocy zerwała się burza. Chatę zalała woda, przycupnęliśmy z dziećmi pod ścianą. Przemokliśmy do ostatniej nitki. Tak minęła pierwsza noc. [9]

Osyp Romanyk (z Wańkowej)

Na stacji Bińcze w powiecie czluchowskim kazali nam wszystko wynieść z wagonów. I znowu musieliśmy czekać pod gołym niebem, z chorą mamą, bez ciepłego posiłku. Na drugi dzień dali nam samochód, żeby przewieźć mamę do miejsca naszego przeznaczenia – do wsi Cierznie. Tam dobę spędziliśmy w stodole u sołtysa, czekając na przydział domu. Nazajutrz dostaliśmy połowę poniemieckiego domu (kuchnia i pokój) – dla nas wszystkich, czyli siedmiu osób i naszej chorej mamy, która umęczona podróżą i przeżyciami zmarła następnego dnia.

Zaczęły się problemy z pogrzebem – skąd wziąć trumnę, jakiego poprosić księdza, gdzie pochować. Trumnę zrobił jeden z przesiedleńców, z desek wyrwanych ze stodoły. Ceremonię odprawił łaciński ksiądz. Mamę pochowano w samym rogu poniemieckiego cmentarza, w miejscu przeznaczonym dla topielców i samobójców. [10]

Mychajło Maruszczak (z Arłamowa)

Na początku czerwca przyjechaliśmy do Lidzbarka Warmińskiego, skąd szliśmy pieszo 23 kilometry do Dobrego Miasta. Tu pięć rodzin umieszczono w jednym budynku, tuż przy posterunku milicji. [...] Po dwóch dniach dwie rodziny, w tym naszą, zawieziono do Jesionowa. Tam powiedziano nam, wskazując na jakiś budynek: „To wasz dom”.

[...]

Otworzyłem furtkę, żeby wprowadzić krowę, kiedy, ku mojemu ogromnemu zdziwieniu, z chaty wyszedł potężny mężczyzna i zaczął krzyżeć do nas po niemiecku, żebyśmy sobie poszli. Byłem na robotach w Niemczech, więc znałem trochę ten język, zacząłem mu tłumaczyć, kim jesteśmy i jak się tutaj znaleźliśmy. Niemiec nie chciał mnie słuchać. Poszedłem do człowieka, który nas tu przywiózł. Od razu rzucił się na Niemca z krzykiem, uderzył go w pierś, zapędził do pokoju i powiedział zarówno do niego, jak i do nas: „Tu jest twoje miejsce, dopóki cię nie wysiedlimy, a cała reszta ich! Nic mu nie dać, skurwysynowi!”.

[...]

Pomału zaczęliśmy zżywać się z miejscowymi Polakami, którzy jeszcze niedawno mieszkali na Białorusi, Litwie albo w centralnej Polsce. Było też parę rodzin niemieckich. Z naszym Niemcem bardzo się zaprzyjaźniliśmy. Kiedy jesienią musiał wyjechać, wszyscy płakaliśmy.

[...]

Przyjechałem tu już zaręczony. Chcieliśmy się pobrać, a ponieważ nie było naszych księży, udaliśmy się do łacińskiego księdza w Dobrym Mieście. Kiedy dowiedział się, że jesteśmy grekokatolikami, powiedział, że nie udzieli nam ślubu dopóty, dopóki nie przyjmiemy chrztu w obrządku łacińskim. [6]

Seman Madzelan (z Binczarowej)

W końcu zatrzymaliśmy się w małym miasteczku – Chocianowie, w powiecie lubińskim. [...] Zaprowadzili nas do starego, opuszczonego majątku. Tylko cztery rodziny znalazły jakiś dach nad głową. [...] Pierwszą noc spędziliśmy pod kasztanem. Twarde to był sen po trudach upalnego dnia. Wszedło czerwone słońce nad sosnowym lasem i zajrzało wygnańcom w oczy.

Starzy ludzie zawsze budzą się wcześniej od młodych, słyhać było ich przyciszoną rozmowę. „Jaki dziś dzień, Olku?” – „Niedziela”. – „Skąd wiesz?” – „Wczoraj była sobota i wigilia świętego Jana”. – „Trzeba umaćć domy”. – „Jakie domy? Przecież nie mamy domu!” – „Może nam dziś coś przydziela”. W oddali rozległo się kukanie kukulki. „Słyszysz, Mykoło?” – „Słyszę”. – „Liczysz?” – „Co?” – „Ile będziemy żyli”. – „Ile?” – „Niedługo!” – „Nie wierz w to, dziś już świętego Jana i jej wróżba się nie spełni, bo wieczorem zmieni się w jastrzębia”. – „W jastrzębia?” – „Tak powiadają”. – „Śniło ci się coś?” – „Nie. A tobie?” – „Byłem w domu i miałem chatę leszczynowymi gałązkami, ale przyszedł nieznajomy i wszystko wdeptał w błoto; bardzo płakałem”. – „Mówią, że we śnie dobrze płakać”. – „A może, jak nie znajdą dla nas domów, to wrócimy?” – „Nie wrócimy. Po co wieźliby nas taki kawał świata”. – „Jak będziemy żyć?” – „Jakoś będziemy, niech się młodym coś dobrego trafi, bo my już nie gospodarze”.

Czy przeczuwali, że niedługo odejdą do lepszego świata, a ich dzieci będą miały wielki kłopot z pogrzebem? Pierwszego na niemiecki cmentarz powieźli Mykołaja. Woły idą powoli. [...] Ktoś rzuca kamieniem w trumnę, słyhać śmiechy. Przed cmentarną bramą stoi tłum ludzi z miejscowym proboszczem na czele. Ktoś krzyży: „Do lasu jedźcie ze swoim banderowskim ścierwem, a nie na nasz cmentarz!”. Dwóch synów Mykołaja podchodzi do tłumu – proszą, ale proboszcz jest nieubłagany. Ktoś jedzie na rowerze 6 kilometrów na posterunek milicji. Po dwóch godzinach przyjeżdża dwóch milicjantów na rowerach.

Jeden głośno czyta z „Dziennika Ustaw” przepisy dotyczące ementarzy komunalnych. Proboszcz udaje, że nie wiedział, ale nalega, żeby pochwycić „schizmatyka” na drugim końcu cmentarza, pod murem.

Wszyscy się zgadzają i tak gazda Mykołaj znad cerkwi spoczywa daleko od ojczyznej ziemi. [6]

Petro Kowal (z Miększa Nowego)

[W Wiewiórkach] Polacy byli przeważnie z Wileńszczyzny, odnosili się do nas nieprzychylnie, wręcz wrogo. Nikomu z naszych nie chcieli pomóc, ani razu nie podwieźli mamy furmanką, gdy szła do miasta. [...] Niemal codziennie przychodził do nas sołtys, jednak nie po to, żeby zapytać, czy potrzebujemy pomocy; rozglądał się tylko po kątach, czy przypadkiem kogoś nie ukrywamy.

Mama przywozła z Górowa [Haweckiego] trochę owsa, ale nie było komu go zasiał. [...] Wreszcie wrócił [z Jaworzna] ojczym. Nie był jednak jeszcze zdolny do pracy w polu. [...] Matka z ojczymem zdecydowali, że przeniesiemy się do folwarku Piasty Wielkie, w którym płacono za pracę. [...] Dawali osiemset złotych miesięcznie, można było za to kupić litr wódki. Dawali jeszcze trochę ziemniaków, ziarna i drewna na zimę. W oborze każdy miał miejsce na krowę, ale siano dla niej trzeba było już kraść z folwarcznej stodoły. W ten sposób, aby przeżyć, stawaliśmy się złodziejami. [...] Do pracy razem z rodzicami chodzili także dzieci. [...] Przez pierwszy rok nie mieliśmy za co kupić chleba. [6]

Jewhen Czubyński (z Hroszówki)

Polacy ze wsi bardzo się nas bali. Powiedziano im, że jesteśmy *rezunami*. Jednak po jakimś czasie, kiedy w okolicy osiedlili się też inni nasi ludzie – z Leska, Sanoka, Jarosławia, Lubaczowa, Białej Podlaskiej – i nikt nie mordował Polaków, w Osieku stosunki się polepszyły. [6]

Julia Szyszko (z Woli Krecowskiej)

W Asunach mieszkała też jedna polska rodzina z Wołynia. Po jakimś czasie Wołynianin powiedział do mnie: „Uciekałem z Wołynia przed Ukraińcami, a oni i tak za mną tu przyjechali”. Z Polakami żyliśmy dobrze, pomagaliśmy sobie. Po pewnym czasie ten Wołynianin wyrzucił siekiere, którą trzymał pod łóżkiem w obawie, że nasi będą mordować Polaków. Sam się do tego przyznał. [6]

Mychajło Polański (z Ulucza)

Jak długo mieliśmy siedzieć na podłodze z miską w rękach? Musieliśmy zapoznać się z miejscową ludnością i zdobyć trochę mebli. Nie było to łatwe. Po czterech dniach od naszego przyjazdu przyszło do nas małżeństwo Polaków, repatriantów z Białorusi – Anna i Władysław Bielscy. Zapoznali się z nami, a odchodząc, obiecali pomoc. Następnego dnia mieliśmy już dwa łóżka, stół, ławę i cztery krzesła. Wszystko stare i zniszczone, ale najważniejsze, że było.

Mimo że pora była już późna, rodzice postanowili coś posiać. Jeden z polskich gospodarzy zorał pole, ojciec zasiał pszenicę, posadził ziemniaki. Wszystko pożyczone i nie wiadomo było, czy obrodzi – musieliśmy jednak zaryzykować. Zamiast pszenicy wzeszło piękne zielsko, trudno było dojrzeć jakiś kłos. Ale ziemniaki obrodziły nie najgorzej. Rodzice odrabiali to, co pożyczyli u polskich gospodarzy, a odrobiwszy, zarabiali jeszcze na ziarno na chleb. [6]

Josypa Żarki (z Lachawy)

Moja rodzina trafiła z Lachawy do wsi Białe Zdrój, do czegoś w rodzaju Państwowego Gospodarstwa Rolnego. Oprócz naszej, były tam jeszcze trzy ukraińskie rodziny, a reszta – Niemcy, których Polacy zmuszali do niewolniczej pracy. Po dwóch dniach – po załatwieniu różnych formalności i spisaniu nas – my też poszliśmy do takiej pracy. Przyznali nam po trzy litry tłustego mleka na rodzinę, ale tylko do momentu przeprowadzenia spisu. Od tej pory nie dostawaliśmy już mleka, tylko grubo zmieloną kukurydzę – jak dla świń. W niedzielę Polacy jeździli do kościoła, nosili głowy wysoko, a my razem z Niemcami zostawaliśmy i szliśmy do pracy przy krowach i koniach. Byliśmy jak niewolnicy. Po pracy schodziliśmy się do jednego domu, przeważnie naszego, cicho rozmawialiśmy i płakaliśmy. Gdy chcieliśmy otworzyć okno, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza, zawsze znalazł się jakiś Polak, który rzucił kamieniem.

[...]

Zaczęliśmy wypiekać chleb, bo dostaliśmy 7 kilogramów żytniej mąki. Piekliśmy go raz w tygodniu, od razu dla wszystkich. Na środku folwarku stał ogromny piec, do którego zanosiliśmy wyrobione ciasto. Za ten chleb musieliśmy chodzić do pracy wszyscy, dorośli i dzieci. Po kilku miesiącach poszłam z bratem do kierownika z prośbą, żeby nasza mama nie musiała chodzić do pracy, że my

będziemy pracować na całą rodzinę. Po długich namowach w końcu się na to zgodził. [...]

Od czasu do czasu przyjeżdżali do nas panowie z miasta. Tacy, którzy mieli władzę i wybierali spośród naszych dziewcząt służące. Dla tych, które się zgodziły na taką „pracę”, kończyło się to bardzo źle. [6]

Wasył Spodaryk (z Hubinka)

Rozrzucał nas po powiecie lubińskim. Mieszkaliśmy razem z Polakami i naszymi Łemkami, których przywieziono tu wcześniej.

Tymczasem UB nie spało. Sołtys powiedział później, że miał święty spokój dopóty, dopóki nie przyjechali przesiedleńcy z Lubaczowszczyzny. Odtąd co drugi dzień miał w domu ubeka. Można mu było wierzyć, bo – zanim przyjechał na „Ziemie Odzyskane” – był w Armii Krajowej. [6]

Olga Sowa (z Mycowa)

Pewnego dnia, gdy wróciliśmy z tatą z pracy, w domu czekała na nas niespodzianka. Wróciła moja siostra Hania (była sanitariuszką Ukraińskiego Czerwonego Krzyża). [...] Zgodnie z ówczesnym rozporządzeniem, żeby z nami zostać, musiała się najpierw zameldować. Rano Hania poszła na dworzec, miała jeszcze wstąpić po przyjaciółkę. Jednak nie dojechała, na dworcu aresztował ją milicjant i zawiózł na UB do Bytowa. Na szczęście Hania miała przy sobie tymczasowe dokumenty, więc ją wypuścili.

[...]

Pewnej nocy ktoś zastukał w okno i zawołał Hanię. Kiedy wróciła, powiedziała, że w najbliższych dniach mają ją aresztować. Szybko ubrała się i wyszła z domu. [...] Po dwóch dniach przyjechała milicja. Zrobili przeszukanie. Aresztowali mamę, tatę i mnie [z podejrzeniem o współpracę z UPA]. [...] Mamę wypuścili po dwóch tygodniach, a nas zawieźli do Szczecina. Tam przeżyłam ciężkie śledztwo: na przesłuchania zabierali i w dzień, i w nocy, strasznie katowali. [...] Kiedy wchodziłam do pokoju przesłuchań, a na podłodze była krew, wiedziałam już, co mnie dziś czeka – przesłuchający będą torturować. [...]

Po jakimś czasie stał się cud, przestali woływać mnie na przesłuchania, ale zamknęli na dziesięć dni w izolatce. Pewnie po to, żeby zagoiły się rany na moim ciele. Kiedy trochę do siebie doszłam, zawieźli mnie do sądu. [...] Ja i tata dostaliśmy wyrok dziesięciu lat więzienia. [...] Po

uprawomocnieniu się wyroku, przewieźli nas do więzienia w Fordonie.

[...]

Po przeszło roku wyznaczili mnie do pracy – robiłam na drutach wełniane swetry, wyszywałam wojskowe pagony. [...] I tak minęło pięć lat mojego wyroku.

[...]

Po zwolnieniu pojechałam do rodziny. Z Bytowa musiałam jeszcze przejść 5 kilometrów do Dąbrówki. Serce poganiało, ale nogi szybko się męczyły. [...] Zobaczyłam na ulicy mamę, wracała do domu. Krzyknęłam. Zaczęłam biec – nie wiem, skąd wzięłam siły. Długo stałyśmy przytulone, płakałyśmy. [...] Po miesiącu wrócił tata, bardzo chudy i chory. Odnowiły się rany sprzed I wojny, kiedy siedział w więzieniu „Brygidki” [we Lwowie], też za ukraińską sprawę. [11]

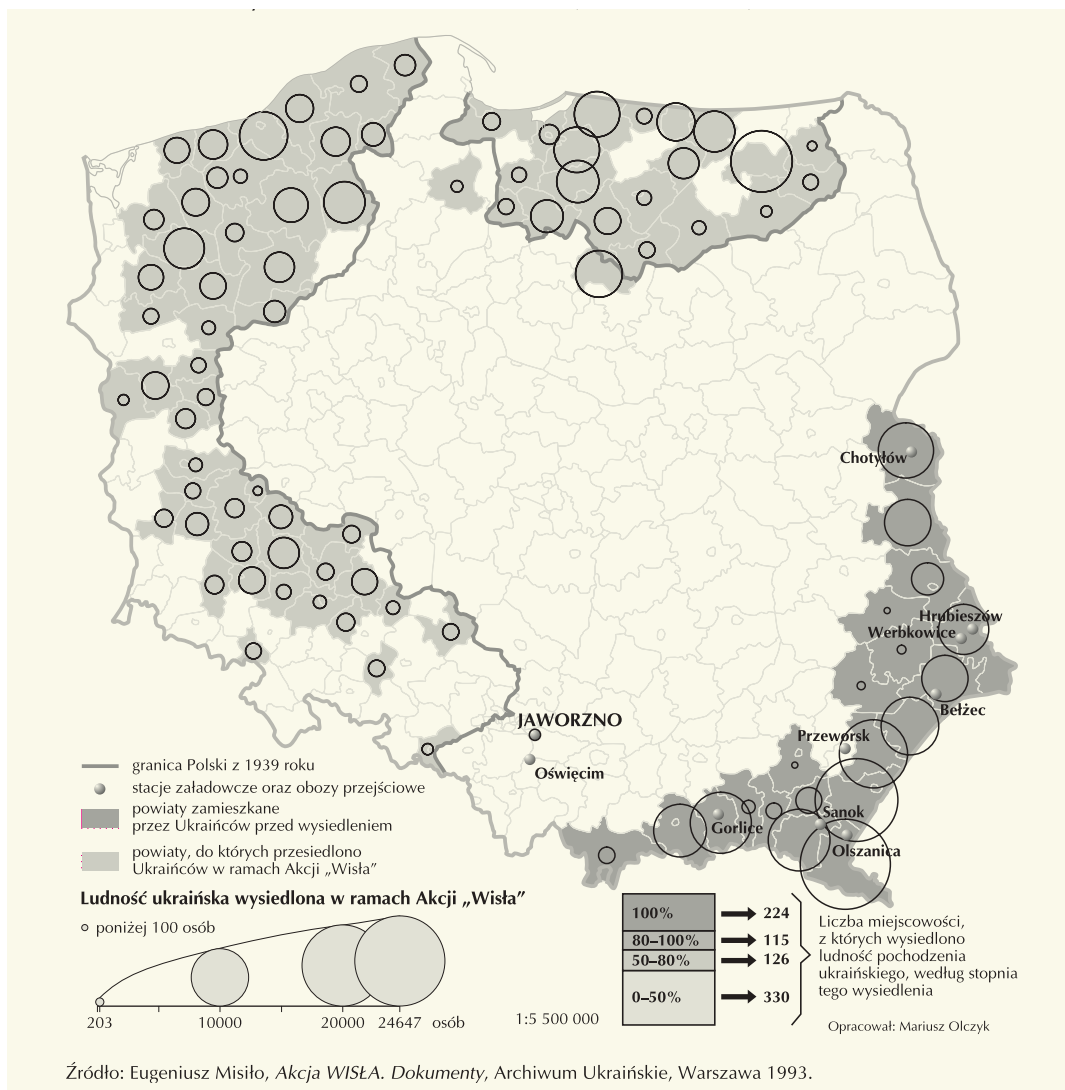
Mychajło Polański (z Ulucza)

Pewnej nocy tata nie mógł zasnąć. Wyszedł na podwórze. Pod lasem nieopodal naszego domu dostrzegł ognik papierosa. Domyślił się, w czym rzecz. Gdy któregoś dnia [sąsiad] Bielski przyszedł do nas, ojciec zapytał go, co Polacy robią w nocy w krzakach pod lasem. Bielski zmieszał się, ale po chwili odpowiedział, że z polecenia sołtysa wypatrują, czy w nocy nie przychodzą do nas jacyś Ukraińcy. Poprosił, żeby ojciec nie mówił nikomu o ich rozmowie, lecz sam prawdopodobnie tajemnicy nie dochował, gdyż od tej pory nikt w nocy nie zbliżał się do naszego domu. [6]

Maria Łucaś (ze Żniatyna)

Wreszcie dzieci poszły do szkoły. [...] Syn przyszedł do mnie i powiedział, że nauczycielka kazała zrobić ilustrację, jak banderowcy napadają na samochód, którym jechał generał Świerczewski – mieli być z pałkami, zarośnięci. Syn z płaczem pytał, jak ma to narysować. Powiedziałam mu, żeby zrobił wedle życzenia nauczycielki – samochód, pełno wojska, a naszych partyzantów z pałkami i brodami; niech mają, skoro tego chcą. I dzieci tak narysowały, choć wiedziały, że to nieprawda.

Syn miał iść na religię. Po południu wyszłam w pole, a tam na kopcu siedzi syn. „Synku, co ty tu robisz?” Rozplakał się: „Mamo, mieliśmy się nauczyć *Wierzę w Boga Ojca*, a ja nie umiem i dlatego nie poszedłem na religię”. Powiedziałam mu, żeby na drugi raz się nauczył, a jak nie, to niech powie po ukraińsku.



↑ Wysiedlenie ludności ukraińskiej w ramach akcji „Wisła”

Trzy lata później drugi syn po powrocie z lekcji religii powiedział, że ksiądz pytał, kto zna na pamięć *Wierzę w Boga Ojca*. Okazało się, że nikt nie umie. „A ja wstałem i powiedziałem po ukraińsku. Dostałem piątkę”. [6]

Maria Matczak (z Grabowca)

Nasz dziadek, tato naszej mamy, pochodził z mieszanej rodziny. Jego siostry były Ukrainkami, dziadek i jego rodzony brat Polakami. Tak ich wychowali rodzice. Dziadek był przeciwny takim podziałom w rodzinie i dlatego własne dzieci – dwie córki i dwóch synów – ochrzcił w Cerkwi, a ich

wychowanie powierzył żonie, Ukraince. Co niedziela i w święta chodził do polskiego kościoła, który znajdował się w oddalonej o 2 kilometry Michałowce. Tam mógł porozmawiać po polsku, bo w naszej wsi nie było to możliwe.

Jakiś czas po wysiedleniu naszych sąsiadów na „Ziemie Odzyskane” (naszej rodziny nie wywieźli, bo dziadek był Polakiem i miał niemiecką kenkartę; ale nasz tato był w Jaworznie), mama opowiedziała nam, że widziała, jak dziadek u sąsiada śpiewał: „Jeszcze Polska nie zginęła...”. Mówiła, że wyciągał przy tym szyję jak gąsior – nie mogła poznać rodzzonego ojca, aż ciarki przeszły

jej po plecach. Przy jakiejś okazji zaczęliśmy z dziadka po cichu żartować, a on wyprostował się i powiedział do mamy: „Nie pamiętasz już, jak za Niemca śpiewałaś «*Szcze ne wmerła Ukraina*» i też wyciągałaś szyję?”. Na szczęście w tej chwili ktoś do nas przyszedł i rozmowa się urwała. Nigdy nie wróciliśmy do tego tematu. [10]

Pierwszy transport wysiedlonych podczas akcji „Wisła” wyruszył ze stacji kolejowej Szczawne w powiecie sanockim i przez Oświęcim dotarł 3 maja 1947 do Słupska. Ostatni transport wyjechał ze stacji Zwierzyniec i 12 sierpnia dotarł do Białogardu.

Według danych Sztabu Generalnego WP, w czasie akcji „Wisła” wysiedlono 140 575 Ukraińców (w tym Łemków) i członków rodzin mieszkających zamieszkałych na terenie trzech województw (22 powiatów) – krakowskiego, rzeszowskiego i lubelskiego. Zostali osiedleni na terenie dziewięciu województw (w 71 powiatach). Dane

te nie uwzględniają Ukraińców wysiedlonych już po zakończeniu akcji „Wisła”, głównie z województwa lubelskiego oraz ofiar represji zarówno wśród ludności cywilnej, jak i członków podziemia. W ciągu niespełna czterech miesięcy polskie sądy wojskowe skazały w trybie doraźnym co najmniej 315 Ukraińców, w tym 173 na karę śmierci. Do obozu koncentracyjnego w Jaworznie trafiły 3873 osoby, w tym ponad 700 kobiet i dzieci. W obozie z powodu głodu, chorób i tortur zginęło 160 Ukraińców.

—
**WYBRAŁA, PRZEŁOŻYŁA Z UKRAIŃSKIEGO
 I PODAŁA DO DRUKU
 Maria Buczyło**

Dziękujemy za pomoc w przygotowaniu materiału Bohdanowi Hukowi, Eugeniuszowi Misile oraz dr. hab. Grzegorzowi Motyce. (RED.)

Materiał pochodzi z „Karty” nr 49/2006.

ŹRÓDŁA WYKORZYSTANE W TEKŚCIE

1. Bogna Bartnicka, Sylwia Czepkowska, *Zebraliśmy się po to, aby przetrwać*, praca w 6. konkursie „Historii Bliskiej” – *Obcy wśród swoich. Doświadczenie XX wieku*, sygn. 0138-Z/2002.
2. Petro Lewko, *Selo Werbycia... Załyszylas' lysz smuha pamjati*, Lwów 1998.
3. Marta Mazur, Małgorzata Michalczyk, Katarzyna Tymbarska, Anna Wąjs, *Dom po drugiej stronie Wisły*, praca w 6. konkursie „Historii Bliskiej” – *Obcy wśród swoich. Doświadczenie XX wieku*, sygn. 0206-Z/2002.
4. Kateryna Mudra, *Szcze raz pro Jaworzno*, „Nasze Słowo” 2002, nr 23.
5. Michał Pliszka, *Wyrwani z korzeniami*, praca w 4. konkursie „Historii Bliskiej” – *Rodzina w wirach historii*, sygn. 0747-1/2000.
6. 1947. *Propamjatna knyha*, red. Bohdan Huk, Warszawa 1997.
7. Relacje Anny Szewczyk, Teodora Szewczyka i Mikołaja Sokacza nagrane i spisane przez Jerzego Starzyńskiego w listopadzie 1990, Archiwum Wschodnie (AW), I/790.
8. Relacja Marii Szyroń nagrana i spisana przez Jerzego Starzyńskiego we wrześniu 1990, AW, I/811.
9. Relacje zebrane w Archiwum Ukraińskim w Warszawie przez Eugeniusza Misilę.
10. Relacje zgromadzone w archiwum Bohdana Huka w Przemysłu.
11. Olha Sowa, *Tilky z wiroju nadzieju i liubowiju*, „Nasze Słowo” 2002, nr 18.

1 Państwowa Komisja Bezpieczeństwa została utworzona w okresie przygotowań do referendum w 1946 roku, w celu koordynacji działań jednostek WP, KBW, WOP, UB, MO, ORMÓ w walce z polskim podziemiem niepodległościowym i UPA.

2 Organizacja społeczna założona w 1868 roku we Lwowie w celu szerzenia oświaty i wzmocnienia ukraińskiej świadomości narodowej.

O akcji „Wisła”

S podziwaliśmy się tego: gwałtownych, agresywnych reakcji na opis zła, jakie w 1947 roku przyniosła akcja „Wisła”. Dlatego też zawczasu, niemal rok wcześniej, postaraliśmy się dopełnić w „Karcie” 46 zarysowany już wcześniej obraz bestialskich działań Ukraińców na Wołyniu, głównie latem 1943. To nie tylko wnikliwy obraz apokalipsy, jaką strona ukraińska zgotowała Polakom w tamtym czasie, ale też szczegółowa analiza dr. Grzegorza Motyki, odśladająca kulisy decyzji, jakie wobec ludności polskiej podjęło kierownictwo Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Słusznie uciekinierzy z tamtych terenów denerwowali się przez lata, że przemilcza się drastyczne ówczesne straty.

W „Karcie” 49 przedstawiliśmy akcję „Wisła” widzianą przez jej ofiary – Ukraińców.

Wydaje się nam, iż los człowieka poddanego procesowi historycznemu najlepiej oddaje charakter danego zjawiska. Nie dyskutowaliśmy więc z historykami, którzy w tym wypadku często wchodzą w rolę ideologów, ale oddaliśmy głos samym świadkom. Wychodzimy z założenia, że ofiary rzadko mijają się z prawdą...

No i doczekaliśmy się potępieńczego chóru. Prezentujemy najbardziej kateryczne wypowiedzi, przywołujące nas do porządku. Na końcu odpowiada na nie autorka opracowania, Maria Buczyło.

Najbardziej szokujące jest w podanych listach, że żaden z autorów nie dostrzegł opisanego w „Karcie” 49 cierpienia Ukraińców. Ono nie ma znaczenia? Tylko nasz, polski los jest ważny? Tak mielibyśmy budować pojednanie?

Najpierw trzeba by się wyzbyć własnej nienawiści. (ZBIGNIEW GLUZA)

TADEUSZ FILIPKOWSKI, rzecznik prasowy Światowego Związku Żołnierzy AK

Z zaskoczeniem przeczytaliśmy na łamach „Karty” tekst autorstwa Marii Buczyło pt. *Wypędzić, rozproszyć*. Z zaskoczeniem tym większym, iż razem organizowaliśmy prace historyków polskich i ukraińskich, a KARTA wydała dziesięć tomów zawierających materiały będące plonem organizowanych wspólnie konferencji. Tomy te zawierają wszystkie istotne szczegóły związane z akcją „Wisła”, będące naukowymi ustaleniami znaczących grup naukowców obu krajów. Zdaniem Zarządu Głównego Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej,

tekst Marii Buczyło fałszuje (lub ukrywa) prawdę i wprowadza czytelnika w błąd.

Uważamy, że autorka, a jeżeli ona tego nie zrobiła, to Redakcja winna powiadomić czytelnika, że w latach 1943 i 1944 przez Bug i San uciekały z Wołynia i Małopolski Wschodniej dziesiątki tysięcy śmiertelnie zagrożonych przez UPA rodzin polskich. Ci uciekinierzy swymi relacjami budzili zgrozę, ale i rozniecali nienawiść do Ukraińców, szczególnie do UPA. Uciekinierzy nie tylko opowiadali o utracie swoich bliskich, ale też o okrutnej śmierci, jaka była ich udziałem. Ci Polacy uciekali w nieznanne, a nie byli przewożeni pociągami na

poniemieckie gospodarstwa, z żywym i martwym inwentarzem, jak potem Ukraińcy w 1947 roku.

Maria Buczyło lituje się nad 150 tysiącami przesiedlonych Ukraińców, ale nie uznała za stosowne wspomnieć o przyczynach, które to przesiedlenie spowodowały – że to kilkuletnie antypolskie działania UPA były praprzyczyną akcji przesiedleńczej. Sądzimy, że warto było także poinformować czytelnika, iż na początku 1944 roku przez Bug i San przepравиło się ze wschodu 11 sotni UPA, właśnie tych, które dokonywały rzezi Polaków. Te sotnie wywołały z tej strony granicy krwawą polsko-ukraińską wojnę, którą zakończyła dopiero akcja „Wisła”.

Maria Buczyło nie pisze nic o tysiącach cywilnych Polaków i Ukraińców, którzy co roku ginęli w czasie tej lokalnej wojny. Według niej państwo polskie, obojętnie o jakim ustroju, powinno było przyglądać się beczynnemu, jak będą ginąć następni mieszkańcy tej części Polski.

STANISŁAW SZMIDT (Bydgoszcz)

To, co piszecie w tekście Marii Buczyło *Wypędzić, rozproszyć*, zakrawa na wrogą działalność przeciw narodowi polskiemu.

Jak można cytować blisko sto wypowiedzi Ukraińców, dawnych mieszkańców wschodniej części dzisiejszej Polski, bez żadnego komentarza! Jak można pisać tylko o bestialstwach polskich żołnierzy, pomijając oczywiste fakty!

Trzech moich bliskich kolegów z tajnego nauczania i z AK z okresu okupacji (dając gwarancję ich prawości) zginęło w latach 1945–48 z rąk oprawców z UPA. W Ich imieniu żądam wyjaśnienia na łamach „Karty”, że żołnierze z UPA wywodzili się w większości ze sługusów hitlerowskich Niemiec. Wcześniej mordowali Żydów w Bełżcu i w innych obozach zagłady, mordowali Polaków z Podola i Wołynia, służyli w Waffen SS, mordowali po 1945 roku własnych rodaków, którzy odmawiali wstąpienia do oddziałów partyzanckich UPA, a gdy nie mogli ich osiągnąć, mordowali ich rodziny.

Nigdy nie byłem zwolennikiem władzy ludowej, ale uważam, że zlikwidowanie w ramach akcji „Wisła” zaplecza dla band UPA było jedynym rozwiązaniem, aby uspokoić rejon Bieszczad i ocalić tysiące ludzi, chcących być lojalnymi obywatelami.

Tekst Marii Buczyło przedstawia w krzywym zwierciadle stosunki polsko-ukraińskie i wprowadza wielu ludzi – i Polaków, i Ukraińców – w błąd.

Nie można bezkarnie fałszować historii. Nie godzi się tego czynić na łamach czasopisma historycznego.

DAMIAN KAROL MARKOWSKI (z Koła Miłośników Lwowa i Kresów Wschodnich przy Instytucie Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego)

Jako osoba zajmująca się zawodowo historią i tkwiąca w temacie stosunków polsko-ukraińskich, z przykrością stwierdzam, że zarówno dobór relacji, jak i sam komentarz [Marii Buczyło] są wybiórcze i stronnicze. Zbagatelizowano w ten sposób zagrożenie w Polsce południowo-wschodniej płynące z faktu istnienia w Bieszczadach zwartych grupowań UPA.

Pragnę zwrócić uwagę, iż akcja „Wisła” wymaga obiektywnego podejścia, by uzyskać prawdziwy obraz tamtych wydarzeń. Niestety, wyżej wspomniany tekst takiego podejścia nie prezentuje. Wszystkie relacje są autorstwa ukraińskich mieszkańców wysiedlonych wsi. Nie pofatygowano się o zamieszczenie chociażby jednej relacji strony przeciwnej. Wynik takiego postępowania może być jeden – wprowadzenie w błąd tysięcy czytelników i zupełnie nieobiektywny przekaz własnej wizji akcji „Wisła”.

Historyczny wstęp autorki utrzymany jest w podobnym tonie. Zacytowany tam wyrwany z kontekstu fragment projektu akcji wysiedleńczej („ostatecznie rozwiązać problem ukraiński w Polsce”), podany został bez szerszego wytłumaczenia, że chodzi tu o zlikwidowanie UPA i mocno zniekształca cel akcji.

Poważne zastrzeżenia wysuwam także do terminologii, jaką widzimy w przytoczonych w artykule relacjach. Wysiedlani Ukraińcy mówią o banderowcach i UPA jako o „powstańcach” i „podziemiu”. Obawiam się, że mamy tu do czynienia z grą na uczuciach czytelników, którym słowa tego pokroju kojarzyć się muszą pozytywnie z wiadomymi przyczyn.

W tekście widnieje zdanie: „Po zakończeniu deportacji do USRR ataki partyzantów ukraińskich na oddziały Wojska Polskiego i posterunki milicji były rzadsze, wyraźnie malały straty ponoszone przez polską ludność cywilną”. Dalej Autorka powołuje się na dane mówiące, że w 1947 roku w wyniku działań UPA zginęło tylko 16 osób. Szkoda, że nie podaje źródła tych informacji. Bieszczadzkie wioski, położone w dolinach przecinających rozległe pasma górskie, są trudno dostępne nie tylko

w czasie wojny. Zamieszkane przez przychylną banderowcom ludność ukraińską i (w mniejszym stopniu) lemkowskią, stanowiły bastion, zaplecze ludzkie i żywnościowe dla sotni i kureni UPA. Oddziały nacjonalistów ukraińskich utrzymałyby się w tym rejonie znacznie dłużej, gdyby nie akcja wysiedleńcza.

„Niejednokrotnie, zwłaszcza w pierwszej fazie, akcja miała brutalny przebieg”. W istocie, podczas wysiedleń na skutek niesubordynacji dochodziło do pobić i gwałtów, jednak nie miały one charakteru jakiejś fali terroru antyukraińskiego, co tekst sugeruje. Autorka ubolewa nad ofiarami akcji pacyfikacyjnej, aczkolwiek nawet słowem nie wspomina o kilku tysiącach Polaków z bieszczadzkich wiosek i południowej Rzeszowszczyzny w bestialski sposób zamordowanych przez siły UPA kwatrujące nie gdzie indziej, ale właśnie we wsiach ukraińskich i lemkowych, które zostały objęte pacyfikacją.

Opracowywanie wszelkich materiałów i prac naukowych na temat wydarzeń pokroju akcji „Wisła” wymaga odpowiedniej wiedzy, daleko posuniętego sceptycyzmu w odniesieniu do źródeł i relacji oraz – co najważniejsze – spojrzenia na omawianą sprawę z więcej niż jednego punktu widzenia. W przypadku wspomnianego tekstu zwłaszcza ostatnia zasada nie została zachowana.

Akcja „Wisła” i stosunki polsko-ukraińskie w pierwszych powojennych latach to kwestia, której zrozumienie i przyjęcie do wiadomości wymaga wiele dobrej woli z obu stron, chęci uzyskania maksymalnie obiektywnej prawdy historycznej. Ubolewam, że prace o nastawieniu podobnym, jakie występuje w niniejszym tekście, nie tylko nie służą prawdzie, ale i oddalają ewentualne polsko-ukraińskie porozumienie.

OD AUTORKI

Głosy dotyczące akcji „Wisła” nie zaskoczyły mnie. Pojawiające się w nich argumenty stały się już niejako mantrą powtarzaną przy każdej dyskusji o stosunkach polsko-ukraińskich w XX wieku. Jednakże za każdym razem, kiedy dyskusja przybiera taki właśnie ton, odczuwam smutek. Nie potrafimy czytać zapisu cierpienia innych ludzi jako świadectwa cierpienia po prostu, bez relatywizowania, choć wymagamy, aby o naszym, polskim cierpieniu tak właśnie pisano i tak je interpretowano – bez dociekania „praprzyczyn”, bez dopuszczania głosu drugiej strony.

Zdumiewające jest to, że autorzy tych listów nie dostrzegają, że w jakimś sensie stosują odpowiedzialność zbiorową i zasadę usprawiedliwiania zła innym złem. Intencja i forma tamtego tekstu była przecież oczywista. Jest to zapis przeżyć konkretnych ludzi – Ukraińców. Jako zbiorowe świadectwo ofiar tych wydarzeń nie musi być zbiektywizowany, a dodanie do niego relacji strony przeciwnej, czyli polskiej, przeczyłoby istocie tego tekstu.

W listach pojawiają się zarzuty o braku rzetelnego komentarza historycznego, o fałszowaniu historii, a także zignorowaniu plonów konferencji historycznych z cyklu „Polska–Ukraina: trudne pytania” (ogłaszanych drukiem przez KARTĘ), które „zawierają wszystkie istotne szczegóły związane z akcją «Wisła»”. Otóż w tomie 8, zawierającym materiały VIII międzynarodowego seminarium historycznego „Stosunki polsko-ukraińskie w latach II wojny światowej”, poświęconego przede wszystkim przesiedleniom Polaków i Ukraińców, w tym akcji „Wisła”, w protokole uzgodnień i rozbieżności między historykami polskimi i ukraińskimi pojawia się znamieny zapis: „Ze względu na znaczne rozbieżności między historykami polskimi i ukraińskimi w sprawie tematów *Geneza i przebieg akcji „Wisła”* oraz *Polityczne, ekonomiczne i narodowościowo-demograficzne następstwa akcji „Wisła”* postanowiono, że uzgodnienia i rozbieżności zostaną sformułowane na IX seminarium, po uprzednich konsultacjach historyków”. Przebieg debaty podczas IX spotkania polskich i ukraińskich historyków, jak również ostateczny kształt protokołu uzgodnień i rozbieżności dobitnie świadczą o tym, że kwestia przyczyn i przebiegu akcji „Wisła” nie jest tak oczywista, jak to przedstawiają autorzy listów.

Rozbieżności w tej sprawie nie mają charakteru narodowego. Wśród polskich historyków można bowiem wyodrębnić dwie grupy – zwolenników tezy o konieczności przeprowadzenia akcji „Wisła” oraz tych, którzy stoją na stanowisku, że przymusowych wysiedleń nie można usprawiedliwić.

Koronnym argumentem pierwszych jest to, że akcja ta była niezbędna do zlikwidowania podziemia ukraińskiego w Polsce. Nie odnoszą się jednak przy tym do argumentów strony przeciwnej, że podziemie polskie i UPA w USRR, silniejsze i działające na większym terenie, zniszczono bez uciekania się do przesiedleń, nie odpowiadają na

pytanie, dlaczego – jeśli akcję „Wisła” przeprowadzono tylko w celu zwalczania UPA – wysiedlono Łemków, którzy w większości nie popierali podziemia ukraińskiego, i po co prowadzono wysiedlenia jeszcze w latach 50., gdy partyzantka ukraińska już nie działała.

Niejasna jest również odpowiedź na zasadnicze w tym kontekście pytanie o liczebność partyzantów, ponieważ niejednokrotnie liczby są zawyżane. Znaczący autor wydanej niedawno książki *Ukraińska partyzantka 1942–1960* dr Grzegorz Motyka, przytacza następujące dane: „W rzeczywistości siły UPA wynosiły wiosną 1947 roku około 1400–1500 partyzantów. Do partyzantów UPA należy jeszcze doliczyć 200–250 członków BSB [Bojówek Służby Bezpieczeństwa] oraz kilkuset członków siatki cywilnej z bronią. Oddziały SKW [Kuszczych Oddziałów Samoobrony] w praktyce w tym okresie już się nie liczyły, a w siatce cywilnej tylko część członków była uzbrojona. Daje to nam razem ok. 2–2,5 tys. ludzi pod bronią. Widać wyraźnie, że współczynnik sił ukraińskich do polskich wynosił w liczbach bezwzględnych 1:10, a w istocie był jeszcze większy: WP [Wojsko Polskie] i KBW [Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego] miały bowiem większe zdolności manewrowania i mogły osiągnąć w wybranym regionie przewagę jeszcze większą, szczególnie gdy dodamy do tego lepsze uzbrojenie, zaplecze, wreszcie wsparcie lotnictwa i czterech pociągów pancernych. Do tego jeszcze dochodziły jednostki czechosłowackie i sowieckie blokujące granicę”^{*}.

Wysiedlono przeszło 140 tysięcy osób, żeby rozgromić niecałe 3 tysiące partyzantów? Czy w celu przeprowadzenia operacji naprawę tylko przeciwko partyzantom UPA nie wystarczyłoby stworzenie w wielu wsiach garnizonów wojskowych, które blokowałyby kontakty między miejscową ludnością i partyzantami, czyli możliwość pozyskania żywności? Ponadto mechanizm osiedlenia Ukraińców na Ziemiach Zachodnich i Północnych – w rozproszeniu, rozdzielając mieszkańców poszczególnych wsi; a także polityka władz wobec społeczności ukraińskiej po akcji „Wisła” – dowodzą, że wysiedlono ponad 140 tysięcy osób, gdyż chciano pozbyć się Ukraińców z terenów południowo-wschodnich i doprowadzić do tego, aby

rozrzuć wśród ludności polskiej szybko ulegli asymilacji, dzięki czemu problem mniejszości ukraińskiej zostałby ostatecznie rozwiązany.

Maria Buczyło

Materiał pochodzi z „Karty” 51/2007.

Tekst Akcja „Wisła”. Wypędlę, rozproszyc („Karta” 49) wywołał komentarze, które zamieściliśmy w poprzednim numerze. Dyskusja, jaką ta sprawa wywołała, ma znacznie szerszy charakter – dotyczy fundamentów w relacjach między Polską a Ukrainą. Przedstawiona tu wymiana racji dyskusji nie kończy. Czekamy na kolejne głosy. Zebrane do października br. dalsze opinie (także, mamy nadzieję, ukraińskie), przedstawimy w „Karcie” 54. (RED.)

CZESŁAW CYWIŃSKI, prezes Światowego Związku Żołnierzy AK, do Zbigniewa Gluzy, prezesa Ośrodka KARTA

Szanowny Panie Prezesie,

Bardzo dziękuję Panu za spełnienie naszej prośby i zamieszczenie w 51 numerze „Karty” naszego krytycznego listu dotyczącego artykułu Marii Buczyło *Akcja „Wisła”*, zamieszczonego w „Karcie” 49. Dołączył Pan też dwa inne listy krytyczne w tej sprawie.

Umieszczony na końcu „głos od Autorki” wykazuje, że pani Buczyło nie przyjęła żadnej z tych krytycznych uwag i widocznie uważa, że Jej ujęcie tematu nie wymagało zmiany. Nie będziemy więc odnosić się do tej sprawy i ponownie tłumaczyć Jej błędne, według nas, stanowisko.

Natomiast chciałbym zatrzymać się wyłącznie na wstępie przez Pana napisanym. Stwierdzenia w tym wstępie zawarte poruszyły nas do tego stopnia, że zastanawialiśmy się przez chwilę, czy to Pan jest rzeczywistym autorem tego wstępu. Znamy się wiele lat, wiele lat współpracujemy ze sobą.

Grzegorz Motyka, *Ukraińska partyzantka 1942–1960*, Warszawa 2006, s. 588–589.

KARTA była i jest bliskim nam współorganizatorem naszych seminariów „Polska–Ukraina: trudne pytania”. Pan był pierwszym pomysłodawcą i organizatorem konferencji historyków polskich i ukraińskich w Podkowie Leśnej w 1994 roku. Przez lata obserwowaliśmy budzącą uznanie pracę KARTY, jej pomysliwość i skuteczność. A teraz, czytając ten wstęp, nie możemy zrozumieć, co się stało.

Oto przytoczone zdania umieszczone tam, budzące te odczucia:

„Spodziewaliśmy się tego: gwałtownych, agresywnych reakcji”.

Przeczytaliśmy kilka razy wszystkie trzy listy i nie znaleźliśmy w nich żadnej gwałtownej agresji. Jest krytyka, jest inne zdanie o tym, jak powinno się konstruować tego typu artykuły. Są pytania, dlaczego głos w artykule mają tylko Ukraińcy, a nie ma polskich świadków. Ale agresji nie znaleźliśmy.

Bardzo Pana proszę o podanie, o jakiej i przeciwko komu skierowanej agresji Pan myślał, pisząc to zdanie. Przeciwno Marii Buczyło? Przeciwno Ukraińcom? Wypadałoby zacytować te rzekomo agresywne reakcje.

„Nie dyskutowaliśmy więc z historykami, którzy w tym wypadku często wchodzi w rolę ideologów, ale oddaliśmy głos samym świadkom. Wychodzimy z założenia, że ofiary rzadko mijają się z prawdą”.

Panie Prezesie! Więc Pan uważa, że to nie historycy są najbardziej powołani do wyrokowania w sprawach wydarzeń mających miejsce przed sześćdziesięciu laty, tylko świadkowie? Naprawdę uważa Pan, że historycy „często wchodzi w rolę ideologów” i można ich nie dopuszczać do głosu? Na tej podstawie odbiera Pan prawo głosu historykom obu krajów? Odbiera Pan prawo do zabierania głosu nie tylko historykom, ale i świadkom polskim. Nie uważa Pan też za stosowne powiadomić czytelnika, że akcja była skierowana przeciwko tym, którzy cztery lata wcześniej wymordowali prawie 100 tysięcy Polaków i wygnali w nieznaną wielokrotnie więcej?

Ani słowem komentarza nie poinformował Pan czytelnika, że wysiedleni Ukraińcy byli wsparciem dla OUN i UPA i bez tego wsparcia nie byłaby potrzebna żadna akcja „Wisła”.

Pisze Pan dalej: „No i doczekaliśmy się potępiącego chóru”.

Bylibyśmy wdzięczni za wskazanie nam, które słowa, zdania czy akapity są tym potępiącym głosem w chórze.

Stawia Pan zarzut, że (w domyśle: dla nas) „tylko nasz, polski los jest ważny”. Ciśnie mi się na myśl zdanie, że dla niektórych ważny jest tylko ich, ukraiński los: 140 tysięcy przesiedlonych, a nie 100 tysięcy zamordowanych i wielokrotnie więcej Polaków wypędzonych w nieznaną.

Pyta się Pan: „Tak mielibyśmy budować pojednanie?”! Kogo Pan o to pyta? Jedynym aktem niezbędnym dla usunięcia przeszkody stojącej jeszcze na drodze dalszego, pożądanego naszego zbliżenia jest potępienie przez Ukrainę i Ukraińców zbrodni dokonanej przez OUN i UPA przeciwko ludności polskiej w 1943 i 1944 roku. Polska nie ma na swoim sumieniu żadnej zbrodni przeciwko Ukraińcom. Nawet konieczne wysiedlenie 140 tysięcy Ukraińców zostało potępione już w 1990 i 1998 roku przez polski Senat i dwustu intelektualistów, plus liczne przeprosiny prezydenta Kwaśniewskiego. Nic podobnego ze strony ukraińskiej nie miało miejsca.

Ani Państwo Ukraińskie, ani żyjące pokolenia Ukraińców nie miały żadnego związku ze zbrodnią przeciwko narodowi polskiemu. Jednak liczymy na jej potępienie. Jeżeli go nie będzie, to by znaczyło akceptację tej zbrodni.

I dalsze Pana zdanie: „Najpierw trzeba by się pozbyć własnej nienawiści!” Czy mógłby Pan określić, czyją i do kogo nienawiść ma Pan na myśli?

List mój będzie dla Pana prawdopodobnie zaskoczeniem. Ale bardzo nam zależy na współpracy z KARTĄ i chcielibyśmy spróbować dojść do jednakowych lub chociaż zbliżonych poglądów. Proszę ten list traktować jako nasze stanowisko w sprawie niekończącej się kontrowersji między Polską a Ukrainą. Bez próby dojścia do uzgodnienia poglądów, mogłyby pojawić się w naszej współpracy niepożądane utrudnienia.

WARSZAWA, 29 CZERWCA 2007

ZBIGNIEW GLUZA, w odpowiedzi

Szanowny Panie Prezesie, Szanowni Państwo,

Dziękuję Światowemu Związkowi Żołnierzy AK za ten list. Jego tonacja daje nam wspólnie szansę na poważną rozmowę o tej kwestii... Nie w sprawie „niekończącej się kontrowersji między Polską a Ukrainą”, ale niezwykle istotnej, bardzo głębokiej – jak się okazuje – różnicy w widzeniu stosunków polsko-ukraińskich. Czytelna intencja Państwa listu pozwala mi przyjąć, iż nie było w tym sugestii, że pisząc komentarz w „Karcie” 51, występowałem w imieniu Ukrainy.

Ja także bardzo sobie cenię współpracę ze środowiskiem żołnierzy Armii Krajowej. A fakt kontynuowania przez Wasz Związek dialogu z Ukraińcami w cyklu seminariów „Stosunki polsko-ukraińskie w latach II wojny światowej”, które nam udało się ledwie zainspirować w 1994 roku – uważam za wielki sukces ŚZŻAK. Seria „Polska – Ukraina: trudne pytania” jest naszym wspólnym dziełem, dokonywanym we współdziałaniu obu organizacji (jakże często bez pomocy państwa!), jednak nasze motywacje, zdaje się, są odmienne.

Tym razem mamy okazję zatrzymać się przy tym, co nas różni. W „Karcie” 51 moja reakcja – jak teraz rozumiem – była może zbyt gwałtowna i nie posłużyła wyjaśnieniu naszego widzenia sprawy, wyostrzyła polaryzację stanowisk. Dziwię się raczej, iż tak zupełnie zignorowane zostały rzeczowe argumenty Marii Buczyło, odpowiadającej na zamieszczone poprzednio listy (tych racji nie będę tu powtarzał). Wszystko wskazuje na to, że mamy do czynienia z problemem fundamentalnym, dotyczącym i istoty przeszłych zdarzeń, i postaw współczesnych.

Że tamte trzy listy nie były potępieniem chórem? No cóż, agresji nie było w słowach, w samej formie tych listów, ale ich sens był wybitnie dyskwalifikujący. Państwo nie widzicie agresji w zdaniu: „To, co piszecie [...] zakrawa na wrogą działalność przeciw narodowi polskiemu”? Listy są jednobrzmiące; po prostu odrzucają zasadność obrazu, który przedstawiliśmy w „Karcie” 49.

Nadal stanowczo twierdzimy, że nasza publikacja o akcji „Wisła” daje prawdziwy obraz tamtego wydarzenia, a zarazem – służy porozumieniu polsko-ukraińskiemu. To nie był przypadek, że opowiadali wyłącznie Ukraińcy – chcieliśmy to zobaczyć ich oczami, zrozumieć, co im wówczas zrobiono. Nie włączaliśmy do tamtego montażu relacji „ideologizujących”, próbujących uogólniać – miał to być zapis samych faktów. Nie spotkaliśmy się dotąd z żadnym głosem kwestionującym ich prawdziwość.

Chodziło właśnie o to, by świadkowie nie „wyrokowali”, jak to czasem w tej sprawie robią historycy. Zależało nam także, by ci wszyscy, którzy z takim spokojem mówią o niezbędności tamtej akcji, spojrzeli wprost w jej przebieg. Ale okazuje się, że patrzą bez empatii, bez współodczuwania, twardo powtarzając: „Tak musiało być!”. Gdy myślę o tym zaciętym, stanowczym potępieniu

nawet ewidentnie niewinnych osób ogarniętych akcją, dochodzę do wniosku, że mamy do czynienia z nienawiścią, która nie mija... A póki trwa na znaczącą skalę, żadnego porozumienia nie będzie. Może być co najwyżej „zbliżenie stanowisk”. Jak podczas seminariów „protokoły uzgodnień i rozbieżności”.

Czy naprawdę nie czas już krytyczniej spojrzeć (jak wielu polskich historyków) na tamto komunistyczne uzasadnienie akcji „Wisła”. Już dostatecznie udokumentowano jego propagandowy charakter (wyjaśniała to Maria Buczyło). Czyż nie jest dziwne, że przy powszechnej zgodzie co do potępienia stalinowskiej polityki powojennego państwa polskiego, ta akurat jej składowa bywa akceptowana.

Dla nas najważniejszym pytaniem jest: „Jak było?”. Na to pytanie odpowiadaliśmy montażem Marii Buczyło. Wszystkie Państwa zastrzeżenia dotyczą zaś kontekstu. Mimo naszych wyjaśnień, ciągle te same argumenty: nie piszecie o „Wołyniu”! Otóż piszemy, ale osobno (także głosami świadków, tam akurat: tylko Polaków). Nie porównujemy mordowania z wysiedlaniem. Nie piszemy o związkach przyczyn i skutków różnych etapów w stosunkach polsko-ukraińskich (można by przez stulecia...), ale o istotnym wymiarze każdego z nich. Póki trwają tak mocne emocje po obu stronach, nie da się inaczej zrozumieć przeszłości. Po każdej ze stron można wykrzyzczyć dawną podłość drugiej strony, tylko – po co?

„Polska nie ma na swoim sumieniu żadnej zbrodni przeciwko Ukraińcom”? Jakżebym chciał wierzyć w te słowa! Jakżebym chciał z podniesioną głową mówić: „Polska nie miała udziału w tworzeniu piekła obu naszych narodów”. Ale musiałbym przy takim zdaniu wstydliwie opuścić czoło, wiedząc, że to nieprawda.

Mimo wszystko chyba nie do nas skierowane jest zdanie: „dla niektórych ważny jest tylko ich, ukraiński los”. Szczególnie w kontekście „Wołynia”. Nie wiem, czy powstał gdzieś wyrazistszy obraz ukraińskiego bestialstwa wobec Polaków w roku 1943 niż w „Karcie” 8 i 46. W istocie, groza „Wołynia” znacznie przerasta zło akcji „Wisła”. Ale nie da się ze zła zrobić dobra, powołując się na inne, większe zło. Podkreślam: nie zestawiamy tych zdarzeń, każde z nich przedstawiając odrębnie.

Właśnie: „akcja była skierowana przeciwko tym, którzy cztery lata wcześniej wymordowali...”.

Przecież – nie była. Rodziny wysiedlane z Polski południowo-wschodniej nie mordowały cztery lata wcześniej na Wołyniu. To jest kluczowa sprawa – mieliśmy prawo do odwetu na dowolnych Ukraińcach? Tak można było myśleć w latach 40., gdy potworności II wojny zaburzały jeszcze wszelkie porządki rzeczy, ale nie dzisiaj, ponad 60 lat później. W żadnym razie nie wolno stosować reguł odpowiedzialności zbiorowej.

Zbrodnie na Wołyniu i w Galicji Wschodniej były potworne, porażające. Decyzja ówczesnych ukraińskich przywódców wobec polskich mieszkańców tych ziem to barbarzyństwo. Rozumiem, że ktoś, kto doświadczył tamtego okrucieństwa, nie może przejść nad tym do porządku, tym bardziej że przez tyle lat trzeba było milczeć. Że skoro do dzisiaj żyją mordercy (zabijały także kilkunastoletnie dzieci), a nie słychać wyraźnych głosów skruchy... Tak, to nie koi bólu.

Konflikty między Polakami a Ukraińcami mają niemal wyłącznie historyczne źródła; sama współczesność ich nie pomnaża. Tamte zaś nie zgasną, póki nie opadnie nienawiść – żywa po obu stronach. Niechęć ukraińską wzmacniamy, mówiąc o niezbędności akcji „Wisła”; polską wspiera milczenie Ukraińców na temat „Wołynia”. A młodszemu pokoleniu coraz mniej mogą z tego pojąć.

Bardzo liczę na Państwa zrozumienie, na wspólne przekroczenie tej – zdawałoby się – otchłannej przepaści. Myślę, że możemy się porozumieć, przyjmując prostą zasadę praw człowieka: wszystkie ofiary są równe, niezależnie od narodowości. Powtarzam: nie porównujemy ofiar rzezi i deportacji.

Rozumiem, że po lekturze tej odpowiedzi możecie Państwo stwierdzić: co z tego, skoro oni nadal nie przepraszają; muszą przeprosić! Wyraźnie widać, że żądania czy apele tego rodzaju nie są skuteczne, nie można namówić kogoś do narodowej skruchy. Jakoś pewien jestem, że wystarcząby już nie atakować, dostrzec winy także po polskiej stronie, a w końcu odezwałby się samoistny, naturalny głos po stronie ukraińskiej: „Tak, to co Ukraińcy zrobili Polakom w latach 40., jest niedającą się usprawiedliwić potwornością”. Zmuszani nie będą mówić.

Zbigniew Gluza

Materiał pochodzi z „Karty” 52/2007.

W „Karcie” 49 zamieściliśmy przygotowany przez Marię Buczyło montaż świadectw Ukraińców, wysiedlonych z południowo-wschodniej Polski w ramach akcji „Wisła” – *Wypędzić, rozproszyć*. Reakcje na ten zapis, między innymi członków Światowego Związku Żołnierzy AK, zamieściliśmy w „Karcie” 51 i 52. Różnice zdań między środowiskiem KARTY a środowiskiem ŚZZAK okazały się tak istotne, iż wspólnie postanowiliśmy podjąć bezpośredni dialog na ten temat.

W dyskusji, odbytej w październiku 2007, udział wzięli: po stronie ŚZZAK – Andrzej Żupański, prezes Obwodu Wołyń, prof. Edmund Bakuniak, dr Zbigniew Palski i dr Józef Rell; po stronie KARTY – Zbigniew Gluza, prezes Ośrodka, dr hab. Grzegorz Motyka i red. Maria Buczyło. Przedstawiamy zasadnicze jej fragmenty. (RED.)

ANDRZEJ ŻUPAŃSKI

Są między nami fundamentalne różnice w postrzeganiu akcji „Wisła”. Spotkaliśmy się, aby je przedyskutować. Uważamy, że nie wolno przedstawiać tej akcji, nie sięgając do wydarzeń z przeszłości. Jeżeli publikuje się wspomnienia z niej, nie wolno pozostawić ich bez historycznego komentarza. Jeżeli tego nie ma, to każdy przywoity człowiek odniesie wrażenie, że Ukraińcom rzeczywiście stała się ze strony Polaków straszna krzywda.

ZBIGNIEW PALSKI

Dodajmy, że po lekturze zapisu w „Karcie” można myśleć, że ta krzywda była niczym niesprowokowana.

ANDRZEJ ŻUPAŃSKI

Takie odczytanie tego tekstu przynosi polskiej sprawie wielkie szkody. Ukraińcy, ukraińscy nacjonałści wymordowali nam w czasie wojny prawie 100 tysięcy braci. Jest to szpila tkwiąca między nami – przeszkadza obu narodom w procesie pojednania. Jeżeli teraz w Polsce pojawia się głos o winach polskich wobec Ukraińców, to Ukraińcy w Polsce czy też na Ukrainie nie będą mieli powodu, aby spieszyć się z potępieniem ukraińskich zbrodni na Wołyniu. Takie właśnie myślenie

może spowodować opublikowany w „Karcie” materiał.

Uważamy, że właściwie jedyną wciąż niezalutowaną kwestią w stosunkach polsko-ukraińskich jest potępienie przez Ukraińców ukraińskiej zbrodni na Polakach. Oczywiście, dzisiejsze pokolenia Ukraińców oraz ukraińskie władze nie mają i nie miały żadnego związku z tą rzezią. Pojawia się jednak pytanie – czy ją potępiają? Dotychczas takie potępienie nie miało miejsca. Nie potępia jej także Związek Ukraińców w Polsce, który uważa, że Ukraińska Powstańcza Armia jest godna rehabilitacji i nobilitacji. Niedawno prezes ZUP Piotr Tyma na pytanie dziennikarza, czy UPA powinna dostać uprawnienia kombatanckie, bez wahania odpowiedział, że tak. Czyli – idol młodzieży ukraińskiej, który walczył o niepodległość Ukrainy, to żołnierz UPA, odpowiedzialny za tamto masowe morderstwo.

ZBIGNIEW GLUZA

Jestem zdumiony taką reakcją ŚŹŹAK, która zestawia wprost mord na Wołyniu z akcją „Wisła”. Świadomie oddzieliśmy w „Karcie” te dwie sprawy, uznając, że należy je opisywać odrębnie, stosując nieco inne środki. Rzezie na Wołyniu zostały opisane w dwóch numerach pisma (8 i 46). Tam oddaliśmy głos Polakom, ludziom, którzy byli świadkami zbrodni wołyńskiej. Większość licznych tekstów w „Karcie”, dotyczących stosunków polsko-ukraińskich, przygotował lub wprowadził Grzegorz Motyka. Jego tekst towarzyszył też materiałom o Wołyniu (nr 46) – jeden z najważniejszych komentarzy tego typu, jakie w „Karcie” wydrukowaliśmy, podsumowujący dotychczasową wiedzę na ten temat i jednocześnie tłumaczący mechanizm wydarzeń. Materiał o Wołyniu poprzedzał publikację o akcji „Wisła”, dlatego też nie rozumiem zarzutu jednostronności.

W zapisach z Wołynia daliśmy głos Polakom – potencjalnym ofiarom akcji ukraińskiej, zazwyczaj cudem ocalonym. Tutaj natomiast oddaliśmy głos Ukraińcom, chcąc ich oczami zobaczyć, co wydarzyło się w 1947 roku. Dla dialogu polsko-ukraińskiego, dla świadomości zbiorowej w Polsce jest bardzo ważne, by zrozumieć, co się zdarzyło w ramach tej akcji. Komentarz jest tu bardzo powściągliwy, co jest zgodne z formułą „Karty” – komentarze zawsze są dodatkiem, mówić mają przede wszystkim świadectwa historyczne. Wydawało nam się, że komentarz autorki był wystarczający. Odwołaliśmy się przy tym do wiedzy Grzegorza

Motyki, który twierdzi, iż zagrożenie ze strony partyzantki ukraińskiej było już wtedy nie tak wielkie, aby przeprowadzać tego rodzaju akcję. Świadomie nie weszliśmy w spór co do kontekstu.

W listach od Światowego Związku Żołnierzy AK („Karta” 51 i 52) pojawił się zarzut, jakoby prezentujemy ukraiński punkt widzenia, czy wręcz – występujemy w imię ukraińskiej racji stanu. Trudno się chyba dziwić naszemu wzburzeniu. Nie mamy żadnego powodu, by oceniać te wydarzenia z ukraińskiej perspektywy i reprezentować Ukraińców. Staramy się zdobywać na obiektywizm. Panowie zaś to kwestionujecie.

W tym miejscu dotykamy niezwykle istotnej kwestii – nasz dotychczasowy dialog, przedstawiony na łamach „Karty”, okazał się nie tylko dyskusją o antyukraińskiej akcji „Wisła” czy o antypolskiej akcji na Wołyniu, ale rozmową o wymiarze uniwersalnym, w istocie – generacyjnym (choć nie w znaczeniu ściśle pokoleniowym). Zespół Ośrodka KARTA – ludzie w przedziale wieku od 25 do 50 lat – właściwie bez wyjątku opowiedzieli się za moimi racjami, można to uznać za reakcję młodszej generacji. W tym sensie dialog ten jest ważny dla świadomości zbiorowej w Polsce, bo reprezentujemy znaczące środowiska. Myślę, że po stronie ŚŹŹAK to nie dotyczy tylko ludzi AK, którzy walczyli na Wołyniu i oglądali ukraińskie zbrodnie na własne oczy, ale ludzi, którzy doświadczyli II wojny i mają tę właśnie perspektywę. My przyjmujemy ją z całym szacunkiem. Dlatego ucieszyłem się z listu ŚŹŹAK, który opublikowaliśmy w „Karcie” 52.

GRZEGORZ MOTYKA

Małe sprostowanie. W kwestii polsko-ukraińskich stosunków bardzo ważna jest precyzja. Istnieje w historiografii pogląd, że w 1947 roku mało zagrożenie ze strony UPA. Chciałbym zaznaczyć, że to nie jest mój pogląd. O tym raczej pisał Eugeniusz Misiło we wprowadzeniu do swej książki *Akcja „Wisła”*. Ja natomiast uważam, że realne zagrożenie istniało i należało przeprowadzić operację wojskową, ale nie musiała się ona wiązać z przymusowymi przesiedleniami.

ZBIGNIEW PALSKI

Prezes Gluza powiedział, że środowisko KARTY stanęło za nim murem, kiedy przeciwstawiał się środowisku ŚŹŹAK. Potwierdzałoby to tezę Prezesa Żupańskiego, że tekst przygotowany przez „Kartę” był tak sugestywny, że spowodował tę właśnie

reakcję. Zatem, skoro w środowisku KARTY, od lat pracującym nad historią najnowszą, pojawiło się takie nastawienie, to jakie będzie przyjęcie tego tekstu przez ogół ludzi okazjonalnie zainteresowanych przeszłością...

Powiedział Pan również, że tekst dotyczący operacji „Wisła” – będę konsekwentnie używał terminu *operacja*, a nie *akcja* – był poprzedzony tekstem Grzegorza Motyki dotyczącym Wołynia. Spójrzmy jednak na rozpiętość w czasie. Kiedy ukazały się teksty dotyczące rzezi na Wołyniu, a kiedy ukazała się „Karta” 49? Tutaj jest dosyć duża luka czasowa.

Jeżeli chodzi o sam przebieg operacji – właściwie nie ma tu kwestii spornych. Wiemy, jakie siły w niej uczestniczyły po jednej i po drugiej stronie; wiemy, kogo wywieziono i w jakim kierunku; wiemy, jak wiele osób przesiedlono. Pozostaje pytanie następujące: czy była to kolejna zbrodnia komunistyczna; czy też była to konieczna samoobrona państwa polskiego, bez względu na jego ustrój? Innego państwa polskiego wówczas nie było. Śmiem twierdzić, iż była to niezbędna samoobrona państwa polskiego.

Pytanie kolejne: czy partyzantka ukraińska, a także związana z nią Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów – walczyły z państwem polskim dlatego, że było komunistyczne, a więc walczyły z przyczyn ideologicznych, czy też walczyły z Polską jako z państwem? Moja teza jest następująca: niezależnie od tego, jaki był ustrój państwa, kto w nim sprawował władzę, czy była to władza z nadania demokratycznego, czy z nadania Kremla, to OUN oraz UPA jako jej ramię zbrojne prowadziłyby bezwzględna walkę jedynie dlatego, że było to państwo polskie.

Czy możemy zanegować wolę Ukraińców utworzenia własnego, niepodległego państwa? Czy wszelkie ich działania możemy określić jako bezprawne i pozbawione sensu? Oczywiście, nie. Ukraińcy zostali w 1918 roku postawieni poza nawiasem procesu historycznego. Nie pozbawiało ich to prawa do występowania o samodzielne państwo; ale zadajmy sobie pytanie – szanując ich wolę walki i niezłomną chęć utworzenia niepodległej Ukrainy – czy cel uświęca środki? I to kolejne pytanie: czy UPA zasługuje na uprawnienia kombatanckie, czy zasługuje, by wejść do rodziny tych wszystkich żołnierzy armii podziemnych, którzy walczyli o wyzwolenie, o wspólną wolność. Czy w przypadku UPA i ideologii, którą sobie obrała, nie przekreśla

to takich dążeń – w kontekście nie tylko polskiej, ale szerzej – europejskiej walki o wolność w czasie II wojny światowej?

ZBIGNIEW GLUZA

Publikując zbiór świadectw o akcji „Wisła”, nie zakładaliśmy, że to jest głos w sprawie całego łańcucha zdarzeń. Takiej intencji nie było. My staramy się skupiać na wybranych wydarzeniach, a nie za ich pośrednictwem podejmować dyskurs o szerokim procesie historycznym. Zresztą, poszczególne etapy tego procesu w „Karcie” opisywaliśmy. Ostatni zapis o rzeziach na Wołyniu o niespełna rok wyprzedzał tekst o akcji „Wisła”, nie jest to więc taka duża rozpiętość czasowa, zwłaszcza dla kwartalnika.

Opisując tę akcję, nie chcieliśmy zestawiać cierpień ludzi wypędzonych z cierpieniami zabijanych w okrutny sposób na Wołyniu czy w Galicji Wschodniej. Niezwykle nas dotknęło, że Panowie nie dajecie prawa tym, którzy zostali przesiedleni, do wypowiedzenia ich punktu widzenia, do wypowiedzenia własnego bólu. Często byli to młodzi ludzie, którzy nie mieli jeszcze z polityką nic wspólnego... Nie ulega dla nas wątpliwości, że ich los jest godzien zapisu.

Mówiąc o wymiarze generacyjnym naszego dialogu, miałem na myśli wymianę racji w listach. Reakcja środowiska KARTY dotyczyła prawa człowieka do wypowiedzenia swojego losu. Ukraińcy, którzy są przecież polskimi obywatelami, mają prawo do opowieści o sobie samych, a obowiązkiem Polski jest wysłuchanie ich głosu.

Ta makabra, która się wydarzyła na Wołyniu, jest rzeczywiście trudna do porównania z czymkolwiek. Jest gigantyczna różnica w tym, co się stało w latach 1943–44 na Wołyniu i w Galicji Wschodniej oraz w 1947 roku w Polsce południowo-wschodniej. Przy tym zarzut, że wybielamy Ukraińców odpowiedzialnych za tamtą zbrodnię, jest zdumiewający. To nie jest uprawniony głos w takiej dyskusji, ten głos w ogóle nie powinien paść. Rodzi się w tym kontekście pytanie o kształt dialogu publicznego – współczesnego i przyszłego. Jak go prowadzić, by nie fałszować historii i jednocześnie otwierać się na siebie nawzajem. Myślę, że w dialogu polsko-ukraińskim popełniamy poważne błędy po obu stronach.

Ja także uważam, że błąd podstawowy jest przede wszystkim po ukraińskiej stronie, błąd polityków i opinii publicznej na Ukrainie – to cofanie

się przed nazwaniem zbrodni. Ukraina jest znacznie mniej dojrzała do takiego dialogu niż Polska i w jakimś sensie ten dialog odpycha. Jesteśmy przekonani, że taką postawą jak nasza i takimi publikacjami w „Karcie” ten dialog ułatwiamy. Strona ukraińska chyba nie może nie zauważyć tego rodzaju empatii, gotowości wysłuchania jej głosu. Sądzymy, że wtedy łatwiej usłyszy polski głos. I na ten głos odpowie.

MARIA BUCZYŁO

W historii naszych dwóch narodów jest wiele bolesnych i złożonych kwestii. Jestem daleka od stawiania na szali cierpień obu narodów – zwłaszcza tych, które należą do innych porządków – jednak są one po obu stronach. Panowie zaś tego zupełnie nie bierzecie pod uwagę.

ANDRZEJ ŻUPAŃSKI

Dlatego wreszcie nadzieję wiąże z tym dialogiem.

EDMUND BAKUNIAK

Jestem uczestnikiem wydarzeń na Wołyniu, co upoważnia mnie do tego, aby ostrzej widzieć całą sprawę niż wszyscy tutaj obecni. Nie dziwcie się, młodzi, że w nas to doświadczenie bestialstwa tkwi.

Na przestrzeni 65 lat ukazała się w języku polskim wystarczająca ilość publikacji, które udokumentowały historyczną stronę wydarzeń wołyńskich, pokazując dobitnie, że nacjonaliści ukraińscy nie walczyli o swoją ojczyznę, ale przeciw polskim sąsiadom – mordując ich. Walka o własną ojczyznę jest walką metodami cywilizowanymi. Widać wyraźny dysonans między zachowaniem Polaków i Ukraińców. Do tego bestialstwa trzeba się przyznać. Przeprowadziliśmy wspólnie ze stroną ukraińską trzynaście seminariów „Polska–Ukraina: trudne pytania”. Niestety, nikt tej prawdy ze strony ukraińskiej nie chciał wypowiedzieć. Głos wołyńiaków, którzy od 65 lat zabiegają, by załatwić tę sprawę po chrześcijańsku, jest głosem wołającego na puszczy.

ZBIGNIEW GLUZA

Przez pewien czas intensywnie uczestniczyłem w seminariach i miałem wrażenie, że choć takiego głosu „pokutnego” nie ma, to jednak świadomość ukraińska bardzo się zmienia, a perspektywa dialogu jest coraz bardziej realna. Że te głosy są coraz bardziej kompetentne, uczciwe, chociaż nadal pozbawione konkluzji. Jeżeli taki proces, jak

seminaria, miałyby nic nie znaczyć, to i nasz zapis o akcji „Wisła” niczego nie zmieni.

ANDRZEJ ŻUPAŃSKI

Rezultatem seminariów jest to, że możemy powiedzieć, iż zbrodnia została stwierdzona. Jej rozmiar i sprawcy. Nie tylko przez historyków polskich, ale również przez ukraińskich. Niestety, władze polskie nie przyjęły do wiadomości, że historycy obu krajów wspólnie określili, jaki był przebieg, rozmiar zbrodni i kim byli sprawcy – same nie nazwały tego po imieniu. Władze ukraińskie nie mają powodu, aby się spieszyć, co łatwo zrozumieć – jeżeli Polska milczy i potrafi tylko, tak jak Pan w 1997 roku, przepraszać za akcję „Wisła”.

ZBIGNIEW PALSKI

Polska opinia publiczna niemal nic nie wie na temat wydarzeń na Wołyniu, wie natomiast wiele o operacji „Wisła” i wie, że Polacy z nieznanego powodu w 1947 roku skrzywdzili, a może nawet wymordowali Ukraińców. Wie, ponieważ pisały o tym jednostronnie wysokonakładowe gazety, przede wszystkim „Gazeta Wyborcza”.

UPA i OUN nie walczyły z państwem komunistycznym, ale z państwem polskim. Zbigniew Gluza bardzo zgeneralizował sprawę, mówiąc, że nie dajemy prawa do wypowiedzi o własnym cierpieniu. Oczywiście, nikt racjonalnie myślący nie będzie twierdził, że te przesiedlenia były przyjemnością dla społeczności lemkowski i ukraińskiej. Oczywiście, oni mają prawo do wypowiedzenia prawdy o swoim cierpieniu. Chodzi tylko o zachowanie proporcji. Chodzi o to, by czytelnik dowiedział się, że to nie komunistyczne państwo polskie z oddziałami wojskowymi bez powodu rzuciło się na niewinnych ludzi, zapakowało ich do bydłęcych wagonów i wywoziło, niektórych do obozu koncentracyjnego. To jest jednostronna wizja dziejów i niekoniecznie odpowiadająca rzeczywistości.

Mówił Pan, że nie chcieliście zestawiać cierpienia wołyńiaków z przeżyciami ludności ukraińskiej, którą wysiedlono w ramach operacji „Wisła”. Jednak trzeba to zestawiać, nie na zasadzie „czyja większa krzywda”, ale po to, by pokazać proporcje między dziką orgią, bachaniami bestialstwa a konieczną samoobroną państwa.

GRZEGORZ MOTYKA

Dyskusja o akcji „Wisła”, moim zdaniem, to rozmowa o tym, czy w obliczu zagrożenia integralności

terytorialnej powojennego państwa polskiego, wobec OUN i UPA zastosowano odpowiednie metody zwalczania partyzantki. Czy zastosowanie zasady odpowiedzialności zbiorowej wobec całej ludności ukraińskiej i lemnowskiej było konieczne. W szerszej perspektywie jest to także spór o to, czy przy działaniach antypartyzanckich, niezależnie od tego, kto, gdzie i kiedy je prowadzi, można stosować odpowiedzialność zbiorową. Polscy historycy mają różne zdanie na ten temat, czego przykładem jest różnica poglądów pomiędzy mną i Zbigniewem Palskim.

Niezgoda pomiędzy nami polega nie na tym, czy należało zlikwidować UPA, czy nie, ale – czy w tym celu należało wysiedlić całą ludność cywilną. Zbigniew Palski uważa, iż było to konieczne, ja natomiast twierdzę, że nie. Według niego była to obrona konieczna państwa polskiego, moim zdaniem – jej wyraźne przekroczenie; wszak ze 140 tysięcy wysiedlonych tylko mały procent współpracował z partyzantką.

Podstawową sprawą, która nas tu sprowadza, jest pytanie, jak pogodzić pamięć osób, które cierpiały na Wołyniu i w Galicji Wschodniej – z pamięcią wysiedlonych na terenie Polski powojennej. Ja i redakcja „Karty” uważamy, że należy mówić o wszystkich cierpieniach, oczywiście zachowując proporcje i nie stawiając znaku równości pomiędzy antypolskimi akcjami UPA i przymusowymi wysiedleniami Ukraińców.

Jestem zwolennikiem zarówno potępienia zbrodni UPA, jak i operacji „Wisła”. Za ten pierwszy pogląd jestem określany jako „typowy polski szowinista”, z kolei za drugi bywam traktowany jak „zdrajca narodu” czy „reprezentant strony ukraińskiej”.

ANDRZEJ ŻUPAŃSKI

Mówiąc o współpracy miejscowej ludności z OUN i UPA, zakłada Pan, że to był mały procent. Wiadomo, że wywieziono ponad 140 tysięcy, więc dorosłych było około 100 tysięcy. Nie zaprzeczy Pan, że oni wszyscy wspomagali partyzantkę ukraińską.

GRZEGORZ MOTYKA

Zdecydowanie – nie wszyscy. Owszem, z głównymi celami organizacji utożsamiał się pewien procent ludności, jednak jeszcze większy odsetek osób wspierał OUN i UPA z tego powodu, że partyzantka broniła ich przed wysiedleniami. Trzeba też zaznaczyć, że niektórzy Ukraińcy do pomagania

UPA byli zmuszani siłą. A ludność Podlasia i Beskidu Niskiego, w tym Łemkowie, była wobec UPA nastawiona wręcz wrogo.

ANDRZEJ ŻUPAŃSKI

Jak to się stało, że przez pierwsze dwa lata po wojnie Wojsku Polskiemu nie udało się rozwiązać problemu UPA? I dlaczego działalność tej organizacji skończyła się natychmiast po wysiedleniu ludności? Po zlikwidowaniu baz istnienie UPA było niemożliwe. Wobec tego, czy to nie ludność ukraińska była powodem, że tę akcję w ogóle trzeba było przeprowadzić...

GRZEGORZ MOTYKA

Odpowiedź wbrew pozorom jest bardzo prosta: ponieważ głównym wrogiem dla PPR nie była Ukraińska Powstańcza Armia, ale polskie podziemie i opozycja. Nie należy chwalić władz polskich, iż w 1947 roku rozprawiły się z partyzantką ukraińską, ale krytykować je, że zrobiły to tak późno. Dopiero w trakcie akcji „Wisła” użyto sił wojskowych wystarczających do zlikwidowania partyzantki ukraińskiej.

ZBIGNIEW PALSKI

Partyzantka, aby działać, musi mieć wsparcie miejscowej ludności. Poparcia ludności nie można wymusić, bo jest to metoda na krótką metę. Można oczywiście zastosować terror, ale po 2–3 miesiącach skutek będzie taki, że ludność zacznie szukać pomocy na posterunkach milicji, zabijając poszczególnych partyzantów. Najlepszym sposobem działań wojskowych przeciwko partyzantce – co udowodnili Brytyjczycy w czasie wojny burskiej – jest odcięcie jej od popierającej ludności cywilnej. Można w tym celu – jak pisał Grzegorz Motyka – zastosować system garnizonów, choćby na wzór sowiecki. Jest to jednak system nieefektywny, czego dowodem są właśnie działania sowieckie, ciągnące się na Ukrainie do 1949 roku.

Można wreszcie, kiedy teren jest całkowicie ogarnięty pożogą i zarządzany przez administrację wojskową, a mieszkańcy są nielojalni wobec państwa, którego są obywatelami – wysiedlić ludność, stosując przy tym niezbędne minimum siły. Chociaż to metoda okrutna, mimo to najbardziej skuteczna i najmniej krwawa. Można było zrobić tak, jak pisał Grzegorz Motyka: stworzyć system wsi strategicznych, chronionych. Pamiętajmy, że mamy rok 1947. Gromadząc ludność

w strategicznych wioskach, odrywamy ją od roli, ale tym samym odcinamy ukraińską partyzantkę od zaopatrzenia. Partyzantka przestaje działać. Kiedy uwolnimy ludzi, podziemie natychmiast się odrodzi. Przykładem mogą być próby odtworzenia podziemia ukraińskiego w skrajnie trudnych warunkach już po przesiedleniu ludności ukraińskiej w ramach operacji „Wisła”, co opisano w monografii IPN-u *Służby bezpieczeństwa Polski i Czechosłowacji wobec Ukraińców (1945–1989)* [red. Grzegorz Motyka, Warszawa 2005].

GRZEGORZ MOTYKA

Wioski strategiczne zostały z powodzeniem zastosowane przez Brytyjczyków na Malajach, gdzie w ten sposób skutecznie zniwelowano poparcie miejscowej ludności dla partyzantki komunistycznej. Sowieci zlikwidowali podziemie ukraińskie i litewskie, a przecież nie wywieźli wszystkich zachodnich Ukraińców i Litwinów. Moim zdaniem, nie da się obronić twierdzenia, że całkowite wysiedlenia ludności były jedynym sposobem zlikwidowania UPA. Niewątpliwie przy prowadzeniu akcji przeciwpartyzanckich konieczne jest „oddzielenie” ludności od partyzantów, ale nie musi to oznaczać wysiedleń.

Uważam, że w wyniku operacji „Wisła” ucierpiało zbyt wiele niewinnych osób. Ówczesne władze komunistyczne do tego stopnia były nieczule na los wszystkich swoich obywateli, że z ogromną łatwością przychodziło im podejmowanie tego typu decyzji. Ogromne wrażenie zrobił na mnie jeden z dokumentów, z którego wynikało, że oficer polityczny 8 Dywizji Piechoty, działającej w Bieszczadach w 1946 roku, proponuje wysiedlenie polskiej wioski Niebieszczany, za wsparcie polskiego podziemia. Dokładnie w tym samym czasie dowódca UPA, sotenny „Chrin”, żąda od swojego dowódcztwa zgody na wzmocnienie swojej sotni, aby tę wioskę zaatakować i spalić. To pokazuje, jak skomplikowana była ówczesna sytuacja. Na szczęście, wioska nie została wysiedlona, a próba spalenia została udaremniowana przez polską samoobronę.

ZBIGNIEW PALSKI

Wróćmy do sprawy proporcji. Z jednej strony mieliśmy obchody w Porycku [60. rocznica apogeum zbrodni na Wołyniu], z drugiej nie tak dawno obchody w Pawłokomie, gdzie zamordowano około 200 Ukraińców. Państwo polskie poprzez udział prezydenta w uroczystościach pochyła się nad

ukraińskimi ofiarami tej zbrodni, niemal imiennie. To samo państwo polskie nie jest w stanie pochylić się nad 100 tysiącami ofiar polskich.

GRZEGORZ MOTYKA

Myszę, że takie spotkania trzeba widzieć w całym kontekście procesu pojednania. Najpierw były jednak obchody w Porycku–Pawliwce, gdzie polscy i ukraińscy żołnierze, w obecności swoich prezydentów złożyli wieńce na grobach pomordowanych Polaków. Następnie otwarcie cmentarza Orłat we Lwowie, a później dopiero uroczystości w Pawłokomie... Uważam, że ten proces powinien być kontynuowany. Osobiście bardzo bym chciał, by jak najszybciej upamiętniono polskie ofiary Parośli – pierwszej polskiej wioski wymordowanej w lutym 1943 przez banderowców. Dziś do ich zbiorowej mogiły – ocalałej tylko dzięki życzliwości miejscowych Ukraińców – można dotrzeć jedynie leśnymi ścieżkami zrytymi przez dziki.

ZBIGNIEW GLUZA

Ten dialog zbliża nas do czegoś w istocie ważniejszego niż ocena sensu akcji „Wisła”. Lepiej zrozumiałem teraz ten dylemat – nie stawialiśmy akcji „Wisła” i czystek etnicznych na Wołyniu na szalach, one po prostu na nich są. Nadal uważam, że drukując materiał o akcji „Wisła”, nie popełniliśmy fundamentalnego błędu. Myszę, że pojawienie się tego tekstu wywołało coś znacznie ważniejszego, na czym należy się teraz skupić.

Nie zdawałem sobie sprawy, że Światowy Związek Żołnierzy AK, zwłaszcza ta grupa, która organizowała seminaria, może mieć poczucie tak głębokiej porażki. Co mnie najbardziej przekonuje jako zarzut – że środowiska opiniotwórcze w Polsce znacznie bardziej akcentują polskie winy niż ukraińskie, co jest naruszeniem porządku rzeczy. Ja sam podpisałem list intelektualistów polskich przepraszający za akcję „Wisła” i uważam, że zrobiłem dobrze, bo ten ukłon należy się stronie ukraińskiej; ale właśnie – chciałem to widzieć w kontekście całej historii. Ja i zapewne wiele osób, które podpisały ten list, sądziliśmy, że to będzie hasło, na które przyjdzie odzew z tamtej strony. Jeżeli ten odzew nie przychodzi, to nie znaczy jednak, że już niczego nie ma do zrobienia...

JÓZEF RELL

Chcielibyśmy, aby prawda historyczna dotarła do świadomości polityków, co będzie korzystne i dla

Ukraińców, i dla Polaków. Przecież nie chodzi nam o to, aby współczesne, młode pokolenie Ukraińców wyrażało ekspiację. Chodzi o to, aby powiedziało tylko jedno: potępiamy zbrodnię wołyńską. A Ukraińcy na Ukrainie nie przyznają tego, dopóki Ukraińcy w Polsce nie powiedzą: potępiamy zbrodnię.

GRZEGORZ MOTYKA

Są takie głosy potępienia. Prof. Iwan Łysiak-Rudnycki – jeden z najwybitniejszych historyków ukraińskich – już w latach 80., idąc pod prąd opinii ukraińskiej emigracji, mówił, że to, co stało się na Wołyniu, było czystką etniczną. W podobnym duchu pisali Ihor Iliuszyn czy Jarosław Hrycak – który napisał bardzo ciekawe *Tezy do dyskusji o UPA*. Myślę, że jednym z błędów polskiej strony jest niezwracanie uwagi na tamte opinie.

EDMUND BAKUNIAK

Zrobiliśmy dużo w roli kamyczka, który miał poruszyć opinię społeczną w Polsce i na Ukrainie. Jednak lawina nie ruszyła, ten proces narasta zbyt powoli, czego dowodem jest stosunek kolejnych ekip rządzących w Polsce, które nie przyjęły dotąd za własny pogląd, że podczas II wojny społeczeństwo polskie spotkało ze strony ukraińskiej coś strasznego. Kolejni polscy prezydenci jakby mieli na ten temat zasznurowane usta, nie chcą przekonywać strony ukraińskiej, że z tym należy coś zrobić. Kilkanaście lat temu podjęliśmy inicjatywę, która miała poinformować opinię publiczną, co się stało w relacjach polsko-ukraińskich, a dzisiaj zarówno ja, jak i kolega Żupański, który był inicjatorem seminariów, czujemy, że ponieśliśmy klęskę. Okazało się, że nasz wielki wysiłek był daremny.

ANDRZEJ ŻUPAŃSKI

Zebrałiśmy się, aby spróbować zbliżyć swoje stanowiska. Uważam, że tego nie osiągnęliśmy. W pierwszej sprawie: czy wysiedlona ludność ukraińska była współwinną akcji „Wisła” – nie dostałem odpowiedzi od Państwa. Nie wiem, czy środowisko KARTY uważa, że Ukraińcy byli współwinni akcji „Wisła”. Jeżeli mówi się o akcji „Wisła”, to obowiązkowo trzeba powiedzieć, że w pierwszym kwartale 1944 roku przeszły na terytorium Polski setki UPA, które wywołały swoim przybyciem na tę stronę Bugu i Sanu lokalną wojnę. Dla mnie to jest istotne, że ci upowcy, których się zwalczało, byli sprawcami zbrodni na Wołyniu i w Małopolsce

Wschodniej. Gdyby ich nie było, nie byłoby w ogóle akcji „Wisła”.

GRZEGORZ MOTYKA

Bardzo duża część działaczy OUN i UPA, którzy działali w 1947 roku na terenie Polski, poza kierownictwem tych organizacji, to byli ludzie miejscowi.

ANDRZEJ ŻUPAŃSKI

Jest to zasadnicza różnica; jeśli Pan twierdzi, że to nie byli ci sami żołnierze UPA, którzy mordowali na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej, a po przejściu wywołali wojnę polsko-ukraińską, której wcześniej nie było – to się rozchodzimy z naszymi zdaniem.

GRZEGORZ MOTYKA

Wśród wysiedlonych podczas akcji „Wisła” było bardzo wielu niewinnych i również niemało winnych. Jednak nawet winnym należy przed skazaniem udowodnić winę. Sądy Polski Ludowej skazały kilkaset osób.

Chciałbym, aby Panowie zrozumieli, że jeżeli ktoś uważa, że w przypadku akcji „Wisła” obrona konieczna została przekroczona, to wcale nie oznacza, iż jednocześnie pomniejsza znaczenie zbrodni na Wołyniu. Myślę, że mogę tu mówić w imieniu KARTY – uważamy, że nigdy cel nie uświęca środków: ani na Wołyniu w 1943 roku czy później w Galicji Wschodniej, ani w 1947 roku podczas akcji „Wisła”. I to nie oznacza też, że stawiamy znak równości między jednym i drugim wydarzeniem. W przypadku Wołynia mamy ewidentnie do czynienia z eksterminacją Polaków, zaś w drugim wypadku z przymusowymi wysiedleniami Ukraińców. Rozumiem, że Panowie uznają, iż mówienie o cierpieniach Ukraińców oznacza relatywizację zbrodni na Wołyniu.

ANDRZEJ ŻUPAŃSKI

Oczywiście, że oznacza. Jeżeli na Ukrainie się milczy, a tu mówi się o krzywdach zadanych Ukraińcom przez Polaków, oznacza to, że nieważne jest mordowanie na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej, ważne natomiast wysiedlenie 140 tysięcy osób, które pojechały pociągami na poniemieckie ziemie i jeszcze dostały pomoc finansową. A co się stało z polskimi chłopami na Wołyniu? Uciekali, w nieznanne...

Jest Pan świetnym historykiem i nie mogę pojąć, jak Pan może tak zajmować się 140 tysiącami wywiezionych na tle 100 tysięcy zamordowanych.

Czy Pan nie czuje różnicy? Przecież to jasne, a my musimy Wam to tłumaczyć.

ZBIGNIEW GLUZA

Poszukajmy zatem tego, co nie jest jasne. Stosunek do Wołynia mam identyczny jak Pan. My w żadnym stopniu tego nie relatywizujemy. Rozumiem jednak, że można to tak odbierać. Można odbierać to jako relatywizowanie, tak się dzieje w życiu publicznym. Należy to zjawisko uwzględnić w swoich działaniach i w tym sensie jestem gotów przyznać się do pewnej jednostronności. Nie myślę o posypywaniu głowy popiołem, ale o szukaniu drogi rozwiązania.

Po zakończeniu II wojny stosowano, tak jak w jej trakcie, brutalne metody, które często wiązały się z zastosowaniem odpowiedzialności zbiorowej. Przynależność do narodu określała człowieka jako przyjaciela lub wroga. W stosunkach polsko-ukraińskich krew polała się na ogromną skalę. Rozumiem – właśnie wtedy tę akcję podjęto. Ale czym innym jest akceptacja dla niej 60 lat temu, a czym innym dzisiaj. Nie da się łączyć demokracji z odpowiedzialnością zbiorową.

ANDRZEJ ŻUPAŃSKI

Nie można, ale trzeba dochodzić przyczyn, dla których przeprowadzono akcję „Wisła”.

ZBIGNIEW GLUZA

Tak, wrócimy do nich na łamach „Karty”.

PRZYGOTOWAŁA DO DRUKU

Maria Buczyło

Przedstawiamy także dwa osobne głosy, będące reakcją na montaż świadectw poświęconych akcji „Wisła” i wywołaną nim dyskusję. (RED.)

IWO WERSCHLER

[...] Myślę, że znają Państwo modne na Ukrainie, chociaż nieekspozowane przez polityków zawołanie: „*Zapamiętaj Lasze szczo po Wysłu nasze*”. Odnoszę wrażenie, że podpisałoby się pod nim pewnie i kilku współpracowników „Karty”, ale wołał tymczasem posługiwać się bardziej ostrożnym

językiem, pamiętając ósme przykazanie ukraińskiego nacjonalisty – „nienawiścią i podstępem będziesz przyjmował wroga twojej Nacji”.

Piszę to z goryczą, bo potępiając przesiedlenie Ukraińców w ramach akcji „Wisła”, uciekacie się Pan Redaktor i Pani Buczyło do obłudnej postawy obrońców pokrzywdzonych. Podobnie pewien Niemiec przekonywał mnie, że nie ma znaczenia wywołanie przez Hitlera wojny, napaść na Polskę, jej okupacja i wszystko to, co niosła ona dla Polaków, bo gehenna Niemców wypędzanych z obecnych Ziemi Zachodnich nie była mniejsza od cierpień Polaków, a każde cierpienie należy traktować w kategoriach indywidualnych, podchodzić do niego z pełnym poczuciem humanitaryzmu.

Pisze Pan, że wcześniej relacjonowaliśmy na łamach „Karty” bestialskie działania Ukraińców na Wołyniu. Ale nie spotkałem się z pokazaniem, co działo się w Małopolsce Wschodniej w ostatnich latach wojny i pierwszych po jej zakończeniu. Pochodzę z małego miasteczka w byłym województwie tarnopolskim i gdy je opuszczałem, miałem 11 lat. Zachowuję list mego Ojca, pisany do sióstr w Krakowie. Pisze w nim między innymi: „Z chwilą gdy piszę do Was tych kilka słów, jeszcze żyjemy [...]. U nas wszystko stosunkowo tanie, a najtańsze życie ludzkie”. Przed datą napisał: „Wołyń”, aby dać do zrozumienia, co się u nas dzieje. Rzezie na Wołyniu nie były już tajemnicą. Wkrótce po tym Rodzice wraz ze mną i moją dwuletnią siostrzyczką wyjechali na zawsze z rodzinnego domu, zostawiając wszystko, poza tym, co mogli jeszcze unieść w rękach. Nikt nie podstawił nam wagonu, nie pojechaliśmy do wyznaczonego nam rejonu, gdzie czekałby na nas dom z przyległościami. Przytulku szukaliśmy u krewnych. Takich jak my było znacznie więcej niż objętych akcją „Wisła”. A co mówić o tych, którzy uciekali wprost spod noża czy siekiery? A ilu nie zdążyło?

Maria Buczyło pisze o silnym podziemiu polskim. Kpi czy o drogę pyta? Może chodzi o tych zdesperowanych chłopów polskich, którzy próbowali się bronić mimo niesłychanej dysproporcji sił, aby ratować życie swoich rodzin? Najczęściej bezskutecznie. Zdumiewa też argument, że podziemie ukraińskie Sowietnicy zniszczyli bez uciekania się do przesiedleń. A deportacje, które przeprowadzono na tych terenach praktycznie do lat 50.? [...]

Jest jeszcze inny powód, dla którego Polak powinien dobrze się zastanowić, zanim dołączy do ukraińskiego chóru domagającego się potępienia

przez polskie władze akcji „Wisła”. Tu bynajmniej nie chodzi o krzywdy poszczególnych ludzi. Idzie o odszkodowania, czyli o pieniądze, jakie miałyby zapłacić państwo polskie. A czy ktoś myśli o tym, aby współczesne państwo ukraińskie zapłaciło odszkodowania Polakom wypędzonym z Kresów południowo-wschodnich?

Akcję „Wisła” ukraińscy nacjonaliści nazywają „ludobójstwem”. Wyolbrzymianie krzywd doznanych od Polaków nie jest w propagandzie ukraińskiej niczym nowym. Miało ono miejsce już przed wojną [...]. Mało tego. Przywołane na początku tego listu hasło nie jest bynajmniej żartem. W państwie ukraińskim działa silne lobby, stojące na stanowisku, że Polska nadal okupuje ziemie ukraińskie, a ich odebranie prędzej czy później stanie się faktem. [...]

I bardzo boli, że Polska pozwala, aby takie plany snuto również na łamach subwencjonowanego przez państwo polskie „Naszego Słowa”. Czy wyobraża Pan sobie, aby w polskojęzycznej „Gazecie Lwowskiej” ktoś ośmielił się napisać, że Kresy były zamieszkiwane od wieków także przez Polaków i Polacy mają prawo domagać się zwrotu Lwowa?! [...]

Trzeba mieć świadomość, że mamy przeciwnika skrytego, bezwzględnego i przepojonego wręcz irracjonalną nienawiścią do naszego Narodu.

Niech też Pan przyjrzy się sprawie spokojnie i nie ulega pozorom. Znając maestrię nacjonalistów ukraińskich w fałszowaniu historii, mam podstawy do ostrożnego podchodzenia do relacji, jakie produkowali w celu oczerniania Polaków, których, gdy tylko mogli, bezwzględnie i w wyrafinowany sposób mordowali. A że budowanie na kłamstwie nie jest sprawą marginalną, niech nam przypomni fakt, że żaden naród nie stawia tyłu pomników „bohaterom”, których jedynym rzeczywistym „osiągnięciem” było właśnie wymordowanie tysięcy bezbronych, niewinnych ludzi. Bo przecież ani Bandera, ani Szuchewycz czy inny „wódz” nie przysłużyli się inaczej sprawie ukraińskiej. To, że Ukraina współczesna sięga po San, jest niewątpliwie zasługą wyłącznie Stalina! Gdyby nie jego pakt z Hitlerem i odrzucenie wszelkich starań polskich o uszanowanie granicy z 1921 roku, gdyby nie jego twarda postawa w Teheranie i Jalcie, mielibyśmy nadal w swoich granicach ziemie, które należały do Polski przez stulecia i władali nimi jeszcze pierwsi nasi książęta. Proszę jednak nie posądzać mnie o postawę rewizjonistyczną. Uznaję realia i szanuję

status praesens. Chciałbym tylko, aby szanowano nasze prawo do prawdy historycznej.

POZNAŃ

BOGDAN HUK, dziennikarz ukraińskiego tygodnika „Nasze Słowo”

[...] Publikacja ta – pierwszy polskojęzyczny wybór fragmentów wspomnień ofiar akcji „Wisła” – jest ważna i cenna. Nie wiem, jakie reakcje powinna ona wywołać, jednak nie takie, jakich doczekał się zespół „Karty” ze strony środowiska akowsko-kresowego. Pragnę dodać kilka własnych uwag, ponieważ w tekstach każdej z dyskutujących stron – a więc także środowiska „Karty” – obecne są niepokojące uproszczenia, które wynikają z myślenia nie stricte historycznego, a narodowego lub publicystycznego.

Zbigniew Gluza w „Karcie” 51, we wstępie do pierwszej partii listów nadesłanych przez czytelników, napisał, że „zawczasu, niemal rok wcześniej, postaraliśmy się dopełnić w «Karcie» 46 zarysowany już wcześniej obraz bestialskich działań Ukraińców na Wołyniu, głównie latem 1943”. Tym samym zestawia on, równoważy bądź porównuje (!) akcję „Wisła” z mordami Polaków na Kresach. Akcja „Wisła” nie powinna być traktowana w ten sposób, ponieważ była aktem typologicznie innym. Jej odpowiednikiem nie jest także deportacja ludności polskiej z Kresów do Polski, ponieważ ta ma swą analogię w deportacji Ukraińców z Polski do ZSRR w latach 1944–46.

Akcja „Wisła” stanowi akt historyczny, który może i powinien być rozpatrywany przede wszystkim w kontekście ideologii i polityki narodowościowej powojennych rządów polskich. Równoważąca się jakoby para „mordy Polaków na Wołyniu” – „akcja «Wisła»” nie wykazuje związku przyczynowo-skutkowego, możliwego do zaakceptowania w poważnej historiografii dotyczącej konfliktu polsko-ukraińskiego w latach 40. Twierdzenie, że „przed akcją «Wisła» był Wołyń” posiada znaczenie jedynie ideologiczne, jest argumentem w starciach interpretacyjnych, gdzie strony wykazują, ideologia którego narodu była i nadal jest bardziej uzasadniona i prawomocna, a historiografia bardziej podporządkowana opcjom narodowym i nacjonalistycznym. [...]

Uważam, że mordy na Polakach na Wołyniu i w Galicji Wschodniej w latach 1942–44 mają swój odpowiednik w mordach na Ukraińcach na tymże Wołyniu i w tejże Galicji Wschodniej w tym samym okresie; walki polsko-ukraińskie na Chełmszczyźnie

w latach 1943–44 to walki na Chełmszczyźnie, a nie akcja „Wisła” czy Galicja; Przemyskie, Łemkowszczyzna, Chełmskie i Podlasie w latach 1944–47 – to znowu inna całość; natomiast akcja „Wisła” – to następna odsłona jednego konfliktu, lecz znowu różna od pozostałych. Łączy je możliwość objęcia wspólnym mianem konfliktu, ale jego cechy strukturalne nie powinny ulegać zatarciu, bowiem przekształcają się w publicystyczny chaos, w którym dobrze czują się wyłącznie polscy i ukraińscy nacjonaliści czasu nam współczesnego. [...]

W następstwie niezauważania potrzeby właśnie takiego podejścia metodologicznego – co podyktowane jest pragnieniem licytacji narodowej i nacjonalistycznej – w historiografii problemu mamy ciągle zaklinanie historii, konstruowanie ciągów zdarzeń pozornie logicznych, związanych raczej narracją autorów niż rzetelną analizą naukową. Do czego może to prowadzić? Na przykład do mniemania, że akcja „Wisła” obfitowała w krwawe wydarzenia identyczne i tożsame z wołyńskimi, czego brać poważnie nie należy.

Ciekawa, acz chyba nie do zrealizowania, jest uwaga Damiana Markowskiego z „Karty” 51 o potrzebie „zamieszczenia chociażby relacji strony przeciwnej”. Jest to istotna propozycja: brakuje polskich relacji na temat akcji „Wisła”, na przykład życia w opustoszałych wioskach w pierwszych latach osadnictwa na terenach poukraińskich, losów zabytków kultury ukraińskiej. Pamiętniki osadników bieszczadzkich, wydane w okresie komunistycznym, to za mało. Zresztą, nie tylko o Bieszczady tu chodzi. Piszę powyższe, jakkolwiek uświadamiam sobie, iż Markowski ma na myśli polskie relacje z zabójstw dokonywanych przez formacje ukraińskie na Wołyniu. Niestety, w tym miejscu znowu widzimy, dokąd prowadzi przedstawione powyżej mechaniczne zestawianie czystki w Bieszczadach z czystkami na Kresach.

Nie popieram, jakkolwiek z innych względów niż pozostali adwersarze, poglądu Zbigniewa Gluzy z „Karty” 52, że „nasza publikacja o akcji «Wisła» daje prawdziwy obraz tamtego wydarzenia”. O prawdziwości nie może być mowy nie tylko ze względu na wątpliwy status pojęcia prawdy w badaniach historycznych, która jest raczej zaklęciem niż możliwością czy realnym stanem. „Karta” opublikowała montaż fragmentów relacji i nic więcej.

Zdanie prezesa ŚZZAK Czesława Cywińskiego („Karta” 52), iż „Polska nie ma na sumieniu żadnej zbrodni przeciwko Ukraińcom” – zniechęca

do dyskusji. Stanowi podsumowanie argumentów i sposobu myślenia wszystkich dyskutantów ze środowiska akowsko-kresowego. Jest to zdanie totalne, jedyne, wykluczające wszystkie inne. Natomiast nie jest to zdanie rzetelnego historyka: wobec widocznego od kilku lat braku postępu w sposobie podejścia do badań konfliktu ukraińsko-polskiego w latach 40. ubiegłego wieku, także w środowisku rzekomo naukowym, mamy coraz bardziej do czynienia z osobami, które nie pragną kierować się szacunkiem wobec metodologii historii, a zajmują się licytacją wartości narodowych. [...]

PRZEMYSŁ

ZBIGNIEW GLUZA, w odpowiedzi

Do sugestii, jakobyśmy i ja, i nasz zespół byli nacjonalistami (w głosie polskim – ukraińskimi, w ukraińskim – polskimi) nie będę się odnosił. Trudno mi też po raz kolejny reagować na polski głos potępiający Ukraińców jako naród. Ciągłe wierzę, że to przypadki odosobnione, niedefiniujące polskiej strony.

Jest w tej całej dyskusji coś zdumiewającego – milczenie polskich Ukraińców. A głos Bogdana Huka to milczenie jedynie pogłębia. Ogłaszamy fragmenty jego wypowiedzi, mimo że jesteśmy przekonani, iż utrudni ona polsko-ukraiński dialog. Dla polskiej strony będzie dowodem obojętności polskiego Ukraińca wobec bólu polskich współobywateli atakowanych kiedyś przez jego rodaków... To nie może być krok ku porozumieniu.

Z niezrozumiałych dla nas względów, Prezes Związku Ukraińców w Polsce zrezygnował z zabrania głosu w tej rozmowie. Jemu akurat, jako przedstawicielowi polskich Ukraińców, nie daję prawa do takich zachowań. W tym kontekście opadają wątpliwości, czy to zawzięte „milczenie” Związku nie wiąże się z jakimiś kalkulacjami...

Cóż, przyznaję się do porażki. Wiara w dialog polsko-ukraiński, zainicjowany przez KARTEŃ w 1994 roku, a kontynuowany przez ŚZZAK od roku 1996, nie dała rezultatu. Całkowitą rację mają przedstawiciele Światowego Związku, że zawiła tu „poprawność polityczna” polskich władz, tak na skróty prących do pojednania z Ukrainą, że uniemożliwiających porozumienie z nią. I mają rację organizatorzy tego dialogu, że nie sposób się porozumieć z drugą stroną, która miast wypowiedzieć parę prostych słów, w najlepszym razie zalewa nas „naukową” retoryką.

Materiał pochodzi z „Karty” 54/2008.

Polska–Ukraina

Z PROF. ZDZISŁAWEM NAJDEREM

ROZMAWIA HANNA ANTOS

→ **Hanna Antos:** Wspólna historia Polski i Ukrainy to kilkaset lat współtworzenia jednego państwa, pokojowe współistnienie i kulturowe przenikanie się dwóch narodów, ale też seria bolesnych konfliktów, okupionych ofiarami po obu stronach. Na ile ta wspólna historia jest w relacjach polsko-ukraińskich obecna i istotna?

← Zdzisław Najder: – Dla Polaków jest wciąż obecna i bardzo ważna. Obecna jest w środkowej i zachodniej Ukrainie i właściwie zupełnie nieobecna we wschodniej. Natomiast istotna jest tylko dla Ukrainy zachodniej. Nie ulega wątpliwości, że dla naszej tożsamości historycznej i kulturowej Ukraina jest kluczowa, natomiast wzajemność tego związku nie zawsze jest dla Ukraińców oczywista. Ta asymetria to jest jeden z głównych problemów w stosunkach polsko-ukraińskich i w uprawianiu tego, co chce się dziś nazywać polityką historyczną.

→ **Skąd bierze się ta asymetria w postrzeganiu wzajemnego znaczenia?**

← Ukraińcy z trudem znajdują własną wspólną narrację, opowiadając o przeszłości. Jeśli głębiej sięgają w historię, nawet do IX wieku, to tę wspólną narrację potrafią budować, ale potem ona się rozpada i zaczyna znowu dopiero przed osiemnastu laty – a to bardzo niewiele. Ukraińcy nawet z nawiązywaniem do własnej przeszłości mają poważną trudność. A jeżeli oni mają z tym kłopoty – to jest to też nasz problem, bo o historii powinniśmy mówić razem, a nie osobno.

→ **Jak Pan Profesor ocenia przebieg dotychczasowego dialogu, który odbył się do tej pory między sąsiadami? Wydaje się, że sprowadza się on raczej do okolicznościowych wypowiedzi reprezentantów obu państw niż do rzeczywistych działań i prawdziwego porozumienia. Wiele inicjatyw, podejmowanych na przykład przez organizacje pozarządowe, nie przebija się do świadomości społecznej. Na ile wykorzystaliśmy tę sytuację, w której od kilkunastu lat Polska może swobodnie pracować nad wspólną pamięcią razem z niepodległą Ukrainą?**

← W stosunkach Polski z Zachodem po 1989 roku dużą wagę przywiązywaliśmy do historii. Zbyt często pamiętaliśmy jedynie o złej przeszłości niemiecko-polskiej, za mało uwagi zwracając na to, że sytuacja w Europie zupełnie się zmieniła, że Niemcy się zmienili i są częścią większej całości – Wspólnoty Europejskiej. Natomiast w stosunkach ze Wschodem za mało pamiętaliśmy o historii. W traktatach zawieranych z Ukrainą i z Litwą nie było właściwie mowy o przeszłości – i to jest błąd. Trzeba było o tej wspólnej, niełatwej przeszłości śmiało mówić, bo to by teraz owocowało. Mam nadzieję, że i w Polsce, i na Ukrainie dorasta nowe pokolenie, które ma mniej kompleksów i mniej oporów wobec mówienia o tym, cośmy sobie wzajemnie uczynili.

Innym polskim błędem był brak wizji, brak określenia celów na przyszłość i fundamentalnych działań, którym podporządkować trzeba by wiele decyzji. Teraz naszym celem powinno być częściowe choćby naprawienie tych błędów, próba

odtworzenia bogactwa I Rzeczypospolitej tak, żeby nikt nie czuł się zubożony, ale wszyscy wzbogaceni przez jej dziedzictwo. Polacy często nie zdają sobie sprawy, jak wiele kiedyś zyskali ze Wschodu.

Do tej pory brak nam było całościowego planu korzystania z historii i uporania się z nią w stosunkach polsko-ukraińskich. Potrzebne jest wyraźne rozpoznanie, co kto może zrobić. W tej chwili każdy działa na własną rękę, a ze strony polskiej zauważalny jest, zwłaszcza w ostatnich paru latach, brak koordynacji między ośrodkami władzy i organizacjami czy instytucjami, które się zajmują stosunkami transgranicznymi.

→ Od kogo takie rozpoznanie celów i koniecznych działań mogłoby wyjść?

← To jest równoległy obowiązek władzy, a zarazem ludzi zaangażowanych intelektualnie, a niekoniecznie instytucjonalnie, którzy mają obowiązek opisywać przeszłość i teraźniejszość. Myślę, że trzeba zacząć od tego, by precyzyjnie zdefiniować, co możemy zrobić; rozdzielić to, co potocznie nazywa się polityką historyczną wewnętrzną od polityki zagranicznej. Bowiern potrzebne jest nam także ustosunkowanie się do wspólnej przeszłości polskiej i ukraińskiej na użytek wewnętrzny. Mamy obowiązek starać się, aby obywatele RP lepiej tę wspólną przeszłość znali.

To, że polska tożsamość kulturowa jest bardzo związana z Ukrainą, funkcjonuje jako slogan, a nie jako rozpoznanie. Trzeba się przyjrzeć, jak ukraińskie skojarzenia, odesłania, wizje Ukrainy funkcjonują w polskiej wyobraźni. To pomoże nam przypomnieć, zbadać i nazwać to, co było wspólne.

→ Na czym miałyby polegać wspólne wysiłki, abyśmy mogli stawać wobec przeszłości jako partnerzy w realnym dialogu, a nie jako strony konfliktu?

← Należy odważniej sięgać do wspólnej przeszłości i przestać się obawiać, że Ukraińcy będą nasze działania traktować jako potencjalny rewizjonizm czy zaborczość. Za mało namawialiśmy do tej pory Ukraińców, by podkreślali swoją przynależność do Europy. Wielkopańskiej postawy, której obawiał się Jerzy Giedroyc, już w Polakach nie ma. Przesadziliśmy w drugą stronę. Jesteśmy zbyt nieśmiali w nawiązywaniu do faktów.

Staramy się rozładowywać konflikty i dlatego znosimy dosyć cierpliwie asymetrię w przed-

stawianiu krzywd, które wzajemnie sobie wyrządziliśmy. Strona polska poszła dość daleko w opisywaniu i potępieniu akcji „Wisła” i przeprosiła za polski odwet podczas rzezi wołyńskiej. Natomiast ze strony ukraińskiej tych gestów było o wiele mniej. Nie powinniśmy także oczekiwać od Ukraińców jednoznacznej antyrosyjskości: to dla nich niekorzystne, bo wprowadza między nimi dodatkowe podziały. My musimy się tylko upierać przy upowszechnianiu rzetelnej wiedzy o przeszłości.

→ Co powinien obejmować całościowy projekt zadań związanych ze wspólną historią Polski i Ukrainy? Jaki plan działania powinna opracować Polska, aby faktycznie porozumieć się z Ukraińcami?

← Przede wszystkim, w naszym odtwarzaniu historii powinniśmy nawiązywać do tego, co wspólne. Tworzyliśmy kiedyś jedno państwo, które było wzorem państwa federalnego. Polska była zdecydowanie częścią Zachodu, a Ukraina przynależała częściowo do Zachodu, a częściowo, chociażby przez prawosławie i przez związki z Bizancjum, do Wschodu. Dwa kręgi cywilizacyjne się nakładały – wykwitem tego był sarmatyzm, oryginalna formacja kulturowa z pogranicza Zachodu i Wschodu. Powinniśmy pokazywać, wyjaśniać, jak te mechanizmy funkcjonowały i jak wiele korzystały na tym obie kultury. Ukraińcy nie mają takiego poczucia korzystania z tej wspólnoty, jak Polacy. Wiedzę o tym, że wspólnota służyła obu narodom, musimy im przekazać. Głównym naszym zadaniem są starania o odtworzenie istoty I Rzeczypospolitej; państwa wielokulturowego, wieloetnicznego i, w pewnym sensie, wybiegającego w przyszłość – przez swój federalizm. Wizja odtworzenia kultury, także politycznej, która nie była tworem idealnym, ale bardzo pociągającym – jest najważniejsza.

Chciałbym, abyśmy potrafili przekonać Ukraińców, że naszym celem jest wyłącznie pokazanie bogactwa wspólnej przeszłości i byśmy umieli doprowadzić do tego, że za kilkadziesiąt lat granica polsko-ukraińska będzie umowna, podobnie jak już dzisiaj granica polsko-niemiecka.

Polska odpowiedzialność pod tym względem jest wyjątkowa, szczególnie po 1989 roku. Pierwsi podnieśliśmy się z kolan, a to nakłada na nas dodatkowe obowiązki, których do tej pory unikaliśmy. Na nas ciąży odpowiedzialność, bo jesteśmy głównymi spadkobiercami tej prefiguracji europejskiego zjednoczenia, jaką była I Rzeczypospolita.

→ **Działania Polski trzeba prowadzić w perspektywie „długiego trwania”, to znaczy zawsze myśleć o wiele lat w przód. Jakie trzeba spełniać warunki, aby to się udało?**

← Największą trudność sprawia uświadomienie sobie, że to, co jest dzisiaj, nie jest trwałe. Świat się zmienia i trzeba wyobrazić sobie śmiało, jaka może i powinna być nasza rzeczywistość. Tak staraliśmy się myśleć w połowie lat 70., pisząc program Polskiego Porozumienia Niepodległościowego.

Starajmy się działać tak, aby to, jak powinno być, stało się bardziej możliwe. Dla intelektualistów obowiązkiem jest myśleć, jak być powinno, ale realistycznie, dotykając materialnego świata, by faktycznie poczuć tę wielonarodową rzecz polską – wspólną.

→ **Jakie są najważniejsze punkty węzłowe dialogu – katalog spraw z wspólnej historii, które należy podjąć razem z Ukraińcami?**

← Jest wiele takich spraw i trudno jest ułożyć hierarchię ważności. Rozmawiając o wspólnych doświadczeniach, pamiętajmy, że one nie polegały wyłącznie na wzajemnym zabijaniu się. Nie można podkreślać tylko działań militarnych czy politycznych. Najważniejsza jest kultura. Mówmy, na przykład, o dużym wpływie polskiej poezji romantycznej na odrodzenie się literatury i poezji ukraińskiej. Można też sięgnąć do tematu przenikania się kultur rusińskiej i polskiej wcześniej – w XVI wieku. Owszem, należy mówić o sojuszu z Petlurą, o wspólnej walce z bolszewizmem, ale też o pokoju ryskim, który za naszą granicą zostawił setki tysięcy ludzi mówiących w domu po polsku. To jest wspólna historia zachodniej części Ukrainy i Polski.

Mówmy też o tym, że czasem Ukraińcom związki z Polską, nawet jeśli była postrzegana przez nich jako państwo okupacyjne – pomagały. Faktycznie wyrządźliśmy Ukraińcom wiele zła w Galicji Wschodniej, ale w związku z tym kilkaset tysięcy ludzi ocalało, bo nie zostali choćby zagłodzeni na śmierć. Siedzieli czasem w polskich więzieniach, ale uratowali życie. To, że w latach 1918–19, walcząc z Ukraińcami, utrzymaliśmy w polskich rękach Lwów, pozwoliło tysiącom przedstawicieli ukraińskiej inteligencji przetrwać w latach 20. i 30. Można by pójść dalej i powiedzieć, że Lwowskie Orleńskie *per saldo* działały na korzyść Ukrainy – obroniły Lwów, miasto kochane przez co najmniej

dwa narody, przed katastrofą, jaką by było włączenie go do Związku Radzieckiego.

Polacy upierali się (słusznie) przy odrestaurowaniu Cmentarza Orleń w Lwowie, przy okazji trochę zapominając, że większość tam pochowanych to poległ w wojnie, którą wspólnie prowadziliśmy z bolszewikami. Ta świadomość się jakoś zagubiła, choć nie powinna, i dlatego niepotrzebnie identyfikujemy to miejsce głównie jako cmentarz obrońców Lwowa przed Ukraińcami. Tymczasem to jest miejsce pochówku ludzi, którzy bronili pewnego typu cywilizacji, przez Polaków akurat lepiej przyswojonej niż przez Ukraińców. Lwów był jednym z najważniejszych europejskich centrów kulturowych do 1939 roku. Musimy wciąż Ukraińcom przypominać, że są tam dzisiaj gospodarzami wspólnej przeszłości.

Problemem, którego również nie powinniśmy przemilczać, jest zalecanie się ośrodka prezydenckiego Ukrainy do środowisk i organizacji skrajnie nacjonalistycznych. Na te gesty nie reagujemy, nie bardzo rozumiem dlaczego, skoro to nie służy interesom ani naszym, ani ukraińskim. Wyrazem naszych obaw przed podnoszeniem spraw trudnych jest też unikanie tematu obchodów na Ukrainie upamiętniających udział Ukraińców w formacjach SS. Liczne krytyczne teksty o tych wydarzeniach ukazują się w prasie francuskiej czy niemieckiej, ale nie w polskiej. Jest w tym coś nienaturalnego...

Mówmy o zbieżności interesów polskich i ukraińskich, która składa się z dwóch czynników. Po pierwsze, jak głosi radykalna teza sformułowana przez Zbigniewa Brzezińskiego, dla Polski niepodległa Ukraina jest ważniejsza niż nasze członkostwo w Sojuszu Północnoatlantyckim; i ja się z tym zgadzam. Jest jednak w tej tezie pewne niebezpieczeństwo, bo ustawia ona współpracę polsko-ukraińską na pozycji esencjonalnej antyrosyjskości, sprowadzającej nasze wspólne interesy do tego, aby się przeciwstawić Rosji.

Drugi czynnik zbieżności interesów wiąże się z tym, że jeżeli my nie utrzymamy fizycznego i ludzkiego związku ze Lwowem, z Kamieńcem Podolskim, Krzemieńcem, Chocimiem czy Żytomierzem, to amputujemy kawałek polskości. Trzeba mówić o tym, że na zachodniej Ukrainie, między innymi w zbiorach Ossolineum we Lwowie, są ogromne skarby – XIX-wieczne malarstwo, rzeźba, architektura, które należy przypominać, bez przemilczania tego, że ich powstanie związane było z tym, co działo się w kulturze polskiej.

Twórcy tych dzieł pracowali w ścisłym związku z Krakowem, z Warszawą, także z Wiedniem. To jest spuścizna naszej wspólnoty kulturowej, o którą należy dbać – razem.

→ **A jest jakiś obszar wspólnej przeszłości zbyt bolesny, do którego poruszenia jeszcze nie jesteśmy gotowi?**

← Nie, takiej sfery nie ma. Tylko trzeba zachować czujność saperską i wiedzieć, że się wchodzi na pole minowe, jakim są stosunki polsko-ukraińskie w okresie II wojny światowej, bezpośrednio po niej i nieco wcześniej. Rzeczywiście, Polacy robili rzeczy głupie i wstrętne w latach 30. i nie jest usprawiedliwieniem to, że Sowieci robili rzeczy znacznie gorsze. Równolegle, zakres i formy współpracy Ukraińców z Niemcami w czasie II wojny muszą uruchamiać z naszej strony sygnały alarmowe. Tyle że to jest bardzo trudne, bo dokąd niepodległościowo nastawiony Ukrainiec, który wiedział, czym są Sowiety, i chciał wziąć udział w walce, miał iść, jak nie do dywizji SS? Pamiętajmy, co o tym pisał Józef Mackiewicz.

Trzeba jasno powiedzieć: sytuacja była tragiczna. Mało kto wie, że Ukraińcy, którzy się znaleźli po 1945 roku w strefach okupacyjnych brytyjskiej, francuskiej i amerykańskiej, byli odsyłani prosto na Ukrainę, niemal na rzeź. Chyba – i to trzeba przypominać – że był w 1939 roku obywatelem polskim albo podał się za Polaka. Generał Anders uratował życie wielu Ukraińcom, żołnierzom najrozmaitszych formacji, wystawiając im zaświadczenia, że są obywatelami polskimi. Większość z nich była, ale nie wszyscy. To pokazuje, że nakładanie się historii chwilami bywało korzystne dla Ukraińców. Sam znam Ukraińca, który udał Polaka i dopiero w 1989 roku wyznał córkom, że nie jest tym, za kogo się podał, kiedy 44 lata wcześniej wrócił do Polski, ale po prostu się bał. I dlatego wołał zostać w Polsce.

Nas ma prawo oburzać pomnik Stepana Bandery czy Romana Szuchewycza – ale komu Ukraińcy mają stawiać pomniki? Tu trzeba, bez składania kwiatów pod tymi pomnikami, skonstatować, że jest problem. Jak go rozwiązać – nie wiem. Petlurze też nie wszyscy chcą stawiać pomniki. My możemy go zaakceptować, ale jeden Petlura dla Ukraińców to za mało. Historia między 1918 a 1948 rokiem to jest najtrudniejszy okres i wymaga dobrej woli z obu stron, ale nie można jej przemilczeć.

Zatem pierwszy etap – rozpoznanie. Drugi etap to jest zdefiniowanie tego, kto i jaką rolę powinien pełnić w realizacji polityki historycznej. Jeśli chodzi o sprawy wewnętrzne, to my sami musimy jak najlepiej sobie uświadamiać, jaką rolę odgrywała i odgrywa dla nas historia. Na zewnątrz natomiast trzeba się zastanowić, czy, jak i o ile historia może nam pomagać albo przeszkadzać w popieraniu rozwoju społeczeństwa obywatelskiego na Ukrainie.

Ukraińcy podczas Pomarańczowej Rewolucji upomnieli się o swoją podmiotowość, ale jest ona za mało zinstytucjonalizowana. I nasza polityka historyczna powinna dążyć do tego, żeby Ukraińcom pomagać właśnie w odzyskiwaniu i rozwijaniu podmiotowości. A tę podmiotowość trzeba czymś wzmacniać, więc należy ją między innymi karmić wspólną przeszłością bez polskiej zarozumiałości, która już z nas chyba wyparowała, ale także bez ukraińskich kompleksów, podobnych do naszych wobec Niemców.

Rozumiem, że jest za wcześnie, aby oczekiwać od Ukraińców tej gotowości do przyznania się do błędów, jaką sobie wypracowali Niemcy. Wcale nie podejrzewam Niemców o sztuczność – oni rzeczywiście się dogłębnie przeorali. Na niemieckim doświadczeniu i Polacy, i Ukraińcy powinni wspólnie uczyć się, jak widzieć siebie nawzajem w podwójnej roli – ciemżonego, ale także tego, który mordował.

→ **W jaki praktyczny sposób możemy dążyć we wspólnej przestrzeni do budowania na tym niemieckim doświadczeniu? Jak wspierać ukraińskie prace nad pamięcią?**

← Uważam, że Polska powinna prowadzić bardziej czynne działania pobudzające środowiska polskie czy poczuwające się do związków z polsnością na Ukrainie. Powinna wspomagać je przede wszystkim merytorycznie i pobudzać do zakładania i prowadzenia stowarzyszeń, powiedzmy przyjaciół Kamieńca Podolskiego czy stowarzyszenia w Kijowie albo Żytomierzu, gdzie jest bardzo wielu Polaków.

Od kilkunastu lat staram się utworzyć muzeum Konrada Korzeniowskiego – Josepha Conrada – w Berdyczowie. Mam trochę doświadczeń właśnie w wykorzystywaniu historii do rozwijania wzajemnego zrozumienia. Strona ukraińska reaguje na to powoli. Przekonałem się, że dla nas

dorobek kulturowy przeszłości jest znacznie ważniejszy niż dla nich. Oni nie mają na ogół zielonego pojęcia, że istniał ktoś taki jak Joseph Conrad, chociaż jest to prawdopodobnie najbardziej znany człowiek urodzony na Ukrainie, może Chruszczow był bardziej znany, ale tego możemy sobie darować.

Współdziałanie wymaga cierpliwej pracy, rozwijania kontaktów, przekonywania. I okazuje się, że zainteresowanie oddolne jest większe, niżby można się spodziewać po sztywności władz. Najważniejsze zatem są działania w terenie. Dotyczą one jednak tylko Ukrainy na zachód od Dniepru, bo dalej już nie mamy tylu wspólnych zaszczości. Budzimy duże zainteresowanie polityczne czy cywilizacyjne, ludzie z Dniepropietrowska przyjeżdżają, chcą nawiązywać kontakty, handlować, ale to już co innego.

→ **W jakiej przestrzeni publicznej ten dialog powinien się toczyć, aby nie sprowadzał się tylko do okolicznościowych deklaracji, ale by miał przełożenie na świadomość zbiorową w obu krajach?**

← Prowadzenie dialogu to między innymi obowiązek reprezentantów majestatu i interesów państwa – prezydentów. Myślę, że nasz Prezydent powinien bardzo wyraźnie powiedzieć, że takie rzeczy jak pomniki stawiane Banderze ani dla nas nie są miłe, ani ukraińskiej pozycji wobec Europy nie poprawiają. Przecież banderowcy czy ludzie Szuchewycza mordowali Polaków i Żydów. Trzeba otwarcie mówić, że nam się pewne rzeczy nie podobają, są po prostu złe. Nie można przechodzić do porządku dziennego nad zbrodniami. Nie namawiam, by Prezydent robił z tego orędzie, ale myślę, że dobrze byłoby, gdyby jego biuro dało do zrozumienia, że prezydent Polski poruszył w rozmowach z prezydentem Ukrainy sprawę nacjonalistycznych ekscesów na zachodniej Ukrainie.

Prezydentów powinni wspierać w dialogu publicznym ministrowie kultury, ze świadomością, że współpraca kulturowa wszystkim przynosi korzyść. Trzeba odejść od modelu militarnego i przejść do modelu współżycia, a nawet współzawodnictwa kulturowego.

→ **Co można by zrobić, aby zachęcić obie strony do wspólnego szukania nowych płaszczyzn porozumienia, jeśli wydaje się, że dotychczasowe zawiodły? To, co przynoszą oddolne inicjatywy, na przykład polsko-ukraińskie seminaria naukowe, inicjowane**

niegdyś przez Ośrodek KARTA, nie jest wykorzystywane w powszechnej debacie. Czy warto zorganizować jedno wydarzenie, które miałoby szeroki wymiar publiczny i szanse na zaistnienie w zbiorowej świadomości i byłoby uroczystym wyrażeniem woli porozumienia, podpisanym przez obie strony podsumowaniem, a zarazem oświadczeniem tego, co wspólne, oraz tego, co dzieli?

← Taki gest, jak na przykład wspólny kongres, nie tylko parlamentarzystów, ale działaczy społecznych czy kulturowych, oczywiście bardzo by się przydał i dobrze by było, gdyby inicjatywa wyszła ze strony polskiej. Jednocześnie trzeba by skorzystać z pomysłów Ukraińców, którzy też mają wizję naszej współpracy. Człowiekiem, z którym trzeba o tym rozmawiać, jest na przykład Hryhorij Nemyria – wicepremier Ukrainy do spraw integracji europejskiej. Takich ludzi na pewno jest na Ukrainie więcej.

Rocznice militarne nie są jednak dobrym pretekstem dla takiego wydarzenia. Zorganizowanie kongresu na przykład przy okazji obchodów wspólnego wejścia do Kijowa w 1920 roku przez bardzo wielu byłoby widziane jako przypomnienie polskiego gestu imperialnego i sięgania przez „pańską” Polskę po tereny należące do polskich ziemian. Na pewno najpierw należałoby spytać Ukraińców, jak oni by to odebrali.

Myślę, że okazja ściśle związana z kulturą byłaby znacznie lepsza. Może powinna to być rocznica związana z Moniuszką, może z Kościuszką albo jakimś innym Białorusinem. Najlepiej byłoby właśnie znaleźć taką okazję, która by pozwoliła wciągnąć także Białorusinów, żeby ich nie zostawić na marginesie.

Nie musimy czekać na rocznicę. Możemy zrobić jakiś gest, który sam stworzy tradycję, na przykład zorganizować kongres kultury I Rzeczypospolitej. To mogłoby mieć ogromny oddźwięk społeczny. W tej chwili uświadamiam sobie, że jest pisarz, dzisiaj mało pamiętany, ale swego czasu bardzo ważny dla całej tej części Europy, nazywany przez Żeromskiego „starym naszym Ojcem”, twórca idei emigracyjnego Skarbu Narodowego, uczestnik działań powstańczych w 1848 i 1863 roku, autor wczesnych powieści „chłopskich” i niezliczonych utworów, których bohaterami są Polacy, Rusini, Węgrzy, Słowacy, Serbowie, Chorwaci – którzy wszyscy chcą zachować swoją tożsamość. To Zygmunt Miłkowski, piszący jako Teodor

Tomasz Jeż, urodzony w 1824 roku na Podolu. Może być patronem!

→ Co zrobić, aby takie działania nie zostały przez stronę ukraińską odebrane jako próba narzucania dominacji kulturowej? Jakie warunki Polacy i Ukraińcy muszą spełniać, by obie strony otworzyły się na dialog?

← Przede wszystkim – niczego nie narzucać. Trzeba pomóc ludziom kultywować tę tradycję, którą chcą. I ocalać wspólne szczątki, bo to są ślady Polaków, którzy mieszkali wśród Rusinów, niekoniecznie chodzili im po głowie i niekoniecznie byli panami bijącymi ukraińskich chłopów. Nikt nikomu niczego nie chce zabierać, przecież mamy jedynie ocalać tę ogromną ilość wspólnych śladów. To ocalanie wymaga olbrzymiej roboty, również państwa polskiego, ale i inicjatywy oddolnej, bo wyłącznie z góry tego się nie da zrobić.

→ Ale jakimi, skoro państwo polskie bywa raczej głuche na oddolne inicjatywy?

← Zorganizujemy na przykład w 2013 roku dużą wystawę dotyczącą powstania styczniowego, które objęło znaczny obszar wspólnych ziem. Trzeba je koniecznie pokazać, najlepiej razem, bo to był ostatni zryw I Rzeczypospolitej.

Brak koordynacji i długofalowego myślenia źle odbijają się na budowaniu polsko-ukraińskiego porozumienia. Są jednak instytucje, które to przezwyciężają. Wzorowym przykładem jest Ossolineum we Wrocławiu, które zorganizowało wystawę *Walki o Lwów 1918–1919*. Ta wystawa po raz pierwszy pokazuje uczestników z obu stron, dowództwo ukraińskie i polskie, symbole, insygnia, flagi, uzbrojenie. I jest zupełnie dobrze odbierana przez Ukraińców, dlatego że oni są w niej potraktowani po partnersku. Obie strony kochały to miasto. Obie miały powody, by o nie walczyć. Wystawa w Ossolineum to jest wzór do naśladowania, także dla Ukraińców.

Ja ich namawiam od lat, żeby zrobili dobrą wystawę o szkole lwowsko-warszawskiej, o środowisku matematyczno-filozoficznym, które było najważniejszym osiągnięciem intelektualnym tych ziem w XX wieku. A Ukraińcy się zastanawiają, czy Stefan Banach to Polak, czy nie-Polak...

Uniwersytet we Wrocławiu zorganizował inną wystawę: *Śląscy laureaci Nobla*. Wszyscy ci

laureaci to byli albo Niemcy, albo niemieccy Żydzi, ale się na tej ziemi urodzili i wychowali.

Ukraińcy odziedziczyli po przeszłości „nasz” Lwów, myśmy odziedziczyli Wrocław, który mając lwowskie doświadczenia, lepiej sobie daje radę. Wrocław jest wzorem, na którego przykładzie państwo polskie powinno się uczyć, bo potrafi on konsumować przeszłość niemiecko-czesko-polską tak, by nie wrywać sobie wzajemnie tablic i nie kontynuować tego, co się działo w latach 40. i 50. – bo to był wstyd. Brakuje nam w tym wciąż ogromnie, jak w całym polskim życiu politycznym, koordynacji i długofalowego myślenia.

→ Czy jest może potrzeba powołania dodatkowej struktury koordynującej działania związane z historią?

← Może raczej trzeba stworzyć jakiś komitet porozumiewawczy. Najlepiej by było, gdyby to zostało zrobione nie bezpośrednio przez rząd, ale przez wspierane przez władze organizacje pozarządowe. Można by powołać ciało doradcze, na wzór choćby rad przy muzeach, które by się systematycznie spotykało i udzielało wskazówek opartych na doświadczeniu.

Powolywanie takich ciał, także międzynarodowych, to jest wspólne zadanie dla ministrów kultury, szkolnictwa wyższego i urzędu prezydenta. W ich skład powinna wchodzić przede wszystkim elita życia kulturalnego, ludzie z autorytetem, którzy tworzą pewne wzorce, naukowcy, działacze społeczni, ludzie z różnych środowisk, z dorobkiem i wyzbyci kompleksów. Niech to będzie taki areopag – instytucja jak najmniej polityczna, a jak najbardziej związana z życiem społecznym i kulturowym. Dotychczasowy projekt, jakim jest Forum Polsko-Ukraińskie, to byt raczej wirtualny, z którego działalności niewiele wynika. Trzeba zacząć od nowa...

Jak taka instytucja powinna funkcjonować? Do tego niepotrzebne są rozmowy na gruncie politycznym. Nadmierna instytucjonalizacja takich działań może tylko zaszkodzić. Można się natomiast przyjrzeć temu, jak została wyłoniona i jak działa Rada Powiernicza Zamku Królewskiego w Warszawie i tworzyć więcej takich ciał, które pośredniczą między urzędami państwowymi a środowiskami twórczymi. Można skorzystać z doświadczeń, jakie mają rady przy rozmaitych innych muzeach, na przykład Muzeum II Wojny Światowej albo Muzeum Literatury.

Na działania doradcze nie ma recepty urzędowej, wiele inicjatyw trudno jest przewidzieć. Trzeba na bieżąco korzystać z wiedzy i doświadczenia osób wybitnych, jak Bohdan Osadczuk czy Roman Szporluk – ukraińskich patriotów związanych z Polską, którzy zdają sobie sprawę z napięć przeszłości. Trzeba się wspólnie z nimi naradzać, jak układać tę łamigłówkę, żeby tego, co wspólne, nie pogubić.

Coraz bardziej skłaniam się do namawiania, abyśmy śmielej mówili o tej nakładającej się przeszłości, byśmy przestali się bać, że się kogoś urazi. Jeżeli ma się czyste sumienie, to nie trzeba mieć kompleksów. Przypominam jednak, że nie powinniśmy nadużywać słowa „Kresy”. Należy stworzyć muzeum tych ziem, jednak uważam, że nazwa Muzeum Kresów Wschodnich jest dosyć niefortunna, dlatego że to są kresy tylko widziane z Warszawy czy Krakowa, a nie dla innych ziem. Z naszej perspektywy to są kresy, z perspektywy Białorusi czy Litwy – już nie. Trzeba znaleźć termin, który by nie był fałszywy, nie był ucieczką od problemów, a zarazem niezbyt rażący. Wyraziste upamiętnienie wspólnej przeszłości jest nam niezbędne.

→ Jak takie muzeum Ziemi Wspólnych powinno być zorganizowane, aby mogło działać jako płaszczyzna prawdziwego porozumienia?

← Najpierw należy zdecydować, czy takie muzeum powinno być częścią Muzeum Historii Polski, czy też osobnym bytem. Moim zdaniem lepiej by było, gdyby to była placówka osobna. Przedstawienie w MHP spraw ściśle związanych z problematyką ruską mogłoby być odczytane jako próba zawłaszczenia wspólnej historii. Takie muzeum nie powinno konkurować z MHP, ale je uzupełniać. Trzeba też znaleźć dla niego miejsce, najlepiej gdzieś blisko wschodniej granicy. Siedzibą mogłby być jakiś pałac czy majątek. Może Krasiczyn?

A może taką instytucję trzeba zbudować zupełnie od nowa, w miejscu neutralnym, bo gdziekolwiek byśmy ją umieścili, zawsze będzie budzić trudne skojarzenia. Na przykład w Przemyślu, ale ten pomysł też ma wady – Przemyśl jest miastem, o które walczone. Marzyłoby mi się, by kiedyś, za kilkadziesiąt lat, przy sprzyjającej sytuacji międzynarodowej, podobne muzeum powstało po stronie ukraińskiej – najlepiej w Podhorcach. To wspaniałe i piękne miejsce. W dodatku symboliczne dla jedności kultury europejskiej, bo budowali

je Konicopolscy, zamek projektował uszlachcony w Polsce Wenecjanin Andrzej del Aqua, umacniał i umieścił na mapie Guillaume le Vasseur de Beauplan, Francuz z Bretanii, autor pierwszych map Ukrainy...

Pracując nad koncepcją takiego muzeum, należy pamiętać, że do udziału w projekcie należy zaprosić wszystkich spadkobierców Rzeczypospolitej. Mam nadzieję, że znajdą się nie tylko politycy, ale i działacze kultury ukraińscy, polscy, litewscy i białoruscy, z którymi o tym będzie można rozmawiać. Takie muzeum powinno pokazywać przede wszystkim federalny, wieloetniczny, wielokulturowy i wielowyznaniowy charakter Rzeczypospolitej – jej niezwykle bogactwo. Oczywiście, nie unikniemy pokazywania konfliktów etnicznych czy społecznych.

→ Na razie wciąż nie dochodzi do wspólnego pochylenia się nad wszystkimi ofiarami konfliktów. Dlaczego nie potrafimy uciec od licytacji cierpień, kiedy jedna strona mówi: Wołyń, druga mówi: akcja „Wisła”, kiedy jedna: „100 tysięcy zabitych”, druga: „140 tysięcy brutalnie wysiedlonych”. Jak przekroczyć tendencje do dzielenia ofiar konfliktu na „swoich” i „obcych”?

← Nie potrafimy – dlatego, że każdy woli widzieć siebie w roli ofiary niż współbandyty czy współmordercy. Myśmy przerabiali to na przykładzie Jedwabnego czy Aleksandrowa Kujawskiego, gdzie po II wojnie topiono dzieci i kobiety niemieckie. Trzeba o tym mówić otwarcie, nie ma innej drogi, trzeba tę prawdę sobie powiedzieć. Licytacja na liczby jest głupia. Jeśli się zabije jednego niewinnego człowieka, to już zabiło się o jednego za dużo.

→ Co zrobić, aby polska i ukraińska świadomość, przeorane przez dwa XX-wieczne totalitaryzmy, poradziły sobie z przewycięzeniem zgody na anonimowość ofiar naszych konfliktów? Czy współpraca w imiennym honorowaniu ofiar represji z obu stron, a także ofiar represji sowieckich i niemieckich, może doprowadzić do tego, żeby faktycznie uznać i wybaczyć sobie wzajemnie winy? Ośrodek KARTA podjął wraz z partnerami ukraińskimi próbę tworzenia takiej imiennej bazy danych, której nie mógł kontynuować z powodu braku środków, ale też – niezrozumienia sprawy po obu stronach. Czy wspieranie takich działań nie powinno należeć do naczelnych, wynikających z przeszłości, obowiązków

naszego państwa? Na ile wspólne tworzenie takiej bazy danych może być metodą porozumiewania się?

– To oczywiste, że należy pochylić się nad każdą ofiarą i starać się udokumentować jej los. Powinniśmy angażować się w to razem z Ukraińcami, ale wiemy, że Polska ma znacznie większe możliwości organizacyjne i finansowe, aby taką pracę podjąć. Z dokumentacją ofiar trzeba się spieszyć. Kiedy odejdzie generacja świadków, będziemy mieli znacznie utrudnione zadanie. Ale sam fakt, że się razem pochylimy nad wszystkimi ofiarami – na pewno pomoże w porozumieniu. Zbyt łatwo zgodziliśmy się na anonimowość tych ofiar i to trzeba ze wszystkich sił, także ze wsparciem państwa, przewyciężyć.

Natomiast, dokumentując ofiary represji sowieckich i niemieckich, nie możemy pominąć obywateli państwa polskiego pochodzenia ukraińskiego, mimo ich różnego nastawienia do tego państwa – oni byli polskimi ofiarami wojny. Trzeba o nich pamiętać. Trzeba pamiętać, że oni też leżą na cmentarzu pod Monte Cassino, gdzie mają groby z prawosławnymi czy unickimi symbolami. To źle, że nie są czy nie byli obecni w polskiej świadomości jako osobna kategoria ofiar, przy całej wieloznaczności ich sytuacji. Na pewno podjęcie tego trudnego tematu jest potrzebne i dla Polski, i dla Ukrainy.

Równocześnie, jeżeli chcemy rzeczywiście patrzeć na nasze stosunki w długiej perspektywie, musimy wiedzieć, że Ukraina bez rozliczenia się z przeszłością do Unii Europejskiej nie wejdzie. Jeżeli my im tego nie wytłumaczymy, to wytkną im to inni. Rozliczenie z przeszłością leży w interesie ukraińskim. Taryfa ulgowa jest jednak trochę upokarzająca i nie powinniśmy jej stosować, bo jeżeli nawet dla Ukraińców jest to teraz wygodne, wcześniej czy później poczują się zażenowani, że się ich traktuje jak niedorozwiniętych.

→ A jak ten sposób myślenia przekazać ludziom uwikłanym często w doraźną politykę, którzy mogą podejmować odpowiednie decyzje, ale nie mają świadomości, że powinni te działania podejmować?

← Trzeba im wciąż perswadować. Konieczne jest wiązanie tych dwóch sfer – politycznej i intelektualnej. Warto razem zastanawiać się, jak przeszłość, na przykład wypędzenia z tych czy innych terenów, czyli kulturowe i rodzinne wyrwanie z korzeniami, staje się doświadczeniem, które łączy, a nie

tylko dzieli. Szukajmy tego, co łączy. I mam nadzieję, że te poszukiwania wpłyną na polityków.

Na polityków niemieckich wpływa przecież i atmosfera ziomkostw, i to, co pisał w *Idąc rakiem* Günter Grass: „To się nigdy nie skończy”. Świadomość niemieckiej winy nigdy się nie skończy. Myślenie o tym, co się stało i co z tego wynika – nigdy się nie skończy. Naszą rolą jest to przypominać.

Na wileńskim cmentarzu na Roscie, na płycie nagrobnej matki Piłsudskiego, jest zapisany cytat ze Słowackiego: „Ty wiesz / że dumni nieszczęściem nie mogą / za innych śladem iść tą samą drogą”. Nie chodzi tu o cierpiętnictwo, ale o świadomość, że jest się dziedzicem katastrofy. To się przeradza w pewnego rodzaju świadomość tragizmu ludzkiej egzystencji, życia narodu. Jest kluczem do zrozumienia postawy Piłsudskiego, która polegała na wyrzucaniu Polakom, że za łatwo godzą się na małość. Pojęcie „dumni nieszczęściem” pomaga zrozumieć, że przeszłość jest wyzwaniem. Każdy ślad przeszłości, taki jak katedra kamieniecka z odrąbanymi od ściany konfesjonalami, jest zobowiązaniem.

WARSZAWA, KWIECIEŃ 2009

Materiał pochodzi z „Karty” 58/2009.

Rozmowa z prof. Zdzisławem Najderem w poprzedniej „Karcie” rozpoczęła cykl wywiadów, w których zamierzamy podnieść najważniejsze kwestie polskiej polityki historycznej – potencjalnej, skoro państwo nie chce jej ani definiować, ani prowadzić. List Andrzeja Żupańskiego, organizatora dialogu polsko-ukraińskiego (zob. „Karta” 54), jest reakcją na ten zapis. (RED.)

ANDRZEJ ŻUPAŃSKI, Członek Prezydium Zarządu Głównego Światowego Związku Żołnierzy AK, do profesora Zdzisława Najdera
Szanowny Panie Profesorze!

Z zainteresowaniem przeczytałem Pański wywiad w 58. numerze „Karty”. Jednak cały czas, czytając Pana wypowiedzi, oczekiwałem sygnału,

że dostrzega Pan całkowitą bezskuteczność polityki naszego Państwa w sprawie pożądanego dalszego zbliżenia z Ukrainą. To, co Pan wypowiedział w tym wywiadzie, pokrywa się w istocie z kierunkiem tej polityki. Niestety żadnego znaku, że widzi Pan brak postępu w realizacji polskich zamiarów, mimo upływu 20 lat Niepodległości, nie znalazłem.

W uproszczeniu, zasady tej polskiej polityki sprowadzają się do milczenia wobec Ukraińców w sprawie okrutnej zbrodni na Polakach, a Pan się właściwie w swym wywiadzie w sprawie tej zbrodni też nie wypowiada. Gdy redaktorka „Karty” niezgodnie z prawdą stawia znak równości między 100 tysiącami zabitych i 140 tysiącami brutalnie wypędzonych, nie zgłasza Pan protestu.

Na Kresach nie tylko zamordowano 100 tysięcy Polaków, ale dokonano tego w znacznej części w sposób okrutny, a poza tym wypędzono w nieznaną okolicę pół miliona innych. Oczywiście, o żadnych pociągach – jak dla Ukraińców przesiedlanych do zabezpieczonych gospodarstw poniemieckich – dla wypędzanych Polaków nie mogło być mowy. Czyżby naprawdę w Pana oczach rozmówczyni miała rację, mówiąc o dzieleniu ofiar konfliktu na „swoich” i „obcych”?

Ta – jak widać popierana przez Pana – polityka Państwa jest zupełnie nieskuteczna. Nie spowodowała ona utraty pamięci przez Polaków, gdyż ilość działań w tej sprawie, przez różne tworzone stale organizacje dążące do ujawnienia ukrywanej prawdy, jest chyba największa wśród ważnych tematów związanych z najnowszą historią Polski i stale rośnie.

Ukraińców wepchnęła ona i wypcha dalej w ramiona nacjonalistów, mieniących się spadkobiercami OUN, tego najbardziej zbrodniczego odłamu nacjonalistów europejskich. Władze Ukrainy, nie napotykając sprzeciwu Polski, bez skrupułów popierają starania o uczynienie wojaków UPA bohaterami Ukrainy. Czy naprawdę można tą drogą osiągnąć zbliżenie z Ukrainą? Co będzie z nią dalej?

Politycy polscy mówią coś o jakichś korzyściach ekonomicznych, które Polska uzyska, milcząc o tej hekatombie. Czy Pan także jest tego zdania? Jak dotąd na linii Polska–Ukraina nie nastąpiła żadna poprawa rzeczywistych, nie tych oficjalnych, stosunków. Wprawdzie międzynarodowe badania historyczne rozstrzygnęły już przed ośmiu laty przebieg wydarzeń za Bugiem i Sanem

w latach 1943 i 1944 i dziś już nikt tych wydarzeń nie kwestionuje, poza osobami, które niezdarne próbują je fałszować, ale mimo to wielu światłych Polaków karmi się jakimiś nadziejami, że można coś zyskać, udając, że nic się na Kresach godnego uwagi nie stało.

Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej, którego jestem członkiem, reprezentuje pogląd, że obecna polska polityka powinna być możliwie niezwłocznie zaniechana, jako nieskuteczna i szkodliwa dla Ukrainy i Polski. Nowa polityka musi opierać się na prawdzie i domagać się od Ukrainy i Ukraińców potępienia dokonanej w przeszłości zbrodni. Żyjące pokolenia Ukraińców nie miały związku z tą zbrodnią i za nią nie odpowiadają. Nie ma też z tego powodu potrzeby przeprosin. Związek nasz dostrzega konieczność poczynienia niezbędnych przygotowań przed ogłoszeniem tej zmiany w polityce.

Gdy stosunki nasze z Ukrainą zostaną oparte na prawdzie, to wszystko, co Pan wypowiedział w swoim wywiadzie i co doceniam w pełni, będzie mogło na pewno z powodzeniem być realizowane.

Ktoś może powiedzieć, że stanowiska zawarte w Pana wywiadzie i moim liście dzieli przepaść, ale w rzeczywistości chodzi tylko o odpowiedź na pytanie: czy wolno Polakowi zapominać, dla uzyskania jakichś wymyślonych korzyści politycznych, o setkach tysięcy rodaków zamordowanych lub wypędzonych ze swoich siedzib.

PROF. ZDZISŁAW NAJDER w odpowiedzi Andrzejowi Żupańskiemu

Dziękuję Panu za list. Za mało się niestety w Polsce na te tematy mówi i pisze. Pański list i stanowisko środowisk kombatanatów AK, uważam za ważne napomnienie, by władze RP częściej i skuteczniej zwracały stronie ukraińskiej uwagę, że nie wolno wymazywać z pamięci krzywd, wyrządzonych w przeszłości ani fałszować faktów historycznych.

Uroczystości w Pawłokomie w maju 2006, uchwała Senatu RP w sprawie akcji „Wisła” i książki Grzegorza Motyki świadczą, że strona polska sporo w tych sprawach zrobiła. Niedawna wypowiedź Walentyna Naliwajczenki, szefa Służby Bezpieczeństwa Ukrainy, który zrównał Policję Państwową II RP z NKWD i Gestapo, świadczy o braku poczucia odpowiedzialności najwyższych władz naszego sąsiada. Proszę jednak zauważyć, że nasze organa państwowe natychmiast na ten fakt zareagowały.

Zadaje Pan pytanie: „Czy wolno Polakowi zapominać dla uzyskania jakichś wymaginowanych korzyści politycznych, o setkach rodaków zamordowanych lub wypędzonych ze swoich siedzib?”. Odpowiadam: nie wolno! I nigdy, i nigdzie tego nie sugerowałem ani ja, ani moja rozmówczyni w „Karcie”. Nie znam też żadnych polskich polityków, którzy by twierdzili, że milczenie o polskich ofiarach rzezi wołyńskiej przyniesie nam jakieś korzyści gospodarcze. Taki „handel wymienny” zasługiwałby na jednoznaczne potępienie.

Sądzi Pan, że to, co powiedziałem w rozmowie dla „Karty”, „pokrywa się w istocie z kierunkiem polityki polskiej wobec Ukrainy” w ciągu ubiegłych lat 20, chociaż Pana zdaniem polityka ta okazała się „w sprawie pożądanego dalszego zbliżenia z Ukrainą całkowicie bezskuteczna”. Wbrew pozorom nasze poglądy wcale nie są przeciwstawne. Pozwalam sobie odesłać Pana do mojej rozprawki *Kontynuacja nieskuteczności. Polityka wschodnia RP po roku 1989*, przedrukowanej w książce *Patrząc na Wschód* (Wrocław 2009). Znajdzie Pan tam dowody, że już w roku 1975 upominałem się (w paryskiej „Kulturze”) o pamięć o Polakach na Wschodzie.

Główna różnica między nami dotyczy hierarchii ważności spraw. Pisze Pan, że „zasady [...] polskiej polityki sprowadzają się do milczenia wobec Ukraińców w sprawie okrutnej zbrodni na Polakach”. To nieprawda. Tak, przemilczenie bywa niestety towarzyszem wielu naszych poczynań. Jednakże powinno być oczywiste dla wszystkich Polaków, że podstawowym zadaniem naszej polityki nie jest rozliczanie się z przeszłością, ale zapewnienie lepszej przyszłości. Dlatego popieramy niepodległość Ukrainy, starania społeczeństwa ukraińskiego o uzdrowienie demokracji oraz dążenia Ukraińców do zbliżania się do tzw. struktur zachodnich, to znaczy NATO i Unii Europejskiej. Nie znam lepszego sposobu, by zwiększyć międzynarodowe bezpieczeństwo Polski. I nie znam lepszego sposobu, by umożliwić Polakom i Ukraińcom przyjacielskie nawiązywanie do tego, co w naszej przeszłości wspólne. Ani też lepszego sposobu, by zabezpieczyć to, co po tej wspólnej przeszłości na Ukrainie pozostało.

Ani na chwilę o przeszłości nie zapominając, musimy zdawać sobie sprawę z głębokiej asymetrii w charakterze naszych państw i społeczeństw. My, Polacy, spieramy się ze sobą, ale stosunek do przeszłości narodowej jest dla nas czynnikiem

spajającym, a nie dzielącym. Na Ukrainie jest inaczej. Słyszymy z ust Ukraińców słowa, które nas oburzają jako Polaków; ale posłuchajmy, co o sobie mówią wzajemnie reprezentanci najwyższych władz Republiki, jak łatwo oskarżają się nawzajem o zdradę stanu. Rząd Ukrainy od wielu miesięcy jest praktycznie sparaliżowany. Życzymy im dobrze. Musimy wykazać cierpliwość.

Dopominanie się o prawdę historyczną nie jest jedynym obowiązkiem państwa polskiego w stosunkach międzynarodowych. Zgadzam się z Panem i całym środowiskiem akowskim całkowicie co do tego, że władze RP powinny w sposób bardziej spójny i jednoznaczny sygnalizować Ukraińcom, że jest w naszych stosunkach jeszcze wiele do poprawienia. Uważam, że zwłaszcza Prezydent RP, który nie zajmuje się bieżącymi sprawami administracyjnymi, natomiast odpowiada za symboliczną stronę naszej państwowości, powinien być w tej sferze bardziej wyrazisty. W sprawie rocznicy czystek etnicznych na Wołyniu stało się odwrotnie.

Problematyką polsko-ukraińską zajmuję się nie tylko w piśmie. Od piętnastu lat działam na rzecz utworzenia w Berdyczowie muzeum Josepha Conrada-Korzeniowskiego i jego rodziny – wielkiej, patriotycznej rodziny podolsko-wołyńskiej, zasłużonej dla wolności obu naszych narodów. Muzeum takie powstaje, bo nauczyliśmy się cierpliwego szukania tego, co nas łączy. Co nie oznacza zapomnienia o tym, co nas kiedyś podzieliło. Uważam, że taki jest nasz obowiązek nie tylko wobec przeszłości, ale wobec teraźniejszości, wobec tych setek tysięcy obywateli Ukrainy, którzy przyznają się do polskich korzeni i chcą swoją więź z polskością utrzymać. A także obowiązek wobec tych dzisiejszych i przyszłych Polaków, którym chcemy zapewnić dostęp do dziedzictwa I Rzeczypospolitej, państwa wielu narodów.

Proszę przyjąć wyrazy głębokiego szacunku dla Pana i Pańskich Koleżanek i Kolegów z Armii Krajowej.

ECHO

Magdalena i Maksymilian
Rigamonti



ECHO to książka fotograficzna o miejscach, które zniknęły ze współczesnych map Wołynia na Ukrainie – o poszukiwaniu śladów pamięci po tym, czego już nie ma. W 2019 roku publikacja została uznana za najlepszą fotograficzną książkę na świecie w amerykańskim konkursie Pictures of the Year International (POYi), a także najlepszą polską książkę fotograficzną w konkursie Grand Press Photo 2019.

ECHO jest efektem pięcioletniej pracy wielokrotnie nagradzanego fotoreportera oraz dziennikarki, laureatki m.in. Nagrody im. Dariusza Fikusa i Grand Press. Oboje po raz pierwszy odwiedzili Wołyń w 2013 roku.

Zafascynowany i jednocześnie przerażony aurą tego rejonu, Maksymilian Rigamonti wracał tam kolejny i kolejny raz, by odkrywać wydarzenia z 1943 roku na nowo. Odwiedził wsie, których już nie ma. Był w Ostrówkach, Woli Ostrowieckiej, Parośli, Lipnikach i wielu innych. Fotografował miejsca, w których kilkadziesiąt lat temu były polskie wsie, a w nich domy, szkoły, targi i kościoły. Dziś trudno w tych przestrzeniach o jakikolwiek punkt odniesienia, bo ślady ludzkiej egzystencji wchłonęła natura. Dlatego przy zdjęciach zostały podane współrzędne geograficzne.

Magdalena Rigamonti rozmawiała z Ukraińcami, którzy pamiętają tamte wydarzenia, z ich dziećmi, wnukami, a także z ukraińskimi historykami i polskimi archeologami. W książce, na dwunastu rozkładanych jak mapa kartach, znalazło się dwaście krótkich notatek z podróży, które są opowieściami o konkretnych miejscach i zbrodniach, o krainie skażonej śmiercią. Każda karta to też cztery czarno-białe zdjęcia. Jedyńm kolorem, który pojawia się w książce, jest złoty – jak ramy w kościelnych obrazach czy litery na nagrobkach.

SPIS TREŚCI

WSTĘP

Przejsie przez historie ZBIGNIEW GLUZA

PO I WOJNIE (1917–19)

PRZECIW PANOM

<i>Panowie polscy</i> BOGDAN HUD'	4
<i>Egzekucja</i> EWA RZYSZCZEWSKA	14
<i>Pogrom dworu</i> BOLESŁAW PODHORSKI	20

WALKA O LWÓW I GALICJĘ

<i>Granica wschodnia</i> JANUSZ ODZIEMKOWSKI	30
<i>Na hajdamaków</i> JERZY KONRAD MACIEJEWSKI	34

W II RZECZPOSPOLITEJ (1922–39)

LATA 20.

<i>II RP wobec Ukraińców</i>	52
<i>Introdukcja</i>	54
<i>Postańcy</i>	59

LATA 30.

<i>Pacyfikowani</i> ANNA RICHTER	64
<i>Placówka</i> PAVEL ABLAMSKI	72
<i>Polonizacja</i> ANNA RICHTER	80
<i>Kontekst</i> GRZEGORZ HRYCIUK	90

POD NIEMIECKĄ OKUPACJĄ (1941–44)

WOŁYŃ 1942–44

<i>Wołyń dla Ukrainy</i>	92
<i>Karczowani</i> ZBIGNIEW GLUZA, KATARZYNA MADOŃ-MITZNER	94
<i>Huta Stepańska</i> GRZEGORZ SOLTYSIAK	103
<i>Polski policjant na Wołyniu</i> GRZEGORZ MOTYKA	118
<i>Relacja policjanta</i>	122
<i>Plan: wykarczować</i> GRZEGORZ MOTYKA	132
<i>Lato 1943</i> BARBARA ODNOS	140

SS „GALIZIEN”

<i>Dywizja ukraińska</i> GRZEGORZ MOTYKA	160
<i>Mobilizacja Lwowa</i>	164
<i>Po roku</i> GRZEGORZ MOTYKA	174

WSPÓŁPRACA NIEMCY-UPA 1944

<i>Ukraińska orientacja</i> GRZEGORZ MOTYKA	182
<i>Dokumenty</i>	188

POD SOWIECKĄ OKUPACJĄ (1944-47)

UPA / AK / NKWD

<i>Sotnia „Wilki”</i> MARIUSZ SAWA	204
<i>Akcja Sahryń 1944</i>	224
<i>Kontekst</i> GRZEGORZ MOTYKA	238
<i>Zasadzka</i> MICHAŁ KUSY	240
<i>Ukraińskie tropy</i> ANDRZEJ CHMIELARZ	246
<i>Ukraińskie „powstanie”</i> GRZEGORZ MOTYKA	250
<i>Polskie „bandy UPA”</i> EUGENIUSZ MISIŁO	267
<i>Kombinacje NKWD-UPA</i> GRZEGORZ MOTYKA	273

LWÓW 1944-47

<i>Pożegnanie Lwowa</i> ALMA HECZKO	284
<i>Na straży miasta</i> RYSZARD GANSINIEC	288
<i>Oczyścić Lwów</i> PIOTR MITZNER	306
<i>Grypsy lwowskie</i> STANISŁAW CZURUK	314

AKCJA „WISŁA” 1947

<i>Wypędzić, rozproszyć</i> MARIA BUCZYŁO	330
---	-----

PRÓBY DIALOGU

DYSKUSJA

<i>O akcji „Wisła”</i> TADEUSZ FILIPKOWSKI, STANISŁAW SZMIDT, DAMIAN KAROL MARKOWSKI, CZESŁAW CYWIŃSKI, ANDRZEJ ŻUPAŃSKI, ZBIGNIEW PAŁSKI, GRZEGORZ MOTYKA, MARIA BUCZYŁO, EDMUND BAKUNIAK, JÓZEF RELL, IWO WERSCHLER, BOGDAN HUK, ZBIGNIEW GLUZA	354
---	-----

ROZMOWA

<i>Polska-Ukraina 2009</i> ZE ZDZISŁAWEM NAJDEREM ROZMAWIA HANNA ANTOS	370
ANDRZEJ ŻUPAŃSKI I ZDZISŁAW NAJDER	377

KOORDYNACJA PROJEKTU	Zbigniew Gluza
REDAKCJA	Hanna Antos, Anna Richter
KWERENDY IKONOGRAFICZNE	Agata Bujnowska, Ewa Kwiecińska
PROJEKT GRAFICZNY, SKŁAD	 RZECZ O OBRAZKACH
PRZYGOTOWANIE ZDJĘĆ, SKŁAD	Tandem Studio
ZDJĘCIE NA OKŁADCE	Wygranka na Wołyniu, zdjęcie współczesne. 11 lipca 1943 oddziały UPA zamordowały tam ponad 140 Polaków. Fot. Maksymilian Rigamonti

WYDAWCA	 Karta ul. Narbutta 29, 02-536 Warszawa tel. (48) 22 848-07-12 www.karta.org.pl
KONTAKT DO WYDAWNICTWA	ok@karta.org.pl
DYSTRYBUCJA	kolportaz@karta.org.pl
KSIEGARNIA INTERNETOWA	ksiegarnia.karta.org.pl

Warszawa 2019

ISBN 978-83-65979-76-6



Rzeczpospolita Polska
Ministerstwo
Spraw Zagranicznych

Publikacja powstała w ramach zadania publicznego współfinansowanego przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych RP w konkursie „Dyplomacja publiczna 2019”.

Publikacja wyraża jedynie poglądy autorów i nie może być utożsamiana z oficjalnym stanowiskiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP.